

**Douglas Preston, Lincoln Child**

# **ZABÓJCZA**

# **FALA**

**Tłumaczyła Alicja Unterschuetz**



*Lincoln Child dedykuje tą książkę córce Veronice*

*Douglas Preston dedykuje tą książkę bratu Richardowi Prestonowi*

## Podziękowania

Wiele zawdzięczamy Davidowi Prestonowi, jednemu z najlepszych lekarzy w Maine, którego pomoc w opracowaniu medycznych aspektów *Zabójczej fali* okazała się wręcz nieoceniona. Chcielibyśmy także podziękować naszym agentom: Ericowi Simonoffowi i Lynn Nesbit z Janklow & Nesbit; Matthew Snyderowi z Creative Artists Agency; naszej świetnej redaktor Betsy Mitchell oraz Maureen Egen, wydawcy z Warner Books.

Lincoln Child pragnie podziękować: Denisowi Kelly'emu, Bruce'owi Swansonowi, doktorowi Lee Suckno, doktorowi Bry Benjaminowi, Bonnie Mauer, Cherif Keicie, wielebnemu Robertowi M. Diachekowi i Jimowi Cushowi. Dziękuję w szczególności mojej żonie Luchie za jej surową - czasami wręcz uszczypliwą - krytykę w ciągu minionych pięciu lat pracy nad czterema powieściami. Chciałbym podziękować rodzicom, którzy od samego początku wpajali we mnie głęboką miłość do żagli i słonej wody - uczucie to przetrwało do dziś. Pragnę również przekazać podziękowania cichym, od wieków nieżyjącym już współnikom - pływającym u hiszpańsko-amerykańskich wybrzeży korsarzom, piratom, szyfrantom, amatorom i agentom elżbietańskiego wywiadu, za pomoc przy tworzeniu barwnych postaci i dostarczenie źródłowego materiału dla *Zabójczej fali*. I wreszcie chciałbym przekazać zaległe podziękowania Tomowi McCormackowi, mojemu byłemu szefowi i mentorowi, który z takim zapalem i bystrością umysłu uczył mnie sztuki pisania i rzemiosła redagowania. *Nullum quod tetigit non ornavit.*

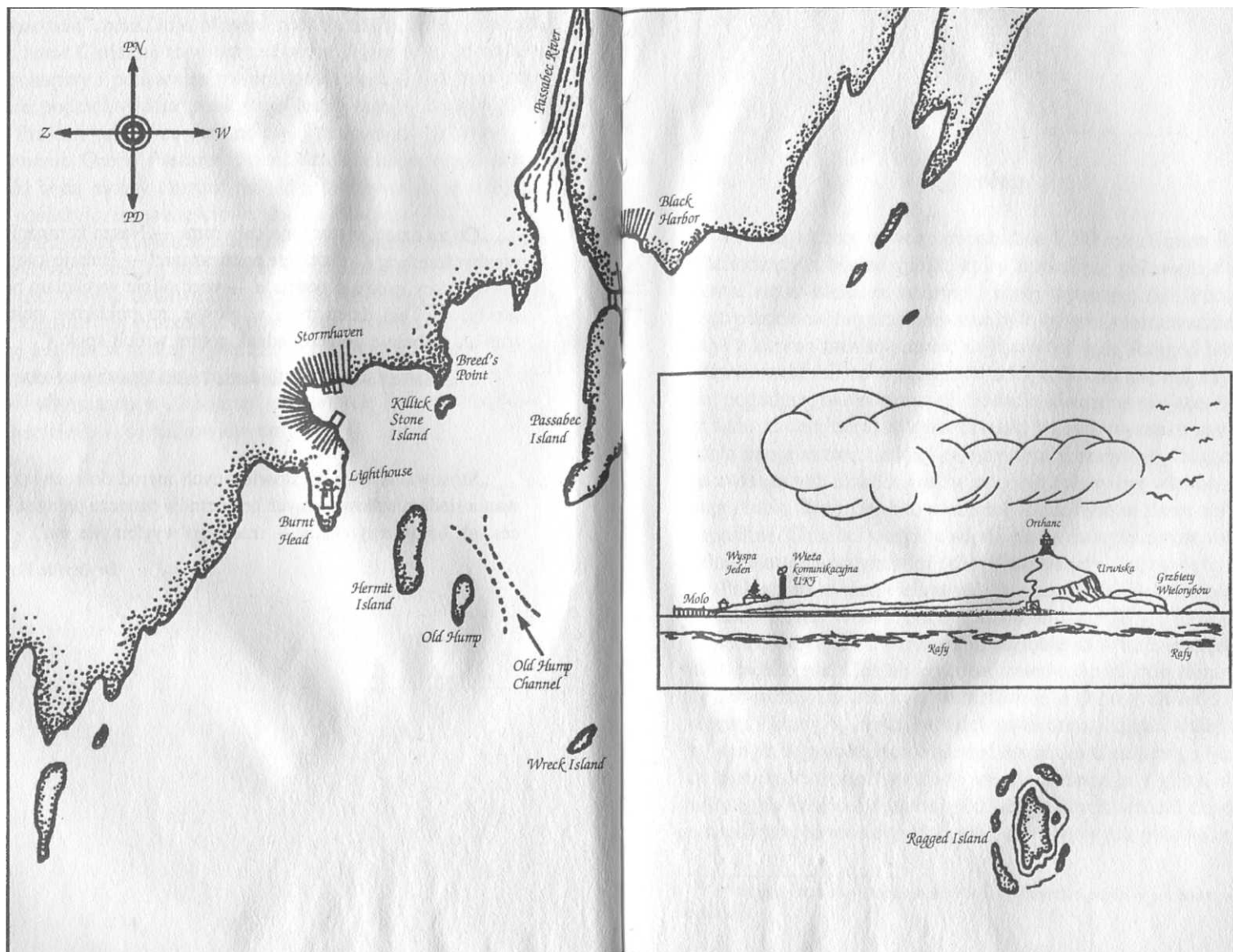
Douglas Preston chciałby wyrazić swoją wdzięczność wobec Johna P. Wileya, juniora, redaktora naczelnego magazynu „Smithsonian”, oraz Dona Mosera, redaktora. Chciałbym podziękować żonie Christine za wsparcie i córce Selene za to, że czytała moje rękopisy i podsuwała mi doskonałe pomysły. Jednak największe podziękowania przekazuję mojej mamie Dorothy McCann Preston oraz ojcu Jerome'owi Prestonowi, juniorowi, za zatrzymanie Green Pastures Farm, dzięki czemu moje dzieci i wnuki będą mogły czerpać radość z przebywania w miejscu, które posłużyło za powieściowe tło dla *Zabójczej fali*.

Przepraszamy turystów z Maine za zniekształcenia w opisie linii wybrzeża oraz za śmiałe przemieszczanie wysp i kanałów. Nie trzeba chyba dodawać, że Stormhaven i jego mieszkańcy oraz Thalassa i jej pracownicy to miejsca i postaci fikcyjne, istniejące jedynie w naszej wyobraźni. Choć wzdłuż Wschodniego Wybrzeża znajdują się kilka wysp o tej nazwie, to Ragged Island opisana w *Zabójczej fali*, a także rodzina Hatchów, jej właścicieli - są całkowicie zmyślone.

„Co za dzień, wytoczono cały rum: - Nasza kompanija niezbyt trzeźwa: - Przekłete pomieszanie! - Hultaje knują: - Wszyscy gadają o podziale - więc pilnie wyglądam nagrody: - Taki dzień mąci w głowie, na pokładzie pełno trunku, diabelnie gorąco, jednak potem wrócił spokój”.

Z dziennika pokładowego Edwarda Teacha alias Czarnobrodego, ok. 1718

„Stosowanie dwudziestowiecznych metod do rozwiązywania siedemnastowiecznych problemów oznacza pełny sukces lub kompletny chaos - trzeciego wyjścia nie ma”.



Dr Orville Horn

## Prolog

Pewnego czerwcowego popołudnia 1790 roku Simon Rutter, pochodzący z Maine rybak, który trudnił się połowem dorszy, dostał się w kleszcze sztormu i silnej wstecznej fali. Ponieważ jego płaskie czołno przeładowane było rybami, nierozważnie zoczył z kursu i musiał przybić do spowitej mgłą Ragged Island\*, \* Ragged Island - Poszarpana Wyspa. ledwie sześć mil od wybrzeża. Czekał na zmianę nieprzychylną pogodę, rybak postanowił zbadać opuszczone miejsce. W głębi lądu, z dala od skalistych urwisk, którym wysepka zawdzięczała swoją nazwę, natknął się na potężny, stary dąb. Do jednego ze zwisających nisko konarów przymocowany był wiekowy wyciąg i blok. Bezpośrednio pod nimi widać było w ziemi wyraźną zapadlinę. Chociaż wszyscy wiedzieli, że na wyspie nikt nie mieszkał, Rutter najwyraźniej odkrył stare ślady czyjejś bytności.

Pobudziło to jego ciekawość. Pewnej niedzieli, kilka tygodni później, Rutter wraz z bratem, uzbrojeni w kilofy i łopaty, powrócili na wyspę. Po oznaczeniu zagłębienia w terenie mężczyźni zaczęli kopać. Zdołali wykopać zaledwie pięć stóp ziemi, kiedy ich narzędzia uderzyły w platformę z dębowych kłód. Wyciągnęli kłody i, coraz bardziej podnieceni, kopali dalej. Pod koniec dnia, po pokonaniu niemal dwudziestu stóp w głąb ziemi i przebicciu się przez warstwy węgla drzewnego i gliny, dokopali się do kolejnej dębowej platformy. Bracia wrócili do domu z zamiarem ponownego kopania po sezonowych połowach makreli. Jednak w tydzień później łódka brata Ruttera wywróciła się do góry dnem w dziwnych okolicznościach, on zaś się utopił. Wykop przez jakiś czas stał porzucony.

Dwa lata później Rutter wraz z grupą miejscowych kupców postanowił zgromadzić potrzebne środki i wrócić w tajemnicze miejsce na Ragged Island. Po wznowieniu wykopalisk szybko dotarli do wielu ciężkich pionowych dębowych dźwigarów i poprzecznych belek stropowych, najwyraźniej stanowiących dawne ocembrowanie zaszypanego szybu. Tego, na jaką dokładnie głębokość dokopała się grupa, nie wiadomo - większość szacunków mówi o blisko stu stopach. Tutaj kopiący natknęli się na płaską skałę z wykutym na niej napisem:

*Pierwej będziesz łąć*

*Potem zachcesz wyć*

*Wreszcie musisz skonać*

Skalę wyrwano i wyciągnięto na powierzchnię. Według pewnej teorii, odsunięcie skały spowodowało zerwanie uszczelnienia, bo kilka chwil później, bez ostrzeżenia, do wykopu wdarła się morska woda. Wszyscy kopiący zdołali uciec - z wyjątkiem Simona Ruttera. Zatopiony szyb, który od tej pory nazywano Water Pit, pochłonął pierwszą ofiarę. \*

**Water Pit - Wodny Dół.**

Wokół Water Pit narosło wiele legend. Ale zgodnie z tą - jak się zdaje - najbardziej prawdopodobną, około 1695 roku cieszący się złą sławą angielski pirat Edward Ockham na krótko przed swoim tajemniczym zgonem pogrzebał ogromne łupy gdzieś na wybrzeżu Maine. Szyb na Ragged Island zdawał się odpowiednim miejscem. Zaraz po śmierci Ruttera zaczęły krążyć pogłoski, jakoby skarb był przeklęty i że każdy, kto po niego sięgnie, może się spodziewać, że spotka go los wyryty na kamieniu.

Podjęmowano liczne, zakończone niepowodzeniem próby osuszenia Water Pit. W 1800 roku dwaj poprzedni partnerzy Ruttera skompletowali nową ekipę i zebrali pieniądze potrzebne do sfinansowania wykopania drugiego tunelu biegnącego dwanaście stóp na południe od starego szybu Water Pit. Przez pierwsze sto stóp wszystko szło jak po maśle. Wtedy to podjęto próbę wykopania poziomego przejścia pod pierwotnym Water Pit. Plan zakładał, że tunel dotrze do skarbu od dołu. Jednak kiedy przystąpiono do kopania w kierunku pierwotnego szybu, nowy zaczął się gwałtownie napełniać wodą. Ludzie ledwie uszli z życiem.

Przez trzydzieści lat nikt nie interesował się szybem, aż w 1831 roku Richard Parkhurst, pochodzący z Nowej Anglii inżynier górnictwa, założył Bath Expeditionary Salvage Company. Ponieważ Parkhurst był przyjacielem jednego z pierwszych zaangażowanych w sprawę kupców, udało mu się zgromadzić cenne informacje na temat wcześniejszych prac. Parkhurst zbudował nad wejściem do Water Pit pokład, na którym ustawił wielką parową pompę. Przekonał się jednak, że osuszenie szybu z morskiej wody jest niemożliwe. Bynajmniej nie zniechęcony, sprowadził prymitywny kopalniany szyb wiertniczy, który ustawił dokładnie nad Water Pit. Przewiercił się dużo dalej niż jego poprzednicy. Na głębokości stu siedemdziesięciu stóp natknął się na rusztowanie z desek. Wreszcie wiertło natrafiło na jakąś przeszkodę nie do pokonania. Gdy wyciągnięto rurę wiertniczą, w miejscu po oderwanym kawałku wiertła znaleziono blokujące je odłamki żelaza i ślady rdzy. W gondoli był też kit, cement i duże ilości włókna. Po przeprowadzonych analizach okazało się, że była to albo manila, albo włókno z orzechów kokosa. Roślinę tę,

rosnącą jedynie w tropikach, wykorzystywano powszechnie na statkach do zabezpieczania ładunku okrętowego przed przesuwaniem. Zaraz po dokonaniu owego odkrycia spółka Bath Expeditionary Salvage Company zbankrutowała i Parkhurst został zmuszony do opuszczenia wyspy.

\*

W 1840 roku zarejestrowano przedsięwzięcie pod nazwą Boston Salvage Company i w pobliżu Water Pit przystąpiono do kopania trzeciego szybu. Po przekopaniu zaledwie sześćdziesięciu sześciu stóp ekipa niespodzianie przebiła się do starego bocznego tunelu, który najwyraźniej prowadził z pierwotnego szybu. Jej własny tunel napełnił się natychmiast wodą, a następnie zawalił.

Niezrażeni przedsiębiorcy wykopali kolejny, położony wprawdzie trzydzieści jardów dalej, ale za to bardzo obszerny szyb, który ochrzczono imieniem Boston Shaft. W przeciwieństwie do poprzednich konstrukcji, Boston Shaft nie był wykopem pionowym, ale przebiegał pod kątem. Po natrafieniu na poziomie siedemdziesięciu stóp na przeszkodę w postaci poprzecznego muru ze skały macierzystej ruszyli dalej w dół, wykorzystując ziemne świdy i proch strzelniczy oraz ponosząc ogromne koszty. Wywiercili następnie poziomy korytarz pod miejscem, które stanowiło przypuszczalnie dno pierwotnego szybu Water Pit. Tam natknęli się na ocembrowania i ciąg dalszy pierwotnego, zasypanego szybu. Podnieceni przystąpili do kopania i oczyścili stary szyb. Na poziomie stu trzydziestu stóp natknęli się na kolejną platformę, którą pozostawili, rozważając jednak możliwość jej wydobycia. Tej samej nocy całe obozowisko wyrwało ze snu głośne, głębokie dudnienie. Robotnicy rzucili się do szybu Water Pit. Okazało się, że jego dno opadło do nowo wykopanego tunelu, i to z taką siłą, że zawalenie wyrzuciło błoto i wodę na trzydzieści stóp nad wejście do Boston Shaft. W wyrzuconym z głębin błocie znaleziono sworzeń z surowego metalu, taki sam, jaki można było znaleźć na okuciach okrętowych skrzyń.

Przez kolejne dwadzieścia lat podejmowano dalsze próby dotarcia do komnaty ze skarbem, wykopano tuzin kolejnych szybów, z których wszystkie zostały zalane lub zawaliły się. Zbankrutowały jeszcze cztery kompanie stawiające sobie za cel wydobycie skarbu. W kilku przypadkach kopiący, którzy pojawiali się w okolicy, zaklinali się, że zalania nie były przypadkowe i że pierwsi budowniczy szybu Water Pit zainstalowali w nim diabelski mechanizm zatapiający wszystkie boczne tunele, jakie ktoś chciałby kiedykolwiek wykopać.



Wybuchła wojna secesyjna, przynosząc krótkie wytchnienie kopiącym. Po czym w 1869 roku nowa kompania poszukiwaczy skarbów zabezpieczyła dla siebie prawa do prowadzenia na wyspie wykopalisk. Kierownik robót, F.X. Wrenche, zauważył, że poziom wody w szybie podnosił się i opadał razem z przyływami i odpływami morza. Wysnuł przeto teorię, że zarówno Pit, jak i wodne pułapki musi łączyć z morzem jakiś sztuczny tunel zalewowy. Gdyby udało się ów tunel odnaleźć i zamknąć, szyb można by osuszyć i bezpiecznie wydobyć skarb. Wiedziony tym przekonaniem Wrenche wykopał w okolicy Water Pit ponad tuzin badawczych szybów różnej głębokości. W wielu z nich natknięto się na poziome tunele i skalne „kominy”, które zawalano za pomocą dynamitu, próbując zatrzymać wodę. Nie znaleziono jednak tunelu zalewowego prowadzącego do morza i Water Pit pozostał zalany. Spółka pozbyła się funduszy i jak wszyscy poprzednicy zostawiła po sobie na wyspie całą maszynię, która w słonym powietrzu powoli pokrywała się rdzą.

Na początku lat osiemdziesiątych dziewiętnastego wieku powstała firma Gold Seekers Ltd., założona przez konsorcjum kanadyjskich i angielskich przemysłowców. Na wyspę sprowadzono potężne pompy i nowe rodzaje sprzętu wiertniczego wraz z zasilającymi je kotłami parowymi. Firma podjęła próby wywiercenia kilku dziur w szybie Water Pit. I dopiero dwudziestego trzeciego sierpnia 1883 roku udało jej się w końcu dowiercić do czegoś konkretnego. Wiertło natknęło się na żelazną płytę, która przed pięćdziesięciu laty oparła się świdrom Parkhursta. Na wiertła nałożono nowe diamentowe końcówki, kotły parowe ruszyły pełną parą. Tym razem świdry przebiły żelazo i weszły w litą bryłę bardziej miękkiego metalu. W rowku wyciągniętego wiertła znaleziono długi, ciężki, spiralny lok czystego złota, a także zbutwiały kawałek pergaminu z dwoma urwanymi zdaniem: „jedwabie, wino kanaryjskie, kość słoniowa” oraz „John Hyde gnije na szubienicy w Deptford”.

Pół godziny po dokonaniu odkrycia eksplodował jeden z potężnych kotłów, zabijając irlandzkiego palacza i równając z ziemią wiele z konstrukcji wzniesionych przez firmę. Trzydzieści osób odniosło rany, a jeden z głównych udziałowców, Ezekiel Harris, stracił w wypadku wzrok. Przedsiębiorstwo Gold Seeker Ltd., podobnie jak jego poprzednicy, zbankrutowało.

Lata przed i po 1900 roku były świadkami wysiłków trzech kolejnych kompanii, które szukały szczęścia w Water Pit. Nie udało im się powtórzyć sukcesu, jakim było odkrycie dokonane przez Gold Seekers Ltd., mimo że korzystały z nowoczesnych pomp. Przeprowadzono serię podwodnych eksplozji umieszczanych losowo ładunków

wybuchowych - ich celem było uszczelnienie, a następnie osuszenie zalanej wodą wyspy. Pracujące na najwyższych obrotach pompy zdołały obniżyć poziom wody w kilku centralnych szybach o około dwadzieścia stóp, i to przy niskim stanie morza. Kopacze wysłani na dół w celu zbadania warunków panujących w wykopach narzekali na trujące wyziewy. Kilku zemdlalo i trzeba ich było wyciągnąć na powierzchnię. W czasie ostatniej pracy z owych trzech ekspedycji - na początku września 1907 roku - pewien mężczyzna stracił ramię i obie nogi w wyniku przedwczesnej detonacji ładunku wybuchowego. Dwa dni później wściekły północno-wschodni sztorm uderzył w wybrzeże i zniszczył główną pompę. Zaniechano dalszych prac.

Choć nie pojawiło się już więcej kompanii, pojedynczy kopacze entuzjaści nadal próbowali szczęścia w tunelach. W tym czasie wejście do pierwotnego szybu Water Pit zagubiło się wśród niezliczonych zatopionych szybów bocznych, włazów i tuneli, które podziurawiły wnętrze wyspy. Tymczasem wyspę wzięły we władanie rybołowy i krzaki aronii, a ponieważ przebywanie na jej niestabilnej powierzchni stało się bardzo ryzykowne, mieszkańcy stałego lądu zaczęli od niej stronić. W roku 1940 Alfred Westgate Hatch, senior, młody, bogaty finansista z Nowego Jorku, przywiózł swoją rodzinę do Maine na letnie wakacje. Dowiedział się o istnieniu wyspy i, coraz bardziej zaintrygowany, rozpoczął badania jej historii. Dokumentacja była niepełna: żadna z poprzednich kompanii nie zadała sobie trudu prowadzenia drobiazgowych notatek. Sześć lat później Hatch zakupił wyspę od agenta spekulującego gruntami i przeniósł się z rodziną do Stormhaven.

Jak wielu przed nim, tak i A.W. Hatchem, seniorem, zawładnęła obsesja poznania szybu Water Pit, co doprowadziło go do ruiny. W ciągu dwóch lat finanse rodziny stopniały, a Hatch zmuszony był ogłosić osobiste bankructwo - zaczął pić i wkrótce zmarł, zostawiając A.W. Hacha, juniora, dziesięcioletka, jako jedyne żywiela rodziny.

# 1

*Lipiec 1971*

Malin Hatch czuł się znudzony latem. Razem z Johnnym spędzili wczesny poranek, rzucając skalnymi odłamkami w gniazdo szerszenia w starej studni. To było zabawne. Ale teraz nie miał już nic do roboty. Dopiero co minęła jedenasta, a on już zdążył zjeść obie kanapki z masłem orzechowym i bananem, które mama zrobiła mu na drugie śniadanie. Siedział właśnie ze skrzyżowanymi nogami na pływającym pomoście przed domem, patrzył w morze i miał nadzieję, że może zobaczy gdzieś nad horyzontem dym z komina wojennego okrętu. Wystarczyłby i duży tankowiec. Może podpłynąłby do jednej z otaczających wysp i rozbiłby się, eksplodując. To dopiero byłoby coś.

Z domu wyszedł jego brat i ruszył po kołyszącej się drewnianej rampie prowadzącej na pomost. Do szyi przyciskał kawałek lodu.

- Nieźle cię ugryzło - powiedział Malin zadowolony, że sam, w przeciwieństwie do swojego starszego, podobno mądrzejszego brata, zdołał uniknąć ukąszenia.

- Nie podszedłeś dość blisko - odparł Johnny z ustami wypchanymi kanapką. - Tchórz.

- Podszedłem tak samo blisko jak ty.

- Jasne, pewnie. Wszystkie pszczoły widziały twój chudy, uciekający tyłek. - Prychnął i łukiem rzucił lód do wody.

- Nie, szanowny panie. Stałem w tym samym miejscu.

Johnny usiadł z pluskiem przy nim na platformie, rzucając obok plecak.

- Nieźle je załatwiliśmy, no nie, Mai? - powiedział, sprawdzając palcem wskazującym palące miejsce na karku.

- Jeszcze jak.

Zamilkli. Wzrok Malina powędrował przez małą zatoczkę w kierunku wysp: Wyspa Pustelnika, Wyspa Wraków, Stary Garb, Kamienna Kotwiczka. Daleko za nimi błękitny obrys Ragged Island pojawiał się i znikał w upartej mgle, która nie chciała się podnieść nawet w taki piękny letni dzień. Za wyspami otwarty ocean był - jak to często określał ojciec - spokojny niczym staw opodal młyna.

Ocieźale wrzucił do wody kawałek skały i obserwował bez przekonania rozchodzące się kręgi. Niemal żałował, że nie pojechał z rodzicami do miasta. Miałby przynajmniej coś do roboty. Szkoda, że nie był teraz gdzie indziej - w Bostonie, Nowym Jorku - wszędzie, byle nie w Maine.

- Byłeś kiedyś w Nowym Jorku, Johnny? - zapytał. Johnny pokiwał poważnie głową.

- Raz. Zanim się urodziłeś.

Ale kłamie - pomyślał sobie Malin. Jak gdyby Johnny mógł pamiętać cokolwiek, co się wydarzyło, kiedy miał mniej niż dwa latka. Jednak gdyby powiedział to głośno, oberwałby kuksańca w ramię.

Wzrok Malina padł na małą motorową łódź przywiązaną przy końcu platformy. Nagle przyszedł mu do głowy pewien pomysł. Naprawdę doskonały.

- Popłynemy nią - powiedział, zniżając głos i kiwając głową w stronę małej łódki.

- Zwariowałaś chyba - odparł Johnny. - Ojciec zbije nas na kwaśne jabłko.

- Daj spokój - stwierdził Malin. - Po zakupach mają zamiar zjeść lunch u Hastingsa.

Nie wrócą przed trzecią, może nawet czwartą. Kto się dowie?

- Całe miasto, ot co, jak nas zobaczą tam, na morzu.

- Nikt nie będzie patrzył - powiedział Malin. A potem, nieostrożnie, dodał:

- I kto ma teraz pietra?

Ale Johnny najwyraźniej nie zwrócił uwagi na tę jego bezczelność i tylko wpatrywał się w łódkę.

- A właściwie to w jakie świetne miejsce chcesz popłynąć? - zapytał.

Chociaż byli całkiem sami, Malin jeszcze bardziej ściszył głos.

- Na Ragged Island.

Johnny odwrócił się w jego stronę.

- Ojciec nas zabije - wyszeptał.

- Nie zabije nas, jeśli znajdziemy skarb.

- Tam nie ma żadnego skarbu - odparł pogardliwie Johnny, ale jego głos nie brzmiał zbyt przekonująco. - Tak czy siak, wyspa jest niebezpieczna, te wszystkie dziury.

Malin znał swojego brata wystarczająco dobrze, by rozpoznać ten ton. Johnny połknął haczyk. Malin milczał, pozwalając, by przekonywaniem zajął się monotony, samotny ranek.

Nagle Johnny gwałtownie wstał i ruszył na drugą stronę pomostu. Malin czekał, czując, jak narasta w nim pełne oczekiwania podniecenie. Gdy brat wrócił, w obu rękach trzymał kamizelki ratunkowe.

- Nie zejdziemy na ląd, nie popłyniemy za linię skał wzdłuż brzegu. - Specjalnie przybrał szorstki ton, jak gdyby chciał przypomnieć Malinowi, że choć on wpadł na dobry pomysł, nie oznaczało to zmiany równowagi sił.

- Rozumiesz?

Malin kiwnął głową, trzymając okrężnicę, podczas gdy Johnny wrzucał do wnętrza łodzi swój tornister i kapoki. Zaczął się zastanawiać, dlaczego nie zrobili tego nigdy

przedtem. Ani on, ani jego brat nie byli nigdy na Ragged Island. Malin nie znał też żadnego dzieciaka z miasteczka Stormhaven, który był na wyspie. Będzie co opowiadać kolegom.

- Siadaj na dziobie - odezwał się Johnny. - Ja pokieruję. Malin obserwował, jak Johnny bawi się dźwignią zmiany biegów, otwiera ssanie, pompuje benzynę, a potem szarpie sznurek rozrusznika. Silnik zakrztusił się i zamilkł. Johnny szarpnął raz jeszcze. Ragged Island leżała wprawdzie sześć mil od brzegu, ale Malin obliczył, że przy tak spokojnym morzu uda im się do niej dopłynąć w pół godziny. Zbliżał się przypływ, a wtedy silne prądy, które obmywały wyspę, prawie zanikały, czekając na zmianę kierunku.

Czerwony na twarzy Johnny chwilę odpoczął, by heroicznym wysiłkiem szarpnąć za sznurek. Silnik zaczął pracować.

- Odwiąż łódź! - krzyknął. Jak tylko lina zdjeta została z kołka, Johnny otworzył maksymalnie przepustnicę i słabiutki, malutki osiemnastokonny silnik zawył z wysiłku. Łódka odskoczyła od platformy i ruszyła. Minęli Breed's Point i wypłynęli na zatokę. Wiatr i mgiełka morskiej wody cudownie szczypały Malina w twarz.

Łódka sunęła przez ocean, zostawiając za sobą kremowy kilwáter. Tydzień temu przeszedł tędy solidny sztorm, który - jak to zwykle bywało - wyraźnie wygładził powierzchnię oceanu, a woda przypominała teraz szklaną taflę. Na sterburcie ujrzeli już Old Hump, niską, nagą granitową kopułę, upstrzoną mewimi odchodami, o brzegach oznaczonych ciemnymi morskimi wodorostami. Gdy tak płynęli, brzęcząc, przez kanał, niezliczone ilości mew drzemiących z jedną nogą ukrytą pod skrzydłami uniosły głowy i wlepiły w łódkę bystre, żółte oczy. Jedna para wzbija się w niebo i zatoczyła nad nimi koło, krzycząc tęsknie.

- Miałem świetny pomysł - odezwał się Malin. - Prawda, Johnny?

- Może - odparł Johnny. - Ale jak nas złapią, ty to wymyśliłeś.

Chociaż ich ojciec był właścicielem Ragged Island, odkąd tylko pamiętali, mieli zakaz jej odwiedzania. Tata nienawdził tego miejsca i nigdy o nim nie opowiadał. Zgodnie z legendami zasłyszczanymi na szkolnym boisku na wyspie zginęło mnóstwo ludzi szukających skarbu, miejsce to było przeklęte, zamieszkiwały je duchy. Przez te wszystkie lata wykopano tam tak dużo dziur i szybów, że wnętrza wyspy całkiem już przegniły i gotowe były pożreć każdego nieświadomego gościa. Mówiło się nawet coś o przeklętym kamieniu, który znaleziony wiele lat temu w Water Pit, teraz najprawdopodobniej znajdował się w specjalnym pomieszczeniu, głęboko, w piwnicach kościoła, zamknięty na trzy spusty, bo stanowił diabelskie dzieło. Johnny powiedział kiedyś bratu, że czasem te dzieciaki, które szczególnie

rozrabiały na zajęciach niedzielnej szkółki zamykano w krypcie, razem z przeklętym kamieniem. Poczul, jak przeszywa go dreszcz podniecenia.

Przed nimi rozpościerała się wyspa, otoczona wieńcem strzępków mgły. Zimą albo w deszczowe dni konsystencja mgły przypominała gęstą zupę. W ten pogodny letni dzień przywodziła na myśl raczej półprzezroczystą cukrową watę. Johnny próbował mu kiedyś wyjaśnić, że jej źródłem są wsteczne lokalne prądy, ale Malin nie zrozumiał, o co mu chodziło, i był święcie przekonany, że Johnny sam nie rozumiał, o czym mówi.

Podpłynęli do granicy mgiełki i nagle znaleźli się w dziwnym, pogrążonym w półmroku świetle. Hałas silnika stał się przytłumiony. Niemal nieświadomie Johnny zwolnił. Potem najgęstsza mgła była już za nimi, przed sobą zaś Malin dostrzegł występy skalne Ragged Island; zarys surowych krawędzi pokrytych wodorostami łagodziła nieco obecność mgły.

Wprowadzili łódkę w pobliże obniżenia w występach skalnych. Ponieważ mgła unosząca się nad wodą zaczęła opadać, Malin zdołał dostrzec zielonkawę wierzchołki wyszczerbionych podwodnych skał, pokryte falującymi wodorostami. Skały budziły przerażenie poławiaczy homarów w czasie odpływu lub gdy pojawiała się gęsta mgła. Ale teraz, w czasie przyływu, malutka łódź motorowa posuwała się naprzód bez przeszkód. Po kłótni na temat tego, kto ma zamoczyć nogi, przybili do kamienistego brzegu. Malin wyskoczył z cumą i wciągnął łódkę, czując, jak tenisówki napełniają mu się wodą.

Johnny wyszedł na suchy ląd.

- Całkiem nieźle - orzekł wymijająco, wkładając na ramiona plecak i spoglądając w głąb lądu.

Zaraz za linią wyznaczoną przez kamienną plażę rosła ostra trawa i krzaki jagód. Scenerię spowijała niesamowita, srebrzysta poświata, przefiltrowana przez sufit z mgły nadal unoszącej się nad ich głowami. Wielki żelazny kocioł, wysoki przynajmniej na dziesięć stóp, wznosił się w pobliskiej kępie traw. Poznaczony solidnymi nitami był bardziej pomarańczowy od rdzy. Jego górna część chowała się w niskiej mgle.

- Założę się, że ten kocioł wyleciał w powietrze - powiedział Johnny.

- A ja, że zabił jakiegoś człowieka - dodał z rozkoszą Malin.

- Pewnie dwóch.

Pokrytą kamieniami plażę otaczały z boku grzbiety wygładzonego przez fale granitu. Malin wiedział, że rybacy przepływający przez Kanał Ragged Island nazywali te skały Grzbietami Wielorybów. Wdrapał się wysoko na najbliższe wzgórze i stojąc, starał się sięgnąć wzrokiem ponad urwistymi zboczami w głąb wyspy.

- Złaź na dół! - wrzasnął Johnny. - Co ty tam niby chcesz zobaczyć? W tej mgle? Idiota.

- Kto nie spróbuje, ten... - zaczął Malin, schodząc w dół, gdzie w nagrodę za podjęty wysiłek otrzymał braterskiego kuksańca w głowę.

- Trzymaj się z tyłu - powiedział Johnny. - Obejdziemy wyspę dookoła brzegiem, a potem wrócimy. - Szedł szybko po dnie urwiska, jego opalone na czekoladowy brąz nogi migwały w przyćmionym świetle. Malin szedł za bratem, czuł się dotknięty. W końcu to on wpadł na pomysł, żeby tu przyjechać, ale Johnny zawsze przejmował ster.

- Hej! - zawołał Johnny. - Patrz! - Schylił się i podniósł z ziemi jakiś długi, biały przedmiot. - To kość.

- Wcale nie - odpowiedział Malin, nadal rozdrażniony. Przyjazd na wyspę był jego pomysłem. To on powinien był coś znaleźć.

- A właśnie, że tak. I założę się, że ludzka. - Johnny zaczął wymachiwać kością, jak gdyby miał w ręku kij baseballowy. - To kość z nogi człowieka, który zabił się, szukając skarbu. A może kość pirata. Zabiorę ją do domu i schowam pod łóżkiem. Ciekawość okazała się silniejsza od rozdrażnienia.

- Pokaż - powiedział.

Johnny wręczył mu kość. Była niespodziewanie ciężka i zimna i brzydko pachniała.

- Faj - powiedział Malin, szybko oddając znalezisko bratu.

- Może jest tu gdzieś w pobliżu czaszka - odparł Johnny. Zaczęli myszkować między skałami, ale nie znaleźli nic poza martwym małym rekinem z wybałuszonymi oczami. Kiedy tak krążyli, natknęli się na wrak barki, pozostałości po jakiejś dawno zapomnianej akcji ratunkowej. Wyrzucona na ląd falą przyływu barka okręciła się i opadła na skały, wystawiona od dziesięcioleci na kaprysy sztormowej pogody.

- Patrz na to - powiedział Johnny, w którego głosie zabrzmiało zainteresowanie. Wdrapał się na pofalowany, pełen wybruszeń pokład. Wszędzie wkoło leżały porzucane kawałki metalu, rur, zepsutego sprzętu i nieciekawie wyglądające kłęby kabla i drutu. Wyobraził sobie, że pirat Red Ned Ockham był tak bogaty, że prawdopodobnie porzucił po całej wyspie sporo dublonów. Prawdopodobnie Red Ned zakopał na wyspie miliony milionów złotych monet oraz wysadzany drogimi kamieniami miecz świętego Michała, tak potężny, że mógł zabić każdego, kto tylko choć na niego spojrzał. Mówili, że Red Ned odciął kiedyś człowiekowi uszy, żeby założyć się o nie przy grze w kości. Dziewczyna z szóstej klasy, Cindy, powiedziała mu, że tak naprawdę to pirat odciął męskie jądra, ale Malin jej nie uwierzył. Przy innej okazji Red Ned upił się i rozciął człowiekowi brzuch, a potem wyrzucił

biedaka za burtę i ciągnął za statkiem za wnętrzności, aż pożarły go rekiny. Dzieciaki w szkole znały wiele opowieści o piracie.

Znudzony barką Johnny machnął na Malina, żeby ten ruszył za nim wzdłuż rozrzuconych po dnie urwiska skał, w stronę nawietrznej części wyspy. Nad nimi wznosił się w niebo ciemny wysoki nasyp, z ziemi wyłaziły gdzieniegdzie, niczym sterczące poziomo powykręcane paluchy, korzenie dawno obumarłych świerków. Szczyt nasypu ginął w uporczywej mgle. Niektóre urwiska zapadły się, stając się ofiarą burz atakujących wyspę każdej jesieni.

W cieniu urwisk było chłodno i Malin przyspieszył. Podniecony swoimi znaleziskami Johnny podskakiwał, nie zważając na własne upomnienia, wydzierając się i wymachując kością. Malin wiedział, że mama wyrzuci starą kość do morza, jak tylko się na nią natknie.

Johnny zatrzymał się na chwilę, żeby poszperać w śmieciach, które morze wyrzuciło na brzeg: stare boje do połowu homarów, zepsute pułapki, kawałki sponiewieranych przez deszcz, wiatr i wodę desek. Potem ruszył dalej wzdłuż urwiska w kierunku świeżego osunięcia. Niedawno zapadła się tu skarpa, rozrzucając po skalistym brzegu ziemię i głazy. Przeskoczył z łatwością przez głazy, znikając z pola widzenia.

Malin z miejsca przyspieszył. Nie lubił, kiedy Johnny znikał mu z oczu. W powietrzu wyczuwało się jakiś ruch: wcześniej, zanim zanurzyli się w głąb Ragged Island, dzień był słoneczny, a teraz w tym miejscu wszystko mogło się wydarzyć. Powiało zimną bryzą. Pogoda zmieniała się, morze zaczęło gwałtowniej uderzać o skalne występy wyspy. Niedługo nastąpi odpływ. Może powinni zacząć wracać.

Nagle rozległ się gwałtowny, ostry krzyk i przez chwilę Malin, okropnie przerażony, pomyślał, że Johnny zranił się, chodząc po śliskich skałach. Ale krzyk rozległ się raz jeszcze - pilne wezwanie - i Malin wdrapał się na głazy przed nim, gramoląc się przez rozrzucone odłamy skał, wzdłuż zakręcającej tu linii brzegowej. Przed nim był ogromny, granitowy głaz, który świeżo oderwał się od skarpy po ostatnim sztormie i leżał teraz pod dziwnym kątem. Przy jego przeciwległym krańcu stał Johnny, na coś wskazując. Na jego twarzy malowało się ogromne zdumienie.

Początkowo Malin nie był w stanie wydusić słowa. Oderwanie się głazu odsłoniło wejście do tunelu u podnóża klifu, zostawiając wystarczająco dużą szparę, by udało się do niego wślizgnąć. Przy wejściu do tunelu wirował strumień lepkiego, stęchłego powietrza.

- O rany! - powiedział, biegnąc po stoku w górę klifu.

- Znalazłem go! - krzyczał Johnny, nie mogąc z podniecenia złapać tchu. - Założę się, o co tylko chcesz, że tam jest skarb. Zobacz, Malin!



Malin odwrócił się.

- To był mój pomysł.

Johnny obdarzył go pełnym wyższości uśmiechem.

- Może - odparł, zdejmując z pleców tornister. - Ale to ja go znalazłem. I to ja zabrałem ze sobą zapalki.

Malin wychylił się ciekawie w stronę wejścia do tunelu. W głębi serca podzielał przekonanie ojca, że na Ragged Island nigdy nie było żadnego skarbu. Jednak teraz nie był już tego taki pewien. Czy to możliwe, żeby tata się mylił?

Szybko się cofnął, marszcząc nos od woni zatęchłego powietrza wypływającego z tunelu.

- O co chodzi? - zapytał Johnny. - Boisz się?

- Nie - odpowiedział Malin niepewnym głosem. W tunelu było bardzo ciemno.

- Idę pierwszy - stwierdził Johnny. - Ty za mną. I lepiej się nie zgub. Odrzucił na bok pamiątkową kość, opadł na kolana i zaczął wciskać się do środka. Malin także ukląkł, ale zawahał się. Ziemia pod kolanami była twarda i zimna. Jednak Johnny zdążył mu już zniknąć z oczu, a Malin nie chciał zostać sam na zasnutej mgłą plaży. Wcisnął się w otwór w ślad za bratem.

Usłyszał trzask zapalanej zapalki i podświadomie nabrał powietrza, podnosząc się równocześnie z ziemi. Znajdowali się w małym przedsionku, którego sufit i ściany podtrzymywały stare drewniane kłody, a wąski tunel prowadził dalej w ciemność.

- Podzielimy się skarbem po połowie - oznajmił Johnny bardzo poważnym tonem, tonem, jakiego Malin wcześniej u niego nie słyszał. Potem zrobił coś jeszcze dziwniejszego: odwrócił się i z dziecięcą powagą potrząsnął jego dłonią.

- Jesteśmy Mai, ty i ja, równymi partnerami.

Malin przełknął ślinę - poczuł się trochę różnie.

Zapalka zgasła zaraz, jak zrobili następny krok. Johnny przystanął. Malin usłyszał trzask kolejnej zapalki, pojawił się blady płomyk. Widział czapkę brata z napisem „Red Sox”, otoczoną aureolą migoczącego światła. Niespodziewanie po kłodach przetoczył się strumień ziemi i kamyków i spadł, podskakując, na kamienną podłogę.

- Nie dotykaj ścian - wyszeptał Johnny. - I nie zachowuj się głośno, bo wszystko się zawali.

Malin nic nie odpowiedział, ale odruchowo przysunął się do brata.

- Nie idź tak blisko! - syknął Johnny.

Posuwali się naprzód wzdłuż opadającego korytarza, po chwili Johnny krzyknął i szarpnął rękę. Zgasło światło, pogrążając ich w ciemnościach.

- Johnny? - krzyknął Malin, czując, jak ogarnia go panika. Złapał brata za ramię. - A co z kłutwą?

- Daj spokój, nie ma żadnej kłutwy - odszepnął pogardliwie Johnny. Rozległ się następny trzask, zapłonęła zapalniczka. - Nie martw się. Mam tu przynajmniej czterdzieści zapalek. I wiesz co? - Sięgnął do kieszeni, a potem odwrócił się w stronę Malina z wielkim spinaczem do papieru w ręku. Umocował w nim zapalniczkę. - Co ty na to? Koniec z poparzonymi palcami.

Tunel skręcał łagodnie w lewo, Malin zauważył, że dodające otuchy rogalikowate światełko na końcu korytarza znikło.

- Może powinniśmy wrócić po latarkę - powiedział. Nagle wąską komnatę wypełnił okropny dźwięk, głuchy pomruk, który zdawał się dochodzić z samego serca wyspy.

- Johnny! - krzyknął, chwytając znów brata. Dźwięk przeszedł w głębokie westchnienie, a ze sklepienia oderwał się następny kawał ziemi.

Johnny strząsnął jego rękę.

- Jezu, Malin. To tylko powracający przypływ. Zawsze tak hałasuje w Water Pit. Cicho bądź, powiedziałem przecież.

- Skąd wiesz? - zapytał Malin.

- Wszyscy to wiedzą.

Znów rozległo się zawodzenie, a potem zabulgotało, i jeszcze głośnie skrzypienie bali, które stopniowo ucichło. Malin przygryzł wargę, starając się opanować drzenie.

Kiedy zdążyli wypalić kilka zapalek, tunel skręcił pod ostrym kątem i zaczął opadać dużo bardziej stromo, sufit obniżył się, a ściany stały się bardziej porowate.

Johnny wyciągnął zapalniczkę w głąb przejścia.

- To tu - stwierdził. - Komnata ze skarbem znajduje się pewnie na samym dole.

- Sam nie wiem - powiedział Malin. - Może powinniśmy wrócić i powiedzieć o tym tacie.

- Żartujesz? - syknął Johnny. - Ojciec nienawidzi tego miejsca. Powiemy ojcu po wszystkim, jak już znajdziemy skarb.

Zapalił kolejną zapalniczkę i schylając głowę, wsunął ją w wąski tunel. Malin widział, że tym razem tunel nie jest wyższy niż jakieś cztery stopy. Popękane gałęzi podtrzymywały przeżarte przez korniki stropowe belki. Tutaj zapach pleśni był jeszcze intensywniejszy, zmieszany z zapachem wodorostów i czegoś gorszego.

- Będziemy musieli się czołgać - wymruczał Johnny, a przez moment zdawało się, że w jego głosie pobrzmiwa niepewność. Malin zatrzymał się i z nadzieją pomyślał, że wracają. Jednak Johnny rozprostował jeden koniec spinacza i złapał go zębami. Falujące cienie rzucane przez zapalną sprawiły, że wyglądał jak upiór z zapadniętą twarzą.

Tego było już za wiele.

- Nie idę ani kroku dalej - oznajmił Malin.

- Dobrze - odparł Johnny. - Możesz sobie zostać w tych ciemnościach.

- Nie! - Malin zaszlochał głośno. - Tata nas zabije. Johnny, błagam...

- Jak tata się dowie, jacy jesteśmy bogaci, będzie zbyt szczęśliwy, żeby się wściekać.

Zaoszczędzi całe dwa dolary tygodniowo na kieszonkowym.

Malin pociągnął kilka razy nosem i go wytarł. Johnny odwrócił się w wąskim korytarzu i położył rękę na głowie Malina.

- Hej - wyszeptał nieco delikatniej. - Jeśli teraz stchórzymy, może nigdy nie będziemy mieli drugiej takiej szansy. Więc bądź dobrym kumplem, dobra, Mai? - Zwichrzył bratu włosy.

- Dobra. - Malin pociągnął nosem.

Oparł się na rękach i kolanach i ruszył za Johnnym w dół, wzdłuż opadającego tunelu. Otoczaki i ziemia na podłodze tunelu wbijały mu się w dłonie. Johnny najwyraźniej wypalił masę zapalek i Malin bał się zapytać, ile ich jeszcze zostało. Jego brat nagle się zatrzymał.

- Przed nami coś jest - dobiegł go szept.

Malin spróbował dostrzec coś przez ramię brata, ale w tunelu było zbyt wąsko.

- Co to jest?

- To drzwi! - Johnny syknął niespodziewanie. - Mógłbym przysiąc, że to stare drzwi! -

Dalej przed nim sklepienie wyginało się, tworząc coś w rodzaju wąskiego przedsionka. Malin wyciągnął rozpaczliwie szyję, chcąc coś zobaczyć. Wreszcie spostrzegł rząd grubych desek z dwoma starymi metalowymi zawiasami, które były osadzone w przekroju tunelu. Po obu stronach drzwi ściany stanowiły spore, ociosane kamienne płyty. Wszystko pokrywała wilgoć i pleśń. Krawędzie drzwi uszczelniono czymś, co wyglądało na pakuły ze starych lin.

- Patrz! - krzyknął Johnny i wskazał na coś podniecony. Na drzwiach umocowana była wymyślna, tłoczona pieczęć z wosku i papieru z odcisniętym herbem. Nawet mimo grubej warstwy kurzu Johnny widział, że pieczęć była nienaruszona.

- Zapieczętowane drzwi! - wyszeptał Johnny pełnym respektu głosem. - Tak jak w książkach!

Malin czuł się jak we śnie, który był równocześnie wspaniały i przerażający. Naprawdę znaleźli skarb. I to był jego pomysł.

Johnny złapał za starą żelazną klamkę i zdecydowanie pociągnął. Zawiasy zareagowały ostrym skrzypieniem.

- Słyszałeś? - wydyszał. - Nie są zamknięte na klucz. Musimy tylko złamać tę pieczęć.

- Odwrócił się i podał pudełko z zapalnikami Malinowi, oczy miał szeroko otwarte.

- Będziesz zapalał zapalniczki, a ja pociągnę i otworzę drzwi. I odsuń się trochę, dobra?

Malin zajrzał do pudełka.

- Zostało tylko pięć! - krzyknął z przerażeniem.

- Och, zamknij się i rób, co ci mówię. Możemy wyjść stąd po ciemku, przysięgam.

Malin zapalił zapalniczkę, ale ponieważ drżały mu ręce, zapalniczka zamigotała i zgasła. Jeszcze tylko cztery - pomyślał, a Johnny wymamrotał coś zniecierpliwiony. Kolejna zapalniczka rozbłysła pełnym blaskiem i Johnny złapał obiema rękami za żelazną klamkę.

- Gotowy? - syknął, zapierając się nogami w pokrytej ziemią ścianie.

Malin otworzył usta, żeby zaprotestować, ale Johnny już ciągnął za drzwi. Pieczęć rozerwała się gwałtownie, a drzwi otwarły się z takim zgrzytem, że Malin aż podskoczył. Podmuchiuchającego powietrza zgasił delikatny płomień. W kompletnych ciemnościach Malin usłyszał, jak Johnny gwałtownie nabiera powietrza. Rozległ się jego krzyk: - Auuu! - Malinowi jednak zdawało się, że głos brata tak był pozbawiony tchu, tak przenikliwy, że zabrzmiał prawie obco. Malin usłyszał grzotnięcie i podłoga tunelu gwałtownie zadrżała. W ciemności posypał się deszcz ziemi i piasku, dostając się do oczu i nosa. Zdawało mu się, że usłyszał coś jeszcze: dziwny, zduszony odgłos, tak krótki, jak gdyby ktoś kaszlnął. A potem odgłos rżenia i jakby coś kapało z wyciskanej, mokrej gąbki.

- Johnny! - krzyknął Malin i podniósł ręce, żeby obetrzeć z twarzy kurz, jednak tak niezdarnie, że upuścił zapalniczkę. Wokół panowała niewyobrażalna ciemność. Nagle ogarnęła go panika. W pewnej chwili dosłyszał kolejny niski, przytłumiony odgłos. Dopiero po pewnym czasie Malin uzmysłowił sobie, co to było: miękki, nieprzerwany odgłos wleczenia...

Malin, na kolanach, zaczął szukać w ciemnościach zapalniczek, wykrzykując przy tym imię brata. Jedną ręką dotknął czegoś wilgotnego, odrzucił to, kiedy tylko drugą wyczuł pudełko z zapalnikami. Wyprostował się i dławiąc głęboki szloch, chwycił zapalniczkę, by gorączkowo pocierać o pudełko, aż wreszcie zapaliła się.

W nagłym blasku rozejrzał się dziko dookoła. Johnny zniknął. Drzwi były otwarte, pieczęć zerwana, jednak za drzwiami nie było nic, poza gładką kamienną ścianą. W powietrzu unosił się kurz.

Poczuł, że stoi w czymś mokrym, spojrzał w dół. W miejscu, gdzie przedtem był Johnny, znajdowała się teraz duża, czarna kałuża wody, pełzająca powoli w jego kierunku. Przez szaloną chwilę Malin pomyślał sobie, że może w tunelu jest jakiś wyłom i że przecieka przez niego morska woda. A potem zdał sobie sprawę, że w świetle płomienia zapalniczki kałuża lekko paruje. Zmusił się, żeby do niej podejść, i zobaczył, że ciecz nie jest czarna, ale czerwona: krew, więcej krwi, niż kiedykolwiek przypuszczał, że ludzkie ciało może pomieścić. Niemal sparaliżowany patrzył, jak połyskliwa kałuża robi się coraz większa, płynie strumykami przez zagłębienia w podłodze, przecieka przez pęknięcia, skrada się w kierunku jego mokrych tenisówek, otacza go niczym szkarłatna ośmiornica, aż wreszcie zapalniczka spadła w nią z ostrym sykiem i ponownie zapadła ciemność.

## 2

*Cambridge, stan Massachusetts, współcześnie*

Z okien małego laboratorium ponad liściastymi wierzchołkami klonów widać było skrzydło szpitala Mount Auburn, a za nim toczące się z wolna, ponure wody Charles River. Wioślarz w przypominającym igłę kadłubie pruł powierzchnię rzeki, mocno uderzając w wodę wiosłami i zostawiając za sobą lśniący kilwater. Malin Hatch obserwował go, oczarowany przez chwilę idealnym zsynchronizowaniem ciała, łódki i wody.

- Doktorze Hatch? - rozległ się głos laboratoryjnego asystenta. - Kolonie są przygotowane. - Asystent wskazał na piszczący inkubator.

Hatch odwrócił się od okna, czar prysł. Stłumił falę poirytowania, w końcu asystent miał dobre zamiary.

- Wyjmijmy pierwszą warstwę i przyjrzyjmy się tym małym gnojkom - powiedział.

W charakterystyczny dla siebie, nerwowy sposób Bruce otworzył inkubator i wydobyl z niego sporą tacę talerzyków z pożywką dla bakterii. Na środku talerzyków rosły, błyszczące niczym monety, ich kolonie. Te były akurat stosunkowo niegroźne - nie wymagały specjalnych środków ostrożności, innych niż standardowe procedury dotyczące sterylności - ale Hatch z niepokojem obserwował asystenta, który wywijał dzwoniącą tacą, by wreszcie postawić ją z brzękiem na naczyniu do gotowania pod ciśnieniem.

- Ostrożnie z tym - powiedział Hatch. - Bo inaczej w Whovillen będzie dziś wieczorem wesoło.

Asystent niepewnie poprawił tacę.

- Przepraszam - odezwał się zmieszany, zrobił krok w tył i wytarł ręce w laboratoryjny fartuch.

Hatch spojrział na tacę. Rzędy drugi i trzeci pokazywały zadowalający wzrost, rzędy pierwszy i czwarty zmienny, piąty zaś był sterylny. Od razu zdał sobie sprawę, że eksperyment się powiódł. Wszystko przebiegało zgodnie z założeniami - za miesiąc opublikuje kolejny imponujący artykuł w „New England Journal of Medicine” i wszyscy po raz kolejny będą gadać, jaka to z niego wschodząca gwiazda wydziału.

Ta perspektywa wypełniła go uczuciem pustki.

Roztargniony, przekręcił szkło powiększające, by dokładniej zbadać poszczególne kolonie. Robił to już wcześniej tyle razy, że był w stanie zidentyfikować szczepy, tylko na nie patrząc, porównując fakturę i wzory wzrostu. Po kilku chwilach odwrócił się do biurka,

odsunął klawiaturę komputera i przystąpił do sporządzania notatek w swoim laboratoryjnym notesie.

Zahuczał intercom.

- Bruce? - mruknął Hatch, nie przerywając bazgrania. Bruce podskoczył, posyłając przy okazji notatnik z trzaskiem na posadzkę. Wrócił po minucie.

- Gość - powiedział zdawkowo.

Hatch poprawił wielkie okulary. W laboratorium goście należeli do rzadkości. Jak większość lekarzy, adres i telefon jego laboratorium podał tylko kilku nielicznym wybrańcom.

- Mógłbyś sprawdzić, czego chce? - zapytał Hatch. - O ile to nic pilnego, odeślij go do mojego biura. Dzisiaj dyżuruje doktor Winslow.

Bruce znów znikł, w laboratorium zapadła cisza. Wzrok Hacha jeszcze raz podryfował w kierunku okna. Strumienie popołudniowego słońca wpadały do środka, rozsiewając wśród probówek i aparatów laboratoryjnych złoty deszcz. Z wysiłkiem zmusił się do ponownego skupienia uwagi na notatkach.

- To nie pacjent - powiedział Bruce, wpadając znów do laboratorium. - Mówi, że będzie pan chciał się z nim zobaczyć.

Hatch podniósł wzrok. Pewnie naukowiec ze szpitala - pomyślał. Wziął głęboki wdech.

- W porządku. Przyrowadź go.

Minutę później w zewnętrznym laboratorium rozległy się kroki. Malin spojrział. W drzwiach stała wpatrująca się w niego szczupła postać. Zachodzące słońce padało prosto na mężczyznę, oświetlając opaloną i napiętą skórę jego przystojnej twarzy, załamując się w zagłębieniach szarych oczu.

- Gerard Neidelman - powiedział nieznajomy niskim, poważnym tonem.

Z taką opalenizną na pewno nie ślęczy nad probówkami czy na szpitalnym oddziale - pomyślał sobie Hatch. Pewnie jakiś specjalista, ma sporo czasu na golfa.

- Proszę wejść, doktorze Neidelman - powiedział.

- Kapitanie - odpowiedział mężczyzna. - Nie jestem lekarzem. Wchodząc, wyprostował się, a Hatch od razu zdał sobie sprawę, że tytuł ten nie był wyłącznie honorowy. Już sam sposób, w jaki się poruszał, ze schyloną głową, z ręką opartą na górnej części framugi, wskazywał wyraźnie, że mężczyzna spędził życie na morzu. Hatch domyślił się, że nie był stary - miał może czterdzieści pięć lat - natomiast te zmrużone oczy i szorstka skóra

należały do żeglarza. Była w nim jakaś obcość, coś niemal nie z tego świata, aura ascetycznej intensywności, coś, co go zaintrygowało.

Hatch przedstawił się, a jego gość podszedł i wyciągnął rękę. Dłoń była sucha i lekka, uścisk krótki i zdecydowany.

- Czy możemy porozmawiać sami? - zapytał cicho mężczyzna.

Bruce znów się odezwał.

- Co mam zrobić z tymi koloniami, doktorze Hatch? Nie powinno się ich zostawiać zbyt długo na...

- A może włożyłbyś je do lodówki? Nogi nie urosną im jeszcze przez najbliższe kilka miliardów lat.

Hatch rzucił okiem na zegarek, a potem zwrócił uwagę na baczne spojrzenie mężczyzny. Szybko podjął decyzję.

- A sam możesz iść do domu, Bruce. Zapiszę, że byłeś do piątej. Tylko się nie wygadaj profesorowi Alvarezowi.

Bruce odpowiedział mu uśmiechem.

- W porządku, doktorze Hatch. Dzięki.

Po chwili w pokoju nie było już ani Bruce'a, ani kolonii, a Hatch skierował swoją uwagę na tajemniczego gościa, który podszedł do okna.

- Czy to tutaj spędza pan większość czasu, pracując, doktorze? - zapytał, przekładając skózaną teczkę do drugiej ręki. Był tak chudy, niemal przezroczysty, a przecież emanowała z niego nieopisana pewność siebie.

- Tutaj wykonuję niemal całą pracę.

- Śliczny widok - mruknął Neidelman, wyglądając przez okno.

Hatch obserwował plecy mężczyzny, trochę zdziwiony tym, że nie czuł się obrażony takim najściem. Pomyślał, że mógłby właściwie zapytać, po co tamten się tu zjawiał, postanowił jednak tego nie robić. Coś mu mówiło, że Neidelman nie pojawił się w błahej sprawie.

- Woda w rzece jest taka ciemna - stwierdził kapitan. „Daleko stąd toczy się powolny i cichy strumień Lethe, rzeki zapomnienia”. - Odwrócił się. - Rzeka stanowi symbol niepamięci, prawda?

- Nie pamiętam - odparł Hatch obojętnie, choć zrobił się czujniejszy. Czekał.

Kapitan uśmiechnął się i odsunął od okna.

- Pewnie się pan zastanawia, w jakim celu wtargnąłem do pańskiego laboratorium. Czy mogę poprosić o poświęcenie mi kilku minut?



- A nie poświęciłem ich jeszcze? - Hatch wskazał puste krzesło. - Proszę usiąść. Na dzisiaj prawie skończyłem, a ten ważny eksperyment, nad którym właśnie pracowałem - machnął nieznacznie ręką w stronę inkubatora - jest... jakby to powiedzieć? Nudny.

Neidelman uniósł brew.

- Pewnie nie wytrzyma porównania z emocjami walki z epidemią zaraźliwej gorączki z wysypką i ostrymi bólami stawów, jaka występuje w Amazonii.

- Raczej nie - odpowiedział po chwili Hatch. Mężczyzna uśmiechnął się.

- Czytałem artykuł w „Globe”.

- Dziennikarze nigdy nie dopuszczają, żeby fakty popsuły im dobrą historię. Nie było to w połowie tak podniecające, jak mogłoby się wydawać.

- I dlatego pan wrócił?

- Miałem dość widoku moich pacjentów umierających z powodu braku zastrzyku z antybiotykiem za pięćdziesiąt centów. - Hatch rozłożył ręce w fatalistycznym geście. - Więc czy to dziwne, że chciałem tu wrócić? Życie na Memorial Drive wydaje się w porównaniu z tamtym raczej proste. - Urwał nagle i popatrzył na Neidelmana, zastanawiając się, dlaczego tak się przy nim rozgadał.

- W artykule napisali też o pana podróżach do Sierra Leone, na Madagaskar i Komory - ciągnął Neidelman. - Ale pewnie teraz w pana życiu przydałoby się nieco zamieszania?

- Proszę się nie przejmować moim gderaniem - odparł Hatch i miał nadzieję, że powiedział to lekkim tonem. - Nieco nudy od czasu do czasu działa na duszę niczym balsam.

- Przeniósł wzrok na skórzaną teczkę Neidelmana. Na skórze wytłoczone zostały jakieś insygnia, ale nie umiał ich rozszyfrować.

- Być może - zabrzmiała odpowiedź. - Odnoszę wrażenie, że odwiedził pan w ciągu minionych dwudziestu pięciu lat każde miejsce na kuli ziemskiej. Z wyjątkiem Stormhaven, w Maine.

Hatch zamarł. Poczł, jak drętwieją mu najpierw palce, a potem całe ramiona. Nagle wszystko stało się jasne: zawołane pytania, żeglarskie doświadczenie, poważny wzrok.

Neidelman stał bez ruchu, przyglądając się bacznie Hatchowi, nic nie mówiąc.

- Ach - powiedział Hatch, z trudem starając się odzyskać równowagę. - I pan, kapitanie, dysponuje receptą na rozwianie mojej nudy.

Neidelman skinął głową.

- Niech zgadnę. Czy ten sposób, jakimś dziwnym trafem, nie wiąże się czasem z Ragged Island? - Drgnięcie na twarzy Neidelmana potwierdziło słuszność jego domysłów.

- A pan, kapitanie, jest poszukiwaczem skarbów. Mam rację? Opanowanie, wrażenie spokojnej pewności siebie, nie opuszczało twarzy Neidelmiana ani na moment.

- Wolimy określenie „specjalista do spraw odzyskiwania”.

- Każdy ma dziś jakiś eufemizm na własny użytek. Specjalista od odzyskiwania. Coś w rodzaju „sanitarnego inżyniera”. Chce pan kopać na Ragged Island. I proszę pozwolić mi zgadnąć: Teraz mi pan powie, że to właśnie pan, i tylko pan, wie, w czym tkwi sekret szybu Water Pit.

Neidelman stał spokojnie i milczał.

- Wcale nie wątpię, że dysponuje pan też jakimś zaawansowanym technologicznie tajemniczym urządzeniem, które wskaże miejsce, w którym ukryto skarb. A może pozyskał pan do współpracy Madame Sosostriś, słynną wróżkę?

Neidelman nie zmienił pozycji.

- Wiem, że przychodzili już do pana w tej sprawie - odezwał się.

- No to wie pan też, jaki spotkał ich wszystkich los. Róźdźkarze, media, naftowi baronowie, inżynierowie, a każdy z niezawodnym planem.

- Ich plany może miały słabe punkty - odparł Neidelman. - Ale ich marzenia nie. Wiem, jaka tragedia dotknęła pana rodzinę po tym, jak pana dziadek kupił wyspę. Ale jego serce kierowało się trafnym przecuciem. Tam rzeczywiście jest olbrzymi skarb. Wiem to.

- Oczywiście, że pan wie. Wszyscy wiedzieli. Ale jeśli pan sądzi, że stanowi pan wcielenie samego Reda Neda, czuję się w obowiązku zawiadomić pana, że było tu już kilku takich. A może zakupił pan jedną z tych wyglądających na stare map prowadzących prosto do skarbu, jakie od czasu do czasu można znaleźć na wyprzedazy w Portland. Kapitanie Neidelman, wiara nie sprawi, że wszystko to okaże się prawdą. Nigdy nie było i nigdy nie będzie żadnego skarbu na Ragged Island. Żal mi pana, naprawdę. A teraz, może zechce pan wyjść, zanim zawołam strażnika, przepraszam, specjalisty od ochrony, żeby odprowadził pana do wyjścia.

Ignorując ostatnie słowa, Neidelman wzruszył ramionami i nachylił się nad biurkiem.

- Nie proszę, żeby mi pan uwierzył na słowo.

W geście wzruszenia ramion kapitana było tak dużo pewności siebie, coś tak zupełnie neutralnego, że Hatch poczuł, jak wzbiera w nim fala nowego gniewu.

- Gdyby zdawał pan sobie sprawę z tego, ile razy słyszałem tę samą opowieść, wstydziliby się pan tu pokazywać. Czym pan się różni od pozostałych?

Neidelman sięgnął do skórzanej teczki, wyciągnął pojedynczą kartkę papieru i bez słowa przesunął ją przez biurko.

Hatch spojrział na dokument, nie biorąc go do ręki. Był to potwierdzony notarialnie wyciąg ze sprawozdania finansowego, stwierdzający, że firma pod nazwą Thalassa Holdings Ltd. zebrała określoną kwotę w celu stworzenia Korporacji Rekultywacji Ragged Island. Kwota opiewała na dwadzieścia dwa miliony dolarów.

Hatch podniósł wzrok znad dokumentu, spojrział znów na Neidelmmana i wybuchnął śmiechem.

- Więc miał pan faktycznie dość czelności, by zebrać te pieniądze, zanim jeszcze poprosił mnie pan o zgodę na cokolwiek? Natrafił pan chyba na dość miękkich inwestorów.

Raz jeszcze na twarzy Neidelmmana pojawił się ten sam uśmiech, stanowiący chyba jego znak rozpoznawczy: powściągliwy, świadczący o wierze we własne siły, nieprzystępny, ale i nie arogancki.

- Doktorze Hatch, miał pan wszelkie prawo, by przez ostatnie dwadzieścia lat pokazywać poszukiwaczom skarbów drzwi. Doskonale pana rozumiem. Wszyscy byli niedofinansowani, nie dość przygotowani. Ale oni sami nie byli jedynym problemem.

Problem tkwi też w panu. - Znów się nachylił. - Oczywiście, nie znam pana dobrze, ale wyczuwam, że po ponad ćwierćwieczu niepewności być może jest pan wreszcie gotowy, by dowiedzieć się, co się naprawdę stało z pana bratem.

Neidelman zamilkł na moment, nie spuszczając wzroku z Hacha. Po chwili podjął, mówiąc tak cicho, że prawie nie było go słychać.

- Wiem, że nie interesuje pana finansowa gratyfikacja. I rozumiem, jak bardzo zniechęcił pan tę wyspę. Dlatego przychodzę do pana, gdy wszystko jest już przygotowane. Thalassa jest najlepsza na świecie w tej branży. Dysponujemy sprzętem, o jakim pana dziadek mógł tylko marzyć. Wycarterowaliśmy statki. Mamy nurków, archeologów, inżynierów, lekarza ekspedycji, wszyscy w pełnej gotowości czekają na sygnał. Jedno pana słowo, a obiecuję, że w ciągu miesiąca Water Pit ugnie się i zdradzi nam swój sekret. Wiemy o nim wszystko. - Słowo „wszystko” wyszeptał ze szczególnym naciskiem.

- Dlaczego po prostu nie zostawić go w spokoju? - mruknął Hatch. - Niech sobie zatrzyma swoje sekrety.

- To, doktorze Hatch, nie leży w mojej naturze. A w pana?

W ciszy, która zapadła, odległe dzwony kościoła Świętej Trójcy wybiły piątą. Cisza przeciągnęła się o kolejną minutę, potem dwie, następnie pięć.

W końcu Neidelman zabrał dokument z biurka i włożył na powrót do teczki.

- Pana milczenie jest wystarczająco wymowne - stwierdził cicho, bez śladu nienawiści. - Zabrałem już dość pana czasu. Jutro poinformuję naszych współników, że

odrzucił pan naszą ofertę. Miłego dnia, doktorze Hatch. - Wstał z zamiarem wyjścia, by tuż przed drzwiami zatrzymać się i nieznacznie odwrócić.

- Jest coś jeszcze. Odpowiadając na pana pytanie, owszem, jest coś, co odróżnia nas od pozostałych. Odkryliśmy pewną informację dotyczącą szybu Water Pit, coś, o czym nie wie nikt inny. Nawet pan.

Śmiech zamarł Hatchowi w gardle, kiedy zobaczył wyraz twarzy Neidelmiana.

- Wiemy, kto go zaprojektował - powiedział cicho kapitan.

Hatch poczuł, jak bezwiednie sztywnieją mu palce, jak jego dłonie same się zaciskają.

- Co? - zachrypiał.

- Tak. I jest coś jeszcze. Posiadamy dziennik, który prowadził w czasie budowy.

W ciszy, która nagle zapadła, Hatch wziął głęboki wdech, potem jeszcze jeden. Spojrzał w dół na biurko i potrząsnął głową.

- Pięknie. - Tylko tyle zdołał powiedzieć. - Po prostu pięknie. Jak widzę, nie doceniłem pana. Po tych wszystkich latach wreszcie usłyszałem coś oryginalnego. Sprawił mi pan dziś prawdziwą niespodziankę, kapitanie Neidelman.

Ale Neidelmiana już nie było, Hatch zdał sobie sprawę, że gadał do pustego pokoju.

Dopiero po upływie kilku minut zdołał podnieść się zza biurka. Wrzucając drżącymi rękami ostatnie notatki do aktówki, zauważył, że Neidelman zostawił wizytówkę. Widniał na niej dopisany odręcznie numer telefonu, pewnie do hotelu, w którym się zatrzymał. Hatch wrzucił wizytówkę do kosza na śmieci, wziął aktówkę i wyszedł z laboratorium. Ruszył żwawym krokiem w kierunku miasta, przez spowite letnim zmrokiem ulice, do domu.

Mniej więcej o drugiej nad ranem był już z powrotem w laboratorium. Przemaszerował przed ciemnym oknem, ściskając w garści wizytówkę Neidelmiana. O trzeciej podniósł słuchawkę telefonu.

### 3

Hatch zaparkował powyżej mola i powoli wysiadł z wynajętego samochodu. Zamknął drzwiczki i przystanął, żeby popatrzeć na port. Jedną ręką nadal ścisnął klamkę. Jego oczom ukazała się cała zatoczka, długa, wąska, zwieńczona granitowym wybrzeżem, pocętkowana łodziami do połowu homarów i ciągnięcia włók, skąpiana w zimnym, srebrnym świetle. Choć minęło dwadzieścia pięć lat, Hatch rozpoznał wiele z ich nazw: „Lola B”, „Maybelle W”.

O uroku niedużego miasteczka Stormhaven położonego na wzgórzu stanowiły wąskie domy kryte gontem, ustawione wzdłuż zygzaków ścieżek z okrągłych kamyczków. Im wyżej, tym domów było coraz mniej, zamiast nich rosły czarne świerki i rozciągały się nieduże łąki otoczone kamiennymi murkami. Na samym szczycie wzgórza wznosił się kościół kongregacji z surową, białą, strzelistą wieżą jaśniejącą na tle szarego nieba. Po drugiej stronie zatoczki dostrzegł swój dom rodzinny z czterema szczytami i promenadą okien widocznych ponad linią drzew, długą ławkę schodzącą do brzegu i małe molo. Szybko odwrócił się, czując, jak gdyby zamiast niego stał tu jakiś obcy człowiek.

Ruszył w kierunku mola, wkładając po drodze słoneczne okulary. Okulary oraz jego własne wewnętrzne wzburzenie sprawiły, że zrobiło mu się trochę głupio. Czuł więcej obaw teraz niż w wiosce Raruana, pełnej ciał zainfekowanych gorączką, czy w czasie wybuchu dżumy w Sierra Madre Occidental.

Molo stanowiło jedno z dwóch handlowych nabrzeży, które wchodziły w głąb portu. Wzdłuż jednego z nich stał rząd małych drewnianych domków: była tam spółdzielnia połowiaczy homarów, bar „Red Ned’s Eats”, baraki na przynęty i szopy na osprzęt. Przy końcu mola stał z kolei zardzewiały dystrybutor, kołowroty do załadunku i stosy schnących koszy na homary. Za wejściem do portu widać było niski brzeg utkany z mgły w miejscu, gdzie morze niepostrzeżenie zlewało się z niebem. Zdawało się wręcz, że sto jardów od brzegu kończył się świat.

Budynek spółdzielni z dachem zwieńczonym gontem był pierwszym budynkiem na molo. Słup pary wydobywający się z blaszanej rury podpowiadał, że w środku przebywali rybacy. Hatch zatrzymał się przy zapisanej kredą tablicy, przeglądając ceny różnych rodzajów homarów: bez skorup, w skorupach, młodych, przebranych i wybrakowanych. Zajrzał przez chropowatą okienną szybę na rząd kuwet wypełnionych odurzonymi homarami, dopiero co wyciągniętymi z głębokiej wody. W osobnym akwarium pływał pojedynczy okaz, wystawiony na pokaz błękitny homar, prawdziwa rzadkość.

Malin odsunął się od okna, kiedy rybak w wysokich kaloszach i sztormiaku przetoczył z hałasem po molo taczkę z gnijącymi przynętami. Rybak zatrzymał się pod stojącym na nabrzeżu kołowrocie, przywiązał do niego taczkę i spuścił ją do czekającej na dole łodzi, wykonując czynności, którym Malin przyglądał się w dzieciństwie nieskończenie wiele razy. Rozległy się okrzyki, potem nagły warkot Diesla i łódź odbiła od nabrzeża, kierując się na pełne morze, ścigana przez hałaśliwe gromady mew. Patrzył, jak łódź znika, rozplywając się niczym widmo w podnoszącej się mgłę. Niedługo będzie można zobaczyć wyspy położone w pobliżu. Już teraz widać było, jak z mgieł wyłania się Burnt Head, wielki grzbiet granitowej skały spoczywającej w wodzie na południe od miasta. Morska piana bulgotała i szamotała się u jej podnóża, niesiona przez nikłe szepty fal. Na szczycie urwiska, otoczona krzakami janowca i niskimi pękami czarnych jagód wznosiła się latarnia morska z ociosanych kamieni, a jej czerwone i białe pasy oraz miedziana kopuła urozmaicały kolorowym akcentem monochromatyczną mgłę. Gdy Malin stał tak na końcu mola, wdychając zapach mieszaniny rybiej przynęty i spalin silnika na ropę, jego system obronny - starannie pielęgnowany przez całe ćwierć wieku - zaczął pękać. Przeszłość wróciła, a wszechogarniające, słodko-gorzkie uczucie ścisnęło mu pierś. Był w miejscu, którego nie spodziewał się już nigdy oglądać. Tak wiele zmieniło się w nim samym, a tak niewiele zmieniło się tutaj. Starał się z całej siły powstrzymać cisnące się do oczu łzy.

Za jego plecami trzasnęły drzwiczki samochodu. Obejrzał się - z jeepa international scout wysiadł Gerard Neidelman i ruszył wzdłuż mola, wyprostowany, w doskonałym humorze, niczym stalowa sprężyna na nogach. Z fajki z wrzośca, którą trzymał w zębach, wydobywał się dym, w oczach lśniło kontrolowane, choć bardzo wyraźnie widoczne, podniecenie.

- Dziękuję, że mogliśmy się tu spotkać - powiedział, wyjmując fajkę i ujmując rękę Hatcha. - Mam nadzieję, że nie sprawiło to panu zbyt wiele kłopotu.

Zawahał się nieco, wypowiadając ostatnie słowo i Hatch zaczął się zastanawiać, czy kapitan odgadł, czym się kierował, chcąc obejrzeć miasto i wyspę, zanim na cokolwiek się zgodzi.

- Żaden kłopot - odparł Hatch chłodno, odpowiadając krótkim uściskiem dłoni.

- I gdzież to jest nasza dobra stara łódź? - zapytał Neidelman, spoglądając przez zmrużone oczy na port, szacując wszystko powolnym spojrzeniem.

- To „Plain Jane”, tam stoi. Neidelman spojrzał.

- Aaa. Solidna łódź do połowu homarów. - I zmarszczył brwi. - Nie widzę bączka na holu. Jak wylądujemy na Ragged Island.

- Bączek jest przy pomoście - odparł Hatch. - Ale nie będziemy schodzić na ląd. Nie ma tam naturalnej zatoki. Większa część wyspy jest otoczona wysokimi klifami, więc i tak nie zdołalibyśmy dużo zobaczyć ze skał. A poza tym sama wyspa jest zbyt niebezpieczna, by po niej wędrować. Lepiej oceni pan sytuację z wody. - A tak w ogóle - pomyślał sobie - ja sam na pewno nie jestem jeszcze gotowy, żeby zejść na tę wyspę.

- Zrozumiano - powiedział Neidelman, wkładając fajkę na powrót między zęby i spoglądając w niebo. - Mgła zaraz się podniesie. Wiatr południowo-zachodni, spokojne morze. Najgorsze, czego możemy się spodziewać, to deszcz. Doskonale. Nie mogę się już doczekać pierwszego spotkania, doktorze Hatch.

Hatch rzucił mu ostre spojrzenie.

- Chce pan powiedzieć, że nigdy pan tam nie był?

- Ograniczyłem się do map i badań teoretycznych.

- Sądziłem, że człowiek taki jak pan odbył swoją pielgrzymkę już całe lata temu. Kiedyś łapaliśmy tu całe stada wariatów podziwiających widoki wokół wyspy, niektórzy nawet podejmowali próby zejścia na ląd. Jestem przekonany, że ta praktyka nie zanikła.

Neidelman obrzucił Hacha zimnym spojrzeniem.

- Nie chciałem jej oglądać, nie będąc pewnym, że będziemy mieli szansę na niej kopać. - Ze słów emanowała spokojna siła.

Na końcu mola znajdował się trzęsący się trap, po którym zeszli w dół, na pływający pomost. Hatch odcumował bączka „Plain Jane” i złapał za rozrusznik.

- Zatrzymał się pan w mieście? - zapytał Neidelman, schodząc zwinnie do łódeczki i zajmując miejsce na dziobie.

Hatch potrząsnął głową, zapalając równocześnie silnik.

- Zarezerwowałem sobie pokój w motelu w Southport, kilka mil dalej, wzdłuż linii wybrzeża.

Nawet wynajęcie łodzi zaaranżował przez pośrednika. Nie był jeszcze gotów, by dać się tu komukolwiek rozpoznać.

Neidelman skinął głową, patrząc ponad ramionami Hacha w kierunku lądu. Płynęli w stronę swojej łodzi.

- Piękne miejsce - stwierdził, zręcznie zmieniając temat.

- Tak - odparł Hatch. - Pewnie tak. Może przybyło kilka nowych letnich domów, i jest też pensjonat, ale poza tym Stormhaven ominęły większe zmiany.

- Niewątpliwie leży zbyt na północy, za daleko od ubitego szlaku.

- To też - odparł Hatch. - Ale wszystko tutaj takie oryginalne i pełne czaru. Te stare drewniane łodzie, zniszczone deszczem i słońcem szopy, powyginane pomosty to w rzeczywistości skutek ubóstwa. Nie sądzę, aby Stormhaven kiedykolwiek zdołało podnieść się po załamaniu z czasów wielkiego kryzysu.

Podpłynęli do „Plain Jane”. Neidelman wskoczył na pokład łodzi, Hatch przywiązał mniejszą łódkę do rufy. Wdrapał się na pokład i z ulgą stwierdził, że silnik Diesla zaskoczył po pierwszym zakręceniu korbą, odpowiadając miłym, gładkim dudnieniem. Może i jest stara - pomyślał sobie, z łatwością wyprowadzając łódź z portu. - Ale dobrze o nią dbano. Po wypłynięciu ze strefy portowej Hatch dodał gazu i „Plain Jane” skoczyła do przodu, tnąc łagodne fale. Nad nimi słońce usiłowało przebić się przez warstwę chmur spowijających niebo, żarząc się w resztkach mgły niczym zimna lampa. Hatch spojrzał w kierunku południowo-wschodnim, za kanał Old Hump, ale nie był w stanie nic dostrzec.

- Będzie zimno - stwierdził, zerkając na koszulę z krótkimi rękawami, którą miał na sobie Neidelman.

Neidelman odwrócił się i uśmiechnął.

- Jestem przyzwyczajony.

- Nazywa się pan kapitanem - powiedział Hatch. - Służył pan w marynarce wojennej?

- Tak. - Zabrzmiała odpowiedź. - Kapitanem poławiacza min krążącego po delcie Mekongu. Po wojnie kupiłem sobie drewniany trałowiec z Nantucket i poławiałem dla Georges Bank przegrzebki i fladry. - Popatrzył przez zmrużone oczy na morze.

- To praca na tym trałowcu sprawiła, że zainteresowałem się poszukiwaniem skarbów.

- Naprawdę? - Hatch sprawdził kompas i poprawił kurs. Spojrzał na licznik godzinowy silnika. Ragged Island leżała sześć mil od stałego lądu - będą na miejscu za dwadzieścia minut.

Neidelman skinął głową.

- Pewnego pięknego dnia z siecią wyciągnęliśmy wielką bryłę porośniętą koralowcem. Mój pomocnik uderzył w nią włócznią na merlina, a bryła otworzyła się niczym ostryga. W środku, niczym w gniazdku, siedziała sobie mała, siedemnastowieczna holenderska srebrna szkatułka. Tak zaczęło się moje pierwsze polowanie na skarby. Poszperałem trochę w starych dokumentach i doszedłem do wniosku, że musieliśmy ciągnąć sieci nad miejscem zatonięcia „Cinq Ports”, trójmasztowca dowodzonego przez francuskiego kapra Charlesa Dampiera. Sprzedałem więc swoją łódź, założyłem firmę, zebrałem kapitał w wysokości miliona dolarów, i od tego się zaczęło.

- Ile pan wtedy odzyskał? Neidelman lekko się uśmiechnął.



- Tylko ponad dziewięćdziesiąt tysięcy w monetach, porcelanie i zabytkowych przedmiotach. Była to lekcja, której nigdy nie zapomniałem. Gdybym potrudził się trochę i poszperał dokładniej, znalazłbym wykazy ładunków holenderskich statków, na które napadał Dampier. Przeważnie były to statki przewożące drewno, węgiel i rum. - Z zadumą wypuścił kłąb dymu z fajki. - Nie wszyscy piraci byli równie zdolni jak Red Ned Ockham.

- Pewnie poczuł się pan zawiedziony, co najmniej jak chirurg, który spodziewa się raka, a znajduje tylko kamienie żółciowe.

Neidelman spojrzał na niego.

- Chyba można to tak określić.

Zamilkli. Łódź niosła ich na pełne morze. Ostatnie kosmyki mgły znikły i Hatch widział już wyraźnie wyspy Hermit i Wreck, zielone garby gęsto porośnięte świerkami. Już niedługo Ragged Island znajdzie się w zasięgu wzroku. Rzucił okiem na Neidelmana, cały czas patrząc w skupieniu w kierunku ukrytej wyspy. Nadeszła pora.

- Dość już sobie pogawędziliśmy - powiedział cicho. - Chciałbym dowiedzieć się czegoś o człowieku, który zaprojektował Water Pit.

Neidelman przez chwilę nic nie mówił, a Hatch czekał.

- Przykro mi, doktorze Hatch - odezwał się Neidelman.

- Powinienem był wyjaśnić tę kwestię już w pana biurze. Całe nasze dwudziestodwumilionowe przedsięwzięcie bazuje na zdobytej przez nas informacji.

Hatch poczuł, jak nagle ogarnia go złość.

- Cieszę się, że tak pan mi wierzy.

- Rozumie pan, w jakiej jesteśmy sytuacji - zaczął Neidelman.

- Pewnie, że rozumiem. Boicie się, że skradnę wam zdobytą przez was informację, sam wykopię skarb i zostawię was z kwitkiem.

- Trudno byłoby mi lepiej to ująć - stwierdził Neidelman.

- Tak.

Zapadła chwila ciszy.

- Doceniam pańską bezpośredniość - powiedział Hatch.

- I co pan na taką odpowiedź? - Ostro skrzył sterem na ster-burtę.

Neidelman popatrzył na niego z zaciekawieniem, zaciskając silniej dłonie na burcie.

Hatch skrzył o prawie sto osiemdziesiąt stopni, skierował „Plain Jane” z powrotem do portu i dodał gazu.

- Doktorze Hatch? - odezwał się Neidelman.

- Sprawa jest prosta - powiedział Hatch. - Albo opowie mi pan o tym swoim tajemniczym znalezisku i zdoła mnie przekonać, że nie jest pan tylko kolejnym świrem, albo nasza mała wycieczka skończy się w tym miejscu.

- Może, gdyby zechciał pan podpisać umowę o niejawności...

- Na rany Chrystusa! - krzyknął Hatch. - Jest nie tylko wilkiem morskim, ale i cholernym morskim prawnikiem. Jeśli mamy zostać współnikami - a coraz mniejsze widzę na to szanse - musielibyśmy sobie ufać. Uścisknę pana dłoń i dam moje słowo, i to wystarczy, albo straci pan wszelką nadzieję na kopanie kiedykolwiek na tej wyspie.

Neidelman nigdy nie tracił opanowania, teraz też się uśmiechnął.

- Uścisk dłoni. Jak oryginalnie.

Hatch utrzymywał stałą prędkość, silnik pracował, do brzegu było coraz bliżej. Płynęli po resztkach śladów własnego kil watem. Stopniowo wyłaniało się ciemne urwisko wyspy Burnt Head, coraz bardziej wyraźne, za którym widać już było dachy domów.

- W takim razie niech będzie - odparł łagodnie Neidelman. - Proszę zawrócić łódź. Oto moja ręka.

Wymienili uścisk dłoni. Hatch wrzucił luz i pozwolił „Plain Jane” płynąć siłą impetu. W końcu znów wrzucił bieg, skierował łódź na morze, stopniowo przyspieszając raz jeszcze w kierunku ukrytych skał Ragged Island.

Minął jakiś czas, Neidelman spoglądał na wschód, pykając z fajki i zdawał się pogrążony w głębokich rozmyślaniach. Hatch rzucił na kapitana ukradkowe spojrzenie, zastanawiając się, czy aby nie stosował jakiejś taktyki, chcąc odwlec wyjawienie tajemnicy.

- Był pan w Anglii, prawda, doktorze Hatch? - Neidelman w końcu przemówił.

Hatch skinął głową.

- Śliczny kraj. - ciągnął Neidelman tak chłodno, jak gdyby wspominał jakąś nieprzyjemną rzecz. - A zwłaszcza, jeśli chodzi o mój gust, północ. Był pan kiedyś w Houndsbury? To czarujące małe miasteczko w typie Cotswolds, ale w sumie raczej niepozorne, jeśli nie liczyć znakomitej katedry. A może odwiedził pan kiedyś Whitstone Hall w Górach Pennińskich? Siedzibę rodziny księcia Wessex?

- Tę słynną? Zbudowaną jak opactwo? - zapytał Hatch.

- Właśnie. Oba budynki stanowią cudowne przykłady siedemnastowiecznej architektury kościelnej.

- To cudownie - zawtórował Hatch z sarkazmem. - I co?

- Oba zostały zaprojektowane przez sir Williama Macallana. Człowieka, który zaprojektował też Water Pit.

- Zaprojektował?

- Tak. Macallan był wielkim architektem, być może największym w Anglii, obok Sir Christophera Wrena. Ale był o wiele bardziej interesującym człowiekiem. - Neidelman nadal spoglądał na wschód. - Oprócz budowli i pracy przy Old Battersea Bridge zostawił po sobie monumentalne dzieło na temat architektury kościelnej. Kiedy przepadł na morzu w tysiąc sześćset dziewięćdziesiątym szóstym roku, świat stracił w jego osobie prawdziwego wizjonera.

- Zaginął na morzu? Napięcie rośnie.

Neidelman zacisnął usta i Hatch zaczął się zastanawiać, czy wreszcie przejdzie do sedna.

- Tak. To była tragedia. Tylko że... - Odwrócił się do Hacha. - Tylko że oczywiście wcale nie zginął na morzu. W zeszłym roku odkryliśmy jego dzieło, traktat. Na marginesach coś było, jakby plamy i odbarwienia. Nasze laboratorium zdołało potwierdzić, że te odbarwienia to tak naprawdę notatki spisane sympatycznym atramentem. Zapiski ujawniły się światu dopiero teraz, na skutek działania czasu. Analiza chemiczna wykazała, że jako atrament posłużył związek organiczny, otrzymany z octu i białych cebul. Dalsza analiza określiła datę powstania owych „plam” na około tysiąc siedemsetny rok. Atrament sympatyczny był wtedy znany.

- Niewidzialny atrament? Naczytał się pan za dużo powieści przygodowych.

- Atramenty tego typu były w siedemnastym i osiemnastym wieku bardzo rozpowszechnione - powiedział spokojnie Neidelman. - Jerzy Waszyngton takim właśnie atramentem sporządzał swoje tajne meldunki. W języku kolonistów określano to pisaniem białym atramentem.

Hatch starał się wyartykułować jakąś następną sarkastyczną uwagę, ale nie potrafił nic wymyślić. Wbrew własnej woli zaczynał wierzyć w opowieść Neidelmana - była zbyt niewiarygodna, by mogła być kłamstwem.

- Nasze laboratorium zdołało odzyskać resztę zapisków, posługując się chemicznym rozpuszczalnikiem. Okazało się, że mieliśmy do czynienia z dokumentem złożonym z około dziesięciu tysięcy znaków zapisanych ręką samego Macallana na marginesach książki. Dokument został zaszyfrowany, ale specjalista z Thalassy rozszyfrował pierwszą jego część dość szybko. Czytając sam tekst, dowiedzieliśmy się, że Sir William Macallan był jeszcze bardziej intrygującym architektem, niż świat mógł do tej pory przypuszczać. Hatch przełknął ślinę.

- Przepraszam, ale cała ta historia graniczy z absurdem.

- Nie, doktorze Hatch, to nie absurd. Macallan naprawdę zaprojektował Water Pit. Zaszifrowane notatki stanowiły jego sekretny dziennik, który prowadził podczas ostatniej podróży.

- Neidelman zamilkł na chwilę, by pociągnąć z fajki.

- Widzi pan, Macallan był Szkotem, w sekrecie wyznawał wiarę katolicką. Po zwycięstwie Wilhelma III w bitwie pod Boyne, Macallan pełen obrzydzenia wyjechał do Hiszpanii. Korona Hiszpańska zleciła mu budowę katedry, najwspanialszej w Nowym Świecie. W tysiąc sześćset dziewięćdziesiątym szóstym roku wypłynął na dwumasztowcu z Kadyksu do Meksyku, eskortowany przez hiszpańskich żołnierzy. Statki zaginęły na zawsze, podobnie jak i słuch o Macallanie. Przyjęto, że wszyscy zaginęli na morzu. Jednak dziennik opowiada o tym, co naprawdę się zdarzyło. Statki zaatakował Edward Ockham. Hiszpański kapitan trzymał się dzielnie, ale poddany torturom wyznał, jaki był prawdziwy cel ich podróży. Następnie Ockham kazał wszystkich ściąć mieczem, oszczędzając jedynie Macallana. Architekta zakutego w łańcuchy zaciągnięto przed oblicze Ockhama. Pirat przyłożył mu do gardła pałasz i powiedział: „Niech Bóg sam sobie zbuduje swój przeklęty kościół, mam dla ciebie nowe zamówienie”.

Hatch poczuł dziwne poruszenie. Kapitan oparł się o burtę.

- Widzi pan, Red Ned chciał, żeby Macallan zaprojektował mu szyb, w którym mógłby złożyć swoje ogromne skarby. Szyb nie do zdobycia, którego sekret znany byłby jedynie Ockhamowi. Płynęli wzdłuż wybrzeży Maine, wybrali Ragged Island, szyb został zbudowany, złożono w nim skarb. Wkrótce potem wszyscy - Ockham i cała jego załoga - zginęli. Macallan zaś, co do tego nie ma wątpliwości, został zamordowany zaraz po tym, jak zakończono prace przy szybie. A razem z nimi wszystkimi przepadł sekret dostępu do Water Pit.

Neidelman zamilkł, jego oczy były niemal białe od odbijającej się w nich jaskrawo wody.

- Oczywiście nie jest to już prawdą, ponieważ sekret nie przepadł wraz ze śmiercią Macallana.

- Proszę wyjaśnić.

- W połowie swoich zapisków Macallan zmienia kody. Naszym zdaniem postąpił tak celowo, po to, by opisać tajny klucz otwierający drzwi do Water Pit. Oczywiście żaden siedemnastowieczny kod nie jest w stanie się oprzeć szybkim komputerom, nasi specjaliści pewnie już go złamali.

- To ile spodziewacie się tam znaleźć? - zdołał zapytać Hatch.

- Dobrze pytanie. Znamy pojemność ładowni statków Ockhama, wiemy, że były wyładowane po brzegi, mamy też wykazy ładunków wielu statków, które padły jego łupem. Wiedział pan, że był jedynym piratem, który skutecznie atakował opancerzone statki hiszpańskiej floty?

- Nie - mruknął Hatch.

- Podejrzewam, że wartość skarbu można oszacować... - Neidelman zamilkł na chwilę, a na ustach pojawił się lekki uśmiech -...na prawie miliard osiemset do dwóch miliardów dolarów.

Zapadła długa cisza, wypełniona warkotem silnika, monotonnym pokrzykiwaniem mew i szmerem łodzi sunącej po falach. Hatch starał się uświadomić sobie ogrom sumy.

Neidelman ściszył głos.

- A i to nie licząc wartości, jaką przedstawia miecz świętego Michała, największego skarbu Ockhama.

Tym razem wkradło się powątpiewanie.

- Niech pan da spokój, kapitanie - powiedział Hatch, śmiejąc się. - Nie powie mi pan chyba, że wierzy w taką starą, zakurzoną legendę.

- Nie wierzyłem, dopóki nie przeczytałem dziennika Macallana. Doktorze Hatch, to naprawdę tam jest. Macallan widział, jak zakopują miecz razem z resztą skarbu.

Hatch wpatrywał się bezmyślnie w pokład, w głowie miał mętlik. To niewiarygodne, prawie nie mieści się w głowie...

Podniósł wzrok i poczuł, jak bezwiednie coś ścisza go w żołądku. Niezliczone pytania, jakie jeszcze przed chwilą sobie zadawał, znikły nagle bez śladu. Oddzielony teraz od niej tylko taflą morza, widział długą, niską mgłę skrywającą Ragged Island, tę samą, która spowijała wyspę ponad dwadzieścia pięć lat temu.

Usłyszał obok siebie Neidelmana, który coś mówił. Odwrócił się, ciężko oddychając i starając się uspokoić łomoczące serce.

- Słucham?

- Powiedziałem, że wiem, że pieniądze zbytnio pana nie interesują. Ale chciałem, żeby miał pan świadomość, że zgodnie z umową, o której już wspomniałem, otrzyma pan połowę skarbów, nie licząc poniesionych wydatków. W zamian za to ja biorę na siebie całe ryzyko finansowe, a także otrzymam miecz świętego Michała. Co oznacza, że pana udział wyniesie około jednego miliarda dolarów.

Hatch przełknął ślinę.

- Miał pan rację, trudno się tym nie zainteresować. Zapadła długa chwila ciszy, po czym Neidelman podniósł lornetkę i przyjrzał się badawczo mgłę.

- Dlaczego wyspa jest stale otoczona mgłą?

- Nie bez przyczyny - odparł Hatch, wdzięczny za zmianę tematu. - Silna fala odboju wyspy odpiera zimny Prąd Labradorowski, który przechodzi w ciepły prąd Cape Cod, i w miejscu, gdzie oba prądy się mieszają, powstaje spore zawirowanie skutkujące mgłą. Czasami wyspę otacza jedynie jej cienki pierścień, kiedy indziej jest w niej całkowicie zatopiona.

- Czego więcej mógłby chcieć pirat? - mruknął Neidelman. Już niedługo - pomyślał Hatch. Postarał się zatopić myśli w szumie wody pędzącej wzdłuż krawędzi, zapachu słonego powietrza oraz zimnego dotyku mosiądzu steru w dłoniach. Rzucił okiem na Neidelmana i zobaczył, jak nerwowo drgają mu mięśnie w zaciśniętych szczękach. On również doświadczał wielkich emocji, innych, choć nie mniej osobistych.

Zbliżyli się do pasma mgły. Hatch walczył w ciszy, chcąc utrzymać łódź dziobem w kierunku zakrzywionych pióropuszy mgły, tak dziwacznych i obcych na linii czystego horyzontu. Zwolnił, gdy łódź weszła nosem w mrok. Nagle oblepiła ich wilgoć. Malin czuł na kostkach rąk i karku krople potu.

Wyteżył wzrok, by zobaczyć coś we mgłę. Zdawało mu się, że widzi gdzieś daleko ciemny, odległy kształt, który znów znikł. Zwolnił jeszcze bardziej. W niemal całkowitej ciszy słyszał teraz dźwięk bicia morskiej piany i dzwonienie boi przy Ragged Island ostrzegającej marynarzy przed zdradliwymi rafami. Skręcił nieco bardziej na północ, kierując łódź na zawietrzną stronę wyspy. Nagle ponad mgłą, jakieś dwieście jardów od strony portu, ich oczom ukazała się zrujnowana żelazna wieża wiertnicza, pokrecona przez sztormy i poznaczona rdzą.

Biorąc krótki wdech, Neidelman podniósł do oczu lornetkę, ale łódź wpłynęła w kolejną łatę mgły i wyspa po raz kolejny znikła. Zerwał się chłodny wiatr, mżyło.

- Czy możemy podpłynąć bliżej? - mruknął Neidelman.

Hatch poprowadził łódź w stronę raf. Gdy znaleźli się pod osłoną skał wyspy, skończyło się bicie fal i wiatr ustał. Nagle krąg mgły został za ich plecami, wyspa ukazała się przed nimi w całej okazałości.

Hatch ustawił łódź równoległe do rafy. Na rufie Neidelman nie odklejał lornetki od twarzy. Całkiem zapomniał o trzymanej w zębach fajce, ramiona pociemniały mu od spadających kropli deszczu. Hatch zatoczył łuk, po czym wrzucił luz i pozwolił łodzi dryfować. Po jakimś czasie odwrócił się w stronę wyspy, by samemu stawić jej czoło.



## 4

Mroczne, straszne zarysy wyspy, tak wryte w pamięci i obecne w nocnych koszmarach, teraz stały znów przed nim. Były niczym czarna sylwetka zarysowana ostro na tle szarego morza i nieba. Kształtem przypominała dziwny, przechylony stół stopniowo wznoszący się od zawietrznej, tworząc wyraźnie zaznaczony na środku garb, by następnie przejść w ostre skalne urwiska znajdujące się na brzegu od strony nawietrznej. Fale biły o urwiska i wrzały nad zatopionymi półkami skalnymi otaczającymi wyspę, zostawiając po sobie łąty piany niczym kilwater łodzi. Wyspa była jeszcze bardziej ponura, niż ją zapamiętał: wysmagana przez wiatry, jałowa, długa na milę i osiemset jardów szeroka. Samotny, wygięty świerk sterczał nad kamienną plażą po zawietrznej stronie wyspy, z pniem rozerwanym dawno temu przez uderzenie pioruna, z zakrzywionymi niczym ręka wiedźmy konarami wygrządzającymi niebu.

W falującej morskiej trawie i krzakach dzikich róż widać było porzucone, zniszczone kadłuby piekielnych maszyn: stare kompresory na parę, kołowroty, łańcuchy, kotły. Gromadka zniszczonych przez deszcz, wiatr i słońce szop pozbawionych dachów przysiadła zasłuchana po jednej stronie starego świerku. Na odległym krańcu plaży Hatch dostrzegł gładkie, zaokrąglone zarysy Grzbietów Wielorybów, na które wdrapywali się z Johnnym przed ponad dwudziestu pięciu laty. Wzdłuż pobliskich skał leżały gdzieniegdzie kadłuby kilku większych łodzi, sponiewieranych przez niezliczone sztormy, z pokładami i wręgami porozbijanymi i rozrzuconymi wśród granitowych głazów. Zniszczone przez burze znaki, umieszczone sto stóp ponad oznaczeniem poziomu przyływu, ostrzegały:

**UWAGA! NIEBEZPIECZEŃSTWO ZAKAZ PRZYBIJANIA DO BRZEGU**

Neidelman nie mógł wydusić słowa.

- Wreszcie - wyszeptał.

Czas jakby się zatrzymał, łódź dryfowała. Neidelman opuścił lornetkę i odwrócił się do Hatcha.

- Doktorze? - zapytał.

Hatch, który opierał się na kole sterowym, zagłębił się we wspomnieniach. Groza, niczym choroba morska, ogarnęła jego ciało. Krople deszczu rozbijały się o okna sterówki, boja wydawała dźwięki, jakby oplakiwała coś we mgle. Ale strach budziło coś jeszcze. Zdawał sobie sprawę, że tam naprawdę spoczywa ogromny skarb - że jego dziadek nie był kompletnym głupcem, który na próżno zmarnował życie trzem pokoleniom swojej rodziny. W



jednej chwili podjął decyzję: wiedział, jaka powinna być ostateczna odpowiedź, która należała się jego dziadkowi, ojcu i bratu.

- Doktorze Hatch? - zapytał ponownie Neidelman, zapadłe rysy jego twarzy lśniły od wilgoci.

Hatch wziął kilka głębokich wdechów i zmusił się do poluzowania desperackiego uścisku, jakim ujął koło sterowe.

- Okrążymy wyspę? - zapytał stanowczym głosem. Neidelman przyglądał mu się jeszcze przez chwilę. Potem po prostu skinął głową i znów podniósł lornetkę.

Dodając gazu, Hatch mszył w stronę otwartego morza, wychodząc na zawietrzną i odwracając się w stronę wiejącego wiatru. Silnik pracował na niskich obrotach, łódź utrzymywała prędkość trzech węzłów. Hatch nie patrzył w stronę Wielorybich Grzbietów ani innych, jeszcze okropniejszych miejsc widocznych na lądzie, o których istnieniu wiedział.

- Straszne, surowe miejsce - powiedział Neidelman. - Jest bardziej surowe niż to, co sobie kiedykolwiek wyobrażałem.

- Brak tu naturalnych portów - odparł Hatch. - Wyspa otoczona jest rafami, występuje tu też niebezpieczny przyptyw. Wystawiona jest na działanie otwartego oceanu, uderza w nią każdej jesieni sztorm północno-wschodni. Wykopano już na niej tak wiele tuneli, że spora część wyspy przesiąkła wodą i powierzchnia stała się niestabilna. Jest nawet gorzej, bo niektóre wyprawy przywiozły materiały wybuchowe. Pełno tu niewybuchów, dynamitu i Bóg jeden wie czego jeszcze pod powierzchnią wyspy. Wszystko tylko czeka na sygnał, żeby wylecieć w powietrze.

- Co to za wrak? - zapytał Neidelman, wskazując w stronę masywnej, poskręcanej metalowej konstrukcji wznoszącej się nieopodal pokrytych wodorostami śliskich skał.

- Ta barka to pozostałość z czasów mojego dziadka. Zakotwiczono ją na brzegu z przymocowanym pływającym dźwigiem, ale gdy zaskoczył ją jeden z tych sztormów, wylądowała na skałach. Kiedy skończył z nią ocean, nie było już nic do uratowania. Tak zakończyły się wysiłki podjęte przez mojego dziadka.

- Czy pana dziadek zostawił jakieś zapiski? - zapytał Neidelman.

- Mój dziadek je zniszczył. - Hatch z trudem przełknął ślinę. - Przez tę wyspę doprowadził rodzinę do finansowej ruiny i mój ojciec zawsze nienawidził tego miejsca i wszystkiego, co się z nim łączyło. Nawet przed wypadkiem. - Głos mu zamarł, po czym chwycił ster, prowadząc łódź prosto przed siebie.

- Przepraszam - powiedział Neidelman spokojnie. - Tak bardzo wciągnęło mnie całe przedsięwzięcie, że czasami zapominam o pana osobistej tragedii. Proszę mi wybaczyć, jeśli moje pytania były zbyt obcesowe.

Hatch nadal wpatrywał się w jakiś punkt, gdzieś ponad dziobem łodzi.

- W porządku.

Neidelman zamilkł i Hatch był mu za to wdzięczny. Nic nie sprawiało więcej bólu niż wysłuchiwanie zwyczajowych frazesów z ust ludzi, którzy mieli dobre intencje, zwłaszcza w stylu: Nie obwiniaj się, nic nie mogłeś zrobić.

„Plain Jane” okrążyła południowy kraniec wyspy i znalazła się w pozycji burtą do fal. Hatch dodał nieco gazu, by przyspieszyć.

- Zadziwiające - zamruczał Neidelman. - Pomyśleć tylko, że od największego skarbu, jaki kiedykolwiek został ukryty, dzieli nas jedynie ta niewielka wyspa z piachu i skał.

- Ostrożnie, kapitanie - odparł Hatch, starając się, jak mu się zdawało, nadać swojemu ostrzeżeniu lekki ton. - Właśnie takie entuzjastyczne podejście doprowadziło już do bankructwa z tuzin firm. Lepiej przypomnieć sobie ten stary wiersz:

*Ponieważ, choć nie otacza mnie dwór  
Świątynia ta chroni swe skarby  
Święte dla Niebios - ponieważ, mówiąc krótko  
Nie jest ona, i nigdy moja nie będzie.*

Neidelman odwrócił się w jego stronę.

- Widzę, że miał pan czas na dodatkowe lektury, poza podręcznikiem anatomii i książką Mercka. Niewielu rzeźników potrafiłoby zacytować Coventry'ego Patmore'a.

Hatch wzruszył ramionami.

- Lubię od czasu do czasu poczytać sobie poezję. To jak delektowanie się, popijanie porto. A pan, jak pan się wytłumaczy?

Neidelman uśmiechnął się zdawkowo.

- Ponad dziesięć lat życia spędziłem na morzu. Czasami nie ma tam zbyt wiele do roboty, poza czytaniem.

Nagle od strony wyspy dobiegł odgłos przypominający kaszel. Przybierał na sile, by przejść w głucho dudnienie, i wreszcie zamienić się w wydobywający z gardła ciężki jęk, jak gdyby wyła tam jakaś umierająca w głębinach morska bestia.

- Co to u licha za hałas? - zapytał ostro Neidelman.

- Przyływ wraca - odpowiedział Hatch, drżąc nieco na surowym, mokrym wietrze. - Najwyraźniej WaterPit połączony jest z morzem jakimś ukrytym zalewowym tunelem. Kiedy prąd zawraca i strumień wody w tunelu zmienia swój bieg na przeciwny, słychać taki właśnie dźwięk. Przynajmniej tak brzmi teoria.

Jęk nie milkł, powoli przechodząc w zawodzenie. Wreszcie całkiem zamarł.

- Miejscowi rybacy opowiedzą panu inną historię - powiedział Hatch. - Może zauważył pan, że wokół wyspy nie widać żadnych koszy na homary. Niech się panu nie wydaje, że to dlatego, że brakuje tu homarów.

- Przekleństwo Ragged Island - powiedział Neidelman, kiwając głową, z sardonycznym wyrazem oczu. - Słyszałem o nim. - Zapadła długa cisza. Neidelman wpatrywał się w pokład, następnie podniósł głowę.

- Nie przywrócę życia pana bratu - powiedział. - Ale jedno mogę panu obiecać: dowiemy się, co go spotkało.

Hatch machnął tylko ręką, gdyż w przyływie gwałtownych emocji nie był w stanie nic powiedzieć. Odwrócił głowę w stronę okna sterówki, wdzięczny za obecność deszczu. Nagle zdał sobie sprawę, że nie wytrzyma już ani chwili dłużej w pobliżu wyspy. Bez słowa wyjaśnienia skierował łódź na zachód, dodając gazu, gdy raz jeszcze wpłynęli w krąg mgły. Chciał wrócić do swojego motelowego pokoju, zamówić wczesny lunch i napić się dobrej Krwawej Mary.

Przebili się przez mgłę w przyjemne światło dnia. Wiatr wzmógł się, a Hatch czuł, jak z jego twarzy i dłoni odparowują wilgotne krople. Nie chciał oglądać się za siebie. Jednak sama świadomość, że owinięta mgłą wyspa znika szybko za horyzontem, sprawiła, że obręcz ściskająca mu klatkę piersiową popuściła.

- Powinien pan wiedzieć, że będziemy ściśle współpracować z pierwszorzędnym archeologiem i historykiem - powiedział, stając u jego boku, Neidelman.

- Wiedza, jaką zdobędziemy na temat siedemnastowiecznej inżynierii, o piratach pływających po otwartych morzach i o marynarskiej technologii - może nawet o tajemniczej śmierci Reda Neda Ockhama - będzie niezwykle cenna. Jest to w równej mierze wykopalisko archeologiczne, jak i rekultywacja skarbu. Na chwilę zapadła cisza.

- Chcę zarezerwować sobie prawo do przerwania całego przedstawienia, jeśli uznam, że warunki stają się zbyt niebezpieczne - powiedział Hatch.

- Doskonale rozumiem. W naszym opasłym kontrakcie wydzierżawienia gruntu znajduje się osiemnaście klauzul. Równie dobrze możemy dodać dziewiętnastą.

- I jeśli mam stać się częścią całego tego przedsięwzięcia - powiedział Hatch jeszcze wolniej - nie chcę być jedynie cichym współnikiem, zerkającym zza czyichś pleców.

Neidelman wytrząsnął wygasły popiół z fajki.

- Akcja ratunkowa tego typu to w najwyższym stopniu ryzykowne przedsięwzięcie, zwłaszcza dla laika. Jaka rolę zamierza pan w nim odegrać?

Hatch wzruszył ramionami.

- Wspomniał pan, że zatrudnił lekarza ekspedycji. Neidelman przestał zabawiać się fajką, podniósł wzrok i uniósł brwi.

- Wymaga tego prawo morskie. Sugeruje pan zmianę składu personelu?

- Tak.

Neidelman uśmiechnął się.

- I nie ma pan nic przeciwko temu, żeby wziąć urlop ze szpitala Mount Auburn, tak bezzwłocznie?

- Moje badania mogą poczekać. A poza tym nie mówimy tu o jakimś szczególnie długim okresie. Lipiec prawie już się kończy. Jeśli ma pan zamiar czegoś dokonać, wszystko musi się zamknąć w ciągu czterech tygodni - z powodzeniem lub bez. Nie ma mowy o kontynuowaniu kopania w czasie sezonu sztormowego.

Neidelman wychylił się za burtę i wystukał resztki nie wypalonego tytoniu z fajki jednym zdecydowanym ruchem. Wyprostował się. Na horyzoncie za jego plecami widać było długą, czarną linię Burnt Head.

- Za cztery tygodnie będzie już po wszystkim - powiedział. - Po pańskiej i mojej bitwie.

## 5

Hatch postawił samochód na parkingu koło sklepu Buda. Tym razem przyjechał własnym samochodem i czuł niepokój, obserwując swoją przeszłość przez szyby pojazdu stanowiącego tak nierozzerwalną część jego obecnego życia. Rzucił okiem na popękane skórzane siedzenia, na wypłowiałe plamy po kawie na orzechowym materiale wokół dźwigni zmiany biegów. Takie swojskie i takie bezpieczne wnętrze. Hatch z trudem otworzył drzwi. Wyciągnął okulary słoneczne, po czym odłożył je na miejsce. Koniec z ukrywaniem się.

Rozejrzał się po małym placu. Wyrwy w asfalcie wypełniał dawny bruk. Stary kiosk z gazetami na rogu z chwiejącym się drucianym stojakiem na komiksy i magazyny ustąpił miejsca sklepowi z lodami. Za placem miasto opadało wzdłuż stoku, jak zawsze niezwykle malownicze: dachy pokryte łupkami, o cedrowych gontach, lśniły w blasku słońca. Jakiś mężczyzna w wysokich gumowych butach nadszedł od strony portu, przez ramię przerzucił sztormiak: wracający do domu poławiacz homarów. Mężczyzna spojrzał na Hacha, po czym minął go, znikając w bocznej alejce. Był młody, nie miał więcej jak dwadzieścia lat. Hatch zdał sobie nagle sprawę, że tego człowieka nie było jeszcze na świecie, kiedy on wyjechał z matką z miasta. Pod jego nieobecność w miasteczku zdążyło już wyrosnąć nowe pokolenie. I - co do tego nie było wątpliwości - całe pokolenie zdążyło umrzeć. Nagle zaczął się zastanawiać, czy Bud Rowell jeszcze żyje.

Z zewnątrz sklep Buda wyglądał tak, jak go zapamiętał: zielone przezroczyste drzwi, które wciąż dobrze się nie zamykały, stareńki napis „Coca-cola”, zniszczony, przechylony ganek. Wszedł do środka, wydeptane deski podłogowe zatrzeszczały pod jego stopami, on zaś wyciągnął wózek z niewielkiego stojaka przy wejściu, wdzięczny, że sklep jest pusty. Przesuwając się przez wąskie przejścia między półkami, zaczął wybierać jedzenie, które zamierzał zabrać na pokład „Plain Jane”. Tam właśnie postanowił się zatrzymać do czasu, aż przygotują mu jego stary dom rodzinny. Rozejrzał się dokoła, wrzucając od niechcienia do wózka jakieś podstawowe produkty, aż wreszcie dotarło do niego, że odkłada coś, co i tak jest nieuniknione. Z trudem popchnął wózek w kierunku wyjścia i stanął oko w oko z Budem Rowellem: wielkim, łysym i wesołym, w świeżym rzeźnickim fartuchu. Wiele razy, przypomniał sobie Hatch, Bud podsuwał pod ladą jemu i Johnny’emu zakazane lizaki z lukrecji. Ich matkę doprowadzało to do szaleństwa.

- Dzień dobry - powiedział Bud, rzucając okiem na Hacha, a potem na zaparkowany przed sklepem samochód, i sprawdzając numery rejestracyjne. Nieczęsto przedwojenny jaguar XKE podjeżdżał pod jego sklep.

- Z Bostonu?

Hatch skinął głową, wciąż nie wiedząc, jak to rozegrać.

- Tak jest.

- Wakacje? - zapytał Bud, ostrożnie wkładając do torby karczocho. Pieczolowicie go ułożył i wybił cenę na swojej starej mosiężnej kasie z właściwą sobie powolnością. Kolejny karczocho wylądował w torbie.

- Nie - odparł Hatch. - W interesach.

Ręka Buda znieruchomiała. Nikt nigdy nie przyjeżdżał do Stormhaven w interesach. I Bud, będąc oficjalną skarbnicą miejscowych plotek, musiał się teraz dowiedzieć, dlaczego tym razem było inaczej.

Ręka znów się poruszyła.

- Yhm - powiedział Bud. - Interesy.

Hatch kiwnął potakująco głową, walcząc o niechętnie traconą anonimowość. Jak dowie się Bud, będzie wiedziało całe miasto.

Zrobienie zakupów w sklepie Buda zawsze miało swe konsekwencje. Nie było jeszcze za późno, mógł zabrać swoje sprawunki i wyjść, zostawiając Buda bez żadnej informacji. Drugie rozwiązanie było zbyt bolesne, by nad nim rozmyślać: Hatch nie mógł nawet znieść myśli o tym, że wszyscy będą szeptać o dawnej tragedii, potrząsać głowami i zaciskać usta. Małe miasteczka potrafią być brutalne, okazując współczucie.

Ręka podniosła karton mleka i włożyła go do torby.

- Sprzedawca?

- Nie.

Zapadła cisza, a Bud jeszcze wolniej niż przed chwilą umieścił obok mleka karton z sokiem pomarańczowym. Kasa zadzwęczała, wybijając cenę.

- Tylko przejazdem? - podjął kolejną próbę.

- Mam do załatwienia interes w samym miasteczku, w Stormhaven.

O czymś takim jeszcze tu nie słyszano. Bud nie był w stanie wytrzymać już ani chwili dłużej.

- A co to miałby być za interes?

- Interes delikatnej natury - odpowiedział Hatch, zniżając głos. Pomimo obaw, wyraz najszczerzej konsternacji, który pojawił się w oczach Buda, sprawił, że Hatch musiał stłumić uśmiech.

- Rozumiem - powiedział Bud. - Zatrzyma się pan w mieście?

- Nie - odrzekł Hatch, biorąc przy tym głęboki, wdech. - Zatrzymam się po drugiej stronie portu, w starym domu Hatchów.

Słyszając to, Bud niemal upuścił stek. Tamten dom stał zamknięty od dwudziestu pięciu lat. Ale stek trafił na swoje miejsce, torby zostały zapakowane, a Budowi skończyły się pytania, przynajmniej te grzecznościowe.

- No cóż - odezwał się Hatch. - Trochę się spieszę. Ile jestem winien?

- Trzydzieści jeden dolarów, dwadzieścia pięć centów - powiedział żałośnie Bud. Hatch chwycił torby. Wystarczy. Jeśli miał się tu poczuć jak w domu, przynajmniej przez jakiś czas, musiał się ujawnić. Zatrzymał się, otworzył jedną torbę i włożył do środka rękę.

- Przepraszam - powiedział, sięgając do drugiej torby, i szperając w niej. - Nie zapomniał pan o czymś?

- Nie wydaje mi się - powiedział beznamiętnie Bud.

- Jestem pewien, że pan zapomniał - powtórzył Hatch, wykładając zakupy z jednej torby na ladę.

- Wszystko jest w środku - powiedział Bud, a w jego głosie zabrzmiała nuta zadziorności mieszkańca Maine.

- Wcale nie. - Hatch pokazał palcem na małą drewnianą szufladę pod ladą. - A gdzie jest mój darmowy lizak z lukrecji?

Oczy Buda powędrowały do szuflady, a następnie po ramieniu Hacha do jego twarzy. Sklepiarz po raz pierwszy naprawdę mu się przyjrzał. Zbladł.

Hatch czekał w napięciu i zaczął już się nawet zastanawiać, czy aby nie posunął się za daleko, kiedy stary sprzedawca wypuścił z mocą powietrze.

- A niech mnie - powiedział. - Niech mnie szlag jasny trafi. Toż to Malin Hatch.

Policzki sprzedawcy znów zabarwiły się na różowo, ale nadal przypominał człowieka, który zobaczył ducha.

- No cóż - powiedział Hatch. - Co u ciebie słyhać, Bud? Sprzedawca wyszedł zza lady i złapał prawą rękę Hacha w swoje dłonie.

- Patrzcie tylko państwo - powiedział, ściskając ramiona Hacha i trzymając go na odległość wyciągniętych ramion. Jego pulchną twarz rozjaśnił szczery uśmiech.

- I pomyśleć tylko, że wyrosłeś na takiego pięknego, rosłego, młodego mężczyznę. Nie wiem już, ile to razy zastanawiałem się, co też się z tobą stało, czy cię jeszcze kiedyś zobaczymy. I dzięki Bogu jesteś, jak mi Bóg miły.

Hatch wciągnął zapach otaczający sprzedawcę: mieszaninę aromatu szynki, ryby i sera, i poczuł zarówno ulgę, jak i zażenowanie, jak gdyby znów był małym chłopcem.

Bud patrzył na niego jeszcze przez chwilę, a potem odwrócił się do szuflady.

- Ty łobuziaku - zaśmiał się. - Dalej jadasz lukrecję? Proszę bardzo, na koszt firmy. -

Po czym wyciągnął lizaka z szuflady i pacnął nim o ladę.



## 6

Siedzieli w bujanych fotelach na ganku z tyłu sklepu, popijając piwo i spoglądając ponad łąką w stronę ciemnych rzędów sosen. Wypytywany przez Buda Hatch opowiedział mu o niektórych swoich przygodach w Meksyku i Ameryce Południowej, w których występował w roli epidemiologa. Ale udało mu się tak pokierować rozmową, by nie wspominać o powodach powrotu. Nie czuł się jeszcze w pełni gotowy, by zacząć cokolwiek wyjaśniać. Poczł, że chciałby już wrócić na łódź, rozstawić przenośny grill na rufie, rzucić na niego stek i wygodnie posiedzieć nad nieprzyzwoicie wytrawnym martini. Ale wiedział też, że małomiasteczkowa etykieta wymaga, by spędzić godzinkę na wspominkach ze starym sklepikarzem.

- Opowiedz mi, co wydarzyło się w miasteczku od mojego wyjazdu - powiedział, by zapęnić ciszę i uprzedzić jakiegokolwiek sondujące pytania. Był pewny, że Bud umierał z ciekawości, żeby się dowiedzieć, po co wrócił do Stormhaven, ale grzeczność człowieka z Maine nie pozwalała mu na zadanie bezpośredniego pytania.

- No więc - zaczął Bud. - Trochę się tu nawet i zmieniło. Całkiem sporo. - I zaczął opowiadać, jak to pięć lat temu dobudowano do gimnazjum nowe skrzydło, jak dom rodziny Thibodeaux spalił się do gruntu, podczas gdy właściciele korzystali z uroków urlopu w okolicach wodospadu Niagara, jak Frank Pickett wpakował łódź na Old Hump i się utopił, ponieważ trochę za dużo wypił. Na koniec zapytał, czy Hatch widział już ładną nową remizę.

- Pewnie - powiedział Hatch w głębi ducha rozżalony, że stary, drewniany budynek z jednym miejscem do spania zburzono i zastąpiono metalowym dziwadłem.

- Iw całej okolicy nowe domy rosną jak grzyby po deszczu. Letnicy - zagderał z dezaprobatą Bud, ale Hatch doskonale zdawał sobie sprawę, że za kasą nie było żadnego narzekania. W każdym razie stwierdzenie Buda na temat wyskakujących wokół, jak spod ziemi, domów oznaczało trzy czy cztery nowe domy letniskowe na Breed's Point, kilka odremontowanych domów farmerów w głębi łądu, no i nowy pensjonat.

Bud zakończył smutnym potrząśnięciem głową.

- Wszystko się tu zmieniło, odkąd wyjechałeś. Prawie nie poznasz tego miejsca. - Zakołysał się w fotelu i westchnął.

- Więc jak? Przyjechałeś, żeby sprzedać dom? Hatch nieco zeszytniał.

- Nie, przyjechałem, żeby tu pomieszkać. Przynajmniej przez resztę lata.

- Czyżby? - powiedział Bud. - Wakacje?

- Już ci mówiłem - odparł Hatch, starając się zachować lekki ton. - Przyjechałem tu w delikatnej służbowej sprawie. Obiecuję ci, Bud, że już niedługo tajemnica się wyjaśni.

Bud oparł się w fotelu nieco urażony.

- Wiesz przecież, że nie mieszałbym się w twoje sprawy zawodowe. Ale myślałem, że mówiłeś, że jesteś lekarzem.

- Jestem. I tym się będę tutaj zajmował. - Hatch pociągnął łyk piwa i ukradkiem spojrzał na zegarek.

- Ale Malin - odezwał się sklepikarz, unosząc się lekko w fotelu. - My tu już mamy jednego lekarza, doktora Frazier. Zdrow jest jak byk, pożyje jeszcze i ze dwadzieścia lat.

- Trochę arszeniku w herbacie mogłoby coś na to zaradzić - stwierdził Hatch.

Sklepikarz spojrzał na niego zaniepokojony.

- Nie martw się, Bud - odpowiedział Hatch, uśmiechając się. - Nie zamierzam rywalizować z doktorem Frazierem. - Przypomniał sobie, że jego specyficzne poczucie humoru mogło być źle zrozumiane w wiejskim Maine.

- A to w porządku. - Bud spojrzał na swojego gościa ukradkiem. - To może masz coś wspólnego z tymi śmigłowcami.

Hatch zerknął na niego z zaciekawiony.

- Dopiero co wczoraj tu były. Taki ładny, jasny dzień, idealna pogoda. Wielkie były, naprawdę. Przeleciały nad miastem i ruszyły w stronę wysp. Widziałem, jak unosiły się nad Ragged Island. Całkiem długo. Pomyślałem sobie, że może chcą założyć bazę wojskową. - Wzrok Buda zamienił się w spojrzenie pełne domysłów. - Chociaż może i nie chcą.

Od udzielenia odpowiedzi wybawiło Hacha skrzypnięcie wejściowych drzwi. Czekał, aż Bud wtoczy się do sklepu, żeby obsłużyć klienta.

- Interes chyba się kręci - stwierdził Malin, kiedy tamten wrócił.

- Bo ja wiem - odparł Bud. - Jest po sezonie, tylko ośmiuset mieszkańców.

Hatch pomyślał sobie, że Stormhaven nigdy nie było większe.

- Ech - ciągnął Bud. - Dzieciaki uciekają teraz zaraz po szkole. Nie chcą tu mieszkać. Jadą do wielkich miast: Bangor, Augusty. Jeden pojechał nawet do samego Bostonu. Przez ostatnie trzy lata z miasteczka wyjechało pięcioro dzieciaków. Gdyby nie letnicy czy ta plaża nudystów na Pine Neck, sam nie wiem, czy miałbym jak związać koniec z końcem.

Hatch tylko skinął głową. Budowi najwyraźniej całkiem nieźle się wiodło, ale byłoby z jego strony niegrzecznie zaprzeczać mu w jego własnym sklepie. Plaża nudystów, o której mówił, była w rzeczywistości kolonią artystów położoną na terenie starej posiadłości w lesie sosnowym, jakieś dziesięć mil wzdłuż wybrzeża. Hatch pamiętał, że trzydzieści lat temu jakiś

rybak łowiący homary zauważył tam na piasku nagiego plażowicza. Pamięć nadmorskiego miasteczka Maine naprawdę była długa.

- A jak się ma twoja matka? - zapytał Bud.

- Zmarła w tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym piątym. Rak.

- Przykro mi to słyszeć. - Hatch wiedział, że Bud mówi szczerze. - Była dobrą kobietą i wychowała wspaniałych... wspaniałego syna.

Po krótkiej chwili milczenia Bud znów zakołysał się w fotelu i pociągnął łyk piwa.

- Widziałeś już Claire? - zapytał jakby od niechcienia. Hatch odczekał chwilę.

- Dalej tu mieszka? - odrzekł równie obojętnie.

- No tak - powiedział Bud. - Ale trochę się w jej życiu zmieniło. A co u ciebie? Masz rodzinę?

Hatch uśmiechnął się.

- Nie mam żony. Przynajmniej na razie. - Odstawił pustą butelkę i wstał. Zdecydowanie należało się już pożegnać.

- Bud, cieszę się, że mogłem cię odwiedzić. Teraz chyba już pójdę, przygotuję sobie kolację.

Bud skinął głową i poklepał go po plecach, gdy szli przez sklep. Hatch oparł już rękę na drzwiach wejściowych, kiedy Bud chrząknął.

- Jeszcze jedna sprawa, Malin.

Hatch zamarł. Wiedział, że za gładko to wszystko poszło. Czekał, bojąc się pytania, które musiało paść.

- Uważaj na tę lukrecję - powiedział śmiertelnie poważnie Bud. - Zęby nie są wieczne, sam wiesz.

## 7

Hatch wyszedł na pokład „Plain Jane”, przeciągnął się i rozejrzał po porcie, mrużąc oczy. Miasteczko Stormhaven emanowało spokojem, wręcz apatią, w słońcu ciężkiego lipcowego popołudnia. Był za tę ciszę wdzięczny. Poprzedniego wieczoru wypił przy kolacji nieco więcej ginu, niż zamierzał, i obudził się rano z pierwszym od prawie dziesięciu lat kacem.

To był pierwszy dzień - od wyprawy po Amazonce - który spędził w kabinie na łodzi. Zapomniał już, jak spokojnie płynie czas, kiedy poza delikatnym kołysaniem fal brak innego towarzystwa. Był to także pierwszy dzień, w którym najwyraźniej nie miał zbyt wiele do roboty. Laboratorium zamknięto, ponieważ zbliżał się już sierpień, a Bruce, zdeorientowany asystent, został oddelegowany do sporządzenia notatek na temat pierwszych wyników pod okiem kolegi Hatcha. Dom w Cambridge zamknął, informując gospodynię, że nie wróci aż do września. Jaguara zaparkował, możliwie najdyskretniej, na pustym placu parkingowym za starym sklepem żelaznym „Coast to Coast”.

Przedwczoraj, zanim wymeldował się z hotelu w Southport, otrzymał wiadomość, dosłownie jedno zdanie, od Neidelmanna: zaproszenie na spotkanie przy brzegu Ragged Island, dziś o zachodzie słońca. To oznaczało, że Hatch miał cały dzień dla siebie. Początkowo bał się, że spędzi go sam na sam ze wspomnieniami. Pamiętał o przywiezieniu akwareli, którymi bawił się w weekendy. Mógłby przecież namalować kawałek wybrzeża. Jednak nie zrobił tego. W jakiś sposób na wodzie ogarniał go senny spokój.

Przyjechał do Stormhaven. Zmierzył się z Ragged Island. Spojrzał na bestię i przeżył.

Zerknął na zegarek: prawie wpół do ósmej. Pora ruszać.

Uruchomił silnik i z przyjemnością wsłuchał się w posłuszną odpowiedź wielkiego Diesla. Głębokie wibracje pod stopami, bulgot gazów spalinowych brzmiały niczym śpiew syren z przeszłości, jednocześnie słodki i bolesny. Wrzucił bieg jednym ruchem i skierował się, zataczając szeroki łuk, w stronę Ragged Island.

Dzień był jasny, łódź pruća powierzchnię wody, a Hatch obserwował jej cień umykający przed jego własnym i kładący się na wodzie w popołudniowym słońcu. Płynął samotnie, jeśli nie liczyć jedynej łodzi rybackiej, ciągnącej sieci z okolic wybrzeża przy Hermit Island. W ciągu dnia kilka razy wychodził na pokład, by zbadać linię widnokregu, jakby się czegoś spodziewał od strony Ragged Island. Ponieważ za każdym razem nie zaobserwował nic, poza niebem i morzem, nie był pewien, czy czuł z tego powodu rozczarowanie, czy też ulgę.

Za portem powietrze ochłodziło się. Jednak zamiast zwolnić i ubrać wiatrówkę, Hatch jeszcze przyspieszył, wystawiając twarz na wiatr. Otworzył usta, by popróbować słonej morskiej bryzy, która wzbijała się, gdy „Plain Jane” podskakiwała na fali. Czuł, że ta samotność jakoś go oczyszcza, jak gdyby wiatr i woda były w stanie wymieść nagromadzone przez ćwierć wieku pajęczyny i kurz.

Nagle nisko nad wschodnim horyzontem pojawił się szary cień. Hatch przymknął zawór przepustnicy i poczuł, jak na powrót ogarnia go stare, znane uczucie trwogi. Mgła wokół wyspy była dziś rzadsza, ale zarysy wyspy nadal pozostawały niewyraźne i odpychające ze sterczącymi niewyraźnie wieżami wiertniczymi i kołowrotami, które przywodziły na myśl zniszczone minarety jakiegoś obcego miasta. Hatch skierował dziób łodzi w stronę portu i zachowując odległość, przygotował się do okrążenia wyspy.

Wtedy po jej zawietrznej dostrzegł nieznaną łódź, zakotwiczoną może ćwierć mili od brzegu. Gdy się zbliżył, zobaczył, że była to stara łódź strażacka zbudowana z drogiego brązowego drewna, mahoniu lub drewna tekowego. Przez rufę biegła wypisana złotymi literami nazwa łodzi: „Griffin”. Pod nazwą, mniejszymi już literami, dopisano: „Mystic, Connecticut”.

Hatch zaczął się zastanawiać, czyby do niej nie podpłynąć, ale rozmyślił się i zgasił silnik „Plain Jane” jakieś sto jardów przed jednostką. Łódź sprawiała wrażenie opustoszałej. Nikt nie pojawił się na pokładzie, by dać znać, że został zauważony. Przez chwilę wahał się, czy nie należała ona przypadkiem do jakiegoś turysty albo łowcy trofeów. Ale rozpoczął się zachód słońca, zbieg okoliczności był zbyt oczywisty.

Z ciekawością zaczął przyglądać się łodzi. Jeśli był to statek dowodzący Neidelmiana, trzeba było przyznać, iż dokonał on niezwykłego, choć praktycznego wyboru. To, czego łodzi nie stawało pod względem prędkości, z pewnością rekompensowała jej stabilność. Hatch był pewien, że krypa przetrzyma najgorsze warunki na morzu, a z silnikami i gafłowym ożaglowaniem była bardzo sterowna. Szpule z węzami i radary usunięto, zyskując sporo miejsca na pokładzie. Wyciągi do kotwicy łodzi okrętowej, wieżyczkę i reflektory pozostawiono, sterowany zaś komputerowo dźwиг umieszczono teraz na rufie. Oczy Hacha powędrowały do przestrzennej sterówki i na mostek. Nad nimi widać było zwykły zestaw elektronicznych anten, pomiarowych urządzeń nawigacyjnych oraz radar i jakieś dodatkowe wyposażenie, o niezbyt żeglarskim charakterze: tubę mikrofalową, talerz anteny satelitarnej, radar napowietrzny oraz anteny na bardzo niskie częstotliwości. Niezła platforma wiertnicza - pomyślał sobie Hatch. Opuścił jedną dłoń, by nacisnąć klaksonem.

Zawahał się jednak. Za cichą łodzią wyczuł niski, pulsujący warkot, tak głęboki, że niemal poza progiem słyszalności. Odsunął rękę od tablicy rozdzielczej i wsłuchał się. Po minucie był pewien: to silnik łodzi, która wprawdzie była daleko, ale szybko się zbliżała. Hatch zaczął bacznie obserwować horyzont, aż wreszcie na południu dostrzegł szarą plamkę. Gdy tam spoglądał, zauważył trwający moment błysk, jak gdyby zachodzące słońce padło na jakiś wypolerowany, metalowy przedmiot znajdujący się na odległej jednostce. To pewnie łódź Thalassy - pomyślał. Płyń tu z Portland.

Po pewnym czasie Hatch dostrzegł, jak plamka z wolna dzieli się na dwie, potem trzy, a wreszcie sześć odrębnych kształtów. Czekał, patrząc z niedowierzaniem, jak cała flota najeźdźców zbliża się do maleńkiej wyspy. Wielka morska barka pruła w jego kierunku, a rozchodzące się fale odsłaniały jej czerwone podbrzusze. Jej śladem podążał wytrwale holownik z omszałym, błyszczącym nosem, ciągnący stutonowy, pływający dźwig. Następną grupę stanowiły szybkie łodzie motorowe, lśniące, muskularne i najeżone elektroniką. Za nimi płynęła nisko zanurzona łódź zaopatrzeniowa, wypełniona ciężkim cargo. Na jej maszcie powiewała nieduża, białoczerwona flaga. Hatch zauważył, że znak na fladze pasował do insygniów, które widział kilka dni wcześniej na teczce Neidelmanna.

Na końcu pojawił się elegancki statek, duży i fantastycznie wyposażony. Na obu burtach widniał wykonany szablonem niebieski napis „Cerberus”. Hatch obserwował z respektem błyszczącą superkonstrukcję z działkiem harpunowym na przednim pokładzie i z lukami z przyciemnianego szkła. Minimum piętnaście tysięcy ton wyporności - pomyślał.

Niczym w jakichś baletowych figurach statki skierowały się w stronę „Griffina”. Większe jednostki zatrzymały się w sporej odległości od ratowniczej łodzi pożarowej, podczas gdy mniejszy statek podpłynął i zatrzymał się przy „Plain Jane”. Rozległ się szcęk łańcuchów i śpiew spuszcanych kotwic. Wpatrzony w motorowe łodzie, które objęły go uściskiem z lewej i prawej strony, Hatch był już w stanie dostrzec ich pasażerów, którzy z kolei przyglądali się jemu. Kilku z nich uśmiechnęło się i pokiwało głowami. W łodzi, która podpłynęła najbliżej, Hatch dostrzegł mężczyznę o siwych włosach i pełnej, białej twarzy, spoglądającego na niego z uprzejmym zainteresowaniem. Mężczyzna miał na sobie dziko pomarańczową kamizelkę ratunkową, nałożoną na starannie zapięty garnitur. Obok niego stał rozparty młody człowiek z długimi, tłustymi włosami i hiszpańską bródką, ubrany w szorty i kwiecistą koszulę. Wyjadał coś z białego papierka i spoglądał na Hacha z beczelnym brakiem zainteresowania.

Ostatni silnik zgasł i nad całym zgromadzeniem zapadła dziwna, niemal namacalna cisza. Hatch popatrzył na łodzie i zorientował się, że oczy wszystkich skierowane były w stronę pustego pokładu znajdującej się w samym środku łodzi pożarowej.

Minęła minuta, potem dwie. Wreszcie drzwi z boku sterówki otworzyły się i wyłonił się z nich kapitan Neidelman. Podszedł do metalowego relingu, po czym stanął, wyprostowany jak zarządca wpatrujący się w otaczające go zgromadzenie. Zachodzące słońce przydawało jego opalonej twarzy głębokiego kolorytu i nadawało jasnym, rzędzącym włosom złoty blask. To niezwykle, jak ta szczupła postać górowała nad wodą i całym kręgiem statków. W narastającej ciszy, z drzwi za plecami Neidelmiana wyłonił się dyskretnie drugi, nieduży, lecz silnie zbudowany mężczyzna, który ze skrzyżowanymi ramionami zajął miejsce za plecami kapitana.

Neidelman przez dłuższą chwilę milczał. Wreszcie odezwał się niskim, niemal pełnym czci głosem, który bez przeszkód sunął po wodzie.

- Żyjemy w czasach - zaczął Neidelman - gdy poznano już nieznanne i gdy większość ziemskich tajemnic została rozwiązana. Byliśmy na biegunie północnym, na szczycie Everestu, na Księżycu. Rozbiliśmy wiązania atomu i sporządziliśmy mapy pogrążonych w otchłaniach równin oceanów. Ci, którzy zajmowali się owymi tajemnicami, często robili to, narażając własne życie, trwonili fortuny i ryzykowali wszystko, co było im drogie. Wielką tajemnicę rozwikłać można, tylko płacąc wysoką cenę - czasami cenę najwyższą.

Wskazał ręką w stronę wyspy.

- Tutaj, zaledwie dwieście metrów stąd, znajduje się jedna z takich wielkich łamigłówek, być może największa spośród tych, które pozostały w Ameryce Północnej. Spójrzcie na nią. Wygląda niepozornie, dziura w łacie ziemi i skał. A jednak ta dziura - ów Water Pit - wysysa żywy szpik z kości każdego, kto odważył się sięgnąć po jej sekret. Wydano wiele milionów dolarów. Zrujnowano wiele ludzkich istnień, czasami nawet w sposób ostateczny. Są wśród nas ci, którzy sami doświadczyli, jak ostre mogą być zęby Water Pit.

Neidelman rozejrzał się wśród zgromadzenia. Jego wzrok napotkał oczy Hacha. Wtedy podjął na nowo.

- Inne zagadki przeszłości - monolity z Sacsahuaman, posągi z Wyspy Wielkanocnej, kamienne monolity z Wielkiej Brytanii - ukrywają swoje prawdziwe znaczenie. Ale Water Pit - nie. Jego lokalizacja, cel powstania, nawet jego historia są znane. I oto leży przed nami dumna niczym wyrocznia ośmielająca się zgarniać wszystko dla siebie.

Zatrzymał się jeszcze na chwilę.

- Do tysiąc sześćset dziewięćdziesiątego szóstego roku Edward Ockham zdołał zyskać reputację budzącego największą w historii grozę i plądrującego oceany pirata. Statki należące do floty przewożącej jego skarby, napęczniałe od nagromadzonych łupów, płynęły ociężałe, głęboko zanurzone. Następny sztorm czy nawet niefortunne spotkanie z wojenną flotą mogły oznaczać fatalny koniec. Do tej pory odkładał moment ukrycia skarbu, teraz jednak był zdesperowany. Przypadkowe spotkanie z pewnym architektem podsunęło mu rozwiązanie.

Neidelman oparł się o reling, wiatr rozwiewał mu włosy.

- Ockham pojmał owego architekta i polecił mu zaprojektowanie szybu, w którym mógłby ukryć swój skarb, szybu tak bardzo niedostępnego, że zdolnego powstrzymać nawet najlepiej wyposażonego poszukiwacza skarbów. Wszystko szło zgodnie z planem. Po wybudowaniu szybu złożono w nim skarb. Jednak gdy pirat wyruszył na kolejną łupieżczą, morderczą wyprawę, zadziałała ręka opatrności. Red Ned Ockham zginął. Od tamtego dnia jego skarb spoczywa na dnie szybu Water Pit, czekając na czas, technologię i pełnych determinacji ludzi, którzy ostatecznie wydobędą go na światło dzienne.

Neidelman wziął głęboki oddech.

- Pomimo wielkiej wartości, jaką przedstawia skarb, największe wysiłki kolejnych śmiałków kończyły się niepowodzeniem. Z szybu nie wydobyto nic, co przedstawiałoby jakąkolwiek wartość. Oprócz tego! - I nagle kapitan wyrzucił w górę ramię, trzymając coś w palcach. Światło zachodzącego słońca mrugnęło i rozblęskło takim blaskiem w jego dłoni, że zdawało się, iż ręka ta płonie. Po łodziach przebiegł szmer zdumienia i zaskoczenia.

Hatch wychylił się, by móc się lepiej przyjrzeć. O mój Boże - pomyślał. To pewnie ten kawałek złota, które wywiercili ludzie z Gold Seekers ponad sto lat temu.

Neidelman trzymał nad głową spiralę z litego złota, tkwiąc, jak się zdawało, w bezruchu przez długi czas. Wreszcie znów przemówił.

- Są tacy, co twierdzą, że na dnie Water Pit nie ma żadnego skarbu. Do tych wątpiących mówię więc: Patrzcie na to.

Zachodzące już słońce pokryło wodę i statek mroczną, różową poświatą. Neidelman odwrócił się w stronę okien sterówki „Griffina”. Podniósł mały młotek, umieścił kawałek złota na linii dachu sterówki i jednym uderzeniem przybił go gwoździem do drewna. Odsunął się, by ponownie spojrzeć na zebranych, ze złotem pobłyskującym nad superkonstrukcją.

- Dzisiaj - powiedział - reszta skarbu Ockhama spoczywa na dnie szybu, nie niepokojona przez słońce czy deszcz, w nienaruszonym od trzystu lat stanie. Ale jutrzejszy dzień wyznaczy początek końca jego długiego odpoczynku, ponieważ klucz, który zgubiono, odnalazł się. I zanim skończy się lato, skarb ujrzy światło dzienne.



Zamilkł, by popatrzeć na zgromadzone przed nim jednostki.

- Mamy dużo do zrobienia. Musimy usunąć to, co pozostawili po sobie nasi poprzednicy, którym się nie powiodło. Musimy znów uczynić wyspę bezpieczną. Musimy określić lokalizację pierwotnego szybu. Musimy następnie odszukać i odciąć ukryty podwodny kanał, który pozwala wpływać morskiej wodzie. Musimy wypompować wodę znajdującą się w szybie i zabezpieczyć go na czas prowadzenia wykopalisk w komnacie ze skarbem. To ogromne wyzwanie. Ale przybyliśmy wyposażeni w zdobycze technologii bardziej niż wystarczające, by stawić czoło takiemu wyzwaniu. Mamy do czynienia z prawdopodobnie najbardziej pomysłowym dziełem siedemnastowiecznego umysłu. Ale Water Pit nie zdoła oprzeć się narzędziom dwudziestego wieku. Z pomocą wszystkich tu dziś obecnych dokonamy tego największego - i najsłynniejszego - odkrycia w historii.

Ludzie zaczęli wiwatować, ale Neidelman uciszył ich, unosząc otwartą dłoń.

- Jest dziś wśród nas doktor Malin Hatch. To dzięki jego wspaniałomyślności możemy kontynuować nasze wysiłki. A on bardziej niż ktokolwiek inny wie, że nie przybyliśmy tu jedynie dla złota. Przybyliśmy dla historii. Dla wiedzy. A także dlatego, by ogromne poświęcenie tak wielu odważnych ludzi, którzy przybyli tu przed nami, nie poszło na marne.

Na chwilę pochylił głowę, po czym zrobił krok w tył, odstępując od poręczy. Ludzie zaczęli, jeden po drugim, wiwatować, po falach popłynął nieśmiały potok dźwięków. Wreszcie całe zgromadzenie wybuchło spontaniczną radością, wyrzucając w górę ramiona, wznosząc pełne podniecenia i niecierpliwości okrzyki. Wszyscy wkoło szczęśliwi krzyczeli. Hatch zdał sobie sprawę, że on też wiwatuje, a gdy po jego policzku spłynęła łza, odniósł absurdalne wrażenie, że gdzieś tam zza jego pleców spogląda Johnny, obserwujący to wszystko z lekką drwiną, pragnący na swój młodzieńczy sposób zaznać wreszcie spokoju.

## 8

Następnego dnia Hatch stał u steru „Plain Jane”, obserwując toczące się wokół przygotowania. Niemal wbrew sobie odczuwał narastające podniecenie. U jego boku dwa monitory komunikacyjne - skaner działający w zamkniętym paśmie obejmującym wszystkie kanały, z których korzystała ekspedycja, oraz radio dostrojone do określonej, przeznaczonej dla lekarza częstotliwości - emitowały od czasu do czasu dźwięki przypominające ćwierkanie, słyhać też było skrzekliwe fragmenty rozmów. Ocean, spokojny, lekko falował, od strony brzegu wiała delikatna bryza. Wieczna mgiełka była dziś rzadka i spowijała wyspę dokoła niczym luźny szal z gazy. Dzień nadawał się wręcz idealnie na wyładunek, dlatego kapitan Neidelman starał się go maksymalnie wykorzystać.

Chociaż „Plain Jane” zakotwiczona była w tym samym miejscu co wczoraj wieczorem - zaraz za rafą otaczającą Ragged Island - krajobraz zmienił się niemal nie do poznania. Do rozmieszczania wyposażenia przystąpiono jeszcze wczoraj po zachodzie słońca, tempo prac wzrosło o świcie. Olbrzymia morska barka zakotwiczona była teraz przy wschodnim brzegu wyspy. Stała tam na dwóch masywnych łańcuchach przykutych do skalnego dna morza przez zespół nurków Neidelmiana. Na oczach Hatcha przy zachodnim brzegu wyspy zacumowano stutonowy dźwig.. Jego długie hydrauliczne ramię zawisło nad linią brzegową niczym ogon skorpiona, gotowe wyskubywać wraki z dwustu lat poszukiwań. W jego cieniu odpoczywał „Griffin”, statek dowódczy Neidelmiana. Hatchowi udało się rozpoznać jedynie sztywną, szczupłą postać kapitana, który stał na mostku, ściśle nadzorując przebieg prowadzonych prac.

Wielki statek badawczy „Cerberus” znajdował się poza kręgiem mgły, cichy i nieruchomy, jakby nie raczył zbliżyć się do wyspy. Dwie motorówki „Naiada” i „Grampus” wysadziły na wyspie załogę wcześniej rano. Teraz obie łodzie zajęte były z dala od brzegu. Obserwując ruchy „Naiady”, Hatch domyślił się, że motorówka zbiera koordynaty dna morza. „Grampus” gromadził dane samej wyspy odczytywane za pomocą sprzętu, którego Hatch nie znał.

Hatch kontynuował obserwację realizowanych wokół działań, aż wreszcie jego wzrok padł na samą wyspę. Kiedy na nią spojrział, poczuł, że robi mu się niedobrze. Być może nigdy nie uwolni się już od tego uczucia. Jednak podjął decyzję i sam ten fakt sprawił, że z jego barków spadł ogromny ciężar. Każdego ranka budził się z coraz silniejszym przekonaniem, iż podjęta decyzja była właściwa. Poprzedniej nocy złapał się nawet na rozmyślaniach, co

mógłby począć z miliardem dolarów. I w tej samej chwili zdecydował: wszystko, co do centa, przekaże na fundację imienia swojego brata.

Jego uwagę przyciągnął nagły rozbłysk białego światła gdzieś na wyspie, po chwili wszystko rozplynęło się we mgle. Wiedział, że gdzieś tam działają już grupy ludzi, lokalizując stare szyby, oznaczając linami bezpieczne przejścia, oznakowując stare śmieci ukryte w wysokich krzakach z przeznaczeniem do późniejszego usunięcia.

- Wysokie pokrzywy - odezwał się sam do siebie:

*Pokryjcie, jak zrobiły to one*

*Te liczne sprężyny, pordzewiałe brony, pług*

*Dawno już zużyty, i kamienny walec.*

Wiedział o tym, że pozostałe zespoły pobierały próbki z rdzeni drewnianych belek w niezliczonych oszalowanych szymbach. Próbki zostaną następnie poddane analizie węglowej węglem C-14 w laboratorium „Cerberusa” w celu określenia ich wieku. Powinno to pozwolić na dokładne wskazanie miejsca pierwotnego szybu Water Pit. Wyciągnął lornetkę i przesunął nią powoli po całym terenie, aż wreszcie zlokalizował zespoły, blade zjawy we mgle. Ludzie pracowali rozciągnięci w nierówny szpaler. Poruszali się powoli, wyrabując sierpami i siekierami krzaki aronii, zatrzymując się od czasu do czasu dla zrobienia zdjęcia lub sporządzenia notatek. Jeden z mężczyzn zamiatał teren przed sobą detektorem metalu, inny sondował ziemię długim, wąskim instrumentem. Na czele grupy Hatch dostrzegł niemieckiego owczarka obwąchującego ziemię. Pewnie wytresowany do wykrywania materiałów wybuchowych - pomyślał Hatch.

Na wyspie i w jej pobliżu krzątało się około pięćdziesięciu ludzi. Wszyscy byli pracownikami Thalassy i wszyscy byli dobrze opłacani. Neidelman powiedział mu, że - poza zasadniczą grupą około sześciu osób, z których każda zamiast pensji miała otrzymać jako wynagrodzenie udział w zyskach - przeciętny pracownik zarobi tu dwadzieścia pięć tysięcy dolarów. Nieźle, zważywszy na fakt, że większość z nich opuści wyspę po upływie mniej więcej dwóch tygodni, kiedy już zakończy się faza zakładania rozmaitych instalacji i gdy sytuacja na wyspie zostanie opanowana.

Hatch powrócił do skanowania wyspy. Od północnej, bezpiecznej strony wyspy - w jedynym rejonie, po którym można było poruszać się bez obaw - zdążyły już się pojawić molo i dok. Stojący obok holownik wyładowywał masę sprzętu: generatory w skrzyniach, zbiorniki acetylenowe, kompresory, mnóstwo elektronicznych przełączników. Na brzegu

znalazły się już porządnie ułożone stosy kątowników, blachy falistej, tarcicy i sklejki. Solidnie wyglądający, mały terenowy pojazd z bulwiastymi oponami ciągnął po prowizorycznie wytyczonej trasie przyczepę wypełnioną sprzętem. Nieopodal grupa techników zaczęła podłączać kable systemu telefonicznego, który miał działać na wyspie. Inni pracownicy wznosili baraki. Już jutro jeden z nich zamieni się w nowe biuro Hatcha. Zdumiewające, jak szybko wszystko się działo.

Hatch nie spieszył się do postawienia stopy na Ragged Island. Jutro to wystarczająco wcześniej - pomyślał sobie.

Głośny stukot przetoczył się echem w jego stronę - jakiś ciężki element wyposażenia wylądował na pomoście. Po wodzie dźwięki dobrze się nosły. Hatch wiedział, że nawet bez pomocy Buda Rowella w całym Stormhaven na pewno wrzało już od spekulacji na temat jego powrotu i nagłego przyływu aktywności na wyspie. Czuł się trochę winny, że wtedy w sklepie, dwa dni temu, nie był w stanie opowiedzieć Budowi całej historii. Do tej pory sklepikarz pewnie już sam wszystkiego się domyślił. Hatch zastanawiał się, co mówili ludzie. Może niektórzy z mieszkańców miasteczka żywili jakieś podejrzenia co do jego motywów. Jeśli tak, proszę bardzo - nie ma się czego wstydzić. Choć bankructwo dziadka zwolniło rodzinę z prawnej odpowiedzialności, ojciec i tak spłacał przez wiele lat wszystkie rodzinne długi zaciągnięte w okolicy. Nie było drugiego tak wspaniałego człowieka jak jego ojciec. Właśnie owa szlachetność charakteru sprawiła, że groteskowy, żaloszny koniec, jaki go spotkał, był o wiele bardziej bolesny... Hatch odwrócił się tyłem do wyspy, przestając o tym myśleć.

Sprawdził, która godzina. Jedenasta: pora lunchu w Maine. Zszedł pod pokład, zajrzał do lodówki zasilanej gazem i wrócił z bułką z homarem i butelką imbirowego piwa. Zasiadł w kapitańskim fotelu, oparł nogi na szafce na busolę i energicznie wbił zęby w bułkę. Zabawna rzecz to morze - pomyślał sobie. Sprawia, że zawsze jest się głodnym. Może powinien zbadać ten właśnie problem dla „Journal of the American Medical Association”. Jego asystentowi Bruce’owi przydałaby się solidna porcja słonego powietrza. Jakiegokolwiek powietrza, prawdę mówiąc.

Gdy tak sobie jadł, na kawałku liny przysiadła mewa i zaczęła się przyglądać. Hatch wiedział, że rybacy łowiący homary nienawidzili mew, nazywając je nabrzeżnymi skrzydlatymi szczurami, ale on zawsze żywił szczególne upodobanie do skrzeczących tak głośno, przebierających w śmieciach ptaków. Podrzucił do góry kawałek homara - mewa złapała go i wzbija się wysoko ścigana przez dwa inne ptaki. Po chwili trzy ptaki wróciły i przysiadły na metalowej poręczy, gapiąc się na niego czarnymi oczami. No i doigrałem się -

pomyślał Hatch, odrywając dobrotliwie kolejny kawałek homara i rzucając go w kierunku siedzącego pośrodku ptaka.

W jednej chwili wszystkie trzy były już w powietrzu, bijąc desperacko skrzydłami. Rozbawienie Hacha zamieniło się w zaskoczenie, kiedy zorientował się, że ich celem nie był homar, ale że uciekały z łodzi tak szybko, jak tylko mogły, lecąc w kierunku stałego lądu. W nagłej ciszy, która zapadła po ich odlocie, usłyszał, jak kawałek homara spadł na pokład z miękkim plaśnięciem.

Gdy tak patrzył w ślad za ptakami, marszcząc brwi, poczuł, jak pokład pod jego stopami gwałtownie zadrżał. Wyskoczył z fotela, sądząc, że zerwał się kabel kotwicy i że „Plain Jane” osiadła na mieliźnie. Ale kabel nadal był naprężony. Z wyjątkiem cienkiego welonu mgły otaczającej girlandą wyspę niebo było czyste, nie dostrzegł także żadnej błyskawicy. Rozejrzał się, wypatrując w okolicy jakichś niezwykłych zjawisk. Wyszadzi coś za pomocą dynamitu? Nie, na to było za wcześnie...

Jego wzrok padł na kawałek oceanu, zaraz po drugiej stronie rafy, jakieś sto jardów od niego.

Na obszarze o średnicy około trzydziestu jardów spokojna powierzchnia wody nagle się wzburzyła. Powierzchnia zamąciła się, a na wodzie pojawiła się masa bąbli. Nastąpił kolejny wstrząs, kolejna eksplozja. Gdy bąble znikły, powierzchnia wody zaczęła wirować odwrotnie do kierunku ruchu wskazówek zegara: początkowo powoli, potem coraz prędeżej. W samym środku pojawił się dołeczek, który niemal natychmiast zapadł się w lej. Wir - pomyślał Hatch. Co u diabła?

Zakłócenia pojawiające się na skanerze przyciągnęły Hacha do relingów. Z radia dobiegały histeryczne krzyki: najpierw jeden, potem wiele głosów.

-...Człowiek na dole! - przebiło się przez zakłócenia.

-...Owiązać go liną! - krzyknął inny głos. I jeszcze:

- Uwaga! Te dźwigary zaraz puszcza! Nagle odezwał się kanał Hacha.

- Hatch, słyszy mnie pan? - zabrzmiał urywany głos Neidelmiana. - Mamy człowieka unieruchomionego na wyspie.

- Zrozumiałem - powiedział Hatch, zapuszczając silniki.

- Podpływam do mola. - W tym momencie powiew wiatru rozwiął nieco mgłę przesłaniającą wyspę i Hatch dostrzegł niedaleko środka wyspy skupisko ludzi w białych kombinezonach, pędzących gdzieś gorączkowo.

- Niech pan da spokój z mołem - odezwał się znów Neidelman, tym razem w jego głosie brzmiała owa nuta niepokoju.

- Nie ma na to czasu. Za pięć minut będzie trupem.

Hatch rozejrzał się rozpaczliwie. Wyłączył silniki, złapał lekarską torbę i przyciągnął bączka do burty „Plain Jane”. Szarpnięciem uwolnił cumę z kołka, wrzucił ją do łódki i skoczył przez burtę do środka. Bączek zakolebał się jak szalony pod niespodziewanym ciężarem. Na wpół na kolanach, na wpół opadając na siedzenie na rufie, Hatch pociągnął za linkę rozrusznika. Silnik odpowiedział rozgniewanym warkotem. Złapał za przepustnicę i skierował łódź w stronę kręgu raf. Gdzieś przy południowym krańcu, w postrzępionych podwodnych skałach były dwie wyrwy. Miał nadzieję, że zapamiętał, gdzie się znajdują.

Gdy do brzegu było coraz bliżej, Hatch patrzył, jak woda pod burtą zmienia kolor z bezdennej szarości na zielony. Gdyby tylko fale były większe - przemknęła mu przez głowę myśl - zobaczyłbym skały przez opadające fale. Spojrzał na zegarek: nie ma czasu na kluczenie. Wziął głęboki wdech i otworzył przepustnicę jednym ruchem nadgarstka. Łódka skoczyła żwawo naprzód, a zielone zarysy zatopionych raf pojaśniały, gdy woda nagle zrobiła się płytsza. Hatch zacisnął dłoń na przepustnicy, przygotowując się na przyjęcie uderzenia.

I nagle był już po drugiej stronie rafy, dno oceanu znów zapadło się głęboko. Skierował łódź na małą kamienistą płachtę między dwoma Grzbietami Wielorybów, do ostatniej chwili trzymając przepustnicę szeroko otwartą. Zgasił silnik i okręcił go do góry, podnosząc wirnik ponad kilwater. Poczul uderzenie w chwili, gdy dziób łodzi uderzył o brzeg i prześlizgnął się po kamykach.

Zanim łódź zdążyła się zatrzymać, Hatch złapał swoje narzędzia i zaczął wdrapywać się na nabrzeże. Teraz słyszał już krzyki i nawoływania dochodzące z naprzeciwka. Na szczycie wzniesienia zatrzymał się. Przed nim rozciągały się łącie nie zmałowane niczym trawy morskiej i wonnych herbacianych róż falujących na łagodnym wietrze i skrywających leżące pod nimi zabójcze pułapki. Ten dziki, południowy kraniec wyspy nie został jeszcze naniesiony na mapy przez zespół Thalassy. Przebiegnięcie przez tę łąkę to niemal samobójstwo - pomyślał, gdy nogi same zaczęły go nieść. Przedzierał się przez krzaki i przeskakował stare belki. Ślizgał się po przegniłych platformach, omijając ziejące jamy w ziemi.

Po minucie był już w grupie odzianych na biało postaci zbitych w gromadę wokół nierównego wejścia do szybu. Z jego ciemnej paszczy dochodził zapach morskiej wody i świeżo wzruszonej ziemi. Wokół stojącego obok kołowrota owinięto kilka lin.

- Nazywam się Streeter - krzyknęła najbliższa postać. - Dowódca zespołu. - Był to ten sam człowiek, który stał za Neidelmanem w czasie jego przemówienia - chuda postać z zaciśniętymi ustami i włosami obciętymi na marynarską modłę.

Bez słowa dwóch pozostałych mężczyzn zaczęło ubierać Hacha w alpinistyczne siodełko.

Hatch spojrział w stronę szybu i mimowolnie ścisnął mu się żołądek. Kilkadziesiąt stóp pod powierzchnią ziemi - nie był w stanie określić dokładnie, jak głęboko - dostrzegł błyskające żółte promienie latarek. Dwie owinięte linami postaci energicznie robiły coś przy grubej belce. Hatch z przerażeniem dostrzegł pod belką inną postać, która poruszała się nieznacznie. Człowiek ów miał otwarte usta i mimo ryku wody zdawało mu się, że słyszy krzyki cierpienia.

- Co się, do diabła, stało? - krzyknął, chwytając za swoją lekarską torbę.

- Jeden z ekipy zbierającej dane wpadł do tego szybu - odpowiedział Streeter. - Nazywa się Ken Field. Spuściliśmy mu linę, ale musiała zaczepić się o belkę. Spowodowała coś w rodzaju zawalenia. Przygniotło mu nogi, woda szybko się podnosi. Mamy trzy minuty, nie więcej.

- Spuście mu pojemnik z tlenem! - krzyknął Hatch, sygnalizując równocześnie operatorowi kołowrotu, żeby zaczął go opuszczać w głąb szybu.

- Nie ma czasu! - odpowiedział Streeter. - Nurkowie są zbyt daleko w morzu.

- Piękne dowodzenie.

- Jest już owiązany liną - podjął po chwili Streeter. - Niech go pan odetnie, a my go wyciągniemy.

Odetnie? - pomyślał Hatch, jadąc w dół szybu. Zanim zdążył pomyśleć, już dyndał w powietrzu, ryk wody ogłuszał w ograniczonej przestrzeni szybu. Opadał przez chwilę niemal swobodnie, po czym krzeselko szarpnęło gwałtownie, zatrzymując się obok dwóch członków ekipy ratunkowej. Kręcąc się wkoło, znalazł wreszcie punkt oparcia i spojrział w dół.

Mężczyzna leżał na plecach, potężna belka spoczywała w poprzek, opierając się na jego lewej kostce i prawym kolanie - przygniatała jego ciało. Hatch zobaczył, jak mężczyzna znów otwiera usta i wydaje okrzyk bólu. Jeden z ratowników odrzucał skały i ziemię zebrane wokół mężczyzny, a drugi rąbał belkę ciężką siekierą. Na wszystkie strony leciały wióry, wypełniając szyb wonią przegniłego drewna. Pod nimi Hatch dostrzegł wodę podnoszącą się w zastraszającym tempie.

Natychmiast zorientował się, że sytuacja jest beznadziejna: nie uda im się przerąbać belki. Spojrział na podnoszące się lustro wody i zdał sobie sprawę, że za nie więcej niż dwie minuty mężczyzna znajdzie się pod wodą, jest mniej czasu, niż przypuszczał Streeter. Uświadomił sobie, że szanse są niewielkie. Nie ma czasu na środek przeciwbólowy, na narkozę, na nic. Rozpaczliwie zaczął grzebać w torbie: dwa skalpele, dość długie, żeby

poradzić sobie z zanokcicą, to wszystko. Wrzucił je na powrót do torby i zaczął ściągać koszulę.

- Upewnijcie się, że jest dobrze przywiązany! - krzyknął do pierwszego ratownika. - Potem zabierzcie moją torbę i wyjeżdżajcie na powierzchnię.

Odwrócił się do drugiego.

- Czekaj w pogotowiu, wyciągniesz go. - Rozerwał koszulę na pół, oderwał jeden rękaw i obwiązał go wokół lewej nogi unieruchomionego mężczyzny, mniej więcej pięć cali pod kolanem. Drugi rękaw powędrował wokół grubego prawego uda mężczyzny. Zawiązał je mocno, zaciskając tak silnie, jak tylko mógł.

- Daj mi siekiere! - krzyknął do drugiego ratownika. - I przygotuj się, żeby pociągnąć!

Bez słowa ratownik podał mu siekiere. Hatch stanął okrakiem nad przywalonym mężczyzną. Zaparł się mocno i uniósł siekiere nad głowę.

Oczy uwięzionego nieszczęśnika, który nagle zrozumiał, rozszerzyły się.

- Nie! - krzyknął. - Błagam, nie...

Hatch spuścił siekiere, uderzając z całej siły w jego lewy goleń. Gdy ostrze przeszło przez nogę, Hatchowi przez dziwną chwilę zdawało się, że odrąbuje zielony pień młodego drzewka. Poczul opór, który w chwilę później zelzał. Krzyk mężczyzny w jednej chwili zamarł, ale oczy pozostały otwarte i wyteżone, widać było wyraźnie naprężone ścięgna i mięśnie szyi. W nodze pojawiło się szerokie, poszarpane cięcie, w bladym świetle szybu można było dostrzec mięso i kość. A potem podnosząca się woda zakotłowała się wokół rany, która wypełniła się krwią. Malin szybko uderzył siekiere raz jeszcze i noga oderwała się od belki, czerwiniąc pianę na wodzie, w której zatoneła. Mężczyzna odrzucił głowę i szeroko rozwarł szczęki w bezgłośnym krzyku, odsłaniając w poświęcie latarki zęby.

Hatch odsunął się na moment, żeby wziąć kilka głębokich wdechów. Powstrzymał drzenie, które zaczęło ogarniać jego nadgarstki i przedramiona. Zmienił pozycję, ustawiając się nad prawym udem mężczyzny. To zadanie było trudniejsze. Dużo trudniejsze. Ale woda już bulgotała nad kolanem mężczyzny, nie było czasu do stracenia.

Pierwsze uderzenie trafiło w coś bardziej miękkiego niż drewno, ale jednocześnie gumowatego i stawiającego opór. Mężczyzna stracił przytomność i opadł bezwładnie na bok. Za drugim razem nie trafił w to samo miejsce, obrzydliwie rozrąbując kolano. W tym momencie woda zagotowała się już na wysokości uda i ruszyła w kierunku pasa. Hatch, domyślając się jedynie, gdzie musi paść kolejne uderzenie, uniósł siekiere nad głowę, zawahał się, po czym z całej siły opuścił ostrze. Gdy weszło w wodę, poczul, że uderzył tam, gdzie trzeba. Siekiera przecięła nogę i z chrzęstem przeszła przez kość.



- Wyciągaj go! - krzyknął Hatch. Ratownik pociągnął dwa razy za linę, która natychmiast się naprężyła. Ramiona mężczyzny powędrowały w górę, on sam znalazł się w pozycji siedzącej. Jednak masywna kłoda nadal nie chciała go puścić. Noga nie oderwała się całkiem od reszty ciała. Lina napięła się raz jeszcze i mężczyzna opadł do tyłu. Czarna woda zaczęła mu zalewać uszy, nos i usta.

- Dawaj nóż! - wrzasnął Hatch do ratownika. Chwycił krótki i gruby, przypominający maczetę nóż, wziął głęboki wdech i zanurkował pod powierzchnię wzbierającej wody. Macając w ciemnościach wzdłuż prawej nogi, zlokalizował i szybko przeciął ścięgno podkolanowe.

- Spróbuj teraz! - wykrztusił, jak tylko jego głowa znalazła się na powierzchni. Lina szarpnęła i tym razem nieprzytomnego mężczyznę wyciągnięto z wody. Z kikutów ściekały woda, krew i błoto. Ratownik ruszył w górę zaraz za nim, a chwilę później Hatch poczuł, że sam też zmierza na powierzchnię. Po kilku sekundach znikły ciemności, a wypełniona wodą dziura została w dole. Malin pochylał się już nad mężczyzną leżącym w porośniętym trawą zagłębieniu. Fachowo sprawdził oznaki życia: mężczyzna nie oddychał, ale jego serce biło, szybko i słabo. Pomimo zaimprovizowanych opasek uciskowych z poszarpanych kikutów uchodziła krew.

DOK - pomyślał Hatch, recytując bez tchu: - drożność, oddychanie, krążenie. Otworzył usta mężczyzny, usunął błoto i wymioty zakrzywionym palcem, przetoczył go na lewy bok, układając w pozycji embrionalnej. Ku jego wielkiej uldze z ust mężczyzny wypłynął strumień wody, a razem z nim wydobyło się westchnienie. Hatch natychmiast przystąpił do czynności stabilizujących: odliczenie do dziesięciu i oddech metodą usta-usta, potem przerwa, by zacisnąć opaskę na lewej nodze, dziesięć kolejnych wdechów, chwila na zaciśnięcie drugiej opaski, następne dziesięć wdechów, sprawdzenie tętna.

- Moja torba! - krzyknął w stronę oszołomionej grupy. - Potrzebuję strzykawki!

Jeden z mężczyzn złapał torbę i zaczął w niej grzebać.

- Wywal wszystko, Chryste Panie! - Mężczyzna posłusznie wykonał polecenie. Hatch przeszukał porzucane rzeczy, znajdując wreszcie strzykawkę i ampułkę. Wciągnął do strzykawki jeden centymetr sześcienny epinefiry, po czym wstrzyknął jej zawartość w ramię ofiary, a następnie wrócił do sztucznego oddychania. Po pięciu wdechach mężczyzna zakaszłał i wciągnął chrapliwie powietrze.

Streeter podszedł z telefonem komórkowym w rękę.

- Wezwaliśmy medyczny śmigłowiec - powiedział. - Będzie na nas czekał na nabrzeżu w Stormhaven.

- Do cholery z nim! - Hatch stracił panowanie. Streeter zmarszczył brwi.

- Ale medyczny.

- Leci tu z Portland. I żaden kretyński pilot medycznego śmigłowca nie spuści na dół koszyka, unosząc się w powietrzu.

- Ale czy nie powinniśmy przewieźć go na stały ląd? Hatch spojrział na niego z politowaniem.

- Nie widzi pan, że ten człowiek nie przeżyje jazdy na ląd stały? Proszę dzwonić do straży przybrzeżnej.

Streeter wybrał przycisk z pamięci telefonu i bez słowa oddał aparat.

Hatch poprosił o połączenie z obsługą medyczną i sprawnie opisał zdarzenie.

- Mam tu podwójną amputację, jedną powyżej, drugą poniżej kolana - powiedział. - Znaczna utrata krwi, głęboki wstrząs, nikłe tętno, pięćdziesiąt pięć, trochę wody w płucach, nadal brak przytomności. Dajcie tu śmigłowiec z najlepszym pilotem na pokładzie. Nie ma miejsca do lądowania, będziecie musieli zrzucić kosz. Przygotujcie kroplówkę z roztworem soli i trochę krwi grupy 0 minus, jak macie. Ale nie ma na co czekać, to najważniejsze. Zabierzcie go od razu do szpitala.

Zasłonił telefon i zwrócił się do Streetera:

- Jest szansa, żeby wydobyć nogi w ciągu godziny?

- Nie wiem - odparł całkiem beznamiętnie Streeter. - Woda rozchwiała szyb. Może zdołamy posłać tam nurka na rozpoznanie.

Hatch potrząsnął głową i wrócił do telefonu.

- Polecicie z pacjentem prosto do szpitala Eastern Maine Medical. Niech reanimacja i chirurgia czekają w pogotowiu. Może uda się odzyskać kończyny. Na wszelki wypadek potrzebny będzie chirurg naczyniowy.

Wyłączył z trzaskiem telefon i oddał go Streeterowi.

- Jeśli jest pan w stanie odzyskać nogi bez ryzykowania życia, proszę to zrobić.

I wrócił do rannego. Tętno było słabe, ale miarowe. Co ważniejsze, mężczyzna zaczął odzyskiwać przytomność. Miał drgawki i pojękiwał. Hatch znów poczuł ulgę. Gdyby mężczyzna pozostał dłużej nieprzytomny, rokowania byłyby o wiele gorsze. Sprawdził, co ma w swojej torbie, i zaaplikował rannemu pięć miligramów morfiny, dość, by przynieść ulgę, ale nie za dużo, by nie osłabić i tak już nikłego pulsu. Wtedy zajął się tym, co pozostało z jego nóg. Skrzywił się w głębi ducha na widok poszarpanych brzegów ran i strzaskanych końców kości. Niestety, tępe ostrze siekiery nie zdołało w żaden sposób zastąpić wygodnych, ostrych pił sali operacyjnej. Widać było kilka źródeł silnego krwawienia, zwłaszcza tętnicę

udową prawej nogi. Przeszukał resztę swojego medycznego zestawu, złapał za igłę i nić, po czym przystąpił do zaszycia żył i tętnic.

- Doktorze Hatch? - zapytał Streeter.

- Co? - odpowiedział Hatch z głową schyloną o kilka cali nad kikutem, próbując pincetą wyłowić średniej wielkości żyłę, która zdążyła się już schować.

- Jeśli będzie miał pan chwilę, kapitan Neidelman chciałby z panem porozmawiać.

Hatch skinął głową, podwiązał żyłę, sprawdził opaski i otarł rany. Podniósł radiotelefon.

- Tak?

- Jak on się czuje? - zapytał Neidelman.

- Ma spore szanse na przeżycie - powiedział Hatch. - O ile helikopter nie nawali.

- Dzięki Bogu. A jego nogi?

- Nawet jeśli je odzyskamy, wątpię, żeby była jakaś szansa na ich ponowne przyszywanie. Niech pan lepiej omówi raz jeszcze kilka podstawowych procedur bezpieczeństwa pracy z obecnym tu kierownikiem zespołu. Tego wypadku można było uniknąć.

- Rozumiem - powiedział Neidelman.

Hatch wyłączył telefon i spojrzał w kierunku północno-wschodnim, gdzie znajdowała się najbliższa stacja straży przybrzeżnej. Za trzy, może cztery minuty na horyzoncie powinni już zobaczyć metalowego ptaka. Zwrócił się do Streetera.

- Niech pan lepiej wystrzeli racę. I oczyśćcie ten teren, nie chcemy przecież, żeby zdarzył się kolejny wypadek. Kiedy nadleci śmigłowiec, potrzebni będą czterej mężczyźni, żeby położyć go na nosze, nikt więcej.

- Dobrze - odpowiedział Streeter, zaciskając usta.

Hatch zauważył, że twarz mężczyzny była nienaturalnie ciemna, żyła na czole pulsowała gniewnie. Fatalna sprawa - pomyślał. - Naprawianiem stosunków zajmę się później. Poza tym w końcu to nie on będzie musiał spędzić resztę życia bez nóg.

Spojrzał na widnokrąg. Śmigłowiec był coraz bliżej. Po kilku chwilach powietrze wypełnił głuchy łomot łopat wirnika, śmigłowiec przeleciał nad wyspą, ostro skręcił i podleciał do małej grupki zgromadzonej wokół szybu. Młócone śmigłami powietrze wprawiło w szal trawę, sypnęło ziemią w oczy Hacha. Drzwi przedziału ładunkowego rozsunęły się i podskakując, zjechała z nich w dół platforma ratunkowa. Rannego mężczyznę przymocowano do niej pasami i wciągnięto na pokład. Hatch dał sygnał, by wciągnięto i jego. Gdy już znalazł się w środku, czekający sanitariusz zasunął drzwi i dał znać pilotowi, że można ruszać.

Helikopter w jednej chwili przechylił się w prawo i wbił nos w powietrze, kierując się na południowy zachód.

Hatch rozejrzał się. Wszystko było w pogotowiu: kroplówka już wisiała, butla z tlenem i maska, stojak z antybiotykami, bandażami, opaskami uciskowymi i środkami odkażającymi.

- Nie mieliśmy grupy 0 minus, doktorze - powiedział sanitariusz.

- Nie szkodzi - odpowiedział Hatch. - Dobrze się spisaliście. Ale damy mu IV. Trzeba podnieść poziom krwi. - Zorientował się, że sanitariusz przygląda mu się z dziwną miną, po chwili zdał sobie sprawę, dlaczego: bez koszuli, pokryty skorupą błota i zeschniętej krwi, nie przypominał zbytnio wiejskiego felczera z Maine.

Od strony noszy dobiegł jęk, ranny znów zaczął się miotać.

Godzinę później Hatch siedział sam w cichej, pustej sali operacyjnej, wdychając zapach betadyny i krwi. Ken Field, ranny mężczyzna, leżał w sąsiednim pokoju, pod okiem najlepszego chirurga z Bangor. Nóg nie udało się uratować, ale wiadomo już było, że mężczyzna będzie żył. Zadanie Hacha dobiegło końca.

Wciągnął głęboko powietrze, a potem wypuścił je powoli, starając się wydalić razem z nim nagromadzone w ciągu dnia toksyny. Wziął jeszcze jeden wdech, i następny. Wreszcie opadł ciężko na stół operacyjny, nachylił się i nacisnął mocno skronie dłońmi zwiniętymi w pięści. „To nie musiało się zdarzyć” - słyszał w głowie zimny szept. Wspomnienie, jak siedział sobie na pokładzie „Plain Jane”, beztrąsko jedząc lunch i zabawiając się z mewami w czasie, gdy zdarzył się wypadek, sprawiło, że zrobiło mu się niedobrze. Przeklinał się za to, że w chwili wypadku nie było go na wyspie, że pozwolił zacząć, zanim przygotowano jego gabinet i sprzęt. Już drugi raz dał się zaskoczyć, drugi raz nie docenił mocy tej wyspy. Nigdy więcej - pomyślał, z wściekłością. Nigdy więcej.

Powoli powrócił spokój, a wraz z nim pojawiła się nieproszona myśl. Dziś po raz pierwszy od śmierci brata stanął na Ragged Island. W czasie akcji ratunkowej nie miał czasu się nad tym zastanawiać. W ciemniejącej sali operacyjnej, sam na sam z własnymi myślami, Hatch musiał zmobilizować wszystkie siły, by opanować dreszcze, które chciały zawładnąć jego ciałem.

## 9

Doris Bowditch, licencjonowana agentka obrotu nieruchomościami, stała na frontowych stopniach domu przy Ocean Lane numer 5, tryskając energią. Stare deski ganku zaskrzypiały, odwykłe od tego, by ktoś po nich chodził. Gdy pochyliła się, by otworzyć kluczem drzwi wejściowe, po jej ręku zsunęła się masa srebrnych bransoletek, a ich dzwonienie przywiodło Hatchowi na myśl dźwięk dzwonków przy saniach. Po chwili mocowania się z kluczem agentka przekręciła gałkę i z lekkim rozmachem otworzyła drzwi.

Hatch poczekał, aż kobieta przejdzie przez próg, zawahał się, po czym wszedł za nią do zimnego, ciemnego wnętrza domu. Uderzenie przyszło natychmiast, niczym cios w żołądek: ta sama woń starej sosny, kulek na mole i dymu z fajki. Choć nie czuł tego zapachu od dwudziestu pięciu lat, musiał zebrać wszystkie siły, by nie wyjść na zewnątrz, na słońce. Intensywny zapach dzieciństwa zburzył wzniesiony mur zapomnienia.

- Bardzo proszę! - rozległ się pogodny głos Doris, która zamknęła drzwi. - Piękny stary dom, prawda? Zawsze mówiłam, jaka to wielka szkoda, że tak długo był zamknięty! - Kobieta przeszła na środek pokoju, wdzięcznie kołysząc biodrami. - Co pan o tym sądzi?

- W porządku - powiedział Hatch, niepewnie robiąc krok do przodu. Frontowy salon wyglądał tak, jak go zapamiętał tego dnia, gdy matka ostatecznie dała za wygraną i wyjechała z nim do Bostonu: perkal prostych foteli, stara, obita materiałem sofa, reprodukcja okrętu HMS „Leander” nad gzymsem kominka, pionowe pianino Herkeimera z okrągłym taborettem i pleciony dywanik.

- Pompa została naprawiona - ciągnęła Doris, nieświadoma niczego. - Umyto okna, włączono prąd, zbiornik na propan napełniony. - Wyliczała poszczególne elementy, pomagając sobie palcami z pomalowanymi na czerwono paznokciami.

- Wygląda bardzo ładnie - powiedział Hatch roztargnionym głosem. Podszedł do starego pianina i przesunął palcami po klapie skrywającej klawisze, wspominając zimowe popołudnia, które spędzał, zmagając się z niektórymi wymysłami Bacha. Na półce koło kominka stał stary zestaw do gry w indyjską odmianę tryktraka. Obok leżała plansza do gry w monopol, przykrywka pudełka zapodziała się gdzieś już dawno temu, różowe, żółte i zielone prostokąty banknotów, tak zużyte od częstego używania. Na półce wyżej leżało kilka ponurych talii kart powiązanych gumkami. Hatch poczuł nowe ukłucie, gdy przypomniał sobie, jak grali z Johnnym, korzystając z zapalek zamiast żetonów, i jak kłócili się przy tym zawzięcie, fuli czy sekvens. Niczego nie brakowało, każdy bolesny obraz stał na swoim miejscu jak w muzeum pamięci.

Kiedy stąd wyjeżdżali, nie zabrali nic poza ubraniami. Mieli wyjechać tylko na miesiąc, taki był plan. Miesiąc zamienił się w porę roku, potem cały rok i wkrótce stary dom zamienił się w odległy sen: zamknięty, nie oglądany, nie wspominany, ale niezmiennie czekający. Hatch zastanawiał się, dlaczego matka nigdy nie sprzedała tego domu, nawet wtedy, gdy tak ciężko było im w Bostonie. I myślał także o własnych, pogrzebanych głęboko powodach podobnej niechęci, długo po śmierci matki.

Przeszedł do pokoju dziennego, podszedł do półokrągłego okna w wykuszu i zatopił spojrzenie w nieskończonym oceanie błękitu, połyskującego w porannym słońcu. Gdzieś tam, poza widnokretem, leżała Ragged Island, odpoczywająca po pożarciu pierwszej od ćwierć wieku ofiary. Po wypadku Neidelman przerwał wszelkie prace na jeden dzień. Hatch przeniósł wzrok na leżącą opodal ławkę, zieloną opończę biegnącą od domu w kierunku wybrzeża. Przypomnił sobie, że nie musi tego robić. Były inne miejsca, w których mógł się zatrzymać i które nie niosły ze sobą ciężaru wspomnień. Ale owe miejsca nie znajdowały się w Stormhaven. Jadąc tego ranka samochodem do domu, widział kilkunastu pracowników Thalassy zbitych w gromadkę przed jedynym pensjonatem w Stormhaven, chętnych do wynajęcia wszystkich pięciu pokoi. Westchnął. Tak długo, jak tu będzie, musi robić wszystko od początku do końca.

W promieniach wczesnego słońca wirowały drobiny kurzu. Gdy tak stał przy oknie, poczuł, jak przenosi się w czasie. Przypomnił sobie biwakowanie na łące, z Johnnym, ich śpiwory rozciągnięte na wilgotnej, pachnącej trawie, jak liczli spadające w ciemności gwiazdy.

- Czy otrzymał pan w zeszłym roku mój list? - wdarł się głos Doris. - Obawiałam się, że gdzieś się zawieruszył.

Hatch odwrócił się od okna, chcąc zrozumieć, o czym mówiła ta kobieta, ale dał za wygraną i znów odpłynął w przeszłość. W kącie leżała nie dokończona, spłowiała szydełkowa narzutka na krzesło. Wisiała też półka z książkami ojca - Richard Henry Dana, Melville, Slocum, Conrad, biografia Lincolna autorstwa Sandberga - i dwie półki niezwykłych angielskich opowiadań matki. Pod nimi stał stos wystrzępionych magazynów „Life” i żółte grzbiety egzemplarzy „National Geographic”.

Podryfował do jadalni, z szeleszczącą z tyłu agentką nieruchomości.

- Doktorze Hatch, wie pan, ile kosztuje utrzymanie takiego starego domu. Zawsze powtarzałam, że to za duży dom dla jednej osoby... - Pozwoliła myśli rozpląnąć się w szerokim uśmiechu.

Hatch obszedł powoli pokój jadalny, przesuwając dłonią po stole ze spuszczanym blatem, przebiegając wzrokiem wiszące na ścianach ryciny Audubon. Przeszedł do kuchni. Stała tam stara lodówka ozdobiona grubą, chromowaną lamówką. Nadal tkwiła na niej przyszpilona magnesem kartka papieru, skrecona i wyblakła. „Hej, Mamo! Prosimy o truskawki!” - napisał na niej dziecięcym pismem. Zatrzymał się przy stoliku, przy którym jadali śniadania, poznaczonym blacie i siedzeniach, przywołujących na pamięć obrazy bitw najedzenie; rozlanego mleka; wspomnienia ojca wyprostowanego i pełnego godności pośrodku przyjaznego rozgardiaszu, opowiadającego im powolnym głosem morskie historie, nad obiadem, który zdążył już wystygnać. I potem sami, tylko on i matka, przy stole: głowa matki pochylona z żalu, poranne słońce w jej siwych włosach, łyży wpadające do filiżanki z herbata.

- W każdym razie - ciągnął głos - w liście napisałam panu o tej młodej parze z Manchesteru, z dwójką dzieci. Przemiała para. Wynajmują dom Figginsów już od kilku sezonów, ale chcą coś kupić.

- Oczywiście, że chcą - zamruczał Hatch wymijająco. - Z kącika śniadaniowego rozciągał się widok na położoną z tyłu łąkę, gdzie jabłonie zdążyły już się rozrosnąć i zdziżyć. Przypomniały mu się letnie ranki, kiedy mgła leżała jeszcze na polach, i gdy raz jeleń wyszedł z lasu przed wschodem słońca, żeby najeść się jabłek, jak stapał przez tymotkę z nerwową precyzją.

- Jestem przekonana, że zapłacą powyżej dwustu pięćdziesięciu. Zadzwoić do nich? Oczywiście niezobowiązująco...

Z ogromnym wysiłkiem Hatch odwrócił się do niej.

- Co?

- Zastanawiałam się tylko głośno, czy nosi się pan z zamiarem sprzedaży.

Hatch zamrugął oczami.

- Sprzedaży? - zapytał z wolna. - Domu?

Uśmiech na twarzy Doris Bowditch pozostał nienaruszony, ale usta miała zamknięte.

- Pomyślałam sobie, że skoro jest pan kawalerem, to... wydawało mi się, wie pan, mało praktyczne. - Zawahała się, ale tkwiła na swoim stanowisku.

Hatch stłumił pierwszy odruch. W takim małym miasteczku jak Stormhaven trzeba uważać, co się mówi.

- Nie wydaje mi się - powiedział, bezbarwnym głosem. Wrócił do pokoju dziennego i szedł dalej, w stronę drzwi wejściowych, kobieta podążała za nim.

- Nie mówię, że od razu, oczywiście - zawołała pogodnie. - Jak znajdziecie skarb, wie pan... No cóż, to pewnie nie potrwa długo, prawda? Zwłaszcza przy takim wsparciu. - Na moment spochmurniała. - Ale czy to nie straszne! Wczoraj zabiło dwóch ludzi, coś takiego.

Hatch spojrzał na nią przeciągle.

- Dwóch ludzi? Wcale nie zginęło dwóch ludzi, Doris. Nie zginął nawet jeden. Był wypadek. Skąd o tym wiesz?

Doris wyglądała na nieco zdezorientowaną.

- Czemu pan pyta? Dowiedziałam się od Hildy McCall. Ona prowadzi salon kosmetyczny. W każdym razie, kiedy już dostanie pan wszystkie te pieniądze, nie będzie pan chciał tu zostać, więc można równie dobrze...

Hatch zrobił kolejny krok i otworzył przed nią drzwi wejściowe.

- Dziękuję ci, Doris - powiedział, zmuszając się do uśmiechu. - Dom jest w doskonałym stanie.

Kobieta zatrzymała się przy framudze. Zawahała się.

- A co do tego młodego małżeństwa. Mąż to bardzo dobry prawnik. Dwójka dzieci, rozumie pan, chłopiec i...

- Dziękuję - powtórzył Hatch nieco bardziej stanowczo.

- No cóż, bardzo proszę, oczywiście! Wie pan, nie wydaje mi się, żeby dwieście pięćdziesiąt tysięcy było nieodpowiednią sumą za letni...

Hatch wyszedł na ganek wystarczająco daleko, żeby musiała podejść, jeśli chciała, żeby ją usłyszał.

- Ceny nieruchomości idą teraz mocno w górę, doktorze Hatch - powiedziała, gdy znalazła się w przejściu. - Ale, jak zawsze powtarzam, nigdy nie wiadomo, kiedy spadną. Osiem lat temu...

- Doris, jesteś kochana i polecę cię wszystkim moim licznym przyjaciółom lekarzom, którzy chcą przenieść się do Stormhaven. Jeszcze raz dziękuję. Czekał na rachunek. - Hatch wycofał się szybko i zamknął drzwi cicho, ale zdecydowanie.

Czekał w salonie, zastanawiając się, czy kobieta będzie na tyle bezczelna, żeby skorzystać z dzwonka. Ona jednak postąpiła tylko niezdecydowanie przez dłuższą chwilę na ganku, po czym wróciła do swojego samochodu, powiewając fałdami obszernej sukni, z nieśmiertelnym uśmiechem nadal rozciągniętym na twarzy. Sześć procent prowizji od dwustu pięćdziesięciu tysięcy - pomyślał Hatch - to kupa pieniędzy jak na Stormhaven. Przypomniał sobie mgliście, że słyszał gdzieś, że jej mąż lubi zaglądać do butelki i że bank zajął mu łódź.



Przecież ona nie może wiedzieć, co czuję - pomyślał, starając się wzbudzić w sercu nieco współczucia w stosunku do Doris Bowditch, agentki nieruchomości.

Zasiadł na małym stołku przed pianinem i lekko wystukał pierwsze takty preludium e-moll Chopina. Był przyjemnie zaskoczony, słysząc, że pianino zostało nastrojone. Doris przynajmniej dokładnie wypełniła jego polecenia: Posprzątać dom, przygotować wszystko, ale niczego nie dotykać i nie przestawiać. Zagrał niczym we śnie całe preludium, *pianissimo*, starając się oczyścić umysł.

Trudno mu było zrozumieć, że nie dotykał tych klawiszy, nie siedział na tym stołku, czy nawet nie chodził po tej podłodze przez całe dwadzieścia pięć lat. Wszędzie, gdzie tylko spojrzał, dom skwapliwie podsuwał mu wspomnienia szczęśliwego dzieciństwa. Bo przecież było szczęśliwe. Tylko zakończenie okazało się nie do zniesienia. Gdyby tylko...

Stłumił zdecydowanie ten zimny, uporczywy głos.

Dwa trupy, jak powiedziała Doris. Niezła wyobraźnia, nawet jak na małomiasteczkowe plotki. Jak do tej pory miasto zdawało się akceptować przybyszów z pewnym rodzajem gościnnej ciekawości. Dla sklepów na pewno sytuacja była korzystna. Ale Hatch widział już, że ktoś musi wziąć na siebie obowiązki rzecznika Thalassy. W przeciwnym razie można było się spodziewać nie wiadomo jakich niestworzonych opowieści pochodzących ze sklepu Buda czy salonu Hildy. Zrezygnowany zrozumiał, że jest tylko jedna osoba, która nadaje się na to stanowisko.

Siedział przy pianinie przez kolejną, długą minutę. Przy odrobinie szczęścia okaże się, że stary Bill Banns nadal jest redaktorem miejscowej gazety. Westchnął ciężko i poszedł do kuchni, gdzie czekała na niego rozpuszczalna kawa, o ile Doris o niczym nie zapomniała, i działający telefon.

## 10

Grupa osób, które następnego ranka zebrały się wokół starego klonowego stołu w kabinie pilota na pokładzie „Griffina”, niczym nie przypominała hałaśliwego, ożywionego tłumu, który trzy dni temu wznosił wokół tej samej łodzi pełne entuzjazmu okrzyki. Gdy Hatch pojawił się na wyznaczonym spotkaniu, zastał członków niewielkiego zgromadzenia przygnębionych, wręcz zniechęconych wypadkiem.

Rozejrzał się po kabinie na łodzi Neidelmana. Biegące po łuku okna oferowały niezakłócony niczym widok na wyspę, morze i ląd. Wnętrze kabiny pilota wykonane zostało z brazylijskiego różanego drewna i mosiądzu. Było pięknie odnowione, z misternym wzorem paneli na suficie. W szklanej gablocie obok szafki na busolę stało urządzenie, które wyglądało na osiemnastowieczny holenderski sekstans, samo zaś koło sterowe wyrzeźbiono z egzotycznego czarnego drewna. Gablotki z różanego drewna stojące po obu stronach steru dyskretnie kryły zestaw nowoczesnego oprzyrządowania, łącznie z loranem, pomiarowym przyrządem nawigacyjnym, i ekranami sonarów oraz siatką do satelitarnego geopozycjonowania. Na tylnej ścianie kabiny umieszczono nie znane mu urządzenia elektroniczne. Sam kapitan jeszcze nie opuścił prywatnych pokoi poniżej. Niskie drewniane drzwi, znajdujące się z tyłu, między całą tą elektroniką, nadal były zamknięte. Nad drzwiami zawieszona do góry nogami na gwoździu tkwiła stara podkowa. Tam także znajdowała się mosiężna tabliczka z dyskretnym, ale wyraźnym napisem: PRYWATNE. W pokoju słychać było jedynie skrzypienie cumowniczych lin i łagodne pluskanie fal uderzających o burty.

Zajmując miejsce za stołem, Hatch przyjrzał się siedzącym przy nim ludziom. Kilku z nich spotkał już nieformalnie pierwszego wieczoru, ale pozostałych widział po raz pierwszy. Lyle Streeter, kierownik załogi, w odpowiedzi na powitalny uśmiech Hacha odwrócił wzrok. Najwyraźniej nie był kimś, kto lubi, jak na niego wrzeszczą. Hatch postanowił zapamiętać, że chociaż każdy lekarz rozpoczynający pracę w szpitalu wiedział, że krzyki, wrzaski i przekleństwa przy nagłych wypadkach należą do standardowej procedury, reszta ludzi nie była tego świadoma.

Z dołu dobiegł jakiś dźwięk i w drzwiach prowadzących do kabiny pojawił się kapitan. Oczy wszystkich spoczywały na nim, gdy szedł do stołu, by zająć miejsce u jego szczytu. Oparł się o blat obiema rękami i odpowiedział każdemu spojrzeniem w oczy. Napięcie wyraźnie spadło, jak gdyby wraz z jego przybyciem pojawiło się też źródło siły i kontroli. Gdy spojrział na Hacha, zapytał.

- W jakim stanie jest Ken?

- Poważnym, ale stabilnym. Istnieje pewne niebezpieczeństwo pojawienia się zatoru, ale pacjent znajduje się pod ścisłą obserwacją. Wie już pan pewnie, że nie udało się uratować nóg.

- Tak zrozumiałem. Dziękuję panu, doktorze Hatch, za uratowanie mu życia.

- Nie udałoby mi się to bez wsparcia pana Streetera i jego zespołu - odparł Hatch.

Neidelman skinął głową, pozwalając na chwilę ciszy. Następnie przemówił spokojnie i pewnie.

- Załoga dokonująca pomiarów działała zgodnie z moimi poleceniami, zachowując te wszelkie środki ostrożności, jakie uznałem za wskazane. Jeśli ktokolwiek ponosi winę za wypadek, to tylko ja. Dokonaliśmy generalnego przeglądu procedur bezpieczeństwa. To niefortunne wydarzenie zasmuciło nas wszystkich. Współczujemy Kenowi i jego rodzinie. Ale nie będzie żadnych wzajemnych oskarżeń.

Wyprostował się i założył ręce do tyłu.

- Każdego dnia - powiedział, już głośniej - będziemy podejmować ryzyko. Każdy z nas może stracić nogi lub życie. Niebezpieczeństwo jest bardzo realne, stanowi element tego, czym się zajmujemy. Gdyby wyciągnięcie dwóch miliardów z zamkniętego grobu było rzeczą łatwą, zrobiono by to już wiele lat temu. Wieki temu. Jesteśmy tu właśnie dzięki temu zagrożeniu. I już odebraliśmy pierwszy cios. Ale nie możemy pozwolić, by ostudziło to nasz entuzjazm. Nigdy przedtem żadnego skarbu nie ukryto z takim talentem czy przebiegłością. Będziemy musieli wykazać się jeszcze większymi umiejętnościami i przebiegłością, by go odzyskać.

Podszedł do najbliższego okna, spoglądał przez nie chwilę, po czym odwrócił się i rzekł:

- Jestem pewien, że większości z was szczegóły wypadku są już znane. Ken Field, którego grupa posuwała się, przeczesując wyspę, wpadł przez założony deskami otwór do szybu, wykopanego prawdopodobnie w połowie dziewiętnastego wieku. Lina asekuracyjna uchroniła go przed upadkiem, nie uderzył o dno szybu. Jednak podczas wyciągania lina zahaczyła o wystającą belkę, której podpory zdążyły z czasem zgnić. Pociągnięcie liny spowodowało wyrwanie belki, a to z kolei zawalenie i utworzenie wylomu do sąsiedniego, zalanego szybu.

Zamilkł na chwilę.

- Wiemy, jakie można z tego wyciągnąć wnioski. I sądzę, że wszyscy zdajemy sobie sprawę z naszych obowiązków. Jutro zaczynamy przygotowania do testowania szybu Water Pit za pomocą barwników. Celem tego zabiegu jest zlokalizowanie ukrytych tuneli

zalewowych prowadzących do morza. Potrzebne nam będą do tego sprawne, wcześniej przygotowane systemy komputerowe. Zestaw sonarów, sejsmometry, systemy tomograficzne oraz magnetometry protonowe muszą być gotowe przed rozpoczęciem prac. Sprzęt do nurkowania należy sprawdzić i przygotować na piętnastą. Co ważniejsze, chcę, aby pompy pracujące w parach były gotowe do testów przed końcem dnia.

Neidelman przyglądał się każdemu z obecnych przez krótką chwilę.

- Każda z osób siedzących przy tym stole, będąca członkiem zasadniczego zespołu, otrzyma zamiast pensji część skarbu. Zdajecie sobie sprawę, że jeśli nam się uda, wszyscy zostaniemy niezmiernie bogatymi ludźmi. To chyba nieźle jak na cztery tygodnie pracy, o ile zapomnimy o przypadku Kena Fielda. Jeśli ktokolwiek z was rozważa ewentualne odejście, teraz przyszła na to pora. Otrzymacie standardowe wynagrodzenie przewidziane przez Thalassę, ale nie udział w zyskach. Nie będzie wzajemnych żalów, żadnych pytań. Ale nie przychodźcie do mnie później, żeby powiedzieć, że zmieniliście zdanie. Przejdziemy przez to do końca, niezależnie od wszystkiego. Zabierzcie więc teraz głos.

Kapitan odwrócił się w stronę gabloty i wyciągnął z niej starą fajkę z wrzośca. Wyjął też puszkę tytoniu dunhill, wydobyl z niej szczyptę, umieścił w fajce, starannie ubił i zapalił drewnianą zapalką. Wszystkie te czynności celowo wykonywał powoli, pozwalając powstałej przy stole ciszy trwać jak najdłużej. Na zewnątrz wszechobecna mgła otaczająca Ragged Island jeszcze bardziej zgęstniała, podpełzając pod „Griffina” i owijając go niemal zmysłową pieszczotą.

W końcu kapitan spojrzał na zebranych i wyłaniając się z chmury błękitnego dymu, powiedział:

- Bardzo dobrze. Zanim zakończymy zebranie, chciałbym przedstawić wam wszystkim najnowszego członka naszej wyprawy. - Spojrzał na Hacha. - Doktorze, miałem nadzieję, że spotka się pan formalnie z członkami mojego zespołu w bardziej sprzyjających okolicznościach.

Wyciągnął rękę i zatoczył w powietrzu łuk.

- Jak większość z was wie, oto Malin Hatch, właściciel Ragged Island oraz współodpowiedzialny za przebieg tej operacji. Będzie naszym oficerem medycznym.

Odwrócił się.

- Doktorze Hatch, to Christopher St. John, historyk ekspedycji. - Okazał się nim ten sam mężczyzna o pulchnej twarzy, który dwa dni temu odpowiedział na jego spojrzenie z motorówki. Fala niesfornych, siwych włosów wieńczyła okrągłą głowę, a na pomiętym tweedowym garniturze widać było charakterystyczne ślady po kilku śniadaniach.

- Jak się pan przekona, jest on ekspertem w dziedzinie niuansów historii epoki elżbietańskiej i dynastii Stuartów, łącznie z piratami i wykorzystaniem szyfrów. A to...

Neidelman wskazał na niechlujnego młodzieńca w bermudach dłubiącego sobie w paznokciach z wyrazem wielkiego znudzenia na twarzy, z jedną nogą przerzuconą przez poręcz fotela.

- Kerry Wopner, nasz specjalista od komputerów. Kerry świetnie zna się na projektowaniu sieci i kryptoanalizie. - Surowo wpatrywał się w obu mężczyzn. - Nie muszę panu uświadamiać znaczenia drugiej części dziennika i jego rozszyfrowania, zwłaszcza w świetle niedawnej tragedii. Macallan nie może już mieć przed nami żadnych sekretów.

Kapitan wrócił do prezentacji.

- Poznał pan już wczoraj kierownika naszego zespołu, to Lyle Streeter. Jest ze mną od czasów, gdy pływaliśmy po Mekongu. A to... - Wskazał na niedużą, surową, szorstko wyglądającą kobietę w praktycznym stroju. - Sandra Magnusen. Główny inżynier Thalassy, specjalistka od zdalnych pomiarów. Przy końcu stołu siedzi Roger Rankin, nasz geolog.

Wskazał na postawnego, kudłatego mężczyznę siedzącego w fotelu co najmniej dwa razy na niego za małym. Jego oczy spotkały się z oczami Hacha, spontaniczny uśmiech sprawił, że jego blond broda rozdzieliła się. Geolog przyłożył dwa palce do czoła.

- Doktor Bonterre - ciągnął Neidelman - naszą archeolog i szefową zespołu nurków coś zatrzymało, ale będzie z nami dziś późnym wieczorem. - Zatrzymał się na chwilę. - O ile nie ma żadnych pytań, to wszystko. Dziękuję i do zobaczenia jutro rano.

Grupa rozdzieliła się, Neidelman obszedł stół i podszedł do Hacha.

- Na wyspie został zespół specjalny, który opracowuje siatkę topograficzną wyspy oraz obozu głównego - powiedział. - Pana oddział medyczny będzie gotowy przed świtem.

- To duża ulga - odparł Hatch.

- Prawdopodobnie chętnie zapoznałby się pan z większą ilością informacji na temat naszego projektu. Dziś po południu będzie na to czas. Może przyplynie pan na „Cerberusa”, powiedzmy, około czternastej? - Na jego ustach pojawił się lekki uśmiech. - Od jutra może tu już być gorąco.

## 11

Punktualnie o drugiej po południu „Plain Jane”, sunąc powoli po spokojnej wodzie, zostawiła za sobą ostatnie kosmyki mgły spowijającej Ragged Island. Hatch zauważył białą sylwetkę „Cerberusa” kołyszącego się na kotwicy, tę długą, elegancką super-konstrukcję, nisko zanurzoną w morzu. Blisko linii wody dostrzegł trap do przybijania, a przy nim wysoką, szczupłą sylwetką kapitana czekającego na jego przybycie.

Zamykając przepustnicę, Hatch skręcił i ustawił się bokiem do burty „Cerberusa”. W cieniu statku było chłodno, nic się nie poruszało.

- Ładną ma pan łódź - zawołał Hatch, zbliżając się z zamiarem przybicia obok kapitana. Przy wielkiej jednostce „Plain Jane” nagle wydała się karłem.

- Największa we flocie Thalassy - odpowiedział Neidelman. - To właściwie pływające laboratorium wraz z badawczym zapleczem. Tylko część sprzętu można będzie przewieźć na wyspę. Większe elementy wyposażenia - mikroskopy elektronowe i akceleratory cząsteczek węgla C-14, na przykład - zostaną na pokładzie statku.

- Byłem ciekaw, po co to działko na harpuny na dziobie - powiedział Hatch. - Polujecie od czasu do czasu na walenie błękitne, kiedy już załoga zgłodnieje?

Neidelman uśmiechnął się.

- Zdradza ono pierwotne przeznaczenie statku, drogi przyjacielu. Sześć lat temu zaprojektowała go, jako najnowocześniejszy statek wielorybiczny, pewna norweska firma. Kiedy ogłoszono powszechny zakaz polowań na wieloryby, statek zamienił się w kosztownego białego słonia, zanim jeszcze zdołano go wyposażyć. Thalassa złowiła go po wyśmienitej cenie. Wszystkie wyciągi na wieloryby i maszyny do patroszenia zostały usunięte, ale nikt nie wpadł na pomysł, by zdemontować działko na harpuny. - Skinął głową. - Niech pan wejdzie, zobaczymy, czym zajmują się chłopcy.

Hatch zacumował „Plain Jane” przy burcie „Cerberusa”, po czym przeszedł po trapie biegnącym od miejsca do cumowania do wejścia. Ruszył za Neidelmanem najpierw przez luk, a potem długim, wąskim korytarzem pomalowanym na jasnoszary kolor. Kapitan minął kilka pustych laboratoriów oraz pokój strażników, po czym zatrzymał się przed drzwiami z napisem „Stanowisko komputerowe”.

- Za tymi drzwiami znajduje się maszyny o mocy większej niż na przeciętnym małym uniwersytecie - oznajmił Neidelman z nutką dumy. - Ale nie wykorzystujemy jej tylko do złamania kodu cyfrowego. Mamy tu też doskonały system nawigacji oraz autopilota. W nagłych przypadkach statek może płynąć właściwie sam.

- Zastanawiałem się akurat, gdzie się wszyscy podziali - stwierdził Hatch.

- Na pokładzie przebywa tylko niezbędny personel. Tak samo jak na pozostałych jednostkach. Filozofia Thalassy polega na tym, by utrzymywać płynne zasoby zaplecza. W razie potrzeby możemy tu mieć już jutro tuzin naukowców. Albo kilkunastu kopaczy kanałów, jeśli już o to chodzi. Ale staramy się działać z wykorzystaniem jak najmniejszej, najbardziej kompetentnej grupy ludzi.

- I pewnie taniej to wychodzi - stwierdził zartobliwie Hatch. - Księgowi Thalassy muszą być w siódmym niebie.

- Nie chodzi tylko o to - odpowiedział Neidelman zupełnie poważnie. - Takie działanie jest też uzasadnione z punktu widzenia środków bezpieczeństwa. Nie ma sensu kusić losu.

Kapitan skręcił za rogiem i minął ciężkie metalowe drzwi, otwarte niemal na oścież. Zerknąwszy do środka, Hatch dostrzegł wiszące na kołkach na ścianach różne elementy wyposażenia ratunkowego. Był tam także stojak na śrutówki i dwa rodzaje mniejszej broni z lśniącego metalu, której nie udało mu się zidentyfikować.

- Co to takiego? - zapytał, wskazując na krótkie i grube, brzuchate urządzenia. - Wyglądają jak odkurzacze wielkości kufła do piwa.

Neidelman zajrzał do środka.

- Wieżyczki.

- Słucham?

- Coś w rodzaju pistoletu na gwoździe. Wystrzeliwiają niewielkie, zaopatrzone w brzechwy wolframowo-karbidowe kawałki drutu.

- Wydaje się, że bardziej to boli, niż jest groźne. Neidelman uśmiechnął się nieznacznie.

- Przy pięciu tysiącach serii na minutę wystrzeliwanych z prędkością ponad trzech tysięcy stóp na sekundę są wystarczająco groźne. - Zamknął drzwi i sprawdził klamkę. - Te drzwi nie powinny być otwarte. Muszę porozmawiać o tym ze Streeterem.

- Na cholerę one panu tutaj? - Hatch zmarszczył brwi.

- Niech pan pamięta, Malin, że „Cerberus” nie zawsze pływa po przyjaznych wodach, takich jak wiejskie okolice Maine - odparł kapitan, prowadząc go dalej korytarzem. - Często musimy pracować w obszarach, na których grasują rekiny. Kiedy znajdzie się pan twarzą w twarz z żarłaczem białym, szybko doceni pan możliwości wieżyczki. W zeszłym roku, na Morzu Koralowym, widziałem, jak jedno z takich urządzeń w półtorej sekundy poszatkowało rekina od łba do ogona.

Hatch wszedł za kapitanem po kilku stopniach na drugi pokład. Neidelman zatrzymał się na moment przed nie oznaczonymi drzwiami, po czym głośno zastukał.

- Jestem zajęty! - dobiegł ich kwękający głos. Neidelman obdarzył Hacha znaczącym spojrzeniem i otworzył drzwi. Ich oczom ukazał się słabo oświetlony przedział. Hatch wszedł za kapitanem do środka, potknął się o coś i rozejrzał dokoła, mrugając oczami, które przyzwyczajały się do kiepskiego oświetlenia. Zorientował się, że przeciwległa ściana i jej luki zostały całkowicie przesłonięte rzędami półek zastawionych elektronicznym sprzętem: oscyloskopami, procesorami i niezliczonymi wyspecjalizowanymi urządzeniami, których przeznaczenia Hatch nie był w stanie nawet się domyślić. Podłogę zaścierał do wysokości kostek dywan z pomiętych papierzysek, pustych puszek po napojach, papierków po słodyczach, brudnych skarpet i elementów bielizny. Okrętowa koja umieszczona na drugiej ścianie zawalona była spletaną pościelą, przy czym część jej znajdowała się na samym łóżku, a część na podłodze. Pośrodku tego chaosu siedziała wymięta postać w koszuli w kwiaty i bermudach, odwrócona do nich tyłem, wstukująca coś zawzięcie w klawiaturę.

- Kerry, możesz nam poświęcić chwilę? - zapytał Neidelman. - Przyprowadziłem doktora Hacha.

Wopner odwrócił się od ekranu i mrugnął najpierw w stronę Neidelmana, potem Hacha.

- Pan tu rządzi - stwierdził podniesionym, poirytowanym tonem. - Ale i tak wszystko musi być zrobione, powiedzmy, na wczoraj. - Z przekąsem wymówił słowo „wczoraj”. - Ostatnie czterdzieści osiem godzin spędziłem, ślęcząc nad założeniem sieci, i ani o pieprzony milimetr nie posunąłem się z szyfrem.

Neidelman uśmiechnął się pobłaźliwie.

- Jestem pewien, że razem z doktorem St. Johnem zdołacie poświęcić chwilę swojego cennego czasu starszemu wspólnikowi ekspedycji. - Zwrócił się teraz do Hacha. - Nie widać tego na pierwszy rzut oka, ale Kerry to niemal najbłyskotliwszy z pracujących poza NASA kryptoanalityków.

- Jasne - odezwał się Wopner, ale Hatch widział, że komplement sprawił mu prawdziwą przyjemność.

- Niezły tu macie sprzęt - powiedział Hatch, zamykając za sobą drzwi. - Czy to z lewej to CAT skaner?

- Bardzo śmieszne. - Wopner poprawił okulary na nosie i prychnął. - Zdaje się panu, że to coś specjalnego? To tylko system wspomagający. Główna konsola powędrowała wczoraj rano na wyspę. To dopiero jest coś.



- Czy testy działania w trybie bezpośrednim zostały zakończone? - zapytał Neidelman.

- Właśnie przeprowadzamy ostatnią serię - odpowiedział Wopner, odgarniając pukiel tłustych włosów i obracając się ponownie do komputera.

- Zespół kończy dziś po południu instalowanie sieci na wyspie - zwrócił się do Hacha Neidelman. - Jak powiedział Kerry, to jest system dodatkowy, stanowiący kopię sieci komputerowej na Ragged Island. Droga metoda, ale pomaga zaoszczędzić czas. Kerry, pokaż doktorowi, co mam na myśli.

- Tak jest. - Wopner uderzył w kilka klawiszy i ekran nad ich głowami rozbliżył. Hatch spojrział w górę. Na ekranie ukazał się siatkowy diagram Ragged Island, z wolna obracający się wokół centralnej osi.

- Wszystkie główne szlaki mają swoje duplikaty. - Kilka kolejnych uderzeń, a obraz wyspy pokryła warstwa zielonych linii. - Podłączone kablami światłowodowymi do centralnej piasty.

Neidelman pokiwał w stronę ekranu.

- Wszystko na wyspie, od pomp do turbin, kompresorów aż po wieże wiertnicze, podłączone jest za pomocą serwo mechanizmu do tej sieci. Będziemy w stanie kontrolować wszystko, co dzieje się na wyspie, z centrum dowodzenia. Jedno polecenie i pompy ruszają do pracy - kolejne polecenie wprawi w ruch kołowrót, jeszcze inne zapali światła w pana biurze i tak dalej.

- Tak, tak - wtrącił Wopner. - Genialne rozszerzenie z możliwością przesyłu do innych klientów. I wszystko elegancko naciągnięte, wierz mi pan, miniaturowe pakiety danych itede. To olbrzymia sieć - tysiące portów w jednej domenie kolizyjnej - i mimo to zero okresu uśpienia. Nie uwierzyłbyś pan, jakie ten niegrzeczny chłopczyk ma przyspieszenie.

- Mogę prosić po angielsku - powiedział Hatch. - Nigdy nie opanowałem komputerowego żargonu. Hej, a to co? - Pokazał inny ekran, wyświetlający właśnie widok z lotu ptaka czegoś, co wyglądało jak średniowieczna wioska. Małe figurki rycerzy i czarnoksiężników poustawiane w różnych formacjach ataku i obrony.

- To „Miecz Czarnego Ciernia”. Gra, którą zaprojektowałem. Można wcielać się w różne role. Jestem mistrzem lochów trzech gier *on-line*. - Wysunął dolną wargę. - Jakiś problem?

- Nie, jeśli kapitan go nie ma - odpowiedział Hatch, spoglądając na Neidelmana. Było jasne, że kapitan dawał swoim podwładnym wiele swobody. Odnosił też wrażenie, że - choć to mało prawdopodobne - kapitan darzył młodego ekscentryka autentyczną sympatią.

Rozległo się głębokie buczenie, po czym po jednym z ekranów zaczęła się przesuwać kolumna cyfr.

- W porządku - powiedział Wopner, patrząc przez zmrużone oczy na dane. - „Scylla” jest gotowa.

- „Scylla”? - zapytał Hatch.

- Aha. „Scylla” to system zainstalowany na pokładzie statków. Ten na wyspie to „Charybda”.

- Testowanie funkcji sieci zakończone - wyjaśnił Neidelman. - Jak już położymy wszystkie instalacje na wyspie, wystarczy tylko wrzucić do „Charybdy” samo oprogramowanie. Wszystko najpierw tutaj, dopiero potem przesyłamy na wyspę. - Spojrzał na zegarek. - Mam parę spraw, których muszę dopilnować. Kerry, wiem, że doktor Hatch chciałby dowiedzieć się czegoś więcej o pracy twojej i St. Johna nad szyframi Macallana. Malin, spotkamy się na pokładzie.

Neidelman wyszedł, zamykając za sobą drzwi.

Wopner wrócił do swojego maniackiego stukania w klawiaturę i przez minutę Hatch zastanawiał się, czy aby młody człowiek nie postanowił całkowicie go zignorować. Nie odrywając wzroku od terminala, Wopner podniósł but i rzucił nim o ścianę. W ślad za butem poleciała ciężka książka w papierowej okładce zatytułowana *Podprogramy sieci kodujących w C++*.

- Hej, Chris! - wrzasnął Wopner. - Pora na małe przedstawienie z pieskiem i kucykiem.

Hatch zdał sobie sprawę, że Wopner celował najprawdopodobniej w małe drzwi znajdujące się po drugiej stronie kajuty.

- Proszę mi pozwolić - powiedział, kierując się w stronę drzwi. - Nie trafił pan.

Po otwarciu drzwi Hatch ujrzał kolejną kajutę, identycznych rozmiarów, ale różniącą się od pierwszej pod każdym innym względem. Była dobrze oświetlona, czysta i przestronna. Anglik Christopher St. John siedział za drewnianym stołem na środku pokoju i powoli stukał w klawisze maszyny do pisania marki Royal.

- Witam - odezwał się Hatch. - Kapitan Neidelman zgłosił pana na ochotnika.

St. John wstał i podniósł z blatu kilka starych tomów; na jego gładkiej, maślanej twarzy malował się grymas niezadowolenia.

- To prawdziwa przyjemność powitać pana w naszym gronie, doktorze Hatch - powiedział, potrząsając ręką Hacha, ale wcale nie wyglądał na zadowolonego z tego, że przeszkodzą mu w pracy.

- Proszę mi mówić Malin - odrzekł Hatch.

St. John skłonił się lekko, idąc w ślad za Hatchem do pokoju Wopnera.

- Weź sobie krzesło, Malin - odezwał się Wopner. - Wyjaśnię ci, na czym polega moja prawdziwa robota, a Chris może ci opowiedzieć o tych wszystkich zakurzonych księgach, które podnosi i upuszcza w pokoju na tyłach. Wszak tworzymy duet. Prawda, starszku?

St. John zacisnął usta. Nawet tu, na morzu, Hatch wyczuwał otaczającą historyka specyficzną aurę kurzu i pajęczyn. Jego żywioł to antykwariat, a nie statek poszukiwaczy skarbów - pomyślał sobie.

Przesunął nogą stertę jakichś przedmiotów i przysunął sobie krzesło, które ustawił obok Wopnera. Ten pokazywał właśnie palcem jeden z pobliskich ekranów, chwilowo pusty. Kilka błyskawicznie wpisanych poleceń i ich oczom ukazał się cyfrowy obraz traktatu Macallana oraz jego zaszyfrowane marginalia.

- Herr Neidelman przeczuwa, że druga część dziennika zawiera zasadnicze informacje na temat skarbu - powiedział Wopner. - Realizujemy więc dwutorowe podejście do złamania kodu. Ja grzebię w komputerach, a ten tu Chris, w książkach.

- Kapitan wspomniał o wartości rzędu dwóch miliardów dolarów - odezwał się Hatch.

- Skąd ta liczba?

- A zatem - rzekł St. John, odchrząkując, jak przed wykładem. - Jak w przypadku większości piratów, flota Ockhama stanowiła kolekcję, miszmasz rozmaitych statków, które udało mu się zdobyć: dwa galeony, kilka brygantyn, szybki żaglowiec i, jak sądzę, duży okręt przeznaczony do handlu z Indiami Wschodnimi. Razem dziewięć statków. Wiemy, że były tak solidnie wyładowane, że manewrowanie nimi groziło niebezpieczeństwem zatopienia. Wystarczy po prostu porównać ich możliwości załadunkowe ze spisami towarów okrętów złupionych przez Ockhama. Wiemy na przykład, że Ockham samą tylko pancerną flotę hiszpańską ograbił z czternastu ton złota i dziesięć razy tyle srebra. Z innych statków zabrał ładunki lapis-lazuli, pereł, bursztynu, diamentów, rubinów, czerwonego chalcedonu, ambry, nefrytów, kości słoniowej i lignum vitae. Nie wspomnę o przedmiotach sakralnych, zrabowanych w miastach położonych wzdłuż hiszpańskich wybrzeży. - Nieświadomie poprawił muszkę, twarz promieniała przyjemnością, jaką czerpał z tej recytacji.

- Przepraszam, powiedziałaś czternaście ton złota? - zapytał Hatch, oniemiały.

- Zdecydowanie - odrzekł St. John.

- Pływający Fort Knox - stwierdził Wopner, oblizując usta.

- I jest jeszcze miecz świętego Michała - dodał St. John. - Dzieło nieocenionej wartości. Mamy tu do czynienia z największym zbiorem pirackich łupów, jakie kiedykolwiek

zgrupowano. Ockham był bystrym, utalentowanym i wykształconym człowiekiem, a przez to niebezpiecznym. - Wyciągnął z jednej z półek cienką plastikową teczkę i podał ją Hatchowi. - To jego biografia opracowana przez jednego z naszych badaczy. Wydaje mi się, że po lekturze przyznasz, iż legendy nic nie wyolbrzymiały. Cieszył się tak potworną reputacją, że wystarczyło, iż wpłynął ze swoim flagowym statkiem do portu, wywiesił piracką banderę i wystrzelił salwę z jednej burty, a wszyscy mieszkańcy, wraz z księdzem, już biegli na brzeg ze swoimi kosztownościami.

- A dziewice? - krzyknął Wopner, symulując zaciekawienie szeroko otwartymi oczami. - Co się z nimi działo?

St. John zamilkł i przymknął oczy.

- Kerry, czy mógłbyś?

- Ale naprawdę chciałbym wiedzieć - powiedział Kerry, udając niewiniątko.

- Wiesz doskonale, co się działo z dziewczynami. - St. John strzelił palcami i odwrócił się do Hacha. - Ockham miał na swoich dziewięciu statkach dwa tysiące ludzi. Potrzebował dużych załóg, żeby móc ładować i obsługiwać wielkie działa. Mężczyźni ci otrzymywali zazwyczaj dwadzieścia cztery godziny wolnego w nieszczęsnym mieście. Skutki były dość obrzydliwe.

- Więc nie tylko statki dysponowały dwunastocalowymi działami, jeśli rozumiecie, co mam na myśli. - Wopner uśmiechnął się lubieżnie.

- Sam widzisz, co muszę znosić - mruknął St. John do Hacha.

- Strasznie, strasznie mi z tego powodu przykro, mój stary - zareplikował Wopner, siląc się na angielski akcent. - Niektórzy to nie mają poczucia humoru - zwrócił się tym razem do Hacha.

- Sukces Ockhama - ciągnął żywo St. John - zaczął mu ciążyć. Nie wiedział już, jak ukryć tak ogromny skarb. Nie chodziło o kilka cetnarów złota w monetach, które można zakopać pod skałą. W tym momencie na scenę wkroczył Macallan. Pośrednio wkraczamy i my, ponieważ Macallan prowadził swój dziennik, posługując się szyfrem.

Poklepał książki, które trzymał pod pachą.

- To na temat kryptologii - powiedział. - Na przykład *Polygraphie* Johanna Trithemiusa, dzieło opublikowane pod koniec szesnastego wieku. Była to najświetniejsza rozprawa na temat łamania szyfrów. A ta książka to *De Furtivus Literarum Notis* Portasa, którą każdy elżbietański szpieg znał na pamięć. Mam jeszcze z pół tuzina innych, omawiających ówczesną sztukę kryptografii, do czasów Macallana.

- Mam wrażenie, że śmiało można je porównać z moimi podręcznikami z drugiego roku akademii medycznej.

- Prawdę mówiąc, są fascynujące - stwierdził St. John, a w jego głos na moment wkradł się entuzjazm.

- Czy pisanie szyfrem było w tamtych czasach popularne?

- zapytał zaciekawiony Hatch.

St. John zaśmiał się, wydając z siebie dźwięk przypominający szczekanie foki. Jego rumiane policzki zakołysały się leciutko.

- Popularne? Było właściwie powszechnie stosowane, należało do jednej z podstawowych umiejętności sztuki dyplomacji i sztuki wojennej. Zarówno brytyjski, jak i hiszpański rząd dysponowały departamentami specjalizującymi się w budowaniu i łamaniu szyfrów. Nawet niektórzy piraci mieli wśród członków swoich załóg ludzi umiejących je łamać. Ostatecznie dokumenty okrętowe zawierały wiele interesujących, tajnych informacji.

- Ale w jaki sposób zaszyfrowanych?

- Przeważnie polegało to na nadawaniu imion - powstawały długie listy substytutów słownych. Na przykład w wiadomości słowo „orzeł” mogło zastąpić słowa „król Jerzy”, a „żonkile” - „dublony”, o to chodziło. Czasami włączano proste alfabety substytuty, gdzie litera, cyfra lub symbol zastępowały jedną literę alfabetu, jeden do jednego.

- A szyfr Macallana?

- Pierwsza część dziennika spisana została dość sprytnym monofonicznym kodem substytucyjnym. Co do drugiej - cały czas nad nią pracujemy.

- To moja działka - odezwał się Wopner głosem, w którym słychać było dumę zmieszaną z zazdrością. - Wszystko jest w komputerze.

Uderzył w klawisz i na ekranie pojawił się długi strumień pozbawionych logicznego związku połączeń liter i cyfr:

AB3 RQB7 E50LA W IEW D8P OL QS9MN WX 4JR 2K WN I8N7 WPDO EKS  
N2T YX ER9 W DF3 DEI FK IE DF9F DFS K DK F6RE DF3 V3E IE4DI 2F 9GE DF W  
FEIB5 MLER BLK BV6 FI PET BOP IBSDF K2IJ BVF EIO PUOER WBI3 OPDJK LBL  
JKF

- To zaszyfrowany tekst pierwszego kodu - powiedział.

- Jak go złamaliście?

- Och, litości. Litery alfabetu angielskiego pojawiają się w określonym stosunku. Litera „E” występuje najczęściej, „Q” najrzadziej. Powstaje coś, co nosi nazwę kontaktowej mapy symboli kodowych i par liter. I proszę! Komputer zajmie się już resztą.

St. John lekceważąco machnął ręką.

- Kerry programuje ataki, jakie komputer przypuszcza na szyfr, ale to ja dostarczam danych historycznych. Bez takich tablic kodowych komputer jest bezsilny. Wie tylko tyle, ile się do niego wpisze.

Wopner okręcił się na krześle i wlepił wzrok w St. Johna.

- Bezsilny? Fakty są takie, że ta mamuśka złamałaby ten szyfr i bez twoich bezcennych tablic kodowych. Tylko potrwałoby to nieco dłużej, to wszystko.

- Tyle, ile dwudziestu małym stukającym na chybił trafił w klawiaturę zabrałoby napisanie *Króla Leara* - odpowiedział St. John, wybuchając kolejny raz szczekliwym śmiechem.

- Hau, hau. Nie dłużej niż potrzebowałby St. John piszący w swoim pokoiku jednym palcem na tej gównianej maszynie do pisania. Matko, spraw sobie laptop. I życie. - Wopner wrócił do Hatcha. - No cóż, żeby nie przeciągać, oto rozszyfrowany tekst.

Zaatakował klawiaturę, skutkiem czego ekran podzielił się na dwie części, po jednej stronie znalazł się szyfr, po drugiej czytelny tekst. Hatch z zapalem zaczął czytać.

„2 czerwca, Anno Domini 1696. Pirat Ockham zdobył naszą flotę, zatopił okręty i wyrzwał wszystkich. Nasi żołnierze skandalicznie złożyli broń bez walki, kapitan zaś zakończył żywot, becząc niczym niemowlę. Ocalono tylko mnie i, zakutego w kajdany, poprowadzono od razu do kajuty Ockhama, gdzie szubrawiec przyłożył mi do gardła pałasz i rzekł: Niech Bóg sam sobie postawi swój przeklęty kościół, mam dla ciebie nowe zlecenie. I położył przede mną umowę. Niech ten dziennik będzie przed Bogiem świadectwem, że odmówiłem jej podpisania...”

- Niesamowite - wydusił Hatch, gdy doczytał do końca ekranu. - Mogę przeczytać więcej?

- Wydrukuję dla pana kopię - odparł Wopner, uderzając w klawisz. Gdzieś w ciemnym pokoju zahuczała drukarka.

- Zasadniczo - powiedział St. John - rozszyfrowana część dziennika opisuje pojmanie Macallana, wyrażenie przez niego zgody pod groźbą śmierci na zaprojektowanie Water Pit, i znalezienie właściwej wyspy. Niestety, w chwili rozpoczęcia samej konstrukcji Macallan zmienia szyfr na inny. Sądzymy, że pozostała część dziennika zawiera opis projektu i

budowania samego szybu. I, oczywiście, kryje sekret dostępu do komnaty, w której spoczął skarb.

- Neidelman powiedział, że w dzienniku jest wzmianka o mieczu świętego Michała.
- A pewnie - wtrącił Wopner, waląc w klawisze. Pojawił się nowy tekst:

„Ockham zaczął rozładowywać trzy ze swoich okrętów, mając nadzieję na zdobycie kolejnych łupów na wybrzeżu. Dzisiaj na brzeg przyłynęła długa ołowiana trumna zdobiona złotem z tuzinem bezułek wypełnionych drogimi kamieniami. Korsarze mówią, że w trumnie spoczywa miecz świętego Michała, drogocenny skarb zrabowany z hiszpańskiego galeonu, który kapitan bardzo sobie ceni. Przeklinając haniebnie, przechwalał się, że to największa zdobycz Indii. Kapitan zabronił otwierać szkatuły, pilnuje jej dzień i noc. Ludzie stali się podejrzliwi, ciągle wdają się w spory. Gdyby nie okrutna dyscyplina zaprowadzona przez kapitana, obawiam się, że wszyscy źle by skończyli, i to wnet.

- A tak wygląda drugi szyfr. - Wopner uderzył kilka klawiszy i ekran znów się wypełnił:

```
348345902345823944389234923409234098569023467890239056234908393429086
399812349012849123400494903412089509868907347605783568496324098735078390457
092340458953904562348260256983458757670876450734059340389090890805645045560
34568903459873468907234589073908759087250 872345903569659087302
```

- Staruszek zmądrzał - powiedział Wopner. - Nie ma już przerw, więc nie możemy kierować się wielkością słów. A i wszystkie cyfry też nie układają się w widoczny sposób. Patrzcie tylko na tego dupka.

St. John skrzywił się.

- Kerry, musisz używać takiego słownictwa?

- Oj, muszę, stary przyku, muszę.

St. John spojrzał przepaszająco na Hacha.

- Jak dotąd - ciągnął Wopner - ten szczeniaczek opierał się wszystkim ślicznym tablicom kodowym Chrisa. Wziąłem więc sprawy w swoje ręce i zaprogramowałem brutalny atak. Szturm odbywa się właśnie teraz, kiedy tak sobie gawędzimy.

- Brutalny atak? - zapytał Hatch.

- No, wie pan. Algorytm, który biegnie przez zaszyfrowany tekst, wypróbując wszystkie wzory w kolejności określonej według zasady prawdopodobieństwa. To tylko kwestia czasu.

- Straconego czasu - stwierdził St. John. - Pracuję właśnie nad nowym zestawem tablic kodowych pochodzących z duńskiej księgi o kryptografii. Potrzeba nam jedynie nieco więcej historycznych badań, a nie czasu dla procesorów. Macallan był człowiekiem swojej ery, nie wziął szyfru z powietrza, musi istnieć jakiś historyczny precedens. Wiemy już, że nie jest to żaden wariant kodu Szekspirowskiego ani Różokrzyżowców. Jestem natomiast przekonany, że jakiś mniej znany szyfr z jednej z tych ksiązek podsunie nam potrzebną wskazówkę. To powinno być jasne nawet dla kogoś z najpośledniejszym ilorazem inteligencji.

- Wsadź go sobie w starą skarpetę, dobra? - powiedział Wopner. - Pogódź się z tym wreszcie, Chris, stara babo, że największa sterta ksiązek historycznych nie zgnie tego szyfru. Akurat to zadanie jest w sam raz dla komputera. - Poklepał najbliższej stojący egzemplarz. - Popamiętaj nas, nie, mamuśka?

Okręcił się na krześle i otworzył coś, co według Hacha było przytwierdzoną do ściany szpitalną zamrażarką, normalnie wykorzystywaną do przechowywania próbek tkanek. Wopner wyciągnął z niej lody.

- Ktoś chętny? - zapytał, wymachując dokoła.

- Prędeż sięgnę po hinduskie jedzenie na wynos serwowane na stacji benzynowej przy głównej autostradzie - odparł St. John z wyraźnym obrzydzeniem.

- Wy, Brytyjczycy, macie akurat na ten temat sporo do powiedzenia - wymamrotał Wopner z ustami pełnymi lodów. - Nadziewacie ciasto mięsem, na litość boską. - Zamachał lodowym waflem niczym pałaszem.

- Przykład idealnego posiłku. Tłuszcz, białko, cukier i węglowodany. Wspomniałem o tłuszczu? Na tym można żyć wiecznie.

- I pewnie tak z nim będzie - stwierdził St. John, zwracając się do Hacha. - Powinieneś zobaczyć, ile kartonów zmagazynował w okrętowej kuchni.

Wopner zachnął się.

- A co, myślicie, że znalazłbym w tym śmiesznym miasteczku dość zapasów, żeby zadbać o swoje potrzeby? Wątpię. Ślady poślizgu na mojej bieliźnie są dłuższe od ich głównej ulicy.

- Może powinieneś w tej sprawie zasięgnąć porady u proktologa - stwierdził Hatch, wywołując u St. Johna wdzięczny uśmiech. Anglik był najwyraźniej rad, że znalazł sobie sprzymierzeńca.



- Proszę się częstować, niech pan pobierze próbkę, doktorku. - Wopner wstał i odwróciwszy się do Hacha tyłem, wykonał gest, jak gdyby spuszczał spodnie.

- Chętnie, ale mam słaby żołądek - odparł Hatch. - A zatem nie przepadasz za wiejskim powietrzem Maine?

- Kerry nawet nie wynajął w mieście pokoju - powiedział St. John. - Woli spać na deskach.

- Wierście, ludzie - rzekł Wopner, kończąc lody - że nie lubię łodzi bardziej od tego cholernego zadupia. Ale tu mam wszystko, czego mi trzeba. Elektryczność, na przykład. Biejącą wodę. I klimatyzację.

Pochylił się, jego anemiczna bródka drżała, jak gdyby chciała znaleźć jakiś punkt zaczepienia. - Klima. Muszę ją mieć.

Hatch pomyślał sobie, już na własny użytek, że może to i lepiej, że Wopner, z tym swoim brooklyńskim akcentem i koszulami w kwiaty, nie miał powodów, żeby składać wizyty w miasteczku. Gdyby postawił w nim swoją stopę, wzbudziłby powszechne zdumienie, niczym wypchane, dwugłowe ciele przywożone co roku na wiejską wystawę. Zdecydował, że pora zmienić temat.

- Może to głupie pytanie, ale czym jest miecz świętego Michała?

Zapadła niezręczna cisza.

- No cóż, pomyślmy - odezwał się St. John, ściągając usta. - Zawsze zakładałem, że ma on wysadzaną drogimi kamieniami rękojeść, srebrną, pozłacaną pochwę, być może rowkowane ostrze, coś w tym rodzaju.

- Ale dlaczego Ockham stwierdził, że była to jego największa indyjska zdobycz?

St. John wydawał się nieco speszony.

- Prawdę mówiąc, nie zastanawiałem się nad tym. Obawiam się, że tak naprawdę, to nie wiem. Być może posiada on jakieś religijne lub mityczne znaczenie. Wiesz, jak hiszpański Excalibur.

- Ale jeśli Ockham miał tyle skarbów, ile powiedziałaś, po co przypisywałby mieczowi tak niezwykłą wartość?

St. John skierował parę szarych oczu na Hacha.

- Prawda jest taka, doktorze Hatch, że w żadnym z moich dokumentów nawet nie wspomina się o tym, czym jest miecz świętego Michała, tylko o tym, że był to starannie strzeżony, otaczany głęboką czcią przedmiot. Obawiam się zatem, że nie potrafię udzielić odpowiedzi na pańskie pytanie.

- A ja wiem, co to jest - stwierdził, uśmiechając się szeroko, Wopner.

- Co? - zapytał St. John, dając się złapać w pułapkę.

- Sam wiesz, jacy robią się faceci, gdy są tak długo na morzu. Kobiet brak, więc miecz świętego Michała... - Pozwolił frazie rozpląnąć się w lubieżnej ciszy, na twarzy zaś St. Johna pojawił się stopniowo wyraz zaskoczenia i obrzydzenia.

## 12

Hatch otworzył drzwi znajdujące się w głębi sypialni rodziców i wyszedł na zewnątrz, na mały ganek. Było zaledwie wpół do dziesiątej, ale Stormhaven pogrążone już było we śnie. W drzewach otaczających stary, dom szumiała cudowna letnia bryza, chłodząc jego policzek i bawiąc się włosami na karku. Położył dwie czarne teczki na zniszczonym deszczem i wiatrem bujanym fotelu i podszedł do poręczy.

Po drugiej stronie portu miasto opadało, znikając z oczu niczym spirala świateł staczająca się po zboczu wzgórza ulicami i skwerami do wody. Było tak spokojnie, że słyszał szuranie kamyków poruszanych falą, pobrzękiwanie want przy masztach koło mola. Nad drzwiami wejściowymi do delikatesów Buda świeciła samotna, blada żarówka. Błyszczał bruk ulic, odbijający światło księżyca. Dalej wysoka, wąska latarnia na Burnt Head mrugała ostrzegawczo ze szczytu urwiska.

Niemal zapomniał o tym wąskim, dwupoziomowym ganku, wciśniętym pod frontowy szczyt starego domu w stylu drugiego cesarstwa. Ale teraz, gdy tak stał przy poręczy, znów rozsypały się wspomnienia. Gra w pokera z Johnnym o północy, kiedy rodzice pojechali do baru „Harbor”, by świętować rocznicę, wyglądanie świateł wracającego samochodu, uczucie, że jest się jednocześnie niegrzecznym i już dorosłym. I później spoglądanie w dół w stronę domu Northcutt i wypatrywanie sylwetki Claire w oknie jej sypialni.

Claire...

Rozległy się śmiechy i krótka, cicha rozmowa. Hatch wrócił do teraźniejszości i spojrzał w dół, w kierunku pensjonatu. Dwaj pracownicy Thalassy weszli do środka, zamykając za sobą drzwi do salonu. I znów zapadła cisza.

Leniwie uniósł wzrok na rzędy budynków: biblioteka ze swoją fasadą z czerwonej cegły, mroczno różowa w zimnym, nocnym świetle; dom Billa Bannsa, porozciągany i zapadający się w cudowny sposób, jeden z najstarszych domów w miasteczku; a na samej górze, duży, z pokrytym gontem dachem, dom pastora kongregacji, gabinet pogrążony w ciemnościach, jedyny w swoim rodzaju.

Przez chwilę jeszcze zwlekał, spoglądając na morze, w kierunku gęstej niczym woal ciemności, skrywającej Ragged Island. A potem z westchnieniem wrócił na swój fotel, usiadł i sięgnął po ciemne teczki.

Najpierw ujrzał wydruk rozszyfrowanej części dziennika Macallana. Jak powiedział St. John, architekt w lakonicznym stylu opisywał swoje pojmanie i przymuszenie do pracy, którą miało być zaprojektowanie kryjówki dla łupu Ockhama, z której jedynie sam pirat byłby

w stanie coś wydobyć. Pogarda, jaką Macallan żywił w stosunku do kapitana pirackiego statku, jego niechęć do barbarzyńskiej załogi, przerażenie wywołane stosunkami opartymi na brutalności i rozwiązłości, wszystko to przebijało wyraźnie z każdej linijki tekstu.

Dziennik był krótki, więc szybko odłożył go na bok, zaciekawiony, co zawiera druga jego część i jak szybko Wopner zdoła złamać szyfr. Przed opuszczeniem kabiny musiał wysłuchać gorzkich narzekania programisty, jak to musi wykonywać dodatkowe obowiązki należące do technika komputerowego.

- Cholerne zakładanie sieci, robota dla hydraulika, a nie programisty. Ale kapitan nie zazna szczęścia, zanim nie okroi zespołu do samego siebie i Streetera. Kwestia bezpieczeństwa, chyba mnie szlag trafi. Nikt nie ukradnie tego skarbu. Niech pan tylko patrzy. Do jutra, jak już fizycznie zmontują fabrykę, wszyscy budowlańcy i asystenci inżyniera znikną. Przejdą do historii.

- To ma swoje uzasadnienie - odparł Hatch. - Po co trzymać tu niepotrzebnych ludzi? Poza tym ja osobiście chętniej zająłbym się leczeniem jakiegoś ciężkiego przypadku, zamiast siedzieć w takiej kabine i gapić się w płataninę liter.

Hatch przypomniał sobie, jak Wopner ścisnął wtedy usta w pogardliwym grymasie.

- To tylko świadczy o tym, jak dużo pan wie. Dla pana to mieszanina liter. Proszę posłuchać: Po jednej stronie tej mieszaniny siedzi ktoś, kto je zaszyfrował, patrzy tu i gra nam na nosie. To decydująca runda. Jak dojdziemy do właściwego algorytmu, dorwiemy i jego rodzinne klejnoty. Czasem gra idzie o dostęp do bazy danych kart kredytowych. A czasem o sekwencję wystrzelenia broni nuklearnej. Albo o klucz do drzwi prowadzących do skarbcza. Nic tak nie bierze jak gorączka łamania kodu. Kryptoanaliza to jedyna gra warta czasu prawdziwie inteligentnej istoty. Co sprawia, że w aktualnym towarzystwie czuję się samotny, uwierz mi pan.

Hatch westchnął i wrócił do czarnych teczek. Druga z nich zawierała krótką biografię Ockhama otrzymaną od St. Johna. Oparł się w fotelu, pozwolił księżycowej poświacie oświetlić kartki i wrócił do lektury.

## **13**

### **FRAGMENT SPECYFIKACJI**

Numer dokumentu: T14-A-41298

Szpula: 14049

Jednostka logiczna: JL-48

Badacz: T.T. Ferrel

Na prośbę: C. St. John

KOPIA 001Z 003

Copyright poniższego dokumentu należy do Thalassa Holdings, Inc. Korzystanie bez pozwolenia stanowi naruszenie Kodeksu karnego stanu Wirginia.

### **NIE POWIELAĆ**

### **SKRÓT BIOGRAFII EDWARDA OCKHAMA**

T.T. Ferrel, Thalassa-Shreveport

Edward Ockham urodził się w 1662 roku w Kornwalii, w Anglii, jako syn szlachcica, pomniejszego właściciela ziemskiego. Kształcił się w Harrow, następnie spędził dwa lata w Balliol College w Oksfordzie, zanim został wydalony przez dziekanów szkoły za nie określone pogwałcenie zasad.

10 Jego rodzina pragnęła, by podjął karierę w marynarce wojennej. W 1682 roku Ockham otrzymał stanowisko oficerskie i zaciągnął się na okręt jako porucznik floty śródziemnomorskiej, pod admirałem Poyntonem. Szybko awansował i wyróżnił się w kilku akcjach przeciwko Hiszpanom, po czym opuścił marynarkę i, po otrzymaniu listu kaperskiego od Admiralicji Brytyjskiej, został kapitanem prywatnego okrętu.

20 Po wielu sukcesach Ockham najwyraźniej zdecydował, że już dłużej nie życzy sobie dzielić się swoimi łupami z Koroną. Na początku 1685 roku zajął się handlem niewolnikami i prowadził statki z afrykańskiego wybrzeża Gwinei do Gwadelupy na Wyspach Windward. Po niemal dwóch latach dochodowych wojaży Ockham wpadł w pułapkę - port zablokowały dwa statki. Dla zmylenia przeciwnika Ockham podpalił własny statek, a sam uciekł na małym kutrze. Jednakże zanim

zbiegł, zarządził wszystkich niewolników znajdujących się na pokładzie. Reszta z czterystu niewolników, spętana kajdanami, zginęła w płomieniach. Jak wynika z dokumentów, przezwisko „Red Neck” Ockham zawdzięcza właśnie tamtemu czynowi.

30 Pięciu członków załogi Ockhama pojmano i odesłano do Londynu, gdzie zostali powieszani na szubienicy w Wapping. Jednak sam Ockham zbiegł do niesławnego rajy piratów w Port Royal na Karaibach, gdzie w 1687 roku przyłączył się do „Bractwa Wybrzeża”. [Por. dokument Thalassy P6- - B19-110292, Skarby piratów z Port Royal (rzekome)]

40 Przez ponad dziesięć kolejnych lat Ockham wsławił się jako najbardziej bezwzględny, sprzedajny i ambitny pirat działający na wodach u wybrzeży Nowego Świata. Wiele cieszących się złą sławą technik pirackich - takich jak przejście po desce, wykorzystanie czaszki i skrzyżowanych piszczeli w celu zastraszenia przeciwnika oraz żądanie okupu za cywilnych więźniów - można uznać za jego wynalazki. Gdy atakował miasta lub okręty, szybko przystępował do torturowania wszystkich, by tylko zdobyć informację, gdzie może być ukryte coś wartościowego. Imponujący zarówno fizycznie, jak i intelektualnie Ockham był jednym z niewielu kapitanów załóg pirackich, którzy żądali dla siebie dużo większej części zrabowanych skarbów niż ich załoga - i otrzymywali ją.

50 W czasie swoich rządów Ockham, będąc kapitanem piratów, zwyciężał, posługując się psychologią, taktyką i bezwzględnością. Gdy atakował ciężko ufortyfikowane hiszpańskie miasto Portobello na przykład, zmusił zakonnice z pobliskiego opactwa, by same umieściły oblężnicze maszyny i drabiny, domyślając się, że głęboki katolicyzm Hiszpanów powstrzyma ich przed oddaniem strzałów. Za broń wybrał sobie muszkiet, broń z krótką lufą, która wyrzucała z siebie po odpaleniu zabójczy deszcz ołowianych kulek. Często pod pretekstem konferowania stawiał przed swoim obliczem ojców obleganego miasta lub oficerów dowodzących z przeciwnego statku i podnosząc broń dzierzoną w obu dłoniach, likwidował całą grupę podwójnym wystrzałem.

70 Gdy jego głód zdobyczy nasilił się, tupet Ockhama wzrósł wprost proporcjonalnie. W 1691 roku podjął próbę oblężenia miasta Panama, która się nie powiodła. Wycofując się wzdłuż rzeki Chagres, dostrzegł stojący wcześniej w pobliskiej zatoce galeon, zmierzający teraz na otwarte morze, do Hiszpanii. Gdy dowiedział się, że okręt ten przewoził trzy miliony sztabek złota, Ockham rzekomo przysiągł, iż nigdy już nie wypuści z rąk żadnego galeonu.

80 W następnych latach Ockham skierował swoją uwagę w stronę hiszpańskiego złota, miast, które gromadziły jego zasoby, i statków, które je przewoziły. Zyskał taką biegłość w wyłapywaniu transportów złota, że niektórzy uczeni uważają, iż umiał łamać szyfry hiszpańskich kapitanów i posłów [Por. Dokument Thalassy Z-A4-050997]. W ciągu jednego tylko miesiąca szaleńczego

plądrowania osad hiszpańskich jesienią 1693 roku każdy z ośmiuset członków załogi Ockhama otrzymał, jako udział w łupach, sześćset sztabek złota.

90 W miarę jak Ockham zdobywał coraz większą władzę i coraz bardziej się go obawiano, nasilały się jego sadystyczne skłonności. Krążyły niezliczone opowieści o jego barbarzyńskich wręcz aktach okrucieństwa. Często po opanowaniu jakiegoś okrętu obcinał uszy oficerom, doprawiał je solą i octem, po czym zmuszał ofiary do ich zjedzenia. Zamiast trzymać swoich ludzi na wodzy podczas plądrowania miasta, podjudzał ich lubieżną furją, a potem puszczał wolno na bezbronych mieszkańców, rozkoszując się aktami przemocy. Gdy ofiary nie były w stanie zapewnić mużądanego okupu, opiekął je powoli na drewnianych roznach lub patroszył rozgrzanymi bosakami.

100 Największy sukces Ockhama odnotowano w 1695 roku, kiedy to mała armada jego statków pochwyła, splądrowała i zatopiła płynącą do Kadyksu flotę przewożącą srebrne i złote naczynia. Wartość zdobytego wtedy skarbu - w złotych sztabkach i kawałkach srebra, całych perłach i kamieniach - wyceniono wstępnie na ponad miliard dolarów.

101 Ostatnie lata życia Ockhama owiane są tajemnicą. W 1697 roku jego statek dowodzący znaleziono w okolicy Azorów.

Z załogą wymarłą na nie znaną przypadłość dryfował na wodach okolicznych wysp. Na pokładzie nie znaleziono żadnych skarbów i ówczesni uczeni uznali, że na krótko przed własną śmiercią ukrył je gdzieś na wschodnim wybrzeżu Nowego Świata. Choć krążyło wiele opowieści o różnym stopniu wiarygodności, najsilniejsze dowody wskazują na ewentualne trzy lokalizacje: île à Vache z Hiszpanii, Wyspę Palms w Karolinie Południowej i Ragged Island przy wybrzeżu Maine, siedemdziesiąt mil na północ od Monhegan.

Hatch pozwolił „Plain Jane” zwolnić, po czym zrzucił kotwicę dwadzieścia jardów od zawietrznej strony Ragged Island. Była szósta trzydzieści i słońce właśnie wychynęło zza horyzontu, rzucając na wyspę przymglone, złote światło. Po raz pierwszy od jego powrotu do Stormhaven ochronna mgła otaczająca wyspę całkowicie się podniosła. Wszedł do bączka, zapuścił motor i pokierował łódkę w stronę zbudowanego w wojskowym stylu pomostu przy głównym obozie. Już zrobiło się ciepło i wilgotno i w powietrzu czuć było pewną ociężałość, a to oznaczało pogorszenie pogody.

Gdy tak patrzył na okolicę, dawne obawy nieco straciły na sile. Przez ostatnie czterdzieści osiem godzin Ragged Island zmieniła się niemal nie do poznania. Wykonano olbrzymią pracę, zrobiono więcej, niż kiedykolwiek by przypuszczał, że jest możliwe. Żółta taśma z „miejsca zbrodni” wydzielala fragmenty wyspy o niestabilnej powierzchni, do spacerów wytyczono bezpieczne korytarze. Łąki powyżej wąskiego pasa kamiennej plaży przekształcono ze spowitej ciszą pustyni w miniaturowe miasto. W ciasnym kręgu ustawiono przyczepy i baraki. Za nimi dudnił wianuszek potężnych generatorów, nad którymi unosiły się w powietrzu dieslowskie spaliny. Jeszcze dalej przysiadły dwa olbrzymie zbiorniki paliwa. Zwoje białych plastikowych rur płynęły przez błotnisty teren, chroniąc linie przesyłowe danych i kable zasilające przed zanieczyszczeniami i nieświadomymi stopami. Pośrodku tego chaosu stała Wyspa Jeden, centrum dowodzenia, dwa razy szersza niż normalna przyczepa, upstrzona sprzętem do komunikacji i przekaźnikami.

Po zabezpieczeniu bączka Hatch przebiegł wzdłuż pomostu i ruszył w górę po wyboistej ścieżce. Po przybyciu do obozu minął składy i wszedł do baraku nazwanego MEDYCZNY, ciekaw swojego nowego biura. Było urządzone spartańsko, ale przyjemne, pachniało świeżą sklejką, spirytusem i galwanizowaną blachą. Przeszedł się po gabinecie, podziwiając nowy sprzęt, zaskoczony i zadowolony, że Neidelman zakupił wszystko, co najlepsze. Gabinet został kompletnie wyposażony, od zamykanego na klucz pełnego magazynku sprzętu po szafki z lekami i aparat do EKG. Niemal zbyt kompletnie, prawdę mówiąc: wśród zapasów medycznych w szafkach Hatch natknął się na kolonoskop, defibrylator, wymyślny elektroniczny licznik Geigera oraz cały wachlarz wyglądających na drogie elektronicznych gadżetów, których nie był w stanie zidentyfikować. Sam barak był większy, niż się zdawało z zewnątrz. Wydzielono w nim biuro, gabinet, a nawet izolatkę z dwoma łózkami. Z tyłu znajdowało się małe mieszkanie, w którym Hatch mógł spędzić noc w wypadku niepogody.



Wyszedł na zewnątrz i ruszył do Wyspy Jeden, ostrożnie omijając koleiny i bruzdy pozostawione przez bieżniki opon ciężkich pojazdów. W centrum dowodzenia zastał Neidelmana, Streetera oraz inżynier Sandrę Magnusen, pochylonych nad ekranem. Magnusen przypominała małego, skupionego żuka. Po jej niebieskiej od komputerowej poświaty twarzy przesuwały się linie danych, odbijając się w grubych szklach okularów. Cały czas wydawała się pochłonięta jedynie sprawami zawodowymi. Hatch odniósł wrażenie, że nie lubiła ludzi, także lekarzy.

Neidelman podniósł wzrok i skinął mu głową.

- Transfer danych ze „Scylli” zakończono przed kilkoma godzinami - powiedział. - Kończymy właśnie symulacje pracy pomp.

Odsunął się, by umożliwić Hatchowi spojrzenie na ekran.

#### SYMULACJA ZAKOŃCZONA O 06:39:45:21 WYNIKI DIAGNOSTYKA

STATUS SERWERA ŁĄCZĄCEGO	OK
TRANSMISJE CENTRUM	OK
TRANSMISJE SEKTORÓW	OK
ANALIZA STRUMIENIA DANYCH	OK
KONTROLA CENTRUM	OK
KONTROLA LOKALIZACJI	OK
STATUS POMP	OK
CZUJNIKI PRZEPIYWU	OK
PRZERYWANIE	
W NAGŁYCH PRZYPADKACH	OK
PAMIĘĆ	305385295
OPÓŹNIENIE PAKIETU	.000045
WERYFIKACJA CHECKSUM	
CHECKSUM Z LOKALIZACJI	OK
CHECKSUM ODCHYLEŃ	00.00000%
ODCHYLENIA ZE SCYLLI	00.15000%
ODCHYLENIA POPRZEDNIE	00.37500%
KOŃCOWY WYNIK	
SYMULACJA ZAKOŃCZONA SUKCESEM	

Magnusen zmarszczyła brwi.

- Czy wszystko w porządku? - zapytał Neidelman.

- Tak. - Inżynier westchnęła. - Nie. No cóż, nie wiem. Komputer niezbyt jasno określił parametry.

- To coś nowego - odpowiedział cicho Neidelman.

- Trochę ospale pracuje, zwłaszcza kiedy testowaliśmy nagłe przerwania. I proszę spojrzeć na te liczby przy odchyleniach. Sieć na wyspie pokazuje, że wszystko jest w normie. Ale przy symulacji, którą prowadziliśmy w systemie „Cerberusa”, pojawiły się dewiacje. Było ich jeszcze więcej w porównaniu z testem przeprowadzonym wczoraj w nocy.

- Jednak w granicach tolerancji?

Magnusen skinęła głową.

- Może to jakieś anomalie w algorytmach sum.

- Co za miły sposób poinformowania o tym, że mamy wirusa. - Neidelman zwrócił się do Streetera. - Gdzie jest Wopner?

- Śpi w „Cerberusie”.

- Obudź go. - Neidelman odwrócił się do Hacha i skinął w kierunku drzwi. Wyszli na zamglone słońce.

## 15

- Chciałbym panu coś pokazać - powiedział kapitan. I nie czekając na odpowiedź, ruszył, stawiając te swoje nieprawdopodobnie długie kroki. Sunął przez trawę, zostawiając po sobie jedynie smugę tytoniowego dymu z fajki i emanując pewnością siebie. Dwukrotnie zatrzymywany przez pracowników Thalassy, sprawiał wrażenie, że z chłodną precyzją dyryguje kilkoma operacjami równocześnie. Hatch rzucił się jego śladem i starał się utrzymać podobne tempo, przez co niemal nie był w stanie rozejrzeć się wokół i sprawdzić, jakie zaszły zmiany. Szli wytyczoną za pomocą lin ścieżką, sprawdzoną przez mierniczych Thalassy. Tu i ówdzie krótkie aluminiowe mostki spajały brzegi starych szybów i połączone zmurszałego terenu.

- Ładny poranek, w sam raz na spacer - wydyszał Hatch. Neidelman uśmiechnął się.

- Jak się panu podoba gabinet?

- Wszystko jak ze statku, w stylu bristolskim, dzięki. Mógłbym w nim leczyć populację całej wioski.

- W pewnym sensie będzie pan musiał - zabrzmiała odpowiedź.

Ścieżka pięła się po zboczu wyspy w kierunku centralnego wybrzuszenia terenu, miejsca, w którym zbiegała się większość starych szybów. Nad ich błotnistymi paszczami rozstawiono kilka aluminiowych platform i niewielkich żurawi. W tym miejscu główny szlak rozwidlał się na oznaczone sznurami ścieżki i oplatające stare wykopy. Skinąwszy głową w stronę samotnego mierniczego, Neidelman wybrał jedną ze środkowych ścieżek. Minutę później Hatch stał już nad krawędzią zięjącej dziury. Poza tym, że pracowało przy nim dwóch inżynierów, prowadzących na przeciwległej krawędzi pomiary za pomocą urządzenia, którego Hatch nie rozpoznał, szyb ten zdawał się identyczny z kilkunastoma innymi w najbliższej okolicy. Przez jego krawędź przewieszały się trawa i krzaki, opadając w ciemność i niemal całkiem zasłaniając spróchniałą belkę. Hatch ostrożnie wychylił się. Nie było tam nic, tylko ciemność. Z mrocznych czeluści wylaniał się olbrzymiej średnicy giętki, metalowy wąż, przemykał niczym płaz przez błotnisty teren i zniknął, zmierzając w kierunku odległego zachodniego wybrzeża.

- Owszem, niczego sobie szyb - stwierdził Hatch. - Szkoda, że nie przynieśliśmy ze sobą koszyka z prowiantem i tomiku poezji.

Neidelman uśmiechnął się, wyciągnął z kieszeni złożony wydruk komputerowy i wręczył go Hatchowi. Wydruk zawierał długą kolumnę dat z towarzyszącymi im liczbami. Jedną z par zaznaczono żółtym flamastrem: 1696 +40.

- Laboratorium „Cerberusa” zakończyło dziś wczesnym rankiem analizę węglową - powiedział Neidelman. - To wyniki testu. - Postukał palcem w zaznaczoną datę.

Hatch spojrział raz jeszcze, następnie oddał kartkę.

- Więc co to znaczy?

- Mamy go - powiedział cicho Neidelman. Na moment zapadła cisza.

- Water Pit? - Hatch sam dosłyszał nutkę niedowierzania we własnym głosie.

Neidelman pokiwał głową.

- Pierwszy szyb. Drzewa wykorzystywane do ocembrowania tego szybu ścięto około tysiąc sześćset dziewięćdziesiątego roku. Wszystkie pozostałe szyby datowano na okres od tysiąc osiemsetnego do tysiąc dziewięćset trzydziestego. Nie ma żadnych wątpliwości. To Water Pit zaprojektowany przez Macallana i wybudowany przez załogę Ockhama. - Wskazał w kierunku drugiej, mniejszej dziury, jakieś trzydzieści jardów dalej.

- Jeśli się nie mylę, tamten szyb to Boston Shaft, wykopany sto pięćdziesiąt lat później. Można tak twierdzić, ponieważ w dalszej części, po pierwszym stromym odcinku, spadek jest łagodniejszy.

- Ale tak szybko znaleźliście Water Pit! - powiedział zdumiony Hatch. - Dlaczego nikt wcześniej nie pomyślał o analizie węglowej?

- Ostatnim człowiekiem, który pod koniec lat czterdziestych kopał na tej wyspie, był pana dziadek. Metoda datowania za pomocą promieniotwórczego węgla wynaleziona została dopiero w następnym dziesięcioleciu. To tylko jedno z wielu technologicznych udogodnień, które znajdują tu zastosowanie w najbliższych dniach. - Zamachał ręką nad szybem. - Dziś po południu zaczniemy konstrukcję Orthanca. Komponenty już tu są, w doku z dostawami. Czekają na złożenie.

Hatch zmarszczył brwi.

- Orthanca? Neidelman roześmiał się.

- To urządzenie, które skonstruowaliśmy w zeszłym roku dla potrzeb akcji ratowniczej na Korfu. Stanowisko obserwacyjne ze szklaną podłogą zbudowane na szczycie dużego żurawia. Ktoś z tamtej załogi był miłośnikiem Tolkiena i nazwa pozostała. Podest jest wyposażony w kołowroty i zdalne sterowanie. Za pomocą elektroniki będziemy w stanie zajrzeć bestii prosto do gardła, dosłownie.

- A do czego służy ten wąż? - zapytał Hatch, kiwając głową w stronę szybu.

- Dziś rano przeprowadziliśmy test z farbą. Wąż podłączony jest do zespołu pomp na wschodnim wybrzeżu. - Neidelman spojrział na zegarek. - Za mniej więcej godzinę, kiedy przyływ dojdzie do poziomu zalewowego, zaczniemy wpompowywać dziesięć tysięcy

galonów morskiej wody do wnętrza Water Pit. Gdy strumień przepływu będzie już wystarczająco silny, wrzucimy do niego specjalny, intensywny barwnik. Gdy zacznie się odpływ, pompy pomogą wepchnąć barwnik do ukrytego kanału zalewowego Macallana i dalej, aż do oceanu. Ponieważ nie wiemy, z której strony wyspy pojawi się barwnik, wykorzystamy zarówno „Naiadę”, jak i „Grampus”, żeby skontrolowały przeciwległe krańce wyspy. Pozostanie nam tylko mieć oczy szeroko otwarte i wypatrywać miejsca, w którym przy brzegu pojawi się farba, a potem wysłać tam nurków i zamknąć wyjście tunelu za pomocą materiałów wybuchowych. Gdy już odetniemy dopływ morskiej wody, będziemy w stanie wypompować wodę i osuszyć całą konstrukcję. Szyb Macallana straci swoje kły. Od tego momentu do piątku pan i ja będziemy już mogli zejść na dół odziani tylko w sztormiak i kalosze. Wtedy niczym nie niepokojeni przystąpimy do ostatecznego wydobywania skarbu.

Hatch otworzył usta, po czym zamknął je, potrząsając głową.

- Co? - powiedział Neidelman, wyraźnie rozbawiony. Jego blade oczy lśniły w złotej poświacie wschodzącego słońca.

- Nie wiem. Wszystko dzieje się tak szybko, tylko tyle. Neidelman wziął głęboki wdech i przyjrzał się toczącym się na wyspie pracom.

- Sam pan to powiedział - odparł po chwili. - Nie mamy dużo czasu.

Przez chwilę stali w milczeniu.

- Lepiej wracajmy - odezwał się wreszcie Neidelman. - Poprosiłem, żeby „Naiada” przyплыnęła po pana. Będzie pan mógł obserwować próbę z barwnikiem z jej pokładu. - Mężczyźni odwrócili się i ruszyli w stronę głównego obozu.

- Zebrał pan dobrą ekipę - powiedział Hatch, patrząc na postacie w dole poruszające się w zorganizowany, precyzyjny sposób po pokładzie wyładunkowym.

- Tak - mruknął Neidelman. - Ekscentrycy, czasami trudni, ale wszyscy to dobrzy fachowcy. Nie otaczam się potakującymi manekinami. W tej branży to zbyt niebezpieczne.

- Ten gość, Wopner, z pewnością jest dziwny. Przypomina mi nieznośnego trzynastolatka. Albo niektórych znajomych chirurgów. Naprawdę jest taki dobry, jak mu się zdaje?

Neidelman uśmiechnął się.

- Pamięta pan skandal w tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątym drugim roku, kiedy to wszyscy emeryci w pewnej części Brooklynu dostali z ubezpieczeń społecznych czeki z dwoma dodatkowymi zerami?

- Mgliście.

- To Kerry. Odsiedział za to trzy lata w Allenwood. Alej jest na tym punkcie przewrażliwiony, więc proszę unikać więziennych żartów.

Hatch gwizdnął.

- Chryste Panie.

- Jest równie dobrym kryptoanalitykiem jak hakerem. Gdyby nie te gry *on-line*, których nie chce porzucić, byłby idealnym pracownikiem. Niech pana nie zmyli jego osobowość. To dobry człowiek.

Zbliżali się już do obozu i jak na zawołanie Hatch dosłyszał płaczliwy głos Wopnera dochodzący z przyczepy Wyspy Jeden.

- Obudziliście mnie z powodu przecucia? Setki razy puszczałem ten program na „Scylli” i wszystko szło idealnie. Idealnie. Prosty program dla prostych ludzi. Zajmuje się tylko puszczeniem w ruch tych durnych pomp.

Odpowiedź Magnusen zagłuszył łoskot silnika „Naiady”, która wślizgnęła się na koniec doku. Hatch pobiegł po swoją lekarską torbę, po czym wskoczył na pokład mocarnej, dwusilnikowej motorowej łodzi. Z tyłu czekał „Grampus”, który miał zabrać Hacha i zająć pozycję po drugiej stronie wyspy.

Hatch z przykrością stwierdził, że twarz Streetera, stojącego za sterem „Naiady”, zdawała się całkowicie pozbawiona jakiegokolwiek wyrazu. Była surowa niczym granitowa maska. Rozważał przez chwilę, czy stał się jego wrogiem, ale odsunął tę myśl. Streeter sprawiał wrażenie profesjonalisty, i tylko to się liczyło. Jeśli nadal czuł się dotknięty z powodu jego zachowania w czasie akcji ratunkowej, to trudno.

Przed nim w zadaszonej części łódki dwójka nurków sprawdzała swój sprzęt. Farba nie mogła utrzymywać się na powierzchni zbyt długo. Jeśli chcieli znaleźć podwodny tunel zalewowy, musieli działać szybko. Obok Streetera stał geolog Rankin. Na widok Hacha uśmiechnął się szeroko i podszedł, biorąc jego rękę w żelazny uścisk wielkiej, włochatej dłoni.

- Hej, doktorze Hatch! - powiedział, a białe zęby błysnęły w gęstej brodzie. Długie włosy zaczesał w koński ogon. - O rany, ale ma pan fascynującą wyspę.

Hatch zdążył już wysłuchać kilku wariantów takich uwag z ust innych pracowników Thalassy.

- No cóż, pewnie dlatego wszyscy tu teraz jesteśmy - odparł z uśmiechem.

- Nie, nie. W sensie geologicznym.

- Naprawdę? Zawsze myślałem, że niczym się nie różni od pozostałych, po prostu wielka granitowa skała w oceanie.

Rankin sięgnął do kieszeni kamizelki przeciwdeszczowej i wydobyl z niej coś, co wyglądało na garść chrupków.

- Nie, do licha. - Zaczął żuć. - Granitowa? Łupki błyszczu magnezjowego, silnie przeobrażona skała. Poszatkowana, z licznymi uskokami. A na szczycie pagórek polodowcowy. Dzicz, człowieku, kompletna dzicz.

- Pagórek lodowcowy?

- Zdecydowanie dziwaczny rodzaj wzgórze polodowcowego, z jednej strony spiczasty, a z drugiej zwężający się ku dołowi. Nikt nie wie, jak się formują, ale gdybym sam nie miał o tym pojęcia, powiedziałbym...

- Nurkowie, przygotować się. - Przez radio dotarł do nich głos Neidelmiana. - Wszystkie stanowiska, zameldować się w kolejności.

- Stanowisko monitorujące, odbiór - zaskrzeczała Magnusen.

- Stanowisko komputerowe, odbiór. - Zabrział w radioodbiorniku głos Wopnera, który był najwyraźniej znudzony i rozdrażniony.

- Obserwator „Alfa”, odbiór.

- Obserwator „Beta”, odbiór.

- Obserwator „Gamma”, odbiór.

- „Naiada”, odbiór - rzucił Streeter w stronę radia.

- „Grampus” potwierdza - odezwał się Neidelman. - Zajmować pozycje.

„Naiada” zaczęła nabierać prędkości. Hatch sprawdził na zegarku godzinę: ósma dwadzieścia. Zaraz zacznie się odpływ. Gdy kładł swoją torbę, z kabiny wyszło dwoje nurków, śmiejąc się z jakiegoś żartu. Jednym z nurków był wysoki, szczupły mężczyzna z ciemnym wąsem. Miał na sobie cienką, neoprenową piankę tak obcisłą, że żaden element jego anatomii nie pozostawiał wątpliwości co do swojego faktycznego kształtu.

Drugi nurek, kobieta, odwróciła się i dostrzegła Hacha. Na jej ustach pojawił się figlarny uśmiech.

- Ach! Tajemniczy pan doktor?

- Nie wiedziałem, że jestem tajemniczy - odparł Hatch.

- Ale to jest straszna wyspa doktora Hacha, *non?* - powiedziała, wskazując na ląd i wybuchając perlistym śmiechem. - Mam nadzieję, że nie zranię pana uczuć, unikając jego zabiegów.

- Sam mam nadzieję, że ich pani uniknie - powiedział: Hatch, który mimo chęci nie zdołał wymyślić nic mniej bezsensownego. Na jej oliwkowej skórze lśniły kropelki wody,

piwne oczy rzucały złote iskierki. Nie może mieć więcej niż dwadzieścia pięć lat - stwierdził Hatch. Mówiła z egzotycznym akcentem

- Francuzka, pewnie z wysp.

- Nazywam się Isobel Bonterre - powiedziała, ściągnając neoprenową rękawiczkę i wyciągając rękę. Hatch przyjął ją. Była zimna i mokra.

- Ależ ma pan gorącą dłoń! - wykrzyknęła.

- Cała przyjemność po mojej stronie - powiedział z pewnym opóźnieniem Hatch.

- Więc to pan jest tym byстрыm lekarzem z Harvardu, o którym opowiadał Gerard - stwierdziła, patrząc mu prosto w oczy.

- Bardzo pana lubi, wie pan. Hatch poczuł, że się czerwieni.

- Miło mi to słyszeć. - Nigdy się tak naprawdę nie zastanawiał nad tym, czy Neidelman go lubi, ale nie wiadomo dlaczego, zrobiło mu się miło. Kątem oka pochwycił pełne nienawiści spojrzenie, które rzucił mu Streeter.

- A ja się cieszę, że mamy pana na pokładzie. Zaoszczędzę sobie trudu poszukiwań.

Zmarszczone brwi Hacha zasygnalizowały, że nie rozumie.

- Będę się zajmować lokalizowaniem starego obozowiska piratów, prowadzić wykopaliska. - Rzuciła mu przebiegłe spojrzenie. - Ta wyspa to pana własność, *non!* Gdzie rozbiłby pan obóz, gdyby miał pan na niej spędzić trzy miesiące?

Hatch zastanowił się przez chwilę.

- Pierwotnie wyspa była gęsto porośnięta świerkami i dębami. Przypuszczam, że musieli wyrąbać polanę po zawietrznej stronie. Na brzegu, gdzie cumowały łodzie.

- Brzeg od zawietrznej? Ale czy to by nie znaczyło, że w pogodny dzień można ich było dostrzec ze stałego lądu?

- No cóż, przypuszczalnie tak. Wybrzeże było już w tysiąc sześćset dziewięćdziesiątym szóstym zamieszkane, choć z rzadka.

- I musieliby trzymać straż od strony nawietrznej, *n'est-ce pas*”? Bo zdołałby ich dostrzec każdy okręt.

- Tak, zgadza się - powiedział Hatch wzięty w krzyżowy ogień pytań. Jeśli zna wszystkie odpowiedzi, po co w ogóle mnie pyta? - Główny trakt transportowy z Halifaxu do Bostonu wiódł właśnie tędy, przez zatokę Maine. - Zamilkł. - Ale jeśli wybrzeże było zamieszkane, w jaki sposób udało im się ukryć dziewięć statków?

- Sama się nad tym zastanawiałam. O dwie mile stąd znajduje się bardzo głęboka zatoczka zasłonięta wyspą.

- Czarna Zatoka.



- *Exactement.*

- To prawdopodobne - odparł Hatch. - Czarna Zatoka pozostawała nie zasiedlona aż do połowy osiemnastego wieku. Załoga robotników i Macallan mogli mieszkać na wyspie, statki zaś nie zauważone czekały w zatoce.

- W takim razie, nawietrzna! - powiedziała Bonterre. - Bardzo mi pan pomógł. Teraz muszę się przygotować. - Wszelkie uporczywe poirytowanie, które odczuwał Hatch, rozplynęło się pod wpływem olśniewającego uśmiechu pani archeolog. Zebrała włosy i nasunęła na nie kaptur, potem nałożyła maskę. Drugi nurek, który podszedł, żeby zamocować jej butle z tlenem, przedstawił się jako Sergio Scopatti.

Bonterre obrzuciła mężczyznę z góry na dół taksującym spojrzeniem, jak gdyby widziała go po raz pierwszy.

- *Grande merde du noir* - wymruczała żarliwie. - Nie wiedziałam, że Speedo robi pianki.

- Włosi wszystko robią zgodnie z wymogami mody - zaśmiał się Scopatti. - *molto svelta.*

- Jak się spisuje moja kamera? - Bonterre zawołała przez ramię do Streetera, stukając w małą kamerę przymocowaną do maski.

Streeter przesunął dłonią po szeregu przełączników i na konsoli ożył włączony ekran wideo, pokazując kołyszącą się lekko, uśmiechniętą twarz Scopattiego.

- Patrz gdzie indziej - powiedział Scopatti do Bonterre.

- Albo popsuję ci tę kamerę.

- W takim razie popatrzę sobie na doktora - odparła Bonterre i Hatch ujrzał na ekranie własną twarz.

- To nie tylko popsuje kamerę, ale rozsadzi wręcz obiektyw

- odpowiedział Hatch, zastanawiając się, czy to ta kobieta była przyczyną tego, że kompletnie nie mógł znaleźć słów.

- Następnym razem ja włączę aparat - powiedział Scopatti, jęcząc żartobliwie.

- Nigdy - odparła Bonterre. - To ja jestem słynnym archeologiem, a ty tylko tanią, najętą włoską siłą roboczą.

Scopatti wyszczerzył zęby w uśmiechu, wcale nie obrażony. Rozległ się głos Neidelmana:

- Pięć minut do odwrotu przyływu. Czy „Naiada” jest na swojej pozycji?

Streeter potwierdził.

- Panie Wopner, czy nie było problemów z uruchomieniem programu?

- *No problemo*, kapitanie - zabrzmiał nosowy głos. - Teraz wszystko działa. Skoro już tu jestem, znaczy się.

- Rozumiem. Doktor Magnusen?

- Pompy zalane, w gotowości, kapitanie. Załoga zakomunikowała, że bomba z farbą została zawieszona nad Water Pit, mechanizm zdalnego sterowania na swoim miejscu.

- Doskonale. Doktor Magnusen, zrzuć pani bombę na mój sygnał.

Ludzie na „Naiadzie” umilkli. Para nurzyków zafurkotała obok łodzi, lecąc nisko nad powierzchnią wody. Po drugiej stronie wyspy Hatch rozpoznał sylwetkę „Grampusa”, płynącego po równej fali zaraz za skalnymi występami. W powietrzu czuło się, że coś się zdarzy. Narastało podniecenie.

- Średni wysoki przyptyw - rozległ się głos Neidelmanna. - Włączyć pompy.

Po wodzie rozszedł się warkot pomp. Jak gdyby w odpowiedzi wyspa jęknęła i kaszlnęła powracającą falą. Hatch wzdygnął się mimo woli - jeśli coś jeszcze wzbudzało w nim przerażenie, to właśnie ten dźwięk.

- Pompy na poziomie dziesięć - usłyszał głos Magnusen.

- Niech pracują miarowo. Panie Wopner?

- „Charybda” reaguje normalnie, kapitanie. Wszystkie systemy w granicach zwykłej tolerancji.

- Bardzo dobrze - stwierdził Neidelman. - Kontynuujmy. „Naiada”, jesteście gotowi?

- Potwierdzam - powiedział do mikrofonu Streeter.

- Czekajcie spokojnie, wypatrujcie miejsca, w którym wypłynie farba. Obserwatorzy gotowi?

Rozległ się chór potakiwań. Spojrzawszy w kierunku wyspy, Hatch dostrzegł kilka drużyn z lornetkami, rozstawionych wzdłuż urwisk.

- Pierwszy, który zauważy farbę, dostanie premię. W porządku, zrzucać ładunek z barwnikiem.

Na chwilę zapadła cisza, po czym od strony okolic Water Pit dobiegł słaby odgłos pacnięcia.

- Farba spuszczone - powiedziała Magnusen.

Wszyscy zaczęli wpatrywać się w łagodnie falującą powierzchnię oceanu. Woda była ciemna, niemal czarna, ale ponieważ było bezwietrznie, a powierzchnia falowała tylko nieznacznie, panowały wręcz idealne warunki. Mimo że prąd wsteczny był coraz silniejszy, Streeter utrzymywał łódź w miejscu, sprawnie manewrując przepustnicą. Minęła minuta, następna, słychać było jedynie warkot pomp wlewających wodę morską do szybu Water Pit,

pompujących farbę przez serce wyspy do morza. Bonterre i Scopatti czekali na rufie milcząco i czujni.

- Barwnik na dwudziestym drugim stopniu - rozległ się nagły głos jednego z obserwatorów na wyspie. - Sto czterdzieści stóp od brzegu.

- „Naiada”, to wasz kwadrant - powiedział Neidelman. - „Grampus” podpłył do was jako wsparcie. Doskonała robota! - Przekaz przyniósł ściszony odgłos wiwatów.

Tam właśnie widziałem wir - pomyślał sobie Hatch.

Streeter okręcił łódź, przyspieszył i już po chwili w odległości mniej więcej trzystu jardów Hatch dostrzegł jasną plamę na powierzchni oceanu. Zarówno Bonterre, jak i Sergio założyli już maski i regulatory, i czekali przy okrężnicach z kuszami w dłoniach i bojkami przy pasach, gotowi do skoku przez burtę.

- Barwnik na dwieście dziewięćdziesiątym siódmym stopniu, sto czterdzieści stóp od brzegu - rozległ się głos kolejnego z obserwatorów, przebijając się przez wrzawę wiwatów.

- Co? - odezwał się Neidelman. - Chcesz powiedzieć, że farba pokazała się w innym miejscu?

- Potwierdzam, kapitanie. Zaskoczeni, na chwilę zamilkli.

- Wygląda na to, że mamy do zamknięcia dwa zalewowe tunele - stwierdził Neidelman. - „Grampus” zajmie się drugim. Do roboty.

„Naiada” zbliżała się do wirującej żółtej farby wydobywającej się na powierzchnię zaraz po wewnętrznej stronie raf. Streeter zdławił przepustnicę i pozwolił łodzi krążyć na luzie. Nurkowie znaleźli się za burtą. Hatch ze zniecierpliwieniem zwrócił się w stronę ekranów, ramię w ramię z Rankinem. Początkowo na przekaz wideo składały się jedynie chmury żółtej farby, potem obraz stał się bardziej wyraźny. Na mrocznym dnie rafy idi oczom ukazała się duża, szeroka szczelina, plująca, niczym ogniem, żółtą farbą.

- *Le voilà!* - Z kanału kamery doszedł podniecony głos Bonterre. Obraz dziko skakał, gdy płynęła w kierunku szczeliny, wstrzeliła w pobliską skałę zaczep i przymocowała do niego nadmuchiwaną boję. Boja strzeliła w górę, Hatch wyjrzał przez poręcz w samą poręcz, by zobaczyć, jak wyskakuje na powierzchnię z małą słoneczną baterią i sterzącą na czubku anteną.

- Oznaczone! - powiedziała Bonterre. - Przygotowuję ładunki wybuchowe.

- Patrz na to. - Rankin wstrzymał oddech, przesuwał wzrokiem od wideo do sonara i z powrotem. - Promienisty uskok. Wystarczyło, że przeprowadzili tunel wzdłuż istniejących pęknięć skalnych. A jednak to niesamowite, jak na siedemnastowieczną konstrukcję...

- Barwnik na pięciu stopniach, dziewięćdziesiąt stóp od brzegu - zabrzmiało kolejne wezwanie.

- Jesteś pewien? - W głosie Neidelmanna zabrzmiało niedowierzenie połączone z niepewnością. - Okay, mamy trzeci tunel. „Naiada”, jest wasz. Obserwatorzy, na litość boską, trzymajcie namiary, na wypadek gdyby barwnik rozpląnął się, zanim go dopadniemy.

- Więcej farby! Trzysta trzydzieści dwa stopnie, siedemdziesiąt stóp od brzegu.

I jeszcze raz pierwszy głos:

- Barwnik wydostaje się na osiemdziesięciu pięciu stopniach, powtarzam, na osiemdziesięciu pięciu stopniach, czterdzieści stóp od brzegu.

- Zajmiemy się tym na trzysta trzydziestym drugim stopniu - powiedział Neidelman dziwnym tonem. - Ile w końcu tuneli zbudował ten cholerny architekt? Streeter, masz dwa na własność. Wyciągnij swoich nurków, tak szybko jak dasz radę. Zaznacz na razie tylko wyjścia, plastykiem zajmiemy się później. Zostało nam pięć minut, potem barwnik się rozplynie.

Już po chwili Bonterre i Scopatti byli na powierzchni, w łodzi. Streeter bez słowa zakręcił kołem i ruszył z hukiem. Teraz i Hatch dostrzegł kolejny, żółty obłok farby gotującej się na powierzchni. Łódź zrobiła okrążenie, Bonterre i Scopatti znaleźli się za burzą. Po chwili kolejna boja wyskoczyła nad wodę - pojawili się nurkowie, „Naiada” zaś przeniosła się w miejsce, w którym wypłynęła trzecia żółta plama. I znów Bonterre i Scopatti znaleźli się za burzą, a Hatch skupił uwagę na ekranie wideo.

Scopatti płynął przodem, zestaw na głowie Bonterre pokazywał jego przypominającą ducha postać, płynącą przez skłębione chmury farby. Tym razem zeszli niżej niż w dwóch poprzednich nurkowaniach. Nagle ich oczom ukazały się wyszczerbione skały sterczące z dna rafy, a wraz z nimi i kwadratowa dziura, dużo większa od poprzednich - wypływały z niej resztki farby.

- Co to? - Do uszu Hatcha dobiegł pełen niedowierzania głos Bonterre. - Sergio, *attends!*

Nagle rozległ się trzask, z radia dochodził głos Wopnera.

- Mamy problem, kapitanie.

- O co chodzi? - zareagował Neidelman.

- Nie wiem. Odbieram sprzeczne sygnały, jednak system twierdzi, że wszystko funkcjonuje normalnie.

- Niech się pan przełączy na system awaryjny.

- Właśnie to robię, ale... Moment, teraz centrum piasty zaczyna... Och, gównu.

- Co? - Rozległ się ostry głos Neidelmana.

W tej samej chwili Hatch usłyszał, jak pompy na wyspie przestają pracować.

- Awaria systemu - oznajmił Wopner.

Z mikrofonu Bonterre doszedł nagły, ostry, zniekształcony pisk. Hatch spojrzął na ekran wideo i zobaczył, że obraz znikł. Nie, poprawił się, nie znikł - to ekran zrobił się czarny. A potem na ciemnym tle pokazały się powoli śnieg, aż wreszcie sygnał znikł w wyjącej burzy elektronicznych zakłóceń.

- Co, u diabła? - powiedział Streeter, gorączkowo waląc pięścią w przycisk kanału łączności. - Bonterre, słyszysz mnie? Straciliśmy twój sygnał. Bonterre!

Dziesięć stóp od łodzi na powierzchni ukazał się Scopatti. Wyrwał ustnik.

- Bonterre wessało do tunelu! - wykrztusił, z trudem łapiąc powietrze.

- Co to było? - krzyknął przez radio Neidelman.

- Powiedział, że Bonterre wessało - zaczął Streeter.

- Cholera jasna, idźcie za nią! - warknął Neidelman; elektroniczny głos chrypiał, niosąc po wodzie.

- To zabójstwo schodzić na dół - odkrzyknął Streeter. - Jest potężny wsteczny prąd i...

- Streeter, daj mu linę ratunkową! - zawołał Neidelman. - Magnusen, proszę obejść kontrolę komputera i uruchomić pompy ręcznie. Ich zastój musiał wywołać coś w rodzaju powrotnego strumienia.

- Tak jest - powiedziała Magnusen. - Zespół będzie musiał napęlić je ręcznie. Potrzebuję co najmniej pięciu minut.

- Biegiem - grzmiał Neidelman twardo, ale spokojnie. - Ma pani trzy.

- Tak jest.

- Wopner, uruchom system.

- Kapitanie - zaczął Wopner. - Diagnostyka mówi mi, że wszystko jest.

- Przestań gadać - uciął Neidelman. - Naprawiaj. Scopatti przypiął sobie linę asekuracyjną do pasa i znów znikł za burtą.

- Robię tu miejsce - powiedział Hatch do Streetera i zaczął rozścielać na pokładzie ręczniki, przygotowując się na przyjęcie potencjalnego pacjenta.

Streeter podawał linę asekuracyjną, korzystając z pomocy Rankina. Nagle lina szarpnęła i pozostała już napięta.

- Streeter? - odezwał się Neidelman.

- Scopattiego wessało - odparł Streeter. - Czuję go na linii. Hatch wlepił wzrok w zaśnieżony ekran, mając wrażenie makabrycznego *déjà vu*. Znikła, rozplynęła się, tak nagle jak...

Wziął głęboki wdech i oderwał wzrok od monitora. Nie mógł nic zrobić do momentu, aż nie wyciągnął jej na powierzchnię. Nic.

Nagle od strony wyspy dobiegł hałas, to pompy z rykiem wróciły do życia.

- Dobra robota. - Z głośników słychać było Neidelmiana.

- Lina jest luźna - powiedział Streeter.

Zapadła pełna wyczekiwania cisza. Hatch dostrzegł ostatnie ślady farby w gotującej się wodzie - wynik ponownego zawrócenia strumienia wody w tunelu. I nagle ekran przekazu wideo znów zrobił się czarny, potem z kanału fonii dobiegł odgłos przerywanego oddechu. Ciemności na ekranie zaczęły się stopniowo rozjaśniać, aż wreszcie z ogromną ulgą dostrzegł zielony, rosnący kwadrat światła: wyjście z tunelu zalewowego.

- *Merde*. - Usłyszał Bonterre, którą wyrzuciło z otworu. Obraz rejestrowany przez kamerę zakotłował się gwałtownie.

Kilka chwil później na powierzchni wody zawirowało. Hatch razem z Rankinem rzucili się do burty i wciągnęli Bonterre na pokład. W ślad za nią znalazł się tam Scopatti, który odpiął jej zbiorniki z tlenem i zdjął kaptur. Hatch ułożył ją na ręcznikach.

Hatch otworzył usta dziewczyny i sprawdził drożność dróg oddechowych: czyste. Rozpiął piankę na klatce piersiowej i przyłożył stetoskop. Oddychała prawidłowo, w płucach nie było słychać wody, serce biło szybko i mocno. W okolicy brzucha dostrzegł głęboką ranę ciętą biegnącą wzdłuż pianki. Brzeg rany był obrzmiały, krwawiła.

- *Incroyable* - zakaszła Bonterre, starając się usiąść i wymachując odłamkiem szarego materiału.

- Nie ruszaj się! - rzucił ostro Hatch.

- Cement! - krzyknęła, ściskając kurczowo odłamek. - Trzystuletni cement! W rafie osadzony był rząd kamieni i...

Hatch zbadał szybko podstawę jej czaszki, szukając symptomów wskazujących na wstrząs mózgu czy uszkodzenie kręgosłupa. Nie było obrzęków, ran ciętych czy zwichnięć.

- *Ca suffit!* - powiedziała, odwracając głowę. - Kim pan jest, *phrénologue*!

- Streeter, raport! - warknął przez radio Neidelman.

- Są na pokładzie, sir - powiedział Streeter. - Bonterre chyba nic nie jest.

- Nic mi nie dolega, jeśli nie liczyć tego wścibskiego doktora! - krzyknęła, wrywając się.

- Jeszcze chwila, tylko rzucę okiem na twój brzuch - powiedział Hatch, łagodnie ją przytrzymując.

- Te kamienie wyglądają mi na jakiś fundament - ciągnęła dziewczyna, leżąc na plecach. - Sergio, widziałeś to? Co to może być?

Jednym ruchem Hatch rozpiął zamek jej pianki aż do pępka.

- Hej! - krzyknęła Bonterre.

Nie zważając na protesty, Hatch szybko zbadał ranę. Pod żebrami miała brzydkie zadrapanie, ale najwyraźniej powierzchowne.

- To tylko draśnięcie - zaprotestowała Bonterre, wyciągając szyję, żeby zobaczyć, co robi Hatch.

Cofnął szybko rękę z jej brzucha, czując całkowicie nieprofesjonalne poruszenie w okolicy lędźwi.

- Może masz rację - powiedział z nieco większą dawką sarkazmu, niż zamierzał, szukając w torbie świeżej maści antybiotykowej.

- Następnym razem ja popływam, a ty pobawisz się w doktora. Tymczasem mam zamiar i tak ci to zaaplikować, na wypadek infekcji. Miałaś szczęście, o mały włos. - Wtarał maść w ranę.

- Łaskoczesz - powiedziała Bonterre.

Scopatti zdjął do połowy piankę i stał z założonymi ramionami, jego opalone ciało lśniło w słońcu. Uśmiechał się z czułością. Rankin stał zaraz obok niego, włochaty i potężny, obserwujący Bonterre z wyraźnym błyskiem w oku. Wszyscy są w tej kobiecie zakochani - pomyślał Malin.

- Wylądowałam w dużej podwodnej pieczarze - ciągnęła Bonterre. - Przez moment nie byłam w stanie zlokalizować ścian i pomyślałam sobie, że to już koniec. *Fin*.

- W pieczarze? - zapytał z powątpiewaniem Neidelman przez radio.

- *Mais oui*. Dużej pieczarze. Ale siadło moje radio. Dlaczego?

- Prawdopodobnie tunel zablokował transmisję - wyjaśnił Neidelman.

- Ale skąd prąd wsteczny? - powiedziała Bonterre. - Odpływ wychodził do morza.

Na chwilę zapadła cisza.

- Nie umiem na to odpowiedzieć - rozległ się wreszcie głos Neidelmana. - Być może kiedy osuszymy już Pit i jego tunele, dowiemy się, skąd się wziął. Czekam na pełny raport. A teraz proszę odpocząć. „Grampus” odpływa.

Włączył się Streeter.

- Wodowskazy ustawione. Wracamy do bazy.

Łódź zagrała i ruszyła ślizgiem po wodzie, tnąc łagodne fale. Hatch poskładał swoje przyrządy, nasłuchując głosów dobiegających z innych zakresów radiowych. Neidelman na „Grampusie” rozmawiał z „Wyspą Jeden”.

- Mówię panu, że to złośliwy duch - zabrzmiał głos Wopnera. - Sprawdziłem wszystko, dla porównania zrzuciłem pamięć ROM z „Charybdy” na system „Scylli”. Wszystko było poplątane, do piątej potęgi. To przez ten szyfr, kapitanie. Cholerny system jest przeklęty. Nawet haker nie umie rozpisać pamięci ROM.

- Niech mi pan tu tylko nie zaczyna z klątwami - odpowiedział ostro Neidelman.

Gdy zbliżali się do doku, Bonterre wysunęła się z pianki, włożyła ją do szafki na pokładzie, wycisnęła wodę z włosów i zwróciła się do Hacha.

- No cóż, doktorze, moje koszmary się ziściły. W końcu musiałam skorzystać z pana usług.

- Nic nie szkodzi - powiedział Hatch, czerwieniąc się, wściekle tego świadomy.

- Och, ale było bardzo miło.



## 16

Kamienne ruiny fortu Blacklock wznosiły się na łące, spoglądając w dół, na wejście do portu Stormhaven. Okrągły fort otaczała duża łąka poznaczona białymi sosnami, ciągnąca się dalej, do pól farmerów i „cukrowego buszu”, czyli gęstego gaju cukrowych klonów. Po drugiej stronie łąki, patrząc od starych fortyfikacji, wzniesiono duży, żółtozielony pawilon, przystrojony wstążkami i proporczykami furkoczącymi wesoło na wietrze. Wymalowany odręcznie transparent nad pawilonem głosił: Siedemdziesiąte pierwsze doroczne pieczenie homarów w Stormhaven!!!

Hatch, pełen obaw, zmierzał pod górę po zboczu trawiastego wzgórza. Pieczenie homarów stanowiło dla niego pierwszą prawdziwą okazję do spotkania większości mieszkańców miasteczka i wcale nie był pewien, jakiego powitania może się spodziewać. Nie miał jednak wątpliwości co do tego, jak powitana zostanie tu cała ekspedycja.

Chociaż Thalassa spędziła w Stormhaven niewiele ponad tydzień, skutki jej pobytu w mieście były bardzo konkretne. Członkowie ekipy zajęli większość z dostępnych kwater oraz pokojów do wynajęcia, płacąc czasami najwyższe stawki. Pracownicy zapełnili maleńki pensjonat. Obie restauracje w mieście, „Anchors Away” i „The Landing”, co wieczór miały komplet. Stacja benzynowa na przystani musiała trzykrotnie zwiększyć swoje dostawy, obroty zaś w sklepie spożywczym - choć sam Bud nigdy by się do tego nie przyznał - skoczyły przynajmniej o pięćdziesiąt procent. W mieście tak dopisywały humory z powodu poszukiwania skarbów na Ragged Island, że burmistrz pospiesznie mianował Thalassę grupowym honorowym gościem na dorocznym pieczeniu homarów. Fakt zaś, że Neidelman - dzięki sugestiom Hacha - dyskretnie pokrył połowę kosztów, stanowił dodatkowy powód do radości.

Zbliżając się do pawilonu, Hatch dostrzegł stół dla gości honorowych, zajęty już przez wybitnych obywateli z miasteczka oraz tuzów Thalassy. Za stołem umieszczono małe podium z mikrofonem. Z tyłu mieszkańcy i członkowie ekspedycji kręcili się tam i z powrotem, pili lemoniadę lub piwo i stali w kolejce po swoje homary.

Gdy zajął do środka, dosłyszał znajome nosowe pokrzykiwania. Kerry Wopner niósł papierowy talerz, stękając pod ciężarem leżących na nim dwóch homarów, sałatki ziemniaczanej i kolby kukurydzy. W drugiej dłoni balansował olbrzymim piwem. Kryptoanalityk zmierzał żwawo przed siebie z wyciągniętymi ramionami, starając się, by jedzenie i piwo nie poplamiały mu hawajskiej koszuli, bermudów i czarnych adidasów.

- Jak to się je? - krzyknął Wopner, łapiąc za guzik zmieszanego rybaka.

- A co to? - spytał rybak, nachylając się, jakby nie widział zbyt wyraźnie.

- Tam, gdzie się wychowałem, nie mieliśmy homarów.

- Nie było homarów? - Powtórzył rybak, jakby zastanawiając się nad tym, co usłyszał.

- No tak. Na Brooklynie. To w Ameryce. Powinieneś kiedyś odwiedzić ten kraj. W każdym razie nigdy się nie nauczyłem, jak je jeść. - Głośny, przeciągły głos Wopnera przeszedł echem po pawilonie. - To znaczy, jak otworzyć skorupy?

- Siadasz pan na nich, i to ostro - odparł z poważną miną rybak.

Od strony mieszkańców dobiegł głośny śmiech.

- Bardzo śmieszne - powiedział Wopner.

- No dobrze - odparł rybak łagodniejszym tonem. - Potrzebne ci są szczypce.

- Mam szczypce - przyznał odczo Wopner, wymachując mężczyźnie przed nosem talerzem wypełnionym szczypcami skorupiaków. Od strony ławek okupowanych przez tubylców znów dał się słyszeć śmiech.

- Szczypce do zgniatania skorup, rozumiesz? - powiedział rybak. - Możesz też skorzystać z młotka. - Podniósł młotek używany na łodzi, pokryty sokiem z homarów, zielonkawą substancją i kawałkami różowej skorupy.

- Mam jeść młotkiem? - krzyknął Wopner. - Zapalenie wątroby, nadchodzę!

Hatch zbliżył się.

- Pomogę mu - zwrócił się do rybaka, który odszedł, kręcąc głową. Hatch pchnął Wopnera w stronę jednego ze stołów, posadził go i szybko poinstruował, jak konsumować homary, jak rozbić skorupę, co jeść, a czego nie. Po czym odszedł po swoją porcję, zatrzymując się po drodze po piwo nalewane z olbrzymiej beczki. Piwo z małego browaru w Camden było zimne i pełne słodu - wypił je duszkiem, czując, że uścisk w piersiach nieco zelżał. Zanim stanął w kolejce, znów napełnił kufel.

Homary i kukurydza gotowały się na parze, ułożone na stertach wodorostów spoczywających na płonących dębowych kłodach. Nad całością unosiły się, ulatniając prosto w niebo, chmury aromatycznego dymu. Trzej kucharze uwijali się żywo za stosami wodorostów, pilnując ognia i wrzucając jaskrawoczerwone homary na papierowe talerze...;

- Doktorze Hatch! - rozległ się czyjś głos. Hatch obejrzał się i dostrzegł Doris Bowditch w kolejnym imponującym sari, falującym za nią niczym fioletowy spadochron. Obok niej stał mąż, mały, czerwony od golenia brzytwą i milczący.

- Jak dom?

- Wspaniale - odparł Hatch z autentyczną serdecznością. - Dzięki za nastrojenie pianina.

- Ależ bardzo proszę. Jakieś problemy z zasilaniem czy wodą, może? Dobrze. Wie pan, zastanawiałam się, czy miał pan okazję przemyśleć sprawę tej miłej pary z Manchesteru?

- Tak - odpowiedział szybko Hatch, przygotowany na to pytanie. - Nie sprzedaję.

- Och - odparła rozczarowana Doris. - Ale oni tak liczą...

- Tak, Doris, jednak to jest dom, w którym się wychowałem - rzekł Hatch łagodnym, ale zdecydowanym tonem. Kobieta dała mu fory. Przypomniała sobie właśnie okoliczności z jego dzieciństwa i wyjazd z miasta.

- Oczywiście - powiedziała, próbując się uśmiechnąć. Położyła rękę na jego ramieniu.

- Rozumiem. Trudno jest porzucić dom rodzinny. Nie będziemy już o tym mówić. - Ścisnęła mu ramię. - Na razie.

Hatch odstał swoje w kolejce i teraz skierował uwagę na olbrzymie, parujące stopy wodorostów. Stojący najbliżej kucharz zajął do jednej ze stert, odsłaniając rząd czerwonych homarów, trochę kukurydzy i jajek. Wziął do ręki odzianą w rękawicę jedno jajko i rozłupał je nożem na pół, żeby sprawdzić, czy jest ugotowane na twardo. W ten sposób - przypomniał sobie Hatch - sprawdzali, czy homary są już gotowe.

- *Perfecto!* - stwierdził kucharz. Głos wydał mu się dziwnie znajomy. Hatch nagle rozpoznał swojego dawnego kolegę z ogólniaka, Donny'ego Truitta. Zebrał się w sobie.

- No proszę, czy to nie Mally Hatch! - powiedział Truitt, rozpoznając kolegę. - Zastanawiałem się, kiedy na ciebie wpadnę. Niech to diabli, jak się masz?

- Donny - krzyknął Hatch, chwytając jego rękę. - Nieźle. A ty?

- Też nieźle. Czwórka dzieciaków. Szukam nowej roboty, odkąd padła stocznia Martina.

- Czwórka dzieci? - Gwizdnął Hatch. - Uwijałeś się.

- Bardziej niż ci się zdaje. Do tego dwa rozwody. A, co tam. A ty, zakotwiczyłeś?

- Jeszcze nie - poinformował go Hatch. Donny uśmiechnął się z wyższością.

- Widziałeś już Claire?

- Nie. - Hatch poczuł nagle, jak ogarnia go rozdrażnienie.

Podczas gdy Donny nakładał mu homara, Hatch przyglądał się staremu klasowemu koledze. Zrobił się brzuchaty, trochę spowolniał. Ale pod każdym innym względem było tak, jak gdyby ostatni raz widzieli się wczoraj, a nie dwadzieścia pięć lat temu. Gadatliwy dzieciak, niezbyt bystry, ale z wielkim sercem, najwyraźniej stał się swoją dorosłą wersją.

Donny uśmiechnął się do Hacha lubieżnie i znacząco zarazem.

- Daj spokój, Donny - powiedział Hatch. - Claire i ja byliśmy tylko przyjaciółmi.

- Pewnie. Przyjaciółmi. Nie wiedziałem, że przyjaciół można przyłapać, jak obłapują się w Squeaker's Glen. Tylko się całowaliście, Mai... prawda?

- Minęło tyle czasu. Nie pamiętam każdego szczegółu każdego mojego romansu.

- Nic nie zastąpi pierwszej miłości, nieprawdaż, Mai? - Donny zachichotał, mrugając spod burzy marchewkowo czerwonych włosów. - Gdzieś tu jest. W każdym razie będziesz musiał poszukać szczęścia gdzie indziej, bo wylądowała...

Nagle Hatch poczuł, że już dość nasłuchiwał się o Claire.

- Zatrzymuję kolejkę - przerwał mu.

- A pewnie. Zobaczymy się później. - Donny pomachał mu widelcem i znów się uśmiechnął, sprawnie odsuwając kolejne warstwy wodorostów i odsłaniając następny rząd lśniących czerwonych homarów.

Więc Donny szuka pracy - pomyślał Hatch, idąc w kierunku stołu dla honorowych gości. Thalassa nic by nie straciła, zatrudniając kilku miejscowych.

Znalazł sobie miejsce między Billem Bannsem, redaktorem gazety, a Budem Rowellem. Kapitan Neidelman siedział dwa krzesła dalej, obok burmistrza Jaspera Fitzgeralda i miejscowego pastora Woody'ego Claya. Miejsce naprzeciwko pastora zajmował Lyle Streeter.

Hatch spojrzał z ciekawością na obu mieszkańców miasteczka. Ojciec Jaspera Fitzgeralda prowadził miejscowy zakład pogrzebowy, nie ulegało wątpliwości, że syn go po nim odziedziczył. Fitzgerald miał pięćdziesiąt kilka lat i był rumianym mężczyzną z przypominającymi kierownicę roweru wąsami, szelkami ze skóry aligatora i barytonem niosącym niczym kontrabas.

Wzrok Hacha powędrował do Woody'ego Claya. Nie ulega wątpliwości, że nie jest stąd - pomyślał sobie. Clay pod każdym względem stanowił przeciwieństwo Fitzgeralda. Przypominał ascetę, a wrażenie to potęgowała zapadnięta, uduchowiona twarz świętego, który dopiero co przybył z pustyni. Jednak w oczach miał jakąś trudną do rozszyfrowania, nieprzyjemną intensywność. Hatch widział wyraźnie, że źle się czuje, siedząc na honorowym miejscu - należał do tych osób, które mówią do innych cicho, jakby nie chciały, żeby ich słowa usłyszał ktoś inny. Było to wyraźnie widać po prowadzonej cicho rozmowie ze Streeterem. Hatch zaczął się zastanawiać, co też takiego duchowny klarował kierownikowi zespołu, skoro tamten wyglądał tak nieswojo.

- Widziałeś gazetę, Malin? - Rozważania przerwał mu Bill Banns, który dalej w charakterystyczny leniwy sposób przeciągał samogłoski. W czasach młodości Banns widział w miejscowym kinie *Tytułową stronę*. Od tamtej pory jego pogląd na to, jak powinien

wyglądać reporter, nie uległ najmniejszej zmianie. Rękawy koszuli zawsze miał podwinęte, nawet w największy ziąb, a swój zielony daszek nosił tak długo, że dziś, pozbawiony swojego rekwizytu, był jakiś... wybrakowany.

- Nie, jeszcze nie - odparł Hatch. - Nie wiedziałem, że już wyszła.

- Właśnie dziś rano - odpowiedział Banns. - No, myślę, że ci się spodoba. Sam napisałem główny artykuł. Z twoim wsparciem, oczywiście. - Przytknął palec do nosa, jakby chciał powiedzieć: Informuj mnie, a będę drukować same dobre wieści. Hatch postanowił wstąpić dziś wieczorem do sklepu po egzemplarz gazety.

Na stole leżały rozmaite narzędzia do rozkładania homarów na części: młotki, szczypce i drewniane podbijaki, a wszystkie śliskie od krwi homarów. Dwie wielkie, stojące pośrodku misy napełnione zostały roztrzaskanymi skorupami i rozłupanymi szczypcami. Wszyscy stukali, rozbijali i jedli. Rozejrzawszy się po pawilonie, Hatch zobaczył, że Wopner jakimś cudem wylądował ostatecznie przy stole między pracownikami miejscowej rybackiej spółdzielni „Lobsterman’s Coop”. Właśnie dobiegł go jego niesiony wiatrem irytujący głos.

- A wiedzieliście - mówił kryptoanalityk - że w sensie biologicznym homary to w zasadzie owady? Jak się w to wgłębić, okazuje się, że to wielkie, podwodne czerwone karaluchy...

Hatch odwrócił się i zdrowo pociągnął ze swojego kufła. Będzie jednak dobrze, może nawet jeszcze lepiej. Był pewien, że każdy w miasteczku znał jego historię ze szczegółami. A przecież - może z grzeczności, a może z powodu prostej wiejskiej nieśmiałości - nie padło na ten temat ani jedno słowo. Czuł się za to wdzięczny.

Spojrzał przez tłum, szukając kogoś znajomego. Dostrzegł Christophera St. Johna wciśniętego za stołem między dwóch miejscowych z nadwagą. Najwyraźniej rozmyślał właśnie, jak tu dobrać się do swojego homara, robiąc przy tym jak najmniej bałaganu. Oczy Hacha powędrowały dalej i uchwyciły Kaia Estensona, właściciela sklepu żelaznego, i Tyrę Thompson, kierującą biblioteką publiczną, która nie wyglądała ani o jotę starzej, niż gdy uciszała jego i Johnny’ego, wypraszając ich z budynku za opowiadanie dowcipów i zbyt głośne chichoty. I kto by pomyślał, że to, co mówią o occie, że dobrze konserwuje, to prawda - pomyślał sobie. Dostrzegł białą głowę i zgarbione ramiona swojego dawnego nauczyciela biologii, doktora Horna, którego rozpoznał w ułamku sekundy. Doktor stał z boku pawilonu, jak gdyby nie miał zamiaru ubrudzić sobie rąk, biorąc udział w pogromie homarów. Doktor Horn, który wystawiał mu bardziej surowe oceny niż jakikolwiek profesor na uniwersytecie, który mówił mu, że żaba rozjechana na drodze jest lepiej sprawiona niż ta, której sekcję przeprowadzał Hatch. Budzący strach, ale jakże szczodry doktor Horn, który bardziej niż

ktokolwiek inny rozpałił w nim zainteresowanie nauką i medycyną. Hatch był zaskoczony, ale odczuł też ulgę, że zastał go nadal w gronie żywych.

Hatch odwrócił się i odezwał do Buda, który wysysał właśnie homarowe odnoże.

- Opowiedz mi o Woodym Clayu - powiedział. Bud wrzucił nogę do najbliższej miski.

- Wielebny Clay? Jest duchownym. Kiedyś był hipisem, tak słyszałem.

- Skąd pochodzi? - spytał Hatch.

- Z okolic Bostonu. Pojawił się tu ze dwadzieścia lat temu, żeby wygłosić kilka kazań.

Zdecydował się zostać. Mówią, że rozdał wielki spadek, kiedy przywdział sukienkę.

Bud wprawną ręką rozkroił ogon i w całości wyciągnął jego zawartość. W głosie zabrzmiało wahanie, które zdziwiło Hacha.

- Dlaczego tu zostałeś? - zapytał.

- Oj, miejsce mu się spodobało. Wiesz, jak to jest. - Bud zamilkł, czyszcząc ogon.

Hatch zerknął na Claya, który nie rozmawiał już ze Streeterem. Gdy tak badał jego skupioną twarz, mężczyzna podniósł nagle wzrok i ich oczy się spotkały. Hatch niezgrabnie spojrział w bok, odwracając się do Buda Rowella tylko po to, żeby stwierdzić, że sklepikarz zniknął w poszukiwaniu następnych homarów. Kątem oka widział, jak duchowny wstaje od stołu i zmierza w jego stronę.

- Malin Hatch? - zapytał mężczyzna, wyciągając rękę. - Wielebny Clay.

- Miło mi pana poznać, pastorze. - Hatch wstał i przyjął zimną, niepewną rękę.

Clay zawahał się przez chwilę, po czym wskazał na puste krzesło.

- Można?

- O ile Bud nie będzie miał nic przeciwko temu, ja też nie mam - odparł Hatch.

Duchowny niezgrabnie opadł na małe krzesło, kościstymi kolanami dotykając niemal blatu stołu, po czym wbił w Hacha swe wielkie, poważne oczy.

- Widziałem wszystkie działania prowadzone na Ragged Island - zaczął niskim tonem.

- Słyszałem je też. Uderzenia i szcęknięcie, zarówno w nocy, jak i w ciągu dnia.

- Pewnie działamy jak poczta - powiedział Hatch, usiłując nadać swojemu głosowi beztroski ton, niepewny, do czego zmierzała ta przemowa. - Nigdy nie śpimy.

Jeśli Clay poczuł się rozbawiony, nie okazał tego.

- Ta operacja musi kogoś sporo kosztować - powiedział, unosząc brwi, jakby chciał zasugerować pytanie.

- Mamy inwestorów - odparł Hatch.

- Inwestorów - powtórzył za nim Clay. - To ktoś, kto daje ci dziesięć dolarów i ma nadzieję, że otrzyma z powrotem dwadzieścia.

- Można to tak ująć. Clay pokiwał głową.

- Mój ojciec też kochał pieniądze. I nie powiem, żeby był przez to szczęśliwszy albo żeby dłużej żył, choćby o godzinę. Kiedy zmarł, odziedziczyłem po nim akcje i obligacje. Księgowy nazywał je portfelem. Kiedy tam zajrzałem, znalazłem kompanie tytoniowe, kopalnie, rozpruwające całe góry, tartaki, wycinające dziewicze lasy.

Mówiąc to, nie spuszczał wzroku z Hatcha.

- Rozumiem - powiedział w końcu Malin.

- Zatem mój ojciec dał tym ludziom pieniądze, żywiąc nadzieję, że otrzyma w nagrodę dwa razy więcej. A oto, co się stało. Dali mu dwa, trzy, cztery razy więcej. I wszystkie te niemoralne zyski przeszły na mnie.

Hatch skinął głową. Clay zniżył głowę i głos.

- Czy mogę zapytać, jak bardzo pan i pańscy inwestorzy macie nadzieję tu się wzbogacić?

Sposób, w jaki duchowny wymówił słowo „bogactwo”, sprawił, że Hatch zrobił się nieufny. Ale odmówienie udzielenia odpowiedzi mogło okazać się błędem.

- Powiedzmy, że mówimy o siedmiocyfrowych liczbach - odparł.

Clay powoli pokiwał głową.

- Jestem człowiekiem bezpośrednim - podjął. - I nie umiem owijać w bawełnę. Nigdy nie nauczyłem się, jak mówić piękne słówka, więc powiem to najlepiej, jak potrafię. Nie podoba mi się to poszukiwanie skarbu.

- Przykro mi to słyszeć - odpowiedział Hatch. Clay, odpowiadając, zamrugał.

- Nie podobają mi się ci ludzie, którzy przychodzą do naszego miasta, rozrzucając na wszystkie strony pieniądze.

Już na wstępie Hatch przygotował się na takie argumenty, a kiedy wreszcie padły, poczuł się dziwnie rozluźniony.

- Nie jestem całkiem pewien, czy pozostali mieszkańcy dzielą z panem jego pogardę dla pieniądza - powiedział obojętnym tonem. - Wielu z nich to ludzie, którzy klepali biedę przez całe życie. Nie mieli luksusu wybrania ubóstwa tak jak pan.

Rysy twarzy Claya stężały, Hatch zorientował się, że trafił w czuły punkt.

- Pieniądze nie stanowią panaceum, jak to się ludziom wydaje - podjął duchowny. - Wie pan o tym równie dobrze jak ja. Ci ludzie mają swoją godność. Pieniądze zniszczą ich miasto. Zniszczą połowy homarów, zniszczą spokój, zniszczą wszystko. A najbiedniejsi i tak na tym nie skorzystają. Od nich wszystkich ważniejszy będzie rozwój. Postęp.

Hatch nie odpowiedział. W pewnym sensie rozumiał przesłanie duchownego. Byłoby prawdziwą tragedią, gdyby Stormhaven zamieniło się w kolejny przerośnięty, drogi letni plac zabaw, jak leżące dalej nadmorskie Boothbay Harbor. Ale to akurat było mało prawdopodobne, niezależnie od tego, czy Thalassa odniesie sukces czy też nie.

- Niewiele mogę tu dodać - powiedział Hatch. - Prace zakończą się za kilka tygodni.

- Nie o to chodzi, jak długo to potrwa - stwierdził Clay już ostrzej. - Chodzi o to, jaka się za tym wszystkim kryje motywacja. Poszukiwanie skarbów bazuje na chciwości - surowej, nagiej chciwości. Jeden z ludzi już stracił nogi. Nic dobrego z tego nie wyniknie. Ta wyspa to złe miejsce, przekłete, jeśli woli pan takie określenie. Nie jestem przesądny, ale Bóg ma sposoby, by ukarać tych, których motywacje nie są czyste.

Spokój Hatcha zastąpił nagle gniew. Nasze miasto? Nieczyste motywacje?

- Gdyby się pan tu wychował, wiedziałby pan, dlaczego to robię - rzucił. - Niech się panu nie zdaje, że zna pan moją motywację.

- Nic mi się nie zdaje - powiedział Clay, którego patykowate ciało napięło się niczym struna. - Ja wiem. Może się tu nie wychowałem, ale przynajmniej wiem, co jest dla tego miasta najlepsze. Wszystkich zwiódło to polowanie na skarby, obietnica łatwych pieniędzy. Ale nie mnie, na Boga, nie mnie. Mam zamiar ochronić to miasto. Ochronić przed wami i przed nim samym.

- Wielebny Clay, wydaje mi się, że powinien pan przeczytać Biblię, zanim zacznie rzucać pan oskarżenia: nie sądzę, ażeby samemu nie być osądzonym.

Hatch zdał sobie sprawę, że krzyczy głosem drżącym od gniewu. Przy okolicznych stołach zapadła cisza, ludzie wpatrywali się w swoje talerze. Gwałtownie wstał, obszedł milczącego, pobladłego Claya i przez łękę ruszył w stronę ciemnych ruin fortu.



We wnętrzu fortu panowały ciemności, ciągnęło zimną wilgocią. Jaskółki polatywały w granitowej wieży, śmigając tam i z powrotem niczym pociski w słonecznym świetle, które pod ostrym kątem wpadało przez zabytkowe strzelnicze okienka.

Hatch wszedł do środka przez kamienne, sklepione przejście. Zatrzymał się i ciężko oddychając, starał się na powrót opanować. Wbrew sobie pozwolił duchownemu się sprowokować. Widziała to połowa miasta, a druga z pewnością wkrótce zostanie poinformowana.

Przysiadł na odsłoniętej części kamiennych fundamentów. Nie ulegało wątpliwości, że Clay rozmawiał też z innymi. Hatch wątpił, żeby większość go wysłuchała, z wyjątkiem poławiaczy homarów. Oni z pewnością potrafili być przesądni, a cała ta gadka o klątwach mogła mieć spore znaczenie. I jeszcze ta uwaga na temat owych prac rujnujących odłów homarów... Hatch mógł tylko żywić nadzieję, że sezon okaże się dla rybaków pomyślny.

Z wolna uspokoił się. Pozwolił, by spokój panujący w forcie ukoił jego gniew. Słuchał stłumionego zgiełku dochodzącego od strony festynu, z przeciwległego końca łąki. Naprawdę musi się bardziej kontrolować. Facet okazał się okropnym zarozumialcem, ale nie warto było tracić z jego powodu głowy.

Wokół emanował niezwykle spokojny i Hatch czuł, że mógłby tu sobie posiedzieć, delektując się przez kilka godzin chłodem. Ale wiedział też, że powinien wrócić na festyn, zrobić dobrą minę do złej gry i załagodzić konflikt. W każdym razie musiał tam wrócić, zanim zaczną rozpuszczać plotki. Wstał i odwrócił się, by wyjść, gdy zaskoczony dostrzegł przygarbioną postać czekającą w cieniu łukowatego przejścia. Postać wyszła z mroku.

- Profesor Horn! - krzyknął Hatch.

Przebiegła, wiekowa twarz mężczyzny zmarszczyła się lekko z zadowoleniem.

- Zastanawiałem się, kiedy mnie zauważysz - powiedział, zbliżając się ze swoją laską. Ciepło potrząsnął ręką Hacha. - Całkiem niezła scena, tam, w pawilonie.

Hatch pokręcił głową.

- Dałem się ponieść jak jakiś idiota. Co w tym człowieku tak na mnie podziałało?

- To żadna tajemnica. Clay jest niezręczny, nie zna się na grze towarzyskiej, jest moralnie skostniały. Ale pod tą zgorzkniałą powierzchownością bije serce tak duże i szczodre jak ocean. I równie gwałtowne, co nieprzewidywalne. To złożona natura, Malin - nie wolno ci go nie doceniać. - Profesor złapał Hacha za ramię. - Ale dość już o duchownym. Na Boga, Malin, dobrze wyglądasz. Jestem z ciebie dumny. Harvardzka Akademia Medyczna,

stanowisko naukowe w Mount Auburn. Zawsze byłeś bystrym chłopcem. Szkoda, że nie zawsze oznaczało to bycie dobrym uczniem.

- Wiele zawdzięczam właśnie panu - powiedział Hatch. Przypomniały mu się popołudnia spędzane w ogromnym, wiktoriańskim domu profesora i na dalekich polanach - studiowanie jego kolekcji kamieni, żuków i motyli - jeszcze zanim opuścił Stormhaven.

- Bzdura. A przy okazji, nadal mam twoją kolekcję ptasich gniazd. Nie wiedziałem, gdzie ją odesłać, po tym jak wyjechałeś.

Hatch poczuł wyrzuty sumienia. Nigdy nie przyszło mu do głowy, że profesor chciałby się z nim skontaktować.

- Jestem zaskoczony, że nie wyrzucił pan tych śmieci.

- Prawdę mówiąc, to niezwykle dobra kolekcja. - Profesor podniósł rękę i oparł ją na ramieniu Hacha, ściskając je kościstą dłonią.

- Odprowadź mnie z fortu przez łąkę, dobrze? Trochę się ostatnio telepię.

- Odezwałbym się... - Głos Hacha zamarł.

- Ani słowa, ani nawet adresu, na który można przesłać wiadomość - stwierdził kwaśno profesor. - A potem przeczytałem o tobie w „Globe”, w zeszłym roku.

Hatch odwrócił się, czując, jak pali go wstyd. Profesor prychnął szorstko.

- Nieważne. Zgodnie z wyliczeniami tych z towarzystw ubezpieczeniowych powinienem już nie żyć. W następną środę kończę osiemdziesiąt dziewięć lat. Niech cię kule biją, jeśli nie przyniesiesz mi prezentu.

Wyszli na zalaną słońcem polanę. Dało się tu słyszeć głośniejsze głosy, śmiechy, niesione morską bryzą.

- Pewnie pan już słyszał, po co wróciłem - powiedział niepewnie Hatch.

- A kto nie słyszał? - padła cierpka odpowiedź. Profesor nie powiedział nic więcej, zatem przez jakiś czas szli w milczeniu.

- Więc? - zapytał wreszcie Hatch.

Stary mężczyzna popatrzył na niego dociekliwie.

- Więc niech mi pan podpowie - podjął Hatch. - Co pan sądzi na temat poszukiwania skarbów?

Profesor szedł dalej przez jakąś minutę, po czym zatrzymał się i odwrócił do Malina, puszczając przy okazji jego ramię.

- Pamiętaj, sam zapytałeś - powiedział. Hatch skinął głową.

- Myślę, że jesteś cholernym głupcem.

Hatch poczuł się jak ogłuszony. Był przygotowany na Claya, ale nie na to.

- Dlaczego pan to mówi?

- Ze wszystkich ludzi na ziemi sam powinienesz najlepiej o tym wiedzieć. Cokolwiek spoczywa w dole, nie dostaniecie tego.

- Chwileczkę, doktorze Horn, dysponujemy technologią, o której dawni poszukiwacze skarbów nawet nie śnili. Opancerzony sonar, protonowe magnetometry, połączenie z satelitą robiącym zdjęcia. Mamy fundusze w wysokości dwudziestu milionów dolarów, mamy nawet prywatny dziennik człowieka, który zaprojektował ten szyb. - Hatch mówił coraz głośniej. Nagle zdał sobie sprawę z tego, że zaczęło mu bardzo zależeć na pozytywnej opinii profesora.

Doktor Horn pokręcił głową.

- Malin, przez niemal cały wiek patrzyłem, jak przychodzili i odchodzili. Każdy z najnowszym sprzętem. Każdy miał mnóstwo pieniędzy. Każdy posiadał jakąś superważną informację, jakąś błyskotliwą wskazówkę. I każdego z nich spotkał podobny koniec. Bankructwo, nieszczęście, nawet śmierć. - Spojrzał na Hacha. - Znaleźliście już jakiś skarb?

- No cóż, jeszcze nie - odparł Hatch. - Pojawił się mały problem. Wiedzieliśmy, że do szybu musi prowadzić podziemny tunel zalewowy, połączony z morzem. Aby zlokalizować jego wylot do morza, zastosowaliśmy barwnik. Okazało się jednak, że nie jest to jeden tunel, a pięć, i...

- Rozumiem - przerwał mu doktor Horn - że to nieduży problem. Wszystko to już słyszałem. I pewnie rozwiążecie swój nieduży problem. Tyle tylko, że po nim pojawi się następny, i jeszcze jeden, aż wszyscy zbankrutujecie. Albo zginiecie. Albo jedno i drugie.

- Ale tym razem będzie inaczej - krzyknął Hatch. - Nie może pan mówić, że wydobycie skarbu jest rzeczą niemożliwą. To, co człowiek stworzył, człowiek może też pokonać.

Profesor znów chwycił Hacha za ramię. Miał niepokojąco silne dłonie, całe w guzach niczym stare korzenie drzewa, pełne ścięgien i suche.

- Znałem twojego dziadka, Malin. Był taki jak ty: młody, bystry jak diabli, z obiecującą karierą przed sobą, pełen szaleńczego zapału do życia. To, co właśnie powiedziałaś, usłyszałem też z jego ust, słowo w słowo, pięćdziesiąt lat temu. - Zniżył głos do ostrego szeptu. - Zobacz, jakie dziedzictwo zostawił swojej rodzinie. Zapytałeś o moje zdanie. Proszę bardzo, oto ono. Wracaj do Bostonu, zanim historia się powtórzy.

Odwrócił się szorstko i pokuśtykał, uderzając gniewnie laską trawę, aż wreszcie zniknął za wzgórzem.

Następnego ranka, z oczami trochę zaczerwienionymi od wypitego poprzedniego dnia piwa, Hatch zamknął się w swoim lekarskim baraku i zajął rozkładaniem instrumentów medycznych oraz spisem inwentarza. W ciągu minionych kilku dni wystąpiło kilka kontuzji, ale nic poważniejszego, parę zadrapań i stłuczone żebro. Przeglądał półki i porównywał ich zawartość z listą, słysząc cały czas monotony szum rozbijającej się o pobliskie rafy morskiej piany. Słońce przytłumione przez wiecznie obecną zasłonę z mgły na próżno starało się przebić przez okna w metalowych framugach.

Przeglądając sprzęt, Hatch przyczepił kartkę ze spisem przy półkach. Wyrzwał przez okno. Przez szybę dostrzegł wysoką, zgarbioną postać Christophera St. Johna maszerującego żwawo przez plac wewnątrz bazy. Anglik ominął potężny kabel i długą rurę z PCV, po czym zajrzał do kwatery Wopnera - jego zmierzwiona, siwa czupryna ledwie mieściła się w drzwiach. Hatch postąpił przez chwilę przy oknie, po czym sięgnął po dwie czarne teczki i wyszedł ze swojego biura, udając się w ślad za historykiem. Może nastąpił jakiś przełom w rozszyfrowywaniu kodu.

Biuro Wopnera w bazie było z całą pewnością jeszcze bardziej zabałaganione niż kajuta na „Cerberusie”. Nie dość, że małe, to w dodatku rzędy monitorów i sprzęt kontrolny oraz serwer sprawiały, że można się w niej było nabawić klaustrofobii. Wopner zajmował jedyne znajdujące się w pomieszczeniu krzesło, wciśnięte w odległy kąt, za stłoczonymi wokół niego półkami z transponderami. Z dwóch przewodów powyżej wpływało do środka chłodne powietrze, dalej dudnił przymocowany do ściany potężny klimatyzator.

Niezależnie od klimatyzacji w pokoju było duszno od gorących urządzeń elektronicznych. Gdy Hatch wszedł do środka, St. John rozglądał się właśnie, gdzie mógłby powiesić swoją marynarkę. Ponieważ nic takiego nie znalazł, położył ją ostrożnie na najbliższej konsoli.

- Jak Boga kocham - odezwał się Wopner. - Rzuciłeś tu swój stary włochaty tweed i zaraz cały system szlag trafi, będzie spięcie.

Marszcząc brwi, St. John podniósł marynarkę.

- Kerry, masz chwilę? - zapytał. - Naprawdę musimy przedyskutować ten problem dotyczący szyfru.

- A wyglądam, jakbym miał? - zabrzmiała odpowiedź. Wopner, patrząc dziko, oderwał się od swojego terminala. - Właśnie skończyłem diagnostykę całej wyspy. Całej tej góry śmieci, aż po mikrokod. Zabrało mi to godzinę, nawet przy maksymalnej szerokości

pasma. Wszystko reaguje: pompy, kompresory, serwa, co tylko chcesz. Żadnych problemów czy jakichkolwiek rozbieżności.

- To świetnie - wtrącił się Hatch.

Wopner obrzucił go pełnym niedowierzania spojrzeniem.

- Człowieku, gdzie twój mózg. Świetnie? To cholernie przerażające!

- Nie rozumiem.

- Mieliśmy tu awarię systemu, pamiętasz? Te przeklęte pompy wypięły się na nas. A potem porównałem system komputerowy wyspy ze „Scylli” z tym na „Cerberusie” i co, zgadnijcie? Elementy ROM-u na „Charybdzie” zostały zmienione. Zmienione! - Ze złością uderzył w obudowę jednego z komputerów.

- I...?

- I teraz jeszcze raz wszystko zdiagnozowałem, wszystko gra. To nie wszystko, cała sieć nie wykazuje jakichkolwiek odchyleń od normy. - Wopner pochylił się do przodu. - Żadnych odchyleń. Nie rozumiecie? To zarówno fizyczna, jak i komputerowa niemożliwość.

St. John wpatrywał się w otaczający go sprzęt z założonymi do tyłu rękoma.

- Duch w maszynie, Kerry? - Odważył się zapytać. Wopner zignorował go.

- Nie wiem dużo o komputerach - ciągnął St. John ze swoim charakterystycznym akcentem. - Ale znam jedno określenie: ŚWŚW. Śmieci wchodzą, śmieci wychodzą.

- Dobrze sobie. To nie kwestia oprogramowania.

- Ach. Rozumiem. To nie może być w żadnym wypadku błąd człowieka. O ile sobie przypominam, wystarczyło jedno nieprawidłowe równanie w języku fortran, żeby wyekspediować „Marinera Pierwszego” na jakieś bliżej nie określone poszukiwania kosmicznych padlinożerców i nigdy więcej o nim nie usłyszeć.

- Najważniejsze, że teraz wszystko działa - stwierdził Hatch. - Więc może ruszymy do przodu?

- Pewnie, i wszystko wydarzy się raz jeszcze. Chcę od razu wiedzieć, dlaczego całe to gówno się rozsypało.

- Nic teraz na to nie poradzisz - powiedział St. John. - A tymczasem nasze opóźnienie w stosunku do terminarza krypto-analazy rośnie. Nic się nie sprawdziło. Przeprowadziłem dodatkowe badania i myślę, że zbyt pochopnie odrzuciliśmy...

- Gówno na patyku! - Stracił panowanie nad sobą Wopner, podjeżdżając na fotelu do St. Johna. - Chyba nie masz zamiaru zacząć mamrotać o polialfabecie, staruszkę? Posłuchaj, mam zamiar zmodyfikować algorytm mojego brutalnego ataku z pięć-dziesięcioprocentowym

priorytetem, naprawdę, popchnę sprawy do przodu. Więc może byś tak wycofał się do swojej biblioteki? Wróc pod koniec dnia, jak będziesz miał jakieś dobre pomysły.

St. John rzucił Wopnerowi przelotne spojrzenie. Narzucił marynarkę i wyszedł z powrotem w mgliste światło poranka. Hatch poszedł za nim do jego biura.

- Dzięki - powiedział Hatch, podając St. Johnowi obie teczki.

- Ma rację, wie pan - stwierdził historyk, zasiadając za schludnym biurkiem, ze znużeniem przyciągając do siebie starą maszynę do pisania. - Chodzi o to, że próbowałem już wszystkiego. Oparłem się w swoich szturmach na metodach enkrypcji znanych w czasach Macallana. Podchodziłem do tego problemu jak do zadania matematycznego, jak do systemu astronomicznego lub astrologii, jak do szyfru w obcym języku. Nic.

- Na czym polega polialfabet? - zapytał Hatch. St. John westchnął.

- Szyfr polialfabetyczny. Jest dość prosty, naprawdę. Widzi pan, większość kodów w czasach Macallana bazowało na prostej, monofonicznej substytucji. Istniał zwykły alfabet oraz alfabet szyfru, wszystko pomieszane bez ładu i składu. By coś zaszyfrować, wystarczyło po prostu sprawdzić, jaka litera kodowa odpowiada literze normalnego alfabetu w naszym zaszyfrowanym dokumencie. Czasami kodowe „y” odpowiadało „j” albo „a” zakodowane było jako „z”. A zatem, jeśli zakodowanym słowem było słowo „ja”, w zaszyfrowanej wiadomości miało ono postać „yz”. Tak funkcjonują kryptogramy w pana miejscowej gazecie.

- Wydaje się jasne.

- Tak. Ale nie jest to system zbyt bezpieczny. Gdyby tak skorzystać z kilku różnych szyfrowych alfabetów? Powiedzmy, że zamiast jednego mamy ich dziesięć. I jeśli zaszyfrowując swój list, litera po literze, korzystałby pan po kolei z wszystkich dziesięciu kodowych alfabetów, po czym wracał do pierwszego, korzystałby pan właśnie z szyfru polialfabetycznego. I w takim przypadku „ja” nie byłoby tylko „yz”. Kodowy odpowiednik dla każdej litery pochodziłby innej tabeli szyfrowej.

- Zdaje mi się, że coś takiego trudno rozgryźć.

- Tak, to bardzo trudne kody. Ale Kerry uważa, że ważne jest, iż polialfabety nie były w czasach Macallana w użyciu. Och, ludzie je znali. Ale uważano, że zajmują zbyt wiele czasu i zbyt łatwo przy nich o pomyłkę. - St. John znów westchnął. - Jednak w tym przypadku największy problem polega na działaniu z ukrycia. Jeśli Macallan korzystał z szyfru polialfabetycznego, jak zdołałby bezpiecznie ukryć wszystkie tablice kodowe, z których korzystał? Wystarczyłoby, żeby Red Ned Ockham rzucił na nie okiem, choć raz,

przypadkowo, a cała gra wyszłaby na jaw. Zresztą, z całym szacunkiem dla bystrego umysłu Macallana, nie zdołałby ich zapamiętać.

- Jeśli uważasz, że istnieje prawdopodobieństwo wykorzystania porządku polialfabetycznego, dlaczego nie spróbujesz sam się z nim zmierzyć?

Kącki ust St. Johna uniosły się w grymasie przypominającym uśmiech.

- Gdybym miał na to dwa miesiące, chętnie bym się podjął. Ale nie mam. A poza tym nie mam pojęcia, z jakiego klucza korzystał, o ile w ogóle jakieś miał, i jak szczerze szafował zerami.

- Zerami?

- *Nihil importantes*. Literami, które nic nie oznaczają, ale które pojawiają się, żeby wprowadzić zamęt w głowie rozszyfrującego.

Na zewnątrz rozległ się głęboki i tajemniczy głos okrętowego klaksonu, a Hatch spojrział na zegarek.

- Dziesiąta - powiedział. - Lepiej już pójść. Za pięć minut będą zamykać tunele zalewowe i osuszać Water Pit. Powodzenia z Kerrym.

## 19

Po wyjściu z bazy Hatch ruszył truchtem w górę, w kierunku Orthanca, chcąc szybko zobaczyć nową konstrukcję, która zmaterializowała się nad Water Pit w ciągu ostatnich zaledwie czterdziestu ośmiu godzin. Jeszcze zanim dotarł na szczyt wyspy, już widział oszkloną wieżę obserwacyjną, wąski pomost prowadzący dokoła jej zewnętrznej krawędzi. Gdy się zbliżył, zobaczył też masywne wsporniki, które utrzymywały wieżę wiertniczą niemal czterdzieści stóp nad piaszczystym gruntem. Pod wieżą podczepiono kołowroty i kable, które zwisały w dół, sięgając w głąb ciemnego szybu. Mój Boże - pomyślał Hatch. Widać to pewnie nawet z lądu.

Zainspirowany tym spostrzeżeniem wrócił myślami do homarowego festynu i do tego, co usłyszał od Claya i swojego starego profesora. Wiedział, że profesor Horn zatrzyma własne opinie dla siebie. Clay natomiast to już inna sprawa. Jak do tej pory, powszechna przychylność okazywana Thalassie wydawała się niczym nie zachwiana - musi mieć się na baczności, aby nadal tak było. Jeszcze przed zakończeniem festynu porozmawiał z kapitanem Neidelmanem na temat pracy dla Donny'ego Truitta. Kapitan szybko włączył go do zespołu prowadzącego wykopy, który miał przystąpić do pracy na dnie Water Pit zaraz po jego osuszeniu.

Hatch zbliżył się do wieży i wdrapał po zewnętrznej drabinie. Widok z pokładu obserwacyjnego był wspaniały. Wszechobecna mgła ustąpiła nieco w promieniach letniego słońca, był więc w stanie dojrzeć ciemnofioletowy kawałek stałego lądu. Słońce błyskało na powierzchni oceanu, sprawiając, że kolorem przywodziła ona na myśl metaliczną, idealnie gładką powierzchnię. Na rafach od zawietrznej rozbijały się fale, otaczając skały pianą i pasmem dryfujących morskich roślin. Niespodziewanie przypomniał sobie frazę z poematu Ruperta Brooka:

*Niech ponura krawędź piany*

*Która brązowi się i szaleje, gdy fala wraca do domu.*

Uniósł głowę na dźwięk głosów. Po drugiej stronie wieży obserwacyjnej dostrzegł Isobel Bonterre, jej pianka lśniła w słońcu od wody. Przechylała się przez poręcz i, wyciskając z włosów nadmiar wody, mówiła coś podekscytowana do Neidelmana.

Gdy Hatch podszedł bliżej, odwróciła się do niego z szerokim uśmiechem.

- Proszę, proszę! Człowiek, który uratował mi życie!



- Jak tam pani rana? - spytał Hatch.

- *De rien, monsieur le docteur.* Nurkowałam już dziś od szóstej. Nie wątpię, że pan o tej porze jeszcze głośno chrapał. I nie uwierzy pan, co udało mi się odkryć!

Hatch spojrział na Neidelmana, który kiwał głową i pykał z fajki wyraźnie zadowolony.

- Te kamienne fundamenty, które znalazłam na dnie morza, wcześniej? - mówiła dalej.

- Ciągną się wzdłuż ściany rafy, dokoła całego południowego krańca wyspy. Istnieje tylko jedno wyjaśnienie: to fundamenty starej grodzy.

- Starej grodzy? Wybudowanej wokół krańca wyspy? Alei po co? - Nie zdążył jeszcze zamknąć ust po wypowiedzeniu tego pytania, kiedy doznał olśnienia. - Jezu - wydusił z siebie.

Bonterre wyszczerzyła zęby.

- Piraci wybudowali półokrągłą tamę wzdłuż całej południowej części rafy. Zatopili drewniane palowanie, wznosząc łukowatą ścianę od brzegu do płycizny, potem znów wracali do brzegu. Konstruowali ją niczym częstokół, płot w morzu. Znalazłam ślady smoły i pakul ze starych lin, które wykorzystywali pewnie do uszczelniania częstokołu. Potem wypompowali wodę, odsłoniли morskie dno wokół plaży i wykopali pięć zalewowych tuneli. Kiedy skończyli, po prostu zniszczyli grodzę i wpuścili do środka na powrót wodę. *Et voilà*, pułapki zastawione!

- Tak - dodał Neidelman. - To niemal oczywiste, gdy się nad tym zastanowić. W jaki inny sposób zdołaliby zbudować podwodne tunele zalewowe, nie korzystając z dobrodziejstw sprzętu do nurkowania? Macallan był zarówno inżynierem, jak i architektem. Pracował jako doradca przy budowie Old Battersea Bridge, więc znał się na konstrukcjach wznoszonych na mieliznach. Nie ulega wątpliwości, że wszystko sobie zaplanował, po najdrobniejszy szczegół.

- Grodzą wokół całego krańca wyspy? - powiedział Hatch. - Wydaje się, że to olbrzymie przedsięwzięcie.

- Tak, olbrzymie. Ale niech pan pamięta, że miał do swojej dyspozycji ponad tysiąc pełnych entuzjazmu robotników. A oni dysponowali ogromnymi łańcuchowymi pompami z zęb swoich okrętów. - Rozległ się kolejny klakson z łodzi, Neidelman sprawdził godzinę. - Za piętnaście minut wysadzimy ładunki wybuchowe i zamkniemy owe pięć tuneli. Mgła ładnie się przerzedza. Powinien być dobry widok. Wejźmy do środka.

Kapitan wprowadził ich do wnętrza Orthanca. Pod oknami biegnącymi dokoła wieży stały rzędy sprzętu i poziomo ustawione monitory. Magnusen i Rankin, geolog, stali przy

stanowiskach w przeciwległych krańcach wieży, a dwóch techników, których Hatch nie znał, zajętych było podłączaniem i sprawdzaniem komponentów. Pod jedną ze ścian na ekranach prezentowano przekazy z kamer rozmieszczonych na całej wyspie: z centrum dowodzenia, wnętrza szybu i z wnętrza wieży obserwacyjnej.

Najbardziej charakterystyczny element wieży stanowił potężny szklany talerz umieszczony na środku podłogi. Hatch podszedł do niego i zajrzał w dół, w głąb paszczy Water Pit.

- Niech pan patrzy - powiedział Neidelman, pstrykając przyciskiem na pobliskiej konsoli.

Silna rtęciowa lampa zapaliła się, wypuszczając wiązkę światła prosto w ciemność. Pod ich nogami Pit tonął w morskiej wodzie. Pływały w niej kawałki wodorostów, a zwabione światłem krewetki podpląnęły bliżej powierzchni i bawiły się tuż pod nią. Kilka stóp głębiej w mętnej wodzie dostrzegł kawałki starego drzewa obrosnięte pąklami, jego poszarpane końce ginęły gdzieś w głębinach. Gruby, metalowy wąż pompy biegł po ziemi, przelewał się przez krawędź szybu, przyłączając się do tuzina innych, węższych kabli i lin przesyłowych.

- Gardło bestii - stwierdził z satysfakcją szeroko uśmiechnięty Neidelman. Przesunął dłoń po konsolach ustawionych pod oknami. - Wyposażyliśmy wieżę w najnowszy, zdalnie sterowany sprzęt ze skierowanymi w dół radarami z syntetyczną przesłoną, działającymi w zakresach L i X. A wszystko podłączone do komputera w bazie.

Raz jeszcze sprawdził godzinę.

- Doktor Magnusen, czy stanowisko komunikacyjne jest w porządku?

- Tak, kapitanie - odparła inżynier, odgarniając do tyłu krótkie włosy. - Wszystkie pięć boi nadaje bez zakłóceń, czekamy na sygnał do uzbrojenia.

- Czy Wopner czeka na Wyspie Jeden?

- Dzwoniłam na jego pager mniej więcej pięć minut temu. Powinien tam zaraz być, może już jest na miejscu.

Neidelman podszedł spokojnie w stronę szeregu kontrolerek i włączył radio.

- „Naiada” i „Grampus”, słyszycie mnie? Obie łodzie potwierdziły odbiór.

- Zajmijcie swoje stanowiska. Za dziesięć minut wysadzamy ładunki.

Hatch przeniósł się pod okno. Mgła przeszła w odległą mgielkę, widział teraz, jak dwie łodzie motorowe odpływają od mola, żeby zająć pozycje z dala od brzegu. Zaglądając do wnętrza rafy, wzdłuż południowego krańca wyspy, dostrzegł pięć elektronicznych pływaków oznaczających wyjścia podwodnych tuneli. Wiedział, że każdy tunel zalewowy

zaminowano kilkoma funtami semteksu. Anteny na pływakach połyskiwały w świetle, gotowe do przyjęcia sygnału detonacji.

- Wyspa Jeden, raport - rzucił do radia Neidelman.

- Tu Wopner.

- Czy systemy monitorujące są włączone?

- Tak, wszystko gra. - Wopner sprawiał wrażenie przygnębionego.

- Dobrze. Proszę mnie informować o wszelkich zmianach.

- Kapitanie, po co ja tu siedzę? - zajączał głos. - Wieża jest osieciowana, a pompy będą sterowane ręcznie. Wszystko, co trzeba, możecie robić stamtąd. Powiniennem pracować nad tym cholernym kodem.

- Nie życzę sobie żadnych kolejnych niespodzianek - odpowiedział Neidelman. - Zdetonujemy ładunki, zamkniemy wyjścia tuneli, a potem wypompujemy wodę z szybu. Nawet się pan nie obejrzy, kiedy znów będzie siedział nad swoim dziennikiem.

Poniżej zaczął się ruch. Hatch patrzył, jak Streeter kieruje swój zespół na pozycje wokół węża pompy. Bonterre weszła do środka z pokładu widokowego, długie włosy przykrywały jej plecy.

- He czasu do fajerwerków? - zapytała.

- Pięć minut - odparł Neidelman.

- Jakie to podniecające! Uwielbiam potężne wybuchy. - Spojrzała na Hacha i mrugnęła do niego.

- Doktor Magnusen - odezwał się Neidelman. - Ostatni test, jeśli pani pozwoli.

- Oczywiście, kapitanie. - Na chwilę zapadła cisza. - Wszędzie zielone światło. Sygnały z anten prawidłowe. Pompy zalane, pracują na wolnych obrotach.

Rankin przywołał Hacha gestem i wskazał w stronę ekranu.

- Niech pan patrzy.

Na ekranie widać było przekrój szybu Water Pit, oznaczony co dziesięć stóp w dół, aż do głębokości stu stóp. W przekroju znajdowała się niebieska kolumna, której wierzchołek sięgał poziomu gruntu.

- Udało nam się wpuścić do środka miniaturowy miernik głębokości - odezwał się podekscytowany. - Streeter już wcześniej wysłał na dół grupę nurków, ale nie udało im się zejść głębiej niż na trzydzieści stóp, wszystko zapchane gruzami. Nie uwierzyłby pan, ile przez te wszystkie lata zebrało się tam śmieci. - Skinął głową w stronę ekranu. - Z tym będziemy w stanie monitorować opadanie poziomu wody.

- Wszystkie stanowiska, proszę o uwagę - powiedział Neidelman. - Wysadzamy serią.

Na wieży obserwacyjnej zapadła cisza.

- Uzbrajanie od jeden do pięć - cicho oznajmiła Magnusen, przebijając po konsoli krótkimi, grubymi palcami.

- Dziesięć sekund - mruknął Neidelman. Czuć było, jak rośnie napięcie.

- Odpalać jedynekę.

Hatch spojrział w stronę morza. Wszyscy zamarli w oczekiwaniu. A potem z oceanu wystrzelił w górę olbrzymi gejzer, rozświetlony od środka pomarańczowym światłem. Chwilę później podmuch fali wstrząsowej spowodował drżenie szyb okiennych w wieży obserwacyjnej. Odgłos dudnienia przetoczył się po wodzie i trzydzieści sekund później głuchy łoskot powrócił, odbity słabym echem od głównego łądu. Gejzer opadał w dziwnym, jakby zwolnionym tempie, goniony przez chmurę złożoną ze zmielonej na proch skały, ziemi i wodorostów. Gdy wszystko opadło, przez ocean przetoczyły się wysokie, strome fale rozbijające się o napotkane przeszkody. „Naiada”, najbliższa z jednostek, zakołysała się dziko na powstałych nagle grzbietach.

- Odpalać numer dwa - powiedział Neidelman i drugi wybuch rozerwał podwodną rafę sto jardów od miejsca pierwszej eksplozji. Neidelman detonował podwodne ładunki jeden po drugim, aż Hatchowi zaczęło się wydawać, że cały południowy brzeg Ragged Island dostał się w kleszcze zmasowanego sztormu. Szkoda, że to nie niedziela - pomyślał sobie. Wyświadczylibyśmy Clayowi przysługę, budząc wszystkich, którzy przysnęli na jego kazaniu.

Nastąpiła krótka przerwa. Woda uspokoiła się, a grupy nurków badały wyniki akcji. Po odebraniu potwierdzeń, że wyjścia wszystkich pięciu tuneli zostały zamknięte, Neidelman zwrócił się do Magnusen.

- Proszę uruchomić pompy - powiedział. - Proszę utrzymywać tempo na dwadzieścia tysięcy galonów na minutę. Streeter, niech zespół czeka.

Z radiem w rękę zwrócił się do wszystkich zebranych w wieży osób.

- A zatem osuszamy Water Pit - oznajmił.

Na południowym brzegu podniósł się hałas, silniki pomp zostały uruchomione. Niemal równolegle Hatch usłyszał potężne, oporne warczenie dochodzące z szybu, z którego czeluści zaczęto odsysać wodę. Kiedy spojrział w dół, przekonał się, że gruby wąż zeszywniał, wypełniony odprowadzaną z szybu wodą. Woda wędrowała przez wyspę z powrotem do oceanu. Rankin i Bonterre przykleili się do wyświetlacza pomiaru głębokości. Magnusen monitorowała podzespoły pomp. Wieża zaczęła nieznacznie wibrować.

Minęło kilka minut.

- Poziom wody obniżył się o pięć stóp - obwieściła Magnusen.

Neidelman pochylił się w stronę Hatcha.

- Różnica poziomu wody wywołana morskimi przypływami wynosi tu osiem stóp - powiedział. - Woda nigdy nie opada w szybie więcej niż o osiem stóp, nawet przy najniższym odpływie. Jak dojdziemy do dziesięciu, będziemy pewni, że wygramy.

Pełna napięcia chwila ciągnęła się w nieskończoność. Wreszcie Magnusen podniosła twarz znad wyświetlacza liczb.

- Dziesięć stóp - stwierdziła rzeczowo.

Wszyscy popatrzyli po sobie, aż niespodziewanie na twarzy Neidelmiana rozkwitł szeroki uśmiech.

W jednej chwili w wieży obserwacyjnej Orthanc zapanował radosny harmider. Bonterre zagwizdała głośno, po czym rzuciła się w ramiona zaskoczonemu Rankinowi. Technicy z entuzjazmem klepali się po plecach. Nawet usta Magnusen, zanim wróciła do monitora, wygięły się na kształt czegoś, co można było uznać za uśmiech. Pośród oklasków i radosnych okrzyków ktoś wyciągnął butelkę Veuve Cliquot, a ktoś inny podsunął plastikowe kieliszki do szampana.

- Dokonaliśmy tego, na Boga - oznajmił Neidelman, ściskając wokół ręce. - Właśnie osuszamy Water Pit! - Sięgnął po szampana, zerwał folię i strzelił korkiem.

- To miejsce zapracowało sobie na swoją nazwę - powiedział, rozlewając trunek. Hatch pomyślał sobie, że w głosie kapitana wyczuwa ślad emocji.

- Przez dwieście lat wróg chował się pod powierzchnią wody. Do chwili, aż osuszenie Water Pit było niemożliwe, odzyskanie skarbu pozostawało w sferze marzeń. Ale, przyjaciele, od jutra potrzebna nam będzie dla niego nowa nazwa. Chciałbym wam wszystkim podziękować i złożyć gratulacje. - Uniósł swój kieliszek. Po wyspie przetoczył się odgłos słabo słyszalnych owacji.

- Woda na poziomie poniżej piętnastu stóp - oznajmiła Magnusen.

Trzymając w jednej ręce kieliszek, Hatch przeszedł na środek pomieszczenia i zajrzał przez szybę w dół. Zaglądając w gardło Water Pit, czuł niepokój. Zespół Streetera stał przy olbrzymim węźle, nadzorując przepływ wody. Ponieważ wodę wypompowywano z prędkością dwudziestu tysięcy galonów na minutę - w tym tempie co dwie minuty można by nią napełnić jeden basen - Hatch pomyślał sobie, że w zasadzie powinien dostrzec, jak woda faktycznie opada. Pełzła w dół wzdłuż porośniętych wodorostami belek, odsłaniając milimetr po milimetrze pokryte skorupiakami i morskimi ścianami. Zdał sobie sprawę, że wbrew sobie walczy z dziwnym uczuciem żalu. Odczuwał niemal coś w rodzaju rozczarowania, wydawało

mu się to wręcz niesprawiedliwe, że w mniej niż dwa tygodnie udało im się dokonać tego, czego nie zdołano osiągnąć przez dwieście lat naznaczonych bólem, cierpieniem i śmiercią.

Neidelman był już przy radiu.

- Mówi kapitan. - Jego głos przetoczył się echem przez wyspę i popłynął poza nią, nad ciemną wodą. - Niniejszym korzystam z prawa, jakie przysługuje mi z racji zajmowania stanowiska osoby kierującej całym przedsięwzięciem. Personel, którego obecność nie jest na wyspie niezbędna, ma wolne popołudnie.

Rozeszła się kolejna fala wiwatów, która objęła swoim zasięgiem całą wyspę. Hatch zerknął na Magnusa, zastanawiając się, co z takim przejęciem obserwuje.

- Kapitanie? - odezwał się Rankin, który znów zaczął wpatrywać się w swój ekran. Widząc wyraz jego twarzy, Bonterre podeszła i sama nachyliła się nad monitorem.

- Kapitanie? - Rankin odezwał się jeszcze raz, ale tym razem głośniej.

Neidelman, zajęty właśnie rozlewaniem kolejnej butelki szampana, odwrócił się w stronę geologa. Rankin wskazał na ekran.

- Woda przestała opadać.

Zapadła cisza, oczy wszystkich skierowały się w stronę szklanej podłogi.

Z szybu zaczęło coraz wyraźniej dochodzić słabe, ale nieprzerwane syczenie. Ciemna powierzchnia wody zawirowała, z czarnych głębin zaczęły wypływać pęcherze powietrza.

Neidelman odsunął się od wlotu do szybu.

- Zwiększyć moc pomp do trzydziestu tysięcy - polecił cicho.

- Tak jest, sir - odpowiedziała Magnusa. Ryk dochodzący z południowego krańca wyspy wzmógł się jeszcze bardziej.

Bez słowa Hatch dołączył do Rankina i Bonterre stojących przy ekranie na stanowisku geologa. Górna krawędź niebieskiego słupa wody znajdowała się na głębokości pomiędzy dziesięcioma a dwudziestoma stopami. Na ich oczach słup na ekranie zadrżał, po czym zaczął się powoli, nieuchronnie wspinać.

- Poziom wody wrócił do piętnastu stóp - obwieściła Magnusa.

- Ale jak to możliwe? - zapytał Hatch. - Wszystkie tunele zalewowe zostały uszczelnione. Woda nie może dostać się do szybu.

Neidelman odezwał się przez radio.

- Streeter, jaka jest czerwona linia dla tych pomp?

- Na wskaźniku podziałka kończy się na czterdziestu tysiącach, sir - zabrzmiała odpowiedź.

- Nie pytałem o podziałkę. Pytałem, gdzie znajduje się czerwona linia.

- Pięćdziesiąt tysięcy. Ale, kapitanie... Neidelman zwrócił się do Magnusen.

- Wykonać.

Ryk silników poruszających zewnętrzne pompy niemal ogłuszał, wieża zatrzęsała się dziko od ich wzmożonego wysiłku. Nikt nic nie mówił, oczy wszystkich spoczywały na monitorach. Hatch obserwował, jak niebieska linia znów się zatrzymała, zadrżała i zdawało się, że odrobinę opadła. Zdał sobie sprawę, że wstrzymał oddech. Powoli wypuścił powietrze z płuc.

- *Grande merde du noir* - wyszeptala Bonterre. Nie dowierając własnym oczom, Hatch dostrzegł, że poziom wody w Water Pit znów się podnosi.

- Wróciliśmy do dziesięciu stóp - stwierdziła metalicznym głosem Magnusen.

- Dać sześćdziesiąt na pompy - oznajmił Neidelman.

- Sir! - Przez radio z trzaskiem przedarł się głos Streetera.

- Nie możemy przegnać.

- Wykonać! - Neidelman warknął twardo w stronę Magnusen. Jego usta przypominały dwie wąskie białe linie. Inżynier zdecydowanie przekreśliła potencjometry.

Raz jeszcze Hatch znieruchomiał przy szklanej tafli. Widział, jak w dole członkowie zespołu Streetera przykuwają do węża podłączonego do pomp dodatkowe metalowe pasy. Sam wąż wił się i rzucał niczym żywe zwierze. Hatch pomyślał o możliwości rozerwania węża i zeszywniał. Zdawał sobie sprawę z tego, że woda płynąca z prędkością sześćdziesięciu tysięcy galonów na minutę może, dzięki olbrzymiemu ciśnieniu, przeciąć człowieka na pół niczym piła.

Ryk pomp przeszedł w wycie przypominające zawrodożenie pokutującego ducha - wycie to niemal rozsadało mu głowę. Czuł, jak pod jego stopami drży ziemia. Od krawędzi Water Pit oderwały się małe grudki ziemi i spadły w dół, do ciemnej, mętnej wody. Niebieska linia zadrżała, ale nie zaczęła opadać.

- Kapitanie! - krzyknął ponownie Streeter. - Przednie uszczelnienie zaczyna pękać!

Neidelman stał bez ruchu. Wpatrywał się jak skamieniały w głąb Water Pit.

- Kapitanie! - Radio przyniosło zagłuszony hałasem kolejny okrzyk Streetera. - Jeśli wąż pęknie, możemy zniszczyć Orthanc!

Hatch otworzył już usta, żeby coś powiedzieć, kiedy Neidelman odwrócił się gwałtownie do Magnusen.

- Wyłączyć pompy - polecił.

W ciszy, która zapadła, Hatch był w stanie dosłyszeć pomrukiwania i szepty dochodzące z Water Pit pod nimi.

- Poziom wody wrócił do stanu pierwotnego - poinformowała Magnusen, nie odwracając się nawet od konsoli.

- Co za gówno - zamruczał Rankin, włączając przyciski wskaźników sonarów. - Odcieśliśmy wszystkie pięć tuneli. Szykuje się cholerny problem.

Słyszac to, Neidelman odwrócił się nieco - Hatch widział jego profil niczym wyrzeźbiony dłutem i twardy wyraz oczu.

- Nie będzie problemu - oznajmił dziwnym, niskim głosem. - Po prostu zrobimy to, co Macallan. Zbudujemy wzdłuż brzegu grodzę.



Tego samego wieczoru, za kwadrans dziesiąta, Hatch przeszedł po trapie prowadzącym z „Cerberusa” do swojej własnej łodzi. Na koniec dnia pracy podpłynął do wielkiego statku, żeby sprawdzić aparaturę do transfuzji krwi na wypadek, gdyby taka operacja okazała się konieczna. Już na pokładzie porozmawiał sobie z kwatermistrzem Thalassy. Rozmowa zakończyła się zaproszeniem na kolację w okrętowym kambuzie i spotkaniem z kilkoma mieszkańcami statku. Wreszcie, po zjedzeniu warzywnej lazanii i wypiciu espresso, pożegnał się z sympatycznymi członkami załogi i technikami laboratoryjnymi i ruszył do domu. Idąc wzdłuż białych korytarzy prowadzących do wyjścia, minął kajutę Wopnera. Przez chwilę wahał się, czy nie zajrzeć do komputerowca, ale uznał, że nie ma ochoty narażać się na nieprzyjazne powitanie, jakiego mógł się spodziewać. Raport o stanie prac nad szyfrem może poczekać.

A teraz znów na „Plain Jane” włączył silnik, zrzucił cumy i skierował łódź prosto w objęcia ciepłej nocy. Odległe światła łądu rozciągały się w ciemności niczym sznurek. Te bliższe, na Ragged Island, lśniły miękko, przebijając się przez powłokę mgły. Wenus zawisała nisko nad zachodnim horyzontem, odbijając się w wodzie drżącą wstążką bieli. Silnik pracował trochę nierówno, ale uspokoił się, gdy Hatch otworzył nieco przepustnicę. Łódź zostawiała za sobą lśniący, fosforyzujący ślad: iskry zielonego ognia. Hatch westchnął, zadowolony, ciesząc się na myśl o spokojnej przejażdżce do domu, nie zniechęcony późną godziną.

Nagle silnik znów zaczął się krztusić. Hatch szybko go zgasił i pozwolił łodzi dryfować. Zdaje się, że to woda w przewodzie paliwowym - pomyślał. Westchnął i poszedł poszukać latarki i jakichś narzędzi, po czym wrócił na kokpit i zdjął pokrywę pokładu, odsłaniając spoczywający pod nią silnik. Poświecił latarką, szukając oddzielnika paliwa i wody. Po jego zlokalizowaniu sięgnął pod pokład i odkręcił małą piłeczkę. Pewnie, pełna czarnej cieczy. Wylał zawartość pojemnika za burtę i znów pochylił się, żeby umieścić go ponownie na swoim miejscu.

Nagle znieruchomiał. W ciszy, jaka zapadła po wyłączeniu silnika, Hatch dosłyszał, że coś się zbliża, jakiś dźwięk dochodzący z nocnego bezruchu. Zatrzymał się i zaczął nasłuchiwać, przez chwilę nie zdając sobie sprawy, co to za odgłosy. Wreszcie zrozumiał: kobiecy głos, niski i melodyjny, wyśpiewywał czarującą arię. Wyprostował się i odruchowo odwrócił w kierunku, z którego dochodził głos. Dźwięk płynął po ciemnych falach, uwodzicielski, nie z tego świata, olśniewający, z nutą słodkiego cierpienia.

Hatch znieruchomiał i czekał, wsłuchując się. Gdy spojrział ponad wodą, zorientował się, że pieśń dochodziła z ciemnej sylwetki „Griffina”, którego światła zostały wyłączone. Na pokładzie jednostki Neidelmiana jarzył się samotny czerwony punkt. Przez lornetkę rozpoznał kapitana, który palił fajkę na przednim pokładzie.

Hatch zamknął pokrywę i spróbował uruchomić silnik. Motor zagrał za drugim razem słodko i czysto. Hatch poluzował przepustnicę i wiedziony impulsem skierował się w stronę „Griffina”.

- Dobry wieczór - powiedział kapitan, gdy Hatch się zbliżył. Cichy głos zabrzmiał nienaturalnie czysto w nocnym powietrzu.

- I nawzajem - odparł Hatch, przechodząc na wolne obroty. - Dałbym sobie rękę uciąć, że to Mozart, ale nie jestem pewien, jaka opera. Może *Wesele Figara!*

Kapitan potrząsnął głową.

- To „Zeffiretti Lusinghieri”.

- Ach, tak. *Z Idomeneo*.

- Tak. Sylvia McNair pięknie śpiewa, prawda? Jest pan miłośnikiem opery?

- Moja mama była. W każde sobotnie popołudnie radio wypełniało nasz dom triami i *tutti*. Doceniłem te dzieła dopiero w ciągu minionych pięciu lat.

Na chwilę zapadła cisza.

- Ma pan ochotę wejść na pokład? - zapytał nagle Neidelman.

Hatch przywiązał „Plain Jane” do poręczy, zgasił silnik i wskoczył na pokład, korzystając z wyciągniętej pomocnicie dłoni kapitana. Fajkę otaczała poświata, przydając twarzy Neidelmiana czerwonej aury, podkreślając jego rysy, zapadnięte policzki i oczy. Cenny metal mrugał, świecąc nad sterówką - skręcona spirala złota odbijała światło księżyca.

Stali przy poręczy, wsłuchując się w cichnące nuty arii. Gdy dobiegła końca i rozpoczęła się recytatywa, Neidelman głęboko westchnął, po czym opróżnił fajkę, stukając nią o burzę.

- Dlaczego nigdy nie kazał mi pan rzucić palenia? - zapytał. - Każdy znany mi lekarz usiłował mnie do tego nakłonić, każdy, z wyjątkiem pana.

Hatch zastanowił się.

- Mam wrażenie, że traciłbym tylko czas. Neidelman zaśmiał się cicho.

- A to znaczy, że całkiem nieźle już mnie pan poznał. Zejdziemy na dół na szklaneczkę porto?

Hatch spojrział na kapitana z zaskoczeniem. Jeszcze tej samej nocy w kambuzie „Cerberusa” dowiedział się, że nikt nie był nigdy zapraszany pod pokład „Griffina” - prawdę

mówiąc, nikt nie wiedział, jak wygląda wnętrze łodzi. Kapitan, choć w stosunkach z załogą elegancki i przyjacielski, zawsze zachowywał pewien dystans.

- Dobrze się składa, że nie zacząłem od wyliczania pańskich przywar, prawda? - stwierdził Hatch. - Dziękuję, z przyjemnością wypiję kieliszek porto.

Ruszył za Neidelmanem do kabiny pilota, a potem w dół, schodami biegnącymi od niskich drzwi. Kolejne półpiętro wąskich metalowych schodów, kolejne drzwi i Hatch znalazł się w sporym, niskim pokoju. Zadziwiony rozejrzył się wokół. Boazeria wykonana została z drogiego, połyskliwego mahoni, z rzeźbieniami w stylu georgiańskim, inkrustowana macią perłową. W każdym łuku umieszczono delikatne lampy Tiffany'ego, wzdłuż ścian stały wyściełane skórą ławki. W przeciwległym końcu pokoju, na kominku połyskiwał nieduży ogień, napełniając kabinę ciepłem i słabym, wonnym aromatem brzozonego drewna. Po obu stronach kominka stały oszklone biblioteczki - Hatch dostrzegł oprawne w ciejącą skórę tomy z tłoczonymi na grzbietach złotymi napisami. Podeszedł bliżej, by odczytać tytuły: *Podróże Hakluyta*, stary egzemplarz *Principiów* Newtona. Gdzieś tam, wyeksponowane, spoczywały bezcenne, podświetlone manuskrypty i inkunabuły. Hatch rozpoznał piękny egzemplarz *Les Très Riches Heures du Due de Berry*. Była tam także i mała półka przeznaczona na pierwsze wydania dawnych tekstów na temat piratów: *Batchelor's Delight* Lionela Wafera, *Bucaniers of America* Aleksandra Esquemeliona oraz *A General' History of the Robberies and Murders of the most notorious Pyrates* autorstwa Charlera Johnsona. Sama tylko zawartość biblioteki musiała kosztować niewielką fortunę. Hatch zaczął się zastanawiać, czy Neidelman wyposażył swoją łódź, przeznaczając na to zarobki z poprzednich akcji ratunkowych.

Obok jednej z gablotek na ścianie wisiał mały krajobraz morski, oprawiony w złoconą ramę. Hatch podeszedł, by lepiej się mu przyjrzeć. Zaparło mu dech w piersiach.

- Mój Boże - powiedział. - To Turner, prawda? Neidelman przytaknął.

- To szkic do jego obrazu *Szkwał przy Beachy Head, 1874*.

- Tego z galerii Tate? - zapytał Hatch. - Kiedy kilka lat temu byłem w Londynie, kilka razy starałem się go naszkicować.

- Jest pan malarzem? - zapytał Neidelman.

- Amatorem. Przeważnie akwarele. - Hatch zrobił krok w tył i znów rozejrzył się po pokoju. Pozostałe obrazy, które wisiały na ścianach, nie stanowiły dzieł malarza. Były to szczegółowe miedzioryty okazów botanicznych: wielkich kwiatów, dziwnych traw, egzotycznych roślin.

Neidelman podszedł do niewielkiego, pokrytego bają barku zastawionego marynarskimi karafkami z rżniętego szkła i małymi kieliszkami. Wyciągnąwszy dwie szklaneczki z wyłożonych filcem uchwytów, nalał do każdej miarkę porto.

- Te miedzioryty - wyjaśnił, idąc za wzrokiem Hatcha - wykonał Sir Joseph Banks, botanik, który towarzyszył kapitanowi Cookowi w jego pierwszej podróży dookoła świata. Przedstawiają okazy roślin, jakie kolekcjonował w Zatoce Botanicznej, krótko po odkryciu Australii. To właśnie owa fantastyczna różnorodność flory sprawiła, że Banks nadał zatoce taką właśnie nazwę.

- Są przepiękne - powiedział cicho Hatch, przyjmując szklaneczkę.

- To prawdopodobnie najwspanialsze miedzioryty, jakie kiedykolwiek wykonano. Ależ był z niego szczęściarz: botanik, który otrzymał w darze całkiem nowy kontynent.

- Interesuje się pan botaniką? - zapytał Hatch.

- Interesują mnie całkiem nowe kontynenty - odparł Neidelman, wpatrując się w ogień. - Urodziłem się jednak zbyt późno. Wszystkie już rozdzielono. - Uśmiechnął się szybko, ukrywając coś, co przypominało pełne tęsknoty spojrzenie.

- Ale Water Pit stanowi chyba godną uwagi zagadkę.

- Tak - odparł Neidelman. - Być może jedyną, jaka jeszcze pozostała. I dlatego uważam, że takie komplikacje jak dzisiejsze nie powinny mnie zniechęcać. Wspaniałe tajemnice zazdrośnie strzegą swego rozwiązania.

Zapadła na długą chwilę cisza, Hatch popijał swoje porto. Wiedział, że większość ludzi uznawała przerwy w konwersacji za niezręczne, ale Neidelman najwyraźniej je lubił.

- Miałem zamiar o coś pana zapytać - odezwał się wreszcie kapitan. - Co pan sądzi na temat tego, jak nas przyjęto wczoraj w miasteczku?

- Ogólnie rzecz biorąc, wszyscy wydają się zadowoleni z naszej tu obecności. Nie ulega wątpliwości, że z punktu widzenia miejscowej gospodarki jesteśmy prawdziwym dobrodziejstwem.

- Tak - odpowiedział Neidelman. - Ale co pan ma na myśli, mówiąc „ogólnie rzecz biorąc”?

- No cóż, nie każdy para się handlem. - Hatch uznał, że nie ma sensu niczego owijać w bawełnę. - Mam wrażenie, że napotkaliśmy moralną opozycję w postaci miejscowego pastora.

Na ustach Neidelmana pojawił się lekko drwiący uśmiech.

- Pastor potępia, prawda? Po dwóch tysiącach lat morderstw, inkwizycji i nietolerancji, to zdumiewające, że jakikolwiek chrześcijański duchowny nadal uważa, że ma prawo do moralnych osądów.

Hatch poruszył się, czując się trochę niepewnie - oto gadatliwy Neidelman, nie przypominający w niczym tej chłodnej postaci, która zaledwie kilka godzin wcześniej wydała ryzykowne polecenie zwiększenia mocy pomp.

- Powiedzieli Kolumbowi, że jego statek spadnie z krawędzi ziemi. I zmusili Galileusza, żeby publicznie wyrzekł się swojej największego odkrycia. - Neidelman odszukał w kieszeni fajkę i przystąpił do precyzyjnego rytuału jej zapalania.

- Mój ojciec był luterańskim duchownym - powiedział już ciszej, zapalając zapałkę. - Odebrałem swoją porcję, starczy mi na całe życie.

- Nie wierzy pan w Boga? - zapytał Hatch. Neidelman popatrzył na niego w milczeniu. Potem nachylił się.

- Szczerze mówiąc, często chciałbym, żeby tak było. Religia odegrała tak znaczącą rolę w moim dzieciństwie, że bez niej czasami czuję się jak zawieszony w próżni. Ale należę do tych, którzy nie wierzą w brak dowodów. Nie jest to coś, co mógłbym skontrolować. Muszę mieć dowód. - Pociągnął łyk portu. - Czemu pan pyta? Jest pan religijny?

Hatch zwrócił się do niego.

- No cóż, jestem. Neidelman czekał, paląc fajkę.

- Ale nie mam ochoty o tym dyskutować. Na twarzy Neidelmana pojawił się uśmiech.

- Doskonale. Czy mogę dolać? Hatch podał mu szklanę.

- W miasteczku dobiegły mnie nie tylko głosy protestu -.; ciągnął. - Mam tam starego przyjaciela, nauczyciela biologii który sądzi, że się nam nie powiedzie.

- A pan? - zapytał chłodno Neidelman, zajęty rozlewaniem portu, nie patrząc na rozmówcę.

- Nie byłoby mnie tutaj, gdybym uważał, że się nam nie uda. Ale skłamałbym, twierdząc, że dzisiejsze niepowodzenie nie dało mi do myślenia.

- Malin - odezwał się niemal łagodnie Neidelman, wręczając Hatchowi szklanę. - Nie mogę mieć panu tego za złe. Przyznaję, że i ja się zawahałem, gdy zawiodły pompy. Jednak w najmniejszym nawet stopniu nie wątpię w to, że nam się uda. Teraz widzę, gdzie tkwił błąd.

- Przypuszczam, że jest więcej niż pięć tuneli zalewowych - powiedział Hatch. - A może jakaś sztuczka z hydrauliką.

- Bez wątplenia. Ale nie to miałem na myśli. Widzi pan, całą naszą uwagę poświęciliśmy szybowi Water Pit. Dotarło do mnie, że nie jest on naszym wrogiem.

Zaciekawiony Hatch uniósł brwi. Kapitan, ściskając fajkę, odwrócił się do niego z błyskiem zainteresowania w oczach.

- To nie szyb. To ten człowiek. Macallan, projektant. Cały czas jest o jeden krok przed nami. Przewidział nasze ruchy i posunięcia tych, którzy pojawili się tu przed nami.

Postawił szklankę na wyłożonym filcem stole, podszedł do ściany i otworzył jeden z drewnianych paneli, odsłaniając mały sejf. Nacisnął kilka przycisków na umieszczonej z boku klawiaturze i drzwi sejfu otwarły się. Sięgnął do środka, coś wyciągnął, po czym odwrócił się i położył to coś na stole przed Hatchem. Była to książka w arkuszu in quarto, oprawiona w skórę, zatytułowana: *O sakralnych konstrukcjach*, autorstwa Macallana. Kapitan otworzył książkę z największą atencją, pieszcząc ją smukłymi palcami. Na marginesach, obok druku, widniało schludne ręczne pismo sporządzone bladobrazowym atramentem, niemal przypominającym akwarelę. Linijka po linijce ciągnęły się notatki przerywane od czasu do czasu jedynie małymi, zręcznymi technicznymi szkicami różnych złączy, łuków, obejm i cembrowań. Neidelman postukał w otwartą stronę.

- Jeśli szyb stanowi zbroję Macallana, to właśnie jest jej słaby punkt i tutaj wsuniemy nasz nóż. Już niedługo rozszyfrujemy drugą część kodu. Wraz z nim zdobędziemy klucz do skarbu.

- Skąd pewność, że jego dziennik zawiera sekret szybu? - zapytał Hatch.

- Bo żadne inne wytłumaczenie nie pasuje. W jakim innym celu prowadziłby tajny dziennik, nie dość że zaszyfrowany, to jeszcze spisany białym attamentem? Niech pan pamięta, Red Ned Ockham potrzebował Macallana, by ten stworzył dla niego nieprzemakalną fortecę, w której mógłby złożyć swój skarb. Fortecę, która nie tylko nie dopuści łupieżców, ale stanowić będzie fizyczne zagrożenie, zatopi ich i zmiażdży. Nikt jednak nie buduje bomby, nie wiedząc jednocześnie, jak ją rozbroić. Zatem Macallan musiał stworzyć tajne wejście dla samego Ockhama tak, by ten był w stanie wydobyć swój skarb, kiedy przyszłaby mu na to ochota: może jakiś ukryty tunel albo sposób na unieszkodliwienie pułapek. To oczywiste, że Macallan sporządził notatki, jak to zrobić.

Przyszpilił wzrokiem swojego gościa.

- Pomimo to dziennik kryje coś więcej niż tylko klucz do Water Pit. Stanowi on okno, przez które można zajrzeć w głąb umysłu autora. I to człowieka właśnie musimy pokonać.

Mówił tym samym niskim, dziwnie przekonującym tonem, który Hatch zapamiętał z poprzedniego dnia.

Hatch nachylił się nad książką, wdychając woń pleśni, skóry, kurzu i zmurszałego papieru.

- Jedno mnie zaskakuje - powiedział. - Fakt, że architekt porwany i zmuszony do pracy na jakiejś zapomnianej przez Boga wyspie zachował dość przytomności umysłu, by spisywać sekretny dziennik.

Neidelman powoli pokiwał głową.

- Nie był to akt słabeusza. Być może chciał pozostawić ślad dla potomności po swojej genialnej konstrukcji. Trudno jest, jak sądzę, spekulować, czym faktycznie się kierował. Ostatecznie człowiek ten sam był w zasadzie zagadką. W jego biografii występuje trzyletnia dziura, po opuszczeniu Cambridge, kiedy to gdzieś przepadł. A jego życie osobiste pozostaje owiane całkowitą tajemnicą. Proszę spojrzeć na jego dedykację. - Ostrożnie otworzył książkę na stronie tytułowej i podsunął ją Hatchowi.

*Z pełną wdzięczności admiracją*

*Za wskazanie drogi*

*Autor z szacunkiem dedykuje swoje skromne dzieło*

*Etcie Onis*

- Szukaliśmy wszędzie, ale nie udało nam się dojść, kim była owa Eta Onis - ciągnął Neidelman. - Czy była jego nauczycielką? Powiernicą? Kochanką? - Pieczołowicie zamknął książkę. - I tak z całą resztą jego życia.

- Wstyd się przyznać, ale do chwili, kiedy się pan nie pojawił, nie miałem zielonego pojęcia, że ktoś taki w ogóle istniał - oznajmił Hatch.

- Jak większość ludzi. Ale w jego czasach uznawano go za błyskotliwego wizjonera, prawdziwego człowieka Renesansu. Urodził się w tysiąc sześćset pięćdziesiątym siódmym roku jako nieślubny, ale ulubiony syn pewnego hrabiego. Podobnie jak o Miltonie, mówi się o nim, że czytał wszystkie książki, jakie się wtedy ukazywały - po angielsku, łacinie, w grece. Studiował w Cambridge prawo i przygotowywał się do objęcia biskupstwa, ale najwyraźniej potajemnie przeszedł na katolicyzm. Zwrócił się w stronę sztuk pięknych, filozofii naturalnej i matematyki. Był też niezwykle wysportowany, ponoć umiał tak rzucić monetą, by ta doleciała do końca nawy największej ze zbudowanych przez niego katedr.

Neidelman wstał, podszedł do sejfu i odłożył do niego książkę.

- We wszystkich jego dziełach widać wyraźne zainteresowanie systemami hydraulicznymi. W tej książce opisuje pomysłowy system akweduktów i syfonów, który miał doprowadzać wodę do katedry Houndsbury. Naszkicował też system hydrauliczny śluz na

kanale na rzece Severn. Nigdy go nie zbudowano - wtedy wydawało się, że to szalony pomysł - ale Magnusen sporządziła model, wszystko działało.

- Czy Ockham szukał właśnie jego? Neidelman uśmiechnął się.

- Aż człowieka kusi, żeby tak właśnie uważać, prawda? Ale to wysoce wątpliwe. Był to prawdopodobnie jeden z owych historycznych zbiegów okoliczności.

Hatch skinął głową w kierunku sejfu.

- Jak pan wpadł na ślad tej książki? Też przypadkiem? Neidelman uśmiechnął się jeszcze szerzej.

- Nie, niezupełnie. Kiedy zacząłem przyglądać się skarbowi na Ragged Island, przeprowadziłem śledztwo w sprawie Ockhama. Wie pan, że jego statek dowodzący znaleziono, jak dryfował opuszczony z martwymi marynarzami. Odholowano go do Plymouth, a jego zawartość sprzedano na publicznej aukcji. Udało nam się wydobyć listę aukcyjną w londyńskim Biurze Rejestrów Państwowych. Była na niej spisana zawartość skrzyni z książkami kapitana. Ockham był człowiekiem wykształconym, przypuszczam, że była to jego osobista biblioteczka. Jeden z tomów, *O sakralnych konstrukcjach*, przykuł moją uwagę - zaplątany gdzieś między mapami, francuską pornografią i pracami o tematyce morskiej, stanowiącymi resztę biblioteki. Odszukanie książki zabrało nam mniej więcej trzy lata. Ostatecznie udało nam się wyciągnąć ją ze sterty zbutwiałych tomów w krypcie na wpół zrujnowanego szkockiego prezbiteriańskiego kościółka w Glenfarkille.

Stanął przy kominku i przemówił rozmarzonym głosem.

- Nigdy nie zapomnę chwili, gdy po raz pierwszy otworzyłem tę książkę i zdałem sobie sprawę, że owe brzydkie zabrudzenia na marginesach to atrament sympatyczny, który ukazał się dopiero po tym, jak dobrały się do niego czas i wilgoć. W jednej chwili wiedziałem, wiedziałem, że skarby Water Pit będą moje.

Zamilkł z wygasłą fajką przy żarzących się węglach kominka, emanujących w ciemniejącym pokoju tajemniczym światłem.



## 21

Kerry Wopner szedł zwawym krokiem po kamiennej ulicy, pogwizdując pod nosem melodię z *Gwiezdnych wojen*. Od czasu do czasu zatrzymywał się na dość długo, by parsknąć szyderczo na widok mijanych wystaw. Każda z nich była bez sensu. Jak ten sklep żelazny eksponujący zardzewiałe narzędzia i podwórkowe wyposażenie dość stare, by mogło pamiętać czasy sprzed rewolucji przemysłowej. Doskonale wiedział, że w promieniu trzystu mil nie znajdzie porządnego sklepu komputerowego. Co do bagielek, musiałby przekroczyć granice co najmniej dwóch stanów, zanim wpadłby na kogoś, kto wiedziałby, co oznacza samo tylko cholerne słowo.

Zatrzymał się gwałtownie przed kruchą, białą, wiktoriańską budowlą. To pewnie tu, chociaż całość wygląda bardziej na stary dom niż pocztę. Na ganku powiewała sporych rozmiarów amerykańska flaga, na trawniku zaś przed domem, wbity w ziemię niczym drogowskaz, tkwił znak: STORMHAVEN, ME 04564. Wopner otworzył drzwi i zdał sobie sprawę, że wszedł do czyjegoś domu: poczta zajmowała salonik, a dochodzący z tyłu silny zapach gotujących się potraw wskazywał na zdecydowanie domowy charakter położonych na zapleczu pomieszczeń.

Rozejrzał się po małym pokoju, kręcąc głową na widok starych jak świat skrytek pocztowych i liczących sobie dziesięć lat plakatów ze zdjęciami osób poszukiwanych przez prawo. Wreszcie jego wzrok padł na dużą drewnianą ladę z napisem: ROSA POUNDCOOK, POCZMISTRZYNI. Za ladą siedziała kobieta, pochylając siwą głowę nad haftem przedstawiającym czteromasztowy szkuner. Wopner był zaskoczony, że nie ma kolejki - prawdę mówiąc, był tu jedynym klientem.

- Przepraszam - powiedział, podchodząc do lady.

- To poczta, prawda?

- Istotnie - odparła Rosa, która, zanim podniosła wzrok, zacisnęła ostatnią pętelkę haftu i ostrożnie odłożyła robótkę na ramę bujanego fotela. Kiedy zobaczyła Wopnera, ruszyła się żwawiej.

- O rety - powiedziała, a ręka sama powędrowała jej do brody, jak gdyby chciała się upewnić, czy kozia bródka Wopnera nie jest przypadkiem zaraźliwa.

- To dobrze, bo czekam na odbiór ważnej kurierskiej przesyłki, wie pani? - Wopner popatrzył na nią zza lady przez zmrużone oczy. - Konne wozy dostarczają w te okolice, co?

- Och! - powtórzyła Rosa Poundcook, podnosząc się z fotela i zrzucając tamborek z haftem. - Czy pan ma nazwisko, to znaczy, czy mogę prosić o pana nazwisko?

Wopner zaśmiał się przez nos.

- Wopner. Kerry Wopner.

- Wopner? - Zaczęła przeszukiwać małe drewniane przegródki wypełnione żółtymi karteczkami. - W-h-o-p-p-

- Nie, nie, nie. Wopner. Bez „h”. Jedno „p” - zabrzmiała rozdrażniona odpowiedź.

- Aha - odparła Rosa, odzyskując równowagę po znalezieniu właściwej karteczki. - Jedną chwilę. - Obrzuciła programistę jeszcze jednym zdumionym spojrzeniem i znikła w drzwiach.

Wopner rozparł się na ladzie, pogwizdując. Drzwi z tyłu otworzyły się ze skrzypnięciem, jakby na znak protestu. Obejrzał się i zobaczył wysokiego, chudego mężczyznę, który zamknął za sobą ostrożnie drzwi. Mężczyzna odwrócił się i Wopner natychmiast przypomniał sobie Abrahama Lincolna: wymizerowanego, z zapadniętymi oczami, z długimi kończynami. Prosty, czarny garnitur wieńczyła koloratka. Mężczyzna trzymał w jednej dłoni plik listów. Wopner szybko odwrócił wzrok, ale było już za późno - ich spojrzenia spotkały się. Zaniepokojony dostrzegł, że mężczyzna zmierza w jego stronę. Wopner nigdy przedtem nie miał do czynienia z duchownym, co dopiero mówić o rozmowie z nim wcale nie miał zamiaru tego zmieniać. W pośpiechu sięgnął do stojącego w pobliżu stojaka z pocztowymi biuletynami i zatopił się w lekturze na temat nowej serii znaczków z wzorami kołder Amiszów.

- Halo - powiedział przybysz. Odwrócił się niechętnie i zobaczył, że duchowny stoi zaraz za nim. Wyciągał do Kerry'ego jedną rękę, ściągniętą twarz przecinał wąski uśmiech.

- Hej, cześć - odpowiedział, odpowiadając lekkim uściskiem i szybko wrócił do swojego biuletynu.

- Nazywam się Woody Clay - powiedział mężczyzna.

- W porządku - odparł Wopner, nie patrząc na niego.

- A pan pewnie jest jednym z członków zespołu Thalassy - stwierdził Clay, podchodząc o krok bliżej i stając przy ladzie obok Wopnera.

- Jasne, że jestem. - Wopner wertował informator w ramach taktyki dywersyjnej, odsuwając się równocześnie o kilkanaście centymetrów od nieznanego.

- Czy mogę panu zadać pewne pytanie?

- Pewnie, niech pan strzela - odparł Wopner, nadal czytając. Nie miał bladego pojęcia, że na szerokim świecie tyle było różnych koców.

- Czy rzeczywiście spodziewacie się zdobyć fortunę, w złocie? Wopner podniósł wzrok znad broszury.

- No cóż, osobiście mam taki plan. - Mężczyzna nie uśmiechnął się. - Spodziewam się.  
Dlaczego nie?

- Dlaczego nie? Czy pytanie nie powinno raczej brzmieć „dlaczego”?

Coś w tonie mężczyzny zaniepokoiło Wopnera.

- O co panu chodzi? To dwa miliardy dolarów.

- Dwa miliardy dolarów - powtórzył mężczyzna, jakby zaskoczony, po czym pokiwał głową, jak gdyby na potwierdzenie własnych przypuszczeń.

- Więc chodzi tylko o pieniądze. Nie ma innego powodu.

Wopner zaśmiał się.

- Tylko o pieniądze? A potrzeba lepszego powodu? Bądźmy realistami. Na litość boską, nie gadasz pan z Matką Teresą. - Nagle przypomniał sobie o kołnierzyku duchownego.

- Oj, przepraszam - dodał speszony. - Nie miałem zamiaru, jest pan księdzem i tak dalej, a ja tylko...

Mężczyzna uśmiechnął się zdawkowo.

- Nic nie szkodzi, już to wcześniej słyszałem. I nie jestem księdzem. Jestem duchownym kongregacji.

- Rozumiem - powiedział Wopner. - To jakaś sekta, tak?

- Czy pieniądze naprawdę są dla pana takie ważne? - Clay nie spuszczał z Wopnera wzroku. - To znaczy, w tych okolicznościach?

Wopner odpowiedział na jego spojrzenie.

- Jakich okolicznościach? - Zerknął nerwowo w czeluści poczty. Co, u diabła, zatrzymało tam tę tłustą babę? Zdążyłaby już chyba dojść do cholernego Brooklynu.

Mężczyzna pochylił się do przodu.

- To, co pan robi dla Thalassy?

- Zajmuję się komputerami.

- Ach. Interesujące zajęcie. Wopner wzruszył ramionami.

- Pewnie. Obserwuję, jak działają.

Mężczyzna, słuchając odpowiedzi, zrobił zafrasowaną minę. - I wszystko idzie gładko? Nie ma skarg? Wopner zmarszczył brwi.

- Nie - powiedział ostrożnie. Clay skinął głową.

- Dobrze.

Wopner odłożył broszurę na stojak.

- A właściwie, to czemu pan pyta? - powiedział, udając obojętność.

- Bez powodu - odparł duchowny. - Nic poważnego. Z wyjątkiem... - Urwał.

Wopner wyprężył się lekko.

- W przeszłości ta wyspa - no cóż, sprawiała kłopoty każdemu, kto postawił na niej stopę. Wybuchaly kotły. Bez powodu psuły się urządzenia. Byli ranni. Ofiary śmiertelne.

Wopner zrobił krok w tył i prychnął.

- Mówi pan o przekleństwie Ragged Island - powiedział.

- O przeklętym kamieniu i tych wszystkich sprawach? To kupa gówna, proszę mi wybaczyć określenie.

Clay uniósł wysoko brwi.

- Czyżby? No cóż, są ludzie, którzy mieszkają w tej okolicy dłużej od pana i którzy mają na ten temat inne zdanie. A co do kamienia, to właśnie w tej chwili spoczywa zamknięty w piwnicach mojego kościoła. Leży tam już od stu lat.

- Naprawdę? - Wopner otworzył usta. Clay skinął głową.

Zapadła cisza.

Duchowny nachylił się jeszcze bardziej i zniżył głos do konspiracyjnego szeptu.

- Zastanawiał się pan kiedykolwiek nad tym, dlaczego wokół wyspy nie ma rybackich boi do połowu homarów?

- Chodzi panu o te rzeczy, które wszędzie tu pływają?

- Właśnie.

- Nie zauważyłem, żeby czegoś brakowało.

- Następnym razem niech się pan przespaceruje, rzuci okiem.

- Clay ściszył głos jeszcze bardziej. - Są ważne powody.

- Tak?

- Wszystko wydarzyło się jakieś sto lat temu. Z tego... co słyszałem, mieszkał tu pewien rybak łowiący homary, Hiram Colcord. Rozrzucał swoje pułapki wokół Ragged Island. Wszyscy go ostrzegali, żeby tego nie robił, ale połowy były dobre, więc powiedział, że ma w nosie klątwę. Pewnego letniego dnia - pewnie podobnego do dzisiejszego - wpłynął we mgłę, żeby zastawić swoje pułapki. O zachodzie słońca jego łódź przydryfowała do brzegu, niesiona falą przyprływu. Tylko że jego w środku nie było. W łodzi na kupie leżały pułapki na homary i beczka pełna samych homarów. Znaleźli też jego obiad, na wpół zjedzony, na ławce, i do połowy opróżnioną butelkę piwa. Jak gdyby wstał i wysiadł.

- Wypadł za burtę i się utopił. I co?

- Nie - ciągnął Clay. - Jeszcze tego samego wieczoru jego brat popłynął na wyspę, by sprawdzić, czy może Hiram gdzieś tam utknął. On też nigdy już nie wrócił. Nazajutrz jego łódź wypłynęła z mgły niesiona prądem.

Wopner przełknął ślinę.

- No to obaj się potopili.

- Dwa tygodnie później - snuł swoją opowieść Clay - morze wyrzuciło ich ciała na Breed Point. Jeden z miejscowych, gdy zobaczył, co się z nimi stało, oszalał z przerażenia. A reszta nie powiedziała nikomu, co tam znaleźli. Nigdy.

- Daj pan spokój - powiedział Wopner nerwowo.

- Ludzie mówili, że był to nie tylko Pit broniący swojego skarbu. Rozumie pan? Zna pan ten okropny dźwięk, jaki wydaje z siebie wyspa za każdym razem, jak zmienia się kierunek fali przypływu? Mówią...

Z tyłu domu doszły jakieś odgłosy szamotaniny.

- Przepraszam, że tak to długo trwało - wydyszała Rosa, wylaniając się z paczką pod jednym z tłustych ramion. - Była pod tą stertą karmników dla ptaków dla sklepu żelaznego, a ponieważ nie ma dziś rano Eustachego, sam pan rozumie, wszystko musiałam sama przenieść.

- Hej, nic nie szkodzi, dzięki. - Wopner złapał z wdzięcznością paczkę i ruszył do drzwi.

- Przepraszam, proszę pana! - zawołała poczmistrzyni. Wopner natychmiast się zatrzymał. Niechętnie obejrzał się, przyciskając paczkę do piersi.

Kobieta trzymała w ręku żółtą kartkę.

- Musi pan pokwitować odbiór.

Bez słowa Wopner podszedł do niej i nabazgrał w pośpiechu podpis, po czym znów się odwrócił i szybko wyszedł z saloniku, pozwalając, by drzwi same się zatrzasnęły.

Gdy był już na zewnątrz, wziął głęboki wdech.

- Do diabła z tym wszystkim - mruknął. Książd czy nie, nie miał zamiaru wracać na łódź, nie upewniwszy się przedtem, że jego zamówienie zostało zrealizowane. Powalczył chwilę, otwierając małą paczkę, ciągnąc za taśmę najpierw ostrożnie, potem bardziej energicznie. Nagle pakowanie puściło i ze środka wysypał się na brukowaną ulicę tuzin małych figurek magów i czarnoksiężników, stukając o kamienie. W ślad za figurkami pofrunęła na ziemię talia kart do gry: pentagramy, zaklęcia, odwracanie czarów, diabelskie kręgi. Wopner, przeklinając, nachylił się, by wszystko pozbierać.

Clay wyszedł z budynku poczty, zamykając za sobą ostrożnie drzwi. Przeszedł przez ganek i wyszedł na ulicę. Popatrzył chwilę na plastikowe figurki i karty i bez słowa ruszył pośpiesznie ulicą.

Nazajutrz było zimno i wilgotno, ale pod koniec popołudnia przestało mżyć i niskie deszczowe chmury znikły. Niebo pojaśniało. Jutro będzie rześko i wietrznie - pomyślał Hatch, wspinając się po wąskiej, oznaczonej żółtą taśmą ścieżce za Orthankiem. Taka codzienna wspinaczka na szczyt wyspy stała się dla niego rytuałem kończącym dzień. Po wejściu na najwyższe w okolicy wzniesienie obszedł krawędź południowych urwisk do miejsca, z którego dobrze widać było załogę Streetera. Ludzie kończyli właśnie ostatnie zaplanowane na ten dzień prace przy grodzy.

Jak zwykle Neidelman opracował prosty i elegancki plan.; Statek towarowy ruszył do Portland po cement i materiały budowlane. Bonterre natomiast sporządziła mapę, na której zaznaczyła dokładnie linię fundamentów starej grodzy wzniesionej przez piratów. Przy okazji pobierała próbki do późniejszej archeologicznej analizy. Następnie nurkowie wylali specjalny beton do konstrukcji podwodnych nad pozostałościami starych fundamentów, po czym zatopili w nim stalowe belki dwuteowe. Hatch wpatrywał się w olbrzymie belki sterczące ponad powierzchnią wody w odstępach co dziesięć stóp, okalające wąskim łukiem południowy koniec wyspy. Ze swojego punktu obserwacyjnego widział Streetera, który siedział w kabine pływającego dźwigu, niedaleko barki, zaraz za rzędem stalowych belek. Na końcu ramienia dźwigu dyndał potężny element zbrojonego betonu. Na oczach Hacha Streeter wprowadził prostokątny kawał betonu między dwie sterczące z wody belki i opuścił go. Gdy beton znalazł się już w miejscu przeznaczenia, dwóch nurków zwolniło uchwyt. Streeter zgrabnie poprowadził ramię dźwigu ponownie nad barcę, gdzie na swoją kolej czekała spora liczba betonowych płyt.

Dostrzegł czyjaś czerwona czupryna - jednym z pomocników na pokładzie był Donny Truitt. Neidelman znalazł dla niego pracę niezależnie od opóźnień w osuszaniu Water Pit. Hatch z zadowoleniem stwierdził, że Donny najwyraźniej świetnie daje sobie radę.

Od strony pływającego dźwigu rozległ się hałas - to Streeter zamiótł na powrót ramieniem maszyny w stronę półokręgu z belek, wsuwając nową płytę obok poprzedniej.

Hatch wiedział, że ukończenie budowy grodzy oznacza kompletne odcięcie południowego krańca wyspy i wylotów tuneli zalewowych. A wtedy z Water Pit i wszystkich połączonych z nim podwodnych systemów będzie można wypompować wodę co do kropli - tama zatrzyma morze tak, jak zrobiła to grodzą piratów trzysta lat wcześniej.

Rozległ się dźwięk gwizdka, sygnalizując koniec pracy. Załoga na barce zaczęła narzucać brezent na zgromadzone elementy konstrukcyjne grodzy, z przybrzeżnej zaś mgły

wyłonił się czekający na sygnał holownik, który miał odciągnąć dźwig do doku. Hatch rzucił na wszystko ostatnie spojrzenie, odwrócił się i ruszył ścieżką prowadzącą do obozu. Wstąpił na chwilę do swojego biura, wziął torbę i zamknął drzwi, po czym skierował się do doku. Miał zamiar zjeść w domu prostą kolację, a następnie pojechać do miasta i zajrzeć do Billa Bannsa. Następne wydanie „Stormhaven Gazette” miało ukazać się już niedługo, a Hatch wolał mieć pewność, że starszy pan ma już dość materiału na pierwszą stronę.

Miejsce cumowania w tej części rafy, w której było najbezpieczniej, poszerzono. Hatch miał własne miejsce postojowe. Włączył już silnik „Plain Jane” i właśnie miał odbijać, kiedy usłyszał niedaleko okrzyk.

- Ahoj, na fregacie!

Podniósł wzrok - do doku w jego kierunku schodziła Bonterre ubrana w kombinezon, z czerwoną chusteczką na szyi. Całe ubranie pochłapane miała błotem, łącznie z rękoma i twarzą. Przystanęła przed wejściem na dok, po czym wystawiła kciuk jak autostopowiczka i przekornie zadarła nogawkę kombinezonu, odsłaniając pół opalonej łydki.

- Może podwieźć? - zapytał Hatch.

- Skąd wiesz? - odparła Bonterre, wrzucając torbę do łodzi i wskakując do środka. - Niedobrze mi się już robi od tej paskudnej wyspy.

Hatch odbił od pomostu i wykręcił, mijając rafy i wyprowadzając łódź na pełne morze.

- Brzuszek się goi?

- Na moim ładnym brzuszku widać brzydki strup.

- Niech się pani nie obawia, zniknie. - Hatch raz jeszcze spojrzął na jej brudny kombinezon. - Lepimy zamki z błota?

Bonterre zmarszczyła brwi.

- Zamki... z błota?

- No wie pani. Zabawy w błocie. Parsknęła śmiechem.

- Oczywiście! To właśnie wychodzi archeologom najlepiej.

- Właśnie widzę. - Zbliźali się do cienkiej obręczy mgły. Hatch zwolnił, aż wypłynęli na słońce. - Nie widziałem pani wśród nurków.

Bonterre znów się roześmiała.

- Przede wszystkim jestem archeologiem, dopiero potem nurkiem. Odwaliłam kawał solidnej roboty, wytyczając linię starej grodzy. Co do reszty, starczy Sergio ze swoimi przyjaciółmi.

- Przekażę mu pani słowa. - Hatch przeprowadził łódź przez kanał Old Hump i skręcił koło Hermit Island. Port w Stormhaven znalazł się w zasięgu wzroku. Lśniący pasek zieleni na tle granatowego oceanu. Opierając się o poręcz na rufie, Bonterre potrząsnęła włosami, lśniącą kaskadą czerni.

- A zatem, co jest do roboty w małym miasteczku? - zapytała, kiwając głową w stronę lądu.

- Nie za wiele.

- Nie ma dyskoteki do białego rana? *Merde*, to co ma zrobić samotna kobieta?

- Faktycznie, jest to poważny problem - odpowiedział Hatch, opierając się pokusie podjęcia flirtu. Nie zapominaj, ta kobieta oznacza kłopoty.

Spojrzała na niego, w kącikach ust czaił się uśmiech.

- No cóż, zawsze mogę zjeść kolację z doktorem.

- Z doktorem? - powiedział Hatch, udając zaskoczenie. - Chociaż, jak sądzę, doktor Frazier byłby zachwycony. Jak na sześćdziesięciolatka, całkiem dziarsko się trzyma.

- Ty niegrzeczny chłopczyku! Miałam na myśli tego doktora. - Dała mu żartobliwego kuksańca.

Hatch spojrzał na nią. Czemu nie? - pomyślał. Jakie kłopoty mogą wyniknąć z powodu kolacji?

- W miasteczku są tylko dwie restauracje. W obu oczywiście serwują owoce morza, choć w jednej można też zjeść porządny stek.

- Stek? To coś dla mnie. Jestem bezwzględnie mięsożerna. Warzywa są dobre dla świń i małp. A co do ryb... - Wykonała gest przypominający wymiotowanie za burtę.

- Sądziłem, że dorastała pani na Karaibach.

- Tak, ojciec był rybakiem, więc jedliśmy tylko ryby, w kółko. Z wyjątkiem świąt Bożego Narodzenia, kiedy jedliśmy *chèvre*.

- Kozę? - zapytał Hatch.

- Tak. Uwielbiam kozie mięso. Gotowane przez osiem godzin w dole na plaży, splukane domowym piwem *Ponlac*.

- Smakowite - odparł Hatch ze śmiechem. - Mieszkasz w mieście, prawda?

- Tak. Wszystko było już zajęte, więc wywiesiłam ogłoszenie na poczcie. Pani zza lady je zauważyła i zaproponowała mi pokój u siebie.

- To znaczy, na górze? U Poundcooków?

- *Naturellement*.

- Poczmiistrzynie i jej mąż. To całkiem miła para.



- Tak. Czasami mam wrażenie, że nie żyją, tak tam cicho na dole.

Poczekaj, aż przyprowadzisz im do domu faceta - pomyślał Hatch. Wystarczy zresztą, jak wrócisz do domu po jedenastej. Podpłynęli do przystani, Hatch zwolnił, po czym zacumował.

- Muszę zrzucić te brudne ciuchy - powiedziała Bonterre, wskakując do bączka. - I oczywiście ty też musisz włożyć coś lepszego niż ten nudny stary sweter.

- Ale ja go lubię - zaprotestował Hatch.

- Wy, Amerykanie, w ogóle nie wiecie, jak się ubiera. Przydałby ci się dobry lniany włoski garnitur.

- Nienawidzę lnu - powiedział Hatch. - Cały czas się gniecie.

- O to właśnie chodzi! - zaśmiała się Bonterre. - Jaki nosisz rozmiar? Długość czterdzieści dwa?

- Skąd wiedziałaś?

- Jestem dobra w męskich pomiarach.

## 23

Gdy Hatch po nią przyszedł, czekała już przed pocztą. Ruszyli w dół stromymi, brukowanymi ulicami w kierunku „The Landing”. Był piękny, chłodny wieczór. Chmury znikły, nad zatoką świeciło mnóstwo gwiazd. Hatch miał wrażenie, że Stormhaven w przejrzystym, wieczornym świetle, ze swoimi malutkimi, żółtymi światełkami migoczącymi w oknach i nad drzwiami domów, przynależy do odległej i bardziej przyjaznej przeszłości.

- To naprawdę urocze miejsce - powiedziała Bonterre, biorąc go pod ramię. - W Saint Pierre, gdzie się wychowałam, na Martynice, też jest pięknie, ale *alors*, co za różnica! Tam są same światła i kolory. Nie tak jak tu, gdzie wszystko jest czarno-białe. No i jest tam co robić, bardzo dobre nocne kluby, można poszaleć.

- Nie lubię nocnych klubów - stwierdził Hatch.

- Nudziarz - odparła pogodnie Bonterre.

Weszli do restauracji. Kelner, który rozpoznał Hacha, wskazał im miejsca. W restauracji było przytulnie: dwie sąsiadujące ze sobą sale i bar, cały udekorowany sieciami, drewnianymi koszami na homary i szklanymi pływakami. Siadając, Hatch rozejrzał się wokół. Prawie jedną trzecią klientów stanowili pracownicy Thalassy.

- *Que de monde!* - wyszeptwała Bonterre. - Przed ludźmi z firmy po prostu nie ma ucieczki. Nie mogę się już doczekać, aż Gerard odeśle ich wszystkich do domu.

- Tak to już jest w małym miasteczku. Uciec można tylko nad wodę. A nawet wtedy zawsze ktoś cię obserwuje»przez teleskop.

- Zatem nici z seksu na pokładzie - powiedziała Bonterre.

- Tak - odparł Hatch. - My, ludzie Nowej Anglii, zawsze kochamy się pod pokładem. - Patrzył, jak uroczo się uśmiecha, i zaczął się zastanawiać, jakiego zamieszania narobi ta dziewczyna wśród męskiej części załogi w ciągu najbliższych dni. - A więc, gdzie się dziś tak pobrudziłaś?

- Co to za obsesja z tym brudem? - Zmarszczyła brwi.

- Błoto to przyjaciel archeologa. - Nachyliła się nad stołem.

- Tak się składa, że udało mi się na błotnistej wyspie dokonać małego odkrycia.

- Opowiadaj.

Wzięła łyk wody ze szklanki.

- Odkryliśmy obóz piratów. Hatch popatrzył na nią.

- Żartujesz.

- *Mais non!* Dziś rano, kiedy zabraliśmy się za badanie nawietrznej części wyspy. Wiesz, to miejsce przy wielkim, samotnym urwisku, jakieś dziesięć metrów od skał?

- Tak.

- Właśnie tam, w miejscu erozji klifu, natrafiliśmy na idealny obraz profilu gleby. Pionowe obsunięcie, bardzo przydatne dla archeologa. Udało mi się zlokalizować ślady węgla drzewnego.

Hatch zmarszczył brwi.

- Co takiego?

- No wiesz. Czarne zwęglone kawałki drewna. Ślady po starym ognisku. Więc zbadaliśmy okolicę detektorem. Zaraz potem zaczęliśmy znajdować różne przedmioty. Kartacze, kule z muszkietu i kilka podków. - Odhaczała przedmioty palcem niczym na liście.

- Podkowy?

- Tak. Do ciężkiej pracy wykorzystywali konie.

- Skąd je brali?

- Jesteś aż takim marynarskim ignorantem, *monsieur le do-cteur!* Przewożenie żywego inwentarza na pokładzie statków było powszechnie stosowaną praktyką. Konie, kozy, kurczaki, świnię.

Pojawiła się kolacja: gotowane na parze warzywa i homary dla Hatcha, krwisty befsztyk z polędwicy dla Bonterre. Pani archeolog pochłaniała jedzenie w zastraszającym tempie, Hatch patrzył z rozbawieniem, jak je: sok spływał jej po brodzie, skupiony wzrok, zmarszczone czoło.

- W każdym razie - podjęła, nabijając na widelec ekstrawagancko wielki kawałek steku - po tych odkryciach wykopaliśmy testowy rów za urwiskami. I co? Jeszcze więcej węgla drzewnego, okrągłe zagłębienie w terenie po namiocie, kilka połamanych kości indyka i jelenia. Rankin ma takie wymyślne sensory, którymi chce przeczesać tamto miejsce, na wypadek, gdyby coś nam umknęło. Tymczasem oznaczyliśmy całe obozowisko i jutro zaczynamy wykopaliska. Mój mały Christophe zamienia się w doskonałego kopacza.

- St. John? Kopie?

- Ależ oczywiście. Zmusiłam go do porzucenia tych okropnych butów i marynarki. Kiedy już przekonał się do brudnych rąk, nieźle mu idzie. Teraz jest moim kopaczem numer jeden. Wszędzie za mną chodzi, reaguje na mój gwizdek - zaśmiała się serdecznie.

- Nie bądź dla niego zbyt okrutna.

- *Au contraire*, wyświadczam mu przysługę. Potrzebuje świeżego powietrza i ruchu, inaczej cały będzie biały i gruby. Poczekaj tylko. Jak z nim skończę, będzie niczym sprężynka jak *le petit homme*.

- Kto?

- No wiesz. Mały człowiek. - Kąciki ust Bonterre opadły w dół w przekornym grymasie. - Streeter.

- Ach. - Sposób, w jaki Bonterre to powiedziała, sprawił, że Hatch wyczuł, iż dziewczyna nie darzy kierownika czułością. - Co z nim, tak przy okazji?

Bonterre wzruszyła ramionami.

- Ludzie gadają różne rzeczy. Trudno powiedzieć, co jest prawdą, a co nie. Służył pod Neidelmanem w Wietnamie. Taki to się określa, *non*! Ktoś mi powiedział, że Neidelman uratował mu życie na polu walki. W to jestem w stanie uwierzyć. Widziałeś jego oddanie dla kapitana? Wierny jak pies swemu panu. Kapitan ufa tylko jemu. - Spojrzała na Hacha. - Nie licząc ciebie, oczywiście.

Hatch zmarszczył brwi.

- No cóż, przypuszczam, że to dobrze, że kapitan się o niego troszczy. Ktoś musi. Chodzi mi o to, że trudno go nazwać duszą towarzystwa.

Bonterre uniosła brwi.

- *Certainement*. Sama widzę, że wy dwaj nie bardzo się lubicie.

- Nie za bardzo - poprawił ją Hatch.

- Wszystko jedno. Ale nie masz racji, mówiąc, że kapitan Neidelman troszczy się o Streetera. Jemu w głowie tylko jedno. - Skinęła zdawkowo głową w stronę Ragged Island. - Nie mówi o tym za wiele, ale tylko *imbécile* by się nie zorientował. Wiesz, że odkąd go znam, ma na swoim biurku w Thalassie małe zdjęcie twojej wyspy?

- Nie wiedziałem. - Hatch przypomniał sobie pierwszą wycieczkę w okolice wyspy, którą odbyli wspólnie z Neidelmanem. Co kapitan wtedy powiedział? Nie chciałem jej oglądać do chwili, aż będę miał szansę na niej kopać.

Temat najwyraźniej popsuł humor Bonterre. Hatch otworzył już usta, żeby go zmienić, kiedy poczuł coś, kogoś - czyjaś obecność w sali. Kiedy podniósł wzrok, ujrzał Claire. W jednej chwili zapomniał, co chciał powiedzieć.

Wyglądała tak, jak ją sobie wyobrażał: wysoka i smukła, z tą samą chmurką piegów nad zadartym nosem. Dostrzegła go i stanęła jak wryta, marszcząc twarz w zabawnym grymasie, który nadal pamiętał.

- Cześć, Claire - powiedział Hatch, wstając niezgrabnie i starając się zabrzmieć jak najbardziej obojętnie.

Zrobiła krok do przodu.

- Cześć - odpowiedziała, potrząsając jego ręką. Dotknięcie jego skóry sprawiło, że na policzkach pojawił się delikatny rumieniec. - Słyszałam, że jesteś w mieście. - I rozbawiło ją to, co powiedziała. - Oczywiście, kto by nie słyszał. To znaczy, przy tym wszystkim... - Wykonała nieznaczny gest ręką, jak gdyby wskazując na Water Pit.

- Wyglądasz wspaniale - powiedział Hatch. I rzeczywiście tak było: z upływem lat wyszczupiała, a ciemnoniebieskie oczy stały się intensywnie szare. Figlarny uśmiech, niegdyś stale goszczący na jej ustach, ustąpił poważniejszemu, introspektywnemu wyrazowi twarzy. Wyglądziła odruchowo szeroką spódnicę, czując na sobie jego wzrok.

Przy wejściu do restauracji zrobił się ruch, do środka wszedł duchowny Woody Clay. Rozejrzał się po sali. Wreszcie jego oczy spoczęły na Hatchu. Jego bladożółtą twarz przeciął na chwilę grymas niezadowolenia, ale zbliżył się. Tylko nie tutaj - pomyślał Hatch, który zeszywniał, spodziewając się kolejnego wykładu na temat chciwości i wątpliwej etyki poszukiwaczy skarbów. Pastor stanął przy ich stoliku, patrzył na Hatcha i Bonterre, Bonterre i Hatcha. Hatch zaczął się zastanawiać, czy mężczyzna będzie miał dość tupetu, żeby przeszkodzić im w kolacji.

- Och - powiedziała Claire, patrząc na duchownego i dotykając swoich długich, jasnych włosów. - Woody, to Malin Hatch.

- My się już znamy. - Clay skinął głową.

Hatch odczuł ulgę, kiedy zorientował się, że Clay raczej nie zdecyduje się na kolejną tyradę w obecności dwóch obserwujących go pań.

- To doktor Isobel Bonterre - powiedział, odzyskując równowagę. - Czy mogę przedstawić Claire Northcutt i...

- Pastor i pastorowa Woodruff Clay - powiedział szybko duchowny, wyciągając rękę do Bonterre.

Hatch zamarł, jak gdyby nie chciał do siebie dopuścić ostatniej rewelacji.

Bonterre otarła usta serwetką i uniosła się powoli, po czym ścisnęła silnie dłonie najpierw Claire, potem Woody'ego, prezentując przy okazji wspaniałe zęby. Nastąpiła chwila niezręcznego milczenia, po czym Clay poprowadził żonę dalej, grzecznie skłoniwszy głowę w stronę Hatcha.

Bonterre wpatrywała się w odchodzącą postać Claire, po czym popatrzyła na Hatcha.

- Starzy znajomi? - zapytała.

- Co? - wymamrotał Hatch. Gapił się na lewą rękę Claya, obejmującą szczupłe plecy Claire gestem posiadania.

Na twarzy Bonterre ukazał się szeroki uśmiech.

- Nie, widzę, że się pomyliłam - powiedziała, nachylając się nad stołem. - Dawni kochankowie. Jakie to dziwne uczucie spotkać się po latach! I jakie słodkie.

- Jesteś bardzo spostrzegawcza - zamruczał Hatch, nadal zbyt wytrącony z równowagi spotkaniem nie mniej niż związaną z nim wiadomością - żeby czemukolwiek zaprzeczać.

- Ale ciebie i małżonka trudno nazwać starymi przyjaciółmi. Prawdę mówiąc, mam wrażenie, że on wcale ciebie nie lubi. To zmęczone spojrzenie, te wielkie czarne wory pod oczami. Wygląda na to, że ma za sobą *nuit blanche*.

- Co?

- *Nuit blanche*. To - jak ci to wytłumaczyć - bezsenna noc. Z takiego czy innego powodu. - Uśmiechnęła się frywolnie.

Zamiast odpowiedzi Hatch sięgnął po widelec i starał się skupić na homarze.

- Jak widzę, pochodnia nadal płonie - mruknęła Bonterre z radosnym uśmiechem. - Kiedyś będziesz mi musiał o niej opowiedzieć. Ale najpierw chciałabym usłyszeć coś o tobie. Kapitan wspominał o twoich podróżach. Opowiedz mi wszystko o swoich przygodach na Surinamie.

Niemal dwie godziny później Hatch zmusił się, żeby wstać i ruszyć za Bonterre do wyjścia. Naprawdę nieźle sobie dogodził, wręcz nieprzyzwoicie: dwa desery, dwa dzbanki kawy, kilka koniaków. Bonterre, która z zapałem dotrzymywała mu kroku, zamówienie po zamówieniu, bynajmniej nie sprawiała wrażenia ociążalej. Rozłożyła ramiona i wciągnęła w płuca rześką, nocną bryzę.

- Ależ to powietrze jest świeże! - wykrzyknęła. - Mogłabym niemal pokochać to miejsce.

- Zaczekaj tylko - odparł Hatch. - Już za dwa tygodnie nie będziesz w stanie zmusić się do wyjazdu. Będziesz miała je we krwi.

- Jeszcze dwa tygodnie, a sam nie będziesz w stanie dość szybko zejść mi z drogi, *monsieur le docteur*. - Spojrzała na niego taksującym wzrokiem. - No więc, co teraz robimy?

Hatch wahał się przez moment. Nie zastanawiał się wcześniej nad tym, co może zdarzyć się po kolacji. Odpowiedział na jej spojrzenie. W głowie po raz kolejny usłyszał cichy, ostrzegawczy sygnał. W żółtym blasku lamp ulicznych pani archeolog prezentowała się bardzo pięknie - brązowa skóra i migdałowe oczy czarująco egzotyczne na tle małego miasteczka w Maine. Coś mu podpowiadało: „Ostrożnie”.

- Myślę, że powiemy sobie dobranoc. Przed nami pracowity dzień.

Natychmiast przesadnie zmarszczyła brwi.

- *C'est tout!* - Nadała się. - Wy, jankesi, nie macie już ani trochę szpiku w kościach. Powinnam była wybrać się na kolację z Sergio. On przynajmniej ma w sobie płomień, nawet jeśli smród jego ciała mógłby zabić kozę. - Zerknęła na niego. - A zatem, jak w Stormhaven mówi się dobranoc, doktorze Hatch?

- Tak. - Hatch podszedł i uściskał jej dłoń.

- Ach. - Bonterre powoli pokiwała głową, jak gdyby przyswajała nowe wiadomości. - Rozumiem. - I ujęła w dłoń jego twarz, przysunęła ją do własnej, przyciskając swoje usta do jego, podczas gdy jej ręce pieściły jego twarz. Hatch czuł, jak koniuszek jej języka drażni jego własny przez króciutką chwilę.

- A tak mówimy dobranoc na Martynice - zamruczała. Potem odwróciła się w stronę poczty i, nie oglądając za siebie, znikła w mroku nocy.

Następnego popołudnia Hatch opatrzył skreconą w nadgarstku rękę jednego z nurków, a kiedy zmierzał właśnie w stronę ścieżki biegnącej od doku, usłyszał dobiegający z baraku Wopnera odgłos rozbijanych przedmiotów. Skoczył w stronę obozu, obawiając się najgorszego. Ale zamiast przewalonego potężnego segmentu ze sprzętem, zobaczył Wopnera siedzącego w jego fotelu, z roztrzaskanym komputerem u stóp. Programista zajadał jedne ze swoich lodów, wyraźnie poirytowany.

- Wszystko w porządku? Wopner zamlaskał głośno.

- Nie - odpowiedział.

- Co się stało?

Zwrócił w stronę Hacha wielkie, zasmucone oczy.

- Komputer wszedł w kolizję z moją nogą, to się stało. Hatch rozejrzał się, szukając czegoś, na czym mógłby usiąść, ale przypomniał sobie, że nic tu takiego nie znajdzie, więc oparł się o framugę drzwi.

- Opowiadaj.

Wopner wepchnął ostatni kawałek lodów do ust i rzucił papierek na podłogę.

- Wszystko się poplątało.

- Czyli co?

- „Charybda”. Sieć na Ragged Island. - Machnął kciukiem w kierunku Wyspy Jeden.

- Jak to?

- Uruchamiałem właśnie mój zmasowany atak programowy na ten cholerny drugi szyfr. Nawet przy zwiększonej prędkości wszystko się ślimaczyło. Zaczęły się pojawiać wiadomości o błędach, dziwne dane. Spróbowałem więc uruchomić te same procedury zdalnie, na „Scylli”. Poprzez komputer „Cerberusa”. Wszystko poszło jak po maśle, żadnych błędów. - Zaśmiał się z obrzydzeniem.

- Jakież pomysły, w czym tkwi problem?

- Jasne. Miałem świetny pomysł. Przeprowadziłem diagnostykę niższych poziomów. Niektóre mikrokody w pamięci ROM zostały przetworzone. Zupełnie jak wtedy, kiedy sfiksowały pompy. Przerobione miejscami, ale w interwałach, zgodnie z normalnym językiem Fourier.

- Nie nadążam.

- Mówiąc krótko, to niemożliwe. Teraz nadążasz? Żaden znany mi program nie jest w stanie przerobić w ten sposób pamięci ROM. Jakby tego było mało, w sposób regularny,



według matematycznego wzoru? - Wopner wstał, otworzył drzwi do lodówki przypominającej schowek na zwłoki w kostnicy i wyciągnął ze środka kolejny lodowy baton. - To samo na dyskach twardych i magnetyczno-optycznych. To dzieje się tylko tutaj. Ani na łodzi, ani na Brooklynie. Tylko tu.

- Nie chcesz mi chyba powiedzieć, że to niemożliwe. To znaczy, widziałeś, jak coś takiego już raz się zdarzyło. Tylko jeszcze nie wiesz dlaczego.

- No nie, wiem dlaczego. Przez cholerną klątwę Ragged Island.

Hatch zaśmiał się, a potem dostrzegł, że Wopner się nie uśmiecha.

Programista odwinął lody z papierka i ugryzł solidny kęs.

- Tak, tak, wiem. Daj mi inny powód, a kupię. Tylko że każdemu, kto się tu zjawił, wszystko szło pod górkę. Nie wyjaśnione okoliczności. A jak się dobrze zastanowić, z nami wcale nie jest inaczej. Tylko że nowsze z nas zabawki.

Hatch nigdy nie słyszał, żeby Wopner wcześniej mówił w ten sposób.

- Co cię ugryzło? - zapytał.

- Nic mnie nie ugryzło. Ten ksiądz wszystko mi wytłumaczył. Wpadłem na niego wczoraj na poczcie.

Więc Clay rozmawia z pracownikami Thalassy, nawet w tej chwili sączy swoją truciznę - pomyślał Hatch, zaskoczony, jak silny ogarnął go gniew. Ten człowiek to wrzód, ktoś powinien go wycisnąć jak wągra.

Rozmyślenia przerwał mu St. John, który stanął w drzwiach.

- Tu jesteś - zwrócił się do Hacha.

Hatch spojrzał na niego. Historyk ubrany był w dziwaczną kombinację zabłoconych kaloszy, starego tweedowego ubrania i sztormiaka rodem z Maine. Klatka piersiowa falowała mu z wysiłku.

- Co się stało? - zapytał Hatch, instynktownie wstając, jak gdyby spodziewał się usłyszeć, że nastąpił kolejny wypadek.

- Nie, nic poważnego - odparł St. John, z zakłopotaniem wygładzając przód fartucha. - Isobel wysłała mnie po ciebie, żebyś przyszedł na nasze wykopalisko.

- Nasze wykopalisko?

- Tak. Pewnie już wiesz, że pomagam Isobel w pracach wykopaliskowych prowadzonych na terenie obozu piratów. - Isobel to, Isobel tamto. Hatch poczuł się trochę rozdrażniony poufałością, z jaką historyk odnosił się do Bonterre.

St. John zwrócił się do Wopnera.

- Czy program zakończył sprawdzanie na komputerze „Cerberusa”?

Wopner skinął głową.

- Żadnych błędów. Ale i tak bez skutku.

- W takim razie, Kerry, nie ma innego wyboru, trzeba spróbować.

- Nie mam zamiaru pisać programu dla polialfabetu! - oznajmił Wopner, kopiąc w dziecinny sposób zrujnowany egzemplarz komputera na podłodze. - Za dużo pracy na marne. I tak już zaczyna brakować nam czasu.

- Chwileczkę - odezwał się Hatch, usiłując rozładować atmosferę, zanim zrobi się zbyt gorąco. - St. John opowiadał mi o szyfrach polialfabetycznych.

- W takim razie marnował tlen - zaripostował Wopner.

- Nie weszły do powszechnego użytku przed końcem dziewiętnastego wieku. Ludzie myśleli, że zbyt są podatne na błędy, za wolne. Poza tym, gdzie Macallan schowałby wszystkie swoje tablice kodowe? Nie byłby w stanie wyuczyć się na pamięć setek literowych sekwencji.

Hatch westchnął.

- Niespecjalnie znam się na szyfrach, ale wiem co nieco o ludzkiej naturze. Z tego, co opowiadał kapitan Neidelman, Macallan był prawdziwym wizjonerem. Wiemy, że w połowie dziennika zmienił kody, żeby zabezpieczyć swój sekret.

- Więc wydaje się zasadne, że zmieniłby je na trudniejsze - wtrącił się St. John.

- Wiemy to, głupolu - zachnął się Wopner. - A myślisz, że co staramy się złamać przez ostatnie dwa tygodnie?

- Bądź cicho przez chwilę - ciągnął Hatch. - Wiemy też, że Macallan zmienił kod na taki, który zawiera wyłącznie cyfry.

- Więc?

- Więc Macallan był nie tylko wizjonerem, ale także pragmatykiem. Traktowałeś drugi szyfr jak problem techniczny. Ale może jest w nim coś więcej? Czy mógł pojawić się jakiś pilny powód, dla którego Macallan korzystał w nowym kodzie tylko z cyfr?

Nagle w baraku zapadła cisza, kryptolog i historyk zaczęli intensywnie myśleć.

- Nie - odezwał się po chwili Wopner.

- Tak! - wykrzyknął St. John, strzelając palcami. - Korzystał z cyfr, żeby ukryć tablice kodowe.

- Co ty pleciesz? - zarządził Wopner.

- Słuchajcie, Macallan wyprzedzał własne czasy. Wiedział, że kody polialfabetyczne były najpewniejsze. Ale żeby z nich skorzystać, musiał mieć kilka alfabetów cyfrowych, a nie tylko jeden. Nie mógł jednak rozłożyć na stole dużej liczby tablic alfabetycznych, żeby ich

ktoś nie zauważył. Więc wykorzystał cyfry! Był zarówno architektem, jak i inżynierem. Spodziewano się, że będzie korzystał z różnych liczbowych wzorów, tablic matematycznych, projektów, równań inżynierii hydraulicznej - każda z tych rzeczy mogła pełnić podwójną funkcję, skrywać kod. Nikt by się nawet nie domyślił!

Sądząc po głosie, St. John wpadł w wyraźne podniecenie. Jego twarz ożywił rumieniec, jakiego Hatch wcześniej nie oglądał. Wopner także to dostrzegł. Nachylił się w swoim fotelu. Zapomniane lody zaczęły się topić, tworząc na biurku brązowo-białą kałużę.

- Może coś w tym jest, Chris, stary chłopie - wymamrotał.

- Nie mówię, że jest, ale może. - Przyciągnął do siebie klawiaturę. - Coś wam powiem. Przeprogramuję komputer „Cerberusa” tak, żeby wypróbować nowe podejście na odczytanym już fragmencie tekstu. A teraz, dziewczynki, pozwolicie, bardzo proszę? Jestem zajęty.

Hatch wyszedł razem z St. Johnem z baraku w wypełniającą bazę mżawkę. Nastąpił jeden z tych typowych dla Nowej Anglii dni, w którym wilgoć zdawała się krzepnąć w powietrzu.

- Powinienem ci podziękować - odezwał się historyk, otulając szczelniej pulchną twarz szerokim rondem przeciwdeszczowego kapelusza. - To był dobry pomysł, wiesz. Poza tym mnie nigdy by nie posłuchał. Zastanawiałem się już, czy nie poprosić o interwencję kapitana.

- Nie wiem, czy faktycznie coś zrobiłem, ale bardzo proszę.

- Hatch zamilkł. - Mówiłeś, że Isobel mnie szuka? St. John skinął głową.

- Mówi, że mamy dla ciebie pacjenta na drugim końcu wyspy. Hatch ruszył szybciej.

- Pacjenta? Dlaczego od razu nie powiedziałeś?

- To nic pilnego - powiedział St. John, uśmiechając się porozumiewawczo. - Nie, wcale nie nazwałbym jego przypadku nagłym.

Gdy wspinali się pod górę, Hatch zerknął w kierunku południowym. Budowę grodzy zakończono, załoga Streetera pracowała teraz przy potężnych pompach ustawionych wzdłuż zachodniego wybrzeża, dostrajając je po ostatnich przejściach i przygotowując do pracy w następnym dniu. Sylwetka Orthanca, szara i niewyraźna, górowała nad wszystkim. Światła z wieży obserwacyjnej tworzyły w otaczającej ją mgle zielonkawą, neonową poświatę. Hatch dostrzegł, że w środku ktoś się porusza, jakiś niewyraźny cień.

Wdrapali się na szczyt wyspy i zaczęli schodzić, kierując się na wschód. Szli po błotnistej ścieżce biegnącej przez wyjątkowo gęsto naszpikowany starymi szybami teren. Same wykopaliska znajdowały się na płaskiej łące, leżącej za ostrym urwiskiem na zachodnim brzegu. Na platformie z betonowych płyt ustawiono po drugiej stronie łąki tymczasowy magazyn. Gęsta trawa przed jego wejściem została całkiem zdeptana. Akry powierzchni dzieliła na kwadraty wielka siatka z białej taśmy. Niedaleko leżało kilka dużych brezentowych płacht, rzuconych byle jak. Tu i ówdzie Hatch widział, że niektóre z zaznaczonych taśmą metrowych kwadratów zostały rozkopane - tłusta, znacząca zawartością żelaza gleba kontrastowała zdecydowanie z mokrą trawą. Bonterre wraz z kilkoma kopiającymi pracownikami stała na kopcu ziemi przy jednym z zaznaczonych kwadratowych stanowisk. Na ich plecach lśniły ceratowe płaszcze. Koparka wycinała darń z kwadratu obok. Przy stanowisku ustawiono kilka dużych, pomarańczowych tablic. Idealne miejsce na piracki obóz - pomyślał Hatch. Niewidoczne zarówno z morza, jak i stałego lądu.

Sto jardów od stanowiska, na wyboistym gruncie stał zaparkowany pod szalonym kątem wóz terenowy. Ciągnął za sobą wielką szarą przyczepę. Z tyłu, w rzędzie, na trójkołowych wózkach ustawiono kilka elementów wyposażenia. Przy jednym z nich klęczał Rankin, przygotowując się do wciągnięcia wózka na przyczepę.

- Skąd przyjechały te zabawki? - zapytał Hatch, kiwając głową w stronę sprzętu.

Rankin uśmiechnął się szeroko.

- Z „Cerberusa” człowieka, a skąd? Detektory tomograficzne.

- Co takiego?

Uśmiech zrobił się jeszcze szerszy.

- No wiesz. Sensory do penetracji gleby. - Zaczął wyliczać, wskazując po kolei na wózki. - Mamy tu radar do penetracji ziemi. Dobra rozróżnialność obiektów, i to, powiedzmy, do głębokości mniej więcej dwunastu stóp, zależnie od długości fal. Poza tym mamy reflektor na podczerwień, dobry na piach, ale ze stosunkowo niskim nasyceniem. A na końcu leży...

- Już dobrze, w porządku, zrozumiałem, o co chodzi. - Hatch się zaśmiał. - Wszystko na przedmioty niemetaliczne, tak?

- Wiesz, o co chodzi. Nigdy nie sądziłem, że będę miał okazję pograć na nich na tym koncercie. Przedtem prawie cała frajda przypadała w udziale Isobel. - Rankin wskazał na pomarańczowe znaki. - Jak widzisz, znalazłem kilka skrawków tu i tam, ale ona uderzyła w samo serce.

Hatch pomachał mu na do widzenia i podbiegł, żeby zrównać się z St. Johnem. Gdy szli do stanowiska, Bonterre odłączyła się od grupy i wyszła im naprzeciw, wsuwając podręczny kilof za pasek i wycierając ubłocone ręce o pupę. Włosy związała z tyłu, twarz i opalone ramiona znów umazane miała błotem.

- Znalazłem doktora Hacha - powiedział niepotrzebnie St. John, z pełnym zmieszania uśmiechem na twarzy.

- Dziękuję, Christophe.

Hatch zaczął się zastanawiać, skąd to zmieszanie. Chyba St. John nie był najświeższą ofiarą uroków Bonterre? Wiedział jednak, że nic innego nie mogłoby odciągnąć tego mężczyzny od jego książek, i to żeby grzebać na deszczu w błocie.

- Chodź - powiedziała, chwytając Hacha za rękę i ciągnąc go do krawędzi wykopu.

- Odsuńcie się - rzuciła uprzejmie w stronę robotników. - Jest doktor. Zabrać narzędzia.

- Co to jest? - zapytał zdumiony Hatch, spoglądając w dół na brudną brązową czaszkę sterczącą z ziemi, razem z czymś, co przypominało dwie stopy i kupę starych kości.

- Grób pirata - oznajmiła z triumfem. - Wskakuj. Tylko na nic nie nadepnij.

- Więc to jest ten pacjent. - Hatch zszedł do rozkopanego kwadratu. Przez chwilę z zainteresowaniem badał czaszkę, potem zajął się resztą kości. - Raczej powinienem powiedzieć, pacjent.

- *Pardon?*

Hatch podniósł wzrok.

- O ile piraci mieli po dwie prawe stopy, to my mamy tu dwa szkielety.

- Dwa? To *vachement bien!* - wykrzyknęła Bonterre, klaszcząc w dłonie.

- Zostali zamordowani? - zapytał Hatch.

- *Monsieur le docteur*, to już pana działka.

Hatch ukląkł i uważnie przyjrzał się kościom. Na leżącej bliżej miednicy spoczywała mosiężna sprzączka, a wzdłuż tego, co pozostało po żebrach, rozrzucone było kilka

mosiężnych guzików razem ze splątana złotą lamówką. Lekko opukał czaszkę, starając się nie zmienić jej położenia w stosunku do pozostałych przedmiotów.

Czaszka leżała na boku, z otwartymi szeroko szczękami. Na pierwszy rzut oka nie dostrzegł żadnych patologii: żadnych dziur po kuli z muszkietu, żadnych połamanych kości, nacięć po kordzie czy innych oznak stosowania przemocy. Tak długo, jak będą trwały wykopaliska i kości nie zostaną wydobyte, nie mógł mieć stuprocentowej pewności co do przyczyn zgonu pirata. Z drugiej strony, jasne było, że ciało pochowano w pośpiechu, wręcz wrzucono do grobu: rozrzucone bezładnie ramiona, skręcona głowa, podkulone nogi. Zastanawiał się przez chwilę, czy niżej spoczywa reszta szkieletu. Nagle jego wzrok przykuł złoty blask przy jednej ze stóp.

- Co to jest? - zapytał. Zbita masa złotych monet oraz duży, rzeźbiony szlachetny kamień leżały zagrzebane w ziemi przy położonej niżej piszczeli. Odgarnięto tylko górną warstwę ziemi, pozostawiając monety *in situ*.

Bonterre wybuchła perlistym śmiechem.

- Zastanawiałam się, kiedy to zauważysz. Sądzę, że naszli gentleman musiał mieć w bucie małą sakiewkę. Wspólnie z Christophe wszystko zidentyfikowaliśmy. Złoty mohur z Indii, dwie angielskie gwinee, francuski złoty ludwik i cztery portugalskie cruzado. Wszystkie datowane sprzed tysiąc sześćset dziewięć - I dziesiątego czwartego. Ten kamień to szmaragd, prawdopodobnie pochodzi od Inków, z Peru. Wyrzeźbiony w kształcie głowy jaguara. Nasz pirat zawdzięczał mu pewnie solidny odcisk!

- A więc wreszcie jest - szepnął Hatch. - Pierwszy ślad skarbu Edwarda Ockhama.

- Tak - potwierdziła bardziej już poważnie. - Teraz stał się faktem.

Gdy Hatch wpatrywał się tak w zbitą masę złota, która już sama w sobie stanowiła niewielką numizmatyczną fortunę, u podstawy kręgosłupa poczuł dziwne mrowienie. To, co zawsze pozostawało w kręgu teorii, czy nawet akademickich rozważań, nagle nabrało realnych kształtów.

- Czy kapitan o tym wie? - zapytał.

- Jeszcze nie. Chodź, jest więcej do oglądania.

Ale Hatch nie był w stanie oderwać oczu od jaskrawego, soczystego światła bijącego od metalu. Co to takiego - pomyślał sobie - co sprawia, że ten widok tak kusi? Czyżby w ludzkiej reakcji na widok złota było coś wręcz atawistycznego.

Odrzucił tę myśl i wdrapał się na krawędź stanowiska.

- Teraz musisz zobaczyć samo pirackie obozowisko! - powiedziała Bonterre, wsuwając ramię pod jego łokieć. - Ono jest nawet dziwniejsze.

Hatch poszedł za nią do kolejnej strefy wykopalisk, kilka jardów dalej. Samo miejsce nie wyglądało zbyt imponująco: z powierzchni około stu jardów kwadratowych zdjęto górną warstwę trawy i ziemi, pozostawiając brązową, twardą powierzchnię. Zauważył kilka ciemniejszych plam węgla, miejsc, w których najwyraźniej palono ogniska, i wiele okrągłych obniżen w terenie, występujących bez jakiegoś specjalnego porządku. W ziemię wbito niezliczoną liczbę maleńkich, plastikowych chorągiewek, z których każda oznaczona była numerem naniesionym czarnym flamastrem.

- Te okrągłe wgłębienia to prawdopodobnie miejsca po namiotach - wyjaśniła Bonterre - w których mieszkali robotnicy budujący Water Pit. Ale popatrz tylko na przedmioty, jakie po sobie zostawili! Każda chorągiewka oznacza jakieś znalezisko, a pracujemy tu niecałe dwa dni. - Zaprowadziła Hacha pod przeciwległą ścianę baraku służącego za magazyn, wzdłuż której rozłożono dużą płachtę. Odsłoniła ją, Hatch spojrział zdumiony. W równych rzędkach leżały dziesiątki przedmiotów, każdy z przyczepioną do niego karteczką i numerem.

- Dwie rusznice skałkowe - zaczęła wyliczać. - Trzy sztylety, dwie siekiery okrętowe, kord i garłacz. Kartacz i kilka worków z kulami do muszkietu. Kilkanaście kawałków złota, kilka srebrnych talerzy obiadowych, przyrząd do nawigacji i kilkanaście dziesięciocalowych okrętowych gwoździ.

Podniosła wzrok.

- Nigdy jeszcze nie znalazłam tak wiele, w tak krótkim czasie. I jest jeszcze to. - Podniosła złotą monetę i podała ją Hatchowi. - Nie wiem, ile masz pieniędzy, ale takiego dublona nie radziłabym ci zgubić.

Hatch zważył w ręku monetę. Był to masywny, solidny hiszpański dublon, zimny i cudownie ciężki. Złoto lśniło tak jasno, jak gdyby moneta wybita została tydzień temu, a spory krzyż jerozolimski, wybity nieco z boku, obejmował swymi ramionami lwa i zamek symbolizujące Leona i Kastylię. Na krawędzi monety wyryte były słowa: PHILLIPVS+IV+DEI+GRAT. Złoto rozgrzało się od jego dłoni, serce zaś, wbrew jego woli, zaczęło mu szybciej bić.

- I tu, kolejna zagadka - odezwała się Bonterre. - W siedemnastym wieku żeglarze nigdy nie grzebali ludzi w ubraniach. Bo na pokładzie statku, *tu sais*, ubranie było niezwykle cenne. Ale nawet jeśli pochowano by już kogoś w ubraniu, to przynajmniej przeszukano by mu kieszenie, *non?* Ta kupka złota w bucie dla każdego oznaczała fortunę, nawet dla pirata. A poza tym, dlaczego wszystko zostawili? Pistolety, kordy, gwoździe - to przecież serce i dusza

pirata. No i urządzenie do nawigacji, dzięki któremu można odszukać drogę do domu? Nikt z własnej woli nie pozbyłby się tych przedmiotów.

W tym właśnie momencie pojawił się St. John.

- Pokazały się następne kości, Isobel - oznajmił, dotykając lekko jej łokcia.

- Więcej? Na innym stanowisku? Christophe, ależ to podniecające!

Hatch wrócił z nimi na wykopaliska. Robotnicy oczyścili kolejny kwadrat terenu i z zapalem pracowali teraz nad trzecim. Hatch spojrział w dół, w głąb świeżego stanowiska, i jego podniecenie znikło. Poczul się nieswojo. W drugim kwadracie spoczywały trzy czaszki razem z porzrzuconymi bezładnie innymi kośćmi. Kiedy się odwrócił, zobaczył, że robotnicy na trzecim stanowisku zbierają wilgotną ziemię szorstkimi szczotkami. Widział, jak ukazują się kości mózgowe jednej czaszki, potem następnej. Pracowali dalej, aż spod nienaruszonej wcześniej ziemi pokazało się coś brązowego: długa kość, potem kostka nogi i pięty, skierowane w niebo, jak gdyby ciało ułożono twarzą do ziemi.

- Zęby gryzące ziemię - wyszeptał Hatch.

- Co? - zapytał St. John.

- Nic. Wers z *Iliady*.

Nikt nie chowa swoich zmarłych twarzą do ziemi, przynajmniej jeśli chce okazać im szacunek. Masowy grób - pomyślał Hatch. Ciała wrzucane jak popadnie. Przypomniało mu to o czymś, co widział kiedyś w Ameryce Środkowej, ciała wieśniaków, ofiar wojkowego szwadronu śmierci.

Nawet Bonterre zamilkła, jej dobry humor gdzieś się nagle ulotnił.

- Co tu się mogło stać? - zapytała, rozglądając się dokoła.

- Nie wiem - odparł Hatch, czując, że do żołądka wpełza mu coś dziwnego, zimnego.

- Na kościach raczej nie widać śladów przemocy.

- Czasami przemoc zostawia po sobie bardzo subtelne ślady - odrzekł Hatch. - Mogli też umrzeć w wyniku jakiejś choroby lub z głodu. Pomogłaby tu sekcja zwłok. - Spojrział znów na okropny obraz. Na światło dzienne wydobyto już całą masę brązowych kości, miejscami szkielety upakowane były po trzy w jednym miejscu, rozciągnięte jeden nad drugim, ze skrawkami przegniłej skóry, ciemniejszymi na lekkim deszczu.

- Mógłbyś przeprowadzić taką sekcję? - zapytała Bonterre. Hatch stał nad brzegiem grobu i przez chwilę nie odpowiadał.

Dzień miał się niemal ku końcowi, słońce gasło. W deszczu, mgle i narastającym zmroku, przy żałobnym akompaniamencie odległych fal, wszystko zdawało się szarzeć, z wszystkiego uchodziło życie - jak gdyby coś wysysało z krajobrazu wszystkie życiowe soki.



- Tak - odpowiedział po chwili. Znow zapadła dłuższa cisza.
- Co tu się mogło stać? - powtórzyła szeptem Bonterre sama do siebie.

Następnego ranka o świcie główna część załogi zebrała się w kabinie pilota na „Griffinie”. Tym razem uczestnicy spotkania nie przypominali ponurych, pozbawionych motywacji ludzi, którzy zebrali się tu po wypadku Kena Fieldsa. Dziś powietrze naładowane było elektrycznością, pełnym nadziei oczekiwaniem. Przy jednym końcu stołu Bonterre omawiała ze Streeterem kwestię przetransportowania znalezisk do magazynów. Kierownik słuchał uważnie. Naprzeciwko Wopner, wyjątkowo rozczochrany i zaniedbany, szeptał coś z ożywieniem St. Johnowi, podkreślając wypowiedzane zdania dzikimi gestami. Jak zwykle Neidelman jeszcze się nie pokazał, czekając w prywatnej kwaterze, aż wszyscy się zbiorą. Hatch nalał sobie kubek gorącej kawy, poczęstował wielkim, tłustym pączkiem i zajął miejsce obok Rankina.

Drzwi do kabiny otworzyły się. Pojawił się Neidelman. Gd, wchodził po schodach, Hatch wiedział od razu, że nastrój kapitana odpowiada nastrojom reszty zgromadzonych. Kapitan przywołał Hacha do siebie ruchem ręki.

- Chciałbym ci to dać, Malin - powiedział cicho, wciskając mu do ręki coś ciężkiego. Zaskoczony Hatch rozpoznał masywny złoty dublon. Ten sam, który Bonterre odkryła dzień wcześniej. Spojrzał na kapitana, zadając nieme pytanie.

- To niewiele - powiedział Neidelman, uśmiechając się lekko. - Zaledwie cząstka, w porównaniu do ostatecznego udziału. Ale to pierwszy owoc naszej pracy. Chciałbym, żebyś przyjął go jako wyraz naszej wdzięczności. Za dokonanie tak trudnego wyboru.

Hatch wymamrotał podziękowanie i wsunął monetę do kieszeni. Czuł się wyjątkowo niezręcznie, kiedy wchodził znów po schodach i zajmował miejsce przy stole. Czuł opór przed przyjęciem dublonu pochodzącego z wyspy, jak gdyby przyjęcie go przed znalezieniem całego skarbu miało przynieść pecha. Czy ja też robię się przesądny? - pomyślał na wpół serio, postanawiając schować monetę pod kluczem w swoim biurze na wyspie.

Neidelman podszedł do szczytu stołu i popatrzył z rozmysłem na swoją załogę, emanując niezwykłą, pełną nerwowości energią. Prezentował się nieskazitelnie: po prysznicu, ogolony, w wyprasowanej bluzie i spodniach khaki, z czystą skórą opinającą ciasno kości. Jego szare oczy wydawały się w ciepłym świetle kabiny niemal białe.

- Sądzę, że dziś rano mamy sobie wiele do zaprezentowania - oznajmił, rozglądając się po siedzących. - Doktor Magnusen, proszę zacząć.

- Pompy w gotowości, kapitanie - odparła inżynier. - Założyliśmy dodatkowe czujniki w niektórych drugorzędnych szybach, a także wewnątrz grodzy, w celu monitorowania głębokości wody w czasie osuszania.

Neidelman skinął głową, jego ostre, żywe spojrzenie przesunęło się wzdłuż stołu.

- Panie Streeter?

- Grodzą gotowa. Wszystkie testy stabilności i nienaruszalności konstrukcji zakończone z wynikiem pozytywnym. Chwytnak znajduje się na swoim miejscu, a zespół kopaczy oczekuje na „Cerberusie” na instrukcje.

- Doskonale. - Neidelman spojrzał na historyka i programistę. - Panowie, o ile wiem, macie wieści innej natury.

- W samej rzeczy - zaczął St. John. - Ponieważ...

- Pozwól, że cię wyręcę, Chris, dziecko - powiedział Wopner. - Złamaliśmy drugi szyfr.

Wokół stołu wyraźnie dało się słyszeć szmer oddechów. Hatch przysunął się do stołu, odruchowo zaciskając dłoń na ramieniu krzesła.

- I co tam jest napisane? - rzuciła Bonterre. Wopner uniósł rękę.

- Powiedziałem, że złamaliśmy szyfr. Nie powiedziałem, że rozszyfrowaliśmy tekst. Odkryliśmy pewne powtarzające się sekwencje literowe, sporządziliśmy odpowiedni elektroniczny zestaw i rozszyfrowaliśmy dość słów pasujących do pierwszej połowy dziennika, by zdobyć pewność, że jesteśmy na właściwym tropie.

- To wszystko? - Bonterre opadła z powrotem na krzesło.

- Co to znaczy „to wszystko”? - Wopner wyglądał, jakby nie dowierzał własnym uszom. - To cała cholerna epoka! Wiemy, co to za kod: polialfabet korzystający z od pięciu do piętnastu alfabetów cyfrowych. Jak już poznamy ich dokładną liczbę, komputery zajmą się resztą. Korzystając z analizy metodą „prawdopodobnego słowa”, w ciągu kilku godzin powinniśmy znać odpowiedź.

- Szyfr polialfabetyczny - powtórzył Hatch. - Taką właśnie teorię cały czas forsował Christopher, prawda? - St. John obdarzył go pełnym wdzięczności spojrzeniem. Oczy Wopnera błysnęły nienawiścią.

Neidelman skinął głową.

- A programy dla zestawu drabin?

- Przetestowałem symulację na komputerze „Cerberusa” - odparł Wopner, odrzucając zwisające pasmo włosów. - Gładko jak po maśle. Oczywiście, całość nie znalazła się jeszcze w Water Pit - dodał znacząco.

- Bardzo dobrze. - Neidelman wstał i przeszedł do okna, po czym zwrócił się do całej grupy.

- Nie sędę, żebym musiał dużo dodawać. Wszystko przygotowane. O dziesiątej uruchomimy pompy i przystąpimy do osuszania Water Pit. Panie Streeter, chcę, żeby obserwował pan uważnie grodzę. Proszę sygnalizować wszelkie oznaki ewentualnych problemów. Niech „Naiada” i „Grampus” trzymają się w pobliżu, na wszelki wypadek. Panie Wopner, będzie pan monitorował sytuację z Wyspy Jeden, przeprowadzając końcowe testy ustawień drabin. Doktor Magnusen pokieruje pracą wszystkich pomp z Orthanca. Podeszedł do stołu.

- Jeśli wszystko pójdzie zgodnie z planem, jutro w południe Pit będzie suchy. Cała konstrukcja będzie dokładnie obserwowana do chwili, aż się ustabilizuje. Jutro po południu nasze zespoły usuną z szybu największe przeszkody i umieszczą w nim drabiny. A następnego ranka dokonamy pierwszego zejścia.

Zamilkł, spoglądając uważnie na wszystkich obecnych.

- Nie muszę wam przypominać, że nawet i bez wody Pit nadal jest niezwykle groźny. Prawdę mówiąc, wypompowanie wody znacznie obciąży drewnianą konstrukcję. Dopóki nie wzmocnimy jej tytanowymi rozporami, nadal pojawiać się będą zawalenia i obsunięcia. Kilku członków załogi zejdzie do szybu w celu dokonania pierwszych obserwacji i umieszczenia pizoelektrycznych czujników nacisku na najważniejszych drewnianych elementach konstrukcji. Gdy już czujniki znajdą się na swoich miejscach, Kerry dostroi je zdalnie z Wyspy Jeden. Jeśli nastąpi nagły wzrost nacisku - sygnalizujący ewentualne zawalenie - czujniki prześlą nam wcześniej ostrzeżenie. Czujniki połączone będą zdalnie z siecią z wykorzystaniem fal radiowych, będziemy więc dysponować bieżącą informacją. Jak już znajdą się na swoim miejscu, wprowadzimy zespoły do sporządzenia właściwych map szybu.

Neidelman położył dłonie na stole.

- Dokładnie przemyślałem kwestię składu pierwszego zespołu, ale w zasadzie nie może być wątpliwości co do tego, kto powinien się w nim znaleźć. Troje ludzi: doktor Bonterre, doktor Hatch i ja. Wiedza doktor Bonterre w dziedzinie archeologii, analizy gleby i budowli pirackich będzie miała przy pierwszym wejściu do Water Pit zasadnicze znaczenie. Doktor Hatch musi nam towarzyszyć na wypadek pojawienia się jakichkolwiek nieprzewidzianych okoliczności wymagających interwencji lekarza. Co się zaś tyczy trzeciej osoby, korzystam z przywileju kapitana. - W jego oczach na moment pojawił się błysk.

- Wiem, że większość, jeśli nie każdy z was, niecierpliwi się, by zobaczyć, co na nas czeka. Doskonale to rozumiem. I pozwólcie mi was zapewnić, że każdy z tu siedzących

będzie miał szansę zapoznać się - nie ulega wątpliwości, że aż za dobrze - z dziełem Macallana.

Wyprostował się.

- Jakież pytania?

W pomieszczeniu panowała cisza. Kapitan skinął głową.

- W takim razie, do roboty.

Następnego popołudnia Hatch opuścił wyspę w doskonałym nastroju. Pompy sapały równomiernie przez cały poprzedni dzień do późnej nocy, wysysając z Water Pit miliony galonów brązowej morskiej wody i odprowadzając ją rurami, przez całą wyspę, prosto do oceanu. W końcu po trzydziestu godzinach pracy na głębokości stu czterdziestu stóp węże natknęły się na muł zalegający na dnie szybu.

Hatch czekał z napięciem w swoim gabinecie, ale o piątej doniesiono mu, że przypływ i odpływ już minęły, a woda nie pojawiła się we wnętrzu szybu. Obserwowano pilnie masywne drewniane ocembrowanie, które trzeszczało, skrzypiało i osiadało pod własnym, zwiększonym teraz ciężarem. Czujniki sejsmograficzne zarejestrowały kilka niewielkich tąpnięć, ale wszystkie wystąpiły w bocznych tunelach i szybach, nie zaś w szybie głównym. Po kilku godzinach zasadniczy proces osiadania najwyraźniej dobiegł końca. Grodzą trzymała. Teraz do pracy przystąpił zespół z magnetycznym chwytakiem wieloszczękowym, oczyszczający szyb z gruzów, które zbierały się w Water Pit przez stulecia. Porządkowano liczne poprzeczne stropowe belki i dźwigary.

Po zacumowaniu łodzi w Stormhaven Hatch wstąpił do sklepu po filet z łososia, a pod wpływem impulsu przejechał się wzdłuż wybrzeża do Southport, leżącego osiem mil dalej. Jadąc szosą 1A, starą autostradą prowadzącą wzdłuż morza, obserwował wyszczerbioną linię migoczących czterdzieści stopni nad morskim widnokregiem przyćmionych świateł, rozlanych na tle wieczornych błękitów i różowości. Nad Monhegan Island, daleko na południu, rozbłysnął potężny piorun, strzelając na wysokości trzydziestu tysięcy stóp. Jego stalowe wnętrze iskrzyło od wewnętrznych wyładowań elektrycznych - typowa letnia burza zapowiadająca solidne opady i może kilka gromów, ale niegroźna, bez niebezpiecznie rozbujanego morza.

W sklepie spożywczym w Southport, choć słabo zaopatrzonym w porównaniu do standardów Cambridge, znalazł jednak na półkach kilka rzeczy, o które trudno było w sklepie Buda. Po wyjściu z jaguara Hatch szybko się rozejrzał - nie chciał, aby ktoś go tu rozpoznał i doniósł o zdradzie Budowi. Uśmiechnął się do siebie na myśl, jak obce byłoby takie małomiasteczkowe rozumowanie bostończykowi.

Po powrocie do domu Hatch zaparzył dzbanek kawy, obłożył łososia cytryną, koperkiem i szparagami, a potem polał sosem majonezowym z chrzanem i curry. Ponieważ większą część stołu jadalnego zajmowały duże zielone płócienne płachty, znalazł sobie nieco miejsca na samym końcu i zasiadł nad kolacją z egzemplarzem „Stormhaven Gazette”. Po

części czuł się zadowolony, a po części rozczarowany, że wiadomości o prowadzonych na Ragged Island pracach spadły na drugą stronę. Dumne pierwsze miejsce przypadło homarowemu festynowi oraz łośiowi, który zawędrował do magazynów na tyłach sklepu żelaznego Kai Estensona. Biedne zwierze dostało amoku i leśniczy musiał go nafaszerować środkami uspokajającymi. Artykuł na temat wykopalisk wspominał o „wspaniałych postępach, pomimo kilku nieprzewidzianych komplikacji”. Dalej znalazła się też wzmianka o tym, że mężczyzna ranny w wypadku tydzień wcześniej odpoczywa już wygodnie w domu. Zgodnie z prośbą Hacha jego własne nazwisko nie zostało wymienione.

Po kolacji włożył naczynia do zlewu, po czym wrócił do jadalni i do dużych zielonych płócien. Popijając z kubka świeżą kawę, Hatch odsunął płótno, odsłaniając mniejsze, na którym spoczywały odkryte dzień wcześniej dwa szkielety. Wybrał te, które wydawały mu się najbardziej kompletne i reprezentatywne dla niezwykle dużej pogrzebanej grupy, po czym przywiózł szczątki do domu, żeby móc je w spokoju zbadać.

Kości były czyste, twarde i poznaczone jasnobrązowymi plamami, co wskazywało na działanie bogatej w żelazo gleby wyspy. W suchym domowym powietrzu kości emitowały nikły zapach starej ziemi. Hatch cofnął się, podparł pod boki i kontemplował szkielety oraz żalostną kolekcję guzików, sprzączek i ćwieków, które znalazł wraz z nimi. Jeden z nich nosił złoty pierścień z polerowanym granatem o wartości jedynie historycznej. Hatch wyciągnął go z porządnie ułożonego zestawu przedmiotów. Spróbował wsunąć go na swój mały palec i okazało się, że pasuje. Zostawił go tam, odczuwając niejakie zadowolenie, że udało mu się nawiązać kontakt z dawno nieżyjącym już piratem.

Łąka za otwartymi oknami powitała już letni zmierzch. Żaby w młyńskim stawie na polach w dole przystąpiły do swoich niesporów. Hatch wyciągnął mały notes i zapisał po lewej stronie kartki „Pirat A”, po prawej zaś „Pirat B”. Potem skreślił to, co napisał, i wstawił imiona: „Czarnobrody” i „Kapitan Kidd”. Miał wrażenie, że w jakiś sposób ich uczłowieczył. Przystąpił do sporządzania pierwszych notatek.

Najpierw Hatch skrupulatnie zadbał o określenie ich płci: wiedział, że w osiemnastym wieku wśród piratów było więcej kobiet, niż mogło się wielu wydawać. Jednak te szkielety należały do mężczyzn. Obaj byli niemal całkowicie pozbawieni uzębienia, podobnie jak i pozostałe szkielety w wielkim grobie. Hatch uniósł luźną dolną szczękę i zbadał ją przez szkło powiększające. Wzdłuż wyrostka zuchwowego biegła bruzda spowodowana uszkodzeniem dziąseł. Dostrzegł także miejsca, w których kość była cieńsza i najwyraźniej wyżarta. Kilka ocalałych zębów wykazywało uderzającą patologię: oddzielenie się warstwy

szkliwa od zębiny. Hatch odłożył dolną szczękę, zastanawiając się, czy zostało to wywołane jakąś chorobą, złym odżywianiem czy po prostu brakiem higieny.

Wziął do rąk czaszkę pirata, którego ochrzcił mianem Czarnobrodego, i przystąpił do jej badania niczym do czaszki Yoricka. Jedyny ocalały górny siekacz Czarnobrodego miał wyraźnie wywinięte krawędzie. To sugerowało, że jego właściciel pochodził albo ze wschodniej Azji, albo był amerykańskim Indianinem. Odłożył czaszkę na miejsce i kontynuował sekcję. Drugi pirat, Kidd, złamał sobie kiedyś nogę. Końce kości wokół miejsca złamania były otarte i zwapniałe, sam zrost nie nastąpił w sposób prawidłowy. Prawdopodobnie pirat poruszał się, utykając, musiał odczuwać spory ból. Za życia Kidd nie należał pewnie do pogodnych piratów. Oprócz tego obojczyk mężczyzny nosi ślady po starej ranie - w kości widniała głęboka ryna, otoczona poszarpanymi brzegami. Cios kordu? - zastanawiał się Hatch.

Obaj mężczyźni liczyli raczej poniżej czterdziestu lat. Jeśli Czarnobrody pochodził z Azji, kapitan Kidd miał prawdopodobnie przodków na Kaukazie. Hatch postanowił zapytać później St. Johna, czy ten wiedział coś o rasowym składzie załogi Ockhama.

Hatch obszedł stół dookoła, rozmyślając, po czym podniósł kość udową. Wydawała się lekka i krucha. Wygiął ją, a ona, ku jego zaskoczeniu, pękła mu w palcach niczym sucha gałązka. Przyjrzał się jej końcówkom. Najwyraźniej przypadek osteoporozy - słabnięcia kości - nie zaś skutek zwykłego gnicia kości leżących w grobie. Przyjrzał się im teraz dokładniej, zbadał kości należące do drugiego szkieletu i stwierdził te same symptomy.

Obaj piraci byli zbyt młodzi, by objawy miały charakter gerontologiczny. A zatem osteoporoza mogła stanowić wynik albo kiepskiej diety, albo choroby. Ale jakiej choroby? Zaczął się zastanawiać nad symptomami kilku możliwych schorzeń, uruchamiając myślowy proces diagnozowania. Nagle szeroko się uśmiechnął.

Podszedł do półki z medycznymi książkami i wyciągnął zaczytany egzemplarz *Zasad medycyny wewnętrznej* Harrisona. Przeleciał spis treści, znalazł to, czego szukał, i szybko otworzył książkę na właściwej stronie. Szkorbut, czytał: Scorbutus (niedobór witaminy C). Tak, symptomy się zgadzały: wypadanie zębów, osteoporoza, spowalnianie procesów gojenia, a nawet powtórne otwieranie się starych ran.

Zamknął książkę i odstawił ją na półkę. Tajemnica rozwiązana. Hatch wiedział, że skorbut należał obecnie na świecie do rzadkości. Nawet przebywając w najbiedniejszych obszarach Trzeciego Świata, miał dostęp do świeżych owoców i warzyw i w całej swojej karierze nie spotkał się z ani jednym jego przypadkiem. Do dziś. Odsunął się od stołu, niezwykle z siebie zadowolony.



Rozległ się dzwonek u drzwi. Cholera - pomyślał, w pośpiechu naciągając płótno na szkielety przed przejściem do salonu. Jednym ze skutków życia w małym miasteczku było to, że nikt nie zawracał sobie głowy telefonowaniem przed złożeniem wizyty. Nie byłoby za dobrze, gdyby ktoś przydybał go w jadalni z dwoma starymi szkieletami rozłożonymi na stole zamiast rodzinnych sreber.

Podszedł do drzwi frontowych i wyjrzał przez okno. Zaskoczony ujrzał zgarbioną postać profesora Orville'a Horna. Starszy pan opierał się na swej lasce, kosmyki siwych włosów sterczały mu nad głową niczym naładowane wiązką prądu z generatora Van de Graafa.

- Ach, odrażający doktor Hatch! - oznajmił profesor, gdy tylko drzwi zostały otwarte.  
- Przechodziłem niedaleko i zauważyłem, że w twoim mauzoleum palą się światła. - A mówiąc, cały czas wodził wkoło niespokojnym wzrokiem. - Pomyślałem sobie, że może siedzisz w piwnicy, kroisz trupy. W wiosce brakuje kilku młodych dziewczyn, no i miejscowi są niespokojni. - Wzrok natrafił na spore nierówności przykryte płótnem na stole w jadalni.

- Halo! A to co?

- Szkielety piratów - odparł Hatch, uśmiechając się szeroko. - Życzył pan sobie prezentu, prawda? A zatem wszystkiego najlepszego.

Oczy profesora zalśniły wyraźną rozkoszą. Wszedł do salonu.

- Cudownie! - wykrzyknął. - A zatem, jak widzę, moje podejrzenia nie były bezpodstawne. Skąd je masz?

- Kilka dni temu archeolog Thalassy odkryła miejsce obozowania piratów na Ragged Island - odpowiedział Hatch, prowadząc staruszkę do jadalni. - Znaleźli zbiorowy grób. Pomyślałem sobie, że wezmę parę do domu i spróbuję określić przyczynę zgonu.

Gęste brwi profesora uniosły się, gdy to usłyszał. Hatch odsunął płótno i jego gość nachylił się, patrząc z zainteresowaniem i od czasu do czasu postukując w kość swoją laską.

- Wydaje mi się, że znam już przyczynę ich śmierci - powiedział Hatch.

Profesor podniósł rękę.

- Cisza. Pozwól mi samemu spróbować.

Hatch uśmiechnął się, przypominając sobie zamiłowanie profesora do naukowych wyzwania. Na tej grze spędzili wiele popołudni. Profesor dostarczał Hatchowi dziwaczne okazy lub naukowe łamigłówki, a ten się nad nimi głowił.

Doktor Horn podniósł czaszkę Czarnobrodego, obrócił ją, spojrzawszy na zęby.

- Azja Wschodnia - powiedział, odkładając czaszkę na miejsce.

- Bardzo dobrze.

- Niezbyt to zaskakujące - odpowiedział profesor. - Piraci jako jedni z pierwszych pracodawców stosowali zasady polityki równouprawnienia zawodowego. Jak sądzę, ten pochodził z Birmy albo Borneo, a może i z Indii Wschodnich.

- Jestem pod wrażeniem - powiedział Hatch.

- Jak szybko wszystko się zapomina. - Profesor okrążył szkielety, jego oczy lśniły niczym paciorki, zachowaniem przypominając kota, który krąży wokół myszy. - Osteoporoza - oznajmił i spojrzał na Hatcha.

Hatch uśmiechnął się i nic nie odpowiedział. Doktor Horn podniósł dolną szczękę.

- Najwyraźniej ci piraci nie wierzyli w potrzebę czyszczenia zębów nitką dwa razy dziennie. - Zbadał z bliska zęby, po czym zamyślony popukał się po twarzy długim palcem i wyprostował. - Wszystko wskazuje na skorbut.

Hatch poczuł, jak wydłuża mu się mina.

- Doszedł pan do tego dużo szybciej niż ja.

- W minionych stuleciach skorbut był na okrętach zjawiskiem powszechnym. To wszystkim znany fakt, jak sądzę.

- Może i było to raczej oczywiste - odparł Hatch, nieco strapiony.

Profesor rzucił mu znaczące spojrzenie, ale nic nie odpowiedział.

- Proszę, zapraszam do salonu - zaproponował Hatch. - Niech mi będzie wolno poczęstować pana filiżanką kawy.

Kiedy kilka minut później wrócił z tacą pełną filiżanek i spodeczków, profesor siedział już w klubowym fotelu i pobieżnie przeglądał jedną z powieści detektywistycznych jego mamy, które tak uwielbiała. Miała ich na półce około trzydziestu - dość, jak mówiła, by do czasu gdy skończy czytać ostatnią, zapomnieć, co było w pierwszej, i móc zacząć od początku. Widok tego mężczyzny należącego do czasów dzieciństwa, siedzącego w jego salonie, czytającego książkę jego matki, sprawił, że Hatch poczuł nagły, gwałtowny przypływ słodko-gorzkiej nostalgii, tak intensywnej, że postawił tacę na małym stoliku z nieco większą siłą, niż zamierzał. Profesor przyjął filiżankę. Siedzieli przez chwilę w milczeniu, popijając.

- Malin - powiedział starszy pan, odchrząkując. - Jestem ci winien przeprosiny.

- Proszę - odparł Hatch. - Proszę nic nie mówić. Cenię sobie pańską szczerość.

- Do diabła z moją szczerością. Tamtego dnia mówiłem nieco pochopnie. Nadal uważam, że w Stormhaven żyłoby się lepiej bez tej przeklętej wyspy skarbów, ale nie o to teraz chodzi. Nie mam prawa oceniać twoich motywów. Zrób, co musisz zrobić.

- Dziękuję.

- W ramach zadośćuczynienia przyniosłem ze sobą małą niespodziankę, dla ożywienia wieczoru - powiedział ze starym, znajomym błyskiem w oku. Wyjął z kieszeni pudełko i otworzył je: w środku siedziała dziwna, złożona muszla, pokryta skomplikowanym wzorem kropek i prążków. - Co to jest? Masz pięć minut.

- Jeżowiec morski z Syjamu - odpowiedział Hatch, od - i dając muszlę. - Całkiem ładny okaz, prawdę mówiąc.

- Do licha. No cóż, jeśli nie chcesz dać się zbić z pantafelów, przydad się choć na cokolwiek i wyjaśnij mi okoliczności dotyczące tego tam. - Profesor skierował kciuk w stronę jadalni. - Proszę o najdrobniejsze szczegóły, choćby najbardziej błahe. Wszelkie niedopatrzenia będą traktowane z największą surowością.

Hatch wyprostował nogi i skrzyżował stopy na plecionym dywanie, po czym przystąpił do zdawania relacji, jak to Bonterre znalazła obozowisko, o pierwszych wykopaliskach, o odkryciu zbiorowego grobu, o złocie, o zaskakującym zbiorze znalezionych przedmiotów, o płataninie ciał. Profesor słuchał, potakując z ożywieniem, a jego brwi na przemian to unosiły się, to opadały w odpowiedzi na każdą nową informację.

- To, co dziwi mnie najbardziej - zakończył Hatch - to sama liczba ciał. Do końca dzisiejszego popołudnia zidentyfikowano ciała osiemdziesięciu osób, a nie zakończono jeszcze prac wykopaliskowych.

- W istocie. - Profesor zamilkł. Jego wzrok zabłąkał się gdzieś pośrodku pokoju. Potem wyprostował się, odstawił filiżankę, otarł kłapy marynarki zagadkowym, delikatnym gestem i wstał.

- Szkorbut - powtórzył, niemal sam do siebie, parskając z drwiną. - Odprowadź mnie do wyjścia, dobrze? Zabrałem ci już dość czasu jak na jeden wieczór.

W drzwiach profesor przystanął i odwrócił się. Spojrzał Hatchowi w oczy, w których tańczyło skrywane zainteresowanie.

- Powiedz mi, Malin, jaka rośliność dominuje na Ragged Island? Nigdy tam nie byłem.

- No cóż - odparł Hatch. - To typowa zewnętrzna wyspa, bez drzew, o których warto by było wspomnieć, porośnięta trawą, krzakami aronii, łopianem i krzewami róży herbacianej.

- Ach. Placek z aronią - pyszności. Miałeś kiedyś przyjemność pić herbatę z owoców róży?

- Oczywiście - powiedział Hatch. - Moja mama piła dużo różanej herbaty - dla zdrowia, jak mawiała. Osobiście jej nie znosiłem.

Profesor Horn zakaszłał w dłoń. Ten gest Hatch zapamiętał jako oznakę niezadowolenia.

- Co? - zapytał, jakby się bronił.

- Aronia i owoc róży - stwierdził profesor - w ciągu minionych stuleci stanowiły podstawowe składniki diety mieszkańców tego wybrzeża. Oba bardzo zdrowe, niezmiernie bogate w witaminę C.

Zapadła cisza.

- Och - powiedział Hatch. - Rozumiem, do czego pan zmierza.

- Siedemnastowieczni żeglarze może nie wiedzieli, co wywołuje szkorbut, ale wiedzieli, że leczyły z niego niemal wszystkie świeże jagody, owoce, bulwy czy warzywa. - Profesor spojrział dociekliwie na Hacha. - Jest jeszcze jeden problem z twoją pospieszną diagnozą.

- Co takiego?

- Chodzi o sposób, w jaki pogrzebano ciała. - Dla podkreślenia swoich słów staruszek postukał laską w podłogę. - Malin, z powodu szkorbutu nikt nie wrzuca do wspólnego grobu ciał osiemdziesięciu ludzi, i to z takim pośpiechem, że nieboszczycy zabierają ze sobą złoto i szmaragdy.

W oddali, na południu zabłysło, niebo rozdarł grzmot.

- Az jakiego powodu? - zapytał Hatch.

W odpowiedzi doktor Horn poklepał go tylko czule po ramieniu, po czym odwrócił się, zszedł, utykając, ze schodów i pokuśtykał dalej, a ciche stukanie jego laski słychać było jeszcze długo po tym, jak znikł w cieplej, ciemnej nocy na Ocean Lane.

Następnego ranka Hatch zjawił się na Wyspie Jeden wcześniej. Nieduże centrum dowodzenia i kontroli zastał niezwykle zatłoczone. Bonterre, Kerry Wopner i St. John mówili wszyscy naraz. Jedynie Magnusen i kapitan Neidelman milczeli: Magnusen cicho prowadziła diagnostykę, Neidelman zaś stał na środku pomieszczenia i palił swoją fajkę, spokojny niczym oko cyklonu.

- Odbiło wam czy co? - mówił Wopner. - Powiniennem siedzieć teraz na „Cerberusie”, rozszyfrowywać ten dziennik, a nie łązić po jaskiniach. Jestem programistą, a nie robotnikiem grzebiącym w ściekach.

- Nie widzę innej możliwości - powiedział Neidelman, wyjmując z ust fajkę i patrząc na Wopnera. - Widział pan dane liczbowe.

- Tak, tak. A czego się spodziewaliście? Nic na tej przeklętej wyspie nie idzie jak trzeba.

- Coś przegapiłem? - odezwał się Hatch, podchodząc do grupy.

- Ach. Dzień dobry, Malin - przywitał się Neidelman, obdarzając go zdawkowym uśmiechem. - Nic poważnego. Przy ustawianiu drabin pojawiło się kilka problemów z elektroniką.

- Kilka - zachnął się Wopner.

- Stało na tym, że na badanie szybu będziemy musieli wziąć dziś rano ze sobą na dół Kerry’ego.

- Niech to jasna cholera! - oznajmił nadąsany Wopner. - Mówię wam cały czas, że elementy domina wreszcie do siebie pasują. Ten kod jest już mój, uwierzcie mi. Komputer na „Scylli” rozszyfruje całość w ciągu kilku godzin.

- Jeśli układanie domina zostało zakończone, to w takim razie obecny tu Christopher może się zająć monitoringiem - stwierdził Neidelman już ostrzej.

- Zgadza się - odparł St. John, nieznacznie prężąc pierś.

- Chodzi tylko o to, żebym wziął wydruk i dokonał substytucji kilku elementów.

Wopner popatrzył najpierw na jednego, potem na drugiego, po czym wyduł przesadnie wargę.

- Rzecz jest bardzo prosta, chodzi o to, żebyś znalazł się tam, gdzie jesteś najbardziej potrzebny - powiedział Neidelman.

- A najbardziej potrzebny jesteś w naszym zespole. - Zwrócił się do Hacha. - Jest rzeczą niezbędną, by te piezoelektryczne czujniki znalazły się na swoich miejscach, na całej

długości Water Pit. Jak już podłączymy je do sieci komputerowej, będą służyć jako system wczesnego ostrzegania, na wypadek gdyby gdzieś pod ziemią coś się działo. Ale jak dotąd, Kerry'emy nie udało się wyskalować czujników zdalnie z Wyspy Jeden. - Spojrzał na Wopnera.

- Ponieważ sieć kiepsko działa, musi zejść tam razem z nami i wyskalować je ręcznie za pomocą palmtopa. Potem załaduje informację do archiwum komputera. To pewna niedogodność, ale nie ma innego rozwiązania.

- Niedogodność? - zapytał Wopner. - Raczej cholerny niefort.

- Większość członków załogi oddałaby połowę swoich udziałów, żeby móc uczestniczyć w pierwszej penetracji - stwierdził St. John.

- To sobie spenetruj - wymruczał Wopner, odwracając się do niego tyłem. Bonterre zachichotała.

Neidelman zwrócił się do historyka.

- Niech pan opowie doktorowi Hatchowi o zdaniu, jakie właśnie pan rozszyfrował w drugiej części dziennika.

St. John odchrząknął w poczuciu własnej ważności.

- Nie jest to zdanie, tak naprawdę - powiedział. - Raczej część zdania: „Ciebie, który pożądasz klucza do”, tu jakieś słowo, „Pit odnajdzie...”

Hatch spojrzał na kapitana zdumiony.

- A więc istnieje sekretny klucz do Water Pit. Neidelman uśmiechnął się, zacierając z niecierpliwością ręce.

- Już niemal ósma - oznajmił. - Proszę zebrać swój sprzęt. Zaczynamy.

Hatch wrócił do biura po medyczny zestaw polowy i dołączył do grupy wspinającej się po zboczu wyspy w stronę Orthanca.

- *Merde*, ale zimno - odezwała się Bonterre. - I to ma być letni poranek?

- Letni poranek w Maine - poprawił Hatch. - Powinnaś się cieszyć. Dostaniesz od tego na piersiach gęziej skórki.

- A tego mi właśnie trochę brakuje, *monsieur le docteur*. - Pobiegła do przodu, starając się rozgrzać, a Hatch zdał sobie sprawę, że on też lekko drży - czy od chłodu, czy w oczekiwaniu na zbliżające się zejście, tego nie był pewien. Widzieli już długi cień, jaki rzucała na wyspę poszarpana krawędź szybu. W oddali widać było burzę.

Hatch stanął na szczycie wyspy i spojrzał na wysmukłą sylwetkę Orthanca. Wiązki kolorowych kabli spływały z jego podbrzusza prosto w paszczę Water Pit. Osuszony i dostępny, czekał wraz ze swymi sekretami na zbadanie.

Hatch znów się wzdrygnął, potem ruszył dalej. Z tego doskonałego punktu widokowego dostrzegł w morzu szarą krawędź grodzy otaczającej łukiem południowy kraniec wyspy. Dziwny widok. Dalsza część grodzy spoczywała w niebieskiej przestrzeni oceanu, znikając w wiecznej mgle. Nieco bliżej widać było kamienne podłoże, niemal bezwstydnie obnażone, poznaczone kałużami stojącej wody. Tu i ówdzie, na osuszonym morskim dnie Hatch widział zaznaczone na odsłoniętych skałach punkty: wyjścia kanałów zalewowych, oznaczone do późniejszych badań i analiz. Od strony plaży przy grodzy leżało kilka stert zardzewiałych wraków, nasiąkniętych wodą kawałków drewna i innych odpadów wyciągniętych z wnętrza szybu oczyszczonego dla potrzeb ekspedycji.

Streeter wraz ze swoją załogą kręcił się koło wejścia do szybu, wyciągając jakieś kable, wrzucając do środka inne. Zbliżając się, Hatch dostrzegł coś, co przypominało koniec potężnej drabiny wystającej ponad poziom szybu. Boczne poręcze drabiny wykonane były z grubych, lśniących metalowych rur, połączonych podwójnymi, pokrytymi gumą szczelami. Hatch wiedział, że zespół pracował niemal całą noc, by połączyć ze sobą poszczególne części drabiny i spuścić je w dół, manewrując między niewidocznymi przeszkodami i pozostałymi w szybie rupieciami, unieruchomionymi na dobre przez drewniane szalunki szybu.

- To właśnie nazywam sterydową drabiną - stwierdził, pogwizdując.

- To coś więcej niż zwykła drabina - odparł Neidelman. - To zestaw drabin. Rurowe poręcze wykonano ze stopu tytanu. Posłużą za filar konstrukcji wspierającej Pit. W odpowiednim czasie zbudujemy rozchodzącą się promieniście pajęczynę tytanowych rozpór biegnących od drabiny. Pajęczyna zapewni stabilność szybu w czasie prac wykopaliskowych. Do drabiny zaś przymocowana zostanie platforma, coś w rodzaju windy.

Wskazał na rozporki drabiny.

- Każdy cylinder podłączony jest kablem światłowodowym, współosiowym i elektrycznym i każdy szczebel zaopatrzone w lampę zapalającą się od kopnięcia. Zgodnie z założeniami elementy struktury będą kontrolowane komputerowo przez serwery przy monitorujących kamerach. Ale jak do tej pory, naszemu przyjacielowi Wopnerowi nie udało się z powodzeniem zakończyć procesu wprowadzenia całej instalacji pod zdalną kontrolę. Stąd nasze dla niego zaproszenie. - Popukał stopą w wystające konstrukcje zbudowane zgodnie z wymogami Thalassy za cenę niemal dwustu tysięcy dolarów.

Wopner, który to dosłyszał, podszedł, śmiejąc się.

- Hej, kapitanie - powiedział. - Wiem też, gdzie można dostać naprawdę fajne klozety po sześćset dolarów za sztukę.

Neidelman uśmiechnął się.

- Cieszę się, widząc, że wraca panu humor, Wopner. Przystąpmy do przygotowań.

Zwrócił się do grupy.

- Dzisiaj nasze najważniejsze zadanie polega na przymocowaniu tych piezoelektrycznych czujników nacisku do ocembrowania i belek szybu Water Pit. - Wyciągnął jeden czujnik ze swojej torby i puścił w obieg. Był to niewielki kawałek metalu z komputerowym układem scalonym na środku zalany twardym, przezroczystym plastykiem. Z każdej krawędzi, wystając pod kątem prostym, sterczały półcalowe szpilki.

- By je umocować, wystarczy wcisnąć w drewno. Pan Wopner wyskaluje i zarejestruje każdy czujnik w swojej bazie danych znajdującej się w jego palmtopie.

Kiedy Neidelman przemawiał, do Hacha podszedł technik i pomógł mu nałożyć uprząż do wspinaczki. Potem mężczyzna podał mu kask i pokazał, jak korzystać z intercomu oraz halogenowej czołówki. Następnie wręczono mu torbę z piezoelektrycznymi czujnikami.

Hatch patrzył, jak wzdłuż drabiny rozbłyskają światła, oświetlając jasnym, żółtym blaskiem całą upiorną gardziel Water Pit. Potrójny rząd lśniących szczebli opadał w głąb ziemi niczym jakaś droga do piekła.

Po raz pierwszy Hatch mógł się przekonać, jak wygląda szyb. Patrzył na poszarpany kwadrat szerokości jakichś dziesięciu stóp, wzmocniony z wszystkich czterech stron masywnymi, karbowanymi balami, wpuszczonymi w solidne pionowe belki umieszczone w każdym rogu. Co dziesięć stóp szyb przecinały po przekątnej cztery mniejsze belki, które spotykały się pośrodku. Najwyraźniej ich zadanie polegało na podpieraniu ścian i chronieniu ich przed zawaleniem się do środka. Hacha uderzyło, jak bardzo wyglądało to na inżynierską robotę: jak gdyby Macallan budował Water Pit tak, by przetrwał on tysiąc, a nie tylko te kilka lat, po których Ockham by powrócił i sięgnął po swój skarb.

Gdy tak wpatrywał się w opadające coraz niżej rzędy świateł, dotarło do niego wreszcie z bolesną świadomością, jak głęboki był szyb. Światła zdawały się biec prosto w ciemność tak głęboko, że poręcze drabiny niemal zbiegały się w mrocznych czeluściach. Pit żył własnym życiem - szeleścił, tykał, kapał i skrzypiał, wydając z siebie równocześnie nieokreślone szepty i jęki.

Ponad wyspą przetoczył się odległy odgłos grzmotu. Nagły poryw wiatru położył trawy porastające wlot do szybu. Po nim przyszedł silny deszcz, który zalał paprocie i całą maszynię. Hatch stał na swoim miejscu, częściowo osłonięty masywnym cielskiem Orthancu. Za kilka minut - pomyślał sobie po prostu wejdziemy na drabinę i zejdziemy na dół. I znowu ogarnęło go to przekorne wrażenie, że wszystko szło zbyt łatwo, aż do chwili, gdy poczuł, jak Pit wydycha z siebie zimny odór zabłoconego tunelu przyplływów i



odpływów: mocną woń słonej wody wymieszaną z zapachem gnicia i rozkładu, gazami wydobywającymi się z ciał zdechłych ryb i gnijących wodorostów. W jego głowie rozbłysła nagła myśl: gdzieś w tym labiryncie tuneli spoczywa ciało Johnny'ego. Pragnął jego odkrycia i jednocześnie obawiał się go z całej duszy.

Technik wręczył Hatchowi małe urządzenie do pomiaru poziomu gazów, a on zawiesił je sobie na szyi.

- Pamiętajcie, nie schodzimy na dół na spacer - obwieścił Neidelman, patrząc na zespół. - Jedyne przypadkiem, w którym możecie odpiąć się od drabiny, jest konieczność zamocowania czujnika. Rozmieścimy je, wyskalujemy i szybko wyjdziemy na powierzchnię. Jednak skoro już tam będziemy, chciałbym, aby każdy z nas dokonał możliwie jak najwięcej obserwacji. Chodzi o stan ocembrowania, rozmiar i liczbę tuneli, słowem wszystko, co jest nam potrzebne. Samo dno nadal pokryte jest grubą warstwą błota, skoncentrujemy się więc na ścianach i wejściach do tuneli wewnętrznych. - Zamilkł na chwilę, poprawiając kask. - W porządku. Przypinamy się do swoich lin asekuracyjnych i w drogę.

Liny zostały przypięte do uprzęży. Neidelman podszedł do każdego, sprawdzając raz jeszcze karabinki i testując poszczególne liny.

- Czuję się jak cholerny monter telefonista - marudził Wopner. Hatch rzucił okiem na programistę, który oprócz torby z czujnikami piezoelektrycznymi miał jeszcze u pasa dwa dyndające palmtopy.

- No i co, Kerry? - zażartowała Bonterre. - Po raz pierwszy wyglądasz jak mężczyzna.

Przez ten czas większość członków załogi przebywających jeszcze na wyspie zebrała się koło platformy. Rozległy się wiwaty. Hatch rozejrzał się wokół siebie, po rozradowanych twarzach: nadeszła chwila, na którą wszyscy czekali. Bonterre uśmiechała się szeroko. Rosnące podniecenie udzieliło się nawet Wopnerowi: poprawił swój sprzęt i zacisnął mocno uprzęż, jakby w poczuciu własnej ważności.

Neidelman po raz ostatni popatrzył dokoła i pomachał do zespołu pomocniczego. Potem zrobił krok w stronę krawędzi platformy, przypiął sprzączkę swojej liny do konstrukcji drabiny i zaczął schodzić.

Hatch postawił stopę na drabinie ostatni. Inni znajdowali się już pod nim, najniżej na głębokości dwudziestu stóp. Lampki na kaskach igrały w ciemnościach, gdy schodzili w dół szczebel po szczeblu. Poczuł, jak zakreśliło mu się w głowie, ale spojrzął w górę i chwycił za metal. Drabina była solidna niczym skała, wiedział o tym - nawet jeśli odpadnie, lina asekuracyjna ochroni go przed zbyt głębokim upadkiem.

Gdy tak schodzili coraz niżej, zapadła wokół nich, a także wśród załogi Orthanca monitorującej ekspedycję na kanałach radiowych, dziwna cisza. Nie cichnące dźwięki dochodzące z osadzającego się szybu, miękkie skrzypienie i stukanie, wypełniały powietrze niczym szepty rojących się, niewidzialnych morskich stworów. Hatch minął pierwszą wiązkę centralnych przyłączy, elektrycznych gniazdek wtykowych i końcówek kabli, które umieszczono przy drabinie w odstępach co piętnaście stóp.

- Wszystko w porządku? - Z intercomu dobiegł cichy głos Neidelmanna. Jedna po drugiej zabrzmiały twierdzące odpowiedzi.

- Doktor Magnusen? - zapytał Neidelman.

- Instrumenty w normie - odpowiedział głos z Orthanca. - Wszystkie tablice zielone.

- Doktor Rankin?

- Zakresy nieaktywne, kapitanie. Żadnych sygnałów sejsmicznych zakłóceń czy magnetycznych anomalii.

- Panie Streeter?

- Wszystkie systemy na konstrukcji drabiny w normie - zabrzmiała lakoniczna odpowiedź.

- Bardzo dobrze - stwierdził Neidelman. - Będziemy schodzić aż do platformy na poziomie pięćdziesięciu stóp, umieszczając czujniki tam, gdzie to konieczne, później zatrzymamy się na odpoczynek. Proszę uważać, żeby nie zaczepić się liną o żadną belkę. Doktor Bonterre, doktorze Hatch, panie Wopner, proszę mieć oczy szeroko otwarte. Jeśli zobaczycie coś dziwnego, chcę o tym wiedzieć.

- Jaja pan sobie robi? - odezwał się Wopner. - Całe to miejsce jest dziwne.

Podążając za grupą, Hatch czuł, jakby opadał na dno głębokiego zbiornika z morską wodą. Powietrze było lepkie, wilgotne i zimne, cuchnące zgnilizną. Każdy wydech kondensował się w postaci obłoku pary, który zawisał w niezwykle nasyconym powietrzu i nie chciał się rozpuścić. Rozejrzał się dokoła, lampa na kasku obracała się wraz z ruchami jego głowy. Znajdowali się obecnie w strefie przyływów i fal wstecznych szybu, gdzie

wcześniej woda podnosiła się i opadała dwa razy dziennie. Z zaskoczeniem odkrył, że znajdowały się tu te same żywe organizmy, które nieskończenie wiele razy obserwował między skałami i pływowymi kałużami na skraju morza: najpierw pąkle, potem wodorosty, następnie małże i skałoczepy. Za nimi występowały kolonie rozgwiazd, potem strzykwy, pobrzechki, jeżowce i ukwiały. W miarę jak schodził coraz niżej, mijał warstwę koralowców i wodorostów. Setki sfałdowanych trąbików tkwiło żałośnie przyczepionych do ścian i belek, żywiąc na próżno nadzieję na powrót morskiej fali. Od czasu do czasu któryś trąbik zwalniał swój kurczowy uchwyt i spadał w odpowiadającą echem czeluść.

Choć ogromne ilości szczątków wraków zostały już z osuszonego Water Pit usunięte, nadal tkwiły w nim przeszkody z dawnych czasów. Ustawienie drabinowej konstrukcji wymagało wielkiej zręczności. Szczelble wiły się między próchniejącymi belkami, płataniną kawałków porzuconych, metalowych elementów maszyn borujących. Grupa zatrzymała się, gdy Neidelman zajął się przymocowywaniem czujnika w małym otworze na jednej ze ścian szybu. Gdy czekali na Wopnera, aż ten dostroi czujnik, Hatch poczuł, że jego samopoczucie w powietrzu pełnym trujących wyziewów pogarsza się. Zastanawiał się, czy w przypadku pozostałych członków grupy było podobnie, czy też dotyczyło to tylko jego, człowieka, który wiedział coś więcej - że gdzieś w tym zimnym, ociekającym wodą labiryncie spoczywa ciało jego brata.

- O rany, ale tu śmierdzi - odezwał się Wopner, pochylając głowę nad przenośnym komputerem.

- Według wskazań czytnika stan powietrza w normie - rozległ się głos Neidelmana. - Za kilka dni skończymy instalowanie systemu wentylacyjnego.

Gdy zeszli jeszcze niżej, oryginalne elementy ocembrowania szybu stały się wyraźniejsze, a grube warstwy wodorostów zastąpiły zwisające pęki morszczyzny. Z góry nadpłynął odgłos stłumionego dudnienia: grzmot. Hatch spojrzał w górę i dostrzegł widoczne na tle nieba wejście do szybu oraz otoczoną zieloną poświatą strzelistą, ciemną bryłę Orthanca. Nisko zawieszzone chmury nadawały niebu odcień metalicznej szarości. Rozbłysk błyskawicy na krótką, upiorną chwilę rozświetlił Pit.

Nagle grupa pod nim zatrzymała się. Spojrzał w dół i dostrzegł Neidelmana, który skierował strumień światła swojej czołówki w dwa poszarpane otwory po dwóch stronach szybu, tunele prowadzące gdzieś w ciemność.

- Co pani o tym sądzi? - zapytał Neidelman, przymocowując kolejny czujnik.

- Nie są oryginalne - odparła Bontefre, ostrożnie nachylając się i zaglądając do drugiego otworu, by przyczepić czujnik i lepiej się rozeznąć.

- Niech pan spojrzy na szalunki: wąskie i cięte piłą tracką, a nie ociosane toporkiem. Może z czasów ekspedycji Parkhursta z lat trzydziestych dziewiętnastego wieku, *noni*.

Wyprostowała się, po czym spojrzała w górę, na Hacha, strumień światła z lampki na jej kasku oświetlił mu nogi.

- Widzę, co masz pod sukienką. - Uśmiechnęła się z wyższością.

- Może powinniśmy zamienić się miejscami - odpowiedział Hatch.

Pracowali tak, schodząc po drabinie i umieszczając w miarę schodzenia czujniki nacisku na kolejnych belkach i ocembrowaniu. Wreszcie dotarli do wąskiej platformy na poziomie pięćdziesięciu pięciu stóp. W świetle odbijającym się od swojego kasku Hatch widział, że twarz kapitana pobiła z podniecenia. Skórę pokrywała mu warstwa potu, pomimo panującego chłodu.

Rozbłysła kolejna błyskawica, w oddali rozległ się grzmot. Strużki wody sączyły się teraz szybciej i Hatch domyślił się, że na powierzchni musiało lać jak z cebra. Spojrzał w górę, ale otwór prawie całkowicie zasłaniały już poprzeczne belki, które wcześniej mijali. Krople wody, spadając, przelatywały koło jego lampy. Zaczął się zastanawiać, czy fale przybrały, i miał nadzieję, że grodzą je powstrzyma - na chwilę przed oczami stanął mu obraz morza pokonującego tamę i wpadającego z rykiem do szybu, zatapiając ich w ułamku sekundy.

- Zamarzam - zaczął narzekać Wopner. - Dlaczego nikt mnie nie uprzedził, że będzie tu potrzebny elektryczny koc? A śmierdzi nawet bardziej niż na początku.

- Nieco podniesiony poziom metanu i dwutlenku węgla - oznajmił Neidelman, zerkając na monitor. - Nie ma się czym martwić.

- Ma rację - powiedziała Bonterre, poprawiając przytwierdzone do pasa narzędzia. - Naprawdę jest zimno.

- Dziewięć stopni - stwierdził lakonicznie Neidelman. - Jakies inne spostrzeżenia?

Zapadła cisza.

- W takim razie róbmy swoje. Od tego momentu powinniśmy zacząć znajdować więcej szybów i tuneli. Będziemy zakładać czujniki na zmianę. Ponieważ pan Wopner musi każdy z nich dostroić ręcznie, zostanie z tyłu. Poczekamy na niego na platformie na poziomie stu stóp.

Na tej głębokości na przecinających gardło szybu belkach wspierających nagromadziły się nieprawdopodobne ilości różnorodnych śmieci. Stare kable, łańcuchy, stare elementy maszynierii, węże, między belkami utkwily nawet rozkładające się skórzane rękawice. Zaczęły napotykać dodatkowe otwory wybite w ocembrowanych ścianach, gdzie

tunele rozgałęziały się lub szyby pomocnicze przecinały szyb główny. Neidelman zajął się pierwszym otworem, umieszczając sensor dwadzieścia stóp od wejścia. Bonterre przystąpiła do oznaczania następnego. Przyszła jego kolej.

Hatch ostrożnie pociągnął linę swojej uprząży, po czym zszedł z drabiny do szybu bocznego. Poczuł, jak stopą zanurza się w czymś lepkim. Tunel był wąski i niski, ciągnął się dalej w górę, skręcając pod ostrym kątem. Wyrąbano go w polodowcowej glinie pełnej kamyków i piasku. W niczym nie przypominał on kunsztownie zaprojektowanego szybu Water Pit - najwyraźniej powstał później. Hatch przeszedł, garbiąc się, dwadzieścia stóp w głąb tunelu, wyciągnął z torby piezoelektryczny czujnik i wcisnął go w zwapniała ziemię. Wrócił do głównego szybu i umieścił przy wejściu do tunelu małą, fluorescencyjną chorągiewkę, znak dla Wopnera.

Gdy ponownie wszedł na drabinę, usłyszał głośną, rozdzierającą skargę dobywającą się z pobliskich drewnianych umocnień. W ślad za tym popłynęła lawina trzasków, które szybko rozbiegły się szeptem w górę i w dół szybu. Zamarł, kurczowo chwytając się drabiny i wstrzymując oddech.

- To tylko osiadanie szybu - rozległ się głos Neidelmana, który zamocował już swój sensor i ruszył w dół po drabinie do następnego poprzecznego szybu. Gdy to mówił, rozległ się następny pisk, który - ostry i dziwnie ludzki - odbił się echem od ścian tunelu.

- Co to było, do cholery? - zapytał Wopner, teraz już za nimi, głosem, który w zamkniętej przestrzeni zdawał się brzmieć nieco zbyt donośnie.

- Mniej więcej to samo - odparł Neidelman. - Sprzeciw starego drewna.

Doszedł ich następny pisk, a w ślad za nim jakby bełkot.

- To nie żadne przeklęte drewno - stwierdził Wopner. - To coś żywego.

Hatch podniósł głowę. Programista zamarł w trakcie skalowania jednego z sensorów: w wyciągniętej ręce trzymał swój mały komputer, na którym opierał palec wskazujący drugiej ręki - wyglądało to śmiesznie, jak gdyby wskazywał na swoją dłoń.

- Zabierz mi to światło, dobra? - powiedział Wopner. - Im szybciej skończę kalibrowanie tych gnojków, tym szybciej opuszczę to szambo.

- Po prostu chcesz wrócić na statek, zanim Christophe pozbawi cię całej chwały - stwierdziła dobrodusznie Bonterre. Wyszła ze swojego bocznego szybu i ruszyła już po drabinie.

Gdy zbliżyli się do platformy na głębokości stu stóp, ich oczom ukazał się kolejny widok. Do tej pory tunele poziome rozchodzące się na boki od szybu były surowe i

poszarpane, skąpo podparte, niektóre z nich częściowo zasypane, natomiast tutaj widać było wejście do tunelu, który najwyraźniej przygotowano z wielką troską.

Bonterre skierowała światło do środka.

- Nie ulega wątpliwości, że to część pierwotnego szybu - oznajmiła.

- Jaką pełnił funkcję? - zapytał Neidelman, wyciągając z torby czujnik.

Bonterre zajrzała w głąb tunelu.

- Nie jestem pewna. Ale widać, że Macallan wykorzystał dla potrzeb swojej konstrukcji naturalne szczeliny w skale.

- Panie Wopner? - powiedział Neidelman, patrząc w górę szybu.

Na moment zapadła cisza. Potem Hatch usłyszał, jak Wopner odpowiada: „Tak?” Mówił cichym, niezwykle przygnębionym tonem. Spojrzał w górę i dostrzegł, że młody człowiek opiera się o drabinę jakieś dwadzieścia stóp nad nim, obok chorągiewki, którą sam umieścił, i skaluje czujnik. Mokra włosy oblepiały z obu stron jego twarz, programista drżał.

- Kerry? - zapytał Hatch. - Dobrze się czujesz?

- W porządku.

Neidelman spojrzał najpierw na Bonterre, potem na Hatcha, jego oczy dziwnie błyszczały.

- Dostrojenie wszystkich czujników, które do tej pory udało nam się rozmieścić, zajmie mu trochę czasu - powiedział. - Może zbadamy dokładniej ten boczny tunel?

Kapitan wszedł przez otwór do szybu, następnie pomógł zrobić to samo pozostałym. Znajdowali się w długim, wąskim tunelu, wysokim może na jakieś pięć stóp i szerokim na trzy, umocnionym masywnymi drewnianymi kłodami przypominającymi belki z szybu głównego. Neidelman wyjął z kieszeni mały nóż i wbił go w jedną z belek.

- Miękką na pół cala, potem twardą - stwierdził, wyciągając nóż. - Raczej bezpiecznie.

Ruszyli ostrożnie do przodu, pochylając się pod wąskim sufitem. Neidelman zatrzymywał się często, by zbadać stan belek. Tunel biegł prosto przez pięćdziesiąt stóp. Nagle kapitan zatrzymał się i głośno gwizdnął.

Patrząc przed siebie, Hatch ujrzał dziwną kamienną komnatę o średnicy może piętnastu stóp. Zdawało się, że miała osiem ścian, a każda z nich zakończona była łukami, które przechodziły w przecinające się na sklepieniu krawędzie. Na środku podłogi widać było żelazne okratowanie napęczniałe od rdzy i prowadzące do nie wiadomo jak głębokiej dziury. Stali przy wejściu, z każdym oddechem zwiększając ilość mgły w zbierających się niezdrowych wyziewach. Jakość powietrza zdecydowanie się pogorszyła i Hatch poczuł, że

kręci mu się lekko w głowie. Spod centralnie położonej kraty dochodziły słabe odgłosy: poszeptywania wody i być może osadzania się ziemi. Bonterre omiotła lampą sufit.

- *Mon dieu* - wyszeptła. - Klasyczny przykład angielskiego baroku. Może nieco toporny, ale wyraźny. Neidelman wpatrywał się w sufit.

- Tak - powiedział. - Faktycznie widać tu rękę sir Williama. Spójrzcie na tę więźbę, żeberka łączące występy i przecięcia głównych żeber sklepiennych, nadzwyczajna robota.

- Niezwykła, jak się pomyśli, że tkwiła tu przez cały ten czas, sto stóp pod ziemią - przyznał Hatch. - Ale czemu miało to służyć?

- Gdybym musiała zgadywać, powiedziałabym, że pokój ten pełnił jakąś funkcję hydrauliczną, prawda? - Wydmuchnęła na środek pomieszczenia długi obłok pary. Wszyscy patrzyli, jak sunie w stronę kraty i znika zassany w czeluściach.

- Dowiemy się tego, jak już wszystko oznaczymy - powiedział Neidelman. - Tymczasem umieścimy tu dwa czujniki, w tych miejscach. - Przyczepił czujniki do spoiny między dwoma kamieniami na przeciwległych ścianach komnaty, podniósł się i spojrzał na miernik gazów.

- Poziom dwutlenku węgla robi się nieco za wysoki - oznajmił. - Zdaje mi się, że powinniśmy zakończyć tę wizytę.

Wrócili do szybu głównego i przekonali się, że Wopner niemal ich już dogonił.

- W komnacie na końcu tego tunelu znajdują się dwa czujniki - rzucił do niego Neidelman, umieszczając drugą chorągiewkę przy wejściu.

W górze Wopner wymamrotał coś niezrozumiałego. Odwrócony do reszty plecami, pracował na swoim palmtopie. Hatch odkrył, że jeśli stoi za długo w jednym miejscu, jego oddech gromadzi wokół głowy taki obłok pary, że ma kłopoty z widocznością.

- Doktor Magnusen. - Neidelman zwrócił się do radia. - Proszę o dane.

- Doktor Rankin odbiera na swoich monitorach kilka sejsmicznych anomalii, kapitanie, ale nic poważnego. Równie dobrze mogą być skutkiem pogody. - Jakby w odpowiedzi w dół szybu przetoczył się cichy łoskot grzmotu.

- Zrozumiałem. - Neidelman zwrócił się do Bonterre i Hacha. - Zejdźmy na dół i oznaczymy resztę szybów.

Znów zaczęli się opuszczać. Gdy Hatch mijał platformę na poziomie stu stóp, zmierzając w stronę dna Water Pit, zorientował się, że ramiona i nogi zaczynają mu się trząść ze zmęczenia i chłodu.

- Proszę spojrzeć na to - powiedział Neidelman, oświetlając przestrzeń dokoła. - Następnym dobrze przygotowany tunel, dokładnie pod poprzednim. Nie ulega wątpliwości, że

także stanowi część pierwotnej konstrukcji. - Bonterre umieściła czujnik w najbliższej belce stropowej i ruszyli dalej.

Nagle pod Hatchem ktoś wciągnął gwałtownie powietrze. Usłyszał, jak Bonterre wymamrotała pod nosem kilka ostrych przekleństw. Spojrzał w dół i serce skoczyło mu w jednej chwili do gardła.

Pod nim, zaplątane w potężną stertę śmieci, leżało ciało z częściowo odsłoniętym szkieletem, odziane w łańcuchy i rdzewiejące kawałki żelaza. Puste oczodoły błyskały dziko w świetle lampy Bonterre. Z ramion i bioder zwisały mu strzępy ubrania, a rozdziawiona szczęka stwarzała wrażenie, jak gdyby trup śmiał się z jakiegoś przedniego dowcipu. Hatcha ogarnęło dziwne uczucie, jak gdyby znalazł się w innej rzeczywistości. A przecież podświadomie zdawał sobie sprawę, że szkielet był zbyt duży, by mógł należeć do jego brata. Odwrócił wzrok i drżąc gwałtownie, przyłgnął do drabiny, walcząc o regularny oddech i zwolnienie rytmu serca. Skoncentrował się na wdychaniu i wydychaniu powietrza z płuc.

- Malin! - zabrzmiał natarczywy głos Bonterre. - Malin! Ten szkielet jest bardzo stary. *Comprends?* Ma przynajmniej z dwieście lat.

Hatch odczekał jeszcze jedną długą chwilę, cały czas oddychając, aż nabrał pewności, że jest w stanie odpowiedzieć.

- Rozumiem - powiedział. Powoli rozluźnił ramię zaciśnięte na tytanowym szczeblu i równie wolno opuścił najpierw jedną stopę, potem drugą, aż znalazł się na tym samym poziomie co Bonterre i Neidelman.

Kapitan zafascynowany oświetlił szkielet nieświadomy reakcji Hatcha.

- Proszę spojrzeć na koszulę - powiedział. - Domowa przędza, reglanowe szwy, odzież typowa dla rybaków z początku dziewiętnastego wieku. Jestem przekonany, że znaleźliśmy ciało Simona Rutterà, pierwszej ofiary szybu Water Pit. - Wpatrywali się w szkielet, aż odległe dudnienie grzmotu sprawiło, że ogarnęło go przerażenie.

Kapitan bez słowa skierował promień swojej lampy pod stopy. Hatch także poświecił i dostrzegł ich cel: dno Water Pit. Potężny zator z połamanych belek poprzecznych, rdzewiejącego żelastwa, węży, urządzeń, prętów i wszelkiego rodzaju maszynierii sterczał z kałuży błota i mułu, jakieś dwadzieścia stóp pod nimi. Bezpośrednio nad stertą Hatch widział kilka dużych szybów, wpadających ostatecznie do jednego, do Water Pit - z ich paszczy zwisały mokre wodorosty i morskizyny niczym parujące brody przy ustach. Neidelman przesunął lampą po dziko spletanym rumowisku. Potem odwrócił się do Bonterre i Hatcha, jego szczupłą sylwetkę spowijała chłodna para pochodząca z jego własnego oddechu.



- Być może pięćdziesiąt stóp pod tymi szczątkami - powiedział cicho - spoczywa wart dwa miliardy dolarów skarb. - Chociaż jego niespokojne spojrzenie tkwiło między nimi, zdawał się skoncentrowany na czymś, co leżało dużo dalej. Na jego twarzy pojawił się zagadkowy uśmiech.

- Pięćdziesiąt stóp - powtórzył. - Wystarczy tylko trochę pokopać.

Nagle odezwało się radio.

- Kapitanie, tu Streeter. - Hatchowi ten suchy głos wydał się nieco podekscytowany. - Mamy problem.

- Co? - odezwał się twardo kapitan, gubiąc gdzieś marzycielską nutę.

Zapadła cisza i znów zabrzmiał głos Streetera.

- Kapitanie - jedną minutę, proszę - sugerujemy, żeby zakończył pan misję i natychmiast wrócił na powierzchnię.

- Dlaczego? - zapytał Neidelman. - Czy są jakieś kłopoty ze sprzętem?

- Nie, nie o to chodzi. - Streeter najwyraźniej nie wiedział, jak przekazać wiadomość. - Przełączę pana na St. Johna, on wszystko wyjaśni.

Neidelman rzucił Bonterre krótkie, pytające spojrzenie, ale ona tylko wzruszyła ramionami.

Z radia dobiegł rwący się głos historyka.

- Kapitanie Neidelman, tu Christopher St. John. Jestem na „Cerberusie”. „Scylla” właśnie rozszyfrowała kilka fragmentów dziennika.

- Doskonale - stwierdził kapitan. - Ale co to za nagły wypadek?

- Chodzi o to, co Macallan napisał w tej drugiej części. Proszę pozwolić mi przeczytać.

I gdy Hatch stał tak na zestawie drabin, czekając w lepkich ciemnościach w sercu Water Pit, miał wrażenie, jakby głos Anglika czytającego dziennik Macallana dochodził z całkowicie innego świata:

„Nie było mi łatwo w te ostatnie dni. Czuję, że to już przesądzone, że Ockham chce się mnie pozbyć, tak jak z łatwością przyszło mu pozbycie się tak wielu innych, kiedy już skończy się moja rola w tym diabelskim przedsięwzięciu. I dlatego, dzięki wzruszeniu mej duszy w te ostatnie godziny, podjąłem się pewnych działań. Zaiste, to rzecz pewna, że ten plugawy skarb, jak i sam pirat Ockham, są wcieleniem samego diabła, przyczyną całego naszego nieszczęścia na tej zapomnianej wyspie - oraz śmierci tak wielu. To skarb samego diabła, i tak będę go traktował...”

St. John zamilkł i przez chwilę słychać było szeleszczenie komputerowego wydruku.

- Chce pan, żebyśmy zrezygnowali z naszego zadania z tego powodu? - W głosie Neidelmiana słychać było wyraźne rozdrażnienie.

- Kapitanie, jest coś więcej. O, tu:

”Teraz, kiedy skarbiec został skonstruowany, wiem, że mój czas nadszedł. Moja dusza jest spokojna. Pod moim kierunkiem pirat Ockham i jego banda, nic o tym nie wiedząc, stworzyli wieczny Grobowiec dla swoich bezbożnych skarbów, zdobytych kosztem takiego cierpienia i zgryzoty. Zasoby te nie zostaną odzyskane przez śmiertelników. I w tym celu trudziłem się, uciekając do różnych forteli i samodzielnych działań, by umieścić ten skarb w tak sprytny sposób, by ani Ockham, ani żaden inny człowiek nie zdołał go odzyskać. Pit jest nie do zdobycia, niepokonany. Ockham wierzy, że dzierży do niego klucz, i za to przekonanie przyjdzie mu zginąć. Mówię wam przeto, wy, którzy odszyfrujecie te słowa, zważajcie na moje ostrzeżenie: zejście do szybu oznacza śmiertelne niebezpieczeństwo dla życia i ciała - dotknięcie skarbu oznacza niechybną śmierć. Wy, którzy pragniecie klucza do skarba, zamiast niego znajdziecie klucz na tamten świat, a wasze ścierwo zgnije w piekle, w którym znajdzie się i wasza dusza”.

St. John przerwał, grupa milczała. Hatch spojrział na Neidelmiana: drżała mu szczęka, oczy zwęziły się.

- Zatem widzi pan - podjął na nowo St. John. - Wydaje się, że sekret klucza do Water Pit tkwi w tym, że nie ma żadnego klucza. Miał on stanowić narzędzie ostatecznej zemsty, jaką Macallan przygotował dla pirata, który go porwał: pogrzebanie jego skarbu w taki sposób, by nikt nigdy nie zdołał go na powrót wydobyć. Ani Ockham, ani nikt inny.

- Chodzi o to - wtrącił się Streeter - że przebywanie w Water Pit nie jest bezpieczne do chwili, aż rozszyfrujemy resztę informacji i nie poddamy jej analizie. Wydaje się, że Macallan ma w zanadrzu jakieś pułapki dla każdego, kto...

- Bzdura - przerwał Neidelman. - Niebezpieczeństwo, o którym wspomina, to ta sama pułapka, która zabiła Simona Ruttera dwieście lat temu i która zatopiła Pit.

Nastąpiła kolejna długa chwila ciszy. Hatch popatrzył na Bonterre, a potem na Neidelmiana. Twarz kapitana przypominała kamień: usta miał zaciśnięte i nieruchome.

- Kapitanie? - odezwał się znów Streeter. - St. John nie odczytał tego dokładnie w taki sposób...

- To jeszcze kwestia dyskusji - przerwał mu kapitan. - Prawie już tu skończyliśmy, do założenia i dostrojenia zostało tylko kilka czujników, wtedy wyjdziemy.

- Wydaje mi się, że St. John ma rację - powiedział Hatch. - Powinniśmy skończyć, przynajmniej do czasu, aż poznamy sens słów Macallana.

- Zgadza się - powiedziała Bonterre. Wzrok kapitana przemknął między nimi dwojgiem.

- Absolutnie nie - oznajmił szorstko. Zamknął swoją torbę, po czym spojrzał w górę. - Panie Wopner?

Programisty nie było na drabinie, w intercomie nikt nie odpowiadał.

- Pewnie poszedł w głąb korytarza, dostraja czujniki, które umieściliśmy w komnacie - stwierdziła Bonterre.

- W takim razie odwołajmy go. Chryste, pewnie wyłączył swój nadajnik. - Kapitan zaczął wspinać się po drabinie, mijając ich szybko. Drabina lekko drżała pod jego ciężarem.

Chwileczkę - pomyślał Hatch - coś tu nie gra. Przedtem drabina tak się nie trzęsła.

I znów: nieznaczne dygotanie, ledwo wyczuwalne pod palcami i podbiciem. Spojrzał pytająco na Bonterre, po jej spojrzeniu poznał, że ona też je poczuła.

- Doktor Magnusen, raport! - odezwał się ostro Neidelman. - Co się dzieje?

- Wszystko w normie, kapitanie.

- Rankin? - rzucił do radia Neidelman.

- Odczyty pokazują wstrząs sejsmiczny, ale jego poziom jest dużo poniżej wskaźnika niebezpieczeństwa. Jakiś problem?

- Odczuwamy - zaczął mówić kapitan. - Drabiną zachwiał tak nagły i silny wstrząs, że puścił uchwyt. Jedna z jego stóp ześlizgnęła się ze szczebla, rzucił się rozpaczliwie, usiłując utrzymać punkt zaczepienia. Kątem oka dostrzegł, że Bonterre ciasno przyłgnęła do drabiny. Nastąpił kolejny wstrząs, i jeszcze jeden. Hatch usłyszał nad głową daleki odgłos kruszenia, jakby zapadała się ziemia, i niski, ledwie słyszalny grzmot.

- Co się, u diabła, dzieje? - krzyknął kapitan.

- Sir! - pojawił się głos Magnusen. - Odbieramy sygnały przemieszczania się gruntu, gdzieś niedaleko was.

- Dobrze, wygraliście. Znajdźmy Wopnera i wynośmy się stąd w cholerę.

Wspięli się po drabinie na platformę na głębokości stu stóp. Wyżej widać było wejście do tunelu prowadzącego do komnaty, rozdziawiona jak do ziewania gęba pełna gnijącego drewna i ziemi. Neidelman zajrzał do środka, oświetlając wilgotne wnętrze promieniem lampy.

- Wopner? Ruszaj się. Kończymy zadanie.

Hatch nasłuchiwał, ale w korytarzu panowała cisza, wydobywały się z niego jedynie słabe podmuchy chłodnego powietrza.

Neidelman przez chwilę wpatrywał się w tunel. Mrużąc oczy, spojrzął najpierw na Bonterre i Hacha.

Nagle, jak gdyby zelektryzowani jedną myślą, wszyscy troje jednocześnie odpięli karabinki i rzucili się w kierunku wejścia do szybu. Wdrapali się do środka i pobiegli wzdłuż korytarza. Hatch nie przypominał sobie, żeby w niskim tunelu panowały aż tak głębokie ciemności, żeby był aż taki klaustrofobiczny.

Tunel przeszedł w małą kamienną komnatę. Dwa piezoelektryczne czujniki tkwiły w dwóch przeciwległych ścianach pomieszczenia. Pod jedną leżał komputer Wopnera. Jego antena częstotliwości radiowych wygięła się pod dziwnym kątem. Kosmyki mglistej pary sunęły przez komnatę, przecinane promieniami z ich lamp.

- Wopner? - zawołał Neidelman, omiatając pomieszczenie światłem. - Gdzie on się, do diabła, podział?

Hatch minął Neidelmana i ujrzał coś, co sprawiło, że przeszedł go zimny dreszcz. Jeden z potężnych kamieni sklepienia spadł w dół, uderzając w ścianę komnaty. Widział dziurę w sklepieniu jak po wyrwanym zębie, z której ściekała brązowa maź. Na poziomie podłogi, gdzie podstawa kamienia uderzyła w ścianę, dostrzegł jakiś biało-czarny kształt. Gdy podszedł bliżej, dotarło do niego, że między płytami utkwiał czubek buta Wopnera. W jednej chwili znalazł się przy bucie i skierował światło między kamienie.

- O mój Boże - powiedział Neidelman, stając przy nim. Hatch zobaczył Wopnera zduszonego kompletnie przez dwie granitowe powierzchnie, z jednym ramieniem przyciśniętym do boku, drugim zaś odrzuconym pod dziwnym kątem. Jego głowa chroniona przez kask przekrecona była na bok. Szeroko otwartymi, pełnymi łez oczyma wpatrywał się w Hacha. Hatch widział, jak jego usta poruszają się bezgłośnie:

- Proszę...

- Kerry, postaraj się zachować spokój - odezwał się, przesuając wiązkę światła w górę i w dół wąskiej szpary, chwytając jednocześnie za intercom. Mój Boże, to cud, że jeszcze żyje.

- Streeter! - zawołał do intercomu. - Mamy tu człowieka uwięzionego między dwoma skalnymi płytami. Ześlij jakieś hydrauliczne podnośniki. Potrzebuję też tlenu, krwi i soli fizjologicznej.

Odwrócił się znów do Wopnera.

- Kerry, podźwigniemy te płyty i wyciągniemy cię stąd, bardzo, bardzo szybko. A teraz muszę wiedzieć, co cię boli.

Usta znów się poruszyły.

- Nie wiem. - Jego odpowiedź przypominała raczej piskliwy oddech. - Czuję się cały połamany. - Głos brzmiał dziwnie niewyraźnie i Hatch zdał sobie sprawę, że programista ledwie jest w stanie poruszać szczęką. Odsunął się od ściany i otworzył lekarską torbę, wyciągnął z niej strzykawkę i nabrał dwa centymetry morfiny. Wsunął rękę między szorstkie kamienne płyty i wbił igłę w ramię Wopnera. Żadnego wzdrygnięcia, żadnej reakcji, nic.

- Co z nim? - zapytał Neidelman, który kręcił się wyczekująco z tyłu, mącąc powietrze swoim oddechem.

- Cofnąć się, na litość boską! - zawołał Hatch. - Potrzebne mu powietrze. - Teraz sam już dyszał, wciągając coraz więcej powietrza we własne płuca, czując, jak coraz bardziej brakuje mu tchu.

- Ostrożnie! - odezwała się za nim Bonterre. - Pułapek może być więcej.

Pułapek? Nie przyszło mu do głowy, że to pułapka. A jednak, w jaki inny sposób olbrzymi kamień ze sklepienia tak precyzyjnie poszybowałby w dół... Starał się dosięgnąć do dłoni Wopnera, chciał zmierzyć mu puls, ale była poza jego zasięgiem.

- Podnośniki, tlen i plazma w drodze. - Z intercomu dobiegł głos Streetera.

- Dobrze. Niech na poziom setny zjadą składane nosze z nadmuchiwanymi łubkami i kołnierzem na szyję.

- Wody... - wydyszał Wopner.

Bonterre podeszła i podała Hatchowi manierkę. Wsunął ją do szczeliny i przechylił manierkę tak, by cienki strumyk wody popłynął z boku kasku Wopnera. Gdy tamten wysunął język, by złapać wodę, Hatch dostrzegł, że jest niebieskoczarny, na całej długości widać było kropelki krwi. Jezu, gdzie, do diabła, są te podnośniki...

- Pomóż mi, proszę! - Wopner cicho zakaszłał. Na policzku pojawiło się kilka plamek krwi.

Przebite płuco - pomyślał Hatch.

- Trzymaj się, Kerry, jeszcze tylko kilka minut - powiedział tak kojąco, jak umiał, po czym odwrócił się i brutalnie chwycił za intercom.

- Streeter - wysyczał. - Podnośniki do cholery, gdzie są podnośniki? - Poczuł falę zawrotów głowy i zaczerpnął więcej powietrza.

- Jakość powietrza zbliża się do czerwonego poziomu - oznajmił cicho Neidelman.

- Opuuszczamy. - Głos Streetera przebił się bez zakłóceń. Hatch odwrócił się do Neidelmmana i zobaczył, że tamten już poszedł, żeby odebrać ładunek.

- Czy masz czucie w rękach i w nogach? - zapytał Wopnera.

- Nie wiem. - Nastąpiła chwila ciszy, programista z trudem złapał powietrze. - Czuję jedną nogę. Chyba wyszła z niej kość.

Hatch skierował latarkę w dół, ale nie był w stanie dostrzec nic poza skręconą nogawką widoczną w wąskiej szparze, dzins przemókł, nasiąkając ciemnym szkarłatem.

- Kerry, patrzę na twoją lewą dłoń. Spróbuj poruszyć palcami. Ręka, dziwnie niebieska i napuchnięta, przez dłuższy czas spoczywała nieruchomo. Po chwili palec wskazujący i palce środkowe nieznacznie drgnęły. Hatch poczuł ulgę. Centralny system nerwowy nadal funkcjonuje. Jeśli zdołamy zdjąć z niego tę skałę w ciągu kilku następnych minut, jest szansa. Potrząsnął głową, starając się myśleć jaśniej.

Pod nogami poczuł kolejny wstrząs, na głowy posypała się ziemia, Wopner zapiszczał wysokim, nieludzkim głosem.

- *Mon dieu*, co to było? - powiedziała Bonterre, rzucając szybkie spojrzenie na sklepienie.

- Zdaje mi się, że powinnaś stąd wyjść - powiedział cicho Hatch.

- Nie ma mowy.

- Kerry? - Hatch ponownie zajrzał zaniepokojony do szpary. - Kerry, możesz mi odpowiedzieć?

Wopner wpatrywał się w niego, z jego ust wydobywał się cichy, ochryply jęk. Oddychanie sprawiało mu ból. Powietrze uchodziło z niego, bulgocząc.

Hatch dosłyszał, jak spoza tunelu dochodzi łomot i stukot maszynerii, to Neidelman wciągnął kabel, który zrzucono z góry. Zrobił szybki wdech, czując, że w głowie zaczyna mu dziwnie brzęczeć.

- Nie mogę oddychać - zdołał wydusić Kerry, oczy miał blade i szklane.

- Kerry? Doskonale ci idzie, trzymaj się. - Kerry złapał powietrze i znów zakaszłał. Z ust pociekła mu strużka krwi i zawisła na policzku.

Rozległ się odgłos kroków. Pojawił się Neidelman. Cisnął na ziemię dwa hydrauliczne podnośniki, a na nie przeniósł pojemnik z tlenem. Hatch złapał maskę i zaczął przykręcać końcówkę dyszy do regulatora. Następnie przekręcił pokrętło na górze pojemnika i usłyszał dodający otuchy syk tlenu.

Neidelman i Bonterre pracowali za jego plecami jak szaleni, zdzierając plastikowe osłony, odczepiając lewarki od prętów i skręcając poszczególne części ze sobą. Nastąpiło

kolejne tąpnięcie i Hatch poczuł, że fragment skały, o który opierał się dłonią, przesuwa się nieuchronnie w stronę ściany.

- Szybciej! - krzyknął, czując, jak kręci mu się w głowie. Ustawił strumień przepływu na maksymalny, przysunął maskę z tlenem do wąskiej szczeliny między skałami.

- Kerry - powiedział. - Mam zamiar założyć ci na twarz tę maskę. - Złapał z trudem powietrze, starając się znaleźć dość powietrza, by móc dalej mówić. - Chcę, żebyś robił powoli płytkie wdechy. Dobrze? Za kilka sekund zdejmujemy z ciebie tę skałę podnośnikami.

Umieścił maskę tlenową na twarzy Kerry'ego, starając się wsunąć ją pod zniekształcony kask programisty. Musiał zgnieść maskę w dłoni, żeby była wystarczająco wąska, by dopasować ją do zmiażdżonego nosa i ust programisty - dopiero teraz zdał sobie sprawę, jak bardzo młody człowiek został ściśnięty. Wilgotne, pełne strachu oczy patrzyły na niego błagalnie.

Neidelman i Bonterre milczeli, skoncentrowani na składaniu części podnośnika.

Wychyliwszy się, by zajrzeć głębiej w coraz węższą szparę, Hatch dostrzegł twarz Wopnera, alarmująco zwężoną, z unieruchomioną pod wpływem nacisku otwartą szczęką. Z miejsc na policzkach, w które krawędź kasku wbiła się w ciało, płynęła krew. Nie mógł już mówić ani krzyżeć. Lewa ręka drgała spazmatycznie, znacząc skałę fioletowymi odciskami palców. Z ust i nosa cicho uciekało powietrze. Hatch wiedział, że ciężar skały niemal całkowicie uniemożliwia oddychanie.

- Już - syknął Neidelman, podając podnośnik Hatchowi. Hatch spróbował wcisnąć go w zamykającą się szparę.

- Za szeroki! - wydyszał, odrzucając go. - Skręćcie go. Odwrócił się do Wopnera.

- A teraz, Kerry, chcę, żebyś oddychał razem ze mną. Policzę razem z tobą, dobrze? Raz... dwa...

Ziemia pod stopami gwałtownie zadrżała, rozległ się ostry zgrzyt, płyta skoczyła do przodu. Hatch poczuł, jak jego ręka i nadgarstek dostają się nagle w kamienny uścisk. Wopner szarpnął się mocno, potem wydał mokre tchnienie. W bezlitosnym świetle latarki wpadającym do coraz węższej szpary Hatch widział, jak oczy programisty, nienaturalnie wybałuszone, robią się najpierw różowe, potem czerwone, aż wreszcie czarne. Rozległ się odgłos pęknięcia, kask rozerwał się wzdłuż spoiw. Pot na zmiażdżonych policzkach i nosie zabarwił się na różowo, płyta przesunęła się jeszcze o cal. Z jednego ucha zaczął płynąć wartki strumyk krwi, jeszcze więcej z koniuszków palców Wopnera. Szczęka mu opadła, zwisając na bok, język sterczał do wnętrza maski.

- Skała dalej się osuwa! - wrzasnął Hatch. - Dajcie mi coś, cokolwiek, żeby...

Ale już wypowiadając te słowa, czuł, jak pod jego palcami głowa programisty rozpada się na kawałki. Maski tleftowa zaczęła bulgotać, kiedy strumień gazu zatkały płyny. Między palcami poczuł coś dziwnego i drżącego i z przerażeniem stwierdził, że to język Wopnera, który reagował spazmami na wypalanie się końcówek nerwów poruszających mięśnie.

- Nie! - krzyknął zrozpaczony. - Boże, błagam, nie! Przed oczami zamigotały mu czarne plamy, zatoczył się na skałę. Nie był w stanie złapać tchu w rzadkim powietrzu, walczył, żeby wyswobodzić własną dłoń z zaciskającego się otworu.

- Doktorze Hatch, proszę się odsunąć! - rzucił ostrzegawczo Neidelman.

- Malin! - krzyknęła Bonterre.

- Hej, Mai! - Hatch usłyszał szept swojego brata, Johnny'ego, napływający z ciemności. - Hej, Mai! Tutaj!

Zapanowała ciemność i wszystko przestało istnieć.



O północy ocean falował już tym oleistym, powolnym rytmem, który tak często pojawiał się po letniej burzy. Hatch wstał zza biurka i podszedł do okna swojego baraku, ostrożnie przechodząc przez środek pogrążonego w ciemności biura. Popatrzył na nie oświetlone budynki głównego obozu. Wypatrywał świateł, które zapowiadałyby przybycie koronera. Smugi pędzonego po morzu pyłu wodnego kładły się widmowymi kłębamii na ciemnej powierzchni wody. Zła pogoda najwyraźniej na jakiś czas przegoniła mgłę nad wyspy i na horyzoncie ukazał się stały ląd, szary pasek światła pod gwiazdzistym niebem.

Westchnął i odwrócił się od okna, bezwiednie masując obandażowaną rękę. Siedział sam w swoim biurze, wieczór zdążył już ustąpić miejsca nocy. Nie chciał nigdzie się ruszać, nie chciał zapalać światła. W ciemności łatwiej było unikać widoku nieregularnego, spoczywającego na noszach kształtu, przykrytego białym prześcieradłem. Łatwiej było mu odsunąć od siebie te wszystkie myśli i ciche poszeptywania, które cały czas starały się wedrzeć do jego świadomości.

Ktoś łagodnie zapukał do drzwi i nacisnął klamkę. W drzwiach stanęła wąska sylwetka kapitana Neidelmanna okolona księżycową poświatą. Kapitan wszedł do baraku i w panujących ciemnościach wtopił się w zarys krzesła. Rozległ się odgłos pocierania zapalki i pokój na moment rozświetlił się na żółto, kapitan zapalił fajkę. Hatch usłyszał najpierw cichy odgłos zaciągania się, zaraz potem poczuł zapach tureckiego tytoniu.

- Zatem koroner jeszcze się nie pokazał? - zapytał Neidelman.

Milczenie Hatcha musiało starczyć za odpowiedź. Chcieli przewieźć Wopnera na ląd, ale grymaśny i podejrzliwy koroner, który przyjechał aż z Machiasport, nalegał, żeby jak najmniej dotykać ciało.

Kapitan palił w ciszy przez kilka minut, jedynym dowodem jego obecności było rytmiczne zarzenie się cybucha. Gdy skończył, odłożył fajkę na bok i odchrząknął.

- Malin? - powiedział delikatnie.

- Tak - odezwał się Hatch, któremu jego własny głos wydał się chrapliwy i obcy.

- To druzgocząca tragedia. Dla nas wszystkich. Bardzo lubiłem Kerry'ego.

- Tak - przytaknął Hatch.

- Pamiętam - ciągnął kapitan - jak kierowałem zespołem prowadzącym akcję wydobywczą na dużych głębokościach przy Sabie Island, cmentarzysku Atlantyku. W komorze ciśnieniowej mieliśmy sześciu nurków, którzy przechodzili dekompresję po nurkowaniu na stu metrach. Szukali ładunku złota na nazistowskiej łodzi podwodnej. Coś

poszło nie tak i zamknięcie komory zawiodło. - Hatch usłyszał, jak kapitan poprawia się na krześle. - Wiesz, co było dalej. Potężny zator. Mózg rozerwany na strzępy, zatrzymanie akcji serca.

Hatch nie odpowiedział.

- Jednym z tych nurków był mój syn. Hatch spojrzał w stronę ciemnej postaci.

- Bardzo mi przykro - powiedział. - Nie miałem pojęcia... - Zamilkł. Nie miał pojęcia, że Neidelman był czyimś ojcem. Czy mężem. Prawdę mówiąc, o życiu osobistym Neidelmiana wiedział tyle, co nic.

- Jeff był naszym jedynym synem. Jego śmierć była ogromnym ciosem dla nas obojga, a moja żona Adelajda, cóż, nigdy nie zdołała mi wybaczyć.

Hatch znów zamilkł, przypominając sobie surowe rysy twarzy własnej matki, tego listopadowego popołudnia, kiedy dowiedzieli się o śmierci ojca. Zdjęła z kominka porcelanowy świecznik, przetarła go fartuchem, odstawiała, potem znów wzięła i zaczęła polerować, i znów, i znów, z twarzą tak szarą jak puste niebo. Zastanawiał się, co teraz robiła matka Wopnera.

- Boże, ależ jestem zmęczony. - Neidelman znów poruszył się na krześle, tym razem energiczniej, jak gdyby starał się sam obudzić. - W tej pracy takie rzeczy się zdarzają - powiedział. - Nie da się ich uniknąć.

- Nie da się ich uniknąć - powtórzył Hatch.

- Nie staram się nic usprawiedliwiać. Kerry zdawał sobie sprawę z ryzyka, dokonał wyboru. Tak jak my wszyscy.

Wbrew samemu sobie Hatch poczuł, jak jego oczy wędrują w stronę zniekształconego wzgórką pod prześcieradłem. Ciemne plamy miejsca, w których przesiąkła tkanina, czarne dziury zalane księżycową poświatą. Zaczął się zastanawiać, czy Kerry rzeczywiście dokonał tego akurat wyboru.

- Rzecz w tym - kapitan zniżył głos - że nie możemy dać się pokonać.

Z trudem Hatch odwrócił wzrok i głęboko westchnął.

- Chyba myślę podobnie. Zaszliśmy tak daleko. Śmierć Kerry'ego byłaby bezcelowa, gdybyśmy całkowicie porzucili projekt. Przeznaczmy odpowiednią ilość czasu na przegląd procedur bezpieczeństwa. Potem możemy...

Neidelman poruszył się na krześle.

- Odpowiednią ilość czasu? Źle mnie zrozumiałeś, Malin. Musimy ruszać dalej, jutro.

Hatch zmarszczył brwi.

- Po tym, co się stało? Po pierwsze, morale spadło na pysk. Dziś po południu sam słyszałem, jak pod moim oknem dwóch robotników rozmawiało o tym, że całe to przedsięwzięcie jest przeklęte, że nikt nigdy nie wydobędzie skarbu.

- I właśnie dlatego musimy przeć do przodu - mówił kapitan natarczywym tonem. - Przerwać rzucanie oszczerstw, sprawić, żeby ludzie zatracili się w pracy. Nic dziwnego, że są wytrąceni z równowagi. A czego byś się spodziewał po takiej tragedii? Gadanie o klątwach i nadprzyrodzonych siłach kusi, ale i osłabia. O tym właściwie chciałem porozmawiać. Przynajmniej się z krzesłem.

- Wszystkie te kłopoty ze sprzętem. Wszystko działa pięknie do momentu zainstalowania na wyspie. Potem mnożą się tajemnicze problemy. Kosztowało nas to opóźnienia, przekładanie terminów. Że nie wspomnę o spadku morale. - Wziął do ręki fajkę. - Zastanawiałeś się kiedykolwiek nad ewentualną przyczyną?

- Niespecjalnie. Nie znam się za bardzo na komputerach. Kerry nic z tego nie rozumiał. Wciąż powtarzał, że działa tu jakaś wroga siła.

Neidelman parsknął szyderczo.

- Tak, nawet on. To zabawne, żeby spec od komputerów był taki przesądny. - Odwrócił się i nawet w ciemności Malin poczuł na sobie jego wzrok. - No cóż, sam się nad tym sporo zastanawiałem i doszedłem do pewnego wniosku. Nie dotyczy on klątwy.

- W takim razie czego?

Twarz kapitana na moment rozświetliła się, gdy na powrót zapalał fajkę.

- Sabotaż.

- Sabotaż? - zapytał Hatch z niedowierzaniem. - Ale kto? I dlaczego?

- Jeszcze nie wiem. Ale to oczywiste, że ktoś z naszego ścisłego grona, ktoś, kto ma dostęp do komputerów i sprzętu. Zatem może to być Rankin, Magnusen, St. John, Bonterre. Może nawet i Wopner, który sam piłował pod sobą gałąź.

Hatch w głębi ducha poczuł się zaskoczony, że Neidelmiana stać było na takie spekulacje na temat Wopnera w sytuacji, gdy sponiewierane ciało programisty leżało zaledwie sześć stóp dalej.

- A co ze Streeterem? - zapytał. Kapitan potrząsnął głową.

- Ze Streeterem jesteśmy razem od Wietnamu. Był nic nieznaczącym oficerem na mojej kanonierce. Wiem, że nie przypadliście sobie do gustu, i wiem też, że jest trochę odludkiem, ale to niemożliwe, żeby dopuścił się sabotażu. Wszystko, co posiada, zainwestował w to przedsięwzięcie. Poza tym chodzi o coś więcej. Kiedy dwóch ludzi było

razem na wojnie, walczyło ramię w ramię, już nigdy nie może być między nimi miejsca na kłamstwa.

- Świetnie - odparł Hatch. - Ale nie przychodzi mi do głowy żaden powód, dla którego ktoś miałby chcieć sabotować wykopaliska.

- A mnie kilka - stwierdził Neidelman. - Oto jeden z nich. Szpiegostwo przemysłowe. Thalassa nie jest jedyną firmą na świecie zajmującą się poszukiwaniem skarbów, pamiętaj o tym. Jeśli nam się nie powiedzie, jeśli zbankrutujemy, zostawimy następnym uchylone drzwi.

- Nie, jeśli nie uzyskają mojej zgody.

- Ale oni o tym nie wiedzą. - Neidelman zrobił pauzę. - A jeśli nawet, to zdanie można zmienić.

- No, nie wiem - powiedział Hatch. - Jakoś trudno mi w to uwierzyć... - Urwał, kiedy przypomniał sobie, jak dzień wcześniej wpadł na Magnusen w pomieszczeniu, w którym katalogowano znalezione eksponaty. Przyglądała się złotemu dublonowi nieznanemu przez Bonterre. Zaskoczyła go wtedy: inżynier, zazwyczaj tak opanowana i pozbawiona uczuć, wpatrywała się intensywnie w monetę z wyrazem surowego, wyraźnego pożądanego na twarzy. Gdy wszedł, niemal ukradkiem szybko odłożyła monetę, jakby czuła się winna.

- Proszę pamiętać - mówił dalej kapitan - że gra idzie o dwumiliardową fortunę. Wielu ludzi na świecie zastrzeliłoby sprzedawcę w sklepie monopolowym za dwadzieścia dolarów. Ilu więcej popełniłoby dowolną zbrodnię, łącznie z morderstwem, za dwa miliardy?

Pytanie zawisło w powietrzu. Neidelman wstał i niespokojnie podszedł do okna. Zaciągnął się głęboko.

- Teraz, kiedy szyb został osuszony, możemy o połowę zredukować liczbę pracowników. Odesłałem już do Portland naszą barcę i pływający dźwig. To powinno usprawnić procedury bezpieczeństwa. Ale jedno musimy sobie wyjaśnić. Możliwe, że sabotażysta nadal działa. On lub ona namieszała może w komputerach, zmuszając tym samym Kerry'ego do przyłączenia się dziś rano do naszej grupy. Ale to Macallan zamordował Kerry'ego Wopnera. - Odwrócił się nagle w stronę okna. - Tak samo, jak zamordował i twojego brata. Temu człowiekowi udało się wymierzyć nam cios po trzystu latach. Na Boga, Malin, nie możemy pozwolić, żeby nas teraz pokonał. Włamiemy się do jego szybu i zabierzemy jego złoto. I miecz.

Hatch siedział w ciemnościach szarpany sprzecznymi uczuciami. Prawdę mówiąc, nigdy nie postrzegał szybu w ten sposób. Ale to prawda: w pewnym sensie to Macallan zamordował jego niewinnego brata i niemal równie niewinnego specjalistę od komputerów. Water Pit był w zasadzie okrutną, zimną maszyną do zabijania.

- Nie wiem nic na temat sabotażysty - powiedział, cedząc słowa. - Ale sądzę, że co do Macallana masz rację. Świadczy o tym to, co powiedział w ostatnim wpisie do swojego dziennika. Tak zaprojektował szyb, by zabił każdego, kto spróbuje go splądrować. To kolejny powód, by zrobić sobie przerwę na złapanie oddechu, przestudiowanie dziennika i ponowne przemyślenie całego podejścia. Zbyt szybko idziemy do przodu, o wiele za szybko.

- Malin, to właśnie jest niewłaściwe podejście. - Nagle głos Neidelmanna zabrzmiał donośniej w tym niewielkim biurze. - Nie rozumiesz, że damy w ten sposób fory sabotażysty? Musimy przeć do przodu najszybciej; jak tylko się da, oznakować wnętrze szybu, umieścić we właściwych miejscach przypory. Poza tym każdy dzień opóźnienia oznacza kolejne komplikacje, więcej przeszkód. To tylko kwestia czasu, kiedy prasa wreszcie coś zwęszy. Thalassa już teraz płaci Lloydowi trzysta tysięcy dolarów tygodniowo za ubezpieczenie. Ten wypadek podwoi naszą składkę. Już przekroczyliśmy budżet, nasi inwestorzy nie są szczęśliwi. Malin, jesteśmy tak blisko. Jak możesz w ogóle sugerować, żeby zwolnić tempo?

- Prawdę mówiąc - odparł powoli Hatch - sugerowałem, żeby zamknąć kram na sezon i wrócić do pracy na wiosnę.

Neidelman z sykiem wciągnął powietrze.

- Mój Boże, o czym ty mówisz? Musielibyśmy rozebrać grodzę, ponownie zalać całą konstrukcję, zdemontować Orthanc i Wyspę Jeden - chyba nie mówisz tego poważnie.

- Posłuchaj - odpowiedział Hatch. - Cały czas zakładaliśmy, że do skarbcza istnieje jakiś klucz. Teraz dowiedzieliśmy się, że nic takiego nie ma. Prawdę mówiąc, jest wręcz odwrotnie. Jesteśmy tu już od trzech tygodni. Sierpień się kończy. Z każdym dniem rośnie prawdopodobieństwo, że zaskoczy nas sztorm.

Neidelman machnął lekceważąco ręką.

- Nie stawiamy tu domków z klocków. Poradzimy sobie z każdą burzą. Nawet z huraganem, jeśli już o to chodzi.

- Nie mówię o huraganach czy wiatrach z południa. Takie dają znać o sobie na trzy, cztery dni wcześniej. To dość czasu, żeby ewakuować całą wyspę. Mam na myśli sztormy z północy. Te potrafią spaść na wybrzeże z zaledwie dwudziestoczwierogodzinnym wyprzedzeniem. Jeśli coś takiego nam się przydarzy, będziemy mieli szczęście, jeśli zdążymy wprowadzić łodzie do portu.

Neidelman obruszył się.

- Wiem, co to północny sztorm.

- W takim razie wiesz też, że wraz z nim pojawić się mogą wiatry boczne i fale groźniejsze niż w czasie huraganu. Nie obchodzi mnie, jak bardzo wzmocniona została cała konstrukcja - twoja grodzą runie jak domek z klocków.

Neidelman zacisnął szczęki - było jasne, że nie trafia do niego żaden z argumentów.

- Posłuchaj - ciągnął Hatch tak rozsądnym tonem, na jaki tylko umiał się zdobyć. - Powinęła nam się noga. Ale nie na zawsze. Wyrostek jest w stanie zapalnym, ale nie pękł. Mówię tylko, że potrzebujemy czasu, żeby rzetelnie zbadać szyb, zbadać inne konstrukcje Macallana, postarać się zrozumieć, jak funkcjonował jego umysł. Poruszanie się na oślep jest po prostu zbyt niebezpieczne.

- Mówię ci, że mamy w swoim gronie sabotażystę, że nie możemy sobie pozwolić na zwalnianie tempa, a ty oskarżasz mnie o zaślepienie? - oznajmił surowo Neidelman. - Właśnie na takie małoduszne reakcje liczył Macallan. Przystopuj, nie rób nic ryzykownego, przepuszczaj pieniądze między palcami, aż nic ci nie zostanie. Nie, Malin. Badania swoją drogą, ale... - kapitan nagle ściszył głos, jednak zdeterminowanie z jakim przemawiał, było niezwykle -...przyszła pora, żeby uderzyć w jego najsłabszy punkt.

Nigdy przedtem Hatch nie został określony mianem osoby małodusznej. Nie słyszał też, żeby ktoś z tego określenia korzystał, poza książkami i nie bardzo przypadło mu ono do gustu. Czuł, jak narasta w nim stary, gorący gniew, zmusił się jednak, by go opanować. Strać teraz nad sobą panowanie, a wszystko popsujesz - pomyślał. Może kapitan ma rację. Może śmierć Wopnera wytrąciła mnie z równowagi. Przecież zaszliśmy już tak daleko. I jesteśmy już blisko, tak blisko. W pełnej napięcia ciszy rozpoznał słabe buczenie silnika dochodzące znad wody.

- To pewnie łódź koronera - powiedział Neidelman. Odwrócił się znów w stronę okna i Hatch nie widział już jego twarzy. - Myślę, że zostawię tę sprawę w pana rękach. - Odsunął się od okna i ruszył w kierunku drzwi.

- Kapitanie Neidelman? - zapytał Hatch.

Kapitan zatrzymał się i odwrócił, nie zdejmując ręki z klamki. Chociaż Hatch nie dostrzegał w ciemności jego twarzy, czuł niezwykłą siłę spojrzenia kapitana, skierowanego pytająco w jego stronę.

- Ta łódź podwodna, pełna niemieckiego złota - podjął Hatch. - Co pan zrobił? To znaczy po śmierci syna?

- Oczywiście kontynuowaliśmy operację - odpowiedział rzeczowo Neidelman. - On by tego chciał.

I wyszedł, jedynym zaś śladem jego bytności był nieznaczny zapach fajkowego dymu, unoszący się w powietrzu nocy.

## 31

Bud Rowell nie był zbyt obowiązkowym uczestnikiem kościelnych ceremonii. Jego poczucie obowiązku zmalało jeszcze po przybyciu Woody'ego Claya - duchowny reprezentował surowe, pachnące ogniem i siarką podejście, rzadko spotykane w kościele kongregacyjnym. Duchowny często ozdabiał swoje kazania nawoływaniem parafian do prowadzenia życia bardziej uduchowionego, niż Bud był skłonny to czynić. Ale w Stormhaven właściciel sklepu musiał znać wszelkie plotki. A jako zawodowy plotkarz, Rowell nie znosił, by jakakolwiek ważna rzecz umknęła jego uwagi. Rozeszły się wieści, że walebny Clay przygotował specjalne kazanie - kazanie z niespodzianką.

Rowell zjawił się na miejscu na dziesięć minut przed rozpoczęciem mszy i przekonał się, że kościół już pękał w szwach wypełniony po brzegi miejscowymi. Przepchnął się do tylnych rzędów, szukając sobie miejsca za filarem, skąd łatwo było niepostrzeżenie zniknąć. Ponieważ zamiar ten się nie powiódł, znalazł sobie miejsce na końcu kościelnej ławki. Od twardego, drewnianego siedzenia z miejsca rozboleły go stawy.

Rozejrzał się powoli dokoła po zebranych, kiwając głową tym klientom swoich delikatesów, którzy pochwycili jego wzrok. Zobaczył burmistrza Jaspera Fitzgeralda, który zajmował miejsce w jednej z pierwszych ławek. Fitzgerald był głową rady miasta i piastował ten urząd z zadowoleniem. Bill Banns, wydawca gazety, siedział kilka rzędów dalej z zielonym daszkiem tak mocno przytwierdzonym do głowy, jakby był do niej przyrośnięty. I Claire Clay - na swoim zwykłym miejscu: w drugim rzędzie, na środku - idealna żona pastora, ze smutnym uśmiechem i pokornym spojrzeniem. Przyszło też kilku obcych, którzy stali w różnych miejscach, pewnie pracowników Thalassy. To akurat było niezwykle - nikt z pracowników wykopalisk nie pojawił się wcześniej w kościele. Może nieszczęście, które się ostatnio przydarzyło, trochę nimi wstrząsnęło.

Jego oczy spoczęły na wyglądającym obco przedmiocie, który znalazł się na niewielkim stoliku stojącym przy ambonie. Przedmiot przykryty był sztywnym kawałkiem lnu. To z całą pewnością było dziwne. Duchowni w Stormhaven zazwyczaj nie posługiwali się rekwizytami, podobnie jak nie mieli w zwyczaju krzyżeć, potrząsać pięściami czy walić Biblią.

W kościele były stojące miejsca tylko do czasu, gdy pani Fanning usiadła na ławce przy organach i uderzyła w nuty *Bóg jest naszą twierdzą*. Po cotygodniowych ogłoszeniach i modlitwach Clay postąpił do przodu. Ubrany był w wiszącą na jego wymizerowanej postaci



czarną szatę. Zajął miejsce na ambonie i rozejrzał się po kongregacji z pozbawionym humorem, zaciekle wyrazem twarzy.

- Niektórzy ludzie - zaczął - mogą sobie pomyśleć, że zadaniem duchownego jest nieść ludziom pociechę. Sprawiać, by czuli się dobrze. Nie stoję tu dziś po to, by komuś poprawić samopoczucie. Nie na tym polega moja misja czy moje powołanie, by zaślepiac uspokajającymi frazesami, by koić półprawdami. Jestem człowiekiem, który mówi wprost, a to, co mam zamiar powiedzieć, sprawi, że niektórzy poczują się niezręcznie. I objawięś swojemu ludowi trudne sprawy.

Ponownie rozejrzał się wkoło, po czym pochylił się i odmówił krótką modlitwę. Po chwili milczenia sięgnął po Biblię i otworzył ją na tekście swojego kazania.

- I odezwał się piąty anioł - zaczął silnym, dźwięcznym głosem.

„[...] i ujrzałem gwiazdę, która z nieba spadła na ziemię, i dano jej klucz od studni Czeluści. I otworzyła studnię Czeluści, a dym się uniół ze studni jak dym z wielkiego pieca [...] Mają nad sobą króla - anioła Czeluści; imię jego po hebrajsku ABADDON [...] Bestia, która wychodzi z Czeluści, wyda im wojnę, zwycięży ich i zabije, A zwłoki ich leżeć będą na placu wielkiego miasta [...]”.

Clay podniósł głowę i powoli zamknął księgę.

- Apokalipsa świętego Jana, rozdział dziewiąty i jedenasty - wyjaśnił i pozwolił, by trwała krępująca cisza.

Po chwili podjął już ciszej.

- Kilka tygodni temu pojawiło się tu wielkie przedsiębiorstwo, by przystąpić do kolejnej skazanej na niepowodzenie próby odzyskania skarbu z Ragged Island. Wszyscy słyszeliście wybuchy dynamitu, silniki pracujące w dzień i w nocy, syreny i helikoptery. Widzieliście wyspę świecącą w ciemnościach niczym platforma wiertnicza. Niektórzy spośród was pracują dla tego przedsiębiorstwa, wynajmują pokoje jej pracownikom lub czerpią inne finansowe korzyści z poszukiwania skarbu. - Przeszukał wnętrze kościoła i zatrzymał się na moment na Budzie. Sprzedawca poruszył się na swoim miejscu i spojrzał w stronę drzwi.

- Ci z was, którzy troszczą się o środowisko, zastanawiają się pewnie, jakie skutki będzie miało dla ekosystemu zatoki całe to pompowanie, błotnista woda, benzyna i ropa naftowa, eksplozje i nieustająca krzątanina. A ci spośród was, którzy trudnią się połowami ryb i homarów, myślą sobie, czy wszystko to ma jakiś związek z faktem, że połowy homarów spadły o dwadzieścia procent, a makreli prawie o tyle samo.

Duchowny zrobił przerwę. Bud wiedział, że połowy spadały stopniowo od dwudziestu lat, z kopaniem czy bez. Ale nie powstrzymało to znacznej liczby rybaków w kościele od niespokojnego kręcenia się na swoich miejscach.

- Jednak dzisiaj nie idzie mi tylko o sam hałas, ruinę połowów czy też niszczenie zatoki. Te ziemskie sprawy leżą w gestii burmistrza, jeśli tylko skłonny będzie się nimi zająć.

- Clay skierował wzrok na burmistrza. Bud widział, jak Fitzgerald uśmiecha się ze skrepowaniem i jedną ręką przygląda imponującego węża.

- Dziś martwię się o duchowe skutki tego polowania na skarb. - Clay odsunął się od pulpitu. - Biblia w tej kwestii wypowiada się jasno. Umiłowanie złota to źródło wszelkiego zła. Nie ma tu dwuznaczności, dyskusowania, interpretacji. Ciężko to słyszeć, ale to prawda. I kiedy bogacz chciał podążać za Jezusem, On powiedział, aby rozdał swoje bogactwo ubogim. Jednak bogacz nie umiał tego uczynić. Pamiętacie Łazarza żebraka, który zmarł u wrót bogacza i trafił na łono Abrahama? Bogacz, który mieszkał za tymi bramami, trafił do piekła i błagał o kroplę wody, by ochłodzić spieczony język, a jednak jej nie otrzymał: „Łatwiej wielbłądowi przejść przez ucho igielne, niżli bogaczowi wejść do królestwa niebieskiego”.

Zamilkł, by rozejrzeć się po zgromadzeniu.

- Może zawsze wam się zdawało, że was ten problem nie dotyczy. W końcu większość mieszkańców tego miasta nie należy do bogaczy. Ale to poszukiwanie skarbu zmieniło wszystko. Czy ktokolwiek z was przystanął, by pomyśleć o tym, co stanie się z waszym miastem, jeśli poszukiwania się powiodą? Pozwólcie, że wam w tym pomogę. Stormhaven stanie się największą turystyczną atrakcją od czasów Disneylandu. Sprawí, że Bar Harbor i Freeport zamienią się w opustoszałe miesciny. Jeśli wam się zdaje, że połowy są kiepskie, poczekajcie, aż zobaczycie sunące po waszych wodach setki łodzi z turystami, hotele i domy letniskowe, które pojawią się na wybrzeżu. Ruch samochodowy. Pomyślcie o niezliczonych inwestorach i poszukiwaczach złota, którzy przyjadą kopać tu, kopać tam, na brzegu i dalej, plądrować i śmiecić, aż zniszczą ziemię, wymażą z pamięci łowiska. Pewnie niektórzy z was tu obecnych zarobią. Ale czy ich los będzie inny od tego, jaki spotkał bogacza w przypowieści o Łazarzu? A najubożsi z was - ci, którzy żyją z pracy na morzu - wam się już nie poszczęści. Zostaną wam do wyboru dwie drogi: zapomoga od państwa albo bilet w jedną stronę do Bostonu.

- To jedno zdanie zawierające dwie najbardziej znieawidzone w Stormhaven rzeczy - zasiłki i Boston - wywołało wśród zgromadzonych pomruki niezadowolenia.

Nagle Clay odchylił się, chwytając ambony.

- „I uwolnią bestię, której na imię Abaddon”. Abaddon, król czeluści. Abaddon, który po hebrajsku oznacza Niszczyciela.

Surowo przyjrzał się wszystkim rządom.

- Pozwólcie, że coś wam pokażę. - Zszedł z ambony, sięgnął w kierunku przykrytego lnem przedmiotu spoczywającego na stoliku. Bud wyciągnął szyję, po kościele rozszedł się wyczekujący pomruk.

Clay zatrzymał się na chwilę, po czym zerwał przykrycie. Pod materiałem leżał płaski, czarny kamień, o wymiarach może dwanaście na osiemnaście cali, ze startymi i obtłuczonymi krawędziami. Leżał w starym pudełku z ciemnego drewna. Na kamieniu widniały wyrzeźbione trzy niewyraźne rzędy liter podkreślone bezceremonialnie żółtą kredą.

Clay podszedł do pulpitu i głośnym, drżącym głosem powtórzył treść inskrypcji:

*Pierwej będziesz łąć*

*Potem zachcesz wyć*

*Wreszcie musisz skonać.*

- To nie zbieg okoliczności, że kamień ten odnaleziono, gdy odkryty został Water Pit, ani że jego usunięcie spowodowało pierwszą śmierć, zadaną przez szyb. Przepowiednia wyryta na tym diabelskim kamieniu sprawdza się od tamtej pory co do joty. Wy wszyscy, którzy podążacie za idolami ze złota i srebra - czy to bezpośrednio, kopiąc, czy pośrednio, czerpiąc zyski ze współpracy z kopiącymi - powinniście pamiętać o procesie, jaki ta przepowiednia opisuje. „Pierwej będziesz łąć”: żądza bogactwa zniekształci wasze szlachetne odruchy.

Wyprostował się.

- Na uroczystości pieczenia homarów Malin Hatch osobiście powiedział mi, że skarb wart jest kilka milionów dolarów. Niemała suma, nawet dla kogoś z Bostonu. Ale później dowiedziałem się, że prawdziwe szacunki bliższe są dwóch miliardów. Dwóch miliardów. Dlaczego doktor Hatch tak mnie oszukał? Odpowiedzieć mogę tylko w ten sposób: złote i srebrne idole potrafią uwodzić. „Pierwej będziesz łąć”.

Zniżył głos.

- Potem mamy kolejny wers: „Potem zachcesz wyć”. Złoto niesie ze sobą klątwę smutku. Jeśli w to wątpicie, porozmawiajcie z człowiekiem, który stracił nogi. A jak brzmi ostatni wers klątwy? „Wreszcie musisz skonać”.

Jego zapadnięte oczy badały zgromadzenie.

- Dziś wielu z was chce podnieść kamień, by posłużyć się takim porównaniem, by wydobyć spod niego złotego bożka. Tego samego chciał Simon Rutter dwieście lat temu. I wiecie, co się z nim stało?

Przysunął się do pulpitu ambony.

- Kilka dni temu w Water Pit zginął człowiek. Rozmawiałem z nim zaledwie tydzień wcześniej. Nie wyjaśniał, nie tłumaczył się, dlaczego pożąda złota. Mówił o nim z tupetem. „Nie jestem Matką Teresą” - odpowiedział mi. A teraz człowiek ten nie żyje. Spotkała go najgorsza śmierć: zginął, zgnieciony przez wielki kamień. „Wreszcie musisz skonać”. Zaprawdę, powiadam wam, człowiek ten odebrał swoją zapłatę.

Clay zatrzymał się, by nabrać tchu. Bud rozejrzał się po zebranych. Rybacy i poławiacze homarów mruczełi między sobą. Claire nie patrzyła na duchownego, patrzyła w dół, na własne dłonie.

Clay podjął na nowo.

- A co z tymi, którzy zginęli lub zostali okaleczeni czy zbankrutowali z powodu tego przeklętego skarbu? Jego poszukiwanie to zło wcielone. I wszyscy, którzy na tym się bogacą, bezpośrednio lub pośrednio, zapłacą za to. Bo widzicie, w ostatecznym rozrachunku nie liczy się, czy skarb został odnaleziony, czy też nie. Samo jego poszukiwanie jest już grzechem odrażającym w oczach Boga. I w im większym stopniu Stormhaven podąża tą ścieżką grzechu, tym cięższej pokuty możemy się spodziewać. Pokuty w postaci braku środków do życia. Pokuty w postaci nieudanych połowów. Pokuty w postaci zniszczonego życia. Odchrząknął.

- Przez lata wiele mówiło się o klątwie spoczywającej na Ragged Island i Water Pit. Teraz wiele osób lekceważy tamte przekonania. Mówi, że tylko niedouczeni, nie posiadający wykształcenia ludzie wierzą w takie przesady. - Wskazał na kamień. - Powiedzcie to Simonowi Rutterowi. Powiedzcie to Ezekielowi Harrisowi. Powiedzcie to Johnowi Hatchowi.

Głos Claya przeszedł niemal w szept.

- Na wyspie dzieją się dziwne rzeczy. Rzeczy, o których wam nie mówią. Sprzęt w tajemniczy sposób zawodzi. Nie wyjaśnione okoliczności sprawiają, że trzeba przesuwac terminy. A zaledwie kilka dni temu odkryto tam zbiorowy grób. Grób pospiesznie wypełniony kośćmi piratów. Osiemdziesięciu, może i stu ludzi. Ich ciała nie noszą oznak przemocy. Nikt nie wie, na co zmarli. „Bestia, która wystąpiła z bezdennych otchłani, rozpęta wśród nich wojnę, i pokona ich, i zabije ich. A ich martwe ciała spoczywać będą na ulicach”.

- W jaki sposób ci ludzie zginęli? - zagrział nagle Clay. - Z ręki Boga. Bo wiecie, co znaleziono przy ich ciałach?

W kościele zrobiło się tak cicho, że Bud słyszał skrobanie gałęzi ocierającej się o pobliskie okno.

- Złoto - oznajmił Clay surowym szeptem.

Do obowiązków Hatcha, lekarza ekspedycji na Ragged Island, należało zajęcie się papierkową robotą dotyczącą śmierci Wopnera. Tak więc po zainstalowaniu w gabinecie na wyspie dyplomowanej pielęgniarki, która miała sprawować obowiązki lekarza pod jego nieobecność, zamknął dom na Ocean Lane i pojechał samochodem do Machiasport, gdzie prowadzono oficjalne dochodzenie w sprawie ustalenia przyczyny zgonu. Następnego ranka wyjechał do Bangor. Zanim uporał się ze stosami archaicznych formularzy i znalazł się z powrotem w Stormhaven, minęły trzy robocze dni.

Płynąc na wyspę jeszcze tego samego popołudnia, szybko nabierał coraz większej pewności, że dobrze zrobił, nie podważając decyzji Neidelmana co do kontynuowania prac. Chociaż przez ostatnie kilka dni kapitan mocno naciskał na wydajność - podobnie jak i na przestrzeganie nowych, drobiazgowych zasad bezpieczeństwa, które wprowadzono po śmierci Wopnera - zdawało się, że wysiłek znacznie wpłynął na rozładowanie ponurej atmosfery. Tempo jednak miało swoją cenę: Hatch w ciągu jednego tylko popołudnia musiał się zająć prawie pół tuzinem mniejszych kontuzji. Poza urazami pielęgniarka poinformowała go o trzech przypadkach zachorowań wśród załogi. Był to stosunkowo wysoki odsetek, zważywszy na fakt, że liczba całego personelu spadła teraz o połowę w porównaniu ze stanem początkowym. Jeden z chorych skarżył się na apatię i mdłości, inny zapadł na jakąś infekcję bakteryjną, o której Hatch kiedyś czytał, ale której nigdy wcześniej nie spotkał w praktyce. Jeszcze inny cierpiał na prostą, bliżej nie określoną infekcję wirusową: nic poważnego, choć mężczyzna miał dość wysoką gorączkę. Teraz przynajmniej Neidelman nie może oskarżyć mnie o symulowanie - pomyślał sobie Hatch, pobierając krew do późniejszej analizy na „Cerberusie”.

Następnego dnia wczesnym rankiem ruszył trasą prowadzącą do wejścia do Water Pit. Rzeczywiście, tempo było szalone - nawet Bonterre, która wyłoniła się z szybu z ręcznym laserem do pomiarów odległości, miała czas zaledwie na kiwnięcie głową i uśmiech. Wyniki były jednak imponujące. Zestaw drabin teraz już solidnie zamocowanych biegł od wejścia do samego dna szybu. Z jednej strony zainstalowano niewielką windę do szybkich transportów. Jeden z techników poinformował go, że sondowanie i pomiary wewnątrz szybu niemal dobiegły już końca. Neidelmana nie było nigdzie w zasięgu wzroku, ale od technika usłyszał, że kapitan pracuje niezmordowanie, właściwie bez snu, już czwarty dzień, nadzorując z Orthanca pomiary Water Pit.

Hatch zaczął się zastanawiać, jaki będzie kolejny ruch kapitana. To, że po śmierci Wopnera rzucił się w wir szaleńczej pracy, nie było niczym niezwykłym. Ale teraz najbardziej oczywiste prace zostały ukończone: drabina stała, mapa wnętrza szybu już wkrótce zostanie skompletowana. Nie pozostawało już nic poza zejściem na dno szybu i przystąpieniem do kopania - z zachowaniem największej ostrożności - w poszukiwaniu złota.

Hatch powstał w milczeniu przez jakąś minutę. Myślał o złocie i o tym, co zrobi ze swoim udziałem. Miliard dolarów to niesamowicie dużo pieniędzy. Może nie trzeba całej kwoty wpłacać na Fundację Johnny'ego Hatcha. Trudno będzie się pozbyć tylu dolarów. Poza tym miło byłoby sprawić sobie nową łódź z własnym miejscem postojowym w Lynn. Złapał się na rozmyślanii o pięknym, położonym w cichym zakątku domu na Brattle Street, niedaleko szpitala, wystawionym na sprzedaż. Nie powinien też zapominać, że któregoś dnia mogą pojawić się dzieci. Czy miał prawo pozbawiać je szczodrego spadku? Im więcej o tym myślał, tym bardziej przekonany był o tym, że rozsądnie byłoby zatrzymać sobie kilka milionów, może pięć, na osobisty użytek. Może nawet dziesięć, dla poczucia bezpieczeństwa. Nikt nie będzie miał mu tego za złe.

Jeszcze przez chwilę wpatrywał się w głąb szybu, zastanawiając się nad tym, czy jego kolega Donny Truitt należał do którejś z ekip pracujących gdzieś tam, w ciemnościach pod jego stopami. Potem odwrócił się i ruszył ścieżką w dół.

Po wejściu na Wyspę Jeden zastał Magnusen przed komputerem. Palce inżynier szybko biegały po klawiaturze, usta miała zaciśnięte w pełnym dezaprobaty grymasie. Papierki po lodach i porzrzucone płytki montażowe znikły, a na gęsto zastawionych półkach ze sprzętem komputerowym oraz wśród grubych, powiązanych w pętle kabli i różnokolorowych wstążek zapanowała dyscyplina. Zatarło wszelkie ślady bytności po Wopnerze. Rozglądając się dokoła, Hatch odniósł nieco irracjonalne wrażenie, że gwałtowne porządki stanowiły w jakiś dziwny sposób wrogi gest wymierzony przeciwko wspomnieniu po programiście. Jak zwykle, Magnusen kontynuowała pracę, kompletnie ignorując Hatcha.

Popatrzył wkoło przez jeszcze jakąś minutę.

- Przepraszam! - warknął wreszcie, zadowolony, że udało mu się ją nieco przestraszyć.
- Chciałem wziąć tekstowy odpis dziennika - wyjaśnił. Magnusen przestała pisać na klawiaturze i uniosła swoją zadziwiająco pozbawioną wyrazu twarz.
- Oczywiście - powiedziała miarowo. Potem siedziała dalej, czekając na coś.
- No więc?
- Gdzie jest? - zapytała. Nie było w tym sensu.
- Gdzie co jest? - zapytał Hatch.

Przez chwilę Hatch był niemal pewien, że widzi na twarzy pani inżynier jakby wyraz triumfu, po czym znów opadła na nią maska.

- To znaczy, że nie ma pan zgody kapitana?

Wyraz zaskoczenia malujący się na jego twarzy stanowił wystarczająco wymowną odpowiedź.

- Nowe zasady - ciągnęła. - Jedyne egzemplarz rozszyfrowanego dziennika ma znajdować się w magazynie. Nie można go wydać bez pisemnej zgody kapitana.

Przez moment Hatch stał, nie wiedząc, jak zareagować.

- Doktor Magnusen - odezwał się najspokojniej, jak tylko umiał. - Ta zasada mnie nie obowiązuje.

- Kapitan nie wspominał o wyjątkach.

Bez słowa Hatch podszedł do telefonu. Po wejściu na linię wewnętrzną sieci założonej na wyspie wykreślił numer na Orthanca i poprosił kapitana.

- Malin! - zabrzmiał silny głos Neidelmanna. - Miałem zamiar wpaść, żeby się dowiedzieć, jak sprawy na łądzie.

- Kapitanie, jestem właśnie na Wyspie Jeden z doktor Magnusen. O co chodzi z koniecznością posiadania zgody na wydanie mi dziennika Macallana?

- To tylko proceduralne środki ostrożności - padła odpowiedź. - W ten sposób zawsze wiadomo, gdzie znajduje się dziennik. Rozmawialiśmy na ten temat. Proszę nie traktować tego osobiście.

- Obawiam się, że traktuję to właśnie osobiście.

- Malin, nawet ja podpisuję odbiór dziennika. Chodzi o ochronę zarówno interesów naszych, jak i Thalassy. A teraz, jeśli oddasz słuchawkę Sandrze, wyjaśnię jej, że masz moją zgodę.

Hatch podał telefon Magnusen, która z kamienną twarzą słuchała bez słowa komentarza. Bez słowa odłożyła słuchawkę, po czym sięgnęła do szuflady i wyciągnęła z niej mały żółty bilet.

- Proszę to wręczyć strażnikowi pilnującemu magazynów - powiedziała. - Musi pan wpisać do książki swoje nazwisko, datę i godzinę oraz podpisać się.

Hatch włożył kartkę do kieszeni, zastanawiając się nad doborem stróża przez Neidelmanna. Czyżby Magnusen nie znajdowała się na liście kandydatów podejrzanych o sabotaż?

W każdym razie w zimnym świetle dnia cały ten pomysł z sabotowaniem wydawał się sporo przesadzony. Każda z przebywających na wyspie osób otrzymywała doskonale



wynagrodzenie. Niektórzy mieli zyskać miliony. Czy jakiś sabotażysta stawiałby na szali tak pewną fortunę, chcąc zdobyć jeszcze większą i ryzykując? Mało prawdopodobne.

Drzwi otworzyły się na oścież. W centrum dowodzenia pojawiła się wysoka, zgarbiona postać St. Johna.

- Dzień dobry - powiedział, kiwając głową.

Hatch odpowiedział mu skinieniem, zaskoczony zmianą, jaka zaszła w historyku po śmierci Wopnera. Puciołowate, białe policzki i ten radosny, pełen zadowolenia z siebie wyraz twarzy znikły. Skóra zwiotczała, pod zaczerwienionymi oczami pojawiły się cienie. Obowiązkowa tweedowa marynarka była niezwykle pomięta.

St. John zwrócił się do Magnusen.

- Jest już gotowe?

- Prawie - powiedziała. - Czekamy na jeszcze jeden zestaw odczytów. Pański przyjaciel, Wopner, wprowadził trochę bałaganu do systemu, musiało nieco potrwać, zanim wszystko udało się uporządkować.

Na twarzy St. Johna pojawił się wyraz niezadowolenia, wręcz bólu.

Magnusen pokiwała głową w stronę ekranu.

- Koreluję teraz dane zespołu z wnętrza szybu z najnowszymi zdjęciami satelitarnymi.

Oczy Hacha powędrowały do wielkiego monitora stojącego przed Magnusen. Pokrywał go niezwykle gęszcz splecionych ze sobą linii i kolorów. Na dole ekranu pojawiła się wiadomość:

Ograniczony przekaz wideo, początek 11:23 czasu wsch. z Telstar 704

Transponder 8Z (Pasma KU)

Częstotliwość przekazu 14,044 MHz

Odbiór i integracja

Złożona platanina widoczna na ekranie odświeżyła się. Przez chwilę St. John wpatrywał się w nią bez słowa.

- Chciałbym nad tym przez chwilę popracować - powiedział wreszcie.

Magnusen skinęła głową.

- Sam, jeśli nie ma pani nic przeciwko temu. Magnusen wstała.

- Mysz z trzema przyciskami działa w trzech osiach. Lub może pan...

- Wiem, jak działa ten program.

Magnusen wyszła bez słowa, zamykając za sobą drzwi do centrum dowodzenia. St. John westchnął i usadowił się na pustym teraz krześle. Hatch odwrócił się z zamiarem wyjścia.

- Nie chodziło mi o ciebie - odezwał się St. John. - Tylko o nią. Co za okropna kobieta. - Potrząsnął głową. - Widziałeś to już? To doprawdy niezwykle.

- Nie - powiedział Hatch. - Co to jest?

- Water Pit i jego mechanizmy. A raczej to, co do tej pory udało się oznakować.

Hatch podszedł do ekranu. To, co wydawało się pozbawioną ładu i składu plątaniną różnokolorowych linii, stanowiło teraz trójwymiarowy zarys szybu z oznaczonymi po jednej stronie poziomami głębokości. St. John wcisnął klawisz i cały rysunek zaczął się poruszać. Pit i cała jego świta bocznych szybów i tuneli obracały się z wolna w upiornej ciemności komputerowego ekranu.

- O mój Boże - wyszeptał Hatch. - Nie miałem pojęcia, że jest tak skomplikowany.

- Zespoły znakujące przesyłały dane z pomiarów dwa razy dziennie. Moje zadanie polega na zbadaniu architektury szybu pod kątem jakichś historycznych odpowiedników. Jeśli uda mi się stwierdzić jakiegokolwiek podobieństwa z innymi konstrukcjami z tamtych czasów, czy nawet z innymi dziełami Macallana, może nam to pomóc w odkryciu, jakie jeszcze pułapki pozostały i jak je zneutralizować. Ale nie idzie mi zbyt dobrze. Trudno jest się w tym nie pogubić, przy całej złożoności. I niezależnie od tego, co powiedziałem minutę wcześniej, mam tylko mgliste pojęcie o tym, jak działa całe to ustrojstwo. Jednak prędzej dam się powiesić, niż poproszę tę kobietę o pomoc. Uderzył w kilka klawiszy.

- Zobaczmy, czy uda nam się pozbyć wszystkiego, poza pierwotną konstrukcją. - Większość kolorowych linii zniknęła, zostały tylko czerwone. Teraz rysunek wydał się Hatchowi bardziej klarowny. Wyraźnie widział duży, wędrujący w głąb ziemi szyb centralny. Na poziomie stu stóp od szybu odchodził tunel prowadzący do dużego pomieszczenia: grobowca, w którym zginął Wopner. Niżej, niemal na samym dnie Water Pit, sześć mniejszych tuneli odchodziło na boki niczym palce ręki - dokładnie powyżej, od dna, biegł w górę pod kątem duży tunel. Była też mała kombinacja pomniejszych konstrukcji bocznych.

St. John wskazał na najgłębiej położony zestaw.

- Czy to te sześć tuneli zalewowych?

- Sześć?

- Tak. Pięć udało nam się znaleźć, ale jest jeszcze jeden, diabelski tunel, który nie ujawnił się w czasie testu z barwnikiem. Magnusen mówiła coś o sprytnym hydrologicznym systemie prądu wstecznego. Szczerze mówiąc, połowy z jej wykładu nie zrozumiałem. -

Zmarszczył brwi. - Hmm. Ten tunel powyżej, biegnący pod niewielkim kątem, to Boston Shaft, zbudowano go o wiele później. Nie powinien być prezentowany jako element pierwotnej konstrukcji. - Jeszcze kilka uderzeń w klawiaturę i niechciany tunel znikł z ekranu.

St. John spojrział szybko na Hacha, po czym ponownie wpatrywał się w ekran.

- Teraz ten tunel, który biegnie w stronę brzegu... - Przełknął ślinę. - Nie stanowi części centralnego szybu i przez jeszcze jakiś czas nie będzie zbadany. Najpierw pomyślałem sobie, że to oryginalne, kuchenne wejście do szybu. Ale wydaje się, że to całkowicie szczelny, ślepy zaułek, mniej więcej w połowie drogi na plażę. Może ma on jakiś związek z pułapką, w której pański brat... - Zamilkł, czując się niezręcznie.

- Rozumiem. - Zdołał odpowiedzieć Hatch, któremu jego własny głos wydał się suchy i nienaturalny. Wziął głęboki wdech.

- Starają się go zbadać, tak?

- Oczywiście. - St. John wpatrywał się w ekran komputera. - Wie pan, jeszcze trzy dni temu Macallan wzbudzał mój najgłębszy podziw. Teraz czuję coś zupełnie innego. Wprawdzie stworzył błyskotliwy projekt, nie mogę mieć mu za złe, że chciał zemścić się na piracie, który go porwał. Ale doskonale zdawał sobie sprawę z tego, że ten szyb z łatwością może spowodować śmierć osób zarówno winnych, jak i niewinnych.

Znów zaczął obracać całą strukturę.

- Oczywiście, jako historyk odpowiem, że Macallan miał wszelkie dane po temu, by sądzić, iż Ockham będzie żyć dość długo, by wrócić i samemu dać się złapać w pułapkę. Ale szyb zaprojektowano w taki sposób, by stał na straży skarbu jeszcze długo po tym, jak Ockham podejmie próbę jego odzyskania.

Stuknął w kolejny klawisz i diagram rozświetlił się lasem zielonych linii.

- Widać tutaj wszystkie podpory i szalunki głównego szybu. Czteryście tysięcy stóp belek z najtwardszego dębu. Wystarczyłoby na zbudowanie dwóch fregat. Ta konstrukcja miała przetrwać setki lat. Jak pan sądzi, dlaczego Macallan chciał obdarzyć swoją maszynę śmierci taką siłą? Teraz obróć ją w tę stronę.

- Nacisnął kolejny przycisk i jeszcze kilka następnych. - Cholera - zamruczał. Cała konstrukcja zaczęła szybko wirować na ekranie.

- Hej, spali pan pamięć RAM, jak będzie się to tak szybko kręcić! - Rankin geolog stał w wejściu, blokując swoją niedźwiedzią posturą mgliste poranne światło. Jasna broda rozdzieliła się, odsłaniając szeroki uśmiech.

- Niech pan się odsunie, jeszcze coś się stłucze - zażartował, zamykając drzwi i podchodząc do ekranu. Zajął miejsce St. Johna, postukał w klawiaturę i diagram posłusznie przestał się kręcić. Zatrzymał się, jakby na baczność. - Jakież postępy?

- zapytał historyka.

St. John potrząsnął przecząco głową.

- Trudno dostrzec jakiś konkretny wzór. Widzę tu i ówdzie podobieństwa do niektórych hydraulicznych struktur Macallana, ale to wszystko.

- Obróćmy całość wzdłuż osi Z z prędkością pięciu obrotów na minutę. Zobaczymy, czy to nas natchnie. - Rankin uderzył w kilka klawiszy i rysunek na ekranie znów zaczął się obracać. Usiadł wygodnie na krześle, splótł ramiona za głową i spojrzał na Hacha.

- To zupełnie zdumiewające, człowieku. Zdaje się, że naszemu staruszkowi architektowi ktoś pomagał w jego drażnieniu, że się tak wyrażę.

- Kto pomagał? Rankin mrugnął.

- Matka natura. Najnowsze odczyty tomograficzne wykazują, że większa część pierwotnego szybu znajdowała się już na swoim miejscu w chwili przybycia na wyspę piratów. W swojej naturalnej postaci, czyli wykorzystał olbrzymie pionowe pęknięcie w skale macierzystej. Może nawet z tego właśnie powodu Ockham wybrał tę wyspę.

- Nie jestem pewien, czy dobrze rozumiem.

- W metamorficznej skale leżącej pod wyspą widać ślady wielu uskoków i wypierania.

- Teraz już z całą pewnością nie rozumiem - stwierdził Hatch.

- Mówię o punkcie styku płyt uskokowych umiejscowionym dokładnie pod wyspą. Płyt, które w jakiś sposób się rozsunęły.

- Więc podziemne ubytki były tam przez cały czas? Rankin przytaknął.

- Cała masa. Otwarte szczeliny i pęknięcia biegnące we wszystkich kierunkach. Nasz przyjaciel Macallan tylko poszerzył i pododawał tam, gdzie było trzeba. Ale pytanie, z którym nadal się borykam, brzmi: dlaczego tutaj, tylko pod tą wyspą? Zazwyczaj takie przemieszczenia zaobserwować można na większym obszarze. Tym razem jednak występują tylko pod Ragged Island.

Rozmowę przerwało pojawienie się Neidelmana. Popatrzył na każdego z obecnych, na ustach pojawił się na chwilę cień uśmiechu.

- No cóż, Malin, czy Sandra dała ci twój bilet wstępu?

- Dała, dziękuję - odpowiedział Hatch. Neidelman zwrócił się do Rankina.

- Nie przerywaj z mojego powodu.

- Pomagałem tylko St. Johnowi z modelem 3-D - powiedział Rankin.

Hatch popatrzył na jednego i na drugiego. Zrelaksowany geolog nagle przybrał oficjalną, sztywną pozę. Czy coś między nimi zaszło? - pomyślał. Potem dotarło do niego, że chodzi o sposób, w jaki Neidelman na nich patrzył. Teraz i jego ogarnęła niemal nieodparta chęć usprawiedliwiania się, wyjaśniania, co robili.

- Ach, tak - oznajmił Neidelman. - W takim razie mam dla was dobre wieści. Do sieci wprowadzono właśnie ostatni zestaw danych.

- Świetnie - powiedział Rankin i nacisnął kilka klawiszy. - Mam. Teraz zintegruję.

Hatch obserwował ekran. Na rysunku, z oszalemiącą prędkością, pojawiały się nowe krótkie odcinki. Po sekundzie czy dwóch przekaz został zakończony. Obraz w zasadzie się nie zmienił, choć ekran był teraz gęściej zarysowany.

St. John spoglądający przez ramię geologa westchnął głęboko. Rankin uderzył kilka klawiszy i model znów zaczął się z wolna obracać wokół osi pionowej.

- Usuń wszystko poza najstarszymi strukturami - polecił St. John.

Rankin postukał w klawiaturę i niezliczone cienkie linie znikły z ekranu. Hatch widział teraz sam rysunek głównego szybu.

- A zatem wodne pułapki dodano na końcu - stwierdził Neidelman. - Niczego nie przeoczyliśmy.

- Widać jakieś elementy projektu podobne do tych, które zastosowano w innych konstrukcjach Macallana? - zapytał Rankin. - Albo coś, co może być pułapką?

St. John potrząsnął głową.

- Proszę usunąć wszystko, z wyjątkiem drewnianych belek. - Kilka kolejnych uderzeń i na ciemnym tle ekranu pozostał dziwny, szkieletowy rysunek.

Historyk wciągnął nagle z sykiem powietrze.

- Co takiego? - zapytał szybko Neidelman. Chwila ciszy. Potem St. John potrząsnął głową.

- Nie wiem.

Wskazał na dwa miejsca na ekranie, gdzie przecinały się linie.

- W tych złączach jest coś znajomego, ale nie jestem pewien co.

Stali tak przez chwilę, w milczeniu wpatrując się w ekran.

- Może to ślepa uliczka - podjął St. John. - Jakie tak naprawdę podobieństwa do pozostałych konstrukcji Macallana staramy się odnaleźć? Jakie budynki mają dziesięć stóp szerokości i ponad sto czterdzieści wysokości?

- Krzywa Wieża w Pizie? - podsunął Hatch.

- Jedną chwilę! - przerwał ostro St. John. Nachylił się bardziej nad ekranem. - Patrzcie tylko na te symetryczne linie z lewej strony, tu i tu. I popatrzcie na zakrzywione obszary, jeden nad drugim. Gdybym lepiej się na tym nie znał, powiedziałbym, że to łuki poprzeczne. - Odwrócił się do Neidelmanna. - Wiedział pan, że w połowie długości Water Pit się zżęza?

Kapitan skinął głową.

- Od szerokości dwunastu stóp do mniej więcej dziewięciu na poziomie siedemdziesięciu stóp.

Historyk zaczął przesuwać palcem po wszystkich punktach styku na całym modelu.

- Tak - wyszeptał. - To byłby koniec stojącej do góry nogami kolumny. A to podstawa wewnętrznej przypory. A ten łuk, o tutaj, koncentrowałby na sobie masę. To odwrotność normalnego łuku.

- Mógłby nam pan powiedzieć, o co chodzi? - zapytał Neidelman. Mówił spokojnie, ale Hatch widział, jak jego oczy lśnią od tłumionego zainteresowania.

St. John odsunął się od monitora, na jego twarzy malowało się zdumienie.

- Wszystko układa się w sensowną całość. Tak głęboko i wąsko... a przecież Macallan był religijnym architektem... - Zamilkł.

- Co, człowieku? - syknął Neidelman.

St. John zwrócił swoje duże, ciemne oczy na Rankina.

- Proszę obrócić o sto osiemdziesiąt stopni wzdłuż osi poziomej.

Rankin spełnił polecenie, rysunek na ekranie przekreślił się do góry nogami. Teraz Water Pit stał pionowo na ekranie, połyskując szkieletem linii.

Nagle kapitan gwałtownie westchnął.

- Mój Boże - szepnął. - To katedra.

Historyk pokiwał głową, na jego twarzy pojawił się triumfalny uśmiech.

- Macallan zaprojektował to, na czym znał się najlepiej. Water Pit to nic innego jak wieża. Cholerna, stojąca do góry nogami, katedralna wieża.

### 33

Poddasze wyglądało mniej więcej tak, jak Hatch je zapamiętał: zagracone do granic możliwości rupieciami, które gromadzą się przez dziesiątki lat życia rodzinnego. Mansardowe okna wpuszczały słaby strumień popołudniowego światła, które szybko roztopiało się wśród ponurych stosów ciemnych mebli, starych szaf i ram łóżek, wieszaków i pudeł na kapelusze, piramid krzeseł. Gdy Hatch stanął wreszcie na wytartych deskach, gorąco, kurz i zapach

kulek na mole, wszystko to sprawiło, że z jaskrawą ostrością wróciło pewne wspomnienie: zabawy w chowanego z bratem i deszcz, który głośno bębnił o dach.

Wciągnął głęboko powietrze, po czym ruszył ostrożnie do przodu, w obawie, że coś przewróci albo że narobi hałasu. W jakiś sposób ta skarbnica wspomnień stanowiła teraz święte miejsce. Czuł się niemal jak ktoś, kto wchodzi na czyjś teren bez zezwolenia, jakby bezcześcił czyjeś sanktuarium.

Teraz, gdy badanie pierwotnego szybu zostało przez znakujące zespoły zakończone i gdy na wyspie oczekiwano wizyty przedstawiciela firmy ubezpieczeniowej, który miał wprowadzić poprawki do umowy, Neidelman nie miał innego wyboru, jak na pół dnia zatrzymać wszystkie prace. Malin skorzystał ze sposobności i ruszył do domu, żeby zjeść lunch. I może przeprowadzić małe śledztwo. Przypomniał sobie o istnieniu dużej, ilustrowanej książki, *Wielkie katedry Europy*, która kiedyś należała do jego ciotecznej babki. Jeśli dopisze mu szczęście, znajdzie ją gdzieś w jednym z tych pudeł z książkami, które mama z taką troską odstawiła na strych. Odczuwał potrzebę samodzielnego, rzetelniejszego zrozumienia, co tak naprawdę oznaczało odkrycie dokonane przez St. Johna.

Przedostał się przez wszystkie rupiecie, ocierając sobie po drodze łydkę o pozadzieraną krawędź stolika, na którym bawili się samochodzikami. Niemal udało mu się też przewrócić stary gramofon Victrola, ustawiony pieczołowicie na stosie starych, szelakowych płyt. Ostrożnie odstawił gramofon, potem rzucił okiem na stare płyty, porysowane i zużyte tak, że teraz mogłyby wydać z siebie jedynie szept pierwotnych melodii: *Puttin' On the Ritz*, *The Varsity Drag*, *Let's Misbehave*, Bing Crosby i the Andrews Sisters frazujących w *Is You Is Or Is You Ain't My Baby*. Przypomniał sobie, jak jego ojciec nalegał, by puszczać płyty na tym starym gramofonie w letnie wieczory, chrapliwe stare melodie i kawałki taneczne płynące absurdalnie przez podwórko i w dół, nad kamieniste wybrzeże.

W przyćmionym świetle poddasza rozpoznał spoczywający w przeciwległym kącie wielki, rzeźbiony zagłówek małżeńskiego łóża. Był to prezent pradziadka dla prababci, który otrzymała od niego w dniu ich ślubu. Ciekawy prezent - pomyślał sobie.

No pewnie: obok zagłówek stała stara szafa. A za szafą dostrzegł pudła z książkami, porządnie ustawione tak, jak ułożyli je z Johnnym pod okiem mamy.

Hatch podszedł do szafy i spróbował ją odsunąć. Przesunęła się o cal, może trochę więcej. Zrobił krok w tył i przyjrzał się szkaradnemu, solidnemu, ciężkiemu wiktoriańskiemu meblowi, pozostałości z czasów dziadka. Podźwignął ją jeszcze raz i przesunął o kilka cali. Szafa zachwiała się niebezpiecznie. Zważywszy na to, że drewno musiało wyschnąć przez te

wszystkie lata, nadal była cholernie ciężka. Może zostało coś w środku. Westchnął i potarł brew.

Górne drzwi szafy nie były zamknięte na klucz. Gdy je otworzył, zobaczył puste, pachnące stęchlizną wnętrze. Hatch spróbował otworzyć dolne szuflady: leżał tam wepchnięty głęboko jego stary podkoszulek, podarty i wypłowiały, z przepasowywanym żelazkiem logo zespołu Led Zeppelin. Przypomnił sobie, że kupiła mu go Claire w czasie szkolnego wyjazdu do Bar Harbor. Przez chwilę obracał koszulkę w dłoniach, wspominając dzień, w którym mu ją dała. Teraz była to tylko dwudziestoletnia szmatka. Odłożył ją na bok. Znalazła swoje szczęście - albo je straciła, zależy, kogo spytać.

Jeszcze jedna próba. Chwyił szafę i zaczął się z nią mocować, kołysząc w przód i w tył. Nagle, pod jego naciskiem, szafa przesunęła się, a potem przechyliła niebezpiecznie do przodu. Zeskoczył jej z drogi. Mebel runął z wielkim hukiem na podłogę, wzbijając tumany pyłu. Hatch wyprostował się, by po chwili niecierpliwym gestem odgarnąć kurz.

Drewniane plecy szafy rozpadły się w dwóch miejscach, odsłaniając wąską wnękę. W środku widać było niewyraźne tytuły gazetowych wycinków i kartki pokryte pełnym zakrętasów, wąskim charakterem pisma. Na tle starego mahoniu brzegi kartek zdawały się cienkie i kruche.



Na południe od miasta leżał długi skrawek lądu koloru ochry, nazywany Burnt Head. Sterczał w stronę morza niczym sękaty paluch jakiegoś olbrzyma. Na samym końcu cypla porośnięty drzewami klif nienaturalnie pochylał się, wpadając do zatoki Squeaker's Cove. To opuszczone miejsce zawdzięczało swoją nazwę niezliczonej liczbie muszli małży ocierających się o siebie w łamiącej się fali. Porośnięte gęsto drzewami ścieżki i kotliny leżące w cieniu latarni morskiej nazwano Squeaker's Glen. Nazwa ta miała podwójne znaczenie dla uczniów liceum Stormhaven: leśna dolina funkcjonowała również jako miejsce schadzek miejscowych kochanków, niejedno dziewictwo przeszło tam na wieki do historii.

Dwadzieścia kilka lat temu również Malin Hatch należał do grona bawiących się tam prawiczków. Dziś znów przechadzał się po lesistych drózkach, niezbyt pewien, co go tu przywiodło. Rozpoznał charakter pisma pokrywającego kartki papieru ukryte w szafie - należał do jego dziadka. Ponieważ nie był w stanie zmusić się od razu do czytania, wyszedł z domu z zamiarem przespacerowania się po nabrzeżu. Ale stopy same zaprowadziły go do miasta, potem przez łąki otaczające Fort Blacklock i dalej do latarni na Squeaker's Cove.

Skreślił gwałtownie na pokrytą koleinami ścieżkę, cienką czarną kreskę przecinającą zarośla. Po kilku jardach ścieżka przeszła niedużą polaną. Z trzech stron wznosiły się strome, pokryte mchem i pnączami, skaliste skarpy Burn Head. Gęste liście zasłaniały całkowicie widok na morze, choć dziwne poszeptywanie muszelek małży poruszanych przybrzeżnymi falami zdradzało bliskość plaży. Przyćmione promienie światła przebijały się ukośnie przez korony drzew, podświetlając poszarpane łąty trawy. Bezwiednie Hatch uśmiechnął się do siebie - niespodziewanie przypomniał mu się wiersz Emily Dickinson. - „Jest takie światło” - mruknął.

*Zimowego popołudnia...*

*Które uciska, niczym ciężar*

*Katedralnych tonów...*

Rozejrzał się wokół po zacisznej polance. Wróciły wspomnienia. Zwłaszcza wspomnienie pewnego majowego popołudnia, pełnego wędrujących dłoni i krótkich, niepewnych westchnień. Nowość tego wszystkiego, niezwykle uczucie wkraczania na terytorium zarezerwowane dla dorosłych, związane z nim upojenie. Odrzucił to wspomnienie, zaskoczony, jak myśl o czymś, co zdarzyło się tak dawno, mogła być nadal tak podniecająca.

To stało się na sześć miesięcy przed tym, jak z matką wyruszyli do Bostonu. Claire bardziej niż ktokolwiek inny akceptowała jego nastroje - przyjmowała wszystko, cały bagaż oznaczający bycie Malinem Hatchem, chłopcem, który stracił dwie bliskie osoby.

Wierzyć mi się nie chce, że to miejsce nadal tu jest - pomyślał sobie. Dostrzegł pociętą puszkę po piwie sterczącą zza skały - nadal tu jest, i najwyraźniej służy tym samym celom.

Usiadł na pachnącej trawie. Takie piękne późne letnie popołudnie, a on ma polanę tylko dla siebie.

Nie, nie całkiem dla siebie. Hatch dosłyszał jakieś szelesty dochodzące ze ścieżki za jego plecami. Odwrócił się gwałtownie i, ku swemu zaskoczeniu, ujrzał, jak na polanę wchodzi Claire.

Gdy go dostrzegła, stanęła jak wryta, potem mocno się zaczerwieniła. Miała na sobie letnią sukienkę we wzorki z dużym dekoltem, długie, złote włosy, uczesane we francuski warkocz, opadały nisko na plecy. Zawahała się przez moment, po czym ruszyła zdecydowanie do przodu.

- Witaj, raz jeszcze - powiedział Hatch, zrywając się na równe nogi. - Ładny dzień, w sam raz na takie spotkanie. - Starał się mówić lekkim, swobodnym tonem. Zaczął się zastanawiać, czy powinien ucisnąć jej dłoń, a może pocałować w policzek, ale gdy się tak wahał, zdał sobie sprawę, że czas powitania minął.

Uśmiechnęła się przelotnie i skinęła głową.

- Jak kolacja? - zapytał. Pytanie zabrzmiało bezsensownie, zanim jeszcze skończył mówić.

- W porządku.

Zapadła chwila niezręcznej ciszy.

- Przepraszam - powiedziała. - Naruszyłam twoją prywatność. - Odwróciła się, żeby odejść.

- Zaczekaj! - zawołał głośniejszym, niż miał zamiar. - Nie musisz odchodzić. Tylko sobie spacerowałem. A poza tym chciałbym nadrobić zaległości.

Claire rozejrzała się wokół trochę nerwowo.

- Wiesz, jakie są małe miasteczka. Jeśli ktoś nas tu zastanie, pomyślą sobie...

- Nikt nas tu nie znajdzie - odparł. - To Squeaker's Glen, pamiętasz? - Znow usiadł i poklepał trawę obok siebie.

Zbliżyła się i wygładziła sukienkę tym samym, pełnym skrępowania gestem, który wciąż pamiętał.

- To zabawne, że z wszystkich możliwych miejsc spotykamy się właśnie tutaj - powiedział.

Skinęła głową.

- Pamiętam, jak raz wsunąłeś sobie za uszy dębowe liście i stałeś na tamtym kamieniu, recytując całego *Lycidasza*.

Hatch poczuł, że korci go, żeby wspomnieć o kilku innych rzeczach, które sam pamiętał.

- A teraz, gdy jestem już starym łapiduchem, lekarskie metafory mieszam w równych proporcjach z zapomnianą poezją.

- Ile to już lat minęło, dwadzieścia pięć? - spytała.

- Mniej więcej. - Zamilkł na krótką, niezręczną chwilę. - I co przez ten czas porabiałeś?

- Wiesz, jak to jest. Skończyłam ogólniak, miałam w planach wyjazd do Orono i naukę na uniwersytecie w Maine, ale spotkałam Woody'ego. Pobraliśmy się. Nie mamy dzieci. - Wzruszyła ramionami i usiadła na pobliskiej skale, obejmując kolana. - I to już wszystko.

- Nie macie dzieci? - zapytał Hatch. Już w średniej szkole Claire mówiła o tym, jak pragnie mieć dzieci.

- Nie - odparła rzeczowo. - Mała ilość plemników w spermie.

Zapadła cisza. I wtedy Hatch - ku swojemu własnemu przerażeniu, i z powodów dla siebie niezrozumiałych - poczuł, jak ogarnia go nieodparta fala wesołości w reakcji na tak absurdalny zwrot w rozmowie. Parsknął mimo woli, a potem wybuchnął śmiechem. Śmiał się, aż rozboleł go brzuch i oczy wypełniły się łzami. Niewyraźnie widział, że Claire śmieje się równie mocno jak on.

- O Boże - powiedziała, ocierając wreszcie oczy. - Co to za ulga, po prostu się śmiać. Zwłaszcza z tego. Malin, nie jesteś sobie nawet w stanie wyobrazić, jaki to okropnie zakazany temat u nas w domu. Mała ilość plemników w spermie. - I znów wybuchnęli śmiechem, krztusząc się.

A gdy ucichł śmiech, zdawało się, że razem z nim rozpląnęły się gdzieś wszystkie te lata, zniknęło skrepowanie. Hatch uraczył ją opowieściami z akademii medycznej, mówił o makabrycznych psikusach, jakie płatali sobie na lekcjach anatomii, i o swoich przygodach na Suriamie i w Sierra Leone, ona zaś opowiedziała mu o różnych losach ich wspólnych przyjaciół. Niemal wszyscy przenieśli się do Bangor, Portland czy Manchesteru.

Wreszcie zamilkła.

- Muszę ci coś wyznać, Malin - powiedziała. - To spotkanie nie było całkiem przypadkowe.

Hatch pokiwał głową.

- Wiesz, widziałam, jak mijasz Fort Blacklock, i... no cóż, zgadłam, dokąd zmierzasz.

- Jak się okazuje, zgadnąć nie było trudno. Spojrzała na niego.

- Chciałam się usprawiedliwić. Chodzi mi o to, że nie podzielałam odczuć Woody'ego na temat tego, co tu robicie. Wiem, że nie przyjechałeś dla pieniędzy, i chciałam, żebyś usłyszał to ode mnie. Mam nadzieję, że ci się uda.

- Nie musisz się usprawiedliwiać. - Zamilkł. - Opowiedz mi, jak to się stało, że wyszłaś za niego za mąż.

Westchnęła i odwróciła wzrok.

- Muszę?

- Musisz.

- Och, Malin, byłam taka... sama nie wiem. Ty wyjechałeś i nigdy już nie napisałeś. Nie, nie - wtrąciła szybko. - Nie oskarżam cię. Wiem, że już przedtem przestałam się z tobą spotykać.

- Właśnie. Dla Richarda Moe, tej futbolowej gwiazdy. Jak się ma stary Dick?

- Nie wiem. Zerwałam z nim trzy tygodnie po twoim wyjeździe ze Stormhaven. I tak nigdy specjalnie mi na nim nie zależało. Byłam na ciebie wściekła, to był główny powód. Miałeś w sobie coś takiego, coś, do czego ja nigdy nie miałam dostępu, miejsce, do którego mnie nie dopuszczaleś. Wyjechałeś ze Stormhaven na długo przedtem, zanim zrobiłeś to fizycznie, jeśli wiesz, co mam na myśli. Dotarło to do mnie po jakimś czasie. - Wzruszyła ramionami. - Miałam cały czas nadzieję, że do mnie wrócisz. Ale potem, pewnego dnia, ty i twoja matka wyjechaliście.

- Tak jest. Do Bostonu. Byłem pewnie kompletnym ponurakiem.

- Po tym, jak wyjechałeś, w Stormhaven byli już tylko ciągle ci sami chłopcy. Boże, ależ z nich byli nudziarze. Miałam właśnie wyjeżdżać do college'u. I wtedy pojawił się ten młody duchowny. Był w Woodstock, na konwencji w Chicago w tysiąc dziewięćset sześćdziesiątym ósmym oberwał gazem łzawiącym.

Szczery, pełen zaru. Odziedziczył miliony, wiesz - na margarynie - i oddał je biednym, co do grosza. Malin, szkoda, że go wtedy nie znałeś. Był zupełnie innym człowiekiem. Pełen pasji dla wielkich spraw, mężczyzna, który naprawdę wierzył, że zdoła zmienić świat. Był taki poważny. Nie mogłam uwierzyć, że zainteresował się właśnie mną. I wiesz, nigdy nie rozmawiał ze mną o Bogu. Starał się tylko żyć zgodnie z jego przykładem.

Nadal pamiętam, że nie był w stanie znieść myśli, że to przez niego nie zdobyłam dyplomu. Nalegał, żebym poszła do Community College. Jest jedynym mężczyzną, jakiego spotkałam, który nigdy nie skłamał, nieważne, jak zranić mogła prawda.

- I co się stało?

Claire westchnęła i oparła brodę na kolanach.

- Nie jestem pewna, co dokładnie. Z upływem lat jakoś się zmienił. Małe miasta umieją zabijać, Malin, zwłaszcza kogoś takiego jak Woody. Wiesz, jak to jest. Stormhaven to świat sam w sobie. Nikt tu nie zajmował się polityką, nikt nie interesował się rozprzestrzenianiem broni jądrowej czy głodującymi dziećmi z Biafry. Błagałam go, żebyśmy wyjechali, ale jest taki uparty. Pojawił się tu, by zmienić to małe miasteczko, i nie miał zamiaru wyjechać, zanim tego nie dokona. Och, ludzie go tolerowali. Przyglądali się wszystkim jego akcjom zbierania pieniędzy na zbożne cele z rodzajem rozbawienia. Nikt się nie wściekał na niego z powodu liberalnych przekonań. Po prostu go ignorowali. A to było dla niego najgorsze - grzeczna ignorancja. Stawał się coraz bardziej... - Zamilkła, zastanawiając się. - Nie wiem, jak to dokładnie wyrazić. Skostniały i moralizatorski. Nawet w domu. Nigdy nie nauczył się śmiać. A brak poczucia humoru jeszcze pogarszał sprawę.

- No cóż, zrozumienie poczucia humoru mieszkańców Maine może trochę potrwać - stwierdził Hatch tak wyrozumiale, jak umiał.

- Nie, Malin. Mówię poważnie. Woody nigdy się nie śmieje. Dla niego nic nigdy nie jest zabawne. Po prostu to do niego nie dociera. Nie wiem, dlaczego tak jest, czy to z powodu wychowania, a może ma to w genach, a może co innego. Nie rozmawiamy o tym. Może też z tego powodu jest tak żarliwy, taki nieprzejednany w sprawach, w które wierzy. - Zawahała się.

- A teraz na pewno znalazł coś, w co wierzy, tak sędzę. Ta krucjata przeciwko poszukiwaniu skarbu to tak, jakby zdobył nowy cel. Coś, na czym, jak mu się zdaje, Stormhaven będzie zależeć.

- Ale właściwie to skąd taka afery w związku z kopaniem?

- zapytał Hatch. - Czy rzeczywiście chodzi o wykopaliska? Czy on o nas wie?

Odwróciła się do niego.

- Oczywiście, że o nas wie. Dawno temu zażądał uczciwości, więc wszystko mu powiedziałam. Nie było tego zbyt wiele.

- Zaśmiała się krótko.

Kto pyta, ten dostaje odpowiedź - pomyślał Hatch.

- No cóż, lepiej niech poszuka sobie innego zbożnego celu. Prawie skończyliśmy.

- Naprawdę? Skąd ta pewność?

- Nasz historyk dokonał dziś rano odkrycia. Dowiedział się, że Macallan, facet, który zbudował Water Pit, zaprojektował szyb na wzór katedralnej wieży.

Claire zmarszczyła brwi.

- Wieży? Na wyspie nie ma żadnej wieży.

- Nie, nie, mam na myśli wieżę odwróconą do góry nogami. Mnie też wydawało się to szalone. Ale jeśli się głębiej zastanowić, sporo w tym sensu. Ten historyk wszystko mi wyjaśnił. - Dobrze było móc o tym porozmawiać. I w głębi duszy Hatch wiedział, że może Claire zaufać.

- Widzisz, Red Ned Ockham chciał, żeby Macallan zbudował dla niego miejsce, w którym będzie mógł bezpiecznie przechować swój skarb do czasu, aż wróci i go wydobędzie.

- Jak go wydobędzie?

- Przez sekretne tylne drzwi. Ale Macallan miał inny pomysł. By zemścić się za to, że został porwany, zaprojektował Pit w taki sposób, by nikt, nawet Red Ned, nie zdołał dostać się do skarbu. Chciał być pewien, że jeśli Red Ned spróbuje to zrobić, zginie. No cóż, Red Ned zginął, zanim zdołał wrócić i sięgnąć po swój skarb. Od tamtej pory Pit odpiera wszelkie ataki. Ale my korzystamy z technologii, o jakich Macallanowi nawet się nie śniło. Teraz, po wypompowaniu z Water Pit wody, mogliśmy zorientować się, co zbudował. Macallan projektował kościoły. A wiesz, jak skomplikowane są kościelne wewnętrzne i zewnętrzne przypory zabezpieczające budowlę przed zawaleniem, prawda? No więc Macallan, konstruując Water Pit, odwrócił tylko cały schemat i wykorzystał go do wzmocnienia szybu. Potem w tajemnicy usunął najważniejsze wsporniki. Water Pit zalano wodą. Żaden z piratów nie był w stanie zorientować się w jego zamiarach. Gdyby Ockham powrócił, odbudowałby grodzę, zamknął kanały zalewowe i wypompował wodę, gdyby okazało się to konieczne. Ale w momencie, gdy fizycznie sięgnąłby po skarb, cały szyb runąłby na niego. Na tym miała polegać pułapka Macallana. Jednak odtwarzając katedralne wzmocnienia, możemy ustabilizować szyb i bez obaw wydobyć skarb.

- To niesamowite - powiedziała.

- Tak, niesamowite.

- To dlaczego nie jesteś bardziej podekscytowany? Hatch zamilkł.

- Czy to nie oczywiste? - zaśmiał się cicho. - Pomimo tego, co już się wydarzyło, nadal mam nieco mieszane uczucia co do całego tego przedsięwzięcia. Złoto, czy też sam czar złota, wyprawa z ludźmi dziwne rzeczy. Sam nie należę do wyjątków. Ciągłe sobie powtarzam, że chodzi mi tylko o to, żeby dowiedzieć się, co się stało z Johnnym.

Zaplanowałem, że swój udział przeznaczę na fundację jego pamięci. Ale od czasu do czasu łapię się na rozmyślaniu o tym, co mógłbym zrobić z taką furą pieniędzy.

- To normalne, Malin.

- Może. Ale wcale nie czuję się przez to lepiej. Twój wielebny wszystko rozdał, prawda? - Westchnął. - Może ma rację co do mnie. W każdym razie nie narobił chyba zbyt wielu szkód swoją opozycją.

- Tu się mylisz. - Claire spojrzała na niego. - Wiesz o kazaniu wygłoszonym w ostatnią niedzielę?

- Coś tam słyszałem.

- Odczytał fragment z Apokalipsy świętego Jana. Rybacy byli pod wrażeniem. A czy wiesz, że wyciągnął Przeklęty Kamień?

Hatch zmarszczył brwi.

- Nie.

- Powiedział, że skarb wart jest dwa miliardy. Że skłamałeś, mówiąc mu, że wart jest dużo mniej. Okłamałeś go, Malin?

- Ja... - Hatch zamilkł, niepewny, czy bardziej powinien złościć się na Claya czy na siebie. - Chyba starałem się bronić. Sposób, w jaki przyparł mnie do muru na festynie. Tak, zaniżyłem liczby. Nie chciałem dostarczać mu więcej informacji, niż było to konieczne.

- No cóż, teraz jest uzbrojony. Połowy w tym roku spadły i w świadomości rybaków ma to związek z wykopaliskami. Naprawdę udało mu się podzielić miasto. Wreszcie znalazł sprawę, której szukał przez te dwadzieścia lat.

- Claire, połowy spadają co roku. Wylawiają za dużo ryb i homarów od ponad pół wieku.

- Ty to wiesz i ja też. Ale wreszcie mają na kogo zrzucić winę. Malin, zamierzają przeprowadzić jakiś protest.

Hatch popatrzył na nią.

- Nie znam szczegółów. Ale nie widziałam, żeby Woody był tak naładowany od czasów naszego ślubu. Wszystko wydarzyło się w ciągu dnia lub dwóch. Zebrał rybaków i poławiaczy homarów, planują coś dużego.

- Możesz dowiedzieć się czegoś więcej? Claire zamilkła, ze wzrokiem wbitym w ziemię.

- I tak za dużo ci powiedziałam - odparła po chwili. - Nie prosz mnie, żebym szpiegowała własnego męża.

- Przepraszam - powiedział Hatch. - Nie o to mi chodziło. Wiesz, że to ostatnia rzecz, o jakiej bym pomyślał.

Nagle Claire ukryła twarz w dłoniach.

- Nic nie rozumiesz - wykrzyknęła. - Och, Malin, gdybym tylko mogła... - Skuliła ramiona i zaczęła szlochać.

Malin delikatnie oparł jej głowę na swoim ramieniu.

- Przepraszam - wyszeptwała. - Zachowuję się jak dzieciak.

- Ciiii - powiedział cicho Malin, poklepując ją po ramionach. Szloch stopniowo przycichł, on zaś poczuł jej włosy pachnące jabłkami, wilgotny oddech przez koszulę. Gładki policzek opierała o jego własny, mruczając coś niezrozumiale. On zaś poczuł, jak jej gorąca łza spada mu na usta. Wyciągnął po nią język. A gdy odwróciła się do niego, przyciągnął do siebie jej głowę, tak by jego usta mogły musnąć jej. Lekko ją pocałował, czując gładką linię jej warg, wyczuwając, że rozchyła zęby. Pocałował ją raz jeszcze, niepewnie, potem trochę mocniej. I nagle, niespodziewanie, ich usta zwały się ze sobą, jej dłonie zaplątane w jego włosach. Dziwne szemranie przyboju, ciepło panujące na polanie, wszystko zdawało się zapadać w nicość. Na świecie w jednej chwili byli tylko oni dwoje. Serce waliło mu niczym młotem, gdy wsunął język głęboko w jej usta, a ona go przyjęła. Rękami ścisnęła go teraz za ramiona, wsuwając dłonie pod koszulę. Choć mgliście, był jednak świadomy tego, że jako dzieci nigdy nie całowali się z takim zapamiętaniem. A może po prostu nie wiedzieliśmy, jak to się robi? Nachylił się nad nią łapczywie. Jedną ręką delikatnie pieszcząc włoski na jej karku, drugą niemal bezwiednie zsuwając po bluzce w kierunku talii, w stronę rozchyłających się kolan. Z jej ust wydobył się jęk, rozsunęła nogi. Poczul wąską stróżkę potu, która spłynęła pod kolanem. W powietrzu pełnym aromatu jabłek pojawił się zapach pizma.

Nagle odsunęła się od niego.

- Nie, Malin - powiedziała chrapliwie, wstając z trudem i wygładzając sukienkę.

- Claire - zaczął, wyciągając rękę. Ale ona zdążyła się już odwrócić.

Patrzył, jak idzie ścieżką, potykając się i znikając niemal natychmiast w gęstej zieleni otaczającej polanę. Serce mu waliło - w jego żyłach krążyła niemiła mieszanina żądy, poczucia winy i adrenaliny. Romans z żoną pastora: Stormhaven nigdy by czegoś takiego nie zaakceptowało. Zrobił właśnie jedną z najgłupszych rzeczy w swoim życiu. To był błąd, głupi błąd wynikający z błędnej oceny sytuacji - a jednak, gdy sam się już podniósł i ruszył powoli w dół inną ścieżką, złapał się na tym, że wyobraża sobie, co by się stało, gdyby mu się nie wyrwała.



Nazajutrz wcześniej rano Hatch biegiem pokonał krótką ścieżkę prowadzącą do obozu i otworzył drzwi do biura St. Johna. Ku jego zaskoczeniu historyk już tam był, wiekowa maszyna do pisania zepchnięta została na bok. Zamiast niej przed Anglikiem leżało z pół tuzina otwartych książek.

- Nie sądziłem, że zastanę cię tu tak wcześniej - powiedział Hatch. - Miałem zamiar zostawić kartkę z prośbą, żebyś zajrzał do mojego biura.

Anglik usiadł wygodnie, pocierając pulchnymi palcami zmęczone oczy.

- Prawdę mówiąc, sam chciałem zamienić z tobą słówko. Dokonałem interesującego odkrycia.

- Ja również. - Bez słowa Hatch wyciągnął spory plik pożółkłych papierów, umieszczonych w kilku teczkach. St. John zrobił na biurku trochę miejsca i rozłożył teczki przed sobą. Stopniowo zmęczenie z jego twarzy zaczęło znikać. Podnosząc kolejny pergamin, spojrzał na Hacha.

- Skąd je masz? - zapytał.

- Zostały schowane w starej szafie, na moim strychu. To zapiski z badań prowadzonych przez mojego dziadka. Na niektórych kartkach rozpoznałem jego pismo. Skarb stał się jego obsesją, wiesz o tym. Zrujnował go. Ojciec spalił większość zapisków po śmierci dziadka, ale, jak widzisz, te przegapił.

St. John wrócił do pergaminów.

- Niezwykłe - wymamrotał. - Niektóre z nich umknęły nawet naszym badaczom w „Archivos de los Indios” w Sewilli.

- Mój hiszpański zdążył nieco zardzewieć, więc nie byłem w stanie wszystkiego przetłumaczyć. Ale to wydało mi się najbardziej interesujące. - Hatch wskazał na teczkę oznaczoną jako „Archivos de la Ciudad de Cádiz”. W środku znajdowała się ciemna, niewyraźna fotografia oryginalnego rękopisu, bardzo zabrudzonego śladami rąk.

- Zobaczmy - zaczął St. John. - „Zapiski z dworu w Cádiz, tysiąc sześćset sześćdziesiąty pierwszy do tysiąc siedemsetnego. Octavo 17”. Hmm. „Przez całe panowanie Świętego Rzymskiego Imperatora Carolusa II” - innymi słowy, Karola II - „bardzo trapili nas piraci. Tylko w tysiąc sześćset dziewięćdziesiątym roku Królewska Flota” - lub srebrna flota, choć Flota de Plata przewoziła również duże ilości złota...

- Czytaj dalej.

- „...została schwytana i splądrowana przez pogańskiego pirata Edwarda Ockhama, co kosztowało koronę dziewięćdziesiąt milionów reali. Stał się on naszą największą plagą, zarazą zesłaną przez samego diabła. Po jakimś czasie, po stosownych dyskusjach, członkowie Tajnej Rady pozwolili nam wydobyć miecz świętego Michała, nasz największy, najbardziej sekretny i najstraszniejszy skarb. W imię Ojca, niech Bóg ulituje się nad naszymi duszami za to, co uczyniliśmy”.

St. John odłożył teczkę, z zainteresowaniem strosząc brwi.

- Co to znaczy: „nasz największy, najbardziej sekretny i najstraszniejszy skarb”?

- Nie mam pojęcia. Może sądzili, że miecz posiadał jakieś magiczne właściwości. Że zdoła odstraszyć Ockhama. Coś w rodzaju hiszpańskiego Excalibura.

- Mało prawdopodobne. Świat w wieku Oświecenia kierował się rozsądkiem, a Hiszpania, trzeba o tym pamiętać, była jednym z najbardziej cywilizowanych krajów w Europie. Jest pewne, że członkowie Tajnej Rady cesarza nie daliby wiary jakimś średniowiecznym przesądom, a co dopiero pozwolili, by uzależnić od nich sprawy wagi państwowej.

- Chyba że miecz rzeczywiście był przeklęty - wyszeptał żartobliwie Hatch, robiąc dramatycznie duże oczy.

St. John nie uśmiechnął się.

- Pokazałeś to już kapitanowi Neidelmanowi?

- Nie. Chciałem przesłać pocztą elektroniczną rękopis mojej starej przyjaciółce, która mieszka w Kadyksie. Markiza Hermione Concha de Hohenzollern.

- Markiza? - zapytał St. John. Hatch uśmiechnął się.

- Nigdy byś nie zgadł, patrząc na nią. Ale uwielbia zanudzać swoimi opowieściami o dawnych, szlachetnie urodzonych przodkach. Poznałem ją, pracując przy programie *Médicins sans Frontières*. To wielka ekscentryczka, ma prawie osiemdziesiąt lat, ale doskonała z niej badaczka, czyta w niemal każdym europejskim języku, zna wiele dialektów i form archaicznych.

- Może masz rację, chcąc zasięgnąć porady eksperta z zewnątrz - powiedział St. John.

- Kapitan zaangażowany jest teraz tak mocno w pracę w Water Pit, że chyba nie miałby dość czasu, żeby się temu przyjrzeć. Wiesz, przyszedł do mnie wczoraj, po tym jak wyjechał przedstawiciel firmy ubezpieczeniowej. Prosił, żebym porównał głębokość i szerokość szybu z różnymi katedralnymi wieżami. Potem chciał, żebym naszkicował mu więcej podpór, które mogły funkcjonować jako wewnętrzny system wzmacniający konstrukcję katedry, odtwarzając nacisk i ciężar pierwotnej wieży Macallana. Mówiąc krótko, chce rozbroić szyb.

- Tak to odbieram. Wydaje się, że to piekielna robota.

- Istniejąca konstrukcja nie będzie specjalnie zaangażowana - odpowiedział St. John. - Naprawdę złożone były badania dodatkowe. - Rozłożył ręce nad stosem książek. - Sporządzenie rysunków zabrało mi resztę dnia i całą noc.

- W takim razie lepiej chwilę odpocznij. Ja idę do magazynów po drugi dziennik Macallana. Dzięki za pomoc w tłumaczeniu. - Hatch zebrał teczki i skierował się w stronę wyjścia.

- Jedną chwilkę! - powiedział St. John.

Hatch obejrzał się, Anglik zaś wstał i wyszedł zza biurka.

- Wspomniałem, że dokonałem odkrycia.

- Tak, zgadza się.

- Chodzi o Macallana. - St. John bawił się odruchowo węzłem krawata. - No cóż, pośrednio o niego. Spójrz na to. - Wziął z biurka kartkę i podał ją Hatchowi. Hatch spojrzał na zapisany na kartce pojedynczy rząd liter:

ETAONISHRDLCUGMWFYBKVJXZQ

- Wygląda bez sensu - powiedział Hatch.

- Przyjrzyj się dokładniej pierwszym siedmiu literom. Hatch przeliterował głośno.

- E, T, A, O... hej, chwileczkę. Eta Onis! To jej Macallan zadedykował swoją książkę na temat architektury. - Zamilkł, wpatrując się w kartkę.

- To tablica częstotliwości występowania liter w języku angielskim - wyjaśnił St. John. - Porządek, w jakim litery najprawdopodobniej będą się pojawiać w zdaniach. Kryptoanalitycy korzystają z niej, by rozszyfrowywać zakodowane wiadomości.

Hatch gwizdnął.

- Kiedy to odkryłeś?

St. John sprawiał wrażenie jeszcze bardziej zmieszanego.

- Dzień po śmierci Kerry'ego, prawdę mówiąc. Nikomu nic nie powiedziałem. Czuję się jak głupek. Pomyśleć, że cały czas miałem to przed oczami. Ale im więcej się nad tym zastanawiałem, tym bardziej wszystko stawało się jasne. Zdałem sobie sprawę, że Macallan był kimś więcej niż tylko architektem. Jeśli znał tablice częstotliwości, oznacza to, że był prawdopodobnie związany z londyńskim środowiskiem wywiadowczym albo przynajmniej z jakimś tajnym stowarzyszeniem. Przeprowadziłem więc dalsze badania. I natknąłem się na informacje zbyt intrygujące, by mogły być skutkiem przypadku. Teraz

jestem już pewien, że przez te wszystkie lata, gdy zniknął ze świata, pracował dla Czarnego Gabinetu.

- Co to takiego?

- To fascynujące, naprawdę. Widzisz. - St. John zamilkł nagle i spojrzał przez ramię. Hatch zdał sobie ze współczuciem sprawę, że St. John spogląda w kierunku pokoju Wopnera, czekając na uszczypliwą uwagę na temat tego, co dla zakurzonego antykwariusza było fascynujące.

- Chodźmy - powiedział Hatch. - Wyjaśnisz mi w drodze do magazynów.

- Czarny Gabinet - podjął St. John po wyjściu w poranną mgłę - był tajnym wydziałem angielskiej poczty. Jego zadanie polegało na przechwytywaniu zalakowanych komunikatów, przepisywaniu zawartości, a następnie ponownym zapieczętowaniu ich specjalnymi pieczęciami. Jeśli transkrybowane dokumenty były zakodowane, odsyłano je do swego departamentu szyfrów. Rozszyfrowany tekst wysyłano następnie do króla lub wysoko postawionych ministrów, zależnie od treści wiadomości.

- Dużo takich działań spod znaku płaszcza i szpady miało miejsce w Anglii za czasów Stuartów?

- Nie chodziło tylko o Anglię. Wszystkie europejskie kraje korzystały z podobnych systemów. Prawdę mówiąc, w takich miejscach często pracowali bardzo inteligentni, młodzi arystokraci o dobrym pochodzeniu. Jeśli sprawdzili się jako kryptoanalitycy, otrzymywali znaczne wynagrodzenie i stanowisko na dworze.

Hatch potrząsnął głową.

- Nie miałem o tym pojęcia.

- To nie wszystko. Czytając między wierszami niektórych ze starych dworskich zapisków, uważam, że Macallan był najprawdopodobniej podwójnym agentem, pracującym dla Hiszpanii, ze względu na swoje irlandzkie sympatie. Ale nakryto go. Przypuszczam, że prawdziwym powodem, dla którego opuścił kraj, była chęć ratowania życia. Być może miał zostać wysłany do Ameryki nie tylko w celu zbudowania katedry dla Nowej Hiszpanii, ale z innych, bardziej tajnych powodów.

- Ockham zaś pokrzyżował mu plany.

- Tak. Ale w osobie Macallana otrzymał dużo więcej, niż kiedykolwiek mógł zakładać.

Hatch pokiwał głową.

- To by wyjaśniało, dlaczego Macallan tak sprawnie posługiwał się kodami i atramentem sympatycznym w swoim dzienniku.

- I dlatego jego drugi szyfr był tak diabelsko trudny. Niewielu ludzi zdołałoby zachować zimną krew, by zaplanować tak przemyślny fortel jak Water Pit. - St. John zamilkł na chwilę. - Wspomniałem o tym Neidelmanowi podczas naszej wczorajszej popołudniowej rozmowy.

- I?

- Odpowiedział mi, że to interesujące i że powinniśmy to zbadać w odpowiednim momencie, ale teraz priorytetem objęte są działania związane ze wzmocnieniem szybu i odzyskaniem złota. - Po twarzy przemknął mu szybko blade uśmiech. - To dlatego nie ma specjalnie sensu pokazywać mu dokumentów, które znalazłeś. Jest po prostu zbyt zajęty kopaniem, by zajmować się czymkolwiek, co nie ma z nim bezpośredniego związku.

Dotarli do budynków magazynowych. Od czasu dokonania pierwszych odkryć w pirackim obozie, barak zmienił się nie do poznania. Nie przypominał już rozklekotanej szopy. Dwa małe okna chroniły kraty, w środku zaś, przy wejściu, siedział strażnik Thalassy rejestrujący wszystkich przychodzących i wychodzących.

- Przykro mi z tego powodu - oznajmił St. John, krzywiąc się, podczas gdy Hatch zgłosił zapotrzebowanie na rozszyfrowany dziennik Macallana i pokazał strażnikowi kartkę od Neidelmana. - Chętnie bym ci go po prostu wydrukował, ale któregoś dnia pojawił się u mnie Streeter i skopiował na dyski cały materiał szyfrowy. Wszystko, łącznie z samym dziennikiem. Następnie wszystko inne zostało z serwerów wykasowane, nawet pliki rezerwowe. Gdybym wiedział coś więcej na temat komputerów, mógłbym...

Przerwał, gdy z mrocznego wnętrza magazynu dobiegł krzyk.

Chwilę później pojawiła się Bonterre z podkładką do pisania w jednej ręce i dziwnym okrągłym przedmiotem w drugiej.

- Moi dwaj ulubieni mężczyźni! - oznajmiła, uśmiechając się szeroko.

St. John zawstydzony zamilkł natychmiast.

- Jak tam sprawy w Pirateville? - zapytał Hatch.

- Prace już niemal zakończone - odparła Bonterre. - Dziś rano kończymy nakładanie ostatniej siatki pomiarów. I jak to w kochaniu się, najlepsze zawsze na końcu. Zobaczcie tylko, co jeden z moich robotników wydobył wczoraj spod ziemi. - Wyciągnęła w ich kierunku jakiś przedmiot, uśmiechając się jeszcze szerzej.

Hatch widział, że rzecz była precyzyjnie wykonana, najwyraźniej z brązu, ze starannie wrytymi cyframi na zewnętrznej krawędzi. Ze środka przedmiotu, niczym wskazówki zegara, biegły dwa kawałki metalu.

- Co to? - zapytał.

- Astrolabium. Korzystano z niego do określenia szerokości geograficznej w stosunku do słońca. Dla każdego marynarza żyjącego w czasach Red Neda warte dziesięć razy tyle, co waży, w złocie. A jednak i je zostawiono w ziemi. - Bonterre z czułością przesunęła kciukiem po powierzchni urządzenia. - Im więcej znajduję, tym więcej rodzi się znaków zapytania.

Nagle w pobliżu rozległ się głośny krzyk.

- Co to było? - spytał St. John, podrywając się.

- Zabrzmiało jak jęk bólu - stwierdził Hatch. Bonterre wyciągnęła rękę.

- Zdaje mi się, że głos dochodził z baraku *geologiste*. Cała trójka ruszyła biegiem do położonego opodal biura Rankina. Ku zaskoczeniu Hacha, przypominający niedźwiedzia blondyn nie leżał w agonii, ale siedział sobie na krześle i spoglądał to na monitor komputera, to na długi wydruk, i znów na ekran.

- Co jest? - zawołał Hatch.

Nie patrząc na nich, Rankin wyciągnął dłoń, nakazując milczenie. Ponownie sprawdził wydruk, poruszając wargami, jak gdyby coś przeliczał. Wreszcie skończył.

- Sprawdziłem. W obie strony - powiedział. - Tym razem nie ma mowy o pomyłce.

- Czy ten człowiek stracił zmysły? - zapytała Bonterre. Rankin odwrócił się w ich stronę.

- Jest w porządku - stwierdził z podnieceniem. - Musi być. Neidelman szarpał mnie o dane na temat tego, co zostało pogrzebane na dnie szybu. Myślałem sobie, że gdy wreszcie woda zniknie, dziwne zakłócenia odczytu także. Ale tak się nie stało. Próbowałem wszystkiego, a i tak za każdym razem pojawiały się różne pomiary. Aż do teraz. Popatrzcie.

Podał im wydruk, nieczytelne serie plamek i linii wzdłuż jednego nieostrego prostokąta.

- Co to jest? - zapytał Hatch. - Reprodukacja obrazu Motherwella?

- Nie, człowieku. To żelazna komnata, pewnie jakieś dziesięć stóp z boku i pięćdziesiąt stóp pod oczyszczoną częścią szybu. Najwyraźniej nie dostała się do niej woda. Udało mi się właśnie określić w przybliżeniu jej zawartość. Oprócz innych elementów mamy tam bryłę masy, piętnaście, może dwadzieścia ton gęstego, nieżelaznego metalu. Ciężar gatunkowy nieco ponad dziewiętnaście.

- Chwileczkę - powiedział Hatch. - Jest tylko jeden metal o takim ciężarze gatunkowym.

Rankin rozciągnął usta w uśmiechu.

- Aha. I nie jest to ołów.

Na krótką chwilę zapadła elektryzująca cisza. Potem Bonterre pisnęła z radości i wpadła Hatchowi w ramiona. Rankin znów zaryczał i poklepał St. Johna po plecach. Cała czwórka wypadła z baraku, krzycząc i wiwatując.

Słyszając hałas, nadbiegli inni. Wieść o odkryciu dokonany przez Rankina rozeszła się po obozie lotem błyskawicy. Natychmiast kilkunastoosobowa załoga Thalassy pozostająca nadal na wyspie zaczęła spontanicznie świętować. Nastrój przygnębienia, jaki zapanował po śmierci Wopnera, ciągle opóźnienia i niemiłosiernie ciężka praca, wszystko to poszło w zapomnienie, zastąpione szaloną, niemal histeryczną radością. Scopatti zdjął buty i podrzucał je do góry, ściskając w zębach swój nóż do nurkowania. Bonterre pobiegła do magazynów i wróciła ze starym marynarskim kordem wydobytym z obozowiska piratów. Oderwała szelkę od spodni swojego roboczego kombinezonu i przewiązała ją sobie dookoła głowy, przesłaniając jedno oko. Potem wyciągnęła kieszenie i rozerwała bluzkę, odsłaniając niebezpiecznie duży fragment biustu. Wywijając szablą, kroczyła dumnie, uśmiechając się lubieżnie i udając rozwiązłego pirata.

Zaskoczony Hatch zorientował się, że krzyczy razem ze wszystkimi, ściska pracowników technicznych, których niemal nie zna, hasa z radością z powodu potwierdzenia - ostatecznego - faktu, że pod jego stopami leży złoto. Zdawał sobie sprawę z tego, że tego rodzaju rozładowanie wszystkim było bardzo potrzebne. Nie chodzi tylko o złoto - pomyślał. Ale przede wszystkim o to, żeby ta przeklęta wyspa nas nie pokonała.

Okrzyki radości ucichły, gdy do obozu szybko wmaszerował kapitan Neidelman. Rozejrzał się wokół, wodząc zmęczonymi, poszarzałymi oczami.

- Co tu się, do cholery, dzieje? - zapytał tonem pełnym tłumionej wściekłości.

- Kapitanie! - powiedział Rankin. - Jest złoto, pięćdziesiąt stóp pod dnem szybu. Przynajmniej piętnaście ton!

- Oczywiście, że jest - rzucił kapitan, i - Czy wszyscy sądzili, że kopimy tu dla zdrowia? - Rozejrzał się wokół w ciszy, która nagle zapanowała. - To nie przedszkolna wycieczka za miasto. Mamy do wykonania poważne zadanie i wszyscy macie tak je traktować. - Spojrzał na historyka. - Doktorze St. John, skończył pan swoją analizę?

St. John skinął głową.

- W takim razie proszę ją przesłać do komputera na „Cerberusie”. Reszta niech pamięta, że mamy poważnie napięty harmonogram. A teraz proszę wracać do pracy.

Odwrócił się i ruszył w dół wzgórza w kierunku doków, zaraz za nim, starając się dotrzymać mu kroku, pędził St. John.

Nazajutrz wypadła sobota, ale na Ragged Island niewiele wypoczywano. Hatch, który, co rzadko mu się zdarzało, zasnął, wypadł przez drzwi domu przy Ocean Lane 5 i popędził chodnikiem, zatrzymując się po drodze tylko po zapomnianą piątkową pocztę. Potem ruszył już prosto na nabrzeże.

Kierując się przez kanał Old Hump, zmarszczył brwi na widok szarego, ołowianego nieba. W radiu mówiono o zakłóceniach atmosferycznych gdzieś nad Grand Banks. Był już dwudziesty ósmy sierpnia, zaledwie kilka dni od ostatecznego terminu, który sam sobie wyznaczył - teraz pogoda mogła być już tylko coraz gorsza.

Piętrzące się usterki sprzętu i problemy z komputerami poważnie opóźniły prace. A ostatnia epidemia zachorowań i wypadków wśród członków zespołu tylko przyczyniały się do kolejnych przesunięć. Kiedy mniej więcej za kwadrans dziesiąta Hatch pojawił się w swoim gabinecie, czekało już na niego dwóch pacjentów. Jeden z nich cierpiał na jakąś niezwykłą infekcję bakteryjną zębów, trzeba było przetestować krew, by móc określić dokładnie rodzaj infekcji. Drugi, co było już niepokojące, zapadł na wirusowe zapalenie płuc.

Gdy Hatch zajęty był organizowaniem transportu do położonego na lądzie szpitala dla drugiego z pacjentów oraz przygotowywaniem testu krwi, który miał zamiar przeprowadzić na „Cerberusie”, pojawił się trzeci chory - operator pompy wentylacyjnej, któremu siłownik poranił goleń. Dopiero w południe Hatch znalazł czas, żeby włączyć komputer, wejść do Internetu i przesłać wiadomość przyjaciółce, markizie z Kadyksu. Opisując pokrótce sytuację, dołączył rękopisy kilku z najbardziej zagadkowych dokumentów dziadka i poprosił o znalezienie wszelkich dodatkowych informacji na temat miecza świętego Michała.

Wyłączył komputer i sięgnął po pocztę, którą wyciągnął dziś rano ze skrzynki na listy: wrześnie wydanie „JAMA”, ulotka informująca o włoskiej kolacji w remizie strażackiej, ostatnie wydanie lokalnej gazety, mała kremowa koperta bez nazwiska i znaczka.

Otworzył kopertę i natychmiast rozpoznał charakter pisma.

Drogi Malinie, nie wiem za bardzo, jak o tym z Tobą rozmawiać, a ponieważ czasami nie najlepiej idzie mi wyrażanie tego, co chcę powiedzieć, dlatego po prostu napiszę Ci to tak jasno, jak tylko będę umiała.

Postanowiłam odejść od Claya. Jest to decyzja, której nie mogę już dłużej odkładać. Nie chcę tu zostać, być coraz bardziej zgorzkniała, pełna urazy. Nam obojgu nie wyszłoby to na dobre. Powiem mu o tym, jak skończą się protesty. Może wtedy łatwiej mu będzie to przyjąć. Niezależnie od wszystkiego, bardzo go to zrani. Ale wiem, że to właściwa decyzja.



Wiem też, że nie jesteśmy sobie przeznaczeni. Mam cudowne wspomnienia i nadzieję, że Ty też. Ale to, co prawie znów się zaczęło, to czepianie się przeszłości. Oboje tylko byśmy się zranili.

To, co niemal wydarzyło się na Squeaker's Glen - to, do czego niemal dopuściłam - przeraziło mnie. Ale pozwoliło też jaśniej dostrzec wiele niewyraźnych dotąd pomysłów, uczuć, które tkwiły gdzieś w mojej głowie. I za to Ci dziękuję.

Wydaje mi się, że jestem Ci winna wyjaśnienie, co zamierzam zrobić. Jadę do Nowego Jorku. Zadzwoiłam do dawnej przyjaciółki z Community College, która prowadzi tam małą pracownię architektoniczną. zaproponowała mi posadę sekretarki i obiecała, że nauczy mnie, jak sporządzać projekty. To nowy początek w mieście, które zawsze pragnęłam zobaczyć.

Proszę, nie odpowiadaj na ten list i nie próbuj zmienić mojej decyzji. Nie psujmy teraz przeszłości czymś głupim.

Całuję, Claire

Zadzwoił telefon na wewnętrznej linii. Powoli, niczym we śnie, Hatch podniósł słuchawkę.

- Mówi Streeter - odezwał się szorstki głos.

- Co? - spytał Hatch, nadal w szoku.

- Kapitan chce pana widzieć na Orthancu. Natychmiast.

- Niech mu pan powie, że... - zaczął Hatch. Ale Streeter rozłączył się i w słuchawce nie było już nic, nawet ciągłego tonu.

Hatch przeszedł przez ostatnią serię podjazdów i mostków prowadzących do podstawy Orthanca. Nad szybem wznosił się nowo zainstalowany system wentylacji: trzy masywne przewody, które wysysały z jego wnętrza cuchnące powietrze i wyrzucały je wysoko w niebo, gdzie zamieniało się w wielkie kłęby pary. Światło dochodzące z samego szybu oświecało pobliską zasłonę z mgły.

Hatch podszedł bliżej, złapał za drabinę, po czym wdrapał się na służące do obserwacji platformy opasujące wieżę kontrolną Orthanca.

Neidelmana nie było nigdzie widać. Prawdę mówiąc, jeśli nie liczyć Magnusen, śledzącej wskazania czujników monitorujących obciążenie drewnianych podpór wewnątrz Water Pit, wieża była pusta. Czujniki układały się w rzędy zielonych światełek. Wystarczyło nieznaczne zwiększenie nacisku na belkę, nawet najlżejsze przesunięcie podpory, by odpowiednie światelko zaczynało świecić na czerwono i rozległ się przenikliwy sygnał alarmu. W miarę jak wzmacniano przypory i szalunki, częstotliwość występowania alarmów stopniowo się zmniejszała. Nawet wirusy, które stale dręczyły system komputerowy na wyspie, w tym przypadku najwyraźniej dały za wygraną. Skomplikowany system czujników, założony przez Wopnera, był już gotowy.

Hatch przeszedł na środek pomieszczenia i spojrzął przez szklany otwór w podłodze w głąb szybu. Nadal pozostało w nim wiele niezwykle groźnych tuneli i szybów bocznych, te jednak oznakowano żółtą taśmą i wstęp do nich miały jedynie zespoły zajmujące się zdalnym znakowaniem.

Podmuch wiatru rozwiął mgłę nad wejściem do szybu i widok był teraz wyraźny. Zestaw drabin spływał w dół: trzy lśniące poręcze z rozlicznymi bocznymi platformami. Wzdłuż drabin lśniły tytanowe rozporki, tworząc misterny wzór. Widok zapierał dech w piersiach. Wypolerowane szczeble podświetlane licznymi lampkami rozsyłały wszędzie deszcz światła, po całym szybie. Zwielokrotnione w płątaniu tytanu światło spływało w nieskończoność.

Rozporki uporządkowane były w złożony wzór. Tego ranka zespół Neidelmana pracował ciężko nad zastąpieniem brakujących fragmentów umocnień z pierwotnej konstrukcji Macallana specjalnymi tytanowymi elementami, zgodnie z zaleceniami St. Johna. Dodano kolejne rozporki wzorowane na wirtualnym modelu sporządzonym przez komputer „Cerberusa”. Jeśli skończą przed końcem dnia, będą mogli przystąpić do przekopania ostatnich pięćdziesięciu stóp dzielących ich od komnaty ze skarbem.

Hatch, który wpatrując się w lśniące czeluści, nadal bił się z myślami po przeczytaniu listu od Claire, w pewnej chwili dostrzegł jakiś ruch: to Neidelman wjeżdżał na górę w mechanicznej windzie. Stała przy nim Bonterre, która obejmowała własne ramiona, jakby było jej zimno. Światła szybu i opary sodu nadały włosom kapitana barwę złota.

Hatch był ciekawy, po co kapitan chciał się z nim spotkać. Może ma zajady, zażartował gorzko w myślach. Prawdę mówiąc, nie byłby zdziwiony, gdyby rzeczywiście okazało się, że chodzi o problem natury zdrowotnej. Nigdy przedtem nie widział, żeby ktoś pracował tak ciężko i funkcjonował bez snu tak długo, jak Neidelman przez kilka ostatnich dni.

Kapitan wszedł na platformę, po czym wspiął się po drabinie do Orthanca. Jego zabłocone buty zostawiały ślady na metalowej podłodze. Bez słowa stanął przed Hatchem. W ślad za kapitanem weszła Bonterre. Hatch spojrzał na nią. Nagle poczuł, że cały sztywnieje, zaalarmowany wyrazem jej twarzy. Oboje byli dziwnie milczący.

Neidelman odwrócił się do Magnusen.

- Sandro, czy możemy zostać na chwilę sami? Inżynier wstała i wyszła z wieży obserwacyjnej, zamykając za sobą drzwi. Neidelman wziął głęboki oddech i popatrzył na Hacha szarymi oczami.

- Lepiej się przygotuj - powiedział cicho. Bonterre milczała, patrzyła tylko na Hacha.

- Malin, znaleźliśmy twojego brata.

Hatch poczuł, jakby nagle znalazł się zupełnie gdzie indziej, jakby coś wyrwało go z otaczającego go świata i rzuciło bardzo daleko.

- Gdzie? - zdołał zapytać.

- W głębokiej pieczarze, pod sklepionym tunelem. Pod kratą.

- Jesteście pewni? - wyszeptał Hatch. - Nie ma mowy o pomyłce?

- To szkielet dziecka - powiedziała Bonterre. - Dwanaście lat, może trzynaście, niebieskie szorty, czapka bejsbolówka...

- Tak - wyszeptał Hatch, siadając na podłodze. Poczuł nagłą falę zawrotów głowy, kolana zrobiły mu się miękkie. - Tak.

Na minutę w wieży zapadła cisza.

- Muszę go zobaczyć - powiedział wreszcie.

- Wiemy, że musisz - odparła Bonterre, pomagając mu wstać. - Chodź.

- W dalszej części przejścia jest wąski spadek - powiedział Neidelman. - Ostatni otwór nie jest w pełni wzmocniony. Trochę to niebezpieczne.

Hatch machnął ręką.

Ubieranie drżącego ciała w płaszcz ochronny, wchodzenie do małej elektrycznej windy, schodzenie po drabinie - kolejne minuty mijały niczym we śnie. Bolały go ręce i nogi. Gdy chwycił za poręcz windy, jego własne ręce wydały mu się w nagim świetle szybu szare i pozbawione życia. Neidelman i Bonterre, ściśnięci, stali po drugiej stronie windy. Członkowie załóg umacniających wewnątrz Water Pit spoglądali, jakby z oddali, gdy ich mijali.

Po zjechaniu na głębokość stu stóp Neidelman wyszedł z windy. Opuścili metalowy podest, weszli na ścieżkę prowadzącą w głąb tunelu. Hatch zawahał się.

- To jedyna droga - powiedział Neidelman.

Hatch wszedł do tunelu, minął dużą maszynę do filtrowania powietrza. W środku sufit tunelu został już wzmocniony wieloma metalowymi płytami, zamocowanymi za pomocą tytanowych dźwigników śrubowych. Po kilku kolejnych koszmarnych krokach Hatch na powrót znalazł się w ośmiokątnej komnacie, w której zginął Wopner. Wielki kawał skały leżał pod ścianą, zdawałoby się, że spoczywa tam od zawsze, zimny pomnik programisty i maszyna śmierci. Podwójny zestaw lewarów nadal obejmował skałę w miejscu, z którego wyciągnięto ciało Wopnera. Wnętrze kamienia i ścianę pokrywała ogromna, rdzawa w świetle lamp, plama. Hatch odwrócił wzrok.

- Tego chciałeś, prawda? - zapytał Neidelman dziwnym tonem.

Z ogromnym wysiłkiem Hatch zmusił się, by zrobić kolejny krok, minąć kamień, rdzawą plamę, podejść do studni na środku pomieszczenia. Żelazna krata została usunięta. W ciemność biegła drabina z lin.

- Nasze zespoły zajmujące się zdalnym mapowaniem dopiero wczoraj zabrały się za prace nad drugorzędnymi tunelami

- oznajmił Neidelman. - Kiedy ludzie wrócili do tej komnaty, zbadali kratę i obliczyli, że znajdujący się pod nią szyb przecina tunel biegnący od plaży. Wysłali więc na dół człowieka, żeby wszystko zbadał. Przebił się przez coś, co, jak się zdaje, pełniło kiedyś funkcję wodoszczelnych drzwi. - Zrobił krok do przodu.

- Pójdę pierwszy.

Kapitan znikł w dole drabiny. Hatch czekał. W głowie miał pustkę, czuł tylko chłodny oddech znajdującej się pod jego stopami studni. Bez słowa Bonterre wzięła go za rękę.

Kilka minut później rozległo się nawoływanie Neidelmana. Hatch podszedł do otworu, nachylił się i chwycił za poręcze wąskiej drabinki.

Studnia miała tylko cztery stopy średnicy. Hatch zszedł na dół wzdłuż szybu o gładkich ścianach, który skręcał, omijając wielką skałę. Zszedł z ostatniego szczebla i

zanurzył stopę w obrzydliwej, cuchnącej mazi. Rozejrzył się wokoło, niemal nieprzytomny ze strachu.

Znalazł się w niewielkim pomieszczeniu wykutym w twardej polodowcowej glinie. Pokój przypominał ciasny loch, ze wszystkich stron masywne kamienne ściany. Zauważył także, że jedna ze ścian nie dochodziła do samej podłogi. Prawdę mówiąc to, co wziął za ścianę, było potężnym blokiem ociosanego kamienia o przekroju kwadratu.

Neidelman skierował światło latarki pod kamień. Zaśniło słabym białym blaskiem.

Czując pulsujące skronie, Hatch zrobił krok do przodu, potem nachylił się. Odczepił własną latarkę od uprząży i zapalił ją.

Szkielet był przywalony kamieniem. Czapka Red Sox nadal wisiała na czaszce, spod daszka sterczały kępki brązowych włosów. Resztki koszulki oklejały żebra. Niżej widać było parę porwanych dżinsowych szortów, nadal trzymany przez pasek. Spod materiału sterczało jedno kościste kolano. Wysoki czerwony trampak opinał prawą stopę, podczas gdy lewa, schwytna w kamienną pułapkę, leżała wgnieciona w gumową masę.

Hatch widział, jak przez mgłę, że nogi i ramiona były solidnie popękane, z klatki piersiowej sterczały żebra, czaszka została zmiażdżona. Johnny - bo mógł to być tylko on - padł ofiarą jednej z pułapek Macallana, podobnej do tej, która zabiła Wopnera. Ale bez hełmu łagodzącego uderzenie skały śmierć musiała nadejść szybciej. Przynajmniej mógł mieć taką nadzieję.

Wyciągnął rękę i delikatnie dotknął daszka czapki. Była to ulubiona czapka Johnny'ego, podpisana przez Jima Lonborga. Ojciec kupił mu ją na wycieczce do Bostonu, tego dnia, kiedy Red Sox zdobyli proporzec. Przesunął palce, by dotknąć z czułością pukla włosów, potem wzdłuż szczęki po policzku do zgniecionej klatki piersiowej, wzdłuż kości ramion do szkieletu dłoni.

Wszystkie szczegóły dostrzegał niczym w snach: odległe, a jednak z tą dziwną intensywnością, jaka zdarza się czasami we śnie, kiedy każdy szczegół pojawia się ze swoistą jaskrawością.

Hatch tkwił nieruchomo, tuląc w dłoni przypominające ptasie kosteczki, w panującej wokół grobowej ciszy.

Hatch pokierował bączkiem „Plain Jane” obok Cranberry Neck i wpłynął do szerokiego, powolnego dorzecza rzeki Passable. Spojrzał przez ramię i skierował łódkę bliżej brzegu. Trzy mile za nim leżała Burnt Head, czerwona smuga na południowym horyzoncie. W porannym powietrzu czuć było chłód sygnalizujący koniec lata, mglistą zapowiedź zimy.

Płynął szybko, koncentrując się na tym, żeby o niczym nie myśleć.

Gdy koryto rzeki zwęziło się i w jej nurcie nie było już tak mocno czuć falowania morza, sama woda stała się spokojniejsza i bardziej zielona. Teraz mijał miejsce, które jako chłopiec ochrzcił mianem Grzędy Milionerów: rząd dostojnych dziewiętnastowiecznych „domków letniskowych”, ozdobionych wieżyczkami, gontami i skośnymi, mansardowymi dachami. Gdy przepływał obok jednego z nich, jakieś małe dziecko ubrane w staroświeckie wdzianko - fartuszek z żółtym parasolem - pomachało do niego z bujanej ławki na ganku.

W głębi ładu krajobraz złagodniał. Skaliste brzegi zamieniły się w niskie, kamieniste plaże, świerki zaś ustąpiły miejsca omszałym dębom i skupiskom brzoź. Minał zniszczony pomost, a potem osadzony na palach domek rybaka. Jeszcze jeden zakręt, i był na miejscu. Kamienna plaża, którą tak dobrze pamiętał, z jej potężnymi, niesamowitymi brzegami usypanymi z muszli ostryg i wznoszącymi się na dwadzieścia stóp w niebo. Tak jak przypuszczał, plaża była pusta. Większość mieszkańców Stormhaven i Black Harbor nie interesowała się specjalnie prehistorycznymi obozowiskami Indian czy stosami pozostawionych przez nich muszli. Profesor Horn zabrał go tam razem z bratem w ciepłe, bezchmurne popołudnie, na dzień przed śmiercią Johnny’ego.

Hatch wyciągnął bączka na plażę, po czym ze schowka na dziobie wyjął swoje sponiewierane pudełko z farbami i składane krzesło. Przez chwilę rozglądał się dokoła, aż wreszcie zdecydował się na stanowisko pod samotną brzozą. Drzewo dawało schronienie przed oślepiającym słonecznym blaskiem, a także mógł liczyć na to, że farby w cieniu nie wyschną. Umieścił pudełko z farbami i krzesło pod drzewem, po czym wrócił do łódki po składane sztalugi i teczkę.

Gdy już usiadł, zaczął uważnie przyglądać się okolicy pod kątem doboru elementów do pejzażu. Siedząc, obserwował krajobraz z innej perspektywy. Mrużył przy tym oczy, starając się lepiej rozpoznać podział kolorów i przedmiotów. Jasna szarość stosów muszli na pierwszym planie idealnie kontrastowała z leżącą w oddali fioletową masą Mount Lovell. Nie

ma potrzeby przygotowywania szkicu ołówkiem - może od razu zabrać się za malowanie akwarelami.

Otworzył teczkę i ostrożnie wyciągnął duży arkusz grubego, tłoczonego papieru. Przymocował go taśmą do sztalug, a potem z lubością przesunął palcami po czystym lnie. Kosztowna słabostka, warta jednak każdej ceny. Specjalna faktura papieru trzymała dobrze farbę i pozwalała na łatwiejsze zaznaczenie szczegółu, nawet przy malowaniu techniką mokrego nakładania, którą szczególnie sobie upodobał.

Odwinął karton chroniący poszczególne pędzle, po czym przyjrzał się z bliska tym, które wybrał: jeden z kwadratowym końcem, dwa zakrzywione, zmywak z koziego włosia i stary płaski pędzel szerokości jednej czwartej cala do suchego nakładania chmur na tło. Potem nappełnił wodą do połowy wgłębienie w palecie. Sięgnął do pudełka z farbami, wyciągnął tubkę modrego błękitu, wycisnął farbę do wgłębienia i zamieszał, złoścąc się przez moment, że jego zraniona ręka nie goiła się tak szybko, jak powinna. Zwilżył papier bawełnianą szmatką i na dłuższą chwilę zatrzymał wzrok na krajobrazie. Wreszcie wzięwszy głęboki wdech, zanurzył pędzel w farbie i nałożył niebieską plamę na dwóch trzecich szerokości górnej części arkusza.

Gdy tak pędzel pływał po papierze, nanosząc grube, szerokie plamy, Hatch czuł, jak to coś, co uwierało go gdzieś w środku niczym zawiązany ciasno supeł, zaczyna się rozluźniać. Malowanie krajobrazu miało być jego lekarstwem - oczyszczeniem. W jakiś sposób powrót w to właśnie miejsce sprawił, że poczuł się lepiej. Przez te wszystkie lata po śmierci Johnny'ego nie był w stanie wrócić do indiańskich muszli. A jednak, wracając do Stormhaven ćwierć wieku później - zwłaszcza teraz, po odkryciu ciała brata - Hatch czuł, że kończy się pewien etap. Był ból, ale istniał też i jego kres. Odnaleziono kości jego brata. Być może - gdyby umiał się zdecydować co do wyboru właściwego pomnika - wydobyto by je z ziemi, z miejsca, gdzie tak długo spoczywały. Być może znalazłby się czas i na to, by zrozumieć szatański mechanizm, który spowodował jego śmierć. Ale nawet i to było teraz mniej istotne. Mógł już zamknąć pewien rozdział i iść dalej.

Wrócił do malowania. Pora zająć się pierwszym planem. Kamyki na plaży niemal idealnie pasowały do jego żółtej ochry. Mógł wymieszać ochrę z szarością, żeby uchwycić barwę stosów muszli.

Gdy sięgał po drugi pędzel, usłyszał hałas silnika dochodzący z góry rzeki. Spojrzał w tamtą stronę i dostrzegł znajomą postać wpatrującą się w brzeg rzeki. Opalona skóra, ciemna twarz pod słomianym kapeluszem z szerokim rondem. Bonterre zauważyła go, uśmiechnęła się i zamachała, po czym delikatnie skierowała łódkę w stronę brzegu i zgasła silnik.

- Isobel! - powiedział.

Przycumowała łódkę przy plaży, potem podeszła do niego, zdejmując po drodze kapelusz i potrząsając ciemnymi, długimi włosami.

- Śledzę cię od poczty. Mają tam fajny teleskop. Obserwowałam, jak wpływasz tą swoją łódeczką do rzeki, i musiałam zaspokoić ciekawość.

Więc tak ma zamiar to rozegrać - pomyślał. Zwykła, normalna rozmowa, żadnego łzawego współczucia, żadnych mdłych nawiązań do tego, co się stało przedwczoraj. Poczł ogromną ulgę.

Machnęła kciukiem w stronę rzeki.

- Niezłe domy, tam w dole.

- Kilka bogatych nowojorskich rodzin przyjeżdżało kiedyś do Black Harbor na letnie wakacje - odparł Hatch. - Zbudowali te wszystkie domy. FDR miał w zwyczaju spędzać lato na Campobello Island, dziesięć mil na północ od tego miejsca.

Bonterre zmarszczyła brwi.

- FDR?

- Prezydent Roosevelt? Skinęła głową.

- Wy, Amerykanie, tak lubicie wymyślać skróty dla swoich przywódców. JFK. LBJ. - Otworzyła szeroko oczy. - Ale, co my tu mamy! Malarstwo! *Monsieur le docteur*, nigdy bym się nie spodziewała takiej artystycznej wrażliwości.

- Zachowaj lepiej osąd do czasu, aż zobaczysz produkt końcowy - odpowiedział, dziobiąc kamienistą plażę krótkimi uderzeniami pędzla. - Zainteresowałem się malowaniem w akademii medycznej. Pomagało mi się zrelaksować. Najbardziej polubiłem akwarele. Zwłaszcza w przypadku takich krajobrazów jak ten.

- A co to za krajobraz! - zdziwiła się Bonterre, wskazując na stosy muszli. - *Mon dieu*, ależ są ogromne!

- Tak. Te muszle, tam w dole, mają prawdopodobnie trzy tysiące lat, a te na górze pochodzą pewnie z początków siedemnastego wieku, wtedy przegnaliśmy stąd Indian. - Hatch wskazał w górę rzeki. - Wzdłuż rzeki można znaleźć kilka prehistorycznych indiańskich obozów. A na Rackitash Island znajduje się interesujące stanowisko Indian Micmac.

Bonterre oddaliła się - przeszła po pokrytym małżami brzegu rzeki i zbliżyła się do podstawy najbliższej sterty.

- Ale dlaczego zostawiali swoje muszle tylko tutaj? - zawołała.

- Nikt tego nie wie. Musieli zadać sobie sporo trudu. Pamiętam, czytałem gdzieś, że może z jakichś powodów religijnych.



Bonterre wybuchła śmiechem.

- Ach. Religijne powody. To właśnie mówimy my, archeologowie, gdy czegoś nie rozumiemy.

Hatch wybrał inny pędzel.

- Powiedz mi, Isobel - odezwał się. - Czemu właściwie zawdzięczam twoją wizytę? Z pewnością masz lepsze sposoby na spędzenie niedzieli niż śledzenie starych kawalerów, lekarzy?

Bonterre uśmiechnęła się figlarnie.

- Chciałam się dowiedzieć, dlaczego nie zaprosiłeś mnie na drugą randkę.

- Pewnie sobie pomyślałaś, że jestem cienki jak szczypiorek. Pamiętasz, co mówiłaś o nas, ludziach północy, że wyssało nam całkiem szpik z kości?

- Zgadza się. Ale nie nazwałabym cię cienkim szczypiorkiem, jeśli dobrze rozumiem to określenie. Może lepsza byłaby tu analogia kuchenna, *non!* Wszystko, czego ci potrzeba, to właściwa kobieta, która cię rozpali. - Niedbale podniosła muszlę ostrygi i wrzuciła ją, podkreślając, do wody. - Prawdziwy problem polegać będzie na tym, żeby zadbać, abyś zbyt szybko nie spłonął.

Hatch wrócił do malowania. W tej dyscyplinie Bonterre zawsze wygra.

Bonterre znów do niego podeszła.

- Poza tym bałam się, że spotykasz się z tą drugą kobietą. - Hatch podniósł wzrok. - Zaraz, jak ona się nazywa, ta żona duchownego. Twoja dawna przyjaciółka.

- Tym właśnie dla mnie jest - odpowiedział Hatch, ostrzejszym tonem niż zamierzał. - Przyjaciółką. - Bonterre przyjrzała mu się z ciekawością, on zaś westchnął. - Bardzo jasno mi to wyjaśniła.

Bonterre uniosła brwi.

- Jesteś rozczarowany. Hatch opuścił pędzel.

- Prawdę mówiąc, sam nie wiem, czego oczekiwałem po powrocie w rodzinne strony. Ale ona jasno postawiła sprawę - jeśli chodzi o nasz związek, należy on do przeszłości, nie teraźniejszości. Napisała do mnie list. Zabolało. Ale wiesz co? Ma całkowitą rację.

Bonterre spojrzała na niego i po namyśle uśmiechnęła się.

- Z czego się śmiejesz? - zapytał Hatch. - Doktor i jego sercowe problemy? Masz pewnie własną porcję grzechów na sumieniu.

Bonterre zaśmiała się głośno, unikając przynęty.

- Śmieję się z ulgą, *monsieur*. Ale najwyraźniej od początku źle mnie pan zrozumiał. - Przesunęła palcem wskazującym po wnętrzu jego nadgarstka. - Lubię grać, *comprends!* Ale złapać się dam tylko właściwemu mężczyźnie. Matka wychowała mnie na dobrą katoliczkę.

Zaskoczony Hatch gapił się na nią przez dobrą minutę. Potem znów podniósł pędzel.

- Jak się domyślam, zamknęłaś się wczoraj na cały dzień z Neidelmanem i zajmowaliście się wykresami i rysunkami.

Przy zmianie tematu po jej twarzy przebiegł cień.

- Nie - odparła, dobry humor nagle gdzieś się ulotnił. - Kapitan nie ma już cierpliwości do prowadzenia starannych badań archeologicznych. Chce pędzić, *vivement*, i do diabła ze wszystkim innym. Teraz jest na dnie szybu i przygotowuje się do wydobycia. Nie szukamy już żadnych artefaktów, nie robimy analiz stratygraficznych. Nie mogę tego znieść.

Hatch spojrzał na nią, zaskoczony.

- Pracuje, dzisiaj? - Praca w niedzielę, pod nieobecność lekarza, oznaczała złamanie przepisów.

Bonterre przytaknęła.

- Od dnia odkrycia wieży jest jak opętany. Nie sędzę, żeby spał od tygodnia, taki jest zajęty. Ale wiesz, niezależnie od całej jego żarliwości, dwa dni zajęło mu podjęcie decyzji, żeby poprosić moich robotników o pomoc w kopaniu. Wciąż mu powtarzam, że Christophe, z całą jego wiedzą na temat architektury, jest człowiekiem, którego mu potrzeba do zrekonstruowania podpór. Ale on najwyraźniej nie słucha. - Potrząsnęła głową. - Nigdy nie nadawaliśmy na tych samych falach. Ale teraz zupełnie go nie rozumiem.

Przez chwilę Hatch zastanawiał się, czy powiedzieć jej o podejrzeniach Neidelmana na temat zdrajcy, ale zdecydował, że jednak nie. Przyszło mu też do głowy, czy nie wspomnieć o znalezionych przez siebie dokumentach, ale pomyślał sobie, że może z tym poczekać. Wszystko to może poczekać. Niech Neidelman zakopie się w niedzielę na śmierć, jeśli chce. On miał dzień wolny i chciał dokończyć swój obraz.

- Pora, żebym zabrał się za Mount Lovell - powiedział, kiwając w stronę ciemnego kształtu widniejącego w oddali. Pod czujnym okiem Bonterre zanurzył pędzel w szarej farbie, wymieszał ją z odrobiną kobaltowego błękitu, po czym nałożył ciężką linię, przeciągając ją na papierze nad horyzontem. Zdjął deskę ze sztalug i odwrócił obraz do góry nogami, czekając, aż świeża farba spłynie na horyzont. Ponownie odwrócił deskę i odstawił ją na sztalugi.

- *Mon dieu!* Gdzie się tego nauczyłeś?

- Każdy fach ma swoje tajemnice - odparł Hatch, czyszcząc włosie i odkładając tuby do pudełka. Wstał. - Musi wyschnąć. Może się powspinamy?

Wdrapali się na najwyższy stos mały, miażdżąc muszle pod stopami. Z góry Hatch sięgnął wzrokiem dalej, za łodzie, w stronę rzeki. W obfitych koronach dębów hałasowały ptaki. Powietrze było ciepłe i przejrzyste: jeśli zbliżała się burza, z całą pewnością nie było tego widać. W górze rzeki nie było śladów ludzkiej bytności, tylko niebieskie zakola wody i czubki drzew, tu i ówdzie poprzecinane łąkami, ciągnące się tak daleko, jak sięgał wzrok.

- *Magnifique* - stwierdziła Bonterre. - Co za magiczne miejsce.

- Przychodziłem tu z Johnnym - powiedział Hatch. - Mój stary nauczyciel z gimnazjum czasami przyprowadzał nas tutaj w sobotnie popołudnia. Byliśmy tu na dzień przed śmiercią Johnny'ego.

- Opowiedz mi o nim - poprosiła po prostu Bonterre. Hatch usiadł, milcząc, muszle zaszurały pod jego ciężarem.

- No cóż, bardzo się szarogęsił. W Stormhaven nie było zbyt wielu dzieciaków, więc mnóstwo rzeczy robiliśmy wspólnie. Byliśmy najlepszymi przyjaciółmi, tak mi się zdaje - przynajmniej wtedy, kiedy nie był zajęty laniem mnie.

Bonterre zaśmiała się.

- Kochał wszystko, co miało coś wspólnego z nauką - nawet bardziej niż ja. Miał niesamowitą kolekcję motyli, kamieni i skamielin. Znał nazwy wszystkich konstelacji. Zbudował nawet własny teleskop.

Hatch odchylił się do tyłu i oparł na łokciach.

- Johnny dokonałby w życiu czegoś wspaniałego. Wydaje mi się, że jednym z powodów, dla których tak ciężko pracowałem, przeszedłem przez Akademię Medyczną na Harvardzie, była chęć nadrobienia tego, co się stało.

- Co musiałeś nadrabiać? - zapytała delikatnie Bonterre.

- To był mój pomysł, żeby tamtego dnia pojechać na Ragged Island - odpowiedział Hatch.

Bonterre nie powtórzyła żadnego ze zwyczajowych frazesów i znów Hatch poczuł, że jest jej za to wdzięczny. Wciągnął głęboko powietrze, i jeszcze raz, powoli wypuszczając je z płuc. Zdawało się, że z każdym oddechem uchodziły z niego zdławione, trujące uczucia, które tkwiły w nim przez tyle lat.

- Jak Johnny zniknął w tunelu - podjął - minęło trochę czasu, zanim udało mi się stamtąd wydostać. Rzecz w tym, że niewiele pamiętam. Staralem się, ale jest taki moment, który pozostaje nadal białą plamą. Pełzliśmy w dół szybu i Johnny zapalił kolejną zapałkę... A potem, pierwsza rzecz, którą pamiętam, to przybicie do pomostu rodziców. Wrócili właśnie do domu z lunchu, czy coś w tym rodzaju, i popędzili na Ragged Island, razem z połową

mieszkańców miasta. Nigdy nie zapomnę widoku twarzy ojca, który wyłonił się z wejścia do tunelu. Cały w krwi Johnny'ego. Wrzeszczał, walił pięściami w belki, płakał.

Bonterre słuchała w milczeniu.

- Spędzili tam całą noc, następny dzień i jeszcze jeden. A kiedy stało się już jasne, że Johnny nie żyje, ludzie zaczęli wracać do domów. Lekarze powiedzieli, że wnioskując z ilości krwi w tunelu, Johnny musiał umrzeć, ale tata szukał dalej. Nie zgodził się na powrót do domu. Po tygodniu prawie wszyscy dali za wygraną, ale tata tam został. Tragedia pomieszała mu w głowie. Wędrował po okolicy, schodził w głąb szybów, kopał dziury łomem i łopatą, wołał, aż tak ochrypł, że me mógł już mówić. Po prostu nie chciał opuścić wyspy. Boże, mijały tygodnie. Mama błagała go, żeby wrócił, ale nie chciał. Kiedyś, jednego dnia popłynęła do niego zjedzeniem, ale jego tam nie było. Zarządzono kolejne poszukiwania, tym razem znaleźli ciało. Ojciec pływał w jednym z szybów. Utopił się. Nikt nic nam nie powiedział. Ale ludzie zaczęli gadać o samobójstwie.

Hatch zaczął wpatrywać się liście na tle niebieskiego nieba. Nigdy nie opowiedział nikomu tak wiele, nawet nie przypuszczał, jak dużą ulgę mogło sprawić samo mówienie: niemal zapomniał o ciężarze, który towarzyszył mu tak długo.

- Zostaliśmy w Stormhaven na następne sześć lat. Myślę, że mama miała nadzieję, iż wszystko jakoś się ułoży. Ale tak się nie stało. Małe miasto, takie jak to, nigdy nie zapomina. Wszyscy byli tacy... mili. Ale nigdy nie przestali gadać. Niewiele z tego docierało do moich uszu, ale i tak wiedziałem, że gadali. I tak to trwało. Ludziom tak naprawdę nie dawało spokoju to, że nigdy nie znaleziono ciała. I sama wiesz, rodziny niektórych rybaków wierzyły w klątwę. Później dowiedziałem się, że niektórzy rodzice nie pozwalali bawić się ze mną swoim dzieciakom. Wreszcie, kiedy miałem szesnaście lat, matka nie mogła już tego dłużej znieść. Zabrała mnie na lato do Bostonu. Mieliśmy zamiar zostać tam tylko kilka miesięcy, ale potem nadszedł wrzesień i zacząłem szkołę. Minał rok, następny, a później zacząłem naukę w college'u. I już tu nie wróciłem. Aż do teraz.

Wielka czapla błękitna przeleciała nad rzeką, po czym usiadła na uschniętej gałęzi, czekając na coś.

- A potem?

- Akademia medyczna, Korpus Pokoju, *Médicins sans Frontières*, szpital Mount Auburn. I pewnego dnia twój kapitan wchodzi do mojego biura. To wszystko. - Hatch zamilkł. - Wiesz, po tym jak osuszono Water Pit i zlokalizowano miejsce, w którym skręca tunel biegnący z plaży, milczałem. Nie nalegałem, żeby od razu go zbadać. Mogłabyś sobie pomyśleć, że powinienem był nękać o to kapitana dzień i noc. Ale prawdę mówiąc, kiedy

byliśmy już tak blisko, zacząłem się bać. Nie byłem pewien, czy chcę wiedzieć, co naprawdę się wydarzyło.

- Więc żałujesz, że podpisałeś umowę z kapitanem? - zapytała Bonterre.

- Tak naprawdę to on podpisał moją umowę. - Hatch zamilkł na chwilę. - Ale nie, nie żałuję. Nawet jeśli tak było, wczorajszy dzień wszystko zmienił.

- A za tydzień lub dwa będziesz mógł przejść na emeryturę jako jeden z najbogatszych ludzi w Ameryce.

Hatch roześmiał się.

- Isobel - powiedział. - Postanowiłem przekazać pieniądze na fundację imienia mojego brata.

- Wszystkie?

- Tak. - Zawahał się. - No cóż, ciągle się jeszcze nad tym zastanawiam.

Bonterre oparła się plecami o muszlę, obserwując go sceptycznie spod przymkniętych powiek.

- Jestem dobra w ocenie charakterów, *monsieur le docteur*. Może i oddasz większość pieniędzy na tę fundację. Ale niech mnie żywcem obedną ze skóry, jeśli nie zatrzymasz dla siebie okrągłej, małej sumki. Inaczej nie byłbyś człowiekiem z krwi i kości. A ja jestem pewna, że nie lubiłabym cię tak bardzo, gdybyś nie był dość ludzki.

Odruchowo Hatch chciał zaprotestować. Ale znów się rozluźnił.

- Tak czy siak, jesteś święty - powiedziała Bonterre. - Moje plany są bardziej prozaiczne. Na przykład kupno bardzo szybkiego samochodu - i oczywiście sporo prześlę mojej rodzinie na Martynice. - Popatrzyła na niego, on zaś poczuł się zaskoczony, że szuka u niego aprobaty.

- W porządku - stwierdził. - Dla ciebie to sprawa zawodowa. Dla mnie osobista.

- Dla ciebie i dla Gerarda Neidelmana - odparła Bonterre. - Ty może i odprawilesz już własne egzorcyzmy, ale on chyba nadal walczy z demonami, *n'est-ce pas!* Skarb z Ragged Island zawsze miał w sobie dla niego specjalny czar. Jednak cała ta obsesja na temat Macallana, *c'est incroyable*. Ta sprawa - ma osobisty wymiar, jest osobistym wyzwaniem. Nie sądzę, żeby zaznał szczęścia, dopóki nie ukreśli karku temu staremu architektowi.

- Nie skreśli - poprawił leniwie Hatch.

- Wszystko jedno. - Bonterre ułożyła się wygodniej. - Niech plaga spadnie na oba ich domy.

Zamilkli, leżąc na plecach w słońcu późnego poranka. Nad ich głowami po gałęzi przemknęła wiewiórka zbierająca żołędzie, stukająca łagodnie zębami. Hatch zamknął oczy.

Jak przez mgłę dotarło do niego, że będzie musiał opowiedzieć Billowi Bannowskiemu w redakcji o odkryciu ciała Johnny'ego. Bonterre coś mówiła, ale był już zbyt senny, żeby słuchać. A potem zanurzył się w spokojnym, pozbawionym obrazów śnie.

Następnego dnia po południu Hatch otrzymał wiadomość od markizy.

W dolnym prawym rogu ekranu jego laptopa pojawiła się ikona zamkniętej koperty, sygnalizując nadejście nowej wiadomości. Ale kiedy spróbował się do niej dostać, okazało się, że połączenie z Internetem zerwało się. Hatch postanowił zrobić sobie krótką przerwę, przespacerował się na molo i odbił „Plain Jane” z jej postojowego miejsca przy pomoście. Z dała od wyspy i jej nieustępliwej mgły podłączył modem laptopa do telefonu komórkowego i bez problemu ściągnął wiadomość markizy. Co ta wyspa wyrabia z komputerami? - pomyślał.

Ponownie uruchomił silniki i skierował „Plain Jane” w stronę Ragged Island. Dziób łodzi pruł szklaną tafłę, płosząc po drodze kormorana, który zanurkował pod wodę. Wyłynął kilkadziesiąt jardów dalej, wściekle wałąc skrzydłami.

W radiu pojawiła się prognoza pogody dla marynarzy: zachmurzenie nad Grand Banks przekształciło się w silny front niskiego ciśnienia zmierzający teraz w kierunku wybrzeża w północnej części stanu Maine. Jeśli sztorm utrzyma swój aktualny kurs, jutro w południe na morze skierowana zostanie mała jednostka kontrolna. Klasyczny przykład północnego sztormu - pomyślał ponuro Hatch.

Na horyzoncie dostrzegł niezwykle dużą liczbę kutrów do połowu homarów. Rybacy wyciągali swoje pułapki. Może przed sztormem. A może z innego powodu. Wprawdzie od spotkania w Squeaker’s Cove nie widział się z Claire, jednak Bill Banns zadzwonił do niego w niedzielę po południu, żeby mu powiedzieć, iż Clay zaplanował akcję protestacyjną na ostatni dzień sierpnia.

Po powrocie do biura wypił resztki kawy i sięgnął po laptopa, ciekaw, co też napisała markiza. W typowy dla siebie sposób niepoprawna starsza pani zaczęła od opisu swoich najświeższych miłosnych podbojów młodych chłopców.

„Jest okropnie nieśmiały, ale taki słodki i chętny, żeby dogadzać, że po prostu mam na jego punkcie bzika. Włosy zwijają mu się na czole w małe brązowe loki, które robią się czarne od potu, kiedy sobie poużywa. Nie ma to jak młodzieńczy entuzjizm, prawda?”

Następnie przystąpiła do opisu dawnych kochanków i mężów oraz bardziej już konkretnych preferencji co do męskich szczegółów anatomicznych. Dla markizy poczta elektroniczna zawsze stanowiła medium do wymiany plotek i miejsce wyznań. Zgodnie z tradycją przyszła pora na wzmiankę o chronicznym braku gotówki i opis przodków, wywodzących się gdzieś z czasów Cesarstwa Rzymskiego, od samego Aleryka Wizygota.

Jednak tym razem markiza przystąpiła z niezwykłym dla siebie pośpiechem do przekazania informacji, którą wyciągnęła z katedralnych archiwów w Kadyksie. Czytając raz i drugi nadesłaną wiadomość, Hatch poczuł, że przenika go zimny dreszcz.

Ktoś zapukał do drzwi.

- Proszę wejść - powiedział Hatch, przesyłając wiadomość markizy na drukarkę. Spojrzał na robotnika, który stał w drzwiach, i zamarł.

- Mój Boże - wyszeptał, zrywając się zza biurka. - A tobie co się, do diabła, stało?



Pięćdziesiąt minut później Hatch wspinał się szybko po drodze prowadzącej do Water Pit. Promienie zachodzącego słońca lśniły na wodzie niczym pożar, zamieniając osłonę z mgieł wokół wyspy w ognisty wir.

W Orthancu nie było nikogo, jeśli nie liczyć Magnusen i pracownika technicznego zawiadującego kołowrotem. Rozległ się zgrzyt, po czym z Water Pit wyłonił się kubeł, podczepiony hakiem do grubego stalowego kabla. Hatch patrzył przez szklany luk, jak załoga na krawędzi Water Pit przeciąga kubeł na jedną stronę i przechyla nad jednym z opuszczonych tuneli. Rozległ się głośny odgłos jakby zasysania i z wnętrza kontenera wypłynęła ogromna ilość błota i ziemi. Załoga wyprostowała opróżniony pojemnik i posłała go na powrót w kierunku wlotu do szybu głównego. Pojemnik zniknął.

- Gdzie jest Gerard? - zapytał Hatch.

Magnusen monitorowała siatkę czujników u podstawy Water Pit. Odwróciła się na moment, by na niego spojrzeć, po czym wróciła do ekranu.

- Z zespołem kopiących - odpowiedziała.

Na ścianie przy kołowrocie, którym zajmował się technik, widniał rząd sześciu czerwonych telefonów połączonych komputerowo bezpośrednio z różnymi punktami na wyspie. Hatch wybrał aparat z napisem: Water Pit, przedni zespół.

Usłyszał trzy szybkie sygnały. Po chwili w słuchawce odezwał się głos Neidelmiana.

- Tak? - Hatch słyszał w tle głośne uderzenia młotów.

- Muszę z tobą porozmawiać - powiedział Hatch.

- Czy to coś ważnego? - zapytał Neidelman poirytowanym tonem.

- Tak, to ważne. Mam nowe informacje na temat miecza świętego Michała.

Na chwilę zapadła cisza, w czasie której hałas uderzeń młotów wzmógł się.

- Jeśli to konieczne - padła wreszcie odpowiedź. - Będziesz musiał tu zjechać. Jesteśmy w trakcie zakładania klamer.

Hatch odwiesił słuchawkę na widelki, założył kask i uprząż po czym wyszedł na zewnątrz i ruszył po drabinie z wieży na podest. W gęstniejącym mroku szyb lśnił jeszcze mocniej i w unoszącą się nad nim mgłą wyrzucał strumień białego światła. Jeden z członków załogi pracującej przy wejściu do szybu pomógł mu wejść do elektrycznej windy. Nacisnął przycisk, szarpnęło i mała winda ruszyła w dół.

Mijał po drodze lśniąca pajęczynę tytanowych rozperek i kabli, nie mogąc w duchu wyjść z podziwu nad jej złożonością. Winda minęła zespół sprawdzający zestaw klamer na

głębokości czterdziestu stóp. Po kolejnych dziewięćdziesięciu sekundach w zasięgu wzroku pojawiło się dno Water Pit. Wyraźnie widać było zakres wykonanych tu prac. Brud i szlam usunięto, ustawiono baterię świateł. Teraz do podstawy szybu głównego prowadził już mniejszy, umocniony z wszystkich stron szyb. Na cienkich drutach zwiślało kilka małych przyrządów i urządzeń pomiarowych - należących do Magnusa, a może Rankina. W jednym rogu dyndał kabel kołowrotu, w przeciwległym zamocowano tytanową drabinę. Hatch wyszedł z windy i zszedł po drabinie, zanurzając się w kakofonię głośnych dźwięków: uderzeń łopat, młotów, podmuchu urządzeń filtrujących powietrze.

Po pokonaniu trzydziestu stóp dotarł wreszcie do miejsca, w którym wykopaliska się kończyły. Pod okiem samotnej kamery sieci telewizyjnej przemysłowej robotnicy wykopywali rozmokłą ziemię i wrzucali ją do wielkiego kubła. Pozostali obsługiwali odsysające węże, które usuwały błoto i wodę. Neidelman z kaskiem budowlanym na głowie stał w rogu i dyrygował umieszczaniem podpór. W pobliżu kręcił się Streeter z plikiem projektów w dłoni.

Malin podszedł do nich. Kapitan skinął głową.

- Jestem zaskoczony, że nie zjechałeś wcześniej, żeby to wszystko zobaczyć - oznajmił. - Teraz, kiedy Pit jest już stabilny, mogliśmy ruszyć pełną parą z końcową fazą kopania.

Zapadła cisza, Hatch nie odpowiadał. Neidelman zwrócił na niego blade oczy.

- Wiesz, jak bardzo zależy nam na czasie - powiedział.

- Mam nadzieję, że to coś ważnego.

W ciągu tygodnia, jaki upłynął od śmierci Wopnera, kapitan ogromnie się zmienił. Zniknęła gdzieś pewność siebie, opanowanie, które wcześniej towarzyszyło mu wszędzie, gdzie tylko się pojawił

- od pierwszego dnia, kiedy przyszedł do gabinetu Hacha i spoglądał na Charles River. Z jego postaci emanowało coś, co Hatchowi trudno było opisać: błędna, niemal dzika, determinacja.

- To ważna sprawa - powiedział Hatch. - Ale prywatna. Neidelman popatrzył na niego trochę dłużej. Potem spojrzął na zegarek.

- Słuchajcie! - zawołał do mężczyzn. - Zmiana kończy się za siedem minut. Kończcie już, jedźcie na górę i powiedzcie następnej grupie, że zaczynają wcześniej.

Robotnicy odłożyli narzędzia i zaczęli wspinać się po drabinie do windy. Streeter w milczeniu stał na swoim miejscu. Wielki odsysający wąż ucichł, na powierzchnię powędrował do połowy tylko napelniony kontener, huśtając się na ciężkim stalowym kablu. Streeter nadal

się nie ruszał, bez słowa stojąc z jednej strony pomieszczenia. Neidelman zwrócił się do Hacha.

- Masz pięć minut, może dziesięć.

- Kilka dni temu - zaczął Hatch - natknąłem się przypadkiem na ukryte przez mojego dziadka papiery, dokumenty, jakie gromadził na temat Water Pit i skarbu Ockhama. Były schowane na strychu rodzinnego domu - dlatego ojciec nie zdołał ich zniszczyć. W niektórych z dokumentów były wzmianki o mieczu świętego Michała. Wynika z nich, że miecz ten stanowił jakąś potworną broń, którą rząd Hiszpanii postanowił wykorzystać przeciwko Red Nedowi Ockhamowi. Były tam i inne niepokojące stwierdzenia. Dlatego skontaktowałem się ze znajomą z Kadyksu i poprosiłem ją, żeby poszukała czegoś więcej na temat historii miecza.

Neidelman spojrział na błotnistą ziemię pod stopami i zacisnął usta.

- Można to uznać za zastrzeżoną informację. Jestem zaskoczony, że zrobiłeś coś takiego, nie konsultując się ze mną.

- Odkryła to. - Hatch sięgnął do kieszeni i podał Neidelmanowi kartkę.

Kapitan rzucił pobieżnie okiem.

- To w starohiszczańskim - powiedział, marszcząc brwi.

- Niżej znajduje się tłumaczenie mojej przyjaciółki. Neidelman oddał kartkę.

- Streść mi je.

- To tłumaczenie fragmentów. Ale opisuje odkrycie miecza świętego Michała i to, co się stało później.

Neidelman uniósł brew.

- Rzeczywiście?

- W czasie plagi czarnej śmierci bogaty hiszpański kupiec wyekspediował z Kadyksu swoją rodzinę na okręcie. Przełynęli Morze Śródziemne i przybili do nie zamieszkanego pasma Wybrzeża Barbary. Tam znaleźli ruiny starożytnej rzymskiej osady. Osiedlili się w tym miejscu z zamiarem przeczekania zarazy. Niektórzy przyjaźnie nastawieni Berberysi, członkowie miejscowych plemion, ostrzegli ich, żeby nie zbliżali się do zrujnowanej świątyni znajdującej się na wzgórzu, w oddali. Mówili, że jest przeklęta. Ostrzeżenia powtórzono kilkakrotnie. Po jakimś czasie, kiedy zaraza zaczęła słabnąć, kupiec zdecydował się na zbadanie świątyni. Może odniósł wrażenie, że Berberysi ukrywali coś wartościowego i nie chciał odpłynąć, zanim się nie przekona, co to takiego. Jak się zdaje, w ruinach za ołtarzem znalazł marmurową płytę. Pod marmurem spoczywała stara metalowa zapieczętowana skrzynia z łacińskim napisem na pieczęci. Zgodnie z umieszczoną na niej inskrypcją skrzynia

zawierała miecz, uważany za najbardziej zabójczą ze znanych rodzajów broni. Nawet spojrzenie na niego oznaczało śmierć. Skrzynię zaniecono na statek, ale Berberyści odmówili pomocy przy jej otwieraniu. Kazali kupcowi wręcz się wynosić.

Neidelman słuchał, nadal wpatrując się w ziemię.

- Kilka tygodni później, w dniu świętego Michała, znaleziono statek kupca dryfujący po Morzu Śródziemnym. Na pokładzie pełno było sępów. Nikt nie przeżył. Skrzynię znaleziono zamkniętą, ale z zerwaną ołowianą pieczęcią. Przewieziono ją do klasztoru w Kadyksie. Mnisi odczytali łacińską inskrypcję razem z dziennikiem pokładowym kupca. Zdecydowali, że miecz to - cytuję moją przyjaciółkę - „Przedmiot wyrzygany z samego piekła”. Zapieczętowali na nowo skrzynię i umieścili ją w katakumbach, pod katedrą. Dokument kończy się stwierdzeniem, że wszyscy mnisi, którzy mieli styczność ze skrzynią, zmarli.

Neidelman spojrzał na Hatcha.

- Czy ma to w jakiś sposób wpłynąć na nasze obecne działania?

- Tak - oznajmił sucho Hatch. - Zasadniczo.

- Oświeć mnie w takim razie.

- Gdzie tylko miecz świętego Michała się pojawił, niósł ludziom śmierć. Najpierw rodzina kupca, potem mnisi. A kiedy dorwał się do niego Ockham, osiemdziesięciu członków jego załogi pożegnało się z życiem na tej właśnie wyspie. Sześć miesięcy później znaleziony zostaje dryfujący statek Ockhama dokładnie w takim stanie, w jakim był okręt kupca, wszyscy nie żyją.

- Interesująca opowieść - powiedział Neidelman. - Ale nie sądzę, żeby warto było dla jej wysłuchania przerywać pracę. Nie ma z nami związku.

- I tu się mylisz. Nie zauważyłeś ostatniej plagi zachorowań wśród członków załogi?

Neidelman wzruszył ramionami.

- W tak dużej grupie zawsze pojawiają się zachorowania. Zwłaszcza kiedy ludzie są już zmęczeni, a praca niebezpieczna.

- Nie mówimy tu o symulantach. Przeprowadziłem testy krwi. Niemal w każdym przypadku ilość białych ciałek krwi jest niezwykle niska. A tylko dziś po południu jeden z członków twojego zespołu zjawił się u mnie w gabinecie z najbardziej niezwykłymi zmianami skórnymi, jakie kiedykolwiek dane mi było oglądać. Dostał okropnej wysypki i opuchlizny na ramionach, udach i w pachwinach.

- Co mu jest? - zapytał Neidelman.

- Jeszcze nie wiem. Sprawdziałem w moich spisach, ale jak do tej pory, nie byłem w stanie postawić konkretnej diagnozy. Gdybym sam się lepiej nie orientował, powiedziałbym, że to dymienie.

Neidelman spojrział na Hatcha z uniesionymi brwiami.

- Czarna śmierć? Dżuma w dwudziestym wieku? W Maine?

- Jak już powiedziałem, nie udało mi się jeszcze postawić diagnozy.

Neidelman zmarszczył brwi.

- Robisz nam krecią robotę?

Hatch wziął głęboki wdech, starając się opanować.

- Gerard, nie wiem, czym jest miecz świętego Michała. Ale to oczywiste, że jest bardzo niebezpieczny. Gdzie tylko się pojawi, niesie ze sobą śmierć. Zastanawiam się, czy postąpiliśmy słusznie, zakładając, że Hiszpanie chcieli wymierzyć go w Ockhama. Może właśnie miał go przechwycić.

- Ach. - Neidelman pokiwał głową, sarkazm zniekształcił mu głos. - Może jednak miecz jest przeklęty? - Streeter, który cały czas stał z boku, szyderczo parsknął przez nos.

- Wiesz, że nie wierzę w klątwy bardziej niż ty sam - zachnął się Hatch. - Co nie znaczy, że legenda ta nie powstała na podstawie jakiegoś faktu. Takiego jak epidemia. Miecz ma wszelkie cechy Tyfoidalnej Mary.

- I to by wyjaśniało, dlaczego kilku z naszych pracowników zachorowało na infekcje bakteryjne, podczas gdy inni zapadli na wirusowe zapalenie płuc, a jeszcze inni mają dziwne problemy z zębami. Więc jakiego rodzaju jest to epidemia, panie doktorze? Hatch popatrzył na wychudłą twarz.

- Wiem, że zróżnicowanie chorób jest zagadkowe. Rzecz w tym, że miecz jest groźny. Musimy się dowiedzieć, co to za zagrożenie i z czym się wiąże. Zanim go wyciągniemy.

Neidelman pokiwał głową, uśmiechając się chłodno.

- Rozumiem. Nie możesz stwierdzić, z jakiego powodu załoga choruje. Nie jesteś nawet pewien tego, na co choruje. Ale w jakiś sposób za wszystko odpowiedzialny jest miecz.

- Nie chodzi tylko o zachorowania - zaproponował Hatch. - Musisz wiedzieć, że zbliża się do nas silny północny sztorm. Jeśli utrzyma kurs, to w porównaniu z tym, co nas czeka, ostatnia burza będzie przypominać wiosenny deszcz. Kontynuowanie prac to czyste szaleństwo.

- Kontynuowanie prac to czyste szaleństwo - powtórzył Neidelman. - A jak zamierzasz zatrzymać kopanie?

Hatch zamilkł na chwilę, pozwalając, by jego słowa rozplynęły się w ciszy.

- Odwołując się do twojego zdrowego rozsądku - oznajmił tak spokojnie, jak tylko potrafił.

Zapadło milczenie.

- Nie - powiedział Neidelman. - Będziemy kontynuować prace.

- Twój upór nie pozostawia mi innego wyboru. Zamierzam sam zamknąć prace na ten sezon, od zaraz.

- Co takiego? Jak?

- Powołując się na dziewiętnastą klauzulę naszego kontraktu. Nikt się nie odezwał.

- Moją klauzulę, pamiętasz? - podjął Hatch. - Mam prawo zatrzymać prace, jeśli uznam, że warunki stały się zbyt niebezpieczne.

Powoli Neidelman wyciągnął z kieszeni fajkę i nałożył do niej tytoniu.

- Zabawne - powiedział cichym, śmiertelnie poważnym tonem, zwracając się do Streetera. - Bardzo zabawne, prawda, panie Streeter? Teraz, kiedy od skarbcza dzieli nas trzydzieści godzin pracy, obecny tu doktor Hatch chce zamknąć całe przedsięwzięcie.

- Za trzydzieści godzin sztorm może znaleźć się dokładnie nad nami.

- Jakoś - przerwał mu kapitan - wcale nie jestem przekonany o tym, że martwi się pan mieczem czy sztormem. A te pańskie dokumenty to średniowieczny bełkot, jeśli w ogóle są oryginalne. Nie wiem, dlaczego pan... - Zamilkł. Potem, jakby coś mu zaświtało. - Ależ, tak. Oczywiście, wiem dlaczego. Ma pan inny motyw, prawda?

- O czym mówisz?

- Jeśli się teraz wycofamy, Thalassa straci wszystko, co zainwestowała. Doskonale zdaje pan sobie sprawę z tego, że już teraz nasi inwestorzy musieli przelknąć przekroczenie budżetu o dziesięć procent. Nie wyciągną z kapelusza następnych dwudziestu milionów na roboty w przyszłym roku. Ale właśnie na to pan liczy, prawda?

- Niech mi pan nie narzuca swoich paranoidalnych wizji - powiedział ze złością Hatch.

- Och, ale to nie jest fantazjowanie, nieprawdaż? - Neidelman jeszcze bardziej zniżył głos. - Kiedy wydobył pan od Thalassy potrzebne informacje, kiedy właściwie otworzyliśmy przed panem drzwi, nic by tak pana nie uradowało, jak widok naszej porażki. A za rok będzie pan mógł tu wrócić, dokończyć robotę i zabrać cały skarb. A co najważniejsze, zdobędzie pan miecz świętego Michała. - Oczy zaślniły mu podejrzliwie. - Wszystko do siebie pasuje. Staje się jasne dlaczego. Przecież tak nalegał pan na włączenie dziewiętnastej klauzuli. Wiadomo, dlaczego psuły się komputery, pojawiały wieczne opóźnienia. Dlaczego wszystko działało na „Cerberusie”, ale fiksowało na wyspie. Wszystko pan sobie zaplanował, od samego początku.

- Z goryczą potrząsnął głową. - I pomyśleć tylko, że panu zaufałem. I pomyśleć, że to do pana właśnie przyszedłem, gdy zaświtała mi myśl o sabotażystcie w naszym gronie.

- Nie chcę oszukać cię na twoim skarbie. Gównu mnie to obchodzi. Chodzi mi tylko o bezpieczeństwo załogi.

- Bezpieczeństwo załogi - powtórzył szyderczo Neidelman. Poszukał w kieszeni pudełka zapalek, wyjął jedną i zapalił. Ale zamiast zapalić fajkę, przysunął nagle płonąca zapalną do twarzy Hacha. Hatch lekko się cofnął.

- Chcę, żeby pan coś zrozumiał - ciągnął Neidelman, wyrzucając zapalną. - Za trzydzieści godzin skarb będzie mój. Teraz, kiedy wiem, w co pan gra, Hatch, po prostu odmawiam swojego udziału. Każda próba powstrzymania mnie spotka się z reakcją siłową. Czy wyrażam się jasno?

Hatch przyjrzał się z uwagą Neidelmanowi, starając się odczytać, co działo się pod zimną maską.

- Siłową? - powtórzył. - Czy to groźba? Zapanowała długa chwila ciszy.

- To rozsądna interpretacja - odparł Neidelman jeszcze ciszej.

Hatch zebrał się w sobie.

- Jeśli jutro ze wschodem słońca - powiedział - nie znikniecie z tej wyspy, zostaniecie z niej usunięci. I daję panu moje słowo, że jeśli ktokolwiek zginie bądź zostanie ranny, zostanie pan oskarżony o spowodowanie zabójstwa przez zaniedbanie.

Neidelman odwrócił się.

- Panie Streeter? Streeter podszedł.

- Proszę eskortować doktora Hacha do przystani. Ściągnięta twarz Streetera rozciągnęła się w uśmiechu.

- Nie ma pan prawa tego robić - powiedział Hatch. - To moja wyspa.

Streeter zrobił krok do przodu i złapał Hacha za ramię. Hatch odsunął się na bok, zacisnął prawą dłoń w pięść i uderzył nią Streetera w splot słoneczny. Cios wprawdzie nie był silny, ale za to wycelowany z anatomiczną precyzją. Streeter opadł na polana z otwartymi ustami, bez tchu.

- Jeszcze raz mnie dotkniesz - Hatch zwrócił się do dyszącej postaci - a będziesz nosił po okolicy własne jaja w filizance.

Streeter podniósł się z wysiłkiem. Z jego oczu biła wściekłość.

- Panie Streeter, nie sądzę, żeby stosowanie siły było konieczne - powiedział ostro Neidelman, gdy tamten ruszył groźnie przed siebie.

- Doktor Hatch sam wróci na swoją łódź. Zdaje sobie sprawę, że absolutnie nic nie może zrobić, żeby nas powstrzymać, skoro już przejrzelśmy jego plan. I jak sądzę, zdaje sobie sprawę z tego, jak nierozsądne byłoby podejmowanie prób w tym kierunku.

Odwrócił się znowu do Hacha.

- Gram uczciwie. Spróbował pan, nie udało się. Pana obecność na Ragged Island nie jest już pożądana. Jeśli pan odejdzie i pozwoli mi dokończyć rzecz zgodnie z tym, co ustaliliśmy, nadal otrzyma pan swój udział. Ale jeśli będzie pan chciał mnie powstrzymać... - Bez słowa opuścił ręce i oparł je na biodrach, odsuwając przy okazji połę płaszcza. Hatch wyraźnie dostrzegł pistolet wsunięty za pasek.

- No, no, kto by pomyślał - powiedział Hatch. - Kapitan jest uzbrojony.

- Ruszaj się - rzucił Streeter, podchodząc bliżej.

- Sam trafię do wyjścia. - Hatch wycofał się pod przeciwległą ścianę i nie spuszczać wzroku z kapitana, wyszedł z wykopu i ruszył w stronę podstawy drabiny, gdzie z windy wysiadała właśnie kolejna zmiana robotników.



## 41

Wschodzące słońce przebiło się zza dalekich chmur i oświetliło ocean długim promieniem, podświetlając chmurę łodzi, które stłoczyły się w małej zatoce Stormhaven, od wejścia do kanału po mola.

Kolebiąc się, przez szpaler kutrów i statków płynął mały trawler, za którego sterem stał Woody Clay. Łódź skręciła gwałtownie i niemal zmiotła blaszaną boję przy końcu kanału. Przystała się kołysać i podpłynęła do wyjścia z portu - Clay był mizernym żeglarzem.

Pastor, gdy już zbliżył się do wejścia do zatoki, skręcił i zgasił silnik. Podniósł zniszczony megafon i wydał polecenia gromadzie otaczających go ludzi. Przemawiał z takim zaangażowaniem, że jego przekonanie oddawał nawet staroświecki, buczący wzmacniacz. Odpowiedziała mu seria warkotów i chrząknięć, towarzyszących zapalaniu licznych silników. Łodzie zajmujące miejsca bliżej wyjścia z zatoki rzuciły cumy, przepłynęły przez kanał i przyspieszyły. Za nimi ruszyły następne, aż całą zatokę pokryły coraz szersze kilwatery floty zmierzającej w stronę Ragged Island.

Trzy godziny później przez mgłę przedarło się światło, wpadając do przepastnego, wilgotnego labiryntu kotew i podpór, tworzących Water Pit. Rzuciło przyćmioną, upiorną poświatę na skomplikowane konstrukcje znajdujące się w wejściu do szybu.

Na najniższym poziomie, na głębokości stu osiemdziesięciu stóp, nie miało znaczenia, czy na powierzchni panował dzień czy noc. Gerard Neidelman stał przy małym podeście, obserwując załogę, która zawzięcie kopała pod jego stopami. Do południa brakowało kilku minut. Ponad odgłosami kanałów powietrznych i stukotem łańcucha kołowrotu Neidelman rozpoznał dobiegający z powierzchni hałas syren i armatek.

Nasłuchiwał przez chwilę. Potem sięgnął po przenośny telefon.

- Streeter?

- Jestem, kapitanie - dobiegł głos z Orthanca, z dwustu stóp powyżej, słaby i stłumiony przez zakłócenia.

- Proszę o raport.

- Mniej więcej dwa tuziny łodzi, kapitanie; Uformowały krąg wokół „Cerberusa”, starają się stworzyć blokadę. Pewnie im się zdaje, że tam właśnie są wszyscy. - Kolejna wiązka zakłóceń, która mogła oznaczać wybuch śmiechu. - Na pokładzie jest tylko Rogerson. Nikt więcej ich tam nie słucha. Resztę pracowników wysłałem na ląd jeszcze zeszłej nocy.

- Jakież oznaki sabotażu czy ingerencji?

- Nie, kapitanie, są dość spokojni. Robią masę hałasu, ale nie ma się czym martwić.

- Coś jeszcze?

- Magnusen odbiera na czujnikach anomalie na poziomie sześćdziesięciu stóp. To pewnie nic poważnego, druga sieć czujników nie pokazuje żadnych zmian.

- Sprawdzę. - Neidelman zastanawiał się przez chwilę. - Panie Streeter, chcę się tam z panem spotkać.

- Tak jest.

Neidelman wyszedł po drabinie z wykopu, od strony elektrycznej windy. Pomimo braku snu poruszał się energicznie, gładkimi ruchami. Wjechał windą na poziom sześćdziesięciu stóp, potem przeszedł na podest i wspinał się ostrożnie po dźwigarach do wskazującego dziewiącie czujnika. Sprawdził, czy czujnik działa bez zarzutu, i wrócił na podest w chwili, gdy Streeter wchodził na niego z drugiego końca drabiny.

- Jakieś problemy? - zapytał go Streeter.

- Nie z czujnikiem. - Neidelman wyciągnął rękę i wyłączył intercom łączący Streetera z Orthankiem. - Ale martwi mnie sprawa Hacha.

Pod nimi zahuczały urządzenia, rozległ się mechaniczny zgrzyt. Potężny kołowrót wyciągał z dna szybu kolejny ładunek ziemi i błota. Obaj mężczyźni obserwowali, jak wielki żelazny kubeł wylania się z głębin otulony skroploną parą widoczną wyraźnie w ostrym świetle mocnych lamp.

- Do komnaty ze skarbem zostało tylko osiem stóp - mruknął Neidelman, patrząc, jak pojemnik oddala się w blasku czołówki. - Dziewięćdziesiąt sześć cali.

Odwrócił się do Streetera.

- Chcę, żeby na wyspie pozostali tylko absolutnie niezbędni pracownicy. Reszta opuszcza wyspę. Niech pan im powie, co pan chce. Pretekstem niech będzie akcja protestacyjna, sztorm, wszystko jedno. Nie potrzebujemy tu gapiów w czasie, gdy będziemy wydobywać skarb. O drugiej, kiedy przyjdzie pora na kolejną zmianę, proszę odesłać też pozostałych kopaczy. Kolejna zmiana dokończy dzieła. Skarb wyciągniemy kołowrotem w kontenerze, a mieczem zajmę się osobiście. Musimy go wydobyć jak najszybciej. Czy Rogersonowi można zaufać?

- Zrobi, co mu każę, sir. Neidelman skinął głową.

- Sprowadź „Cerberusa” i mój okręt dowodzący w poblize wyspy, ale z dala od rafy. Wykorzystamy motorówki, podzielimy skarb na dwie części, tak na wszelki wypadek. - Zamilkł, jego wzrok powędrował gdzieś daleko.

- Nie wydaje mi się, żeby dał nam spokój - zaczął cicho, jak gdyby jego myśli nieustannie krążyły wokół Hacha. - Nie docenialiśmy go ani wcześniej, ani teraz. Jak już dotrze do domu, zacznie się zastanawiać. Zrozumie, że mogą minąć dni, a nawet tygodnie, zanim uzyska nakaz sądowy. A położyć na czymś łapę znaczy prawie tyle, co mieć do tego prawo. Będzie mógł sobie krzyczeć o dziewiętnastej klauzuli, aż się zapluje. Ale wtedy cały spór będzie miał już charakter czysto akademicki.

Dotknął klapy Streetera.

- I kto by pomyślał, że chciwemu draniowi mało będzie miliard dolarów? Wymyśli jakiś plan. Chcę, żebyś dowiedział się, co zamierza, i powstrzymał go. Od skarbu Ockhama dzieli nas kilka godzin i, na Boga, nie chciałbym, żeby w tym czasie spotkały nas jakieś brzydkie niespodzianki. - Nagle chwycił porządnie klapę. - I, na litość boską, cokolwiek zrobisz, nie pozwól, żeby Hatch raz jeszcze postawił swoją stopę na tej wyspie. Może narobić nam kłopotów.

Streeter popatrzył na niego beznamiętnie.

- Mam się nim zająć w jakiś specjalny sposób? Neidelman zwolnił uścisk i zrobił krok do tyłu.

- Zawsze miałem pana za twórczego i pomysłowego marynarza, panie Streeter. Zostawiam tę sprawę do pana decyzji.

Brwi Streetera uniosły się na moment, jak gdyby na coś czekał, a może był to jedynie odruch mięśni.

- Tak jest, sir. - Odpowiedział.

Neidelman pochylił się i ponownie włączył intercom.

- Bądźmy w kontakcie, panie Streeter.

Wrócił do windy. Streeter ruszył w stronę drabiny. Po chwili on także znikł.

Hatch stał na starym, szerokim ganku domu na Ocean Lane. To, co dzień wcześniej stanowiło jedynie ostrzeżenie synoptyka, szybko stawało się rzeczywistością. Ze wschodu, morzem ciągnęły ciężkie fale, tworząc poszarpaną linię fali przybojowej, rozbijającej się na rafach przy Breed's Point. Po przeciwnej stronie zatoki za bojami kanału morska piana wzbijała się raz po raz w górę wzdłuż granitowych klifów za latarnią na Burnt Head. Huk bijących fal niósł się przez zatokę w miarowych kadencjach. Niebo zasnuły brzydkie, zwisające nisko, potężne chmury złowróżbego frontu pogodowego, rosnące i zwijające się w trakcie dzikiej pogoni nad wodą. Dalej od brzegu, w okolicy Old Hump, kipiała diabelska masa spienionych fal. Hatch potrząsnął głową - jeśli same fale waliły o nagą skałę z taką siłą, uderzenie sztormu będzie zaiste piekielne.

Spojrzał w dół w stronę zatoki, do której wracało kilka jednostek z flotyli protestujących: mniejsze łodzie i wart milion dolarów statek, należące do bardziej przezornych kapitanów.

Jego uwagę przyciągnął jakiś ruch w pobliżu domu: odwrócił się i dostrzegł w uliczce znajomo wyglądającą, pękatą furgonetkę Federal Express. Furgonetka, zdecydowanie nie na swoim miejscu, podskakiwała na starym bruku. Zatrzymała się przed jego domem. Hatch zszedł z ganku, żeby podpisać pokwitowanie odbioru.

Wrócił do domu, otworzył paczkę i szybko wyciągnął ze środka płaskie, plastikowe opakowanie. Profesor Horn i Bonterre stojący przy jednym ze szkieletów na widok przesyłki zamilkli.

- Prosto z Laboratorium Anatomii Antropologicznej Instytutu Smithsonian - oznajmił Hatch, rozrywając plastikową folię. Wyciągnął ze środka spory plik komputerowych wydruków, położył go na stole i zaczął przerzucać kartki. Zapadła uciążliwa cisza. Gdy nachylili się nad wynikami, poczuli się rozczarowani. Wreszcie Hatch westchnął i opadł na najbliższe krzesło. Profesor przeszedł ciężko obok niego. Usiadł naprzeciw Hacha, oparł policzek na lasce i zaczął się w niego wpatrywać.

- Nie to, czego się spodziewałeś, jak rozumiem? - zapytał.

- Nie - odpowiedział Hatch, kręcąc głową. - Wcale nie to.

Profesor ściągnął brwi.

- Malin, zawsze zbyt szybko przyznajesz się do porażki. Bonterre podniosła wydruk i zaczęła go przeglądać.

- Nic nie rozumiem z tego medycznego żargonu - powiedziała. - Co to za okropnie brzmiące choróbska?

Hatch westchnął.

- Kilka dni temu wysłałem próbki kości tych dwóch szkieletów do Instytutu Smithsonian. Załączyłem też losowe próbki z tuzina szkieletów wykopanych w czasie prowadzonych przez ciebie prac.

- Szukając konkretnej choroby - powiedział profesor Horn.

- Tak, ponieważ coraz więcej z naszych ludzi zaczęło chorować i zastanawiam się nad tym zbiorowym grobem piratów. Pomyślałem sobie, że szkielety mogą przydać się do moich badań. Jeśli ktoś umiera na daną chorobę, zazwyczaj w jego ciele znajduje się duża liczba przeciwciał zwalczających tę przypadłość.

- Lub w jej ciele - powiedziała Bonterre. - Pamiętaj, w grobie były trzy damy.

- Duże laboratoria, takie jak Smithsonian, są w stanie przebadać stare kości i wykryć nawet małe ilości takich właśnie przeciwciał, stwierdzić, na jaką właściwie chorobę zmarła dana osoba. - Hatch zamilkł na chwilę. - Coś na Ragged Island, wtedy, i teraz, sprawia, że ludzie zaczynają chorować. Osobiście stawiam na miecz. Myślę że w jakiś sposób jest nosicielem chorób. Wszędzie, gdzie się pojawił, umierali ludzie. - Wskazał na wydruk.

- Ale według tych testów żadna para piratów nie zmarła na tę samą przypadłość. Choroby Klebsiella, Bruniere'a, pasożyt jamy ustnej, gorączka tropikalna - umierali z powodu rozmaitych schorzeń, niektóre z nich są niezwykle rzadkie. I niemal w połowie przypadków przyczyna śmierci pozostaje nieznana. Porwał plik papierów ze stołu.

- To w równym stopniu zadziwiające, jak wyniki szczegółowych testów krwi pacjentów, których oglądałem przez ostatnie dwa dni. - Podał kartkę z wierzchu pliku profesorowi Hornowi.

#### SZCZEGÓŁOWA ANALIZA KRWI

#### RODZAJ TESTU WYNIKI JEDNOSTKI

#### NIEPRAWIDŁOWE W NORMIE

WBC	2.50	tys./mm sześć.
RBC	4.02	mil./mm sześć.
HGB	14.4	gm/dm sześć.
HTC	41.2	procent
MCV	81.2	FL

MCH	34.1	PG
MCHC	30	PROCENT
RDW	14.7	PROCENT
MPV	8	FL
liczba płytek krwi	75	tys./mm sześć.
ZRÓŻNICOWANI		

E

POŁY	900	na mm sześć.
LIMFOCYTY	600	na mm sześć.
MONO	10	na mm sześć.
EOS	.30	na mm sześć.
BASO	.30	na mm sześć.

- W każdym z przypadków krew odbiega od normy, ale za każdym razem w inny sposób. Jedyne podobieństwo to niska liczba białych krwinek. Spójrzmy tutaj. Dwa i pół tysiąca komórek na milimetr sześcienny. Norma to pięć do dziesięciu tysięcy. A limfocyty, monocyty, bazofile, wszystko w dole. Jezu. Upuścił kartkę i odszedł od stołu, ciężko wzdychając.

- To była moja ostatnia szansa, by powstrzymać Neidelmana. Gdybym zdołał stwierdzić, że na wyspie znajduje się wyraźne ognisko epidemii lub jakiegoś wirusowego rozsadnika chorobowego, może udałoby mi się go przekonać, by skorzystać z moich lekarskich kontaktów i objąć to miejsce kwarantanną. Ale wśród chorób, zarówno w przeszłości, jak i teraz, brak jest wzorca epidemiologicznego.

Przez długą chwilę nikt się nie odzywał.

- A co z drogą prawną? - zapytała Bonterre.

- Rozmawiałem z moim prawnikiem. Powiedział mi, że to zwykle pogwałcenie umowy. Żeby powstrzymać Neidelmana, musiałbym zdobyć sądowy nakaz. - Hatch zerknął na zegarek.

- I nie mamy potrzebnych do tego tygodni. Przy tempie, w jakim kopią, zostało nam zaledwie kilka godzin.

- Nie można go aresztować za wkroczenie na cudzy teren?

- zapytała Bonterre.

- Formalnie nie wkroczył na mój teren. Umowa gwarantuje jemu i Thalassie prawo pobytu na wyspie.

- Rozumiem twoją troskę, ale nie ostateczny wniosek - powiedział profesor. - W jaki sposób miecz może być niebezpieczny? To znaczy poza możliwością skaleczenia się jego ostrzem.

Hatch spojrział na profesora.

- Trudno mi to wyjaśnić. Lekarze, diagnozując, wykształcają czasem coś w rodzaju szóstego zmysłu. Właśnie teraz zadziałał mój. Czuję, jestem przekonany, że miecz jest w jakiś sposób nosicielem. Ciągłe słyszymy o kłątwie ciężącej na Ragged Island. Może w jakimś sensie źródłem kławy jest właśnie ten miecz i istnieje na to jakieś racjonalne uzasadnienie.

- Dlaczego odrzucasz ewentualność, że faktycznie mamy do czynienia z kławą?

Hatch spojrział na niego z niedowierzaniem.

- Żartuje pan sobie, prawda?

- Wszechświat, w którym żyjemy, to dziwne miejsce, Malin.

- Nie do tego stopnia.

- Proszę cię tylko, żebyś zastanowił się także nad tym, co zdaje się nie do przyjęcia.

Poszukaj związku.

Hatch podszedł do okna w salonie. Wiatr zrywał z dębów liście i rzucał je na łąkę. Zaczął padać deszcz. W zatoce tłoczyło się coraz więcej łodzi - kilka mniejszych jednostek stało przy rampie, czekając na odholowanie. Białe czapki upstrzyły zatokę wszędzie, gdzie tylko sięgał wzrokiem. Zaczął się odpływ, a wraz z nim na morzu pojawiły się zdradzieckie prądy.

Hatch westchnął i odwrócił się od okna.

- Nie rozumiem tego. Na przykład, co paciorkowe zapalenie płuc i, dajmy na to, grzybica ust mogą mieć ze sobą wspólnego?

Profesor zacisnął usta.

- Pamiętam, że w tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym pierwszym, a może osiemdziesiątym drugim, przeczytałem podobną opinię epidemiologa z krajowego instytutu zdrowia.

- O co chodziło?

- Zapytał, co mięsak Kaposiego i *Pneumocystis carinii* mogą mieć ze sobą wspólnego.

Hatch odwrócił się gwałtownie.

- Niech pan posłucha, nie ma mowy, żeby to był wirus HIV. - I zanim profesor zdołał mu cierpko odpowiedzieć, Hatch zrozumiał, co miał na myśli. - Wirus HIV zabija człowieka, wyczerpując system odpornościowy - podjął. - Sprawia, że staje się on obiektem ataku każdej nadarżającej się choroby.

- Otóż to. Musisz odrzucić te bzdury na temat zarazy i zobaczyć, z czym zostaniesz.

- To może szukamy czegoś, co powoduje degradację ludzkiego systemu immunologicznego.

- Nie wiedziałam, że na wyspie było aż tyle zachorowań - powiedziała Bonterre. - Wszyscy moi ludzie są zdrowi.

Hatch odwrócił się.

- Wszyscy? Bonterre przytaknęła.

- Proszę bardzo. Widzisz? - Doktor Horn uśmiechnął się i postukał laską w podłogę. - Prosiłeś o wspólny wątek. Teraz masz do wyboru kilka.

Wstał i uścisnął dłoń Bonterre.

- Bardzo mi było miło panią poznać, *mademoiselle*. Szkoda, że nie mogę dłużej zostać. Ale wygląda na to, że będzie wiać, więc spieszno mi do domu, do mojej sherry, kapci, psa i kominka.

Profesor sięgał właśnie po swój płaszcz, kiedy na ganku zadudniły czyjeś pospieszne, ciężkie kroki. Drzwi szarpnięte porywem wiatru otworzyły się na oścież. W wejściu stanął Donny Truitt, w nie zapiętym, łopoczącym na wietrze płaszczu. Po twarzy spływały mu strumienie deszczu.

Niebo rozdarł ognisty blask, nad zatoką przetoczył się ciężki odgłos grzmotu.

- Donny? - zapytał Hatch.

Truitt złapał za swoją przemoczoną koszulę i rozerwał ją obiema rękami. Hatch usłyszał, jak profesor gwałtownie wciągnął powietrze do ust.

- *Grandé merde du noir* - wyszeptła Bonterre.

Pod pachami Truitta widać było plamy, oznaki wielkich, sączących się patologicznych zmian. Spływająca po nich woda nabierała różowozielonkawego zabarwienia. Oczy miał podpuchnięte, a nadmiar skóry przybierał niebieskoczarny odcień. Znów rozbłysła błyskawica, Truitt krzyknął coś, jego słowa zwały się z echem towarzyszącego jej grzmotu. Z trudem zrobił krok do przodu, zsuwając po drodze z głowy kaptur płaszcza.

Przez moment wszyscy stali jak sparaliżowani. Potem Hatch i Bonterre złapali Truitta pod ramiona i doprowadzili do sofy w salonie.

- Pomóż mi, Mai - wydyszał Truitt, łapiąc się za głowę obiema rękami. - Nigdy w życiu nie byłem taki chory.

- Pomogę ci - powiedział Hatch. - Ale musisz się położyć i pozwolić zbadać klatkę piersiową.

- Do cholery z klatką piersiową - wysapał Donny. - O tym mówię!



Poderwał głowę konwulsyjnym ruchem, wyrywając ją z objęć własnych dłoni, a wtedy przerażony Hatch zorientował się, że w każdej z nich trzyma pełną garść grubych, marchewkowych włosów.

Clay stał przy relingu na rufie swojego jednomotorowego trawlera. Przemoczony i bezużyteczny megafon, unieszkodliwiony przez deszcz, odstawił do przedniej kabiny. Razem z grupką sześciu protestujących znalazł na chwilę schronienie pod bokiem największego ze statków Thalassy - jednostki, którą mieli zamiar unieruchomić.

Clay przemókł do suchej nitki, ale od wilgoci o wiele bardziej dotkliwe było uczucie przegranej - gorzkiej, głębokiej przegranej. Ogromny statek „Cerberus” z nie wyjaśnionych przyczyn był wyludniony. Albo rzeczywiście nikogo na nim nie było, albo załoga otrzymała polecenie, by się nie pokazywać. Pomimo hałasu okrętowych syren i okrzyków na pokładzie nie zjawiała się nawet jedna postać. Być może popełnili błąd - pomyślał ponuro - że za cel wybrali sobie największy statek. Może powinni byli skierować się w stronę samej wyspy i zablokować pomosty. Z nich przynajmniej korzystano: mniej więcej dwie godziny wcześniej wyspę opuściło kilka wylądowanych pasażerami motorówek płynących z pełną prędkością w kierunku przeciwnym niż ich flotylla, do Stormhaven.

Spojrzał na niedobitki swojej protestującej floty. Gdy opuszczali tego ranka zatokę, czuł pełnię duchowej mocy. Był równie przekonany co do słuszności swoich poczynań jak wtedy, gdy był młodym człowiekiem. A może nawet bardziej. Był pewien, że wreszcie coś zaczyna się zmieniać dla niego i dla całego miasta. Wreszcie mógł coś zrobić dla tych dobrych ludzi. Ale gdy teraz spoglądał na sześć rozproszonych łodzi kołyszących się na wysokiej fali, przyznał sam przed sobą, że protest, jak wszystko inne, co starał się uczynić dla Stormhaven, skazany był najwyraźniej na niepowodzenie.

Szef Spółdzielni Poławiaczy Homarów, Lemuel Smith, wyrzucił odbijacze i podprowadził swoją łódź do łodzi Claya. Dwie jednostki falowały i obijały się o siebie, morze wokół nich smagały strugi deszczu. Clay oparł się o burtę. Włosy oblepiały mu kanciastą czaszkę. W połączeniu z surową sylwetką przypominał wysłannika śmierci.

- Pora ruszać w drogę powrotną, wielebny - krzyknął rybak, trzymając się kurczowo łodzi. - Szykuje się solidny sztorm. Może spróbujemy raz jeszcze, po połowie makreli.

- Ale wtedy będzie już za późno - rzucił Clay na wiatr i deszcz. - Zło zostanie wyrządzone.

- Pokazaliśmy, co o tym wszystkim myślimy - stwierdził rybak.

- Lem, tu nie chodzi o danie czegokolwiek do zrozumienia

- powiedział Clay. - Jestem zmarznięty i przemoczony, tak samo jak ty. Ale musimy się poświęcić. Musimy ich powstrzymać.

Rybak pokręcił głową.

- W tej pogodzie ich nie powstrzymamy, wielebny. W każdym razie może być i tak, że ten sztorm odwali za nas robotę.

- Smith spojrział fachowym okiem do góry i zbadał niebo, potem odwrócił się w stronę oddalonego łądu, widmowego pasemka błękitu znikającego w strugach deszczu. - Nie mogę sobie pozwolić na stratę łodzi.

Clay milczał. Nie mogę sobie pozwolić na stratę łodzi. W dużym skrócie o to właśnie chodziło. Nie rozumieli, że istniały rzeczy ważniejsze od łodzi czy pieniędzy. I może nigdy nie zrozumieją. Poczł dziwne pieczenie w okolicy oczu. Zdał sobie mglście sprawę, że płacze. Nieważne - dwie łyżki więcej w oceanie.

- Nie chcę być odpowiedzialny za to, by ktokolwiek stracił swoją łódź - zdołał odpowiedzieć, odwracając się. - Wracajcie, Lem. Ja zostaję.

Rybak zawahał się.

- Z pewnością czułbym się lepiej, gdyby pastor wrócił razem z nami. Z nimi może pan powalczyć kiedy indziej, z oceanem nie można wygrać.

Clay zamachał dłonią.

- Być może przybiję do wyspy, sam porozmawiam z Neidelmanem... - Zamilkł i ukrył twarz, udając, że zajął się czymś na pokładzie.

Smith, zmartwiony, wpatrywał się w niego przez chwilę, marszcząc czoło. Clay nie był dobrym marynarzem. Ale mówić mężczyźnie, co ma robić ze swoją łodzią, to niewybaczalna obraza. Poza tym Smith dostrzegł coś w twarzy duchownego: nagłą, nie zważającą na nic obojętność. Wydawało się, że wszystko, co powie, będzie bez znaczenia.

Poklepał burtę łodzi Claya.

- W takim razie lepiej będzie, jak ruszymy w drogę. Będę monitorował kanał dziesiąty na wypadek, gdyby potrzebował pan pomocy.

Clay przyklejony do „Cerberusa”, z motorem na wolnym biegu, obserwował, jak reszta łodzi zmierza w stronę rozbujanego morza. Hałas dieslowskich silników wznosił się i opadał, niesiony podmuchami wiatru. Owinął się ciaśniej płaszczem przeciwdeszczowym. Musi utrzymać łódź w równowadze. W odległości dwudziestu jardów wznosił się, niczym stercząca z wody skała, biały kadłub „Cerberusa”. Fale ocierały się o niego bezgłośnie.

Clay mechanicznie sprawdził stan łodzi. Pompy w zęzach pracowały bez zakłóceń, wyrzucając na bok solidne strumienie wody. Silnik mruczał rytmicznie, nadal miał sporo paliwa. Teraz, kiedy sytuacja była właśnie taka - gdy był sam z Wszechmocnym, jego

jedynym towarzyszem - poczuł, że nabiera niezwyklej otuchy. Może popełnił grzech arogancji, oczekując więcej od mieszkańców Stormhaven. Nie mógł polegać na nich, mógł za to polegać na sobie.

Odczekał trochę, zanim ruszył w stronę Ragged Island. On i jego łódź mieli dość czasu. Cały czas świata.

Patrzył w ślad za niedobitkami floty wracającymi do portu w Stormhaven. Ścisnął mocno ster. Wkrótce łodzie stanowiły już jedynie odległe, widmowe kształty na tle mokrej szarości.

Nie zauważył, że od wyspy oderwała się motorówka Thalassy, która wznosząc się i opadając, z silnikiem wirującym w próżni po każdym skoku, ruszyła w drogę do wjazdu cumowniczego po drugiej stronie „Cerberusa”.

Donny Truitt leżał na sofie i po przyjęciu dawki jednego miligrama lorezapamu oddychał już spokojniej. Wpatrywał się w sufit, cierpliwie mrugając, podczas gdy Hatch przystąpił do badania. Bonterre i profesor przenieśli się do kuchni, gdzie rozmawiali teraz przyciszonymi głosami.

- Donny, posłuchaj mnie - powiedział Katch. - Kiedy zauważyłeś pierwsze objawy?

- Mniej więcej tydzień temu - odpowiedział żalonym głosem Truitt. - Nie zastanawiałem się nad tym. Zacząłem budzić się z mdłościami. Kilka razy zgubiłem śniadanie. A potem na piersiach pokazała się wysypka.

- Jak wyglądała?

- Najpierw czerwone plamy. Potem trochę zgrubień. Zaczęła mnie też boleć szyja. Po bokach, jakoś tak. I zacząłem zauważać włosy na grzebieniu. Z początku tylko trochę, a potem było tak, jakbym mógł sobie wszystkie wyciągnąć. A w mojej rodzinie nikt nigdy nie był łysy - zawsze kładli nas do grobu zarośniętych. Szczerze mówiąc, Mally, nie wiem, co powie moja żona, jak jej całkiem wyłysięję.

- Nie martw się. To nie jest męskie łysienie. Jak już zorientujemy się, co jest nie tak, zajmiemy się tym. Włosy odrosną.

- Do cholery, mam taką nadzieję - powiedział Truitt. - Zeszłej nocy zszedłem ze zmiany i poszedłem prosto do łóżka, ale rano czułem się jeszcze gorzej. Nigdy przedtem nie byłem u lekarza. Ale sobie pomyślałem, a co tam, do diabła, przecież jesteś przyjacielem, no nie? To co innego, niż pójść do kliniki czy coś w tym rodzaju.

- Jest coś jeszcze, o czym powinienem wiedzieć? - zapytał Hatch.

Donny nagle się zawstydził.

- No, mój... boli mnie coś tylek. Mam tam z tyłu wrzody albo coś w tym rodzaju.

- Odwróć się na bok - powiedział Hatch. - Zobaczę.

Kilka minut później Hatch usiadł sam w jadalni. Zadzwoił po karetkę ze szpitala. Trzeba było na nią poczekać jakieś piętnaście minut. Będzie problem, żeby Donny'ego do niej wpakować. Jak dla prawdziwego chłopaka z wioski, dla Truitta wizyta u lekarza jawiła się niczym prawdziwy koszmar, gorsza była tylko wizja szpitala.

Niektóre z symptomów przypominały to, na co narzekali inni pracownicy: apatia, nudności. Ale podobnie jak w pozostałych przypadkach, niektóre dolegliwości Donny'ego były wyjątkowe. Hatch sięgnął po swój zaczytany egzemplarz podręcznika Mercka. Kilka minut lektury potwierdziło przygnębiająco prostą diagnozę: Donny cierpiał na chroniczny

zapalny obrzęk skóry. Rozległe ziarniste obrażenia skóry, ropne guzy gruczołów limfatycznych, jasne jak słońce. Wrzody sprawiały, że taka diagnoza była niemal nieunikniona. Ale choroba ta miała zazwyczaj charakter dziedziczny - pomyślał Hatch. Niezdolność białych krwinek do zwalczania bakterii. Dlaczego dała znać o sobie właśnie teraz?

Odłożył książkę i wrócił do salonu.

- Donny - powiedział. - Obejrzę sobie jeszcze raz skórę na twojej głowie. Chcę zobaczyć, czy włosy wychodzą ci dużymi kępami.

- Jak będą jeszcze choć trochę większe, to zostanę łysy jak Kojak. - Truitt ostrożnie dotknął dłonią głowy, a wtedy Hatch dostrzegł brzydką ranę, której wcześniej nie zauważył.

- Opuść na chwilę rękę. - Podwinął rękaw koszuli Truitta i zbadał jego nadgarstek. - Co to jest?

- Nic. Zwykle zadrapanie. Z szybu.

- Trzeba oczyścić ranę. - Hatch sięgnął po torbę z przyborami, przemył rozcięcie roztworem soli fizjologicznej, nałożył świeżą maść antybakteryjną. - Kiedy to się stało?

- Zaciąłem się ostrym końcem tytanu, jakeśmy montowali te fikuśne drabiny w Water Pit.

Hatch spojrzał na niego zaskoczony.

- Ale to było ponad tydzień temu. Rana wygląda na świeżą.

- Nie znam się na tym. Cholerstwo ciągle się otwiera. Moja pani kładzie mi na to co wieczór mazidło, przysięgam.

Hatch przyjrzał się dokładniej.

- Nie jest zainfekowana - powiedział. A potem: - A jak twoje zęby?

- Zabawne, że o to pytasz. Dopiero co wczoraj zauważyłem, że jeden z tylnych trochę się kiwa. Coś mi się zdaje, że się starzeję.

Wypadanie włosów, zębów, zahamowanie procesów gojenia. Zupełnie jak u piratów. Piraci cierpieli też na inne dolegliwości, nie związane z tymi chorobami. Ale te trzy objawy były akurat wspólne. Podobnie jak w przypadku niektórych robotników zatrudnionych przy kopaniu.

Hatch potrząsnął głową. Wszystkie trzy stanowiły klasyczne symptomy wskazujące na szkorbut. A jednak pozostałe dziwne objawy wykluczały szkorbut. A przecież coś w nich wszystkich zdawało się cholernie znajome. Jak powiedział profesor, zapomnij o pozostałych chorobach, odrzuć je wszystkie, zobacz, z czym zostaniesz. Nieprawidłowa ilość białych krwinek. Utrata włosów, zębów, opóźnianie gojenia, nudności, osłabienie, apatia...

Nagle wszystko stało się przeraźliwie jasne.

Hatch zerwał się szybko.

- O Jezu... - zaczął.

Wszystkie kawałki układanki znalazły się na swoim miejscu. Stał nieruchomo niczym rażony piorunem, sparaliżowany tym, co mogło nastąpić.

- Przepraszam cię na minutę - powiedział do Truitta, przykrywając go kocem i odwracając się od sofy. Spojrzał na zegarek: siódma. Za niespełna kilka godzin Neidelman dotrze do skarbcza.

Odetchnął kilka razy głęboko, czekając, aż ziemia pod jego stopami przestanie się kołysać. Potem podszedł do telefonu i wybrał numer centrali na wyspie automatycznie przekazującej rozmowy na telefony komórkowe.

Wyłączona.

- Cholera - mruknął sam do siebie.

Sięgnął do torby lekarskiej i wyciągnął awaryjny przekaźnik radiowy. Na wszystkich kanałach Thalassy słyhać było jedynie zakłócenia.

Zatrzymał się na chwilę, myśląc gorączkowo, starając się rozważyć wszystkie opcje. Równie szybko zdał sobie sprawę, że zostało mu tylko jedno wyjście.

Wszedł do kuchni. Profesor zdążył rozłożyć na kuchennym stole z tuzin grotów strzał i opisywał właśnie Bonterre indiańskie siedliska na wybrzeżu. Spojrzała znad stołu, podekscytowana, ale na widok Hatcha zrzędnęła jej mina.

- Isobel - powiedział cicho. - Muszę płynąć na wyspę. Zadbasz o to, żeby Donny wsiadł do karetki i dotarł do szpitala?

- Płyniesz na wyspę? - krzyknęła Bonterre. - Oszalałeś?

- Nie mam czasu na wyjaśnienia - rzucił Hatch, podchodząc do szafy w holu. Za swoimi plecami usłyszał szuranie odsuwanych krzeseł, to Bonterre i profesor wstali, żeby do niego podejść. Otworzył drzwi szafy, wyciągnął dwa wełniane swetry i zaczął się ubierać.

- Malin...

- Przykro mi, Isobel. Wyjaśnię ci później.

- Jadę z tobą.

- Nie ma mowy - oznajmił Hatch. - To zbyt niebezpieczne. I tak musisz tu zostać i dopilnować, żeby Donny znalazł się w szpitalu.

- Nie jadę do żadnego szpitala - doleciał głos z sofy.

- Wiesz już, o co mi chodzi? - Hatch włożył sztormowe ubranie i wepchnął czapkę do kieszeni.

- Nie. Znam morze. Żeby dostać się na wyspę w taką pogodę, potrzebne są dwie osoby, dobrze o tym wiesz. - Bonterre zaczęła wyciągać ubrania z szafy: grube swetry, ubranie sztormowe ojca Hacha.

- Przykro mi - powiedział Hatch, nakładając parę wysokich butów.

Poczuł na ramieniu czyjąś dłoń.

- Dama ma rację - stwierdził profesor. - Nie wiem, o co w tym wszystkim chodzi, ale wiem, że nie uda ci się samodzielnie sterować, nawigować i przybić do brzegu łodzią w taką pogodę. Wsadzę Donny'ego do karetki i pojedę z nim do szpitala.

- Słyszeliście mnie? - zawołał Donny. - Nie wsiadam do karetki.

Profesor odwrócił się i przytwierdził go twardym spojrzeniem.

- Jeszcze jedno słowo, a wylądujesz na noszach przywiązany pasami... jak wariat. W ten czy inny sposób pojedziesz do szpitala.

Zapadła chwila ciszy.

- Tak, proszę pana - odpowiedział Truitt. Profesor spojrzał na nich i mrugnął.

Hatch chwycił latarkę i odwrócił się, żeby spojrzeć na Bonterre. Jej pełne determinacji oczy spoglądały na niego spod kaptura za dużego żółtego przeciwdeszczowego płaszcza.

- Potrafi tyle co i ty - powiedział profesor. - Szczerze mówiąc, może i więcej.

- Dlaczego to robisz? - zapytał cicho Hatch.

W odpowiedzi Bonterre wsunęła dłoń pod jego żółty łokieć.

- Bo jesteś kimś wyjątkowym, *monsieur le docteur*. Wyjątkowym dla mnie. Nigdy bym sobie nie wybaczyła, gdybym teraz została tutaj, a tobie coś by się przydarzyło.

Hatch wyszeptał profesorowi zalecenia co do leczenia Truitta, po czym wybiegli w zacinający deszcz. W ciągu minionej godziny burza dramatycznie przybrała na sile. Oprócz wycia wiatru i odgłosu smaganych drzew Hatch słyszał huk fal na Atlantyku wałących w przylądek, huk tak niski i potężny, że odbierało się go bardziej żołądkiem niż uchem. Pędzili przez spływające potokami wody ulice pełne domów z zatrzaśniętymi okiennicami, światła lśniły słabo w przedwczesnych ciemnościach. Choć ubrany w sztormiak, już po minucie Hatch był kompletnie mokry. Gdy zbliżyli się do przystani, niebo rozdarł niewiarygodny niebieski błysk, zaraz po nim rozległ się trzask grzmotu. Hatch usłyszał, jak od uderzenia piorunem zwałił się portowy transformator. W jednej chwili całe miasto pogrążyło się w ciemnościach.

Dotarli na nabrzeże. Ostrożnie zeszli po trapie na pływający dok. Wszystkie bączki były przymocowane do dygoczącej platformy. Hatch wyciągnął z kieszeni nóż, uwolnił swoją łódkę i z pomocą Bonterre spuścił ją na wodę.



- Może nas nie udźwignąć - powiedział Hatch, wchodząc do środka. - Wrócę po ciebie.

- No chyba - odparła Bonterre, wyglądająca komicznie w za dużym swetrze i sztormiaku.

Nie zwracając sobie głowy uruchomieniem silnika, Hatch przeciągnął wiosła przez dulki i powiosłował w stronę „Plain Jane”. Woda w zatoce nadal była dość spokojna, ale wiatr wytworzył strome wyłomy między falami. Bączkiem rzucało niebezpiecznie w górę i w dół, gdy spadał i unosił się w rowach fal. Hatch wiosłował odwrócony plecami w kierunku morza. Widział zarysy miasta, niewyraźne na tle pociemniałego nieba. Jego wzrok przyciągnęła wąska, wysoka wieża probostwa, drewniany palec skierowany w ciemność. Rozbłysła jaskrawa błyskawica. W blasku, który na moment zapłonął, Hatch dostrzegł, albo tak mu się zdawało, Claire - w żółtej spódnicy, zjedną ręką opartą na ramie otwartych drzwi, wpatrującą się w morze w jego kierunku - potem znów zapanowały ciemności.

Łódka grzotnęła o burtę „Plain Jane”. Hatch przymocował ją do sterburty i wspiął się na pokład. Przygotował silnik do odpalenia, po czym zmówił krótką modlitwę i szarpnął za rozrusznik. „Plain Jane” zagrała. Wyciągając kotwicę, Hatch raz jeszcze poczuł wdzięczność za to, że trafiła mu się tak wspianiała krypa.

Podkreślił silnik i przesunął się koło doku, z zadowoleniem widząc, jak Bonterre, pomimo ciężkiego ubioru, wskakuje na pokład ze zręcznością godną prawdziwego żeglarza. Zapięła kamizelkę ratunkową, którą jej rzucił, schowała włosy pod kapturem. Hatch sprawdził busolę i spojrzał w morze, w stronę dwóch świetlnych boi na środku kanału oraz boi z dzwonem przy wejściu do zatoki.

- Kiedy wpłyniemy na ocean - powiedział - mam zamiar ruszyć na skos, przecinając morze, z połową mocy silnika. Będzie brykać jak cholera, więc lepiej dobrze się czegoś chwycić. Trzymaj się blisko, na wypadek gdybym potrzebował twojej pomocy za sterem.

- Jesteś głupi - odpowiedziała Bonterre, która pod wpływem napięcia zrobiła się drażliwa. - Wydaje ci się, że takie sztormy zdarzają się tylko u wybrzeży Maine? Chcę wiedzieć, po co ta cała szalona eskapada.

- Powiem ci - odparł Hatch ze wzrokiem wbitym w morze. - Nie będziesz zadowolona.

Clay wpatrywał się w wyjące ciemności, mocując się z kołem sterowym obolałymi ramionami. Każdemu uderzeniu łodzi w napływające, gigantyczne fale towarzyszył druzgoczący wstrząs, przez dziób wlewała się woda, wiatr zrywał pianę z wierzchołków grzywaczy. Za każdym razem, gdy trałowiec wpłynął na szczyt fali, tylko po to, by zaraz runąć w dół w wywołującym mdłości pędzie, okna sterówki spowijała biel. W dole na chwilę zapadała nagle, bezwietrzna cisza, po czym łódź z obrzydliwym szarpnięciem ruszała w górę, i cały cykl rozpoczynał się od początku.

Dziesięć minut wcześniej, kiedy usiłował włączyć przedni reflektor, Clay zorientował się, że przepaliły się niektóre bezpieczniki i większość elektrycznych urządzeń na łodzi przestała działać. Zapasowe baterie też były do niczego - nie sprawdził ich, chociaż wiedział, że powinien był to zrobić. Teraz jego uwagę zajęło coś innego: Jakiś czas temu „Cerberus” bez ostrzeżenia podniósł kotwicę i ruszył w drogę, ignorując sygnał jego syreny. Olbrzymie białe cielsko zmierzające nieuchronnie w stronę czarnego, smaganego sztormem morza. Osamotniony, miotany dziko na wszystkie strony, przez jakiś czas płynął w ślad za nim, nawołując bez skutku, aż okręt znikł w rozszalałych ciemnościach.

Rozejrzał się po kabinie, starając się ocenić sytuację. Płynięcie za „Cerberusem” okazało się poważną pomyłką, ale dopiero teraz zdał sobie z tego sprawę. Jeśli nie zważali na niego przedtem, było jasne, że nie zrobią tego i tym razem. Ragged Island pozbawiona była jakiegokolwiek osłony, ocean niemal się gotował: wschodnia fala uderzała w odpływ, tworząc wściekle, strome zawirowania. Loran nie działał, do nawigacji miał więc tylko kompas i busolę. Starał się sterować za pomocą kompasu i w ten sposób ustalać dokładne położenie łodzi. Zdawał sobie jednak sprawę, że nie umiał dobrze nawigować, a bez światła mógł czytać kompas tylko przy świetle błyskawic. W kieszeni miał latarkę, ale jeśli chciał utrzymać ster, potrzebował do tego obu rąk.

Latarni na Burnt Head nie sposób było wypatrzeć, wiatr i fale zaś wyły tak głośno, że właściwie musiałby najechać na boję z dzwonem, żeby dosłyszeć jej dźwięk. Clay ścisnął łokciami koło sterowe i oparł się na nim, starając się zebrać myśli. Wyspa znajdowała się w odległości mniej niż pół mili. Clay wiedział, że przy takiej pogodzie nawet wytrwały marynarz miałby problemy z przeprowadzeniem łodzi przez rafy, do doków Thalassy. Ale - nawet jeśli nie był już tak zawzięcie pewny, czy chce wylądować na Ragged Island - zdecydowanie trudniej byłoby mu teraz pokonać sześć mil piekła dzielące go od Stormhaven.

Dwukrotnie zdawało mu się, że usłyszał głęboki odgłos silników „Cerberusa”. Ale dlaczego statek zmierzałby najpierw na wschód, a potem na zachód, jak gdyby czegoś szukał - czy może na coś czekał.

Sprawdził kompas w blasku błyskawicy, trzymając ster słabnącymi rękami. Łódź zdążyła opaść w kolejny rów. Nieco skorygował kurs, kierując się teraz niemal prosto na morze. Łódź zadrżała, zderzywszy się z jeszcze jednym morskim bałwanem. Nad dziobem wyrastała coraz wyższa pionowa ściana szaroczarnej wody, aż dotarło do niego, że zmiana kursu była pomyłką. Gdy fala zwała się na sterówkę, cała łódź gwałtownie wyhamowała, mocno skręcając. Woda, napierając z olbrzymią siłą, wybiła jedno z okien. Morska woda uderzyła w Claya. Starczyło mu tylko czasu na to, żeby kurczowo chwycić ster, przeciwstawiając się uderzeniu.

Łódź dygotała, opadając coraz niżej w gotującą się morską kipieli, i kiedy pomyślał już, że zatonie, poczuł z wdzięcznością, że jednak wypływa. Łódź zaczęła się wznosić, aż wreszcie morze rozstało się i spłynęło z pokładu. Gdy łódź wydostała się na powierzchnię, niebo przeszła błyskawica. Rozejrzał się po szalejącym, sztormowym oceanie. Przed nim znajdowały się spokojniejsze wody: schronienie na Ragged Island.

Clay spojrział w czarne niebo i wypowiedział kilka słów: „O Panie, niechaj będzie wola Twoja”. Na powrót podjął walkę z żywiołem, odwracając łódź ukośnie, napierając na ster, zalany kolejną falą, która wdarła się przez wybite okno. Poprowadził rozdygotaną łódź w dół fali - wpłynęli na spokojniejsze wody.

Zanim Clay zdążył odetchnąć, dotarło do niego, że powierzchnia wody była tu spokojniejsza jedynie w porównaniu z burzą, która szalała za jego plecami. Potężne fale smagały wyspę z obu stron, tworząc zawirowania na morzu. Teraz jednak był przynajmniej w stanie płynąć prosto, w stronę miejsc do cumowania. Przyspieszył, wsłuchując się w dudniącą odpowiedź silnika.

Większa prędkość najwyraźniej sprawiła, że łódź w niewielkim stopniu odzyskała stabilność. Płynęła prosto, pokonując fale, nurkując, a potem rzucając się w górę i znów nurkując. Z wybitym oknem i bez reflektora trudno mu było nawigować, i to jedynie w czasie krótkich momentów widoczności, kiedy wpływał na szczyt fal. Mglisto zdawał sobie sprawę z tego, że może byłoby mądrze trochę zwolnić, na wypadek gdyby...

Rozległ się ogluszający trzask - łódź uderzyła dnem w rafę. Clay poleciał gwałtownie na koło sterowe, łamiąc sobie nos o tylną ścianę sterówki. Fala wzbierająca na rafie przekreśliła łódź na bok. Następna obróciła ją zupełnie. Clay, prychając krwią i słoną wodą, usiłował wrócić do steru. Starał się zachować przytomny umysł. Kiedy jednak na pokład

spadła trzecia fala, silne uderzenie wyrzuciło go za burtę. Pochłonął go wszechogarniający chaos wody i wiatru.

Hatch skierował dziób „Plain Jane” do kanału. Z tyłu rozbrzmiewała brzęcząca symfonia metalowych want uderzających w maszty - łódki podskakiwały histerycznie powstrzymywane jedynie przez cumy. Dał zimny wiatr, powietrze nasycone było wodą. Spróbował: tyle samo słonej, co deszczowej wody. Widział już przedtem takie morze, w dzieciństwie. Ale nigdy nie zdobył się na tak ryzykowny krok, by na nie wypłynąć.

Ostatni raz spojrzął na brzeg i zwracając się ku morzu, przyspieszył. Minęli unoszące się na wodzie znaki „5 mil/h” i „Bez kilwaterów”, sponiewierane przez morze, zwisające na bok, jak gdyby przyznawały się do poniesionej porażki.

Bonterre stanęła z tyłu, trzymając się obiema rękami obudowy przyrządów.

- No i? - krzyknęła mu do ucha.

- Isobel, okazałem się cholernym głupcem - odkrzyknął. - Widziałem te same podstawowe objawy już z tysiąc razy. Oczywiście jak słońce. Każdy chory na raka, który kiedykolwiek poddany został naświetlaniom, wie o co chodzi.

- Naświetlaniom?

- Właśnie. Co się dzieje z tymi pacjentami? Mają nudności. Tracą energię. Wypadają im włosy. Ilość białych krwinek spada na pysk. Przy wszystkich dziwnych chorobach, które obserwowałem przez miniony tydzień, te właśnie symptomy były wspólne.

Bonterre zawahała się. Mimo oślepiającej fali oczy miała szeroko otwarte.

- Miecz świętego Michała jest radioaktywny. Pomyśl tylko. Długotrwałe wystawienie na napromieniowanie zabija komórki szpiku kostnego, właściwie zatrzymuje podział komórek. Uszkadza system immunologiczny, zamienia ciało w łatwy cel. To dlatego pracownicy Thalassy zapadali na różne dziwaczne choroby, mieszając mi w głowie. Ale brak podziału komórek oznacza też zatrzymanie procesów gojenia, powoduje wypadanie włosów. Popatrz tylko, jak wolno goiła się moja własna dłoń. Silne napromieniowanie prowadzi do osteoporozy i wypadania zębów. Wywołuje symptomy jak przy szkorbutcie.

- To może też tłumaczyć problemy z komputerami.

- Co masz na myśli?

- Błądząca radiacja wywołuje zamęt w mikroelektronice. - Bonterre spojrzała na niego przez zmrużone oczy, na jej twarzy deszcz mieszał się z morską wodą. - Ale dlaczego wybieramy się w podróż w tak morderczy sztorm?

- Wiemy, że miecz jest radioaktywny. Ale wiemy tylko to. To coś tkwiło w ołowianej skrzyni, a i tak zdołało uśmiercić każdego, kto się z nią zetknął, i to przez ostatnie siedemset

lat. Bóg jeden wie, co się stanie, jak Neidelman wyciągnie miecz z kasy. Nie możemy do tego dopuścić.

Gdy łódź wypłynęła zza osłony, jaką dawała jej Burnt Head, morze uderzyło w kadłub „Plain Jane” z siłą dzikiej bestii. Hatch zamilkł gwałtownie i zakręcił kołem sterowym, starając się płynąć ukosem w morze. W powietrzu było pełno wody i wodnego pyłu pędzonego wiatrem po morzu. Sprawdził busolę, poprawił kurs i zweryfikował wskazania lorana.

Bonterre trzymała się poręczy obiema rękami i zniżyła głowę, chroniąc się przed siekącym deszczem.

- Ale w takim razie, czym jest ten miecz?

- Bóg jeden wie. Czymkolwiek by był, to piekielnie gorący towar. A ja z pewnością nie chcę...

Nagle urwał, wpatrując się przed siebie. Z ciemności wyłoniła się biała, górująca nad łodzią ściana. Przez chwilę zastanawiał się, czy to jakiś wielki statek.

- Jezu - wymamrotał zaskoczony własnym rzeczowym tonem. - Patrz na to.

Nie był to statek. Z przerażeniem zdał sobie sprawę, że to załamujący się grzbiet potężnej fali.

- Pomóż mi utrzymać ster! - krzyknął. Pochyliwszy się do przodu, Bonterre chwyciła obiema rękami koło sterowe, podczas gdy on desperacko majstrował przy przepustnicy. Łódź uniosła się wzdłuż niemal pionowej fali, Hatch zaś ostrożnie zwiększył przepływ paliwa, starając się utrzymać łódź na kursie. Uderzyli w grzbiet morskiego bałwana, który załamał się, eksplodując białą, z niesamowitym, niskim rykiem - Hatch zaparł się na swoim stanowisku, gotowy na przyjęcie wodnej masy. Zrobił wdech.

Przez moment łódź sprawiała wrażenie zawieszony wewnątrz fali i nagle uwolniła się, by dzikim, spiralnym szarpnięciem wyskoczyć na jej wierzchołek. Hatch natychmiast przyspieszył i łódź zanurkowała w kolejne koryto z zawrotną prędkością. Gdy łódź znalazła się w osłoniętej od wiatru przepaści między dwiema falami, na krótką złudną chwilę zapanował spokój. Z ciemności wyrosła następna wielka ściana zielonej wody, upstrzona pianą.

- Za Wreck Island będzie jeszcze gorzej - wrzasnął.

Bonterre wczepiona w koło sterowe nie zawracała sobie głowy odpowiedzią, podczas gdy łódź ze zgrzytliwym trzaskiem szarpnęła się w stronę kolejnego grzywacza.

Patrząc na ekran lorana, Hatch zorientował się, że odbita fala znosi łódź na południowy wschód z prędkością dobrych czterech węzłów. Skorygował kurs, jedną ręką

kontrolując zawór przepustnicy, a drugą ster. Bonterre pomagała mu trzymać ster przy spadkach.

- Profesor miał rację - krzyknął Hatch. - Bez ciebie nie dałbym sobie rady.

Pył wodny i wiatr wyrwały długie włosy Bonterre spod sztormiaka. Falowały teraz za jej plecami olśniewającą czernią. Zarumieniła się, nie wiedząc, czy ze strachu, czy podniecenia.

Kolejna fala przetoczyła się przez łódź, on na powrót skierował wzrok w atakujący żywioł.

- Jak masz zamiar przekonać Neidelmana, że miecz jest radioaktywny? - krzyknęła Bonterre.

- Kiedy Thalassa instalowała mój gabinet, przynieśli mi do niego pełno wyszukanego sprzętu. Razem z miernikiem poziomu radiacji firmy Radmeter. To nowoczesny licznik Geigera. Nigdy nie włączyłem cholerstwa. - Hatch potrząsnął głową, gdy zaczęli wspinać się na następną falę. - Gdybym to zrobił, licznik pewnie by oszalał. Wszyscy ci chorzy kopacze, pokryci radioaktywną ziemią. Nieważne, jak bardzo Neidelman pragnie tego miecza. Z licznikiem nie będzie dyskutował.

Dosłyszał prawie zanikające dalekie dudnienie fal walących w jakąś przeszkodę po stronie sterburty: Wreck Island. Dźwięk dochodził, pokonując wiatr i okrzyki Hacha. Gdy wypłynęli z za wyspy, wichura wzmogła się. Niczym z punktu widokowego obserwował, jak „Plain Jane” wznosi się potężną białą taflą, dużo większą niż poprzednie. Wyłaniała się nad ich głowami, na jej krawędzi syczała woda. Łódź zapadła się w spokojny rów, po czym zaczęła się wznosić. Z sercem walącym w piersiach niczym młotem Hatch nieco przyspieszył, kiedy wyczuł, że fala znów podnosi łódź.

- Trzymaj się! - krzyknął, gdy dotarli na szczyt fali. Operując przepustnicą, skierował łódź prosto w masę rozwścieczonej wody. „Plain Jane” skoczyła dziko przed siebie, w dziwny, spowity półmrokiem świat, w którym zarówno powietrze, jak i morze składały się po równi z wody. I nagle byli już po drugiej stronie. Śruba zawyła bezradnie, gdy dziób opadł na spienioną, tylną taflę fali. Gdy wślizgnęli się na jeszcze jedną szklaną falę, Hatch dostrzegł, że w ciemnościach przed nimi materializuje się kolejna biała płaszczyzna, spieniona i pędząca jak szalona.

Stłumił ogarniające go powoli uczucie paniki i rozpacz. Ta fala to nie żaden kaprys. Będzie tak przez całe kolejne trzy mile.

Zaczął wyczuwać złowróżbne reakcje łodzi przy każdym jej skrucie: dziwne wibracje, opór na kole sterowym. Łódź jakby spowolniała, sprawiała wręcz wrażenie przeciążonej.

Spojrzał ku rufie, starając się zobaczyć coś przez podmuchy wiatru. Pompy w zęzach pracowały pełną parą od momentu wypłynięcia z portu, ale stara „Plain Jane” nie miała odpowiedniego urządzenia pomiarowego. Nie było innej rady, sami musieli sprawdzić poziom wody w ładowni.

- Isobel! - krzyknął, zapierając się stopą o ścianę kabiny i zaciskając dłonie na kole. - Idź do przedniej kabiny i odkręć śruby przy metalowym włazie na środku podłogi. Powiedz mi, ile wody jest w ładowni.

Bonterre otarła deszcz z oczu i pokiwała głową na znak, że zrozumiała jego polecenie. Hatch patrzył, jak czołga się przez sterówkę i otwiera drzwi do kabiny. Po jakimś czasie pokazała się w nich znowu.

- Pełna w jednej czwartej! - krzyknęła.

Hatch zaklął - musieli uderzyć w jakieś dryfujące szczątki, które wbiły się gdzieś w kadłub, a on nie poczuł uderzenia na tym rozbujanym morzu. Jeszcze raz spojrzał na loran. Dwie i pół mili od wyspy. Za daleko, żeby zawrócić. Może za daleko, żeby udało im się dopłynąć do wyspy.

- Przejmij ster! - wrzasnął. - Sprawdzę bączka. Przeczłogał się ku rufie, trzymając desperacko obiema rękami poręczy burty.

Bączek płynął cały czas za nimi, podskakując niczym korek na końcu liny. Był stosunkowo suchy, gdyż kadłub „Plain Jane” brał na siebie lwią część rozgniewanego morza. Suchy czy nie, Hatch miał nadzieję, że nie będzie zmuszony go użyć.

W tej samej chwili, gdy przejął ster od Bonterre, poczuł, że łódź zrobiła się znacznie cięższa. Dłużej zabierało jej przebicie się przez masę wody, która wbijała ich w morskie dno.

- W porządku? - zawołała Bonterre.

- Na razie tak - odpowiedział. - A co z tobą?

- Boję się.

Łódź raz jeszcze zapadła w wodne koryto, w tę samą niesamowitą ciszę. Zaciskając rękę na przepustnicy, Hatch w napięciu czekał, aż zaczną się wznosić. Ale ten moment nie nadchodził.

Hatch czekał. Wreszcie zaczęło się, ale tym razem wolniej. Przez chwilę miał nadzieję, że loran nie działa i że znaleźli się już pod osłoną wyspy. A potem usłyszał dziwne dudnienie.

Wysoko nad jego głową, niczym gładki, himalajski szczyt, wznosiła się ściana wody. Na jej wierzchołku bulgotała fala przyboju, warcząca i sycząca niczym żywe zwierzę.

Bonterre wyciągnęła szyję i też ją zobaczyła. Żadne z nich nie powiedziało słowa.



Łódź uniosła się, niemal wznosząc się w nieskończoność, woda stopniowo wypełniała powietrze, hucząc niczym wodospad. Gdy uderzyli w szczyt fali, nastąpił potężny wstrząs - łodzią rzuciło w przód, potem w tył, pokład stanął w pionie. Hatch poczuł, jak stopy zaczynają mu się ześlizgiwać z podłogi. Złapał się czegoś w rozpaczliwym odruchu. Czuł, jak uścisk wody przemieszcza się, okręcając łodzią na boki.

Potem koło sterowe nagle się poluzowało. Gdy ucichł ryk wody, dotarło do niego, że łódź tonie.

„Plain Jane” opadła na bok i zaczęła szybko iść na dno, zbyt pełna wody, by móc się wyprostować. Hatch spojrział na rufę. Bączek nabrał trochę wody, ale nadal unosił się na powierzchni.

Bonterre powiodła oczami w ślad za wzrokiem Hacha i skinęła głową. Trzymając się kurczowo jeszcze nie zatopionej burty, po pas w skotłowanej wodzie, zaczęli przemieszczać się na rufę. Hatch wiedział, że po wielkiej fali zazwyczaj pojawia się kilka mniejszych. Mieli dwie minuty, może trzy, żeby dostać się do bączka i uwolnić z uwięzi „Plain Jane”, zanim ta pociągnie ich za sobą.

Trzymając się relingu, Hatch nabrał powietrza. Przewaliła się nad nimi fala, potem druga. Poczuł, że trzyma teraz burtę przy rufie. Macając na oślep w zimnym oceanie, zlokalizował cumę. Puścił burtę i zaczął przesuwac się po linie, młóćąc gorączkowo wodę, aż poczuł, że kopnął w burtę łódki. Wdrapał się do środka, opadł ciężko na dno, a podnosząc się, spojrział do tyłu, szukając wzrokiem Bonterre.

Trzymała się kurczowo rufy, „Plain Jane” była już niemal całkiem pod wodą. Złapał za cumę i zaczął przyciągać łódkę do burty. Uniosła go kolejna wielka fala, dusząc słonym wodnym pyłem. Nachylił się, złapał Bonterre pod ramiona i wciągnął ją do łódki. Gdy fala opadła, „Plain Jane”, odwracając się do góry dnem, zaczęła tonąć.

- Musimy odciąć cumę! - krzyknął Hatch. Sięgnął do kieszeni, wyciągnął nóż i zaczął rozpaczliwie ciąć linkę. Bączek wskoczył na kolejną falę. „Plain Jane” zwróciła się rufą w stronę atramentowego nieba i znikła z głośnym sykiem zasysanego powietrza.

Bez chwili wahania Bonterre chwyciła za czerpak i żywo przystąpiła do pracy, chcąc odciążyć dno bączka. Hatch przeszedł na rufę, szarpnął za rozrusznik. Silnik kaszlnął, parsknął, a potem cienko zachrypiał. Zostawiwszy silnik na luzie, Hatch zaczął szybko machać drugim czerpakiem. Nie miało to jednak większego sensu: wraz z zatonięciem „Plain Jane” maleńka łódeczka wzięła na siebie całą siłę sztormu. Przez burtę dostawało się więcej wody, niż byli w stanie wylać.

- Musimy zmienić kurs od morza - powiedziała Bonterre. - Wylewaj wodę. Ja zajmę się łódką.

- Ale...

- Do roboty!

Bonterre przeczołgała się na rufę, wrzuciła przedni bieg i podkręciła niewielki silnik, obracając tym samym łódkę bokiem do morza.

- Na rany Chrystusa, co ty wyprawiasz?! - wrzasnął Hatch.

- Woda! - krzyknęła w odpowiedzi. Łódka podskakiwała to wprzód, to w tył, woda na jej dnie przepływała do rufy. Gdy tylko przyszła kolejna wielka fala, Bonterre zmieniła gwałtownie ustawienie przepustnicy, podnosząc łódkę do góry, poza falę. Znow odwróciła łódkę, która spłynęła po fali, niemal równolegle do tafli morza.

Robiła wszystko odwrotnie, niż wskazywała wiedza Hatcha o sterowaniu. Przerażony, rzucił czerpak i przywarł do burty. Łódka nabierała prędkości.

- Wybieraj wodę! - Bonterre sięgnęła do tyłu i otworzyła zawór na rufie. Woda wyciekła, łódka zaczęła płynąć jeszcze szybciej.

- Zabijesz nas! - wrzasnął Hatch.

- Robiłam to już przedtem! - krzyknęła Bonterre. - Surfowałam po falach jako dziecko.

Bączek mknął w dół po fali, a kiedy zaczęli wspinać się na następną, śruba cięła wodę, wyjąc przeraźliwie. Hatch, rozciągnięty na dnie łódki trzymał się kurczowo obu burt, domyślał się, że płyną z prędkością dwudziestu węzłów.

- Trzymaj się! - huknęła Bonterre. Maleńka łódka przechylała się z boku na bok, aż skoczyła przez spieniony grzbiet fali. Hatch patrzył z przerażeniem i niedowierzaniem, jak bączek na krótką, omdlewającą chwilę zawisł w powietrzu, po czym z trzaskiem uderzył w tył fali. Znalazł punkt oparcia i ruszył pędem w dół.

- Możesz zwolnić?

- Wolniej się nie da! Łódka musi się ślizgać! Hatch wyrzał zza burty.

- Ale płyniemy w złym kierunku!

- Nie bój się. Za kilka minut zawrócę.

Hatch wyprostował się i usiadł na dziobie. Widział, że Bonterre możliwie jak najdłużej trzyma się szklistych koryt fali, gdzie nie docierały wiatr i siekający deszcz, łamiąc przy okazji podstawową zasadę, zgodnie z którą nie wolno ustawiać łodzi burtą do wzburzonego morza. A jednak oszałamiająca prędkość, z jaką płynęła łódka, pozwalała jej

zachować równowagę. Udawało jej się też wybrać najlepszy moment na pokonanie następnych fal.

W jego oczach wyrosła kolejna ściana wody. Bonterre świadomie skrzyła do oporu rączkę silnika. Bączek przeskoczył przez wierzchołek fali, odwrócił się o sto osiemdziesiąt stopni i pomknął prosto w następny morski rów.

- Słodki Jezu! - krzyknął Hatch, rozpaczliwie próbując wczepić się w siedzenie na dziobie.

Gdy dostali się pod osłonę wyspy, wiatr nieco przycichł. Tutaj nie było już regularnych fal, dużo trudniejsze stało się manewrowanie małą łódką po mieszających się wodach oceanu.

- Zawracaj! - zawołał Hatch. - Powracająca fala rzuci nami o wyspę!

Bonterre zaczęła coś mówić. I zamilkła.

- Światła! - krzyknęła.

Z czeluści sztormu w odległości jakichś trzystu jardów wyłonił się „Cerberus”, którego mocne lampy na mostku i przednim pokładzie przebijały się przez ciemności. Zawracał teraz w ich kierunku, zamazując wszystko na biało. Płynął niemal spokojnie przez szalejącą burzę. Może ich dostrzegł - pomyślał Hatch. Nie, na pewno ich dostrzegł. Odebrał na swoim radarze „Plain Jane” i przybywa im na ratunek.

- Tutaj! - krzyknęła Bonterre, machając ramionami.

„Cerberus” zwolnił, ustawiając się do bączka lewą burtą. Nagle zamarli, kołysząc się, na spokojnej wodzie - cielsko okrętu osłoniło ich przed wiatrem i falami.

- Spuście trap! - zawołał Hatch.

Podskakiwali przez chwilę, czekając, ale „Cerberus” tkwił milczący i nieruchomy.

- *Vas-y, vas-y!* - krzyknęła zniecierpliwiona Bonterre. - Zamarzamy!

Wpatrując się z zadartą głową w białą superkonstrukcję, Hatch usłyszał przenikliwy jęk elektrycznego silnika. Spojrzał w stronę trapu, czekając, aż się otworzy. Jednak nadal nic się nie działo.

Powyginana błyskawica rozdarła niebo. Hatchowi zdawało się, że gdzieś w górze, nad ich głowami, dostrzegł samotną postać. Sylwetka odbijała się na tle instrumentów pokładowych i spoglądała na nich.

Jęk silnika nie cichł. Raptem zauważył, że z przedniego pokładu zmierza w ich kierunku, okręcając się z wolna, działko harpunowe.

Bonterre też się w nie gapiła, nic nie pojmując.

- *Grande merde du noire!* - wymamrotała.

- Odwróć łódź! - krzyknął Hatch.

Bonterre szarpnęła rączką silnika na sterburcie, mała łódka okręciła się. Nad ich głowami coś zaśniło, jakiś błękitny błysk. Rozległ się ostry, syczący dźwięk, a potem głośny plusk. Usłyszeli coś jakby grzmot, a z boku wytrysnął na dwadzieścia stóp w górę słup wody lśniący u podstawy mdłym pomarańczowym światłem.

- Wybuchowy harpun! - krzyknął Hatch.

Nieopodal nastąpiła kolejna, poprzedzona błyskiem eksplozja. Mała łódeczka podskoczyła ostro, po czym przechyliła się. Gdy odpłynęli od burty „Cerberusa”, znów wpadli w odmęty dzikich wód. Przed nimi nastąpił kolejny wybuch - następny harpun uderzył w wodę. Bryzgi wody siekały twarz Hacha. Rzuciło ich do tyłu, znaleźli się prawie pod wodą.

Bez słowa Bonterre ponownie okręciła łódź, przyspieszyła i ruszyła prosto na „Cerberusa”. Hatch odwrócił się, żeby ją ostrzec, kiedy dotarło do niego, co zamierza zrobić. W ostatniej chwili okręciła łódkę bokiem, uderzając mocno w potężną jednostkę. Znaleźli się przy samym kadłubie, ale za blisko, by stanowić cel dla harpunów.

- Płyniemy w stronę rufy! - zawołała Bonterre.

Kiedy Hatch pochylił się, żeby wybrać wodę z łodzi, dostrzegł coś dziwnego: wąską linię na wodzie, parszkającą i hałasującą, zmierzającą w ich stronę. Zaciekawiony znieruchomiał, żeby się przyjrzeć. Wreszcie linia dotarła do dziobu łódki i przy akompaniamencie rozdzierającego trzasku nos bączka znikł w chmurze trocin i kłębach dymu z płonącego drewna. Hatch ruszył na rufę, spojrział w górę i dostrzegł Streetera przechylonego przez poręcz statku. W rękach trzymał szrapnel i mierzył prosto w nich.

Zanim zdołał się odezwać, Bonterre znów pognała łódkę do przodu. Rozległo się demoniczne terkotanie przypominające pracę maszyny do szycia, a w miejscu, w którym jeszcze przed sekundą podskakiwała ich łódka, odłamki rozpruły taflę wody. Po chwili znów pędzili przez sztorm. Przez roztrzaskane burty podskakującej łódki wdzierła się do środka woda. „Cerberus” zaczął z hukiem zawracać. Bonterre przycisnęła rączkę do lewej burty, nieco za mocno skręcając. Skierowała łódkę w stronę pomostów na Ragged Island.

Ale na diabelskim, rozrywającym się raz po raz morzu, mała łódka nie była w stanie konkurować z mocą i prędkością „Cerberusa”. Wbijając wzrok w gęsty szkwał, Hatch widział, że olbrzymie cielsko zaczyna ich doganiać. Za minutę zostaną odcięci od przejścia między rafami, prowadzącego do przystani na wyspie.

- Płyn na rafy! - krzyknął. - Jeśli dobrze wymierzysz fale, może uda ci się przepłynąć nad skałami. Ta łódź ma tylko stopę zanurzenia.

Bonterre szarpnęła łódkę, zmieniając kurs. „Cerberus” nadal ich gonił, nieuchronnie zbliżając się i pokonując sztorm.

- Zablefuj, niech myśli, że mamy zamiar skrócić przy skałach! - zawołał.

Bonterre poprowadziła ich równolegle do raf zaraz za rozbijającymi się falami.

- Myśli, że nas dopadł! - powiedział Hatch, gdy „Cerberus” raz jeszcze zawrócił. Za burta nastąpił jeszcze jeden wybuch, przez chwilę Hatch chłonał słoną wodę. Potem wynurzyli się z wodnej mgły. Hatch spojrzał pod nogi i zorientował się, że harpun rozwalił pół lewej burty.

- Mamy tylko jedną szansę! - zawołał. - Płyn na następnej fali!

Podskakiwali przy rafie przez nieskończenie długą chwilę. Hatch krzyknął:

- Teraz!

Gdy Bonterre skierowała zrujnowaną łódkę w gotujące się nad skałami wodne piekło, nastąpił kolejny potężny wybuch. Hatch usłyszał dziwne chrupnięcie i poczuł, jak coś wyrzuca go bezlitośnie w powietrze. Wszystko zamieniło się w bulgoczącą kipieli, kawałki desek i cichnące bulgotanie pędzących do góry baniek powietrza. Poczuł, że ściąga go w dół, coraz niżej i niżej. Przez chwilę ogarnęło go przerażenie. Potem zapanował prawdziwy spokój.

Woody Clay poślizgnął się na wysłanej wodorostami ścieżce, stłukł sobie łydkę i bliski był już użycia imienia Pana nadaremnie. Skały wzdłuż brzegu były śliskie i pokryte algami. Zdecydował, że bezpieczniej będzie się czołgać.

Bolały go kończyny, ubranie miał w strzępach, ból nosa był gorszy od wszystkiego, co tylko mógł sobie wyobrazić, i zmarzł tak bardzo, że niemal cały zdrętwiał. A jednak po raz pierwszy od wielu lat czuł, że naprawdę żyje. Niemal zapomniał, jak to jest nieść w sobie to dzikie, radosne duchowe ożywienie. Fakt, że protest się nie powiódł, nie miał już takiego znaczenia. Tak naprawdę, wcale nie zakończył się porażką. Znalazł się na tej oto wyspie. Niezbadane są ścieżki Boże, ale najwyraźniej ta przywiodła Claya na Ragged Island z jakiegoś konkretnego powodu. Miał tu coś do zrobienia, zadanie najwyższej wagi. Tylko jeszcze dokładnie nie wiedział co. Ale był pewien, że gdy nadejdzie właściwa chwila, cel misji zostanie przed nim odkryty.

Wdrapał się poza granicę przypliwów. Tutaj grunt był już lepszy, wstał więc, wykaszając z płuc resztki morskiej wody. Z powodu zmasakrowanego nosa każde kasznięcie oznaczało niesamowity ból. Ale wielebny nie zważał na to. Czy to nie święty Wawrzyniec powiedział, przypiekany żywcem przez Rzymian nad paleniskiem pełnym rozpalonych węgli: „Obróć mnie, Panie. Przysmaż z drugiego boku”.

Jako dziecko, gdy reszta chłopców czytała opowieści niesamowite Hardy’ego Boya i biografie Babe Ruth i Ty Cobba, ulubioną książką Claya była *Ksiąga męczenników* Foksa. Jeszcze dziś, będąc duchownym kościoła kongregackiego, nie widział nic złego w swobodnym cytowaniu z opisów żywotów katolickich świętych czy jeszcze swobodniej z opisów ich śmierci. Wszak byli to ludzie obdarzeni błogosławieństwem wizji oraz odwagą, zdolni przetrwać, nieważne, za jaką cenę. Clay był pewien, że ma taką odwagę. Tym, czego ostatnio mu brakowało, była wizja.

Teraz musiał znaleźć sobie schronienie, ogrzać się i pomodlić o objawienie celu.

Rozejrzał się uważnie po szarym brzegu smaganym podmuchami wiatru i siekanym deszczem. Po prawej, w ciemnościach, widać było skupisko dużych skał - takich jak te, które rybacy zwykli nazywać Wielorybimi Grzbietami. Za skałami znajdowała się sztuczna, sucha laguna, utworzona przez grodzę postawioną przez Thalassę. Jednak odsłonięte dno morza nie było całkiem suche. Zauważył z satysfakcją, że fale nieustępliwie atakowały grodzę. Kilka słupów wygięło się, a jedna z płyt ze zbrojonego betonu się wypaczyła. Każde uderzenie fal wyrzucało potężną fontannę wodnego pyłu, która przelatywała nad betonową ścianą.

Clay wdrapał się na gliniasty brzeg i znalazł schronienie za dużym, usypanym z ziemi wałem, pod zwisającymi korzeniami jakichś drzew. Znow się wyprostował i zaczął spacerować wzdłuż podstawy ziemnego wału, szukając jakiegoś osłoniętego od wiatru miejsca. Nikogo nie zauważył i nikogo nie usłyszał. Być może wyspa była jednak pusta: wszyscy łupieżcy ewakuowali się przed sztormem, rozpierzchli się niczym lichwiarze uciekający ze świątyni.

Znalazł się na wzniesieniu. Za krawędzią urwiska leżała ta część wyspy, która zwrócona była w stronę morza. Nawet stąd słychać było, z jaką mocą uderzały fale. Gdy obszedł wzniesienie, jego wzrok przykuł fragment żółtej, policyjnej taśmy, której jeden koniec trzepotał szaleńczo na wietrze. Ruszył przed siebie. Za taśmą znalazł zespół trzech umocnień wykonanych z jakiegoś lśniącego metalu, za nimi zaś ciemny, poszarpany otwór prowadzący w głąb wału. Manewrując między taśmą a umocnieniami, Clay wszedł do otworu, pochylając równocześnie głowę, by zmieścić się pod niskim stropem.

Wewnątrz odgłos walących fal nagle ucichł, zrobiło się przytulnie i sucho. Nie było ani zbyt ciepło, ani bardzo zimno. Sięgnął do kieszeni i wyjął z niej małą paczkę z zestawem przedmiotów pierwszej potrzeby: latarkę, plastikowym pudełkiem zapalek, miniaturową apteczką. Poświecił latarką po ścianach i suficie. Znajdował się w jakimś małym pomieszczeniu, które przechodziło po przeciwnej od wejścia stronie w wąski tunel.

Wszystko to było bardzo interesujące. Ogarnęło go zadowolenie. W pewnym sensie został do owego tunelu przywiedziony. Nie wątpił, że miejsce, w którym się znalazł, połączone było w jakiś sposób z konstrukcjami, które podobno pokrywały siecią cały środek wyspy. Poczul, że dreszcze nasiliły się. Zdecydował więc, że najpierw musi rozpalic ogień i choć trochę się wysuszyć.

Zebrał nieco kawałków drewna naniesionych do jaskini przez morze, odkręcił wieczko owalnego pojemnika i odwrócił. Na dłoń wypadła sucha zapalka. Uśmiechnął się ze stłumionym poczuciem triumfu. Zabierał ze sobą te wodoodporne zapalki na każdą wyprawę łodzią, od przyjazdu do Stormhaven. Oczywiście Claire żartowała sobie z niego na temat tych zapalek, i choć były to tylko dobroduszne żarty w jej stylu, napelniały one goryczą ukryte przed wszystkimi żywymi stworzeniami miejsce w jego sercu. A teraz to właśnie pudełko zapalek miało odegrać rolę w wyznaczonym mu planie.

Po chwili nieduże ognisko rzucało wesołe cienie na ściany jego schronienia. Za wejściem do tunelu szalała burza. Jego gniazdko pozostawało niemal nietknięte. Ból w nosie przeszedł w tępe, miarowe pulsowanie.

Clay przysunął się bliżej ognia, ogrzewając dłonie. Wiedział, że niedługo - teraz już naprawdę niedługo - specjalne zadanie, jakie przed nim postawiono, przestanie być wreszcie tajemnicą.



Isobel Bonterre uporczywie wpatrywała się w skalisty brzeg, mrużąc powieki przed wiatrem i siekącym deszczem. Wszędzie, gdzie rzuciła wzrokiem, widziała na piasku ciemne i niewyraźne plamy, które mogły być ciałem Malina Hatcha. Ale gdy podchodziła, by przyjrzeć się im dokładniej, za każdym razem okazywało się, że to skała.

Spojrzała w morze. Widziała, jak łódź Neidelmana, „Griffin”, umocowana bezpiecznie dwiema kotwicami w pobliżu rafy, podskakuje zawzięcie popękana przez wichurę. Dalej, głębiej na morzu, osiadł niemal niewidoczny, choć oświetlony reflektorami biały, elegancki kadłub „Cerberusa”. Dzika fala rzuciła go na skały. Najwyraźniej stracił sterowność - silny, cofający się prąd pływowy znosił go teraz na morze. Nieznacznie przechylony, walczył może z jedną lub dwoma zalanymi przegrodami. Kilka minut wcześniej widziała, jak z jednej burty spuszczone małą motorówkę, która z trudem, choć zachowując szaleńczą prędkość, ruszyła po morzu i znikła za dalekim końcem wyspy, zmierzając w stronę doków.

Nie wiedziała, czy motorówkę prowadził Streeter, czy ktoś inny. Ale była świadoma, że niezależnie od tego, jak zaawansowany technicznie był statek badawczy, jedna osoba nie mogła go w pojedynkę pilotować, mierząc jednocześnie z harpuna. A to oznaczało, że cokolwiek zdarzyło się na jego pokładzie, nie było działaniem samotnego szaleńca. Ktoś Streeterowi pomagał.

Zadrzała i ciasniej otuliła się nasiąkniętym wodą sztormiakiem. Po Hatchu nie było ani śladu. Jeśli przeżył zatonięcie łódki, istniała szansa na to, że morze wyrzuci go gdzieś na brzeg. Ale tu go nie było, tego była pewna. Pozostałą część wybrzeża stanowiły gołe skały, narażone na szalone ataki sztormowego morza...

Zdołała stłumić w sobie narastające, okropne przeczucie, które prawie już ścisnęło jej serce. Postanowiła za wszelką cenę dokończyć to, co razem zaczęli.

Ruszyła w kierunku bazy. Droga była długa, ona zaś musiała zachować ostrożność, unikając czarnego pasa wybrzeża. Wiatr się wzmógł. Zrywał teraz wściekle białą pianę z grzbietów fal i rzucał ją w głąb lądu. Ryk przyboju na rafach był tak głośny, tak nieustępliwy, że Bonterre z trudem słyszała ponad nim odgłosy grzmotów.

Powoli zbliżyła się do skupiska baraków. Wieża komunikacyjna pogrążyła się w ciemnościach, mikrofalowe syreny zwisały luźno, kołysząc się na wietrze. Jeden z generatorów mocy na wyspie milczał, drugi zaś trząsał się i kiwał na stalowej platformie niczym żywe stworzenie. Sama platforma zgrzytała protestująco pod jego ciężarem. Wdrapała

się między wyłączony generator a zbiorniki z paliwem i rozejrzała po obozie. Na środku dostrzegła rząd małych, lśniących prostokątów - okna Wyspy Jeden.

Ruszyła ostrożnie przed siebie, trzymając się cienia między barakami. Po dotarciu do Wyspy Jeden zajrzała przez okno. Centrum dowodzenia było puste.

Przemknęła przez pociętą koleinami drogę do okna gabinetu lekarskiego. Także jego wnętrze sprawiało wrażenie opuszczonego. Spróbowała otworzyć drzwi, zakłęła, kiedy okazało się, że są zamknięte na klucz. Przeszła na tył baraku. Sięgnęła po kamień, podniosła go i uderzyła nim w małe, tylne okno. Rozbiła szybę, wiedząc, że przy takim sztormie nikt nie usłyszy. Sięgnęła przez wybity otwór do środka, odsunęła zatyczkę i uchyliła okno.

Wślizgnęła się do pokoju, w którym Hatch przyjmował nagłe przypadki. Wąskie łóżko stało nienaruszone, nieskazitelnie i gładko zasłane, jak pierwszego dnia, gdy je tam zainstalowano. Szybko przeszła przez pomieszczenie i zaczęła przetrząsać szuflady, szukając pistoletu, noża lub jakiegokolwiek broni. Znalazła jedynie długą, ciężką latarkę. Włączyła ją i kiedy skierowała strumień światła w dół, przeszła do sąsiedniego pomieszczenia. Po jednej stronie znajdował się prywatny gabinet Hacha, po drugiej korytarz prowadzący do poczekalni. Na przeciwległej ścianie nad drzwiami wisiała tablica z napisem „Sprzęt medyczny”. Drzwi, jak się spodziewała, były zamknięte. Wykonano je jednak z warstwy dwóch cienkich, pustych w środku płyt. Rozwaliła je dwoma solidnymi kopniakami, dokładnie na środku.

Mały pokój wypełniały z trzech stron oszklone szafki, zastawione lekarstwami na górze, a sprzętem na dole. Bonterre nie miała zielonego pojęcia, jak wygląda licznik Geigera - wiedziała tylko, że Hatch użył określenia radiometr. Rozbiła latarką szybę w najbliższej szafce i sprawdziła zawartość dolnych szuflad, wyrzucając ich zawartość na podłogę. Nic. Odwróciła się i roztrzaskała witrynę drugiej szafki, wyciągnęła szuflady, zatrzymując się na chwilę, żeby wsunąć coś do kieszeni. W szufladzie na samym dole znalazła mały nylonowy pokrowiec z naszytym na wierzchu dużym logo firmy „Radiometrics”. Wewnątrz znajdowało się dziwne urządzenie ze składanymi uchwytami i skórzanym paskiem. Na jego górnej powierzchni znajdował się próżniowy fluorescencyjny wyświetlacz i mała klawiatura. Z przodu sterczało coś, co przypominało kondensatorowy mikrofon.

Poszukała włącznika mocy, znalazła go i przycisnęła, modląc się w duchu, żeby bateria okazała się naładowana. Rozległ się niski, urwany sygnał, na wyświetlaczu pojawiła się wiadomość:

RADMETRIC SYSTEMS INC. SYSTEM MONITOROWANIA I  
POZYCJONOWANIA RADIACJI URUCHAMIANIE PROGRAMU RADMETRICS  
RELEASE 3.0.2 (a) WITAMY NOWEGO UŻYTKOWNIKA POTRZEBUJESZ POMOCY?  
(T/N)

- Jaką tylko macie pod ręką - zamruczała, wduszając „T”. Po ekranie przesunęła się powoli seria zwięzłych instrukcji. Szybko je przejrzała, po czym wyłączyła urządzenie, zdając sobie sprawę z tego, że próba nauki obsługi to strata czasu. Baterie działały, jednak nie wiedziała, jak sprawdzić, czy były dobrze naładowane.

Włożyła licznik do pokrowca i zapięła zamek, po czym wróciła do gabinetu Hacha. Nagle zamarła. W tle monotonnego wycia burzy usłyszała jakiś ostry, obco brzmiący dźwięk, jak gdyby ktoś odbezpieczał pistolet.

Zarzuciła torbę na ramię i ruszyła w stronę wybitego okna.

Hatch leżał na skałach, senny i rozleniwiony, morze obmywało mu klatkę piersiową. Z jednej strony czuł się trochę rozdrażniony tym, że został wyciągnięty z dna morza. Z drugiej, jakiś słaby, ale stopniowo zyskujący na sile głos informował go, że powinien być przerażony początkową myślą.

Żył, to wiedział na pewno, przeżył, z całym ładunkiem bólu i nieszczęścia, które wiązały się z powrotem do rzeczywistego świata. Tego, jak długo tu leżał, mógł się tylko domyślać.

Stopniowo zaczynał odczuwać ból w ramionach, kolanach i łydkach. Gdy tylko zaczął o tym myśleć, ból wzmógł się, pulsując. Ręce i stopy zeszywniały mu z zimna, głowa zdawała się zalana wodą. Ta druga część jego mózgu - ta, która wcześniej mówiła mu, że wszystko będzie dobrze - teraz nakazywała, żeby podniósł swój żalony tyłek z wody i przeniósł się wyżej, na kamienistą plażę.

Wciągnął z głębokim wdechem sporo morskiej wody i dostał ataku kaszlu. Spazm rzucił go na kolana, nogi i ręce się pod nim ugięły, znów opadł na mokre skały. Zaczął się z móżdżkiem czuć. Udało mu się przemieścić kilka stóp poza linię wody. Tam odpoczął na dużym, odsłoniętym kawale granitu, zimnym i gładkim pod policzkiem.

Gdy rozjaśniło mu się w głowie, zaczęła wracać pamięć, jeden po drugim powracały obrazy. Przypomniawszy sobie Neidelmanna i jego miecz, i to, dlaczego wrócił na wyspę. Przypomniawszy sobie podróż, wywrócenie się „Plain Jane” do góry dnem, łódeczkę, Streetera...Streeter. Usiadł.

Na łodzi była Isobel.

Zerwał się na równe nogi, opadł z powrotem i znów się podniósł, ale teraz już z pełną determinacją. Wypadł z bączka przez dziób, a jakaś kapryśna powracająca fala wyrzuciła go na to skaliste wybrzeże na końcu wyspy. Przed nim wznosiły się niskie urwiska strzegące pirackiego obozowiska. Czarne na tle rozszluszczanego nieba. Bonterre mogła wylądować bliżej plaży. Jeśli w ogóle wylądowała.

Nagle nie był w stanie znieść myśli, że mogła zginąć.

Ruszył niepewnie przed siebie, chrapliwie nawołując Bonterre. Po chwili zatrzymał się i rozejrzał dookoła. Dotarło do niego, że nadal niezbyt przytomny oddala się od plaży, a zbliża do urwisk. Zatonął w stronę zbocza i odwrócił ku morzu. Ani śladu Bonterre, ani śladu szczątków łódki. Za linią plaży ocean walił nieustępliwie w grodzę. Z każdym uderzeniem przez liczne pęknięcia w konstrukcji tryskała pod ciśnieniem morska woda.

Na moment błysnęła latarka, gdzieś na ciemnej linii brzegu. Spojrzał raz jeszcze, ale światło zgasło: błysniecie latarki, odbite od skał. Zaczął schodzić w dół z urwiska.

Nagle światło znów się pojawiło, ale tym razem bliżej. Podskakując, przesuwało się wzdłuż krawędzi wyspy. Następnie silny, biały strumień halogenowej lampy rozpraszający ciemności podniósł się. Przesuwał się tam i z powrotem wzdłuż wybrzeża, przeczesując wnętrze lądu, zaraz za nim. Instynktownie Hatch przywarł do zbocza.

Błysnęło mu prosto w oczy, oślepiając go. Przyłgął do ziemi, odwrócił się i zaczął wspinać w górę urwiska. Światło omiotło ziemię wokół niego, czegoś szukając. Wreszcie rozbłysło oślepiającym strumieniem. Dostrzegł własny cień wspinający się przed nim po zboczu. Został namierzony.

Znów rozległ się ten dziwny, szczekoczący odgłos, który słyszał już wcześniej koło „Cerberusa”. Słysząc go było ponad rykiem przyboju i wyciem wiatru: stukot gigantycznych drutów do wełnianych robótek. Po prawej wzdłuż wyszczerbionej linii horyzontu wzbily się w powietrze małe chmury piasku i błota. Streeter stojący w ciemnościach strzelał do niego ze szrapnela.

Hatch przeturlał się szybko w lewo, kierując się desperacko w stronę szczytu urwiska. Rozległ się kolejny, demoniczny hałas - ładunek rozerwał darń w miejscu, w którym leżał jeszcze kilka sekund wcześniej, setka wolframowych noży rozszarpała ziemię.

Na wpół pełzając, na wpół tocząc się, Hatch pokonał szczyt urwiska i stoczył się dalej po zboczu, ślizgając w mokrej trawie. Wyprostował się i rozejrzał dziko dokoła. Nie miał tu osłony drzew, pozostawał mu tylko długi, odkryty bieg przez łąkę, a potem w górę, w głąb lądu, w stronę Orthanca. Przed sobą zobaczył mały barak na sprzęt, z którego Bonterre korzystała w czasie wykopalisk. Za nim precyzyjny, ciemny prostokąt wryty w ziemi: grób piratów.

Zatrzymał wzrok na baraku. Mógł schować się w jego wnętrzu, może pod nim. Ale tam właśnie zacznie szukać Streeter.

Wahał się przez kolejną sekundę. Potem ruszył pędem przez łąkę i wskoczył do grobu.

Zadrżał cały, gdy uderzył w dno głębokiego na trzy stopy dołu. Na moment błyskawica rozświetliła wnętrze wykopu. Niektóre szkielety piratów usunięto ze wspólnego grobu. Ale większość pozostawiono *in situ* poprzykrywane brezentem. Wykop miał zostać zasypany w przyszłym tygodniu - Bonterre, to akurat wiedział, wydobyła tylko taką ilość szkieletów, która pozwoliła jej otrzymać odpowiedni przekrój.

Potężne uderzenie pioruna zmobilizowało go do działania. Szybko wczołgał się pod jedną z brezentowych płacht. Pod sobą czuł coś ostrego, coś zawadzało: zanurzył rękę w

ziemi i wyciągnął spory kawał roztrzaskanej czaszki. Odsunął ją na bok i znieruchomiał. Czekał.

Pod brezentem ziemia była mokra, ale nie było tam błota. Hatch schowany przed deszczem i wiatrem poczuł, jak do zamarzniętych rąk i nóg zaczyna wracać ciepło.

Rozległ się odgłos stopy wyciąganej z głębokiego błota.

Hatch wstrzymał oddech. Usłyszał ostry zgrzyt metalu - zaskrzypiały gwałtownie otwierane drzwi. Potem zapadła cisza.

Znów odgłos kroków, dalej, potem bliżej. Ciężki, regularny oddech, jakieś dziesięć stóp od niego. Hatch usłyszał mechaniczny odgłos odbezpieczanej broni. Zrozumiał, że nie udało mu się wyprowadzić Streetera w pole.

Zaszczekał szrapnel. Nagle dno grobu ożywiło się, w powietrzu zaroilo się od miniaturowych obłoczków ziemi, piasku i kawałków kości. Kątem oka Hatch zauważył, jak brezent przesuwa się do tyłu i wybrzusza, unoszony uderzeniem setek maleńkich gwoździ. Kości pod nim opadły w błoto i pył. Fala oszalałych, śmiertcionośnych igieł była coraz bliżej. Hatch zdał sobie sprawę, że została mu sekunda, może dwie, żeby zdecydować, co robić.

Hatch usłyszał łoskot broni. Podejmując rozpaczliwą próbę, zerwał się i wyskoczył na oślep z grobu, rzucając się w kierunku, z którego dochodził dźwięk z rozciągniętą szeroko brezentową płachtą. Wpadł na Streetera, przewrócił go na plecy, w błoto. Broń upadła na ziemię, pełny magazynek obok niej, a latarka wylądowała kilka stóp dalej, w trawie. Streeter zaczął się dziko szarpać pod brezentem, młóćąc rękami i nogami. Hatch zamierzył się kolanem, jak przypuszczał, w krocze Streetera. W nagrodę usłyszał jęk bólu.

- Drań! - krzyknął Hatch, przygniatając Streetera sporym ciężarem swojego ciała, waląc i tłukąc przez brezent. - Cherlawy drań!

Nagle odebrał cios w brodę i poczuł, jak zwierają mu się zęby. Zachwiał się do tyłu, z nagle lekką głową - Streeter musiał dosunąć z główki. Opadł ciężko na brezent, ale Streeter, jak na swój wzrost, był silny i sprężysty. Hatch czuł, że zaczyna mu się wymykać. Szybko skoczył po magazynek i odrzucił go daleko, w ciemność. Potem ruszył po latarkę, ale Streeter skoczył, uwalniając się z zabłoconego brezentu. Sięgnął ręką za pasek i wyciągnął mały automatyczny pistolet. W tej chwili Hatch stanął na latarkę.

Równocześnie z odgłosem wystrzału zapadła ciemność. Potem Hatch biegł na oślep zygakiem przez łąkę, w kierunku centralnego wzniesienia wyspy i płataniny znajdujących się za nim szlaków. Błysk pioruna oświetlił postać Streetera, jakieś sto jardów pod nim. Kiedy go dostrzegł, zawrócił i rzucił się w pogoń. Hatch biegł w stronę głównych robót, najpierw

jedną, potem drugą ścieżką, podążając wzdłuż wyczuwanej dotykem żółtej taśmy. Za plecami słyszał dudnienie kroków i ciężkie sapanie.

Gdy znalazł się na szczycie, dostrzegł lśniącą sylwetkę Orthanca górującą we mgle. Zaczął biec w jej kierunku, ale zawahał się: jeśli choćby zbliży się do światła, wystawi się na łatwy cel Streeterowi.

Zaczął się zastanawiać. Mógł ruszyć w dół, do bazy, i postarać się zgubić Streetera w płataninie budynków. Ale tam mógł łatwo wpaść w pułapkę. Musiał się go szybko pozbyć.

Dotarło do niego, że nie zrobi tego na powierzchni wyspy.

Tylko jeden tunel, Boston Shaft, prowadził w głąb ziemi pod łagodnym kątem. Jeśli dobrze pamiętał, dochodził do szybu Water Pit na ogromnej głębokości. Neidelman zwrócił mu na to uwagę tego ranka - zaledwie kilka tygodni wcześniej - gdy udało im się zlokalizować pierwotny szyb.

Nie miał już czasu. Spojrzał w stronę błyszczącego Orthanca, zorientował się w kierunkach i skierował na inną ścieżkę. Jest: ciemna dziura, zaraz za taśmą bezpieczeństwa, okolona grzywą poszarpanych chwastów.

Przesunął się pod taśmą i stanął na krawędzi Boston Shaft. Tunel był bardzo ciemny, wiatr wbijał mu w oczy krople deszczu. Łagodny kąt? W ciemnościach szyb zdawał się opadać pionowo. Zawahał się, zaglądając do jego wnętrza. Rozległ się stukot kroków pokonujących metalowy pomost. Hatch chwycił się za smukły krzew aronii, prześlizgnął nad krawędzią i opuścił po śliskich ścianach szybu, starając się znaleźć oparcie dla stóp. Ale takiego oparcia nie było - korzenie puściły z chrzęstem. Hatch poczuł, jak zaczyna spadać w pustą czeluść.

Opadał przez krótką, przerażającą chwilę, po czym wylądował gwałtownie na błotnistym dnie. Z trudem zdołał wstać, potłuczony, ale cały. Nad głową widział jedynie zamazany kwadrat nieba, niewyraźną plamę, jaśniejszy odcień czerni. Dostrzegł też, czy może tylko mu się zdawało, że po krawędzi plamy coś się przesuwa...

Rozległ się ogłuszający huk, któremu towarzyszył jasny rozbłysk światła. Niemal natychmiast usłyszał kolejny i coś pacnęło w błotnisty szyb kilka cali od jego głowy.

Hatch obrócił się i zaczął biec wzdłuż tunelu. Wiedział, co robił Streeter: wykorzystał towarzyszący pierwszemu strzałowi błysk, by przymierzyć się do następnego.

Tunel opadał ostro w dół, Hatch zaczął się ślizgać. Biegając, stracił równowagę. Zaczął się bronić przed nie kontrolowanym zanurkowaniem w ciemności. Po kilku sekundach grozy okazało się, że ściany tunelu nie są aż tak strome. Udało mu się zatrzymać.

Stał w wilgotnym, chłodnym tunelu, nasłuchując i starając się opanować urywany oddech. Bieg na oślep to czyste samobójstwo. Tunel mógł być poszatkowany dziurami i innymi szybami.

Usłyszał za plecami mokre grzmotnięcie, a po nim odgłos kroków plaskających w błotnistym podłożu.

Pomacał ściany. Poczul pod ręką oślizgłe szalunki. Znow zaczął schodzić tak szybko, jak tylko mógł, starając się myśleć racjonalnie. Nie ulega wątpliwości, to znow Streeter będzie strzelał. Prawdopodobnie ponownie zastosuje technikę dwóch strzałów. Ale jego strategia mogła też przydać się Hatchowi: blask pierwszego wystrzału pokaże mu, co ma przed sobą.

To drugi strzał będzie śmiertelnie niebezpieczny.

Niemal jak w odpowiedzi, padł pierwszy strzał, odbijając się ogłuszającym echem od ciasnych ścian tunelu. Hatch ledwie zdążył uchylić się, upadając w błoto, gdy drugi pocisk rozerwał umocnienia zaraz za nim.

W blasku wystrzału zdążył dostrzec, że tunel ciągnie się dalej bez widocznych przeszkód.

Wstał z trudem i zaczął biec ślepo przed siebie z rozrzuconymi ramionami, potykając się i ślizgając tak daleko, jak tylko miał odwagę, a potem jeszcze dalej. Wreszcie zatrzymał się, znow pomacał ściany i zaczął nasłuchiwać. Streeter wciąż był za nim, poruszał się jednak ostrożniej. Gdyby udało się jakoś zgubić go w tunelu, może zdołałby dotrzeć do miejsca, w którym głęboko pod powierzchnią ziemi Boston Shaft przecinał Water Pit. Tam znajdzie Neidelmiana. Kapitan z pewnością nie zdawał sobie sprawy z tego, co wyczyniał Streeter, który cierpiał najwyraźniej na jakieś psychotyczne załamanie - w żaden inny sposób nie był w stanie wyjaśnić jego zachowania. Gdyby tylko zdołał dostrzec główny szyb...

Rozległ się kolejny strzał, dużo bliżej, niż się spodziewał. Rozpaczliwie rzucił się w bok. Tym razem drugi nabój niemal go dosięgnął. Zobaczył, że dalej tunel się rozgałęzia, wąskie przejście w lewo zamykała, najwyraźniej, ziejąca dziura w ziemi. Streeter strzelił trzeci raz, potem czwarty. Pocisk przeszył mu ucho niczym rozdzierające ukłucie.

Dostał. Biegł i usiłował zbadać dłonią własną twarz, szukając śladów krwi, która sączyła się z rozdartego ucha. Nachylił się, wsunął w wąskie odgałęzienie i podszedł tak blisko dziury, jak dalece starczyło mu odwagi. Przykleił się do ściany i czekał w ciemnościach, z napiętymi mięśniami. Gdy błysnie kolejny strzał, skoczy w tył, złapie Streetera i wrzuci go do dziury. Było całkiem prawdopodobne, że Streeter z rozpędu sam do niej wpadnie.



W głębokiej ciemności usłyszał słabe stukanie, tylko nieznacznie głośniejsze od bicia jego serca. To Streeter. Posuwał się, macając wzdłuż ściany. Hatch czekał. Teraz słyszał już jego chrapliwy oddech. Streeter był ostrożny, jeśli idzie o strzały. Na pewno miał ograniczoną liczbę naboí. Może będzie musiał...

Nagle rozległ się błysk i huk wystrzału. Hatch rzucił się rozpaczliwie naprzód, starając się uchronić przed drugim strzałem, ale gdy był już blisko Streetera, poczuł potężne uderzenie w głowę. Oślepiło go jaskrawe światło, przesłaniając myśli i wszystko inne.

Trzymając się dla osłony jak najbliżej skał, Bonterre wyruszyła pieszo w głąb łądu. Szła z głównej bazy, kierując się w stronę prowadzącego pod górę oznaczonego szlaku. Skradała się, zatrzymując co jakiś czas i nasłuchując. Z dala od świateł bazy wokoło zrobiło się tak ciemno, że czasami musiała macać rękami, żeby znaleźć żółtą taśmę, porwaną i łopoczącą dziko na rwącym wietrze. Błotnisty szlak wznosił się coraz wyżej, a potem znów opadał, zgodnie z rzeźbą terenu wyspy. Przemokła do suchej nitki, deszcz spływał cienkimi strużkami z brody, łokci i dłoni.

Ścieżka znów poprowadziła do góry. Wreszcie znalazła się na szczycie. Kilkaset jardów przed nią spoczywała szkieletowa konstrukcja Orthanca. Na szczycie potężnej bryły lśniły jasno kwadraty światła, okna odbijające się wyraźnie na tle nocy. Opoдал stał pojazd terenowy ze śliskimi od deszczu bulwiastymi oponami. Przyczepiono do niego dwa duże, metalowe kontenery. Pod wieżą paszczę szybu spowijały ciemności. Jednak z dołu przebijało się światło, migocząc upiornie, jak gdyby pochodziło z nieziemskich czeluści. Słyszała szcęk sprzętu i dudnienie pomp wentylacyjnych, głośniejsze nawet od wycia burzy.

Przez okna Orthanca dostrzegła, jak w środku przesuwają się powoli jakiś ciemny kształt.

Cały czas pochylona, podeszła bliżej, korzystając z osłony wysokich traw. Sto stóp od budowli zatrzymała się, chowając za kępą herbacianych róż. Stąd miała dużo lepszy widok. Postać stała odwrócona do niej tyłem. Czekala. Gdy sylwetka zbliżyła się do światła, zobaczyła szerokie ramiona i długie blond włosy geologa Rankina. Najwyraźniej był sam.

Zawahała się, chroniąc licznik przed deszczem najlepiej, jak tylko mogła. Możliwe, że Rankin wiedział, jak go użyć. Może miał jakieś pojęcie. Ale żeby się o tym przekonać, musiałaby go wtajemniczyć.

Streeter chciał z premedytacją pozbawić ich życia. Dlaczego? To prawda, od początku nienawidził Hacha. Ale Bonterre nie wierzyła, że był to wystarczający powód. Streeter nie wyglądał na kogoś, kto działa pochopnie.

Chociaż Hatch chciał zakończyć prace.

Czy pozostali byli w spisku?

Jednak nie potrafiła sobie wyobrazić, żeby otwarty, serdeczny Rankin należał do osób zdolnych zaplanować morderstwo z zimną krwią. Jeśli zaś chodzi o Neidelmanna... na ten temat miała już inne zdanie.

W górze rozległ się suchy trzask błyskawicy, skuliła się, słysząc grzmot. Od strony bazy dobiegł ostry trzask, siadł ostatni generator. Światła na szczycie Orthanca przez chwilę mrugały, po czym wieża kontrolna rozżarzyła się na pomarańczowo - włączyły się światła awaryjne.

Bonterre przycisnęła do siebie radiometr. Nie mogła już dłużej czekać. Złą czy dobrą, musiała podjąć jakąś decyzję.

## 51

Usta pełne błota natychmiast uświadomiły Hatchowi, że znajduje się w czarnym wnętrzu tunelu. Głowa pulsowała mu od ciosu zadanego przez Streetera, coś wbijało mu się w plecy. Chłodna stal - jak domyślał się Hatch - lufa pistoletu tkwiła w jego rannym uchu. Nie został postrzelony, uświadomił sobie z trudem, oberwał po głowie.

- Słuchaj, Hatch - wyszeptał Streeter. - Miałeś swoją szansę, ale gra dobiegła końca. - Wepchnął mu lufę głębiej w ucho. - Z tobą koniec. Rozumiesz?

Hatch spróbował pokiwać głową, ale Streeter szarpnął go bezlitośnie za włosy.

- Tak czy nie?

- Tak - zachrypiał Hatch, krztusząc się błotem.

- Nie kombinuj, nie szalej, nawet mi tu nie kichnij, chyba że ci każę. W przeciwnym razie zrobię z twojego mózgu różową miazgę.

- Tak - powiedział Hatch, starając się wykrzesać z siebie choć trochę życia. Czuł się jak głupek, było mu zimno, ledwo żył.

- A teraz wstaniemy, ładnie i spokojnie. Poślizgnij się w błocie, a zdechniesz.

Ciężar na plecach zelżał. Hatch podniósł się na kolana, potem wstał ostrożnie i powoli, starając się stłumić dudnienie w głowie.

- Oto co zrobimy - zabrzmiał głos Streetera. - Wrócimy tam, gdzie rozgałęzia się tunel. A potem pójdziemy prosto w dół, szybem Boston Shaft. Ruszaj. Powoli.

Hatch stawiał jedną nogę za drugą tak ostrożnie, jak tylko był w stanie, starając się nie potknąć w ciemnościach. Dotarli do rozwidlenia, by ruszyć głównym szybem wzdłuż ścian.

Hatch sądził, że zdoła jakoś uciec. Panowały kompletne ciemności, wystarczyło tylko się wyrwać. Ale lufa pistoletu tkwiąca w jego zranionym uchu i wrażenie oszołomienia sprawiały, że nie był w stanie jasno myśleć. Zadawał sobie od czasu do czasu pytanie, dlaczego Streeter po prostu go nie zabił.

Gdy tak poruszali się ostrożnie do przodu, zaczął się zastanawiać, jak dobrze właściwie Streeter znał Boston Shaft. Na wyspie znajdowało się kilka pionowych tuneli, niemal wszystkie podziurawione szybami poprzecznymi.

- Są tu jakieś dziury? - zapytał wreszcie. Rozległ się ostry śmiech.

- Jeśli nawet, pierwszy się o tym dowiesz.

Po jakimś czasie czy raczej wieczności błądzenia w ciemności i zastanawiania się, czy kolejny krok nie okaże się krokiem w przepaść, Hatch dostrzegł przed sobą słabe światło.

Tunel lekko skręcił. Ich oczom ukazał się poszarpany otwór okolony światłem. Słysząc było cichy szum maszyn. Streeter pchnął go, żeby przyspieszył.

Hatch zatrzymał się w miejscu, w którym tunel wchodził do głównego szybu, do Water Pit. Przez chwilę stał oślepiony. Trochę potrwało, zanim zdał sobie sprawę, że na drabinach świeciły się już tylko rzędy świateł awaryjnych. Kolejnym bolesnym pchnięciem w ucho Streeter zmusił go do wejścia na metalowy pomost łączący Boston Shaft z drabinami. Stojąc za jego plecami, Streeter uderzył pięścią w klawiaturę przytwierdzoną przy rusztowaniu windy. Z dołu dobiegł szum, po chwili pojawiła się winda, która następnie zwolniła i zatrzymała przy pomoście. Streeter wepchnął Hacha do środka, a sam stanął za nim.

Gdy zjeżdżali na dno szybu, Hatch poczuł, że wilgotne, zgniłe wyziewy Water Pit wymieszały się teraz z czymś jeszcze: smrodem dymu i gorącego metalu.

Kombinacja drabin urywała się na dnie szybu, gdzie było dużo mniej miejsca. Pomimo wentylacji powietrze było gęste. Na środku znajdował się świeżo wykopany wąski tunel prowadzący do samego skarbcza. Streeter nakazał Hatchowi gestem zejść po drabinie. Trzymając się poręczy, Hatch zszedł, mijając po drodze złożoną siatkę tytanowych szczelbi i podpór. Z dołu dochodził trzask i syk palnika acetylenowego.

Wreszcie zatrzymał się na samym dnie, w samym sercu wyspy, na chwiejących się, niepewnych nogach. Streeter zeskoczył na ziemię za jego plecami. Hatch widział, że ziemia z powierzchni przed nim została zebrana, odsłaniając potężną, porzewiałą żelazną płytę. Gdy tak patrzył, zgasła w nim ostatnia iskierka nadziei. Gerard Neidelman klęczał na płycie, kierując płomień palnika acetylenowego w stronę wąskiego wycięcia o powierzchni mniej więcej trzech stóp kwadratowych. W górnej części płyty przyspawano bolec, z którego zwisała lina z dużym pojemnikiem. Po drugiej stronie szybu stała Magnusen. Ze złożonymi ramionami wpatrywała się w Hacha wzrokiem pełnym nienawiści i zimnej pogardy.

Rozległ się gniewny syk - Neidelman wyłączył palnik. Odłożył go na bok, wstał, zdjął maskę i popatrzył na Hacha pozbawionymi wyrazu oczami.

- Żal na ciebie patrzeć - powiedział tylko. Odwrócił się do Streetera.

- Gdzie pan go znalazł?

- Razem z Bonterre próbowali wrócić na wyspę, kapitanie. Dopadłem go w tunelu bostońskim.

- A Bonterre?

- Ich łódka roztrzaskała się o rafę. Jest szansa, choć niewielka, że też zdołała przeżyć.

- Rozumiem. Szkoda, że musiała się w to wplątać. I tak doskonale się pan spisał.

Streeter zaczerwienił się z dumy.

- Czy może mi pan na chwilę użyczyć pistoletu, kapitanie? Neidelman wyciągnął broń z za paska i podał ją Streeterowi z pytającym spojrzeniem. Streeter wymierzył w Hacha i oddał własną broń Neidelmanowi.

- Może pan za mnie przeładować? Skończyły mi się naboje. Uśmiechnął się krzywo do Hacha.

- Straciłeś swoją szansę, doktoru. Drugiej nie będzie. Hatch zwrócił się do Neidelmana.

- Gerardzie, proszę, wysłuchaj mnie.

Kapitan wsunął pełny magazynek do pistoletu, po czym włożył broń za pasek.

- Mam cię wysłuchać? Robię to od tygodni, zaczynasz mnie nudzić. - Zsunął maskę i podał ją Magnusen. - Sandro, proszę, przejmij palnik. Wewnętrzny system baterii na wyspie będzie działał tylko dwie, może trzy godziny, nie możemy tracić czasu.

- Musisz mnie wysłuchać - powiedział Hatch. - Miecz świętego Michała jest radioaktywny. Otwarcie szkatuły to pewne samobójstwo.

Neidelman był wyraźnie znużony.

- Nigdy nie dajesz za wygraną, prawda? Miliard dolarów nie wystarczy?

- Pomyśl - mówił szybko Hatch. - Zapomnij na chwilę o skarbie, pomyśl o tym, co działo się na wyspie. To wszystko tłumaczy. Problemy z komputerami, awarie systemów. Promieniowanie ze skarbcza mogło stanowić źródło anomalii opisywanych przez Wopnera. I te wszystkie choroby. Promieniowanie osłabia system odpornościowy, obniża ilość białych krwinek, otwiera drogę przypadkowym chorobom. Założę się, że najcięższe przypadki znaleźlibyśmy wśród tych, którzy pracowali tu, w samym szybie, dzień po dniu, kopiąc i stawiając umocnienia.

Kapitan wpatrywał się w niego, ale nie sposób było odczytać jego myśli.

- Napromieniowanie powoduje wypadanie włosów, wylatują ci zęby. Zupełnie jak w przypadku szkieletów piratów. Co innego mogło być przyczyną wykopania wspólnego grobu? Szkielety nie noszą śladów przemocy. Co innego mogłoby zmusić piratów do opuszczenia wyspy w takim pośpiechu? Uciekali przed niewidzialnym zabójcą, którego nie rozumieli. I dlaczego, według ciebie, statek Ockhama znaleziono dryfujący, a wszystkich członków załogi martwych? Bo przez cały rejs wszyscy wchłonęli zabójczą dawkę promieniowania wydostającego się ze szkatuły z mieczem świętego Michała.

Streeter szturchnął go bezlitośnie lufą pistoletu w ucho, Hatch na próżno starał się obrócić i uwolnić od źródła bólu.

- Nie rozumiesz? Bóg jeden wie, jak bardzo promieniotwórczy jest ten miecz. Ale pewnie diabelnie mocno. Jeśli go wydobędziesz, zabije nie tylko ciebie, ale wielu innych ludzi. Ty sam...

- Wystarczy - przerwał mu Neidelman. Spojrzał na Hacha. - Zabawne. Nigdy nie przypuszczałem, że to właśnie ty. Kiedy sprzedawałem pomysł wykopalisk inwestorom, zonglując liczbami potrzebnymi do przeanalizowania poziomu ryzyka, stanowiłeś jedyny pewny czynnik równania. Nienawidziłeś tego skarbu. Nigdy nie pozwoliłeś tu nikomu kopać. Do licha, nigdy nawet nie wróciłeś do Stormhaven. Wiedziałem, że jeśli tylko zdołam pozyskać cię do współpracy, nie będę musiał obawiać się twojej pazerności. - Potrząsnął głową. - Boli mnie, gdy widzę, jak bardzo się myliłem.

Ostatnie syknięcie stali. Magnusen wstała.

- Gotowe, kapitanie - powiedziała, zdejmując maskę i sięgając po skrzynkę z konsolą sterującą kołowrotem. Coś jęknęło, lina naprężyła się. Z cienkim, metalicznym odgłosem protestu kawałek żelaznej płyty oderwał się od reszty powierzchni. Magnusen skierowała go do przeciwległego rogu dna szybu, postawiła na ziemi, po czym przyczepiła linę do wielkiego pojemnika.

Hatch zorientował się, że jego wzrok sam wędruje w kierunku poszarpanego na krawędziach kwadratowego wycięcia w żelaznej płycie. Z czarnego otworu prowadzącego do skarbcza dochodziła słaba woń ambry, kadzidła i drzewa sandałowego.

- Światło - powiedział kapitan.

Magnusen, której ciężkie ciało dygotało od tłumionego podniecenia, odczepiła osłoniętą drucianą siatką lampę od drabiny i kołyszącą spuściła przez otwór. Neidelman opadł na kolana i podparł się rękami. Powoli i ostrożnie zajrzał do środka.

Zapadła długa chwila ciszy, przerywana jedynie kapaniem wody, cichym syczeniem systemu wentylacyjnego i dalekimi odgłosami grzmotów. W końcu kapitan wstał. Lekko się zatoczył, ale szybko odzyskał równowagę. Jego surowa twarz przypominała maskę, mokra skóra była kompletnie biała. Walcząc z kłębiącymi się emocjami, otarł twarz chustką i skinął na Magnusen.

Magnusen opadła szybko na kolana i przycisnęła twarz do otworu. Hatch słyszał, jak jej mimowolne sapanie odbija się dziwnie głuchym echem w komnacie poniżej. Na kilka długich minut przywarła nieruchomo do dziury w podłodze. Wreszcie wstała i odeszła na bok.

Neidelman odwrócił się do Hacha.

- Twoja kolej.

- Moja kolej?

- Właśnie. Nie jestem wyzuty z wszelkich uczuć. Te bogactwa mogły w połowie należeć do ciebie. To dzięki tobie mogliśmy tu kopać. Za to nadal jestem ci wdzięczny, niezależnie od wszelkich kłopotów, jakich nam narobiłeś. Z pewnością chcesz zobaczyć, po co tak ciężko pracowaliśmy.

Hatch wziął głęboki wdech.

- Kapitanie, w moim biurze mam licznik Geigera. Nie proszę, żeby pan uwierzył, zanim pan nie zobaczy.

Neidelman uderzył go w szczękę. Uderzenie nie było szczególnie mocne, ale ból, który przeniknął usta i ucho Hatcha, był nie do zniesienia, i opadł na kolana. Na wpół świadomie zdawał sobie sprawę, że twarz kapitana zniekształcona silnym gniewem nabiegła nagle purpurą.

Bez słowa Neidelman wskazał na żelazną płytę. Streeter złapał Hatcha za włosy i wykręcił mu głowę w stronę otworu.

Hatch mrugnął raz, potem drugi, starając się zrozumieć, co widzi. Światło kołysało się w przód i w tył, rzucając na ściany skarbcza ruchome cienie. Metalowa komnata miała kształt kwadratu o boku długości mniej więcej dziesięciu stóp, żelazne ściany pokrywała łuszcząca się rdza, ale samo pomieszczenie było nietknięte. Gdy tak się patrzył, Hatch zapomniał stopniowo o bolącej głowie, zapomniał o rękach Streetera skręcających sadystycznie jego włosy, o Neidelmanie, o wszystkim.

Gdy był małym chłopcem, widział kiedyś fotografię przedsionka grobu króla Tutenchamona. Teraz, gdy patrzył na beczułki, kasety, skrzynie, skrzynki i beczki stojące rzędami pod ścianami znajdującej się pod nim komnaty, przypomniał sobie nagle tamto zdjęcie.

Na pierwszy rzut oka widział, że Ockham i jego ludzie porządnie popakowali i zmagazynowali swój skarb. Nic jednak nie zdołało go ochronić przed działaniem czasu. Skórzane worki przegniły i porozrywały się, wylewając z siebie strumienie złotych i srebrnych monet, które mieszały się ze sobą, tworząc całe rzeczułki. Z przeżartych przez robaki, popękanych klepek stojących w rzędach beczulek powysypywały się nie oszlifowane szmaragdy, rubiny ciemne jak świńska krew, szafiry błyskające w migoczącym świetle, topazy, rzeźbione ametysty, perły i wszędzie lśniły tęczowym blaskiem szlifowane bądź nie brylanty, duże i małe. Pod jedną ścianą złożono wiązki kłów słoni, rogów narwali i kości niedźwiedziej, pożółkłe i popękane. Pod drugą ścianą leżały olbrzymie bele materiału, najprawdopodobniej jedwabiu. Teraz materiał zamienił się w sterty butwiejącego czarnego popiołu poprzecinanego złotymi nićmi.



Wzdłuż jednej ze ścian stały stosy małych drewnianych beczulek. Klepki najwyżej stojących odpadły, odsłaniając końce nierównych sztabek złota - setek, może tysięcy - upchniętych jedne na drugich. Pod czwartą ścianą znajdowały się beczułki i torby dziwnych kształtów i rozmiarów, niektóre przewróciły się i rozdarły, odsłaniając kościelne skarby: złote krzyże wysadzone perłami i drogimi kamieniami, kunsztownie zdobione złote kielichy. Obok rozerwał się inny wór, odsłaniając górę złotych epoletów zabranych nieszczęsnym kapitanom napadniętych statków.

Po środku tego fantastycznego zbioru spoczywała długa, ołowiana trumna, ozdobiona złotem, opasana żelaznymi obręczami, które przykuwały ją do podłogi skarbcza. Na górze widać było masywny mosiężny zamek, częściowo przykrywający wyryty na wieku złoty wizerunek wyjętego z pochwy miecza.

Hatch wpatrywał się, prawie nie mogąc oddychać, kiedy usłyszał, jak coś zabrzęczało, zaszurało - to jeden z przegnitych worków rozerwał się, uwalniając strumień złotych dublonów. Monety rozsypały się na podłodze, znikając między zgromadzonymi droгоценnościami.

Potem ktoś szarpnął go za stopy i niezwykle, koszmarny widok znikł.

- Przygotujcie wszystko na powierzchni - mówił Neidelman. - Sandra będzie wciągać skarb w pojemniku. Przy terenówce są dwie przyczepy, tak? Powinniśmy uporać się z przewiezieniem skarbu na „Griffina” w sześciu turach. Tylko tyle możemy zaryzykować.

- A co z nim? - zapytał Streeter.

Neidelman po prostu skinął głową. Streeter uśmiechnął się, po czym przyłożył lufę pistoletu do głowy Hacha.

- Nie tutaj - mruknął Neidelman. Atak gniewu minął. Znow był opanowany. Spoglądał w dół na komnatę ze skarbem, jakby nieobecny. - To musi wyglądać jak wypadek. Nie mam ochoty zaprzętać sobie głowy rozmyślaniami, czy aby jego gnijące zwłoki nie dryfują gdzieś z przyływem, z tkwiącą w mózgu kulą. Zabierz go do bocznego tunelu albo...

Zamilkł.

- Zaprowadź go do brata - powiedział, spoglądając przez chwilę na Streetera, a potem znow w kierunku migoczącej dziury w podłodze. - I, panie Streeter...

Streeter zatrzymał się.

- Wspomniał pan, że jest szansa, iż Isobel przeżyła. Proszę wyeliminować tę szansę, z łaski swojej.

Bonterre ostrożnie wdrapała się na górę, gotowa w każdej chwili zeskoczyć na ziemię. Rankin odwrócił się i ją zobaczył. Broda rozdzieliła się w szerokim uśmiechu, po czym szczęka opadła mu w niemal komediowym grymasie, gdy dokładniej się jej przyjrzał.

- Isobel! - krzyknął, podchodząc bliżej. - Cała jesteś przemoczona. Co to, do diabła - twarz masz całą we krwi!

- To nic takiego - powiedziała Bonterre, ściągając sztormiak i swetry i wykręcając je.

- Co się stało?

Bonterre popatrzyła na niego, zastanawiając się, ile może mu powiedzieć.

- Łódź się rozbiła - odparła po chwili.

- Jezu. Dlaczego nie...

- Później ci wyjaśnię - przerwała, ubierając znów mokre ubranie. - Widziałeś Malina?

- Doktora Hacha? - zapytał Rankin. - Nie. - Na położonej dalej konsoli zabrzączał sygnał, szybko poszedł go sprawdzić.

- Jest tu bardzo nieswojo. Robotnicy dokopali się do żelaznej płyty nad skarbcem, koło siódmej. Z powodu sztormu Neidelman odesłał wszystkich do domu. Potem wezwał mnie, żebym zastąpił Magnusen przy monitorowaniu głównych systemów. Tyle tylko że prawie wszystko jest na dole. Generatory odcięte, baterie awaryjne nie są w stanie utrzymać wszystkiego na chodzie. Część urządzeń musiałem wyłączyć. Brak połączenia, odkąd piorun uderzył w linię przesyłową. Tam w dole są zdani na siebie.

Bonterre przeszła na środek i spojrzała przez szklany otwór w podłodze. W Water Pit panowały ciemności, ale pośrodku, głęboko w jego bebeczach, lśniło słabo bursztynowe światło. Szkieletowa płatanina szczebli i umocnień wypełniająca wnętrze szybu świeciła niemrawo, odbijając światło rzucane przez oświetlenie awaryjne.

- Kto jest na dole? - zapytała.

- O ile wiem, tylko Neidelman i Magnusen. Na monitorach nie widziałem nikogo więcej. A i te siadły, jak szlag trafił generatory. - Wskazał kciukiem w stronę monitorów telewizji przemysłowej, teraz pokrytych śniegiem.

Ale Bonterre wpatrywała się nadal w stronę słabego światła na dnie szybu.

- A Streeter?

- Nie widziałem go, odkąd zjawiły się tu te rybackie łodzie. Bonterre odeszła od szklanej podłogi.

- Czy Neidelman dostał się do skarbcza?

- Jak już mówiłem, urwał się przekaz wideo. Zostały mi tylko te instrumenty. Przynajmniej sonar przesyła teraz czystsze sygnały, bo usunięto całą ziemię. Staralem się uzyskać przekrój...

Urwał. Bonterre poczuła lekkie wibracje, ledwie wyczuwalne drżenie. Spojrzała przez okna, ogarnięta strachem. Ale wciąż atakowana grodzą opierała się wściekłym uderzeniom morza.

- Co to, do cholery? - sapnął Rankin, wpatrując się w ekran sonara.

- Czujesz to? - zapytała Bonterre.

- Czuję? Dokładnie widzę.

- Co to?

- Do cholery, nie wiem. Za słabe na trzęsienie ziemi, poza tym nie emituje odpowiednich fal. - Postukał chwilę w klawiaturę. - Proszę, znów przestało. Tunel się gdzieś zawalił, mogę się założyć.

- Roger, posłuchaj, potrzebuję twojej pomocy. - Bonterre postawiła ociekającą nylonową torbę na konsoli i rozsunęła zamek. - Widziałeś już kiedyś takie urządzenie?

Rankin wlepił wzrok w wyświetlacz.

- Co to jest?

- Radiometr. Służy do...

- Jedną minutkę. Radiometr? - Rankin spojrzął znad wyświetlacza. - No, co do diabła. Tak, wiem, co to jest. Te ślicznotki sporo kosztują. Skąd go masz?

- Wiesz, jak to działa?

- Mniej więcej. Kopalnia, dla której pracowałem, korzystała z takich urządzeń do namierzania złóż blendy smołowej. Ale nie tak frymuśnych jak to tutaj.

Podszedł i włączył licznik, po czym wpisał kilka poleceń na miniaturowej klawiaturze. Na ekranie pojawiła się lśniąca, trójwymiarowa siatka.

- Trzeba skierować ten detektor - powiedział, poruszając część przypominającą mikrofon. - A on zaznaczy na ekranie mapę źródeł promieniowania radioaktywnego. Intensywności promieniowania podporządkowane są odpowiednie kolory. Niebieski i zielony dla najslabszego, a potem całe spektrum. Biały jest najgorszy. Hmmm, trzeba go dostroić. - Na ekranie pojawiły się zielone i niebieskie plamy.

Rankin postukał w kilka klawiszy.

- Do licha, odbieram mnóstwo zakłóceń w tle. Maszyna pewnie sfiksowała. Jak wszystko tutaj.

- Maszyna jest w porządku - powiedziała głucho Bonterre. - Odbiera promieniowanie emitowane przez miecz świętego Michała.

Rankin spojrział na nią przez zmrużone oczy.

- Co powiedziałaś?

- Miecz jest promieniotwórczy. Rankin nie spuszczał z niej wzroku.

- Żartujesz sobie ze mnie.

- Nie. Źródłem naszych wszystkich problemów było promieniowanie. - Bonterre zaczęła szybko wyjaśniać. Rankin nie spuszczał z niej wzroku, poruszając bezgłośnie ustami ukrytymi pod gęstą brodą. Kiedy skończyła, przygotowała się na odpieranie ewentualnych kontrargumentów..

Nie było ich jednak. Rankin cały czas się gapił. Wyraz kompletnego zakłopotania nie zniknął z jego zarośniętej twarzy. Kiedy zrozumiał, kiwnął gwałtownie głową, aż zakołysała mu się broda.

- Do diabła. Wiedziałem, że na wszystko musi być jedna odpowiedź. Zastanawiałem się...

- Nie mamy czasu na rozmyślania - przerwała mu ostro Bonterre. - Nie wolno dopuścić, żeby Neidelman otworzył skrzynię.

- Tak - odparł z wolna Rankin, zastanawiając się. - Tak, musi być promieniotwórczy jak cholera, jeśli radiacja przedostawała się aż na powierzchnię. Cholera, może nas tu wszystkich usmażyć. Nic dziwnego, że sprzęt zwariował. Ale dlaczego sonar działa...

Słowa zamarły mu na ustach, spojrział znów na urządzenia.

- Małpa na rowerze - oznajmił z zadziwieniem.

Neidelman stał nieruchomo na dnie szybu. Nad jego głową buczała winda wioząca Streetera i Hacha do góry. W końcu znikła z zasięgu wzroku w gąszczu szczebli i poprzeczek.

Neidelman nie słyszał już oddalającego się dźwigu. Spojrzał na Magnusen, która znów przycisnęła twarz do wyciętego w żelaznej płycie otworu, dysząc szybko i płytko. Bez słowa odsunął ją na bok - poruszała się ociężale, jak gdyby była wyczerpana lub na wpół śpiąca. Chwycił swoją linę asekuracyjną, przymocował ją do drabiny i opuścił się przez otwór do komnaty.

Wylądował zaraz przy szkatule z mieczem, uwalniając przy okazji szemrzące strumienie drogocennego kruszcu. Stał tam, wpatrując się w szkatulę, ślepy na otaczające go oszałamiające bogactwo. Uklęknął, niemal z namaszczeniem pieszcząc spój rzeniem każdy szczegół skrzyni.

Miała około pięciu stóp długości i dwóch szerokości, jej boki wykonane były z grawerowanego ołowiu, cyzelowano je srebrem, rogi i krawędzie zaś ozdobiono kunsztownie złotem. Cała skrzynia przytwierdzona była do żelaznej podłogi krypty ze skarbem czterema przecinającymi się żelaznymi obręczami. Dziwnie surowa klatka na schronienie dla tak wspaniałego więźnia.

Przyjrzał się dokładniej. Skrzynia spoczywała na łapach z czystego złota zakończonych pazurami. Każda noga przypominała orle szpony trzymające jabłko: wyraźnie barokowy motyw dodany pewnie dużo później. Zdawało się, że cała skrzynia stanowi kompozycję wielu stylów, od trzynastego wieku po wczesny barok hiszpański. Najwyraźniej przez mijające wieki ołowianą kasetę stale ozdabiano, a każda nowa dekoracja była okazalsza od poprzedniej.

Neidelman wyciągnął rękę i dotknął pięknej metalowej szkatuły, i z zaskoczeniem stwierdził, że jest ciepła. Wsunął rękę pod żelazne kraty i przesunął delikatnie palcem po rzeźbieniach. Przez te wszystkie lata nie było dnia, w którym nie marzyłby o tej właśnie chwili. Często wyobrażał sobie, jak to będzie, gdy zobaczy skrzynię, dotknie jej, otworzy - i, wreszcie, sięgnie po jej zawartość.

Niezliczone godziny upływały mu na rozmyślaniach nad kształtem miecza. Czasami wyobrażał go sobie jako potężny rzymski miecz z kutego złota srebronośnego, może nawet był to sam miecz Damoklesa. Kiedy indziej oczami wyobraźni widział broń barbarzyńskich Saracenów z cyzelowanego złota, ze srebrnym ostrzem, lub bizantyjski miecz o szerokiej

klindze, wysadzany kamieniami, zbyt ciężki, by w ogóle dało się go unieść. Wyobrażał sobie nawet, że mógł to być miecz Saladyna, przywieziony przez samego rycerza z wypraw krzyżowych, a wykonany z najprzedniejszej damasceńskiej stali, inkrustowany złotem i wysadzany brylantami z kopalni króla Salomona.

Możliwości, spekulacje rozbudziły w nim wielkie, wręcz obezwładniające emocje. Nigdy przedtem nie odczuwał nic podobnego. Pewnie to właśnie czuje człowiek, który ujrzy oblicze Pana

- pomyślał sobie.

Przypomniał sobie, że nie ma zbyt wiele czasu. Zdjął dłonie z jedwabistego metalu skrzyni, położył je na opasujących ją stalowych obręczach. Pociągnął, najpierw ostrożnie, potem silniej. Klatka otaczająca szkatułę była solidna i nieruchoma. Dziwne

- pomyślał - że pasy przeszły przez szpary w żelaznej posadzce. Najwyraźniej przymocowano je pod podłogą. Niezwykłe zabezpieczenie skrzyni potwierdzało prawdopodobieństwo jej wielkiej wartości.

Sięgnął do kieszeni i wyciągnął scyzoryk. Poskrobał nim rdzę pokrywającą najbliższą obręcz. Odpadło kilka płatków, odsłaniając lśniąca stal. Żeby uwolnić skrzynię, muszę przeciąć pasy palnikiem.

Tok rozumowania przerwał mu czyjś głośny oddech. Spojrzał w górę. Przez dziurę zaglądała Magnusen. Jej czarne oczy rozglądały się gorączkowo w rozhuśtanym świetle lampy.

- Zjedź z palnikiem - powiedział. - Odetnę skrzynię.

Nie minęła minuta, a ciężko wylądowała przy jego boku. Uklękła i zapominając o palniku, wpatrywała się w morze skarbów. Podniosła garść dublonów i tłustych złotych ludwików, pozwalając im przesypać się między palcami. Potem chwyciła kolejną garść, tym razem szybciej, i jeszcze jedną, i następną. Łokciem zahaczyła o małą drewnianą beczułkę, która rozsypała się w proch, uwalniając brylanty i krwawniki. Na moment wpadła w panikę i rzuciła się na klejnoty, bez zastanowienia wpychając migoczące kamienie do kieszeni. Zatoczyła się do przodu i w gorączce rozerwała kilka dalszych worków. W końcu upadła, twarzą w bezcenną masę, z ramionami wsuniętymi pod leżące luzem kawałki złota, z rozrzuconymi nogami. Delikatnie zapłakała, a może śmiała się, albo jedno i drugie.

Neidelman sięgnął po palnik acetylenowy, zatrzymał się na chwilę, żeby na nią popatrzeć, po czym pomyślał, że już pora, aby spuściła do skarbcza pojemnik i zaczęła wydobywać skarb. Spojrzał na kasetę i w jednej chwili zapomniał o Magnusen.

Wziął w palce gruby mosiężny zamek, który więził wieko skrzyni. Był dość topornie wykonany, ciężki i poznaczony książęcymi pieczęciami. Niektóre z nich były Neidelmanowi znane, sięgały aż czternastego wieku. Pieczęcie były nienaruszone. Zatem Ockham nie zajrzał do swojego największego skarbu - pomyślał. Dziwne.

Jemu miał przypaść ten zaszczyt.

Niezależnie od wielkich rozmiarów, zamek przytrzymał wieko skrzyni dość luźno. Za pomocą scyzoryka zdołał unieść je na kilka milimetrów. Wysunął nóż, opuścił wieko i raz jeszcze zbadał metalowe obręcze przeplecione przez zamek - chciał zdecydować, w którym miejscu najlepiej będzie zrobić nacięcia.

Przekręcił zawór w butli i włączył palnik: pyknęło, na końcu dyszy pojawił się jaskrawy, biały płomień. Wszystko działało się jak w zwolnionym tempie. Był za to wdzięczny. Trochę to potrwać - może jakieś piętnaście, dwadzieścia minut - zanim uwolni: skrzynię z uścisku obręczy i ujmie miecz w dłonie. Ale wiedział że zapamięta z tego każdą sekundę, do końca życia. Ostrożnie zbliżył płomień do metalowej powierzchni.

Hatch leżał na dnie małej kamiennej studni, na wpół przytomny, jak gdyby budził się ze snu. Nad głową słyszał turkot - to Streeter wciągał do góry składaną drabinę. Słaby strumień światła z latarki na chwilę oświetlił krawędzie sklepienia, czterdzieści stóp nad nim - w komnacie, w której zginął Wopner. Rozległ się odgłos ciężkich kroków Streetera wracającego wzdłuż wąskiego tunelu do drabin. Kroki ucichły, zgasło także światło. Zapadły cisza i ciemność.

Przez kilka minut leżał na zimnej, wilgotnej kamiennej posadzce. Może rzeczywiście to mu się śniło, w końcu mógł to być jeden z tych obrzydliwych, klaustrofobicznych koszmarów, z których człowiek budził się z niewysłowioną ulgą. Hatch usiadł, uderzając głową w niski nawis stropu. Zapanowały egipskie ciemności, ani śladu światła.

Znów się położył. Streeter zostawił go bez słowa. Kierownik zespołu nawet nie zawracał sobie głowy wiązaniem mu rąk. Może wtedy jego śmierć wydałaby się podejrzana. Ale w głębi ducha Hatch wiedział, że Streeter nie miał potrzeby go wiązać. Nie było sposobu, żeby zdołał wdrapać się trzydzieści stóp do komnaty po śliskich ścianach studni. Za jakieś dwie, może trzy godziny skarb zostanie wydobyty i bezpiecznie umieszczony na „Griffinie”. Wówczas Neidelman po prostu rozwali i tak już nadwątloną grodzę. Woda zaleje szyb, tunele i komnaty... i studnię...

Hatch nagle poczuł skurcz mięśni, starając się zwalczyć uczucie paniki uniemożliwiającej logiczne rozumowanie. Wyczerpany ogromnym wysiłkiem leżał, dysząc i starając się uspokoić bijące dziko serce. Powietrze w studni było z każdą chwilą coraz rzadsze.

Przeturlał się spod nawisu na środek studni, gdzie mógł usiąść i oprzeć plecy o zimny kamień. Znów popatrzył w górę, szukając z wysiłkiem choć odrobiny światła. Na próżno. Panowały tam ciemności. Zastanowił się, czy nie wstać, ale poczuł, że wyczerpuje go sama myśl o tym, więc znów się położył. Gdy to robił, poczuł, że jego prawa ręka wpada w wąską szparę pod ciężką kamienną płytą, przyciskającą coś zimnego, mokrego i sztywnego.

Nagle z przerażeniem uświadomił sobie, czego dotyka. Puścił kość Johnny'ego z mimowolnym szlochem.

Powietrze było zimne, dusząco lepkie i wilgotne. Czuł, że przenika jego ubranie i włazi mu do gardła. Przypomnił sobie, że cięższe gazy, takie jak dwutlenek węgla, opadają. Przypuszczał, że jeśli wstanie, zdoła oddychać lepszym powietrzem.



Z trudem podniósł się, opierając się dla równowagi rękami o ścianę. Stopniowo buczenie w głowie zaczęło cichnąć. Starał się sam przekonać, że nie ma sytuacji bez wyjścia. Dokładnie rękami zbada całe pomieszczenie, każdy cal kwadratowy. Tu spoczęły kości Johnny'ego, ofiary maszyny śmierci spreparowanej przez Macallana. A to znaczyło, że gdzieś niedaleko musiał się znajdować tunel prowadzący na brzeg. Jeśli uda mu się rozszyfrować, na jakiej zasadzie zadziałał mechanizm pułapki Macallana, może uda mu się uwolnić.

Przycisnął twarz do oślizgłej kamiennej ściany i wyciągnął ręce wysoko nad głowę, najwyżej jak tylko potrafił. Od tego zaczęło, potem starannie zbadał każdy fragment tego pomieszczenia. Delikatnie dotykał palcami jak ślepiec każdej szparki, każdego wybrzuszenia, opukując i wsłuchując się w głuchoe odgłosy.

W pierwszym kwadrancie nie znalazł nic poza gładkimi, ciasno do siebie przylegającymi kamieniami. Opuścił dłonie niżej i przystąpił do badania następnej powierzchni. Minęło pięć minut, potem dziesięć, wreszcie zaczął na kolanach macać podłogę.

Zbadał każdy zakamarek studni, do którego był w stanie dosięgnąć - z wyjątkiem wąskiej szczeliny biegnącej wzdłuż podłogi, w którą wgnieciono zostało ciało jego brata. Nie znalazł nic, co wskazywałoby na możliwą drogę ucieczki.

Oddychając nieregularnie, wciągając zatechłe powietrze do nosa, Hatch sięgnął ostrożnie pod ciężki kamień. Ręce napotkały zniszczoną czapkę baseballówkę na czaszce brata. Zerwał się, serce waliło mu w piersiach.

Znów wstał i spojrzał w górę, szukając lepszego powietrza. Johnny oczekiwałby, że zrobi wszystko, każdą cholerną rzecz, żeby tylko przeżyć.

Zaczął wołać o pomoc. Najpierw niepewnie, potem głośniejsze. Starał się nie pamiętać, jak opustoszała była wyspa. Starał się zapomnieć o Neidelmanie przygotowującym się do otwarcia kasety, starał się zapomnieć o wszystkim, z wyjątkiem własnego wołania.

Gdy tak krzyczał, milknąc od czasu do czasu, żeby złapać dech, opadła z niego ostatnia ochronna tarcza. Fatalne powietrze, ciemności, dziwny zapach szybu, bliskość Johnny'ego, wszystko sprzysięgło się, by zerwać zasłonę spuszczoną na to okropne wydarzenie sprzed trzydziestu jeden lat. Nagle zakopane głęboko wspomnienia wybiły na powierzchnię. Znów znalazł się na kolanach, podparty rękami, z zapalką w dłoni, a ten dziwny odgłos wleczenia zabierał mu Johnny'ego na zawsze.

W gęstych ciemnościach krzyki Hatcha zamieniły się we wrzaski.

- Co to? - zapytała Bonterre, której ręka zamarła na radiometrze.

Rankin podniósł dłoń, nakazując milczenie.

- Chwila. Muszę wziąć poprawkę na wypadek przypadkowej radiacji. - Głowę przysunął zaledwie kilka cali od ekranu, skapanego w bursztynowej poświacie.

- Jezu - powiedział cicho. - No jasne, jest, wiedziałem. Tym razem nie ma mowy o błędzie. Oba systemy się zgadzają.

- Roger...

Rankin odsunął się od ekranu i przyglądał ręką włosy.

- Spójrz na to.

Bonterre wlepiła wzrok w ekran, na którym widniała plątanina rozrzuconych linii podkreślonych szerokim czarnym pasem. Rankin odwrócił się do niej.

- To czarne to próżnia pod szybem Water Pit.

- Próżnia?

- Olbrzymia pieczara, wypełniona prawdopodobnie wodą. Bóg jeden wie, jak głęboka.

- Ale...

- Nie byłem w stanie zrobić wcześniej prawidłowego odczytu, wszystko było pod wodą. Później nie umiałem uruchomić wszystkich czujników. Aż do teraz.

Bonterre zmarszczyła brwi.

- Nie rozumiesz? To pieczara! Nigdy nie przyszło nam do głowy, żeby zajrzeć głębiej niż na dno Water Pit. Komnata ze skarbem. Na litość boską, my także siedzimy na szczycie choleralnej kopuły. To by wyjaśniało i uskok, i wypieranie, wszystko.

- Czy Macallan to zbudował?

- Nie, nie, to naturalna formacja. Macallan ją wykorzystał. Taka kopuła to formacja geologiczna, wybrzuszenie w skorupie ziemskiej. - Złożył obie ręce jak do modlitwy, potem oparł jedną o sufit. - Rozłupuje skałę nad sobą, tworząc wielką sieć pęknięć i zazwyczaj pionową szczelinę, czyli rurę, która biegnie głęboko do wnętrza ziemi, czasami i kilka tysięcy stóp. Te fale nacisku, te wcześniejsze wibracje... coś najwyraźniej działo się w kopule, wywołując rezonans. Musi to być część tej samej pod-struktury, która utworzyła naturalne tunele Macallana.

Bonterre gwałtownie podskoczyła. Licznik, który trzymała w rękach, nagle zaświergotał. Patrzyła, jak niebieskie migotanie na wyświetlaczu zamieniło się w żółte.

- Pokaż mi to. - Rankin wpisał kilka poleceń, uderzając wielkimi paluchami w miniaturową klawiaturę. Górna połowa ekranu pojaśniała. Wyświetliła się na niej wiadomość, wypisana surowymi, czarnymi literami:

**Wykryto niebezpieczny poziom promieniowania**

**Określ potrzebne pomiary (jonizacja/dzule/rady) i tempo (sekundy/minuty/godziny)**

Rankin uderzył kilka kolejnych klawiszy.

**240.8 radów/h wykryto szybki przepływ neutronów możliwe ogólne skażenie promieniowaniem zalecenie: natychmiastowa ewakuacja**

- *Merde.* Już za późno.

- Na co za późno?

- Otworzył kasetę.

Na ich oczach pojawiła się kolejna wiadomość:

**33.144 radów/h niebezpieczeństwo dla sąsiednich poziomów zalecenie: standardowe procedury skażenia**

- Co się stało? - zapytał Rankin.

- Nie wiem. Może znów ją zamknął.

- Przekonajmy się, czy poda mi źródło promieniowania. - Geolog znów przystąpił do pisania na klawiaturze. Potem wyprostował się, nie odrywając jednak wzroku od maleńkiego ekranu.

- O Chryste - mruknął. - Nie uwierzysz.

Przerwał mu hałas na platformie obserwacyjnej. Drzwi otworzyły się gwałtownie i do środka wszedł Streeter.

- Hej, Lyle! - powiedział Rankin, a potem zobaczył jego pistolet.

Streeter popatrzył na Rankina, a potem na Bonterre, i znów na Rankina.

- Idziemy - powiedział, kiwając pistoletem w stronę drzwi.

- Gdzie idziemy? - zaczął Rankin. - O co chodzi z tym pistoletem?

- Zrobimy sobie małą wycieczkę, we troje - odpowiedział Streeter. Skinął głową w stronę otworu obserwacyjnego.

Bonterre wsunęła radiometr pod sweter.

- To znaczy do szybu? - zapytał z niedowierzaniem Rankin. - Tam jest cholernie niebezpiecznie! Całe ustrojstwo wisi na...

Streeter przyłożył pistolet do prawej dłoni Rankina i wystrzelił.

Odgłos wystrzału zabrzmiał nadzwyczaj głośno w małym wnętrzu Orthanca. Instynktownie Bonterre odwróciła na chwilę wzrok. Gdy spojrzała, zobaczyła, że Rankin klęczy, ściskając kurczowo swoją prawą dłoń. Między palcami przeciekała krew, kapiąc na metalową podłogę.

- Teraz masz jedną rękę, żeby się przytrzymać - powiedział Streeter. - Jeśli chcesz ją zachować, zamknij tę włochatą gębę.

Raz jeszcze wskazał na drzwi i znajdującą się za nimi platformę obserwacyjną. Sapiąc z bólu, Rankin wstał z trudem, spojrzał na Streetera i pistolet i ruszył z wolna do drzwi.

- Teraz ty - powiedział Streeter, kiwając na Bonterre. Powoli, upewniwszy się, że radiometr pewnie trzyma się pod swetrem, wstała i ruszyła w ślad za Rankinem.

- Zalecam szczególną ostrożność - oznajmił Streeter, ściskając pistolet. - W dół daleka droga.

## 56

Hatch oparł się o ścianę komnaty, nie miał już siły na strach czy nadzieję, zdarł sobie gardło krzykiem. Wspomnienie tego, co zdarzyło się w tym właśnie tunelu, dawniej pogrzebane, znów nim zawładnęło. Był jednak zbyt wyczerpany, żeby rozpamiętywać to, co się stało. Powietrze już nie żywiło płuc, dusił się niczym pod śmierdzącym kocem. Potrzęsął głową, starając się dojść do siebie, pozbyć tego upartego głosu, głosu brata: „Gdzie jesteś? Gdzie jesteś?”

Jęknął i opadł na kolana, szorując policzkiem po chropowatym kamieniu. Starał się rozjaśnić kotłujące się myśli. Głos nie dawał za wygraną.

Hatch odsunął twarz od ściany i zaczął nasłuchiwać. Znów ten głos.

- Halo? - odpowiedział niepewnie.

- Gdzie jesteś? - dobiegł go przytłumiony okrzyk.

Hatch odwrócił się, zaczął macać ściany, żeby nabrać orientacji. Dźwięk najwyraźniej dochodził zza kamienia, który wdusił kości jego brata w kamienną posadzkę.

- Wszystko w porządku? - zapytał głos.

- Nie! - krzyknął Hatch. - Jestem uwięziony!

Głos był raz cichszy, raz głośniejszy. Być może - pomyślał Hatch - on sam miał wrażenie, że z jego przytomnością też nie było najlepiej.

- Jak mogę ci pomóc? - dotarło do niego.

Hatch odczekał, zastanawiając się, co ma odpowiedzieć.

- Gdzie jesteś? - zapytał w końcu. Fala adrenaliny pobudziła go odrobinę - długo to nie potrwa.

- W tunelu - powiedział głos.

- W którym tunelu?

- Nie wiem. Prowadzi od brzegu. Moja łódź się rozbiła, ale ja ocalałem. Ocalił mnie cud.

Hatch odczekał chwilę, starając się odetchnąć pozostałym jeszcze powietrzem. Głos mógł mówić o jednym tylko tunelu: tunelu Johnny'ego.

- Gdzie utknąłeś? - ciągnął głos.

- Czeka! - krzyknął Hatch, oddychając z trudem, zmuszając się do odtworzenia starych obrazów. Co wtedy widział?

...Były tam drzwi, drzwi z pieczęcią. Johnny złamał pieczęć i przestąpił próg. Z tunelu, z tyłu, poczuł podmuch, zgasło światło... Johnny zaskoczony krzyknął z bólu... a

potem ten odgłos wleczenia czegoś ciężkiego... szukał nowej zapałki. Zapalił ją, zobaczył przed sobą nieprzejednaną, kamienną ścianę, grube strumienie krwi wzdłuż jej podstawy i linii styku z lewą ścianą. Krew zdawała się płynąć niczym łąy przez pęknięcia, wypływała i spływała w dół niczym brzeg czerwonej fali obmywającej jego kolana i buty.

Hatch otarł twarz drżącą ręką, owładnięty czarem wspomnień tamtych chwil.

Podmuch w tunelu poczuł w momencie, w którym Johnny otworzył drzwi. A przecież, kiedy Hatch zapalił następną zapałkę, zobaczył przed sobą tylko kamienną ścianę - Johnny znikł. A zatem tunel musiał biec dalej, za kamieniami. Wejście do pokoju, a może otwarcie drzwi czy złamanie pieczęci - coś - wyzwoliło mechanizm pułapki Macallana. Potężna kamienna płyta przesunęła się w poprzek tunelu, zmiatając Johnny'ego. Wlokła jego ciało ze sobą i zgniatając, wcisnęła w tę wąską szczelinę. Został odcięty od reszty wodoszczelnego tunelu. Nie mogło istnieć inne wytłumaczenie. Studnia czy pokój, w którym uwięziony został Hatch, sklepienie pomieszczenie nad jego głową, były dodatkowymi elementami mechanizmu pułapki. A Macallan - czy może Red Ned Ockham - nie chciał, żeby ktokolwiek miał do czynienia z tym mechanizmem. Zatem komnata na górze zamieniła się w potrzask. Jak przekonał się o tym Wopner, za cenę własnego życia.

- Jesteś tam jeszcze? - zapytał głos.

- Poczekaj, proszę - sapnął Hatch, starając się wysnuć jakiś wniosek. Tunel, który odkryli wspólnie z Johnnym, stanowił sekretne wejście Reda Ockhama, które skonstruował dla niego Macallan - kuchenne drzwi prowadzące do skarbu. Ale na wypadek, gdyby amatorowi skarbów udało się znaleźć przybrzeżny tunel, Macallan musiał go jakoś zatrzymać. Oczywistym rozwiązaniem było zainstalowanie pułapki, tej samej, która zabiła Johnny'ego. Potężny kawał ociosanego kamienia, przetaczający się z jednej strony na drugą, zgniatający każdego intruza, który nie wiedział, jak rozbroić mechanizm. Kamień został zainstalowany z taką fachowością, że gdy już znalazł się na swoim miejscu, sprawiał wrażenie ściany zamykającej tunel, uniemożliwiał dalszą eksplorację...

Hatch z trudem usiłował się skupić. To by oznaczało, że w przypadku osuszenia szybu Water Pit, Ockham potrzebowałby sposobu, by móc na nowo zastawić pułapkę, sposobu na odsunięcie kamienia, by zdołać wejść do tunelu i dobrać się do skarbu. Oczywiście, Macallan miał wobec Ockhama własne plany, na wypadek gdyby tamten powrócił do szybu. Ale pirat musiał uwierzyć, że tu właśnie znajdowało się tylne wejście do skarbcza.

Zatem pułapka musiała działać z wykorzystaniem zasady zwykłego punktu podparcia z kamieniem precyzyjnie ustawionym na swoim miejscu, tak by najdelikatniejszy nacisk wprawił go w ruch... nacisk równy nawet wadze dziecka.

...Ale dlaczego nikt nie natknął się na żaden mechanizm w czasie gorączkowych poszukiwań Johnny'ego, trzydzieści jeden lat wcześniej...?

- Hej! - wrzasnął nagle. - Jesteś tam jeszcze?

- Jestem. Jak mogę pomóc?

- Masz światło? - zawołał Hatch.

- Tak, latarkę.

- Rozejrzyj się wokół. Powiedz mi, co widzisz. Cisza.

- Jestem na końcu tunelu. Z trzech stron otaczają mnie solidne kamienne ściany.

Hatch otworzył usta, zakaszłał, wziął płytki wdech.

- Opisz mi kamień. Znow cisza.

- Wielkie płyty.

- Z wszystkich trzech stron.

- Tak.

- Jakież szczeliny czy zagłębienia? Cokolwiek?

- Nie, nic.

Hatch starał się zebrać myśli.

- A co z sufitem? - zapytał.

- Jest duże kamienne nadproże, trochę starych dębowych belek.

- Sprawdź belki. Solidne?

- Raczej tak.

Zapadła cisza, Hatch walczył o powietrze.

- A podłoga?

- Zabłocona. Nie widzę za dobrze.

- Oczyszczyć ją.

Hatch czekał, broniąc się przed omdleniem.

- Z kamiennych kafli - odpowiedział głos. W sercu Hacha pojawił się cień nadziei.

- Małe płytki z kamienia?

- Tak.

Nadzieja była już większa.

- Przyjrzyj się dokładnie. Czy jakiś fragment różni się od pozostałych?

- Nie.

Nadzieja zgasła. Hatch ujął głowę w dłonie. Z otwartymi szeroko ustami walczył o kolejny oddech.

- Zaraz. Coś tu jest. Jeden kamień na środku, tutaj, nie jest kwadratowy. Zwęża się, prawie jak dziurka od klucza. Przynajmniej tak mi się zdaje. Nie różni się jakoś specjalnie od pozostałych.

Hatch podniósł głowę.

- Możesz go wyjąć, podnieść?

- Spróbuję. - Na moment zapadła cisza. - Nie, mocno wciśnięty, ziemia wkoło twarda jak cement.

- Masz nóż?

- Nie. Ale poczekaj, spróbuję inaczej.

Hatchowi zdawało się, że jego uszu dobiega ledwie słyszalny odgłos skrobania.

- Jest! - oznajmił głos, nawet przez skałę słychać w nim było podniecenie. - Podnoszę go. - Cisza. - Jest pod nim, w zagłębieniu, jakiś mechanizm, drewniany drąg, przypomina dźwignię.

To dźwignia punktu podparcia - pomyślał na wpół przytomnie Hatch.

- Możesz za nią pociągnąć? Zmienić położenie?

- Nie - odpowiedział po chwili głos. - Zaklinowała się.

- Spróbuj jeszcze raz! - krzyknął Hatch ostatkiem sił. W ciszy, która potem nastąpiła, wróciło buczenie w uszach, coraz głośniejsze. Oparł się o zimny kamień, starając się podeprzeć, wtedy stracił przytomność.

...Rozbłysło światło i dał się słyszeć głos. Hatch poczuł, że wraca z dalekiej podróży. Sięgnął do światła, ale potknął się i upadł, kopiąc po drodze jedną z kości brata. Oddychał powietrzem, które nie było już rzadkie i trujące, ale lekko naznaczone zapachem morza. Kiedy płyta, która zgniatała ciało jego brata, wróciła na swoje miejsce, zdawało mu się, że wpadł do większego tunelu.

Starał się coś powiedzieć, ale mógł tylko zachrypieć. Spojrzał znów w stronę światła, starając się rozpoznać, kto trzymał latarkę. Podniósł się na trzęsące kolana, zamrugał i ujrzał wielbego Claya, który wpatrywał się w niego. Wokół nosa widać było plamę zaschniętej krwi, w dłoni trzymał latarkę.

- To pan! - powiedział Clay, w jego głosie zabrzmiało wyraźne rozczarowanie. Na jego szyi wisiał wielki, wąski krzyż z lśniącego metalu, jedno ramię umazane było błotem.

Hatch zakołysał się, cały czas wdychając cudowne powietrze. Odzyskiwał siły, ale nie miał jeszcze dość energii, żeby coś powiedzieć.



Clay wsunął krzyż na powrót pod koszulę i podszedł bliżej. Stanął w niskim przejściu, tym samym, w którym kiedyś stał on sam, Hatch, trzydzieści jeden lat temu.

- Schroniłem się przy wejściu do tunelu i usłyszałem pana krzyki - powiedział duchowny. - Za trzecim razem udało mi się podnieść dźwignię i krawędź ściany odsunęła się, tworząc otwór. Co to za miejsce? Co pan tu robi? - Zajrzał, oświetlając wnętrze pokoju. - Co to za kości, które wypadły razem z panem?

Hatch w odpowiedzi wyciągnął dłoń. Po chwili wahania Clay sięgnął po jego rękę. Hatch wstał.

- Dziękuję - wysapał. - Uratował mi pan życie. Poirytowany Clay zamachał ręką.

- W tym tunelu zginął mój brat. To jego kości. Clay otworzył szerzej oczy.

- Och - powiedział, szybko zabierając światło. - Bardzo mi przykro.

- Widział pan na wyspie kogoś jeszcze? - zapytał nagłaco Hatch. - Młodą kobietę w sztormiaku? Z ciemnymi włosami?

Pastor potrząsnął głową.

Hatch zamknął na moment oczy, wziął głęboki wdech i pokazał w stronę dopiero co otwartego tunelu.

- Ta droga prowadzi do dna Water Pit. W skarbcu jest kapitan Neidelman. Musimy go powstrzymać.

Clay zmarszczył brwi.

- Powstrzymać przed czym?

- Zaraz otworzy szkatułę, w której spoczywa miecz świętego Michała.

Na twarzy duchownego zawitał wyraz podejrzliwości. Hacha złapał napad kaszlu.

- Dowiedziałem się, że miecz jest śmiertcionośny. Radioaktywny.

Pastor skrzyżował ramiona.

- Wszystkich nas zabije, może łącznie z połową mieszkańców Stormhaven, jeśli się stąd wydostanie.

Clay nadal nic nie mówił, tylko patrzył.

- Niech pan posłucha - powiedział Hatch, przetykając z trudem ślinę. - Miał pan rację. Nie powinniśmy byli zaczynać tych poszukiwań. Ale teraz już na to za późno. Sam go nie powstrzymam.

Twarz wielebnego zmieniła się. Hatch nie wiedział, jak to wytłumaczyć. Rozjaśniła się, jak gdyby pod wpływem wewnętrznego światła.

- Sądzę, że zaczynam rozumieć - odezwał się, niemal sam do siebie.

- Neidelman wysłał człowieka z poleceniem zabicia mnie - powiedział Hatch. - Stracił zmysły.

- Tak - odparł Clay, nagle żarliwie. - Tak, oczywiście, że stracił.

- Możemy mieć tylko nadzieję, że nie będzie za późno.

Hatch przeszedł ostrożnie koło porzrzucanych kości. Odpoczywaj w pokoju, Johnny - powiedział półgłosem, i skierował się w dół, wąskim, opadającym tunelem. Woody Clay szedł tuż za nim.

Gerard Neidelman klęczał nieruchomo przed kasetą, zdawało się, że trwało to w nieskończoność. Żelazne obręcze, które ją otaczały, zostały precyzyjnie przecięte, jedna po drugiej. Gdy uwalniał palnikiem skrzynię z ich okowów, pasy opadały jeden po drugim w dół, przez szczeliny w metalowej podłodze. Pozostał już tylko jeden - nie chronił już zamka, ale nadal przylegał do niego grubą warstwą rdzy.

Zamek został przecięty, pieczęcie złamane. Mógł sięgnąć po miecz.

A jednak pozostał na swoim miejscu, z palcami na wieku. Czuł obecność miecza każdym zmysłem. Czuł się pełen życia, spełniony w sposób, jakiego nigdy nie przeczuwał. Zdawało mu się, że całe jego minione życie stanowiło tylko bezbarwny krajobraz - że żył tylko po to, aby doczekać tej chwili.

Powoli zrobił wdech, i jeszcze jeden. Przeszyło go lekkie drżenie - może zakołatało mu serce. Wreszcie z nabożną powolnością uchylił wieko.

Wnętrze skrzyni spowijał cień. Neidelman zdołał dostrzec, że w jej wnętrzu skrzą się drogie kamienie. Tak długo zamknięte wnętrze wydzielalo ciepłą, aromatyczną woń mirry.

Sam miecz spoczywał na perfumowanym aksamicie. Sięgnął do środka i położył dłoń na rękojeści, przesunął lekko palcami po plecionej gardzie i uchwycie z kutego złota. Samo ostrze było schowane, wsunięte we wspaniałą złotą, wysadzaną kamieniami pochwę.

Ostrożnie wyciągnął futerał z mieczem ze skrzyni. Aksamit, na którym spoczywał, w mgnieniu oka rozsypał się w chmurę fioletowego pyłu.

Uniósł miecz - odnotowując ze zdziwieniem jego wielki ciężar - i ostrożnie skierował go do światła.

Pochwa i rękojeść stanowiły dzieło bizantyjskich rzemieślników wykonane z ciężkiego złota, być może w ósmym lub dziewiątym wieku. Niezwykle rzadki, przypominający rapier kształt. Niezwykle delikatne trybowanie i zdobienia filigranem - przez wszystkie lata swoich obszernych badań Neidelman nie spotkał nic doskonalszego.

Podniósł pochwę i obrócił ją tak, by padło na nią światło. Czuł, że serce niemal przestaje mu bić. Front pochwy gruby był od polerowanych szafirów o tak wspaniałej głębi, kolorze i przejrzystości, że niemal nierealnej. Zastanawiał się, jaka ziemską siłą była w stanie nadać kamieniom taką głębię.

Skierował swoją uwagę na rękojeść. Na gardzie znajdowały się cztery niezwykle rubiny, każdy równy słynnej Gwieździe De Long, o której Neidelman wiedział, że uznawana

jest za najbardziej idealny z istniejących klejnotów. Tymczasem w gałce na rękojeści osadzony był wielki, dwugwiazdzisty rubin, dużo bardziej imponujący od De Long, zarówno pod względem rozmiaru, koloru, jak i symetrii. Kamień ten - pomyślał Neidelman, odwracając rękojeść do światła - nie miał sobie równego na całej ziemi, całej. Gardę ozdabiały oszłamiające szafiry, lśniące tęczą kolorów: czarne, pomarańczowe, ciemnoniebieskie, białe, zielone, różowe i żółte, a każdy mienił się podwójną gwiazdą. Raz jeszcze stwierdził, że nigdy przedtem nie widział tak soczystych, głębokich barw. Takiego piękna nie wyobrażał sobie w nawet najbardziej rozgorączkowanych snach. Każdy z klejnotów stanowił absolutny unikat, za każdy można było zażądać na rynku dowolnej ceny. Ale posiadanie ich wszystkich razem, osadzonych w tak niezwykłym dziele bizantyjskiej sztuki złotniczej, było wręcz niewyobrażalne. Niczego takiego świat nigdy wcześniej nie oglądał, i już nie zobaczy - to oczywiste.

Neidelman był świadom, że nie pomylił się w swoich oczekiwaniach co do miecza. Co najwyżej, nie docenił jego mocy. Ten przedmiot mógł wpłynąć na losy świata.

Nareszcie nadszedł ten moment. Rękojeść i pochwa były niezwykle: samo ostrze przechodziło najśmielsze oczekiwania. Chwycił za rękojeść prawą ręką, w lewą ujął pochwę i zaczął z namaszczeniem wyciągać z niej klingę.

Niezwykłe uczucie szczęścia przeszło najpierw w zakłopotanie, potem w zaskoczenie. Z pochwy wyłonił się podziurawiony, płaski, zdeformowany kawałek metalu. Metal łuszczył się poznaczony cętkami, utleniony na dziwny, fioletowoczarny kolor. Widać było na nim jakąś białą substancję. Wyciągnął go do końca i trzymał w górze, wpatrując się w nieszczęsne ostrze - prawdę mówiąc, słowo „ostrze” było tu nie na miejscu. Zastanawiał się, co to mogło znaczyć. Całymi latami wyobrażał sobie tę chwilę, setki, może nawet tysiące razy. Za każdym razem ostrze wyglądało inaczej.

Ale nigdy tak jak teraz.

Wyciągnął rękę i dotknął szorstkiego metalu, zastanawiając się, dlaczego jest ciepły. Może miecz stopił się w ogniu, stopił, a potem otrzymał nową rękojeść? Ale jaki ogień zdołał go stopić? I co to za metal? Nie żelazo - rdza miałaby pomarańczowy odcień - ani nie srebro, które po utlenieniu stałoby się czarne. Ani platyna, ani złoto tak się nie utleniały. I był o wiele za ciężki jak na miecz wykonany z blachy czy innego pospolitego metalu.

Jaki metal utleniał się na fioletowo?

Raz jeszcze odwrócił miecz i przeciął nim powietrze, a gdy to robił, przypomniał sobie chrześcijańską legendę o świętym Michale Archaniele.

Zaświtał mu pewien pomysł.

Pamięta, że kilka razy śnił mu się miecz pogrzebany na dnie szybu Water Pit, ów legendarny miecz: miecz samego świętego Michała, zwycięzcy Szatana. Gdy w śnie spoglądał na miecz, zaczynał ślepnąć, podobnie jak święty Paweł w drodze do Damaszku. Dziwne pocieszenie stanowił fakt, że w tym momencie jego bogata wyobraźnia zawodziła. Nic, co był sobie w stanie wyobrazić, nie było dość niezwykle, by uzasadnić cześć i strach, jakie przebijały ze starych dokumentów wzmiankujących o mieczu.

Ale jeśli święty Michał - Archanioł Miecza - faktycznie pokonał szatana, jego broń mogła się w bitwie wyszczerbić i stopić. Taki miecz byłby do innych niepodobny.

I właśnie trzymał go w tej chwili w swoich rękach.

Spojrzał na miecz jeszcze raz, szarpany zadziwieniem, strachem i niepewnością. Jeśli był to ten właśnie miecz - a jakie mogło istnieć inne wytłumaczenie? - stanowił dowód istnienia innego świata lub czegoś poza sferą materialną. Zmartwychwstanie takiego miecza będzie niezwykle wydarzeniem.

Pokiwał głową sam do siebie. Z takim mieczem zdoła oczyścić świat, zdoła pokonać wszelki duchowy upadek, zadać śmiertelny cios gnijącym religiom i ich umierającym duchownym, stworzyć nową wartość na nowe tysiąclecie. Fakt, że dzierżył go w dłoniach, nie był dziełem przypadku, zdobył go za cenę własnego potu i krwi. Dowiódł, że jest go godzien. Miecz stanowił dowód na to, na co czekał przez całe swoje życie: stanowił jego własny skarb.

Drżącym ramieniem oparł ciężką broń o wieko kasety. Znowu zdziwił go kontrast między niezwykle urodą rękojeści i pochwy a odpychającym wyglądem klingi. Ale teraz był raczej zauroczony jej brzydota - przepyszną, niemal świętą szkaradnością.

Miecz należał już do niego. Miał tyle czasu, ile tylko zapragnął, by się zastanowić - i być może z czasem pojąć jego dziwną i straszną urodę.

Ostrożnie wsunął ostrze na powrót do pochwy, spoglądając na kasetę. Ją też zabierze na powierzchnię. Kasetka odgrywała ważną rolę - łączyła się nierozzerwalnie z historią miecza. Spojrzał przez ramię i z zadowoleniem stwierdził, że Magnusen zdążyła opuścić pojemnik na dno skarbca. Napelniała go teraz workami monet, powoli niczym automat.

Wrócił do kasety i do jednej, ostatniej już przytwierdzonej do niej zardzewiałej żelaznej obręczy. Dziwny sposób na zamocowanie takiej skrzyni. Z pewnością łatwiej byłoby przykuć pasy do podłogi komnaty, zamiast je przez nią przeciągać. Do czego były tam pod spodem przyczepione?

Odsunął się i kopnął ostatnią klamrę, uwalniając kasetę. Klamra odpadła i przeleciała przez szczelinę w podłodze z zadziwiającym szarpnięciem, jak gdyby podczepiono do niej od dołu niezwykle ciężki odważnik.

Nagle wszystko zadrżało, cały skarbiec zatrzęsł się. Prawa strona podłogi dziwnie opadła jak skrzydło samolotu w silnych turbulencjach. Spróchniałe beczki, płócienne torby i gąsiory pospadały ze swoich miejsc pod lewą ścianą, rozbijając się o podłogę i zarzucając ją deszczem klejnotów, złotego pyłu i pereł. Ciężkie stosy sztabek złota przechyliły się, po czym runęły z wielkim hukiem. Neidelman opadł ciężko na szkatułę i sięgnął po rękojeść - w uszach dzwoniło mu od krzyków Magnusen. Jego źrenice rozszerzyły się ze zdumienia.

Elektryczny silnik windy jęknął, gdy ta opadła na dno szybu. Streeter stał w jednym rogu z pistoletem w dłoni, zmuszając Rankina i Bonterre, żeby ścisnęli się po przeciwległej stronie.

- Lyle, musisz tego wysłuchać - błagała Bonterre. - Roger mówi, że pod nami jest ogromna próżnia. Widział wszystko na ekranie sonara. Pit i skarbiec postawiono na wierzchołku...

- Opowiesz o tym swojemu przyjacielowi, Hatchowi - powiedział Streeter. - Jeśli jeszcze żyje.

- Co z nim zrobiłeś? Streeter podniósł lufę.

- Wiem, co zamierzaliście.

- *Mon dieu*, jesteś w równym stopniu paranoikiem jak...

- Zamknij się. Wiedziałem, że Hatchowi nie można ufać, wiedziałem to od chwili, gdy tylko go ujrzałem. Czasami kapitan zachowuje się trochę naiwnie. To dobry człowiek, wierzy ludziom. Dlatego zawsze mnie potrzebował. Postanowiłem czekać. Okazało się, że miałem rację. A co do ciebie, suko, stanęłaś po złej stronie. Ty też. - Pokiwał pistoletem w kierunku Rankina.

Geolog stał na krawędzi windy. Zdrową ręką trzymał za poręcz, zranioną ścisnął mocno pod pachą.

- Oszalałeś - powiedział.

Bonterre spojrzała na niego. Wielki niedźwiedź, zazwyczaj przyjazny i spokojny, pełen był gniewu, jakiego nigdy w nim przedtem nie widziała.

- Nic do ciebie nie dociera? - rzucił Rankin. - Ten skarb przesiąkał promieniowaniem przez setki lat. Nikomu się na nic nie przyda.

- Gadaj dalej, a kopnę cię w gębę - powiedział Streeter.

- Gównu mnie obchodzi, co zrobisz - odparł Rankin. - Miecz i tak nas wszystkich pozabija.

- Gównu prawda.

- Wcale nie. Wiedziałem odczyt. Siła promieniowania wydobywającego się z tej szkatuły jest wręcz niewiarygodna. Jak tylko wyjmie go ze skrzyni, koniec z nami.

Minęli platformę na głębokości pięćdziesięciu stóp, tytanowe pręty skąpane były w blasku awaryjnych świateł.

- Wydaje ci się, że masz do czynienia z idiotą - powiedział Streeter. - A może jesteś tak zrozpaczony, że powiedziałabyś wszystko, żeby tylko ocalić własną skórę. Ten miecz ma co najmniej pięćset lat. Nic na ziemi nie jest tak naturalnie radioaktywne.

- Nic na ziemi. Właśnie. - Rankin nachylił się, z jego ciężkiej brody kapłała woda. - Ten miecz zrobili z pieprzonego meteorytu.

- Co? - Bonterre wciągnęła powietrze. Streeter zaśmiał się zgrzyliwie, potrząsając głową.

- Radiometr odebrał emisję charakterystyczną dla irydu osiemdziesiąt. To ciężki izotop irydu. Radioaktywny jak cholera. - Splunął na bok. - Iryd rzadko występuje na ziemi, ale powszechnie wśród niklożelaznych meteorytów. - Zachwiał się, krzywiąc z bólu, kiedy otarł ranną ręką o platformę.

- Streeter, musisz nam pozwolić pomówić z kapitanem - powiedziała Bonterre.

- Nie ma mowy. Kapitan pracował całe życie na to, żeby znaleźć ten skarb. Mówi o nim nawet przez sen. Skarb należy do niego, a nie do jakiegoś owłosionego dupka geologa, który dołączył do grupy trzy miesiące temu. Albo francuskiej dziwki. Jest jego, cały.

Oczy Rankina rozbłysły gniewem.

- Ty żaloszny durniu.

Streeter zacisnął wargi w wąską, białą linię, ale nic nie odpowiedział.

- Wiesz co? - powiedział Rankin. - Kapitan ma cię w dupie. Teraz jesteś dla niego mniej wart niż tam, w Nam. Myślisz, że ocali ci tym razem życie? Zapomnij. Obchodzi go tylko ten przeklęty skarb. Ty to historia.

Streeter przystawił pistolet do twarzy Rankina, celując między oczy.

- Proszę bardzo - powiedział Rankin. - Zastrzel mnie i niech już będzie po wszystkim albo rzuć pistolet i walcz. Rozwałę ci ten chudy tyłek nawet jedną ręką.

Streeter skierował pistolet w stronę poręczy i wystrzelił. Na porysowanych ścianach szybu rozbryzgała się krew, Rankin szarpnął zrujnowaną lewą dłoń. Opadł na kolana, wyjąc z bólu i wściekłości, palec wskazujący i środkowy zwisały na strzępach mięśni. Streeter przymierzył się i kopnął Rankina prosto w twarz. Bonterre, krzyząc, rzuciła się całym ciałem na kierownika.

Nagle z głębin przetoczyło się w górę gardłowe dudnienie. Sekundę po nim nastąpiło gwałtowne uderzenie, które rzuciło ich na platformę windy. Rankin cofnął się, ale nie był w stanie przytrzymać się obolałymi rękami. Bonterre chwyciła go za kołnierz koszuli i uchroniła przed stoczeniem się. Streeter pierwszy odzyskał równowagę i kiedy Bonterre wreszcie się podniosła, trzymał się już poręczy, mierząc w nich oboje z pistoletu. Cała konstrukcja



gwałtownie się trzęsła, tytanowe szczeble skrzypiały, jakby protestując. Pod tym wszystkim szaleńczo huczała pędząca woda.

Winda zatrzymała się z gwałtownym szarpnięciem.

- Nie ruszać się! - ostrzegł Streeter.

Jeszcze jeden potężny wstrząs. Zamrugały światła awaryjne. Przy windzie przeleciała śruba, podskoczyła z brzękiem na podłodze i poszybowała, wirując w ciemność pod nimi.

- Zaczęło się - zawołał ochryple Rankin, skulony na dnie windy, przyciskając krwawiące dłonie do piersi.

- Co się zaczęło? - odkrzyknęła Bonterre.

- Szyb zapada się w szczelinę. Cholera, rychło w czas.

- Zamknąć gęby i skakać. - Streeter pokiwał pistoletem w stronę szarego zarysu platformy na poziomie stu stóp, widocznego kilka stóp pod dnem windy.

- W czas? - wrzasnęła Bonterre. - To nie zbieg okoliczności. To sekretna pułapka Macallana.

- Zamknij się, powiedziałem. - Streeter wypchnął ją z windy, spadła bezwładnie z wysokości kilku stóp, lądując ciężko na platformie. Spojrzała w górę potłuczona, ale cała. Zobaczyła, jak Streeter kopie Rankina w brzuch. Po trzecim kopniaku geolog przetoczył się przez krawędź, lądując ciężko obok niej. Bonterre ruszyła w jego stronę, chcąc mu pomóc, ale Streeter zsunął się jak kot po drabinie.

- Zostaw go - powiedział, potrząsając ostrzegawczo bronią. - Wchodzimy tam.

Bonterre rozejrzała się wokół. Mostek prowadzący od drabiny do tunelu Wopnera chybotął się. Na jej oczach zakotłosał nim kolejny silny wstrząs. Światła awaryjne zgasły, płatanina szczebli pograżyła się w ciemnościach.

- Ruszaj - zasyczał jej do ucha Streeter.

I zamilkł. Nawet w panujących ciemnościach Bonterre czuła, że zastygł.

Wreszcie i ona zobaczyła - słabe światło pod nimi, poruszające się szybko w górę drabiny.

- Kapitanie Neidelman? - zawołał w dół Streeter. Nie było odpowiedzi.

- Czy to pan, kapitanie? - znów zawołał, ale teraz już głośniej, starając się przekrzyczeć dochodzący z dołu huk.

Światło nadal się zbliżało. Bonterre widziała już, że jego strumień skierowany był w dół, trudno było rozpoznać postać.

- Ty, w dole! - zawołał Streeter. - Pokaż twarz albo będę strzelać!

Rozległ się stłumiony głos, cichy i niewyraźny.

- Kapitanie?

Światło zbliżyło się, dzieliło je od nich już może tylko dwadzieścia stóp. A potem zgasło.

- Chryste - powiedział znów Streeter, chwytając się mocniej drżącej platformy, rozstawiając szeroko nogi i mierząc w dół z trzymanego oburącz pistoletu. - Kimkolwiek jesteś - zaryczał - mam zamiar...

Nie zdołał dokończyć, bo po drugiej stronie platformy coś nagle zaszurało. Zaskoczony Streeter obrócił się i wystrzelił. W błysku strzału Bonterre zdołała dostrzec Hacha wbijającego pięść w brzuch Streetera.

Hatch w ślad za ciosem ulokowanym w brzuchu Streetera posłał jeszcze jeden, wymierzony prosto w jego szczękę. Streeter zatoczył się do tyłu, a Hatch ruszył od razu za nim. Złapał go za koszulę i zakreślił. Streeter zaczął wykręcać się z jego uchwytu, więc Hatch popchnął go do przodu, uderzając dwa razy z całej siły w twarz. Drugiemu uderzeniu towarzyszył głuchy chrzęst. Streeter miał zmiążdżony nos. Bryzgał teraz śluzem wymieszany z gorącą, gęstą krwią.

Kierownik zajęczał, jego ciało zwiotczało. Hatch zwolnił uścisk. Streeter nagle zaatakował kolaniem. Hatch chrząknął z zaskoczenia i bólu i upadł na plecy. Streeter ruszył po swój pistolet, nie pozostało nic innego, jak tylko pchnąć go mocno na podłogę.

Streeter podniósł pistolet. Hatch zanurkował w dół drabiny. Rozległ się huk i rozbłysło światło od tytanowej poprzeczki, z lewej strony, odbił się pocisk. Hatch schylił się, znów zajęczał pocisk. Usłyszał, jak Streeter jęknął i chrząknął. Bonterre mocowała się z nim od tyłu. Skoczył w przód w momencie, w którym Streeter walnął ją brutalnie na odlew, odrzucając jej ciało w kierunku wejścia do tunelu. Błyskawicznie i zwinnie niczym kot Streeter znów wymierzył z pistoletu. Hatch zamarł, pięść zawisła mu w powietrzu. Przed sobą widział niewyraźny zarys lufy. Streeter spojrzał mu w oczy i uśmiechnął się, krew kapiąca z nosa zabarwiła mu zęby.

Zatoczył się na bok: Rankin, nie mogąc użyć rąk, wstał i walnął Streetera głową, spychając go całym ciałem w stronę krawędzi metalowego mostku. Przez moment zdawało się, że Streeter zaraz się przewróci. Zdołał jednak odzyskać równowagę i, gdy Hatch znów się zamierzył, wycelował w Rankina. Strzelił z bliska.

Głowa geologa odskoczyła do tyłu, w ciemnościach tunelu wystrzeliła fontanna krwi. Mężczyzna osunął się na metalową podłogę.

Ale pięć Hacha już zbliżała się do celu. Wylądowała ciężko na szczęce Streetera, który jeszcze nie zdążył się odwrócić. Streeter zachwiał się mocno, opierając ciężko o poręcz - metalowa konstrukcja zaprotestowała z chrzęstem. Hatch ruszył do przodu i popchnął go mocno obiema rękami. Pod ciężarem zwisającego ciała Streetera poręcz puściła. Poleciał w otwartą przestrzeń, rozpaczliwie starając się czegoś uczepić. Wystrzelił pistolet. Rozległ się jęk. Ciało, spadając, uderzyło o metal. Już z oddali usłyszeli pluśnięcie stłumione szumem rwącej w dole wody.

Walka trwała mniej niż minutę.

Hatch wstał, dysząc z wysiłku. Podeszedł do nieruchomego ciała Rankina, u jego boku była już Bonterre. Wystarczył krótki rozbłysk błyskawicy odbity w metalowym rusztowaniu, żeby stwierdził, że nic już nie zdoła dla niego zrobić.

Ktoś chrząknął, zaświeciła się latarka. Na platformę wdrapał się Woody Clay. Twarz pokrywała mu mieszanina potu i krwi. Wielebny wspinał się wolniej, jako przynęta. Sam Hatch wdrapał się szybciej, z tyłu drabin, chcąc zaatakować Streetera z zaskoczenia.

Hatch tulił do siebie Bonterre, wplatał ręce w jej ciemne włosy.

- Dzięki Bogu - wyszeptał. - Dzięki Bogu, myślałem już, że nie żyjesz.

Clay obserwował ich przez chwilę.

- Widziałem, jak coś spada - powiedział. - Czy to były strzały z pistoletu?

Odpowiedź Hacha przerwał nagły trzask. Kilka chwil później obok nich przeleciała w dół potężna tytanowa belka, dzwoniąc groźnie po drodze. Konstrukcja zatrzęsała się na całej długości stu pięćdziesięciu stóp. Hatch popchnął Bonterre i Claya przez metalowy mostek do najbliższego tunelu.

- Co się, do diabła, dzieje? - sapnął.

- Gerard otworzył skrzynię - powiedziała Bonterre. - Uruchomił ostatnią pułapkę.

Sparaliżowany zaskoczeniem Neidelman patrzył, jak przez wnętrze komnaty ze skarbem przechodzi seria gwałtownych wstrząsów. Jeszcze jedno okropne szarpnięcie i podłoga przechyliła się mocniej na prawo. Magnusen, którą pierwszy wstrząs rzucił o przeciwległą ścianę, leżała teraz częściowo pogrzebana pod masą monet, rzucając się i wbijając paznokciami w podłogę. Krzyczała nieludzkim głosem. Izba znów się zatrzęsła, strącając jednocześnie kolejny rząd bezułek, które roztrzaskały się, uwalniając deszcz złota i klejnotów. Nad wszystkim zawisł pył ze spróchniałego drewna.

Przesunięcie się kasety znajdującej się pod jego stopami wyrwało Neidelmana z odretwienia. Wsunął miecz pod uprząż i rozejrzał się, szukając wzrokiem zwisającej gdzieś swojej liny asekuracyjnej. Była zaraz nad jego głową, biegła prosto do otworu w suficie skarbcza. Dużo wyżej dostrzegł niewyraźne światło awaryjnych lamp przymocowanych do podstawy drabin. W momencie kolejnego wstrząsu sięgnął po linę.

Nagle rozległ się dźwięk pękającego żelaza - rozerwał się spaw biegnący wzdłuż przeciwległej krawędzi posadzki. Neidelman obserwował z przerażeniem, jak masa luźnego złota zsuwa się w kierunku otwartej szczeliny, formując wir, niczym woda wypływająca przez otwór w wannie, po czym osuwa się przez coraz szersze pęknięcie w dziką czarną przepaść.

- Nie, nie! - krzyknęła Magnusen, gramoląc się po uciekającej masie bogactwa, nawet teraz ściskając i zagarniając złoto, rozdarta między chęcią ratowania monet i własnego życia.

Wstrząs, który zdawał się dochodzić z wnętrza ziemi, obrócił komnatę i grad złotych sztabek, po czym znikł pod masą monet rozsypanych wokół Magnusen. Ciężar złota stawał się stopniowo coraz większy, wir kręcił coraz szybciej. Magnusen porwał prąd, wciągając ją w stronę powiększającej się szczeliny. Jej okrzyki: „Nie, nie, nie” niemal ginęły w ryku przesypującego się dziko metalu. Bez słowa wyciągnęła ramiona w stronę Neidelmana. Pod ciśnieniem napierającego na jej ciało złota jej oczy zaczęły wychodzić z orbit. Skarbiec odpowiadał jękiem wyginającego się żelaza i trzaskiem śrub.

Wreszcie Magnusen znikła, wessana w próżnię przez lśniący złoty strumień.

Neidelman porzucił linę i wdrapał się po przesuwającej się stercie złota. Udało mu się chwycić za krawędź kołyszącego się metalowego pojemnika. Sięgnął do jego wnętrza i nacisnął przycisk w skrzynce sterującej. Kołowrót jęknął i pojemnik zaczął się podnosić z uczeponym pod nim Neidelmanem, szorując po suficie żelaznej komnaty, aż wreszcie prześlizgnął się przez wąski otwór.

Gdy kontener wynurzał się powoli z wykopu, zbliżając się do podstawy drabin, Neidelman wdrapał się do jego wnętrza, po czym spojrział przez krawędź w dół. Zdołał jeszcze dostrzec, jak olbrzymi skarb - kły słoniowe, bele zbutwiałego jedwabiu, baryłki, worki, złoto, klejnoty - znika z pospiesznym szurgotem w pęknięciu. Lampa, kołysząca się dziko na kablu, uderzyła w żelazną ścianę i zgasła. W całym szybie zapanowała ciemność, rozproszona jedynie światłkami awaryjnymi z drabiny nad jego głową. W mroku dostrzegł - albo zdawało mu się, że dostrzega - jak zniekształcone ściany skarbcza odrywają się od ścian szybu i spadają w dół, w kierunku wirującej wody. Na koniec zostały wessane pod jej powierzchnię, wydawszy przedtem ostatni żelazny jęk.

Szyb zatrzęsł się. Ziemia i piach posypały się w dół, tytanowe szczeble powyżej zatrzęszczały protestująco. Zamigotało i światła awaryjne zgasły. Kontener zatrzymał się gwałtownie zaraz pod drabinami, objijając się o ściany wąskiego szybu. Upewniwszy się, że miecz jest bezpieczny, Neidelman sięgnął do góry po linę kołowrotu, macając w ciemnościach. Otarł palcami o najniższy szczebel drabiny. Kolejny okropny wstrząs przeszył Pit, Neidelman rozpaczliwym szarpnięciem wyskoczył, chwytając pierwszy szczebel, potem drugi, machając nogami nad rozszalałą rozpadliną. Cała konstrukcja wspierająca Water Pit dygotała pod naporem, rzucając się pod jego rękami niczym żywa bestia. Coś trzasnęło w ciemnościach i ostatni szczebel poleciał w dół. W świetle dalekiej błyskawicy dostrzegł połamane ciało podskakujące na falach pod jego stopami.

Gdy tak zwisał z drabiny, usiłując złapać dech, zaczął do niego docierać ogrom zniszczenia. Wisiał przez sekundę bez ruchu, szukając odpowiedzi.

Ogarnęła go nieopisana wściekłość. Otworzył usta i zawył głośniejsz nawet od ryku czeluści poniżej.

- Haaaaatch!

- O czym ty mówisz? - zapytał Hatch oparty o mokrą ścianę tunelu, z trudem łapiąc oddech. - Jaka ostatnia pułapka?

- Zgodnie z tym, co mówił Roger, Water Pit zbudowano na rozpadlinie - krzyknęła Bonterre. - Naturalnej przepaści, sięgającej głęboko do wnętrza ziemi. Macallan zamierzał schwytać w nią Ockhama jak w sidła.

- A my sądziliśmy, że wzmocnienie szybu załatwi sprawę. - Hatch potrząsnął głową. - Macallan. Zawsze o krok przed nami.

- Te tytanowe szczelby trzymają w ryzach Water Pit, przynajmniej na razie. Gdyby nie one, wszystko by się już dawno zawaliło.

- A Neidelman?

- *Sais pas*. Prawdopodobnie wpadł do przepaści razem z całym skarbem.

- W takim razie wynosimy się stąd.

Odwrócił się w stronę wejścia do tunelu. W tym samym momencie konstrukcja drabin znowu się zatrzęsała. Chwilę później spod swetra Bonterre doszedł cichy sygnał. Sięgnęła pod ubranie, wyciągnęła radiometr i podała go Hatchowi.

- Zabrałam z twojego biura - powiedziała. - Musiałam tam co nieco potłuc, żeby go znaleźć.

Wyświetlacz był ciemniejszy niż poprzednio - najwyraźniej bateria była już słaba. Jednak wiadomość widniejąca u góry ekranu nie pozostawiała cienia wątpliwości:

**244.13 rady/h wykryto szybki przepływ neutronów możliwe ogólne skażenie radiacyjne zalecenie: natychmiastowa ewakuacja**

- Może odbiera pozostałości promieniowania? - zasugerowała Bonterre, zaglądając w ekran.

- Pozostałości jak cholera. Dwieście czterdzieści cztery rady? Pokaż, zobaczę, czy dam radę uruchomić lokalizator.

Spojrzał na Claya, który posłusznie skierował strumień światła z latarki na urządzenie. Hatch zaczął stukać w klawiaturę. Znikło ostrzeżenie, na ekranie znów pokazała się trójwymiarowa siatka współrzędnych. Hatch, stojąc, zaczął wodzić wokół detektorem. Na środku ekranu rozkwitła błyszcząca tęczowo kolorowa plama, kolory zmieniały się w miarę, jak przesuwał urządzenie.

- O mój Boże. - Podniósł wzrok znad wyświetlacza. - Neidelman żyje. Jest teraz na drabinie, pod nami. I ma miecz.

- Co? - zachnęła się Bonterre.

- Spójrz na te odczyty. - Hatch podsunął jej radiometr. Na ekranie pokazała się poszarpana plama bieli, oscylująca dziko. - Chryste, ależ musi odbierać dawkę z miecza.

- Jak silną? - zapytał napiętym głosem Clay.

- A mnie interesuje, ile my dostajemy - zapytała Bonterre.

- Jesteśmy poza obszarem bezpośredniego zagrożenia. Na razie. Dzieli nas od niego spora warstwa skał. Ale dawki promieniowania kumulują się. Im dłużej tu będziemy, tym większe napromieniowanie.

Nagle ziemia zatrzęsała się, jak gdyby coś w nią wstąpiło. Kilka stóp dalej, w głębi tunelu, z głośnym hukiem oderwała się potężna belka, wokół posypały się na nich ziemia i kamienie.

- Na co czekamy? - syknęła Bonterre, odwracając się w stronę tunelu. - Uciekajmy stąd!

- Czekaj! - krzyknął Hatch z brzęczącym radiometrem w dłoniach.

- Nie możemy czekać! - powiedziała Bonterre. - Czy ten tunel wyprowadzi nas na powierzchnię?

- Nie. Dno studni zamknęło się, gdy wielebny ustawił na powrót pułapkę.

- Więc ruszamy w górę Water Pit! Nie możemy tu zostać. - Ruszyła w stronę drabin.

Hatch szarpnął ją ostro, ciągnąc z powrotem do tunelu.

- Nie możemy tam wyjść - szepnął.

- Dlaczego?

Obok nich stanął teraz Clay, wpatrując się uważnie w ekran. Hatch spojrzał na niego zaskoczony widokiem tłumionego podniecenia, niemal triumfu malującego się na twarzy duchownego.

- Zgodnie ze wskazaniami tego urządzenia - powiedział powoli Hatch - miecz jest tak silnie radioaktywny, że nawet sekundowe wystawienie się na jego działanie oznacza odebranie śmiertelnej dawki. Teraz jest tam Neidelman, wspina się w naszym kierunku. Jeśli wystawimy do głównego szybu choć czubek nosa, jesteśmy ugotowani.

- To dlaczego on jeszcze żyje?

- Nie żyje. Nawet po przyjęciu potężnej dawki promieniowania trochę trwa, zanim pacjent umrze. On był już martwy w momencie, gdy spojrzał na miecz. I my też zginiemy, jeśli tylko miecz znajdzie się w zasięgu naszego wzroku. Promieniowanie neutronowe

rozchodzi się w powietrzu jak światło. Zachowanie osłony skał i ziemi to dla nas teraz kwestia życia lub śmierci.

Popatrzył na radiometr.

- Jest teraz może pięćdziesiąt stóp pod nami, może mniej. Trzeba cofnąć się w głąb tunelu, ile tylko damy radę. Przy odrobinie szczęścia minie nas.

Ponad panującym hałasem Hatch usłyszał niewyraźny krzyk.

Nakazując gestem pozostałym cofnąć się, podczołgał się do przodu, zatrzymując się na krawędzi wejścia prowadzącego do szybu. W jego wnętrzu lśniła i chwiała się pajęcza tytanowa sieć. W radiometrze odezwał się sygnał ostrzegawczy, sygnalizujący słabą baterię. Spojrzał na wyświetlacz:

**13 217.89 rady/h wykryto szybki przepływ neutronów**

**BEZWZGLĘDNA NATYCHMIASTOWA EWAKUACJA**

Jezu, wyświetla na czerwono - pomyślał. Nadal znajdowali się w granicy bezpieczeństwa, chronieni skałami i ziemią szybu Water Pit. Ale Neidelman był teraz bliżej, niedługo nawet tarcza ziemi nie...

- Hatch! - rozległo się ochryple, rwane zawołanie. Hatch milczał.

- Znalazłem ciało Lyle'a.

Hatch nadal milczał. Czy Neidelman naprawdę wiedział, gdzie on jest? A może tylko blefował?

- Hatch! Nie bądź tchórzem, to do ciebie nie pasuje. Widziałem światło. Idę po ciebie. Słyszysz mnie?

- Neidelman! - krzyknął w odpowiedzi.

Nikt mu nie odpowiedział. Spojrzał raz jeszcze na radiometr. Biała plamka na ekranie nadal posuwała się w górę siatki współrzędnych, mrugając raz jaśniej, raz ciemniej, przy słabnącej baterii.

- Kapitanie! Stop! Musimy porozmawiać.

- Z całą pewnością. Utniemy sobie pogawędkę, miłą i krótką.

- Nic pan nie rozumie! - krzyknął Hatch, zbliżając się jeszcze bardziej do krawędzi. - Miecz jest bardzo radioaktywny. Zabija pana, kapitanie. Niech się pan go pozbędzie, natychmiast!

Czekał, nasłuchując przez wszechobecny huk.



- Ach, niezmiennie pomysłowy Hatch. - Nadeszła odpowiedź Neidelmiana, słaba i nienormalnie spokojna. - Doskonale pan zaplanował całą tę katastrofę.

- Kapitanie, na litość boską, niech pan wyrzuci miecz!

- Wyrzucić go? - zabrzmiała odpowiedź. - Zastawiłeś tę zasadzkę, zniszczyłeś Water Pit, zabiłeś mi załogę, pozbawiłeś mnie mojego skarbu. A teraz chcesz, żebym porzucił miecz? Nie sądzę.

- O czym pan, do cholery, mówi?

- Nie bądź taki skromny. Przyjmij pochwałę za dobrą robotę. Kilka właściwie umieszczonych ładunków wybuchowych załatwiło sprawę, prawda?

Hatch przetoczył się na plecy i wpatrując się w sufit, zaczął analizować możliwe rozwiązania.

- Jest pan chory, kapitanie - zawołał. - Jeśli pan mi nie wierzy, niech pan zapyta własne ciało. Ten miecz to silne źródło promieniowania neutronowego. Już zatrzymał wszelką mitozę komórkową i syntezę DNA w pana organizmie. Wkrótce zaczną się objawy mózgowie. Najpoważniejsza forma zatrucia promieniowaniem.

Nasłuchiwał. Poza rykiem wody dochodziły do niego tylko popiskiwanie zdychającego radiometru. Wziął głęboki wdech.

- Już cierpi pan na pierwsze objawy! - zawołał. - Najpierw wystąpią mdłości. Prawdopodobnie już je pan odczuwa, prawda? Potem wrażenie zamętu w głowie, bo w mózgu pojawiły się już ogniska zaburzające. Potem dreszcze, ataksja, konwulsje i śmierć.

Brak odpowiedzi.

- Na Boga, Neidelman, posłuchaj mnie! - krzyknął. - Wszystkich nas pozabijasz tym mieczem!

- Nie - odpowiedział głos z dołu. - Po namyśle postanowiłem skorzystać z pistoletu.

Hatch szybko usiadł. Głos był teraz bliżej, bardzo blisko, nie więcej niż piętnaście stóp w dół.

- Co się dzieje? - zawołała Bonterre.

- Będzie tu za kilka sekund - odpowiedział Hatch. - Nic go nie powstrzyma. - Mówiąc to, zdał sobie ostatecznie sprawę, że nic już nie mogą zrobić. Za chwilę, dwie, Neidelman z mieczem w ręku wyłoni się zza krawędzi tunelu. Wszyscy zginą.

- Nie można go jakoś zatrzymać? - krzyknęła Bonterre. Zanim Hatch zdołał odpowiedzieć, przemówił Clay.

- Owszem, można.

Hatch obejrzał się. Na trupiobladej twarzy Claya nie było już tryumfu, ale wręcz ekstaza, błogość, jakby nie z tego świata.

- Co...? - zaczął Hatch, ale Clay już go minął z latarką w ręku. Hatch zrozumiał.

- Nie rób tego! - krzyknął, łapiąc Claya za rękaw. - To samobójstwo! Miecz cię zabije!

- Nie, o ile zrobię to, po co się tu zjawilem. - Clay uwolnił szarpnięciem ramię i podbiegł do krańca tunelu. A potem - ominąwszy ciało Rankina - skoczył przez metalowy mostek prowadzący do drabin i szybko znikł w dole.

## 61

Trzymając się kurczowo szczebli drabiny, Clay zszedł kilka stóp w dół, po czym zatrzymał się, chcąc się uspokoić. Z przepastnego dna szybu dochodził potężny huk: odgłosy zapadających się pieczar i dudniącej wody dzikiego żywiołu bulgoczącego w niezmiernych czeluściach. Podmuchy wilgotnego powietrza ciągnęły i szarpały za kołnierz jego koszuli.

Skierował strumień światła w dół. System wentylacji przestał działać, kiedy wysiadł awaryjny system zasilania. Było duszno. Skroplona woda kapiała z drżących szczebli, które pokryte były skrzepami spadającej ziemi. Strumień światła omiatał mgłę, gdy napotkał Neidelmiana jakieś dziesięć stóp poniżej.

Kapitan z wysiłkiem wchodził po drabinie, obejmując każdy szczebel ramieniem, zanim wciągnął się na następny. Twarz wykrzywiła mu się z wysiłku. Przy każdym drzeniu drabiny stawał, ściskając szczeble obiema rękami. Clay dostrzegł błysk wysadzanej kamieniami rękojeści, wystającej z uprząży kapitana.

- No, no - zaskrzeczał Neidelman, patrząc w stronę światła. - *Ex lux in tenebris lucet.* Światło zaiste rozświetla ciemności. Dlaczego nie czuję się zaskoczony, widząc wielebnego biorącego udział w spisku? - Głos przeszedł w urywany kaszel, rękami przytrzymał się drabiny, przeczekując następny wstrząs.

- Odrzuć miecz - powiedział Clay.

W odpowiedzi Neidelman sięgnął za pas i wyciągnął pistolet. Clay odchylił się, pistolet wystrzelił.

- Z drogi - wychrypiał Neidelman.

Clay zdawał sobie sprawę, że nie zdoła stawić czoła Neidelmanowi na tych wąskich szczeblach: musiał sobie znaleźć lepsze miejsce. Szybko oświetlił drabinę. Kilka stóp pod nim, na głębokości stu dziesięciu stóp, znajdowała się niewielka kratownica do prowadzenia napraw. Włożył latarkę do kieszeni i, korzystając z ciemności, zszedł niżej o jeden stopień, potem drugi. Drabina trzęsła się teraz jeszcze mocniej. Clay wiedział, że Neidelman nie jest w stanie się wspinać, trzymając jednocześnie pistolet. Ale wiedział też, że wstrząsy przychodziły falami. Jak tylko wibracje się skończą, Neidelman wystrzeli w jego kierunku.

Zszedł jeszcze o dwa stopnie, macając w ciemnościach rękami i stopami. Wstrząsy złagodniały. W słabym, odbitym świetle pioruna kilka stóp poniżej zobaczył Neidelmiana, który jedną ręką podciągał się w kierunku kratownicy. W chwili, gdy kapitan stracił równowagę, Clay w desperackim odruchu puścił kolejny szczebel i z całej siły kopnął go w rękę. Gdy uderzył, rozległ się krzyk i stukot, pistolet spadał w ciemność.

Clay osunął się na pręty platformy, ślizgając stopą na wąskiej metalowej kratownicy. Neidelman, zwisając z kraty, zawył z wściekłości. W nagłym przypływie energii zdołał podciągnąć się na wąski pomost. Stojąc po przeciwnej stronie, Clay wyciągnął latarkę i zaświecił Neidelmanowi w oczy.

Twarz Neidelmana pokrywały smugi potu i ziemi, w bezlitosnym świetle latarki skóra była przerażająco blada, oczy zapadnięte. Sprawiał wrażenie wyczerpanego, ciało zaś funkcjonowało napędzane jedynie siłą woli, ręce mu nieznacznie drżały, kiedy sięgnął za siebie i dobył miecza.

Clay wpatrywał się w broń z mieszaniną strachu i podziwu. Rękojeść była hipnotyzująco piękna, wysadzana wielkimi klejnotami. Ale samo ostrze stanowił brzydki, wyszczerbiony, fioletowy, poznaczony cętkami kawałek metalu.

- Na bok, pastarze - zaskrzeczał kapitan. - Nie mam zamiaru tracić na ciebie sił. Chcę Hatcha.

- Hatch nie jest twoim wrogiem.

- Przysłał cię, żeby mi to powiedzieć? - Neidelman znów zakaszłał. - Udało mi się pokonać Macallana. Ale nie doceniłem zdraдлиwego Hatcha i jego współników. Nic dziwnego, że chciał mieć wśród kopiących Truitta. Twój protest, jak sądzę, miał odwrócić moją uwagę. - Wlepił w Claya błyszczące oczy.

- Już jesteś martwy - powiedział spokojnie Clay. - Obaj jesteśmy martwi. Nie zdołasz już ocalić ciała. Ale może nadal możesz uchronić własną duszę. Ten miecz to broń szatana. Odrzuć go w czeluście, gdzie jest jego miejsce.

- Ty głupcze - zasyczał Neidelman, zbliżając się. - Broń szatana, powiadasz. Hatch może i zabrał mi skarb. Ale nadal mam to. Miecz, którego zdobyciu poświęciłem ponad połowę mojego życia.

- Stał się instrumentem twojej śmierci - odparł spokojnie Clay.

- Nie, twojej. Po raz ostatni, wielebny, z drogi.

- Nie - powiedział Clay, trzymając się kurczowo drżącej platformy.

- Więc giń - krzyknął Neidelman, biorąc zamach ostrzem w stronę głowy Claya.

## 62

Hatch odrzucił bezużyteczny już teraz radiometr i wbił wzrok w ciemność, w stronę wejścia do tunelu i znajdującego się za nim pionowego szybu Water Pit. Słysząc było jakieś słabe głosy, strzały z pistoletu, ostre i wyraźne ponad rykiem dochodzącym z pieczary. Błysk

latarki Claya oświetlił metalowy szkielet drabin. Czekał, szarpany niepewnością, niemal ulegając pokusie podczołgania się bliżej i zerknięcia przez krawędź w dół. Ale wiedział, że nawet trwające ułamek sekundy wystawienie się na działanie miecza świętego Michała oznacza nieuchronną śmierć.

Spojrzał do tyłu na Bonterre. Czuł, że cała jest spięta, słyszał jej urywany oddech.

Nagle rozległy się odgłosy ząbartej walki. Potem dźwięk metalu uderzającego o metal, okropny krzyk - czyj? - a w ślad za nim zduszony bełkot. I znów potężne uderzenie i brzęk metalu. Potem rozległ się potworny jęk bólu i rozpacz, który stopniowo cichł, aż stopił się z tykiem szybu.

Hatch przykucnął przygwożdżony do miejsca przerażającymi odgłosami. Usłyszał coś jeszcze: nierówny oddech, uderzenie ręki o metal, sapanie z wysiłku. Strumień światła z latarki strzelił w górę, przeszukując ściany powyżej, potem zatrzymał się. Namierzył wejście do tunelu.

Ktoś się tu wspinał.

Hatch spiął się, rozważając błyskawicznie możliwości. Zdał sobie sprawę, że została tylko jedna. Jeśli Clay zawiódł, ktoś inny musi powstrzymać Neidelmiana. Zdecydował, że tym kimś będzie on.

W ciemnościach poczuł, jak Bonterre zbiera się do wykonania jakiegoś ruchu. Dotarło do niego, że pomyślała sobie to samo co on.

- Ani mi się waż - powiedział.

- *Fermela!* - krzyknęła. - Nie pozwolę ci...

Zanim zdołała się wyprostować, Hatch rzucił się do przodu prawie biegiem. Potykając się, dotarł do wejścia do tunelu. Zatrzymał się na krawędzi, zamarł, słysząc za sobą odgłos jej kroków. Skoczył na metalowy mostek, gotów chwycić Neidelmiana i pociągnąć go w wyjąca pod stopami paszczę.

Na drabinie trzy stopnie poniżej Clay z trudem pokonywał odległość dzielącą go od tunelu. Kołysał się na boki. Na jednej skroni widniała duża głęboka rana.

Duchowny z trudem umieścił rękę na kolejnym szczeblu. Hatch pochylił się i wciągnął go na platformę akurat w momencie, w którym pojawiła się na nim Bonterre. Razem pomogli mu schronić się w tunelu.

- Co się stało? - zapytał Hatch. Clay spojrzał na niego.

- Zdobyłem miecz - powiedział obcym głosem. - Wrzuciłem go do szybu.

- A Neidelman?

- On... postanowił pójść w jego ślady. Zapadła cisza.

- Ocalił nam pan życie - powiedział Hatch. - Mój Boże, pan... - Zamilkł i wziął wdech.  
- Zabierzemy pana do szpitala...

Clay zamachał ze znużeniem dłonią.

- Doktorze, nie. Proszę, niech pan doda godności mojej śmierci, mówiąc mi prawdę.

Hatch popatrzył na niego przez chwilę.

- Medycyna nic już nie może dla pana zrobić, najwyżej uśmierzyć nieco ból.

- Szkoda, że nie można się panu odwdziaczyć za takie poświęcenie - powiedziała Bonterre chrapliwym głosem. Clay uśmiechnął się dziwnym grymasem, który po części zdawał się smutny, po części pełen euforii.

- Wiedziałem, co robię. To nie było poświęcenie. Otrzymałem dar.

Spojrzał na Hacha.

- Mam jedną prośbę. Czy zdążycie zawieźć mnie na ląd? Chciałbym pożegnać się z Claire.

Hatch odwrócił wzrok.

- Zrobię wszystko, co w mojej mocy - mruknął.

Pora było ruszać. Wyszli z tunelu i przeszli po trzęsącym się metalowym pomoście do drabin. Hatch kazał Bonterre wejść na drabinę i czekał, aż zacznie się wspinać, zatapiając się w ciemności. Gdy spojrzał w górę, akurat niebo przecięła błyskawica, oświetlając Orthanc, ponure widmo. Niemal niewidoczne przez płataninę wsporników i belek. W dół spływał deszcz, spadały kawałki metalu i ziemia, odbijając się na złożonej siatce konstrukcji.

- Teraz pan! - zawołał do Claya.

Duchowny podał mu latarkę, po czym zmęczony odwrócił się twarzą do drabiny i zaczął się wspinać. Hatch patrzył w jego kierunku przez chwilę. Ostrożnie przytrzymując się, wychylił się za krawędź platformy i skierował światło latarki w głąb Water Pit.

Patrzył w ślad za linią światła, niemal bojąc się tego, co mógł ujrzeć. Ale miecza - i Neidelmiana - już nie było. Hatch widział, jak rozłuszczona chmura mgły okrywa niczym opończa rozjuszoną czeluść.

Znów wszystko dziko się zatrzęsło. Wrócił do drabiny i zaczął piąć się w górę. Po krótkiej chwili dogonił Claya. Duchowny ścisnął tytanowy szczebel, usiłując złapać oddech. Następna potężna fala wstrząsnęła drabiną i pozostałymi szczeblami, wypełniając Pit protestującym odgłosem deformowanego metalu.

- Nie dam rady wejść wyżej - wysapał Clay. - Idźcie dalej.

- Weź latarkę! - krzyknął Hatch. - Potem obejmij mnie za szyję ramieniem.

Clay zaczął odmownie kręcić głową.

- Rób, co mówię!

Hatch ruszył w górę, wlokąc za sobą wielebny szczebe po szczeblu. W promieniu latarki widział nad sobą i Clayerr Bonterre - gdy spojrziała w dół, na jej twarzy malowało się zaniepokojenie.

- Idź, idź! - ponaglił, chcąc samemu przeć do góry. Jeder szczebelek po drugim. Dotarł do platformy na głębokości pięćdziesięciu stóp i szedł dalej. Nie miał odwagi odpoczywać. W górze widział już zarys wlotu do szybu, czarny na tle szarego, burzowego nieba. Mięśnie piekły z wysiłku, gdy zmuszał się do kolejnego kroku, ciągnąc za sobą Claya.

Nagle drabiną po raz kolejny silnie wstrząsnęło, z dołu wytrysnęła fontanna mokrego powietrza i wody. Pod nimi, z przeraźliwym zgrzytem, od ściany odpadło długie przeszło drabiny. Przyciśnięty do metalowej poręczy Hatch widział, jak mocowania po jednej stronie szybu zaczynają pękać i rozluźniać się. U jego boku sapał Clay, starając się nie zwolnić uścisku.

Hatch znów zaczął się wdrapywać, strach i adrenalina dodały mu sił. Nad nim po kołyszącej się drabinie ku górze zmierzała Bonterre. Szedł w ślad za nią, wciągając Claya i wdychając powietrze do płuc tak szybko, jak tylko zdołał.

Szczeble drabiny stały się bardziej śliskie. Bliżej powierzchni ryk i skrzypienie zapadającego się szybu mieszały się z wyciem sztormu. Twarz zaczął mu siec deszcz, ciepły w porównaniu z cuchnącym chłodem tunelu. Z głębi szybu dotarł do nich wstrząs, drabiny wydały niemal ludzki pisk - puściły niezliczone umocnienia. Drabina zerwała się z kotwic i zaczęła kołysać się dziko, tnąc przez gąszcz powykręcane metalu.

- Ruszaj! - zawył Hatch, popychając Bonterre. Gdy się obejrzał, zobaczył z przerażeniem, że śruby wzdłuż centralnego kręgosłupa drabiny zaczynają wyskakiwać - szczeble pękały, otwierając się niczym zamek błyskawiczny. Jeszcze jeden potężny wstrząs i kotwiczne zamocowania Orthanca zaczęły fruwać nad ich głowami. Z głośnym trzaśnięciem pękło jedno z wielkich okien na wieży obserwacyjnej, zasypując ich gradem szkła.

- Uważaj! - krzyknął Hatch, zamykając oczy. Deszcz szkła i odłamków przeleciał z chrzęstem obok niego. Poczuł, że się przechyla, otworzył oczy i zorientował się, że drabina zaczyna się składać. Z szarpnięciem, które sprawiło, że żołądek podszedł mu do gardła, cała konstrukcja opadła o kilka stóp, cały czas się skręcając i strzelając. Clay niemal się wyslizgnął, nogi zadyndały mu w próżni.

- Na szalunki! - krzyknął Hatch. Przemieścił się powoli, cały czas podtrzymując Claya. Bonterre zrobiła to samo. Hatch złapał Claya wpół i wciągnął go na tytanową śrubę kotwiczną, a potem na stare drewniane ocembrowanie, które podpierało ściany Water Pit.

- Dasz radę? - zapytał. Clay skinął głową.

Hatch precyzyjnie się podpastorem, szukając uchwytu dla dłoni. Macając śliską, zgniłą ziemię popędzał Claya. Fragment podpory ułamał się pod jego nogą, potem drugi, jak szalony szukał przez chwilę miejsca podparcia. Sięgnął wyżej, złapał za krawędź platformy na samej górze i z pomocą Bonterre wciągnął duchownego na nią, a potem na porośnięty trawą brzeg.

Wstał. Na południu widział niewyraźny zarys wzbierającego przyływu, przelewającego się przez dziurę w grodzy. Wydęte deszczowe chmury pędziły, przesłaniając tajemniczy księżyc. Morze wokół raf pokrywała biała piana, a powracający prąd rozciągnął linię piany aż po horyzont.

Ogłuszający brzęk nad jego głową sprawił, że okręcił się dokoła. Uwolniony od uchwytu podstawy, Orthanc skręcił się, jakby zaraz miał się złożyć.

- Do doków! - wrzasnął Hatch.

Złapał Bonterre i podtrzymując Claya z obu stron, pobiegli w dół błotnistym szlakiem prowadzącym do Wyspy Jeden. Hatch obejrzał się, wieża obserwacyjna gwałtownie zanurkowała, przebijając się przez platformę nad wejściem do szybu, i przeleciała przez nią w dół. Pod naciskiem żelastwa rozległ się szum wody i dziwne trzaski: strzelanie niezliczonych kłód drewna wyrywanych z rozsuwających się ścian. Chmura mgły i wody, wymieszana z żółtymi oparami i rozpylonym błotem, wystrzeliła z szybu w niebo.

Poruszali się tak szybko, jak tylko byli w stanie. Dalej, wzdłuż labiryntu ścieżek, do opustoszałego obozowiska i do leżącej za nim przystani. Molo osłonięte krawędzią wyspy było poobijane, ale całe. Na jego końcu podskakiwała na falach motorówka z „Cerberusa”.

Po chwili już byli na jej pokładzie. Hatch poszukał klucza, przekręcił go i usłyszał własny, głośny okrzyk, gdy maszyna zagrała. Włączył pompę zez. Odpowiedziała uspokajającym bulgotem.

Odbili i ruszyli w sztorm.

- Przejdziemy na „Gryffina”! - powiedział Hatch, kierując się do statku Neidelmana, nadal uparcie szarpiącego za kotwice za linią raf.

- Przyływ wraca. Będziemy płynąć z wiatrem. Bonterre skinęła, otulając się swetrem.

- A za nami morze i fala przyływu. Dla odmiany, trochę szczęścia.

Podpłynęli do burty „Gryffina”, Hatch zabezpieczył motorówkę, utrzymując równowagę na wysokiej fali, Bonterre zaś pomogła Clayowi dostać się na pokład. Hatch wdrapał się zaraz za nimi i pobiegł do sterówki. Błyskawica oświetliła nierówny zarys konstrukcji wznoszącej się nad wyspą. Patrzył z przerażeniem, jak zapada się cały odcinek



grody. Przez wyrwę runęła olbrzymia ściana wody, biała na tle ciemnego nieba. Południowy brzeg wyspy pochłonęła wodna kipiela.

Bonterre podniosła kotwice, Hatch przygotował silniki. Rzucił okiem do tyłu sterówki, na zestaw skomplikowanych konsoli. Postanowił nie zawracać sobie nimi głowy - znajdzie drogę do domu za pomocą kompasu i punktu orientacyjnego. Spojrzał na wielki klonowy stół zasłany mapami, przypomniało mu się, jak siedział przy nim ostatni raz. Kerry Wopner, Rankin, Magnusen, Streeter, Neidelman... wszyscy nie żyją.

Popatrzył na Woody'ego Claya. Duchowny siedział w fotelu, wymizerowany, przypominając bardziej własny cień. Tamten odpowiedział na jego spojrzenie, kiwając w milczeniu głową.

- Wszystko zabezpieczone - powiedziała Bonterre, wpadając do sterówki. Zamknęła za sobą drewniane drzwi.

Hatch wyprowadził łódź zza nawietrznej wyspy, z tyłu słyszeli odgłosy potężnych eksplozji. Rozkołysane morze nagle zabarwiło się na czerwono. Hatch przyspieszył, szybko oddalając się od wyspy.

- *Mon dieu* - wyszeptała Bonterre.

Hatch spojrział przez ramię i ujrzał, jak w powietrze wylatuje drugi zbiornik paliwa, tworząc grzyb ognia. Zdołał przebić się przez zalegającą nisko mgłę, rozświetlając niebo nad całą wyspą i otulając budynki obozu chmurą dymu i odłamków.

Bonterre cicho wsunęła swoją dłoń w jego rękę.

Rozległ się trzeci huk, który tym razem dochodził najwyraźniej z trzewi samej wyspy. Patrzyli z respektem, jak cała powierzchnia wyspy drży i rozpływa się, wyrzucając w górę szerokie pióropusze dymu i wody zniekształcającymi nocne niebo. Płonąca benzyna rzuciła na wodę wściekły blask, aż wreszcie zapłonęły fale. Ogień dotarł do rafy, która również rozgorzała.

Równie gwałtownie zakończył się ten niezwykle spektakl. Wyspa zapadła się do środka, szarpnęło, zagrzmiało i ostatnia część grody dała za wygraną. Morze ruszyło wściekle, zalewając otwartą ranę. Napływające fale spotkały się na środku, strzelając wielkim gejzerem, którego czubek znikł we mgle, a potem opadł znów niczym powolna, brązowa kurtyna. W jednej chwili po wszystkim została tylko wielka, gotująca się plama wody, obmywająca krąg skał. W niespokojne niebo wzbijały się pióropusze brudnej pary.

- „Ty, który pragniesz klucza do Skarbca” - zamruczała Bonterre - „znajdziesz zamiast niego klucz na tamten świat, a twoje truchło szeźnie opodal piekła, do którego powędruje twoja dusza”.

- Tak - powiedział słabym głosem Clay.

- Wiecie, to był meteoryt - dodała Bonterre.

- „I zagrzmiał piąty anioł” - wyszeptał Clay. - „A ja ujrzałem, jak z nieba spada na ziemię gwiazda: i otrzymał on klucz do bezdennej czeluści”.

Hatch spojrzał na umierającego duchownego, bojąc się przemówić, i zaskoczony zobaczył, że Clay się uśmiecha, jego zapadnięte oczy lśniły. Odwrócił wzrok.

- Wybaczam ci - powiedział Clay. - I sądzę, że muszę poprosić o wybaczenie także ciebie.

Hatch zdołał jedynie skinąć głową. Duchowny zamknął oczy.

- Teraz chyba odpocznę - mruknął.

Hatch odwrócił się i popatrzył na to, co pozostało z Ragged Island. Gwałtownie znów spływała na wszystko mgła, spowijając zniszczenia delikatnym szalem. Patrzył długo.

A potem odwrócił się i skierował łódź do portu w Stormhaven.

Biuro The North Coast Realty Company, agencji nieruchomości, znajdowało się w małym żółtym budynku, po drugiej stronie placu, naprzeciwko redakcji „Stormhaven Gazette”. Hatch siedział przy biurku stojącym przy frontowym oknie, pił słabą kawę i przeglądał pobieżnie tablicę wypełnioną zdjęciami nieruchomości. Pod nagłówkiem „Doskonała cena” zobaczył coś, co mogło być jedynie domem starego Haiglera: trochę popękany, nieznacznie pochylony, ale nadal oryginalny. „Sto dwadzieścia dziewięć tysięcy pięćset dolarów, okazja”, przeczytał na kartce. „Wybudowany w 1872 roku. Cztery akry, ogrzewanie olejowe, trzy sypialnie, półtorej łazienki”. Powinni wspomnieć także o centralnym przewiewie - pomyślał z lekką drwiną, wpatrując się w szczeliny ziejące między deskami i w obwisłe parapety. Obok umieszczono zdjęcie aż zanadto eleganckiego drewnianego domu z klepek przy Sandpiper Lane, stojącego między gigantycznymi klonami. Przez pięćdziesiąt lat w posiadaniu pani Lyons, obecnie na tamtym świecie. „To nie tylko nieruchomość”, głosiła kartka. „To także historia”. Hatch uśmiechnął się na wspomnienie wysiłku, z jakim razem z Johnnym ozdabiali te klony papierem toaletowym w święto Halloween, ponad trzydzieści lat temu.

Spojrzał niżej, na kolejny rząd zdjęć. „Dom ze snów w Maine!”, głosił entuzjastyczny napis na następnej kartce. „Autentyczny styl Drugiego Imperium, w każdym szczególe. Balkony, łukowe okna, widok na ocean, taras dokoła, oryginalna armatura, trzysta dwadzieścia dziewięć tysięcy dolarów”. Pod spodem wisiało zdjęcie jego własnego domu.

- Och! - Wpadła Doris Bowditch. - Nie ma powodu, żeby to tu jeszcze wisiało. - Zdjęła zdjęcie z tablicy i rzuciła na najbliższe biurko.

- Oczywiście, nie chciałam nic mówić, ale pomyślałam sobie, że może popełnia pan błąd, nie spuszczając z tak wysokiej ceny. Ale ta para z Manchesteru nawet nie mrugnęła okiem.

- Już mi to raz mówiłaś - powiedział Hatch, zaskoczony nutką żalu we własnym głosie. Teraz nic go tu już nie trzymało, nic. A jednak, choć jeszcze nie opuścił miasta, już brak mu było steranych wiatrem i deszczem gontów domów, klekotania stalowych linek o maszty, rezolutnej zaściankowości tego miasta. Choć był to już całkiem inny rodzaj żalu: słodko-gorzka nostalgia, której nie trzeba się pozbywać, bo umie łagodzić wspomnienia. Wyjrzał przez okno na zatokę w kierunku kilku wyszczerbionych złomów skalnych, które znaczyły miejsce spoczynku szczątków Ragged Island. Jego sprawy - sprawy trzech pokoleń - były już w Stormhaven zamknięte.

- Zamknięcie transakcji nastąpi w Manchesterze. - W jego myśli wkradł się pogodny głos Doris. - Ich bank sobie tego życzył. Spotkamy się tam w przyszłym tygodniu?

Hatch wstał, kręcąc głową.

- Raczej wyślę mojego adwokata. Dopilnujesz, żeby wszystko popakowano i przesłano na ten adres?

Doris wzięła wizytówkę i popatrzyła przez okulary.

- Tak, doktorze Hatch, oczywiście.

Hatch pożegnał się i wyszedł z biura. Zszedł powoli po kamiennych schodach na wysłużony bruk ulicy. To chyba wszystko - napił się już z Budem sklepikarzem i zawiadomił gospodynię w Cambridge. Zatrzymał się na chwilę, potem obszedł samochód i otworzył drzwi.

- Malin! - rozległ się znajomy głos.

Odwrócił się i zobaczył St. Johna zmierzającego w jego kierunku nierównym truchtem. Historyk starał się utrzymać pod pachą plik folderów, nie tracąc równowagi na nierównym bruku.

- Christopher! - odpowiedział z prawdziwą przyjemnością. - Dzwoniłem dziś rano do gospody, żeby się pożegnać, ale powiedzieli mi, że już wyjechałeś.

- Posiedziałem kilka godzin w bibliotece - odparł St. John, mrugając w jasnym słońcu. - Thalassa przysłała łódź, która ma zabrać ostatnich sześciu pracowników do Portland. Będzie tu pewnie za pół godziny. - Ścisnął mocniej foldery, by lekka bryza nie rozsypała mu ich po ulicy.

- W Bibliotece Stormhaven? - zapytał Hatch z uśmiechem. - Wyrazy współczucia.

- Prawdę mówiąc, bardzo mi się przydała. Poznałem kawałek miejscowej historii, właśnie tego mi brakowało.

- Do czego?

St. John poklepał foldery.

- Jak to? Do monografii Sir Williama Macallana, oczywiście. Otworzyliśmy tu całkiem nową kartę w historii dynastii Stuartów. I wiesz co, sama tylko jego praca w wywiadzie da materiał na dwa artykuły w magazynie Międzynarodowego Stowarzyszenia Kryptograficznego.

*Basso profundo* syreny okrętowej zatrzęsło oknami w budynkach na placu. Hatch spojrzął w samą porę, by dostrzec sylwetkę smukłego, białego jachtu, który skręcił do zatoki i podpływał właśnie do pomostu.

- Są wcześniej - powiedział St. John. Niezgrabnie przytrzymał foldery, wyciągając rękę. - Dziękuję ci raz jeszcze, Malin.

- Nie masz mi za co dziękować - odparł Hatch, odwzajemniając uścisk. - Wszystkiego najlepszego, Christopher. - Patrzył, kiwając się, jak historyk schodzi na przystań. A potem wsiadł do jaguara, zamknął drzwi i włączył silnik.

Wycofał samochód na plac i skierował na południe, w stronę nabrzeżnej autostrady A-1 i Massachusetts. Jechał wolno, delektując się słonym powietrzem, słońcem i cieniem igrającymi na twarzy, gdy mijał stare dęby stojące wzdłuż cichych ulic.

Podjechał pod urząd pocztowy i zatrzymał się przy krawężniku. Na słupku białego płotu siedziała Isobele Bonterre. Miała na sobie cienką skórzaną kurtkę i krótką beżową spódnicę. Na chodniku obok leżała wielka torba. Odwróciła się do niego, zadarła kciuk i skrzyżowała nogi, eksponując przy okazji szokując długi odcinek nagiej skóry.

- *Ca va*, żeglarzu? - zawołała.

- W porządku. Ale na twoim miejscu zachowałbym ostrożność. - Pokiwał na jej opalone uda. - Tutaj nadal palą nierządnicę, sama wiesz.

Zaśmiała się głośno.

- Niech tylko spróbują! Twoi ojcowie miasta to tłuścioch) wszyscy, co do jednego. Nikt mnie nie złapie. Nawet na tych obcasach. - Podniosła się ze słupka, podeszła i kucnęła przy samochodzie, opierając łokcie o okno przy fotelu pasażera. - Co tak długo?

- To wina Doris Agentki. Chciała nacieszyć się każdą kosztowną sekundą transakcji.

- Nic nie szkodzi. - Udała, że wydyma usta. - I tak byłam zajęta. Nawet bardzo, starałam się zdecydować, co zrobić z moją częścią skarbu.

Hatch uśmiechnął się. Oboje wiedzieli, że nic nie udało się uratować. Tego skarbu już nigdy, przenigdy nikt nie odzyska. Westchnęła przesadnie.

- W każdym razie jesteś już gotów zabrać mnie z tego *vili horrible!* Nie mogę się już doczekać hałasu, kurzu, sprzedawców patelni, codziennej prasy i Harvard Square.

- To wskakuj. - Hatch wyciągnął rękę i otworzył drzwi ale ona nadal opierała się o szybę, patrząc na niego zagadkowo

- Pozwolisz postawić sobie kolację, prawda?

- Oczywiście.

- A potem przekonamy się wreszcie, jak jankescy doktorze mówią młodym damom dobranoc.

Hatch uśmiechnął się szeroko.

- Zdawało mi się, że rozwiązaliśmy już tę zagadkę.

- Ach, ale ten wieczór będzie inny. Ten wieczór spędzimy z dala od Stormhaven. I tego wieczoru ja stawiam. - Uśmiechnęła się, sięgnęła do rękawa bluzki i wyciągnęła masywny złoty dublon.

Hatch gapił się zdumiony w wielką monetę, która zakrywała jej dłoń.

- Skąd to, do diabła, wytrzasnęłaś? Bonterre uśmiechnęła się jeszcze szerzej.

- Z twojej medycznej chatki, *naturellement*. Znalazłam go, szperając w poszukiwaniu radiometru. Pierwszy - i ostatni - skarb z Ragged Island.

- Oddawaj.

- *Désolée*, mój drogi. - Bonterre zaśmiała się, odsuwając rękę. - Kto znajdzie, ten ma. Nie zapominaj, że to ja go wykopałam. Nie martw się. Kupimy sobie za niego dużo kolacji. - Wrzuciła torbę na tylne siedzenie i znów się pochyliła. - A teraz, wracając do dzisiejszej nocy. Masz wybór. Orły czy reszki? - I wyrzuciła monetę w powietrze. Zabłyśła w słońcu, obracając się, odbijając żywo w oknach poczty.

- Masz na myśli, orzeł czy reszka? - poprawił ją Hatch.

- Nie - powiedziała Bonterre, przyklepując monetę. - Orły czy reszki? Tak się mówi, *non?* - Podniosła palce i popukała w monetę, rozszerzając lubieżnie oczy.

- Właż do środka, zanim spalą na stosie nas oboje - zaśmiał się Hatch, wciągając ją do samochodu.

Po chwili byli już za granicami miasta. Po kolejnych dwóch minutach dotarli do urwisk za Burnt Head. Gdy samochód wjechał na szczyt wzgórza, Hatch raz jeszcze spojrzął na Stormhaven, zachowując ten widok w pamięci, widok ze wstecznego lusterka: port, łodzie kołyszące się na kotwicach, białe drewniane domy połyskujące na wzgórzu.

W jednej chwili wszystko znikło.